



HUNTER KILLER

PATRICK

ROBINSON

THE *SUNDAY TIMES* BESTSELLER



**PATRICK ROBINSON**

**Arnold Morgan #8 Mysliwy**

# OSOBY

## **Dowództwo sił USA**

**Paul Bedford – prezydent**

**adm. Arnold Morgan – głównodowodzący operacji „Tankowiec”**

**gen. Tim Scannell – przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów**

**adm. Alan Dickson – dowódca marynarki wojennej (szef operacji morskich)**

**adm. Frank Doran – dowódca Floty Atlantyku (CINC-LANT)**

**adm. George Morris – dyrektor Narodowej Agencji Bezpieczeństwa (NSA)**

**kmr por. Jimmy Ramshawe – asystent dyrektora NSA**

**adm. John Bergstrom – dowódca sił specjalnych marynarki wojennej (SPECWARCOM)**

## **Służba dyplomatyczna i wywiad cywilny USA**

**Charlie Brooks – ambasador w Arabii Saudyjskiej Tom Kelly – agent CIA w Marsylii Ray**

**Sharpe – agent CIA w Brazzaville Andy Campese – szef placówki CIA w Tuluzie Guy Roland –**

**agent CIA w Tuluzie Jack Mitchell – agent CIA w Rabacie**

## **Marynarka wojenna USA**

**kpt. Bat Stimson – dowódca USS *North Carolina* kpt. David Schnider – dowódca USS *Hawaii***

**kpt. Tony Pickard – dowódca USS *Shiloh* kmr por. Brad Taylor – dowódca zespołu SEALs**

**Kierownictwo francuskie****prezydent**

**Pierre St. Martin – min. spraw zagranicznych Gaston Savary – szef wywiadu cywilnego (DGSE) gen. Michel Jobert – dowódca sił specjalnych**

**Francuska marynarka wojenna**

**adm. Georges Pires – dowódca sił specjalnych (COMFU-SCO)**

**adm. Marc Romanet – dowódca floty podwodnej**

**kpt. Alain Roudy – dowódca myśliwskiego okrętu podwodnego *Perle***

**kmdr Louis Dreyfus – dowódca myśliwskiego okrętu podwodnego *Amethyste***

**por. Garth Dupont – dowódca grupy pływonurków na *Amethyste***

**kmdr Jules Ventura – dowódca sił specjalnych w rejonie Zatoki Perskiej, *Perle***

**por. Reme Doumen – dowódca 2. grupy uderzeniowej komandosów**

**mar. Vincent Lefevre – przyboczny kmdra Ventury**

**Francuskie siły specjalne**

**mjr Etienne Marot – z-ca dowódcy, 3. grupa mjr Paul Spanier – dowódca 1. grupy mjr Henri Gilbert – dowódca 2. grupy**

**Dowództwo saudyjskich sił rebelianckich**

**płk Jacques Gamoudi – b. oficer Legii Cudzoziemskiej, głównodowodzący Saudyjskiej Armii Rewolucyjnej w Rija-dzie**

**gen. Rawi Raszud – szef wojskowy Hamasu, głównodowodzący południowej grupy uderzeniowej SAR**

**Francuska służba dyplomatyczna i wywiad cywilny**

**Yves Zilber – agent DGSE w Tuluzie**

**Michel Phillippes – szef placówki DGSE w Rijadzie**

**mjr Raul Foy – agent DGSE w Rijadzie**

**Claude Chopin – ambasador w Kongu**

## **6**

**Saudyjska rodzina królewska**

**król**

**książę Chalid bin Mohammed al-Saud**

**książę Nasir Ibn Mohammed al-Saud (następca tronu)**

**Saudyjska Armia Rewolucyjna**

**płk Sa'ad Kabeer – dowódca 8. brygady pancерnej kpt. Pajsal Rahman – batalion Al-Kaidy w Rijadzie mjr Abdul Madżid – dowódca oddziału czołgów (baza lotnicza)**

**płk Bandar – dowódca oddziału czołgów (Rijad)**

**Izrael**

**David Gavron – ambasador Izraela w USA David Schwab – agent Mosadu w Marsylii Robert Jazy – agent Mosadu w Marsylii Daniel Mostel – *sayanim*, kontroler ruchu lotniczego w Damaszku**

**Inni**

**Abdul Gamoudi – ojciec płk. Jacques'a Gamoudiego**

**kpr. Shane Collins – armia brytyjska, specjalista nasłuchu elektronicznego, Cypr**

**sir David Norris – prezes Międzynarodowej Giełdy Ropy Naftowej, Londyn**

**Kathy Morgan – żona adm. Morgana**

**Szakira Raszud – żona gen. Raszuda**

**„Księżniczka" Adele**

# PROLOG

Dwudziestosześcioletni książę Chalid bin Mohammed al-Saud przeżywał noc wyjątkowo zmiennego szczęścia. Po stronie zysków mógł zapisać nawiązanie serdecznej przyjaźni od pierwszego wejrzenia ze zjawiskową blondynką odzianą w wyroby Gucciego, która przedstawiła mu się jako europejska księżniczka i teraz wisiała ucepiona jego lewego ramienia. Były jednak i straty: grał w blackjacka w jednym z prywatnych pokoiów kasyna i przepuścił dwieście czterdzieści siedem tysięcy dolarów.

Na pokrycie rachunków z kasyna w Monte Carlo stryjeczny pradziadek Chalida, król Arabii Saudyjskiej, ostatnio wydawał mniej więcej tyle samo, ile na utrzymanie liniowych eskadr Królewskich Saudyjskich Sił Powietrznych. Aktualnie miał na utrzymaniu trzydzieści pięć tysięcy książąt krwi, którzy słowu hedonizm ochoczo i pracownicy nadawali nowe znaczenie. Jak młody Chalid, wielu z nich uwielbiało Monte Carlo i jego największe atrakcje: blackjacka, bakarata, ruletkę, kości, szampana, drogie kobiety, kawior i szybkie jachty motorowe.

Książę Chalid podsunął swojej nowej damie kolejny stosik żetonów za jakieś dziesięć tysięcy dolarów, wyobrażając sobie erotyczne przyjemności, jakie z całą pewnością go czekały. Na dodatek w jej żyłach płynęła królewska krew! Pradziadkowi by się to podobało... Chalidowi tak uderzyła do głowy jej uroda, że nawet przez myśl mu nie przeszło, iż na europejskich dworach zazwyczaj mało kto mówi po angielsku z akcentem podejrzanym kojarzącym się z dalekim południem Londynu.

Roześmiana i rozgrzana szampanem Krug Adele grała dalej – a potrafiła to robić z subtelnością słonia w składzie porcelany. Pozbycie się otrzymanych przed chwilą żetonów

## 9

zajęło jej dokładnie dziewięć minut i czterdzieści trzy sekundy i nawet Chalid, młodzieniec pozbawiony wszelkich hamulców finansowych, złapał się na tym, że z równym zaangażowaniem jak blat stołu ściska jej idealnie kształtny pośladek.

–Myślę, że dalszych przyjemności powinniśmy poszukać teraz gdzie indziej – rzucił z uśmiechem, dając znak kelnerce, że chce uregulować rachunek za wieczór.

Adele miała szampański humor. Nikt z personelu nawet nie mrugnął, gdy książę podpisywał przyniesiony przez szefa sali kwit dłużny na ponad dwieście sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Tego rachunku już po raz drugi nie ujrzy: zostanie dodany do jego innych długów, które zdążyły już w tym miesiącu przekroczyć milion, a potem przesłany bezpośrednio królowi saudyjskiemu, którego kancelaria prędzej czy później wystawi czek. Ostatnio następowało to raczej później.

Książę Chalid był w prostej linii potomkiem wielkiego beduińskiego wojownika Abdal-Aziza II,

**zwanego Ibn Sau-dem, twórcy nowoczesnej Arabii Saudyjskiej, który zdażył spłodzić ponad czterdziestu synów i Allah jeden wie ile córek, zanim zmarł w 1953 roku. Chalid należał do panującej gałęzi rodu, ale miał tysiące kuzynów, wujów, braci i innych bliskich krewnych. Król wszystkich ich traktował z niekwestionowaną szczodrobliwością – w samej rzeczy tak wielką, że teraz, pod koniec pierwszego dziesięciolecia XXI wieku, wielkie mocarstwo naftowe z Półwyspu Arabskiego stało na skraju finansowej zapaści: miliony baryłek ropy trzeba było wydobywać spod piasku pustyni każdego dnia tylko po to, aby zaspokoić ogromne potrzeby młodych utracjuszy w rodzaju Chalida bin Mohammeda al-Sauda.**

**Chalid był właścicielem jednego z dziesiątek saudyjskich wielkich jachtów motorowych, popularnie zwanych mega-jachtami, jakie cumują we wszystkich portach francuskiej Riwieri. Jego *Shades of Arabia*, trzydziestodwumetrowa biała bestia o opływowych liniach, wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy pozostać na wodzie, czy wystartować jak rakieta. Zbudowany w renomowanej florydzkiej stoczni West Bay SonShip Corporation, mieścił pod pokładem pięć luksusowych kabin i w swojej klasie wielkości był ostatnim krzykiem światowej techniki jachtowej.**



Kapitan Hank Reynolds, Amerykanin z Seattle, był bliski zawału za każdym razem, kiedy armator upierał się osobiście zasiadać za sterem. Dla księcia Chalida nie miało znaczenia, czy płynie po otwartym, spokojnym morzu, czy przez zatłoczoną marinę; uznawał tylko dwie nastawy silnika – całą naprzód i stop. Pięciokrotnie był aresztowany za przekroczenie dozwolonej prędkości w różnych portach południa Francji; za każdym razem płacił wysokie kary, dwa razy trafił na kilka godzin do więzienia, z którego królewscy adwokaci wyciągali go za kaucją – przy ostatniej okazji w wysokości stu tysięcy dolarów. Książę byłby odczuwalnym ciężarem dla jakiegokolwiek bogatej rodziny – i absolutnie nic go to nie obchodziło, zwłaszcza że nie wyróżniał się pod tym względem spośród reszty młodych dziedziców domu Saudów.

Naturalnie płynnym ruchem objął talię Adele i skinął głową dziesięciu członkom swojego orszaku, którzy obsiedli stół do ruletki, grając na zdecydowanie mniejsze stawki. Byli wśród nich dwaj osobiści ochroniarze, Saudyjczycy Ahmed i Raszid, trzech przyjaciół z Rijadu i pięć młodych dam – dwie ubrane w stylu zachodnim Arabki z Dubaju i trzy przedstawicielki europejskiej arystokracji o genealogii podobnej jak Adele.

Przed wspaniałym białym portalem kasyna czekały już trzy samochody – dwa rolls-royce'y i bentley. Odźwierny w liberii najszacowniejszego domu gry na świecie otworzył przed księciem drzwi, za co z godnością zainkasował studolarowy banknot, równowartość dwóch baryłek ropy naftowej. Chalid wśliznął się z Adele na tylne siedzenie pierwszego rollsa; Raszid z Ahmedem usiedli obok szofera, a pozostała ósemka zajęła dwa następne wozy.

–Sułtanie, nie wracamy na razie do „Hermitage” – poin-

struował kierowcę księżę. – Zawieź nas na jacht.

Mała kawalkada ruszyła w stronę portu. Trzy minuty później samochody stanęły pod burta *Shades of Arabia*, kołyszącego się łagodnie na cumach.

–Dobry wieczór, wasza wysokość! – zawołał wachtowy z pokładu, włączając oświetlenie trapu. – Czy wychodzimy dziś w morze?

–Tylko na krótką przejażdżkę, ze dwie, trzy mile od

brzegu, żeby popatrzeć na światła Monako. Wracamy około pierwszej – oznajmił Chalid.

–Tak jest, sir – odrzekł wachtowy, młody oficer marynarki saudyjskiej, były nawigator jednej z królewskich korwet z bazy flotyli Zatoki Perskiej w Al Dżubajl.

Nazywał się Bandar i został osobiście wyznaczony przez dowódcę marynarki do służby w charakterze pierwszego oficera na książęcym jachcie, by dbać o dobre samopoczucie jego właściciela. Lubili się z Reynoldsem i dobrze się im razem pracowało – na szczęście dla

**Amerykanina, jedno słowo krytyki ze strony Bandara mogłoby bowiem zakończyć jego karierę. Saudyjczycy płacą najlepszym zachodnim fachowcom bająnskie sumy, ale nie tolerują najmniejszej niesubordynacji wobec kogokolwiek z domu Saudów.**

**W urządzonym z przepychem salonie (z barem i jadalnią na co najmniej dwanaście osób) rozbawione towarzystwo otwierało kolejne butelki szampana Krug w cenie około dwustu pięćdziesięciu dolarów za półtoralitrową Magnum. Na stole stały dwie duże kryształowe misy. Jedna była wypełniona irańskim kawiozem z bielugi, na oko z półtora kilograma; druga – podobną ilością śnieżnobiałego proszku, mniej więcej dwukrotnie droższego od czarnego specjału. Obok niej leżała płaska taca z polerowanego drewna tekowego, na której spoczywało kilkanaście małych, ręcznie wyrabianych kryształowych rurek. Tego wieczoru obie cieszyły się jednakowym powodzeniem. Koszt całego przyjęcia, włącznie z wynagrodzeniem dwóch stewardów, stanowił równowartość ceny hurtowej około sześciuset baryłek – niecałych stu tysięcy litrów – surowej ropy saudyjskiej na giełdzie londyńskiej. Książę Chalid zużywał paliwo szybciej niż oplakiwany przez wielu concorde w czasach swojej świetności.**

**W tej chwili wciągał nosem biały proszek ze zwykłym u niego zapamiętaniem. Kokainę naprawdę lubił; sprawiała, że czuł się jak prawa ręka króla Arabii Saudyjskiej, jedynego kraju świata nazwanego od panującego w nim rodu. Jego rodu.**

**Książę starał się – z powodzeniem – nie przejmować niezaprzeczalną prawdą, że nie ma z niego najmniejszego pożytku. Jego jedynym do tej pory osiągnięciem był dyplom**

magistra nauk humanistycznych z horrendalnie drogiego kalifornijskiego uniwersytetu; aby mu go przyznano, jego ojciec musiał jednak nakłonić króla do zafundowania uczelni nowej, wielkiej biblioteki oraz do wypełnienia jej tysiącami woluminów.

Teraz, gdy miesiącami włóczył się po malowniczych portach i kurortach śródziemnomorskich, pływając się w luksusie *Shades of Arabia*, tylko po zażyciu cowieczornej porcji kokainy czuł, że może grać ze światem jak równy z równym. Jeżeli zaś zmieszał ją w odpowiednich proporcjach z perlistym Kru-giem, wydawało mu się, że może dokonać wszystkiego. To był jeden z takich właśnie dni.

Kiedy w umyśle mu pojaśniało po pierwszej, gwałtownej reakcji na narkotyki, kazał Bandarowi iść na mostek i powiadomić Hanka Reynoldsa, że siądzie za sterem, gdy tylko cumy zostaną rzucone i dziób skierowany mniej więcej we właściwą stronę.

–Niech kapitan mnie zawoła, jak będziemy gotowi! – do

dał, upewniając się, że Adele słyszy jego władczą komendę.

Dziesięć minut później zabrał dziewczynę na przeszklony mostek z panoramicznym widokiem na port i przejął dowodzenie. Kapitan Hank, kawał chłopca, matros, który większość życia spędził na kabotażowcach kursujących po Puget Sound, przesiadł się na wysoki fotel pierwszego oficera. Bandar stanął tuż za nim, a Adele zgrabnie się wśliznęła na miejsce nawigatora obok swojego nowego amanta.

–Jacht gotowy, sir – powiedział Hank, już ze zmarszczonym z niepokoju czołem. – Kurs zero osiemdziesiąt pięć, prosto w główki falochronu, a po ich minięciu zwrot na sto trzydzieści pięć w celu odejścia od brzegu... I proszę uważać na prędkość, wasza wysokość... ta łódź rumb po prawej to patrol z kapitanatu portu...

–Nie ma sprawy, Hank – przerwał mu książę. – Czuję się dzisiaj doskonale. To będzie miła przejażdżka.

Pchnął obie manetki do oporu, spinając do galopu dwa-kroć po tysiąc osiemset koni mechanicznych drzemiących w bliźniaczych silnikach. Jacht skoczył naprzód jak sprinter z bloków startowych. Adele, której jedynym doświadczeniem żeglarskim była podróż promem przez Tamizę z Gravesend

do Tilbury, aż zapiszczała z radości. Hank złapał się za serce. *Shades of Arabia* z dziobem uniesionym półtora metra nad wodę śmignął przez awanport Monte Carlo, zostawiając za sobą ostry stożek dwóch spienionych fal i w krótkim czasie osiągając dwadzieścia pięć węzłów. Gwałtowne przyspieszenie zepchnęło ze stołu w jadalni obie kryształowe misy. W powietrze wzbila się chmura białego proszku, od której nawet czystej rasy perski kot Chalida poczuł, że może dokonać, czego zechce; jego mruczenie niosło się po salonie, jakby jachtowi nagle wyrósł mały trzeci diesel.

Tymczasem zacumowane w basenie stateczki i jachty rozkołysały się szaleńczo, gdy dopadły je mocarne fale kilwateru: zastawy spadały na podłogi, nawet ludzie tracili równowagę i obijali się o ściany. Na chwilę wszyscy pojęli sens drakońskich i surowo egzekwowanych przepisów ograniczających dopuszczalną prędkość we wszystkich portach francuskiej Riwiery.

Książę Chalid nawet o tym nie pomyślał. Przemknął przez główki, o trzy metry mijając błyskającą zielonym światłem latarnię po lewej burcie, i wypadł na otwarte morze. Po paru minutach był ponad milę od lądu. Teraz, mając pod kilem dobre sto metrów wody, położył jacht na kurs wzdłuż brzegu, sunąc miękką sinusoidą przez lekko tylko sfalowaną wodę, ku żywiołowo okazywanemu zadowoleniu gości, którzy gremialnie wylegli na pokład rufowy, podziwiając widok i moc tego białego, bajecznego morskiego majstersztyku. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na snop ostrego światła reflektora o milę za rufą. Wezwany przez dyżurnego oficera portu patrolowiec straży przybrzeżnej ścigał ich z prędkością blisko czterdziestu węzłów.

Noc była ciepła, ale wyjątkowo ciemna: nabrzmiące deszczem chmurzyska wisiały nisko i przesłaniały całe niebo, a na dodatek nad wodą unosiły się ławice mgły. O milę przed dziobem *Shades of Arabia* stał na kotwicy ogromny statek pasażerski Cunarda, *Queen Mary 2*. Choć rzęsiście oświetlony, w tych warunkach nie mógł być jeszcze widoczny dla nikogo na jachcie, kto nie patrzył na ekran radaru. Na pewno nie robił tego książę Chalid; kapitan Reynolds wbijał wprawdzie wzrok w opalizującą ciemność, ale także zapomniał

o tej podstawowej pomocy nawigacyjnej. On jednak miał przynajmniej usprawiedliwienie – zmartwiał ze strachu o własną skórę. Oprzytomniał w końcu i nerwowo rzucił w stronę chlebobdawcy:

–Ostrożnie, sir! Proszę zwolnić o jakieś piętnaście węzłów. Widzialność jest bardzo słaba... Płyniemy zdecydowanie za szybko...

–Nie przejmuj się, Hank! – odkrzyknął wesoło Chalid. – Jest wspaniale. To mi dopiero zabawa! Przynajmniej na kilka minut mogę odłożyć na bok troskę o kraj i moje obowiązki.

Hank przewrócił oczyma i załamał w duchu ręce, kiedy jego szef dalej uparcie wyciskał resztki mocy z dwóch silników, mimo że właśnie wpadli w kolejne pasmo mgły i nie było widać dalej niż kilkadziesiąt metrów przed dziobem.

Oficer wachtowy na największym, najdłuższym, najwyższym i najszerszym statku pasażerskim, jaki kiedykolwiek zbudowano, spostrzegł jednak ze skrzydła mostku znajdującego się na wysokości dwudziestopiętrowego wieżowca szybko zbliżające się światło topowe *Shades of Arabia*. Powietrze przeszył ogłuszający bas syreny słyszalnej na dziesięć mil wokoło. Zadzźwięczał telegraf maszynowy prawoburtowego silnika przestawiony na całą wstecz; tą desperacką, nierealną komendą oficer chciał wymusić zwrot statku dziobem ku zagrożeniu. *Queen Mary 2* to jednak nie megajacht; jej maszyny mają moc wielu dziesiątek tysięcy koni mechanicznych, ale zgodnie z drugą zasadą dynamiki Newtona wypierający sto pięćdziesiąt tysięcy ton kadłub niełatwo wprawić w ruch. Nawet gdyby siłownia pozostawała w natychmiastowym pogotowiu i silnik od razu zareagował na polecenie z mostku, było już i tak o wiele za późno.

*Shades of Arabia* gnał przez mglistą ciemność na maksymalnych obrotach, pokonując sto metrów w niecałe osiem sekund. Na rufie napełniano kolejne kieliszki szampanem. Księżę Chalid jedną rękę trzymał na sterze, drugą objął smukłą kibić Adele, całując jej chętne usta. Ryk syreny *Queen Mary 2* przywrócił do rzeczywistości tylko Hanka Reynoldsa, który z okrzykiem „JEZU CHRYSSTE!!!” rzucił się ku manetkom. Nie zdążył.

Trzydziestodwumetrowy jacht uderzył z impetem w przed-

nią część lewej burty wielkiego liniowca. Jego ostry dziób wbił się na kilka metrów w stalowe poszycie. Monstrualna siła zderzenia spowodowała eksplozję w przedziale silnikowym i duma saudyjskiego księcia krwi stanęła w płomieniach. Z osób znajdujących się na *Shades* nie ocalał nikt poza ochroniarzem Raszidem, który widząc szybko rosnącą nad nimi stalową grań, rzucił się z pokładu do wody. Jak Izmael z powieści *Moby Dick*, on jeden przeżył, by móc o wszystkim opowiedzieć.

Dwa dni później w pałacowej rezydencji na północnych przedmieściach Rijadu księżę Nasir Ibn Mohammed al-Saud, pięćdziesięciosześcioletni gorliwy sunnicki muzułmanin i następca saudyjskiego tronu, popijając turecką kawę, ze zgrozą wpatrywał się w okładkę londyńskiej „Daily Telegraph”. Pod fotografią przechylonej na burtę *Queen Mary 2* przez całą szerokość strony bił w oczy czarny tytuł:

**PIJANY SAUDYJSKI KSIĄŻĘ O**

**MAŁY WŁOS NIE**

**ZATOPIŁ NAJWIĘKSZEGO LINIOWCA**

**ŚWIATA**

**Rozpędzony jacht staranował QM 2\**

**Masowa ewakuacja na wodach Monako!**

Na zdjęciu widać było to, co pozostało z *Shades of Arabia*, sterczące z otworu wybitego w burcie statku pasażerskiego, wyraźnie przechylonego na lewo. W powietrzu uwijały się śmigłowce francuskich służb ratowniczych, podejmujące z pokładu pasażerów. Opuszczone były też szalupy ratunkowe, choć statkowi nie groziło zatonięcie. Nie mógł się jednak poruszać o własnych siłach i do portu, w celu dokonania prowizorycznych napraw, będą go musiały wprowadzić holowniki; połatany i pusty, jedynie z niezbędną załogą, uda się później w liczącą dwa tysiące mil drogę do miejsca swych narodzin w ujściu Loary, stoczni Alstom Chantiers de l'Atlantique w St Nazaire.

Księżę Nasir był wstrząśnięty. W rogu fotografii zauważył wklejoną podobiznę młodego Chalida z podpisem: „Zginął

w kuli ognia, tak jak żył – lekkoduch do końca". Artykuł wymieniał towarzyszy księcia, którzy podzielili jego los, i ujawniał ilości szampana wypitego przez wesołą kompanię w kasynie, przegraną przez księcia sumę, jego słabość do kobiet, kokainy i nieprawdopodobne bogactwo. Cytował brokerów ubezpieczeniowych Lloyda, ze wzburzeniem perorujących na temat poniesionych strat i zbierających siły przed chwilą, gdy przyjdzie im wypłacić Cunardowi odszkodowanie za remont wartego osiemset milionów dolarów liniowca, utratę zysków, roszczenia pasażerów i poniesione przez rząd Francji koszty akcji ratowniczej.

Książę Nasir wiedział doskonale, że patrzy na największą aktualnie prasową sensację, która pojawi się w mediach na całym świecie i nie zejdzie z ekranów telewizyjnych przez najbliższe kilka dni. Bolało go wszystko, co się z tą historią wiązało: upokorzenie, jakie sprowadziła na jego kraj, jawne pogwałcenie świętych praw Koranu przez jego młodego krewnego i niepowetowane szkody dla publicznego wizerunku, jakie wyrządziła Arabii szaleńcze szastanie milionami petro-dolarów przez jemu podobnych dwudziestolatków.

Nasir pewnego dnia miał zostać królem, ale na drodze do tronu była jedna przeszkoda: jego szeroko znana i żarliwa dezaprobata dla stylu życia królewskiej rodziny. Na razie jednak był jedynie oficjalnym następcą tronu, mądrym i pobożnym muzułmaninem, który wyraźnie zapowiada, że po koronacji położy temu wszystkiemu kres.

Nasir był poza tym wybitnym graczem politycznym i finansowym, czuł się jak w domu za kulisami władzy w Londynie, Paryżu i Brukseli, nie mówiąc już o Bliskim Wschodzie. Dzięki swym radom zyskał – okazywane wprawdzie z rezerwą – uznanie króla, co oczywiście nie przysporzyło mu przyjaciół. Wrogów miał za to niezliczonych: synów, braci, kuzynów i wnuków monarchy. Trzykrotnie usiłowano go zabić. Popularnością cieszył się jednak w saudyjskim społeczeństwie -on jeden ujmował się za zwykłymi ludźmi, a w wywiadach bezceremonialnie mówił o prawdziwej przyczynie spadku krajowego dochodu *per capita* z trzydziestu do siedmiu tysięcy dolarów w ciągu ostatnich piętnastu lat: astronomicznych kosztach utrzymania rodziny królewskiej.

Był wysokim, brodatym mężczyzną, jak inni krewni potomkiem wielkiego Ibn Sauda. Zawsze czuł zew pustyni. Spędzał na niej większość wieczorów: wyjeżdżał daleko na bezludne, chłodniejące po piekielnym skwarze dnia piaski i spotykał się tam z przyjaciółmi. Służba rozkładała wielki, bezcenny perski dywan, ustawiała namiot i podawała kolację, a książę wiodł z gośćmi długie rozmowy o wielkiej dziejowej burzy, która pewnego dnia miała zmieść z tronu panującą gałąź rodu Saudów.

Nasir wstał, szepcząc pod nosem, jak to robił już tyle razy przedtem:

– Ten kraj jest jak Francja przed rewolucją. Jeden ród wykrwawia go na śmierć. W osiemnastowiecznym Paryżu to byli Burbonowie, w dzisiejszym Rijadzie al-Saudowie. – A potem, już głośniej, ciskając zmiętą gazetę w kąt: – To się musi skończyć!

## ROZDZIAŁ 1

Środa, 6 maja 2009 r. Międzynarodowy port lotniczy im. Króla Chalida

Czarna, długa limuzyna minęła główne wejście terminalu i skręciła ku dwuskrzydłowej bramie, już otwartej przez dwóch uzbrojonych strażników. Na obu przednich błotnikach cadillaca trzepotały zielono-niebieskie proporczyki saudyjskiej marynarki wojennej. Strażnicy sprężyście zasalutowali; dobrze znali ten samochód, zmierzający właśnie na pas startowy przy Terminalu 3., enklawie narodowych linii lotniczych Saudia.

Jedynym pasażerem limuzyny był książę Nasir, wiceminister sił zbrojnych. Na końcu pasa czekał nań jeden z najnowszych królewskich boeingów 747, z silnikami pracującymi na jałowych obrotach, gotowy do startu. Cały ruch cywilny był wstrzymany w oczekiwaniu na przybycie – punktualne jak zawsze – i odlot następcy tronu. Na pokład samolotu wszedł w asyście szefa stewardów i wysokiego rangą oficera marynarki. Syn księcia, dwudziestosześcioletni komandor Fahad Ibn Nasir, służył na fregacie z flotyli Morza Czerwonego, a jego ojca zawsze traktowano z honorami należnymi admirałowi.

Był tego dnia jedynym pasażerem i gdy tylko zasiadł w fotelu górnego przedziału pierwszej klasy, pilot przesunął do przodu manetki czterech silników. Samolot pomknął pasem i po krótkim rozbiegu znalazł się w powietrzu, pnąc się stromo w górę i skręcając znad morza na północny zachód, ku Syrii.

Samotna podróż tak ważnej osobistości z królewskiego



rodu, bez choćby jednego ochroniarza, w zasadzie się nie zdarza, ale i sytuacja była szczególna. Rządowy 747 wiozł księcia Nasira nawet nie do półmetka zamierzonej trasy. Wiceminister użył go tylko do wyjazdu z kraju do innego państwa arabskiego; rzeczywisty port docelowy był zupełnie inny. W walizce miał zachodnie ubranie i gdy tylko samolot osiągnął pułap przelotowy, przebrał się w ciemnoszary garnitur, błękitną koszulę i jedwabny krawat w kasztanowy deseń ze złotą spinką w kształcie beduińskiej szabli. Na nogi wzuł gładkie czarne pantofle, ręcznie szyte w Londynie. Walizka zawierała też neseser z kilkoma dokumentami, który teraz wyjął, spakował za to swoją białą szatę *thobe*, tradycyjne nakrycie głowy *ghutra* w biało-czerwona szachownicę i przytrzymujący je czarny podwójny sznur *aghal*. Opuściwszy Ri-jad jako Arab, w Damaszku miał wylądować jako kosmopolityczny biznesmen w każdym calu.

Kiedy dwie godziny później jumbo jet stanął na płycie lotniska w syryjskiej stolicy, przysłana z saudyjskiej ambasady limuzyna zawiozła Nasira prosto pod czekający na końcu pasa startowego liniowy samolot Air France, którego odlot został specjalnie dla niego opóźniony. U stóp schodów powitał go jeden z wyższych urzędników miejscowej placówki linii lotniczych, który odprowadził go do jego miejsca. Dla księcia zarezerwowane były cztery pierwsze rzędy – osiem foteli, z których siedem miało pozostać puste przez całą drogę do paryskiego lotniska Charles de Gaulle.

Obsługa podała specjalnie przygotowany przez kucharzy ambasady obiad: kurczaka w sosie curry z ryżem po indyjsku, sok owocowy i słodkie ciastka. Nasir jako prawowierny muzułmanin przez całe życie nie tknął alkoholu i bezpardonowo potępiał tych współwyznawców, którzy od niego nie stronili. Zmarły w Monte Carlo książę Chalid miał wiele wad; następca tronu wszystkie je dobrze znał.

Lecieli nad Turcją i Bałkanami, później pod samolotem przesunęła się niesamowita tarka alpejskich szczytów i już jak okiem sięgnąć rozpostarła się zieleń francuskich lasów, pól i ogrodów, niemal nieprzerwanie ciągnących się do samego Paryża.

I tym razem książę Nasir nie musiał dopełniać żadnych

formalności. Po pięciogodzinnym locie wysiadł pierwszy specjalnie dla niego podstawionymi schodami, skąd czarny, nie oznakowany samochód rządowy zabrał go wprost do Pałacu Elizejskiego przy rue du Faubourg St Honore, od 1873 roku będącego rezydencją prezydentów republiki. Było kilka minut po szesnastej. Dwaj urzędnicy oczekiwali nań u prywatnego wejścia i zaprowadzili do prezydenckiego apartamentu na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na rue de 1'Elysee. Prezydent przyjął gościa w wielkim, nowoczesnie umeblowanym salonie, udekorowanym kolekcją sześciu wspaniałych obrazów impresjonistycznych pędzla Renoira, Moneta, Degasa i Pissarra, na których kupno nie wystarczyłoby sto milionów dolarów. Powitał go nienaganną angielszczyzną – językiem z góry uzgodnionym dla celów tej rozmowy. Również za wcześniejszym porozumieniem nikt poza nimi dwoma nie miał jej słyszeć: żaden minister, tłumacz ani osobisty sekretarz. Następane dwie godziny miały upłynąć pod znakiem prywatności rzadko – jeżeli w ogóle – spotykanej w świecie międzynarodowej polityki.

–Dzień dobry, wasza wysokość. – Prezydent odezwał się pierwszy. – Mam nadzieję, że nasza organizacja podróży była satysfakcjonująca?

–Wręcz doskonała – zapewnił z uśmiechem książę. – Nikt nie mógłby oczekiwać więcej.

Drzwi salonu były zamknięte, a po ich drugiej stronie trzymali straż dwaj żołnierze sił bezpieczeństwa, specjalnie w tym celu sprowadzeni spoza pałacu. Prezydent sam nalał gościowi kawy ze srebrnego dzbanka przygotowanego na przepięknym napoleońskim kredensie. Nasir skomplementował urodę mebla, z lekkim rozbawieniem przyjmując wyjaśnienie gospodarza:

–Prawdopodobnie należał do samego Bonapartego. Jego

siostra Karolina zajmowała ten pałac przez większą część

dziewiętnastego wieku.

Książę uwielbiał tradycje Francji. Był człowiekiem wszechstronnie wykształconym: ukończył literaturę angielską na Harvardzie i historię europejską na Sorbonie. Świadomość, że kredens mógł służyć samemu cesarzowi, dodała smaku i tak już znakomitej kawie.

–Teraz wasza wysokość musi mi opowiedzieć swoją historię i wyjaśnić, dlaczego życzył sobie rozmawiać ze mną w tak intymnych okolicznościach, prawie bez uprzedzenia.

Prezydent doskonale wiedział, jakie zasady obowiązują wśród wysoko urodzonych arabskich elit: przez co najmniej pół godziny rozmawia się o wszystkim, byle nie na temat zasadniczy.

Księżę Nasir miał jednak świadomość, że na tym szczeblu czas jest niezwykle cenny. Siedzący naprzeciw niego łysiejący, krępej budowy polityk musiał mieć w końcu dni dokładnie wypełnione i zaplanowane. Zaczął powoli, starannie ważąc słowa.

–Panie prezydencie, mój kraj znalazł się na równi pochyłej. Przez minione dwadzieścia lat rodzinie panującej... mojej własnej... udało się wydać ponad sto bilionów dolarów z naszych rezerw finansowych. Przypuszczalnie zostało nam ich już tylko piętnaście bilionów, niedługo będzie dziesięć, a potem pięć. Dwadzieścia lat temu nasz naród otrzymywał hojny udział w naftowym bogactwie, jaki dostaliśmy od Alla-ha. Około trzydziestu tysięcy na głowę rocznie. Dziś ta suma wynosi zaledwie siedem tysięcy. Na więcej nas nie stać.

–Ale oczywiście... – wszedł mu w słowo prezydent -...nadal posiadacie dwadzieścia pięć procent światowych zasobów ropy...

Nasir się uśmiechnął.

–Naszym problemem, sir, nie jest zdobywanie bogactwa.

Powiedziałbym, że moglibyśmy zamknąć nowoczesną Arabię Saudyjską na cztery spusty, wrócić na pustynię i tam się dzieć sobie w namiotach, pozwalając naszym wielkim do chodom się akumulować, by wkrótce znów stać się jednym z najbogatszych krajów świata. Byłoby to jednak zdecydowanie niepraktyczne rozwiązanie. Nasz problem tkwi gdzie indziej: w hulaszczym trwonieniu pieniędzy przez rodzinę panującą, dziś już nieodwracalnie skorumpowaną. Lwia część

**tych sum idzie zaś na jej własne potrzeby. Tysiące książąt  
krwi są na utrzymaniu króla i pływają się w luksusie, jakiego  
na tej planecie nie widziano chyba od... no cóż, od czasów  
rządów dynastii Burbonów w pańskim kraju. Wypowiadałem  
się na ten temat dostatecznie często. Arabia Saudyjska jest**

jak Francja przed rewolucją. Panie prezydencie, zamierzam pójść w ślady waszych dzielnych rewolucjonistów i powtórzyć w moim kraju to, co oni uczynili tutaj... odebrać prawa szlachetnie urodzonym.

Wczesne lewicowe sympatie aktualnego prezydenta Francji były dobrze znane i udokumentowane. Do władzy piął się od podstaw, z urzędu komunistycznego mera małego miasteczka w Bretanii. W poprzednim wcieleniu pewnie szturmowałby bramy Bastylii w pierwszych szeregach rewolucjonistów. Książę Nasir wiedział, że użycie hasła „Burbonowie” wzbudzi natychmiastową sympatię do jego sprawy.

Francuz wzruszył ramionami i uniósł dłonie.

–Wiem, oczywiście, o niektórych trudnościach, jakie przeżywa Arabia Saudyjska... ale kładłem je głównie na karb waszych bliskich stosunków z Amerykanami.

–To również nasz poważny kłopot – odrzekł Nasir. – Mój naród chciałby się uwolnić od Wielkiego Szatana. Król ma jednak światowe ambicje i za jego panowania nie jest to możliwe... a ma dopiero czterdzieści osiem lat i jest mężczyzną w pełni sił witalnych. Jesteśmy tak silnie związani z niewiernymi... mimo że większość Saudyjczyków żarliwie pragnie, abyśmy znów mogli być bogobojnym ludem islamskim. Nie terrorystami, ale ludźmi religijnymi kierującymi się słowem proroka, a nie materialną chciwością i konsumpcjonizmem Ameryki. Powiadam panu, że gdyby Osama bin Laden nagle zjawił się w Rijadzie i stanął do wyborów prezydenckich, wygrałby wielką przewagą głosów.

Prezydent uśmiechnął się z zakłopotaniem.

–Wyobrażam sobie, że wielu saudyjskich książąt nie podziela pańskiego zdania. Nie sądzę, aby na przykład ten młody człowiek, który omal nie zatopił *Queen Mary 2*, sympatyzował z podobnymi poglądami...

–Z pewnością nie. – Książę zmarszczył brwi. – Był najlepszym dowodem bezmiernej korupcji, jaka ogarnęła mój kraj. Tysiące takich jak on wysysają z niego krew za sprawą swoich ekscesów. Jeśli tak będzie dalej, grozi nam, że staniemy się bezbożnym państwem Trzeciego Świata. To, co się dzisiaj dzieje w królewskich pałacach, przypomina upadek imperium rzymskiego!

–Albo brytyjskiego – dodał z uśmiechem prezydent. – Czy mogę zaproponować jeszcze trochę kawy?

Księżę nie znał dobrze francuskiego przywódcy, ale zawsze go lubił, cieszyła go więc sposobność nawiązania z nim bliższych kontaktów. Ruszyli obaj ku kredensowi Bonaparte-go, nieświadomie równając krok.

–Cóż, wasza wysokość... Przedstawił mi pan zaiste godny pożalowania stan rzeczy. I powiem, że się z panem zgadzam. Gdybym to ja był następcą tronu takiego kraju, ta sytuacja również by mnie wyjątkowo irytowała. Jednak dla świata zewnętrznego Arabia Saudyjska jawi się jako jedyna ostoja stabilizacji na wiecznie wrzącym Bliskim Wschodzie.

–To mogło być prawdą dwadzieścia lat temu, ale na pewno nie dzisiaj. Jestem głęboko przekonany, że ta zdegenerowana rodzina musi zostać odsunięta od władzy i pozbawiona bogactw, a jej rozwiązły styl życia musi zostać ukrócony. Niezwłocznie też należy obciąć wielkie wydatki na amerykański sprzęt wojskowy. Wszystko musi się zmienić, jeżeli mamy przetrwać jako dobrze prosperujący kraj, jak kiedyś. – Księżę wstał z fotela. – Proszę pamiętać, sir, że historia naszego państwa liczy zaledwie osiemdziesiąt lat. Obecnych politycznie czynnych członków tego rodu tylko jedno lub dwa pokolenia dzielą od ludzi, którzy żyli w namiotach z kozich skór i poddawali się rytmowi pustyni, wędrując od oazy do oazy i żywiąc się daktylami i wielbłądzim mlekiem...

–Chyba nie głosi pan powrotu do tamtych dni? – przerwał mu prezydent.

–Nie, sir, tego nie powiedziałem. Wiem jednak, że musimy częściowo powrócić do naszych beduińskich korzeni i praw ustanowionych przez proroka Mahometa. Nie chcę widzieć, jak nasi synowie trwonią miliony na zachodni luksus. Na Boga! Cóż ten chłopak Chalid robił wśród tych tanich kobiet, na jachcie godnym prezydenta, z umysłem zaćmionym alkoholem i narkotykami?

–Zapewne świetnie się bawił... Ale oczywiście rozumiem punkt widzenia waszej wysokości. To istotnie niestosowne, aby tysiące tych młodzików ograbiało każdego miesiąca skarb saudyjski kosztem całego narodu. Sądzę, że najprawdopo-

dobniej ma pan rację: coś trzeba z tym zrobić, i to wkrótce. W przeciwnym razie ludzie powstaną przeciwko królowi i może polać się krew... jak to się zdarzyło w osiemnastym wieku w Paryżu. Z tego, co tu usłyszałem, wynika, że byłoby to równie usprawiedliwione.

Nasir podniósł do ust filiżankę z sewrskiej porcelany.

–Problem w tym, że nasz król ma za sobą wielką potęgę. Płaci nie tylko wszystkie rachunki swojej rodziny... żaden z naszych młodych książąt nawet ich nie ogląda, wszystkie ich wydatki na całym świecie są pokrywane prosto z państwowej kasy... ale także pensje armii, lotnictwa, marynarki wojennej i sił bezpieczeństwa. Osobiście. Wojsko jest lojalne tylko wobec niego.

–Jak liczna jest obecnie armia saudyjska?

–To prawie dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi. Dziewięć brygad: trzy pancerne, pięć zmechanizowanych i jedna powietrz-nodesantowa. Wspiera je pięć batalionów artylerii i samodzielny pułk gwardii królewskiej złożony z trzech batalionów lekkiej piechoty. Wojska pancerne dysponują niespełna trzema setkami nowoczesnych amerykańskich czołgów M1A2 Abrams. Jedna z brygad jest jednak wyposażona wyłącznie w sprzęt francuski.

Prezydent poważnie skinął głową, choć na tych sprawach znał się niespecjalnie.

–A marynarka?

–To najmniejsza z naszych służb. Mamy raptem kilka korwet i fregat rakietowych, te ostatnie, jak panu wiadomo, również zakupione we Francji. Jednak naszym największym atutem są siły powietrzne. Posiadamy dwieście samolotów bojowych, które obsługuje osiemnastotysięczny personel, rozlokowany w czterech głównych bazach. Ich głównym zadaniem jest ochrona naszych instalacji naftowych.

–Hmm... Powiedziałbym, że to dostateczna siła, aby stłumić każdą rewolucję. Gdyby nasi Burbonowie dysponowali choć częścią tej potęgi, do dzisiaj byłiby u władzy.

Nasir mimo woli się roześmiał. Upił łyk kawy i rzekł:

–Sir, piętą achillesową saudyjskiego monarchy nie jest

zdolność bojowa jego armii, ale jego zdolność do wypłacania

jej poborów.

–Przecież ma na to pieniądze? Czerpie ich co miesiąc dostatecznie dużo ze złóż naftowych.

–Tak, ale gdyby zabrakło mu tych pieniędzy? – spytał ksiązę.

–Chce pan powiedzieć: gdyby ktoś odebrał mu ropę? – upewnił się prezydent. – To brzmi raczej nieprawdopodobnie w kontekście tych brygad pancernych i eskadr lotniczych.

–Nie, sir. Pytanie jest inne: co by było, gdyby ropa zniknęła z równania? Gdyby po prostu przestała płynąć i król nie miałby z czego płacić żołnierzom? Co wtedy?

–To znaczy, gdyby ktoś zniszczył saudyjski przemysł wydobywczy?

–Tylko chwilowo – odrzekł ksiązę. – Tylko na moment. Proszę mi pozwolić wyjaśnić.

Oszołomiony tym, co usłyszał, prezydent na chwilę się wyłączył. Kędy znów dotarł do niego głos gościa, wydawało mu się, że dobiega doń gdzieś z daleka.

–...terminale nad Morzem Czerwonym należy zaatakować i zniszczyć. Innym zasadniczym celem musi być Abu

Safa, największe pole naftowe świata, dwieście pięćdziesiąt

kilometrów na północ od Dammamu. Jego zasoby wynoszą

trzydzieści bilionów baryłek... co przy wydobyciu rzędu pół

miliona dziennie wystarczy na ponad półtora wieku. Naj

większym portem naftowym w Zatoce Arabskiej... – Żaden

Arab nie powie: Perskiej. – ...jest Ras Tannura, o zdolności

przeładunkowej cztery miliony trzysta tysięcy baryłek dzien

nie. Główne nabrzeże to sztuczna wyspa, na której platforma

numer cztery pompuje na zbiornikowce z całego świata po

łowę tej ilości. Atak na tę instalację praktycznie zamknął

by Ras Tannurę, zwłaszcza jeśli jednocześnie zniszczono

by rurociąg z Abkaik. Ostatnie, decydujące uderzenie musi

nastąpić nieco dalej na północ, w Ras al-Dzuajma. To głów

ny terminal eksportowy skroplonego propanu, o identycznej



**zdolności przeładunkowej. Gdyby przestał istnieć... – Księżę  
uśmiechnął się z przekąsem. – Japonia musiałaby przejść na  
dietę złożoną wyłącznie z sushi i popijać je zimną sake. Oba  
te porty wraz z terminalami Morza Czerwonego obsługują  
rocznie cztery tysiące wielkich zbiornikowców. Nie zdziwi  
pana zapewne wiadomość, że Aramco... Arabian American**

**Oil Company, od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku w stu procentach własność saudyjskiego rządu... jest dziś największym koncernem naftowym na świecie. Może produkować do dziesięciu milionów baryłek ropy dziennie, choć od 2000 roku pompuje znacznie mniej. Pod naszymi pustyniami, jak pan zauważył, spoczywa dwadzieścia sześć procent światowych złóż tego surowca, co przy obecnym tempie wydobycia powinno starczyć na sto trzydzieści lat. Jedynym właścicielem Aramco, do ostatniej kropli ropy, jest dom królewski al-Saudów...**

**Prezydent słuchał z rosnącą ekscytacją. To, co książę sugerował, było grą zuchwałą i ogromnie ryzykowną, ale z pewnością wartą świeczki. Potrzeba było tylko kogoś, kto by pchnął tę operację na właściwy tor i zajął się sprawami praktycznymi. Dobrze wiedział, gdzie takiej osoby szukać.**

**Czwartek, 7 maja, godz. 5.00. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Quai d'Orsay, Paryż**

**Pierre St. Martin, minister spraw zagranicznych Francji i potencjalny kandydat na prezydenta, stał pod dużym portretem Napoleona zawieszonym na sztalugach w lewym rogu jego luksusowo urządzonego gabinetu. Miał przed sobą Gasto-na Savary'ego, wysokiego i ponurego szefa francuskich służb wywiadu i kontrwywiadu – Direction Generale de la Securite Exterieur, DGSE, spadkobierców dawnego kontrwywiadu o zasłużonej międzynarodowej renomie SDECE, organizacji, z którą należy się liczyć.**

**Dwaj mężczyźni nigdy przedtem się nie spotkali. Elegancki i wyrafinowany St. Martin, szczerze mówiąc, był zdumiony wezwaniem do ministerstwa o tak niewiarygodnej porze tylko po to, najwyraźniej, żeby odbyć konwersację z tym... tym szpiegiem z *La Piscine* - człowiekiem należącym do gatunku nazywanego przez patrycjuszowskie kręgi polityków „smutnymi panami w trenczach”.**

***La Piscine* - tak wśród funkcjonariuszy rządowych nazywano szary dosłownie i w przenośni dziesięciopiętrowy gmach siedziby DGSE w Caserne des Tourelles, przy boule-**

**vard Mortier 128, w pobliżu dużego publicznego basenu pływackiego w dzielnicy 20. Nie można było znaleźć się dalej na zachód od centrum i wciąż jeszcze pozostawać w granicach Miasta Światła. Dzielnica zdecydowanie nie należała do tych, w których można by się spodziewać spotkać dżentelmena w rodzaju ministra spraw zagranicznych; ów arbiter elegantiarum nigdy jeszcze nie był w *La Piscine* i tego stanu rzeczy zmieniać nie zamierzał.**

**Niemniej tego bladego poranka obaj panowie zostali wezwani na Quai d'Orsay przez samego prezydenta, którego przybycia spodziewali się teraz lada chwila. St. Martin, który tę noc spędził w apartamencie aktorki powszechnie uznawanej za najpiękniejszą kobietę we Francji,**

był o niebo bardziej poirytowany tym zakłóceniem jego życia niż Savary. Obydwaj byli w zbliżonym wieku – około pięćdziesiątki – ale szef kontrwywiadu wychował się i zjadł zęby w tajnych służbach. Dla niego telefon w środku nocy był sprawą rutynową; niezależnie od godziny w mig był na nogach i gotów do działania. Przez ostatnie dziesięć lat odpowiadał za planowanie „czarnych” operacji z ramienia francuskiego rządu, z wykorzystaniem zarówno cywilnych agentów, jak i wojskowych sił specjalnych. Mocno zbudowany, fizycznie sprawny i z natury posępny Savary sam brał udział w różnych tego typu akcjach. Nigdy by się do tego oczywiście nie przyznał, ale chodziły słuchy, że należał do grupy uderzeniowej, która w lipcu 1985 roku zatopiła w nowozelandzkim porcie Auckland należący do organizacji Greenpeace jacht *Rainbow Warrior*. Czyi Francja mogła pozwolić na wtrącanie się ekologów w sprawy jej testów nuklearnych na Pacyfiku? Dla Gastona Savary'ego odpowiedź mogła być tylko jedna: *Jamais*

–Może zdejmie pan płaszcz? – zaproponował St. Martin. – Skoro wkrótce mamy się znaleźć w towarzystwie prezydenta republiki?

Savary bez słowa rozpiął prochowiec i przerzucił go przez oparcie bezcennego krzesła z epoki Ludwika XV. Minister przez chwilę stał oszołomiony tym bluźnierczym postępkim, po czym nacisnął guzik dzwonka, by wezwać kamerdynera i zamówić kawę, ale przede wszystkim chciał się pozbyć wierzchniego odzienia tego... jak mu tam, szpiega. Zawsze

żywił lekko tylko skrywany podziw dla Burbonów, a szczególnie ich gustu w doborze mebli.

–Zapewne i pan nie ma najmniejszego pojęcia, o co tu może chodzić? – zapytał.

–Zielonego – odrzekł szef wywiadu. – Zadzwonili do mnie z Pałacu Elizejskiego i powiedzieli tylko, że prezydent chce się ze mną widzieć w pańskim biurze kwadrans po piątej, no to jestem, *n'est ce pas?*

–Ze mną było dokładnie tak samo. Moja komórka zadzwoniła o pierwszej trzydzieści. Bóg wie, co się za tym kryje.

–Może *monsieur le President* zamierza wypowiedzieć komuś wojnę?

–Taka możliwość zawsze istnieje.

Savary uśmiechnął się po raz pierwszy, ale akurat w tej chwili wniesiono kawę i nakrycia dla trzech osób. Minister polecił kamerdynerowi nalać do dwóch filiżanek, zanim dyskretnie dał mu znak, by powiesił prochowiec gościa w szafie w holu. W kilka sekund później zadzwieczał telefon na biurku. Prezydencka limuzyna właśnie stanęła przed drzwiami budynku. St. Martin sam napełnił trzecią filiżankę.

Po następnych trzech minutach przeżył kolejne tego dnia zaskoczenie. Prezydent przyjechał zupełnie sam, bez sekretarza, bez żadnych asystentów. Sam zamknął za sobą drzwi gabinetu i nie tracąc czasu na powitania, powiedział:

–Pierre, Gaston, dziękuję za przybycie o tak wczesnej po

rze. – Zwracając się do ministra, dodał: – Mógłbyś dopilno

wać, aby nasza rozmowa odbyła się w absolutnej tajemnicy?

Może postawiłbyś wartownika w holu?

St. Martin wypowiedział kilka krótkich zdań do telefonu, podał prezydentowi kawę i gestem poprosił o zajęcie miejsc: prezydentowi wskazał pięknej roboty krzesło salonowe z oparciem, Savary'emu dostał się ludwik, na którym przed chwilą wisiał jego płaszcz. Minister zasiadł za swoim biurkiem.

–Panowie, przed mniej więcej dwiema godzinami moją

rezydencję opuścił jeden z najważniejszych członków saudyj

skiego domu królewskiego – zaczął prezydent. – Nasz samo

**lot wojskowy odwozi go do Damaszku, skąd powróci do Rijadu**

**własnym odrzutowcem. Jego wizyta miała charakter ściśle**

**prywatny i tak poufny, że nawet najwyższej rangi funkcjo-**

nariusze ambasady saudyjskiej o niej nie wiedzieli. Przyleciał nie tylko po to, by mnie poinformować, że finansowe ekscesy rodziny panującej wkrótce postawią jego kraj na skraju bankructwa, ale także by mi przedstawić możliwe rozwiązanie tego problemu. Rozwiązanie, które przyniosłoby ogromną korzyść jemu samemu... i, co tu dużo mówić, także Francji.

St. Martin szybko wtrącił:

–Jego inspiracją był bez wątpienia niedawny wyczyn tego księcia, który staranował *Queen Mary 2*?

–Tak sędzę – przyznał prezydent. – Jednakże problem trzydziestu pięciu tysięcy jego krewnych, z których każdy miesięcznie wydaje średnio milion dolarów na życie w stylu playboya, od kilku lat był solą w oku reformatorskiej frakcji w rządzie saudyjskim. Mój dzisiejszy gość twierdzi, że nadeszła pora, by położyć temu kres.

–Zapewne wspomniał też o tym, że króla chroni bezgranicznie lojalna armia? – odezwał się Savary. – Jeśli więc dobrze rozumiem pana tok myślenia, panie prezydencie, to jego obalenie nie wchodzi w grę.

–Istotnie, Gastonie. Nie tylko wspomniał o tym, ale zrobił to dość szczegółowo. Zaznaczył też, że jedyną osobą w królestwie, która może tę lojalność armii opłacać, jest król, wyłączny odbiorca wszystkich przychodów ze sprzedaży ropy naftowej.

–A zatem siły zbrojne raczej się przeciwko niemu nie obrócą – stwierdził Savary.

–Jest to bardzo mało prawdopodobne. Chyba że z jakiegoś powodu te dochody przestałyby wpływać...

–1 król nie mógłby już im płacić, czy tak? – dokończył Savary.

–To właśnie miałem na myśli.

–Panie prezydencie, nie wątpię, że pan tak samo jak ja ma świadomość, że saudyjskie pola naftowe są chronione przez całą potęgę armii – kontynuował szef wywiadu. – Są praktycznie nie do zdobycia... czemu się trudno dziwić, skoro są jedyną podstawą utrzymania dla kraju i wszystkich jego obywateli, od króla po najuboższego poddanego.

–No, do tego punktu jeszcze nie doszedłem, Gastonie. Ale

chciałbym przekazać wam w ogólnym zarysie, z jaką propozycją przybył do mnie książę.

**–Ja się już dawno zamieniłem w słuch, panie prezyden**

**cie – rzekł St. Martin.**

**–1 bardzo dobrze, gdyż to, co za chwilę usłyszycie, może mieć niezmiernie znaczenie dla naszego kraju. Jego wysokość książę Nasir proponuje nam taką rzecz: ktoś zaatakuje pola naftowe, zniszczy główną stację pomp i trzy lub cztery największe terminale przeladunkowe nad Morzem Czerwonym i nad Zatoką Perską. Dwa dni później, gdy saudyjska gospodarka praktycznie zostanie unieruchomiona, niewielka, dobrze wyszkolona siła uderzy na główną bazę wojskową przy granicy z Jemenem, a korzystając z zamieszania, drugi podobny oddział zajmie Rijad, zburzy kilka pałaców, opanuje stacje radiową i telewizyjną i wyniśnie księcia-następcę tronu do władzy. Wówczas przemówi on do narodu, ogłosi, że przejął kontrolę nad krajem... i skorumpowany reżim obecnego króla przestanie istnieć.**

**–Sugeruje pan, że mielibyśmy wziąć w tym jakiś**

**udział? – zapytał z niedowierzaniem minister spraw zagra**

**nicznych.**

**Prezydent się wyprostował.**

**–Absolutnie nie. Sugeruję tylko, żebyśmy się zastanowili, czy taki plan ma szanse powodzenia.**

**–A jeśli ten pucz zostałby przeprowadzony z naszą pomocą i książę zasiadłby na tronie saudyjskim, jaką mielibyśmy z tego korzyść? – Savary uniósł brwi.**

**–Nam, jako jego najlepszym przyjaciółom i najbliższym sojusznikom, jak również zaprzysięgłym oponentom ambicji Stanów Zjednoczonych, przyznane zostałyby wszystkie co do jednego kontrakty na odbudowę instalacji naftowych, a także wyłączność na pośredniczenie w dystrybucji całego wydobycia saudyjskiej ropy naftowej na następne sto lat. To by zaś oznaczało, że w praktyce uzyskalibyśmy kontrolę nad jej światowymi cenami.**

**–Jak dużo czasu zajęłaby odbudowa instalacji?**

**–Dwa lata, być może mniej.**

**–A co z armią i lotnictwem?**

**–A co miałyby być? – Prezydent wzruszył ramionami. –**

Nie będą mieli wyjścia, jak tylko zmienić pana i przejść na służbę nowego króla. W końcu nie mogą służyć martwemu, *n'est ce pas?* Tylko panujący władca może zapewnić im żołąd i utrzymanie, choć na pewno przez kilka miesięcy będzie z tym kruczo, dopóki ropa nie zacznie znów płynąć, najprawdopodobniej przez terminale Zatoki Perskiej.

–Doprawdy uważa pan, że można tego dokonać, panie prezydencie? – spytał Savary. – To znaczy, w aspekcie militarnym?

–Nie mam pojęcia. Ale księżę Nasir ma. I twierdzi, że jeżeli to nie nastąpi, Arabia Saudyjska jest skazana na zagładę.

–Na czym zamierza oprzeć swoją kampanię? – spytał St. Martin.

–Umówmy się, że chyba *nie* będzie musiał prowadzić żadnej, prawda? Na pewno nie wtedy, gdy po prostu przechwyci władzę. Zacznie jednak od zniesienia ogromnych stypendiów dla książąt. Oszczędzi to skarbowi państwa może nawet dwieście pięćdziesiąt miliardów dolarów rocznie. Będzie także orędowną za natychmiastowym powrotem do czystego islamu wedle zasad wahhabizmu. Wiecie... ściśle reguły modłów, zero alkoholu, przestrzeganie litery Koranu i nauk proroka. Koniec z przymilaniem się do amerykańskich polityków. Kraj ma wrócić do swych beduińskich korzeni i dawnego stylu życia. Będą podążać za zewem pustyni, wychowywać dzieci w starych tradycjach, jak księżę Nasir wychował swoje. Nie będzie też więcej żadnego finansowania terroryzmu, zniknie także potrzeba wypłacania potężnych haraczy różnym grupom, które w przeciwnym razie groziły zaatakowaniem Arabii. Mam oczywiście na myśli setki milionów dolarów przekazywane Al-Kaidzie. Kiedy Nasir przetnie więzi łączące kraj ze Stanami Zjednoczonymi, nie będzie już zagrożenia ze strony fundamentalistów. Oczywiście należy się też spodziewać znacznie większego niż dotychczas wsparcia dla Palestyny.

–Ależ to wszystko musi spowodować panikę na światowych rynkach ropy! – wykrzyknął minister. – Kompletny chaos!

–Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nas to jednak nie dotknie, wycofamy się bowiem z wszystkich kontraktów



**z Saudyjczykami na długo przedtem, zanim cokolwiek się zacznie dziać. Podpiszemy nowe dwuletnie umowy z innymi producentami bliskowschodnimi, pokrywające całe nasze zapotrzebowanie na paliwa płynne i gaz. W ten sposób zapewnimy sobie nieprzerwany dopływ surowca na czas odbudowy przemysłu saudyjskiego, a potem zawrzemy z nimi nowe, korzystniejsze kontrakty.**

**–Jak to się jednak odbije na światowej podaży? Podobna sytuacja może doprowadzić Japonię do bankructwa i okaleczyć nawet gospodarkę amerykańską. Nasi europejscy partnerzy też ucierpią. Benzyna może podskoczyć do stu pięćdziesięciu dolarów za baryłkę! – St. Martin był coraz bardziej zdenerwowany.**

**–Zgadzam się z tą opinią, panie ministrze – odparł prezydent. – Jeżeli jednak książę Nasir się nie myli, wszystko to stanie się i tak, kiedy ludność saudyjska powstanie przeciwko swemu królowi. A jeśli chodzi o niebotyczny skok cen ropy naftowej... cóż... czy możecie sobie wyobrazić korzystniejsze położenie dla państwa, które będzie miało pod kontrolą dystrybucję całej saudyjskiej ropy?**

**–Ale, panie prezydencie...- zaprotestował minister. – Tamtejsze pola naftowe są jedynym stabilizatorem ogólnoswiatowego rynku. Proszę sobie przypomnieć, jak uratowały sytuację w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, zwiększając dzienne wydobycie o miliony baryłek, a potem znowu po jedenastym wrześniu? Ceny wzrosły wtedy najwyżej o franka. Arabia Saudyjska to światowy rynek, koło ratunkowe globalnej ekonomii... jedyny kraj, który może w każdej chwili dostarczyć dodatkowy zastrzyk surowca. Jakie są jej rezerwy? Dwa do trzech milionów baryłek na dobę, kiedy tylko zajdzie potrzeba? Wyobraża pan sobie reakcję Stanów Zjednoczonych, gdyby ktokolwiek kiedyś wpadł na trop naszego zaangażowania?**

**–A jeśli nikt tego nigdy nie odkryje? – odparł prezy**

**dent. – Jeśli nikt się o tym nigdy nie dowie? Jeżeli będzie to**

**wyglądało na czysto arabski konflikt wewnętrzny, przewrót**

**wojskowy, bunt przeciwko skorumpowanemu przywództwu?**

**Na zbrojne powstanie, które nieszczęśliwym trafem ogarnie**

**pola naftowe?**

–Panie prezydencie, czy uważa pan, że możliwe jest zachowanie tak brzemiennego w skutki posunięcia Francji w tajemnicy?

–Takiej pewności mieć nie możemy. Jednakowoż siedziemy we trójkę w tym gabinecie o tak nieziemskiej godzinie, ponieważ zwrócił się do nas o pomoc wysokiej rangi przedstawiciel jednego z naszych najpoważniejszych partnerów handlowych... partnera, dodajmy, który będzie się czuł zobowiązany kupować w przyszłości cały swój sprzęt wojskowy od Francji... samoloty, okręty, broń, amunicję, wszystko warte grube biliony. Dlatego, panowie, proszę was, abyście sprawdzili, co możemy zrobić, jak dyskretnie i czy da się po zostawać wystarczająco daleko na uboczu, by nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń... jak by to ująć... o jakiegokolwiek moralnie wątpliwe działanie. A na razie tej rozmowy wcale nie było. Jesteście jedynymi poza mną osobami w całym kraju, które cokolwiek wiedzą o wizycie księcia i o przedłożonych przez niego propozycjach. Mam nadzieję, że dacie mi znać, kiedy uporządkujecie już myśli.

Po tych słowach człowiek, który uważał się za najbardziej wpływową postać w Unii Europejskiej, wstał z krzesła, odstawił filiżankę na tacę i ruszył ku drzwiom.

Ani St. Martin, ani Savary nie ochłonęli dostatecznie szybko, by pomyśleć o ich otwarciu przed prezydentem. Francuski minister spraw zagranicznych i szef służb wywiadowczych byli w szoku. Stali, patrząc z otwartymi ustami za odchodzącym, oszołomieni ogromem postawionego przed nimi zadania.

–*Sacre merdel* - zdołał tylko wyszeptać Pierre St. Mar

tin.

Sobota rano, 9 maja. Paryż

Gaston Savary przeciskał się swym czarnym służbowym citroenem przez zatłoczone w porannym szczycie ulice, jadąc na najdalsze północno-zachodnie przedmieścia. Większość samochodów zmierzała wprawdzie do centrum, ale w sumie ruch był szalony, a autobusy, furgony i ciężarówki wlokły

34

się jak zwykle w długich kolejkach skierowanych także poza miasto. Każdego roboczego dnia trzy i pół miliona ludzi walczyło ze sobą i z czasem, by dostać się do Paryża lub z niego wyjechać.

Dotarł w końcu do Taverny i wkrótce skręcał w podjazd prowadzący do bramy i wartowni przed wejściem do jednego z najściślej strzeżonych miejsc w Europie – kwatery głównej Commandement des Operations Speciales (COS), połączonego dowództwa operacji specjalnych trzech rodzajów wojsk: armii, marynarki i lotnictwa. Jako szef cywilnych tajnych służb Savary bywał tu na tyle częstym gościem, że dwaj wartownicy potraktowali go tylko krótkim *Bonjour*, bez zbędnych ceregieli wpuszczając go na teren obiektu. Za bramą czekał już ich kolega, który dosiadł się jako eskorta na przednie siedzenie citroena.

Pojechali dalej, w stronę biur 1. morsko-spadochronowego pułku piechoty, elitarniej jednostki komandosów, odpowiednika brytyjskiej SAS i amerykańskich SEALs czy rangerów. Francuscy specjaliści od czarnych, to jest prowadzonych skrycie i nie zawsze zgodnie z prawem, operacji wojskowych potajemnie szkolili też personel innych krajów, a czasem nawet wspierali je w boju, jeśli taka była polityczna potrzeba chwili, jak to się zdarzyło w 2008 roku w zachodniej Afryce. Pułk miał własną służbę wywiadowczą, a w ostatnich latach brał czynny udział w większości działań antyterrorystycznych, jakie przedsięwzięła Francja. W jego skład wchodziły dwie eskadry szturmowych śmigłowców.

Savary polecił eskortującemu go młodemu porucznikowi wojsk lądowych zaparkować samochód, sam zaś wysiadł przed głównym wejściem, gdzie inny oficer przywitał go i niezwłocznie zaprowadził do głównodowodzącego COS, generała Michela Joberta.

Znali się od lat, niemniej Savary wręczył generałowi list potwierdzony przez ministerstwo spraw zagranicznych, polecający mu bezwarunkowo i z zachowaniem ścisłej poufności współpracować z okazicielem i zbadać przedstawiony przez niego problem, zanim wspólnie dojdą do jednego z dwóch wniosków: możliwe albo niemożliwe. I tak oto dwaj najwyżsi szefowie tajnych służb Francji zabrali się do studiowania

wykonalności projektu dla potrzeb ich rządu, a w pewnym sensie także na rzecz księcia Nasira Ibn Mohammeda al-Sauda.

Przez dobry kwadrans gęste, ciemne brwi generała Joberta rzadko kiedy wracały na swoje miejsce. Skala proponowanej operacji po prostu go oszołomiła. Savary naliczył kilkanaście cichych *Mon Dieul* Zadanie było jednak wystarczająco realne do wykonania. Prezydent chciał wiedzieć, czy zdaniem profesjonalistów możliwe jest unieruchomienie saudyjskiego przemysłu naftowego na dwa lata środkami militarnymi oraz czy w kilka dni od ataku udałoby się pokonać ewentualny opór armii i opanować stolicę kraju, a wszystko to bez śladu widocznego zaangażowania Francji.

Pierwsze trzy punkty – atak na instalacje, złamanie sił wiernych królowi i zajęcie Rijadu – wydawały się możliwe do urzeczywistnienia. Według wyważonej opinii generała, po załamaniu się gospodarki i budżetu państwa armia mogłaby stracić ochotę na walkę z kimkolwiek. Problem przedstawiał punkt czwarty: czy Francja potrafi wszystko to umożliwić, zachowując pełną anonimowość własnego udziału.

Po dłuższym zastanowieniu Jobert odpowiedział sobie na to pytanie zdecydowanie przecząco. Takiego samego zdania był Gaston Savary. Oznaczało to, że jeśli prezydent przyjmie ich radę, będzie musiał odrzucić ofertę saudyjskiego następcy tronu i Francja nie przejmie wyłączności na zaopatrywanie naftowego mocarstwa w broń oraz dystrybucję całej eksportowanej przez nie ropy. To jedno *Non* byłoby w konsekwencji równoznaczne ze zmarnowaniem sposobności do zarobienia dla wiecznie napiętego budżetu republiki kilkuset bilionów dolarów. Taki scenariusz nie rokował dobrego przyjęcia przez prezydenta kraju, który od lat znany był z kierowania się wyłącznie własnym interesem.

Generał, dla którego spotkanie z Gastonem Savarym było tak samo zaskakujące jak dla szefa wywiadu wezwanie na rozmowę z głową państwa, raz jeszcze przeczytał drugą stronę listu od Pierre'a St. Martina. Minister wymieniał tam, co według księcia Nasira byłoby konieczne do załamania systemu wydobycia i eksportu ropy. Celem priorytetowym było

zniszczenie największego na świecie kompleksu przetwórczego w Abkaik, położonego o czterdzieści kilometrów od brzegów zatoki Bahrajn. Trafiała tam cała ropa z południa Arabii Saudyjskiej, zwłaszcza zaś z Ghawar, najobfitszego złoża na świecie, leżącego o dalsze kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód w głąb lądu. Pod ruchomymi wydymami zalega tam około siedemdziesięciu bilionów baryłek surowca.

Niedaleko Abkaik znajduje się stacja pomp nr 1, dziennie przesyłająca w poprzek całego Półwyspu Arabskiego i przez góry Hidżazu niecały milion baryłek do odległego o ponad tysiąc sto kilometrów czerwonomorskiego portu naftowego Janbu al-Bahr. Gdyby ta stacja stanęła, tamtejsze wielkie terminale, jak i te w leżącym o sto pięćdziesiąt kilometrów na południe Rabigh straciłyby rację bytu. To samo dotyczyło wielkich rafinerii tego regionu, w tym ogromnych zakładów w Dżeddzie i Medynie.

General przeczytał dalej. Wyraz jego twarzy zmieniał się co chwila, kiedy chłonał przedstawiony prezydentowi przez Na-sira scenariusz działań.

–1 chcecie, żebym ja to wszystko rozpieprzył? – spytał zdumiony, skończywszy lekturę. – To z dziesięć odrębnych celów. Już z trzema mielibyśmy kłopot. Pewnie dałoby się wysłać tam trzy zespoły, ale potrzebowałyby wsparcia, a niezbędne materiały wybuchowe ważyłyby Bóg wie ile. Potrzebowalibyśmy czterdziestu ludzi w każdym oddziale. Ale dziesięć celów? *Mon Dieul*! Według mnie to niemożliwe. Mielibyśmy lepsze szanse, gdybyśmy je po prostu zbombardowali.

–A to oczywiście nie wchodzi w grę – odparł Savary. – Nie zapominaj, że głównym wymogiem prezydenta jest zachowanie wszystkiego w tajemnicy. Jeśli pošlemy tam eskadrę bombowców, poznają ich narodowość w dziesięć minut. Oni tam mają sporo bardzo nowoczesnego amerykańskiego sprzętu elektronicznego rozpoznania.

Obaj mężczyźni przetrawiali w myślach jawne nieprawdopodobieństwo sukcesu takiej operacji. Jej jądrem taktycznym była seria dziesięciu błyskawicznych, druzgocących ataków na największą sieć instalacji wydobywczych i przesyłowych na całym Bliskim Wschodzie. Z militarne punktu widzenia generał Jobert uważał to za niemożliwe do wykonania – w każdym

razie bez przyłapania agresorów na gorącym uczynku – zarówno z powietrza, jak i drogą lądową.

Wstał z miejsca i zaczął chodzić po gabinecie. Był niewysokim, ale postawnym mężczyzną o sylwetce boksera wagi średniej, z gęstymi, kręconymi włosami i śniadą cerą, zdradzającą, że gdzieś wśród gałęzi drzewa rodzowego mógł się czaić przodek z północnej Afryki. Fizycznie był przeciwieństwem szczupłego, bladego, mierzącego sto osiemdziesiąt osiem centymetrów Gastona Savary'ego, którego posępna mina kryła ironiczne, zaprawione sarkazmem poczucie humoru. Tego ranka jednak myśli ich obu biegły tym samym torem: odrzucenie sugestii prezydenta nie było dobrym pomysłem. Dla żadnego z nich.

General zastanawiał się dalej. Atak z lądu? Wykluczone. Z powietrza? *Non, absolument non.* I nagle czoło mu się na chwilę wygładziło. A gdyby tak z morza?

Gaston Savary poderwał zwieszoną w zamyśleniu głowę.

–Płetwonurkowie dowiezieni okrętem podwodnym i miny magnetyczne? – spytał.

–Właśnie!

–Michel, kiedy ostatnio sprawdzałeś głębokość tamtejszych akwenów? Na przykład wokół Abkaik, które leży nie tylko w centrum całej operacji, ale i na środku pustyni?

Savary uwielbiał pytania retoryczne. General jednak tylko się uśmiechnął, jak szachista na jeden ruch przed matem.

–Jako cywil oczywiście nie pojmujesz do końca, jak pracuje umysł wojskowego. Słyszałeś jednak pewnie o raketach cruise. Dzisiejsze są bardzo skuteczne, nadlatują jakby znikąd i precyzyjnie trafiają w cel.

–Przy obecnych systemach wykrywania nic nie nadlatuje znikąd – skontrolował szef wywiadu. – Zawsze znajdzie się jakiś obserwator.

–To prawda. Ale szanse wykrycia rakiety wystrzelonej z okrętu podwodnego w zanurzeniu są znikome. Mówię o pocisku zaprogramowanym do lotu nad morzem i nad bezludną pustynią. Zapewniam cię, że nikt go nie zauważy. Zbyt duży element zaskoczenia.

Savary potrafił rozpoznać ważną informację. Pomyślał przez chwilę, kiwając głową, po czym spytał:

–Naprawdę uważasz, że moglibyśmy wprowadzić okręt podwodny na Zatokę Perską bez

**niczyjej wiedzy, a potem ostrzelać wybrzeża Arabii Saudyjskiej i nadal unikać wykrycia?**

**–Wszyscy się domyśla, że ktoś musi być winien, kiedy terminale przeładunkowe, rurociągi i rafinerie zaczną wylatywać w powietrze, ale nigdy nie dojdą, kto i jakim sposobem tego dokonał.**

**–A co z przeciwnym wybrzeżem? – Savary nie ustępował. – Na Morze Czerwone nie da się nawet wpłynąć bez wynurzenia się na powierzchnię.**

**–Oczywiście, jeżeli trasa wiodłaby przez Kanał Sueski. – Jobert wzruszył ramionami. – Przejście okrętu podwodnego nie uszłoby niczyjej uwagi, ale też nie byłoby żadną sensacją, a dalej można płynąć pod wodą. Wyjścia na południu przez cieśninę Bab el-Mandeb nikt by już nie zarejestrował. Taki rejs francuskiego podwodniaka nie byłby niczym niezwykłym. Czerwone jest miejscami nawet bardzo głębokie.**

**–Poza tym mielibyśmy alibi – dodał Savary. – Z Saudyjczykami pozostajemy w wielkiej przyjaźni. No i czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciałby wysadzić w powietrze system naftowy, utrzymujący w ruchu nie tylko nas, ale cały cywilizowany świat? Nikt by nas nie podejrzewał.**

**–Nie mam najmniejszych wątpliwości, że prezydent bardzo starannie to rozważył, zanim zlecił nam to zadanie.**

**–Myślisz, że całą sprawę da się załatwić za pomocą samych tylko rakiet cruise?**

**Jobert zmarszczył brwi.**

**–Pewności nie mam, ale instynkt mi podpowiada, że nie.**

**Niewątpliwie można tak zniszczyć rafinerie i stację pomp, gdzie centymetrowa dokładność nie jest wymagana. Terminale przeładunkowe i instalacje na sztucznych wyspach to jednak co innego. Tam trzeba uderzyć z chirurgiczną precyzją. Na rakiecie nie można aż tak polegać. Ich celność wynosi do dziesięciu metrów, ale to za dużo, gdy trzeba trafić w pokład platformy wiertniczej. Na dodatek w razie chybiecia celu ktoś z personelu może zauważyć przelatującą rakieta. Nie, lepiej zaatakować spod wody.**

**Gaston Savary pomyślał, że nie bez kozery Joberta mia-**



nowano generałem i postawiono na czele francuskich sił specjalnych.

–A zatem, generale – powiedział – chyba się zgadzamy, że to bardzo interesujący plan. Jeżeli się powiedzie, nowy król Arabii będzie winien Francji wszystko. Z pewnością mielibyśmy nad nim wielką władzę, bo przecież nigdy nie będzie mógł się przyznać, że to on był pomysłodawcą zniszczenia najważniejszej gałęzi gospodarki swojego kraju.

–Na pewno – zgodził się Jobert. – A francuskim firmom dostałyby się wszystkie kontrakty na jej odbudowę, tak samo jak amerykańskim po ostatniej wojnie w Iraku.

–Nie mówiąc już o astronomicznych zyskach dla naszego przemysłu naftowego. Tylko sobie wyobraź: wyłączność na saudyjską ropę? *Mon Dieu!* To byłoby coś, hę?

–Nie zdziwiłbym się też, gdyby doprowadziło to nas obu do długiej i luksusowej emerytury – ciągnął generał. – Ale na razie nie podniecajmy się zanadto. Chciałbym ściągnąć tu na pół godzinki admirała Piresa.

–Nie przypominam go sobie.

–To szef COMFUSCO.

–Sił specjalnych marynarki?

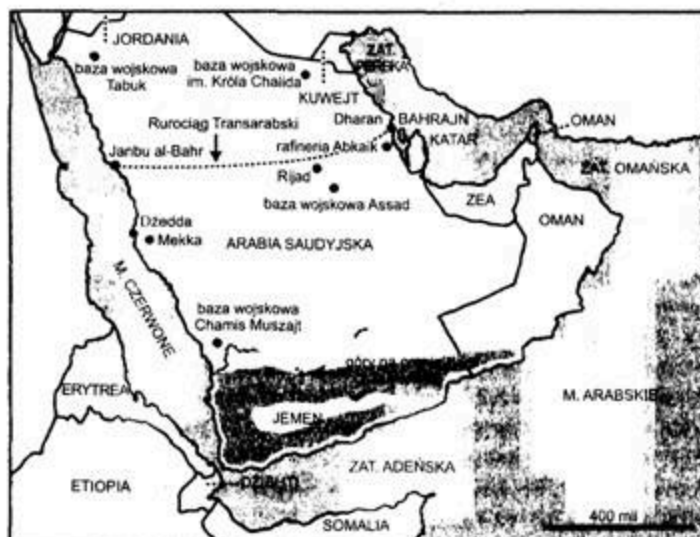
–Tak jest. Służył też jednak we flocie podwodnej, a teraz dowodzi wszystkimi jednostkami morskich komandosów, oddziałem pływaczów Commando Hubert i morską grupą antyterrorystyczną.

–To obejmuje wszystkie możliwe akcje od strony morza?

–Jak najbardziej. Zwiad, ataki na okręty, desanty, akcje małych łodzi, akcje ratunkowe i poszukiwawcze.

W drzwiach ukazała się głowa młodego porucznika, który zameldował, że admirał Pires przybędzie za dziesięć minut.

Savary prywatnie był zdania, że cała ta historia jest niezobowiązującym do niczego produktem przyływu zwyczajnej ambicji i najprawdopodobniej wkrótce wszyscy o niej zapomną. Jako ktoś w rodzaju superpolicjanta przywykł do podobnych pomysłów biurokratów, którzy bez końca szukają okazji, ale i powodów, by z nich nie korzystać. Na pewno teraz było tak samo. On sam mógł od ręki podać dziesięć takich powodów. Jednakże jak wielu jego kolegów z branży, Savary miał duszę awanturnika, wiedział też, jak działać w ukła-



Półwysep Arabski – dyslokacja czterech głównych saudyjskich baz wojskowych

41

dzie. Nikt od niego nie wymagał wysadzenia w powietrze pól naftowych. Poproszono go tylko o sprawdzenie, czy można to zrobić bez ujawnienia się – a to mógł i zamierzał spełnić.

Admirał Georges Pires zjawił się punktualnie, za to z miną człowieka, który ma lepsze zajęcia niż konwersacje z taj-niakami. Marynarka wojenna zawsze była jego życiem, choć jeszcze przed czterdziestką znalazł czas także na dwa małżeństwa i tyleż rozwodów. Miał w sobie coś szelmowskiego, ale nie tylko: wyjątkowo szybko pokonał drogę do najwyższego stanowiska w dowództwie sił specjalnych francuskiej marynarki. Sześć minut po zajęciu miejsca w gabinecie Joberta i wysłuchaniu jego rzeczowego streszczenia siedział nieruchomo, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Kiedy oprzytomniał, jego pierwszą reakcją było kolejne tego dnia *Mon Dieu!*

–To najniebezpieczniejsza gra, o jakiej w życiu słysza

łem! – wykrzyknął.

Savary podzielił się z nim własną niedawną konkluzją.

–Admirale, nie zostaliśmy poproszeni o zniszczenie połowy Arabii Saudyjskiej, ale o fachową ocenę, czy taka operacja ma szanse powodzenia przy zachowaniu wymogu tajności, ku niewyobrażalnej korzyści dla Francji.

–No, technicznie jest możliwe wprowadzenie jednego z naszych nowych okrętów nuklearnych na Zatokę. Cieśninę Ormuz można pokonać w zanurzeniu. Jest tam dostatecznie głęboko i już to robiono.

**–Ma pan na myśli jednostkę klasy Rubis? – spytał Sa-vary.**

**–Nie, nie. Chodzi o nowe okręty z projektu Barrakuda, które od kilku lat budowaliśmy w Cherbourgu. Mógł pan o nich słyszeć. W tym roku pierwsze dwa wejdą do służby. Są większe od Rubis, mają po cztery tysiące ton wyporności. To okręty myśliwskie, uzbrojone w torpedy i dziesięć rakiet cruise, unowocześnionych wersji dawnych Storm/Shadow. To dobre, cichobieżne jednostki o dużej sile ognia. Akurat trwają ich próby morskie w pobliżu bazy w Breście.**

**–Jak ocenia pan szanse wejścia na Zatokę Perską i jej opuszczenia bez wykrycia? – spytał Jobert.**

**–Szanse są spore. Rakiety mają programowany tor lotu...**

Tak, myślę, że moglibyśmy ostrzelać nimi dowolny cel na wybrzeżu saudyjskim.

–Czy ktoś mógłby je spostrzec w locie?

–Mało prawdopodobne. Saudyjczycy mają dość nowoczesny sprzęt, ale zdziwiłbym się bardzo, gdyby ich radary wykryły je na tak niskim pułapie. Poza tym nie będą się spodziewali takiego ataku.

–Na pewno nie ze strony swojego przyszłego króla – mruknął Savary. – A co z operacją na zachodnim wybrzeżu?

–Na Morzu Czerwonym? Cóż, z tym byłoby trudniej – odrzekł Pires. – Przez Kanał Sueski trzeba by iść na powierzchni, ale nie sądzę, by to zwróciło czyjąkolwiek szczególną uwagę. W Bab el-Mandeb jest płytko, ale da się od biedy płynąć na peryskopowej, jeśliby nam zależało na skrytości. Dalej, na Zatoce Adeńskiej, znów jest lepiej, choć głębokości czasem nie przekraczają stu metrów. Taki ledwo zanurzony okręt wyglądałby jednak podejrzanie, gdyby Amerykanie go wykryli. Szczególnie jeśli czterysta mil za jego rufą będą płonąć instalacje naftowe. Chyba już lepiej byłoby płynąć jawnie, na powierzchni, jak uosobienie niewinności.

Savary'emu zaczynał się naprawdę podobać ten elegancki i znający swój fach admirał, choć mógł się wydawać zdecydowanie za młody na takie stanowisko. Nie miał jednak umysłu młodzika; wagę problemu chwycił w lot, tak samo jak Jobert.

–Musiałbym najpierw porozmawiać z admirałem Romanetem – ciągnął Pires, odwzajemniając jego spojrzenie. – To nasz dowódca floty podwodnej i nie chciałbym wchodzić w jego kompetencje. Zaryzykuję jednak twierdzenie, że możemy ostrzelać wybrane cele z naszych okrętów nuklearnych.

A co do mojego zakresu działania, nie mam żadnych wątpliwości, że nasi komandosi poradzą sobie z urządzeniami portowymi i platformami. Marynarka saudyjska nigdy nie przedstawiała większej wartości. Nie będzie z nimi żadnego problemu. – Admirał zamyślił się na chwilę. – Te plat

**formy to jednak ogromne konstrukcje... Potrzebowalibyśmy  
chyba mieszanki RDX, trotylu i aluminium. Płetwonurkowie  
musieliby płynąć z ładunkami po dwadzieścia pięć kilogra  
mów w wodoszczelnych torbach. Trzeba by zastosować za-**

palniki czasowe z dużym opóźnieniem, żeby oni, ich SDV\* i okręt zdążyli się oddalić przed wybuchem. Ale zadanie jest jak najbardziej wykonalne. – Po kolejnej krótkiej pauzie Pi-res dodał: – Ale operacja morska to tylko początek, prawda? Zostawię zatem panów teraz samych, a sam skonsultuję się z Romanetem.

–Wolałbym, żeby sprowadził pan go tutaj – odrzekł generał. – Na tym wstępnym etapie, kiedy wszyscy dopiero zaczynamy się zagłębiać w zagadnienie, wszystkie rozmowy powinny się odbywać pod tym jednym dachem.

–Aha... Już więc przechodzimy na tryb czarnej operacji -zauważył Pires. – Przewidujecie, panowie, że możemy rzeczywiście dostać rozkaz przeprowadzenia tego ataku na naszych przyjaciół z pustyni... a raczej na ich instalacje naftowe.

–Na tym właśnie polega problem z wami, wojskowymi... -powiedział Savary. – Zawsze mówicie „tak”.

–To dlatego, że wiernie służymy republice – odparł Jo-bert. – Jesteśmy od tego, żeby robić, co nam każą politycy, a jeśli trzeba, próbować rzeczy niemożliwych.

–Ale jeszcze pół godziny temu uważałeś, że nie da się tego zrobić bez ujawnienia się.

–Teraz zmieniłem zdanie – odparł dowódca COS. – Uważam, że możemy zniszczyć te instalacje za pomocą rakiet i dywersji i uniknąć wykrycia.

Savary wstał i powiedział:

–Panowie, powierzono mi opracowanie tego studium wykonalności do użytku ministra spraw zagranicznych i prezydenta. Admirale, będę zobowiązany, jeżeli pozostanie pan i na drugą część naszej dyskusji. Z przyjemnością słuchałem pańskich uwag i myślę, że będzie pan mógł nam jeszcze podrzucić kilka pomysłów.

Savary nie był pierwszym z wysokich funkcjonariuszy francuskich, którzy ocenili czterdziestosecioletniego Geor-ges'a Pires'a jako pierwszorzędnego oficera; niejeden wróżył

\* *Ang. Swimmer Deliuery Vehicle* - miniaturowa łódź podwodna do transportu np.

dywersantów z macierzystego okrętu podwodnego w pobliże miejsca lądowania (wszystkie przypisy, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumacza).

44

mu mandat poselski i miejsce w Palais Bourbon, siedzibie parlamentu.

–Będę zaszczycony – zapewnił admirał.

–Michel, może zapoznasz nas teraz z tym, co wam wiadomo na temat sił lądowych Arabii Saudyjskiej.

–Jasne. Włączę tylko mapę komputerową. To wszystko dość typowe informacje, ale przynajmniej pokażą nam, z czym mamy do czynienia.

General Jobert podszedł ku wielkiemu ściennemu monitorowi z wyświetloną mapą Półwyspu Arabskiego.

–Liczebność ich sił zbrojnych wynosi łącznie około stu dwudziestu sześciu tysięcy ludzi, w czterech rodzajach wojsk: armii, marynarce, lotnictwie i obronie powietrznej. Nie mają zwykłych garnizonów. Siły lądowe są dość rozproszone, ale główna siła jest skoncentrowana w czterech wielkich bazach, zbudowanych ogromnym kosztem w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku przy wydatnej pomocy amerykańskiego korpusu inżynierskiego. Jako pierwszą wymienię Chamis Muszajt, w górach na południowym zachodzie, około stu kilometrów od granicy jemeńskiej. Druga, Tabuk, chroni północno-zachodnią część kraju, a szczególnie trasy z Jordanii, Izraela i Syrii. Trzecia, tak zwane miasto garnizonowe Assad, leży w Al Hardż, pośrodku pustyni, o sto kilometrów na południowy wschód od Rijadu. Tam też znajduje się centrum saudyjskiego przemysłu zbrojeniowego. Ale

**naprawdę wielka baza jest tutaj... nieopodal granicy z Kuwejtem i Irakiem, pod miastem Hafar al-Batin. Nosi imię króla Chalida. Jak widzicie, celowo jest usytuowana w pobliżu Rurociągu Transarabskiego, łączącego kompleks naftowy w Dammamie z Jordanią. Miasto garnizonowe Króla Chalida jest ogromne. Przebywa w nim około sześćdziesięciu pięciu tysięcy wojskowych i cywilów. Jest tam wszystko: kina, centra handlowe, elektrownie, meczety, szkoły i cała reszta. Zbudowane jest w formie wielkiego ośmiokąta z betonowych umocnień, otaczającego kilka mniejszych. Tuż obok głównego kompleksu są szpital, tor wyścigowy, centra naprawcze i zaopatrzeniowe, podziemne bunkry dowodzenia i stanowiska rakiet przeciwlotniczych. Panowie, miasta garnizonowe Króla Chalida atakować nie radzę.**



–Jak wygląda teren wokół bazy? – spytał Pires.

–Otwarta pustynia, płaska, łatwa do obserwacji radarowej. I dogodne pole ostrzału dla saudyjskich rakiet i artylerii.

–A potrafią się nimi posługiwać?

–Co do tego nie ma wątpliwości.

–Czy wszystkie bazy są takie jak ta? – spytał Savary.

–Tak źle nie jest. Ale z żadną z nich nie pójdzie łatwo. Na pewno nie jest to zadanie dla małego oddziału sił specjalnych. Prawdę mówiąc, Gastonie, nie widzę sposobu, aby można było zdobyć lub zmusić do kapitulacji którąkolwiek z tych twierdz inaczej niż zmasowanym, frontalnym atakiem. Saudyjczycy mają doskonałe środki łączności i wsparcie lotnicze. W sumie nie mielibyśmy szans. A oprócz regularnej armii mają też dobrze uzbrojoną gwardię narodową, której jedynym zadaniem jest ochrona instalacji naftowych. Oni nie są głupi. Wiedzą, że to ich serce i krwiobiegi, i dobrze je zabezpieczyli.

–Jakie jest ich lotnictwo?

–Bardzo nowoczesne. Świetny sprzęt, amerykański, i brytyjskie myśliwce bombardujące F-15 i Tornado. Duża siła ofensywna. Dysponują też samolotami rozpoznania elektronicznego i flotą strategicznych transportowców. W sumie poważna wartość bojowa.

–Z moich notatek wynika, że według księcia Nasira ich bazy lotnicze mogą być łatwym celem – zauważył Savary.

–Być może. Ich dwa skrzydła myśliwskie rozlokowane są na lotniskach szturmowych przy każdej z czterech baz. Trochę to mylące, ale to przy bazie Chamis Muszajt nazwali imieniem Króla Chalida, tak samo jak garnizon na północy. Rozumiecie? To przy granicy z Jemenem.

–Z tego Chalida musiał być niezły król – rzekł Sava-ry. – Pół kraju nosi jego imię. Ale właśnie o tym lotnisku mówił Nasir. Musi być albo słabiej bronione, albo łatwiejsze do zaatakowania.

–Trzeba będzie się mu bardzo dokładnie przyjrzeć – po

wiedział Jobert. – Wszyscy dobrze wiemy, że gdyby choć je

den żołnierz francuski został schwytany albo nawet zabity

w akcji, konsekwencje dla Francji byłyby fatalne. Ameryka

**nie od razu by uznali, że to my wysadziliśmy w powietrze  
pola naftowe, i przyszłoby nam drogo za to zapłacić.**

–Dla mnie wygląda to tak, że zniszczenie pól naftowych jest kilkakrotnie ważniejsze od wszystkich pozostałych celów – zauważył Pires. – Tylko sobie wyobraźcie: nagle znika podstawa utrzymania państwa. Cały naród, z którego większość nawet nie pamięta, jak smakuje bieda, staje przed perspektywą powrotu do namiotów i na wielbłądy. Nie ma ropy, nie ma bogactwa, nie ma dobrobytu. Byłby to pewnie niesamowity szok.

–Tak samo uważa książe Nasir – przytaknął Savary. – Według niego wojsko nie będzie miało woli walki. Za kogo? Za zbankrutowanego króla, który nie może im płacić?

–Raczej za martwego zbankrutowanego króla – mruknął admirał. – Jeżeli do tego dojdzie, to jestem pewien, że Saudyjczycy się opowiedzą za sprawą następcy tronu. Zwłaszcza gdy przyobieca położyć kres finansowaniu szaleństw książąt i doprowadzić kraj do porządku. Nie ma co ukrywać, on jest jedyną nadzieją armii.

–Wszystko to prawda – rzekł generał. – Krach saudyjskiej gospodarki byłby prawdziwym trzęsieniem ziemi. Ale tak czy owak, bez walki się nie obejdzie. Trzeba obezwładnić wojska lądowe i lotnictwo, zająć główne obiekty w Rijadzie i zlikwidować króla oraz najważniejszych ministrów. Niezależnie od scenariusza, ostateczna bitwa musi się rozegrać na ziemi.

–Nasir twierdzi, że opozycja jest tak silna i ludzie tak gniewni, że stanęliby przy każdym, kto by pomógł im" pozbyć się królewskiej rodziny – powiedział Savary. – A książe Nasir cieszy się wielką popularnością.

–Mamy więc dwa zadania – podsumował Pires. – Po pierwsze, dostać się do bazy lotniczej Króla Chalida i albo ją zająć, albo zniszczyć. Po drugie, niemal jednocześnie opanować Rijad i usunąć króla.

Generał Jobert się uśmiechnął.

–Jedna uwaga, admirale. Atak na bazę musi być rozstrzygający. Ma spowodować kapitulację całego garnizonu Chamis Muszajt, a w konsekwencji przekonać trzy pozostałe, że nie ma już o co walczyć.

–Kiedy książe Nasir ukaże się w telewizji, wezwie do zachowania spokoju i zapewni, że panuje nad sytuacją, tak się właśnie może stać – rzekł admirał. – Jeśli zapaść przemysłu

naftowego rzeczywiście przyniesie taki druzgocący efekt, jak się nam wydaje.

–Rzecz w tym, że to musi wyglądać na awanturę w stu procentach arabską – przypomniał Savary. – Dla dobra narodu księżę Nasir dokonuje przewrotu pałacowego i na tym koniec. A że potem wybierze Francję do pomocy przy postawieniu kraju z powrotem na nogi, to już zupełnie inna sprawa. Czy tylko Ameryka może brać, co chce i kiedy chce?

–Byle nikt z naszych nie wpadł, co? – mruknął generał.

–Tak jest – potwierdził Pires. – Żaden Francuz nie może zostać nawet zauważony w pobliżu miejsca akcji.

–A kogo prezydent bierze pod uwagę jako szefa podobnej operacji?

–Nad tym się jeszcze nawet nie zastanawiał – odrzekł Sa-vary. – Na razie chce tylko wiedzieć, czy według nas byłoby to możliwe do realizacji. Na tym etapie nie chodzi o nic więcej.

–Nie masz poczucia, że kiedy powiemy tak, zacznie się zastanawiać bardzo szybko?

–Mam, Michel. I dlatego lepiej, abyśmy mieli parę gotowych propozycji. Mam zatem pytanie... Lotnisko Króla Cha-lida... kto tam pójdzie, my czy siły arabskie?

–Och, to by musiał być nasz oddział – stwierdził gene

rał. – Wątpię, czy ktokolwiek oprócz nas, Amerykanów, Bry

tyjczyków czy Izraelczyków mógłby czegoś takiego dokonać.

Ale z drugiej strony to brzmi tak absurdalnie... francuscy

żołnierze na terytorium saudyjskim atakujący ich bazę?

–Arabowie musieliby mieć w tym jakiś udział – zgodził się Pires. – Może swojego zastępcę dowódcy ewentualnie grupę oficerów, znających ich taktykę, teren i język.

–Też tak to widzę – przytaknął Savary. – I to bardzo wyraźnie. Możemy dostarczyć odpowiednie siły, jeśli plan zostanie przyjęty, ale księżę będzie musiał zapewnić kierownictwo, a w najgorszym razie choćby doradców wysokiego szczebla.

–Nie wiem, czy którakolwiek z arabskich armii ma takiego człowieka, jakiego szukamy. – Pires pokręcił głową. – Tu trzeba fachowca z sił specjalnych, dobrze się znającego na dywersji i zdolnego do szczegółowego planowania na szczeblu sztabowym.

**–Wątpię, by mieli oficera o takich kwalifikacjach – zgo-**

**dział się Jobert. – A poza tym jak niby mielibyśmy się tam dostać? Nie możemy ot, tak po prostu zrzucić paru plutonów spadochroniarzy na saudyjskiej pustyni. Za duże ryzyko.**

**–A zatem musieliby lądować z morza – rzekł admirał. – Okręt podwodny do tak dużego desantu się jednak nie nadaje. W SDV jest tylko kilka miejsc. Takie kursowanie tam i z powrotem potrwałoby wiele godzin, a dla pontonów to za daleko, nie mówiąc już o próbie dotarcia na brzeg wpław.**

**–To problem w sam raz dla znającego teren Araba – rzucił Jobert. – Takiego, który by znał się na tej robocie. Innymi słowy, takiego, jakich nie ma.**

**–Ja jednego takiego znam – odparł Savary.**

**–Doprawdy? Cóż to za jeden?**

**–Jest wojskowym komendantem Hamasu. Generał Rawi Raszud. Z tego, co słyszę, był kiedyś w brytyjskiej SAS. Amerykanie twierdzą, że odwalił kilka przerażających numerów w paru ostatnich latach. On by mógł zdobyć to lotnisko.**

**–Ale czyby zechciał? – powątpiewał generał. – Dlaczego miałby się zgodzić?**

**–Dlatego, że jest fanatycznym islamistą. Nienawidzi Amerykanów i pragnie ich usunięcia z Bliskiego Wschodu na zawsze. Wie zaś, że bez saudyjskiej ropy i poparcia musieliby się z regionu wycofać. Myślę, że się przekonacie, iż generał Raszud będzie skłonny do rozmowy. Trzeba by mu jednak zapłacić za przysługę. Jemu i Hamasowi.**

**–Hmm... Interesujące – mruknął Jobert.**

**–A teraz pytanie najważniejsze – ciągnął Savary. – Kto poprowadzi saudyjski tłum w Rijadzie? Kto zwerbuję, zorganizuje, uzbroi i zagrzeje do walki tysiące obywateli, którzy może i nienawidzą króla, ale nie mają pojęcia, co robić?**

**–Ja wiem jedno – odrzekł admirał. – Musi to być pierwszorzędny żołnierz, a tacy stają się po drodze znani zbyt wielu ludziom. W całej Francji możemy nie znaleźć człowieka, który by miał odpowiednie kwalifikacje i nie rzucał się w oczy. Dowódcy tej klasy to już osoby publiczne. Wystarczy, że ktoś go zauważy na czele ataku na saudyjską rodzinę królewską, a nasze szanse na zachowanie anonimowości spadną do zera.**

**–Mówi pan przekonująco, admirale. – Savary skinął głową. – Ale gdzieś musi być ktoś taki. Wyszkolony liniowy ofi-**

cer, z doświadczeniem bojowym, ale jeszcze nie dosłużył się stopnia generalskiego. Może ktoś, kto niedawno przeszedł na emeryturę. Ktoś, kto by się zastanowił nad propozycją pokierowania operacją za, powiedzmy, dziesięć milionów dolarów. Wystarczy, by mógł potem do końca życia zapomnieć o kłopotach finansowych.

W gabinecie zapadła cisza. Trzej mężczyźni zamyślili się być może nad destrukcyjnym potencjałem, jaki mogliby uwolnić, gdyby poparli projekt, czego prezydent najwyraźniej pragnął. Savary zdawał się nie w pełni to pojmować, ale obu wojskowym przesunęło się przez myśl całe zawodowe życie w mundurze.

Trochę ich zaskoczyło, że pierwszy przerwał milczenie właśnie szef wywiadu.

–Wiecie, był taki człowiek, który pracował kiedyś dla DGSE. Nigdy się z nim osobiście nie spotkałem, operował głównie w Afryce. Doszedł do stanowiska zastępcy dyrektora wydziału zajmującego się dużym regionem... całą północną i zachodnią Afryką oraz Sahelem. Placówka w Senegalu, w Dakarze.

–Miał doświadczenie bojowe? – spytał Jobert.

–I to jakie! Zaczynał, jeśli się nie mylę, w Legii Cudzoziemskiej. Wyróżnił się w Czadzie... Wiecie, w tej bitwie z rebeliantami pod Oum Chalouba w osiemdziesiątym szóstym. Bardzo wcześnie odznaczony za wyjątkową odwagę. Nie wiem dokładnie, co robił potem, ale na pewno wstąpił do sił specjalnych.

–Pamiętasz, jak się nazywał?

–Tak. Marokańczyk z pochodzenia, Jacques Gamoudi. Miał jakiś pseudonim, ale wyleciał mi z głowy.

–Gamoudi? – General szukał w pamięci. – Chyba słyszałem to nazwisko. Po służbie w Legii był związany z COS, ale nie mogę sobie przypomnieć, w jakim charakterze.

Podszedł do konsoli komputerowej w rogu gabinetu i wystukał kilka słów na klawiaturze.

–To powinno nam coś dać – powiedział. – Świetny pro

gram, szczegółowa baza danych wszystkich oficerów czynnej

służby z ostatnich dwudziestu pięciu lat.

Po chwili ekran zabłysnął nowym oknem.

–Proszę bardzo – rzekł generał. – Jacques Gamoudi, urodzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku w wiosce Asni, w Atlasie Wysokim. Syn pasterza, który dorabiał sobie jako przewodnik górski.

–No, to niezła kariera. Z marokańskiego wieśniaka oficer Legii przed ukończeniem dwudziestego drugiego roku życia? – Admirał Pires był zdziwiony. – Tam mało kto nawet mówi po francusku.

–Wygląda na to, że miał sponsora. Niejaki Laforge, były major wojsk powietrznodesantowych. Ranny w Algierii w sześćdziesiątym pierwszym, zwolniony do cywila. Wraz z żoną kupili jakiś hotelik w wiosce i młody Gamoudi u nich pracował. Laforge musiał mu pomóc dostać się do Legii... Jezu! Mam tu nawet kopię jego podania o przyjęcie, złożonego w osiemdziesiątym pierwszym w biurze rekrutacyjnym w Aubagne. Zjawił się tam parę tygodni później, przeszedł test sprawnościowy i zaciągnął się na pięć lat.

–Rzeczywiście dobry program – pochwalił admirał.

–Co z pseudonimem? – spytał Savary. – Pewnie bym go poznał.

–Nie widzę... – Jobert przewinął stronę w dół. – Chwileczkę, to może być to... Czy *Le Chasseur* brzmi znajomo? Gamoudi dowodził oddziałem najemników podczas jakichś bardzo zaciętych walk w północnej Afryce. Zapisano tu, że tak był przez nich nazywany.

–To on – potwierdził Savary. – Jacques Gamoudi, *Le*

*Chasseur*.

To mówiąc, przesunął palcem po gardle w geście rozumianym na całym świecie i we wszystkich epokach. Nie było wątpliwości, jaką sławą cieszył się pułkownik Gamoudi, zwany Myśliwym.



## ROZDZIAŁ 2

Miesiąc później, początek czerwca 2009 r.

Problem z Myśliwym polegał na tym, że praktycznie rozplynął się w chłodnym, rozrzedzonym powietrzu nad wysokimi szczytami Pirenejów, gdzieś nieopodal miasteczka Cau-terets, ośrodka narciarskiego na wysokości ponad dziewięć-ciuaset metrów nad poziomem morza, otoczonego szczytami sięgającymi dwóch i pół tysiąca metrów.

Nie było szczególną tajemnicą, że pułkownik Jacques Ga-moudi skorzystał z możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę wojskową i udał się z rodziną w Pireneje, gdzie miał nadzieję znaleźć pracę jako przewodnik górski, jak kiedyś jego ojciec w górach Maroka. Przebłysk intuicji zawiódł Gastona Savary'ego (w towarzystwie Michela Joberta) do Castelnau-dary, miasta położonego o pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Tuluzy, gdzie zaczęła się wojskowa kariera Myśliwego. Swoją siedzibę – Quartier (koszary) Lapasset – ma tam pułk szkoleniowy Legii Cudzoziemskiej i młody Gamoudi spędził w niej cztery miesiące jako rekrut. Próbowali zasięgnąć tam języka – i nie bez powodzenia. Nie zdołali się jednak dowiedzieć żadnych szczegółów, poza tym że pułkownik z żoną Giselle i dwoma synami, obecnie w wieku około trzynastu i jedenastu lat, wyjechali w Pireneje przed mniej więcej czterema laty i odtąd nikt ich nie widział. Tylko jeden człowiek, weteran Legii, przypominał sobie, że musiał coś słyszeć o ich planach osiedlenia się w okolicach Cauterets.

Jechali teraz służbowym samochodem szosą wijącą się zboczami wspaniałych gór na granicy Francji i Hiszpanii.

### 52

Nie wzięli szofera; Savary prowadził sam. W ciągu tygodni, jakie upłynęły od czasu ich pierwszej dyskusji nad operacją w Arabii Saudyjskiej, sprawy posunęły się naprzód. Zaczęły się naciski ze strony samego prezydenta. Ich zadanie zamykało się w jednym zdaniu: znaleźć Jacques'a Gamoudiego. Savary powoli zaczynał żałować, że wyszedł z tą propozycją. Ściemniało się, a oni nie tylko nie mieli rezerwacji w hotelu, ale i większego pojęcia, dokąd właściwie jada, poza tym ich jedynym punktem zaczepienia była mglista informacja o Cauterets. Droga pięła się pod górę niemal przez cały czas, odkąd opuścili leżącą teraz sto sześćdziesiąt kilometrów za nimi Tuluzę.

–Ta szosa kończy się w Cauterets – zauważył generał.

–Nie dziwiłbym się, gdyby się okazało, że i świat się tam kończy – odburknął Savary, nie odwracając wzroku od drogi. – Bóg jeden wie, jak my tego faceta znajdziemy.

–Nie bądź takim fatalistą, Gaston. Wątpię, by było tam zbyt wielu przewodników górskich. Na pewno wszyscy się znają.

**–Trzeba być przewodnikiem górskim, żeby tu w ogóle mieszkać. – Szef wywiadu był paryżaninem do szpiku kości. – Zobaczysz, że mieszkańcy miasteczka są co do jednego pieprzonymi przewodnikami górskimi.**

**Jobert parsknął śmiechem. Dwadzieścia minut później, już w zupełnych ciemnościach, minęli tablicę z napisem „Cauterets”. Przed nimi rozpościerały się jasno oświetlone uliczki kurortu, pełne hoteli, barów i sklepowych wystaw. Szosa numer 920 wpadała na Place Marechal Foch. Wprost przed samochodem widniał neon hotelu i restauracji „Cesar”; obydwaj niemal unisono zakrzyknęli: „Może być!” Spieszno im było rozprostować się po długiej podróży; wyciągnęli z bagażnika torby i ruszyli do recepcji, zamówili dwa pokoje i zarezerwowali stolik na kolację. Kilka minut przed dziesiątą jedli już przystawki w najlepszym, zaskakująco zatłoczonym lokalu miasteczka. Teraz trzeba było się zastanowić, co dalej. Już samo dotarcie do Cauterets sprawiało kłopoty, ale przed nimi była najtrudniejsza część zadania: jak i gdzie szukać Gamoudiego. W przerwie między daniami Savary spróbował metody elementarnej – zajrzał do książki telefonicznej,**

ale nikogo o takim nazwisku nie znalazł. Jeżeli *Le Chasseur* istotnie mieszkał w tej okolicy, należało przyjąć, że używa przybranego.

–Michel, dotąd o to nie pytałem, ale czym się właściwie Gamoudi zajmował w siłach specjalnych?

–Opuścił Legię z doskonałą opinią i szybko trafił do 1. pułku morsko-spadochronowego. Miał rekomendację na awans oficerski, o co w armii znacznie trudniej niż w Legii, i poszedł do Saint-Cyr\*. Po jej ukończeniu skierowano go do Republiki Środkowoafrykańskiej. Błyskawicznie awansował i w bardzo młodym wieku został majorem. Dowodził kompanią w bardzo niebezpiecznej, długoterminowej operacji zwiadowczej, co w końcu doprowadziło do ewakuacji trzech tysięcy francuskich cywilów i kompletnego rozbicia rebeliantów z FACA, bardzo nieprzyjemnej organizacji. Dostał medal i skorzystał z propozycji przejścia do tajnych służb. W czerwcu dziewięćdziesiątego dziewiątego zaplanował i przeprowadził akcję odbicia amerykańskiego ambasadora z Konga. Nasi komandosi odwieźli dyplomatę do Gabonu, ale większość oddziału pozostała na miejscu i walczyła dalej pod dowództwem Gamou-diego. Na miano Myśliwego zapracował sobie w mrocznym świecie północnoafrykańskiej polityki, gdzie zawsze łatwo o regionalne konflikty, pucze i rewolty. Był w samym środku wydarzeń, często na czele najemników, byłych legionistów, ochraniając francuskie firmy naftowe i zajmujące się wydobywaniem diamentów. Mówi się nawet, że maczał palce w brawurowym zamachu na prezydenta Wybrzeża Kości Słoniowej przed pięcioma laty. – Generał zawahał się przez moment, po czym dodał: – Jacques Gamoudi zawsze najlepiej się czuł w środowisku muzułmańskim. Powiem ci jedno... cokolwiek by o nim myśleć, na pewno był z niego kawał dobrego żołnierza.

–Wyobrażam sobie, że takie życie musiało mieć swoją cenę – rzekł Savary. – W tym okropnym klimacie, wiecznie oglądając się przez ramię, z nieustannym brzemieniem odpowiedzialności za ludzi, którzy na tobie polegają...

\* Francuska akademia wojskowa.

–Na pewno. O ile mi wiadomo, wielu ludzi zaskoczyła jego decyzja o porzuceniu armii dla tajnych służb. Musiał być rozczarowany i nie chciał mieć z nią więcej do czynienia.

–Tak to często bywa z dzielnymi ludźmi – zauważył Sava-ry. – Pewnego ranka budzą się z pytaniem, dlaczego właściwie robią o tyle więcej od innych za tę samą pensję. To może być twardy orzech do zgryzienia. Chyba że zaoferujemy mu dużo pieniędzy.

–Pieniądze to chyba nie problem. Prezydent, a tym bardziej jego królewskiej krwi przyjaciel z saudyjskiej pustyni nie zawahają się ich wydać, jeżeli ich przekonamy, że Ga-moudi jest

najwłaściwszym człowiekiem do zdobycia Rija-du. – Generał położył przed Savarym trzy fotografie. – Przyjrzyj mu się dobrze, Gaston, bo spodziewam się, że kiedy go znajdziemy, może się nie przyznać do swej tożsamości.

–Jeśli go znajdziemy.

Było po jedenastej. Wychodząc z restauracji, generał zapytał kierownika sali, czy słyszał o człowieku zwanym Jakiem Gamoudi. Odpowiedzią było spojrzenie bez najmniejszego wyrazu. Nie, nikogo takiego nie zna. Dyskretne zerknięcie na zdjęcia też nie odświeżyło mu pamięci. Ta sama sytuacja powtórzyła się z portierem, recepcjonistą, a nawet samym właścicielem. *Le Chasseura* nigdy tam nie widziano.

Dzień wstał jasny i ciepły. Savary i Jobert pojechali kolejką linową na Cirque de Lys, początkowy punkt licznych tras narciarskich, liczących w sumie około czterdziestu kilometrów. W sezonie letnim górna stacja kolejki służyła za punkt zborny dla alpinistów i miłośników górskich wędrówek z całej Europy, i tam też czekali na zarobek przewodnicy. Przez dwie godziny obaj wypytywali kogo się dało o Gamoudiego. Dyskretnie ukryta w dłoni fotografia nie budziła jednak ani pozytywnej, ani nawet negatywnej reakcji: ukradkowego spojrzenia, śladu nerwowości czy nieszczerości. *Le Chasseur* zniknął na dobre, albo też legionista z Castelnaudary się mylił co do jego planów związanych z Cauterets.

Pod stacją zebrała się ostatnia, niewielka już garstka wycieczkowiczów, ale zamiast przewodnika podszedł do nich tylko chłopiec, na oko czternastoletni, i pokazywał im drogę na mapie. Dla Savary'ego i Joberta był już ostatnią nadzieją.

Kiedy turyści ruszyli na szlak, podeszli do niego. Chłopak niezgrabnie składał mapę, ściskając w dłoni otrzymany przed chwilą banknot o wartości dziesięciu euro.

–O, *monsieur* Ooks! – bez wahania zakrzyknął, spojrzaw

szy na podsunięte mu zdjęcie.

. – *Monsieur* kto?

–Hooks – powtórzył chłopiec, tym razem przesadnie akcentując pierwszą, połkniętą przedtem głoskę. – To przewodnik, mieszka w małej osadzie Heas, wysoko w górach nad Gedre. To on, na pewno.

–Wiesz, jak ma na imię?

–Nie. To *monsieur* Hooks. Nikt do niego nie mówi po imieniu.

–Od dawna tam mieszka?

–Nie bardzo. Ale pamiętam, kiedy się zjawił. Miałem dziesięć lat i byłem w klasie *monsieur* Lamonta. Mieszkaliśmy wtedy w Gedre i moja szkoła chodziła na wycieczki w góry, koło Cirque de Troumouse. *Monsieur* Hooks był zawsze naszym przewodnikiem. Zabiera w góry wszystkie szkolne grupy.

–I gdzie, mówisz, mieszka?

–W Heas. Nic wielkiego, parę domów, sklepik i kościół. Z Gedre trzeba iść na południe. Osada jest na mapie, na szlaku na najwyższą górę w okolicy, ale można obok niej przejść i nawet jej nie zauważyć.

Savary podziękował chłopcu i dał mu następne dziesięć euro. Dwie godziny później dojeżdżali już krętą, wąską drogą wzdłuż rwącej rzeki Gavarnie do górskiego miasteczka Gedre, prowadzącą dalej ku biegnącej grzbietem Pirenejów granicy hiszpańskiej. Savary uzupełnił paliwo; stojący za stacją benzynową znak wskazywał, że do Heas pozostało sześć kilometrów.

Tak krętego odcinka jeszcze nie pokonywali. Wszędzie dookoła strzelały w górę poszarpane, urwiste zbocza prawie pozbawione drzew. Widok był raczej majestatyczny niż piękny. Osada Heas była ostatnim przystankiem przed wielką wspinaczką; dalej szosa przechodziła niemal w spiralę pnącą się po dziesięciokilometrowym obwodzie skalnej ściany, tworzącej Cirque de Troumouse. Dla tych wrażeń przyjeżdżało tu

tylu turystów, że sprytni Francuzi zaczęli pobierać opłaty za przejazd tą trasą.

Savary i Jobert znaleźli się w osadzie krótko przed piętnastą. W sklepiku zapytali o *monsieur* Hooksa; właścicielka poinformowała ich, że rano poszedł w góry z wycieczką szkolną i że zazwyczaj wraca około szesnastej. Tymczasem mogą porozmawiać z *madame* Hooks, która właśnie wyszła na przystanek odebrać swoich synów ze szkolnego autobusu i powinna być z powrotem za kilka minut... cztery domy dalej po lewej, numer osiem.

Savary podziękował rozmownej sklepowej i kupił dwa kartoniki soku pomarańczowego. Przysiedli obaj na murku na zewnątrz i popijając sok, czekali na pojawienie się kobiety z dwójką dzieci. Nie potrwało to długo; nadeszła niemal natychmiast, szczupła i ładna, przed czterdziestką, roześmiana jak jej synowie. Generał Jobert wysunął się na środek chodnika.

–Pani Hooks? – spytał z czarującym uśmiechem.

–Tak... – odpowiedziała ostrożnie. – Jestem Giselle Hooks.

–Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem. Ja i mój kolega... *monsieur* Savary... przybyliśmy z bardzo daleka, żeby spotkać się z pani mężem w bardzo pilnej sprawie.

–W jakiej? Szukacie przewodnika na wycieczkę w góry?

Rzut oka na obu nieznanym powiedział jej, że nie o to

im chodzi. Nie uszły jej uwagi ich doskonale maniery, dobrze skrojone ubrania i eleganckie, lśniące buty ani też duży czarny citroen zaparkowany przed sklepem. Intuicja jej podpowiadała, że ma przed sobą wojskowych, ale wolała się nie zdradzać ze swymi myślami.

–Niezupełnie – odrzekł generał. – Ale mamy mu do po

wiedzenia coś, co na pewno go bardzo zainteresuje.

Giselle Hooks wiedziała, że takich ludzi lepiej traktować uprzejmie.

–Proszę więc do nas, zrobię kawy – powiedziała. – Mąż

powinien wkrótce wrócić. To nasi synowie, Jean Pierre i An

dre...

Po przejściu około pięćdziesięciu metrów znaleźli się przed klasycznym pirenejskim domkiem z białego kamienia, krytym czerwoną dachówką, stojącym w niewielkim, otoczonym

murem ogródka. Duży salon urządzony był równie klasycznie we francuskim stylu wiejskim: w jednym końcu ciężki drewniany stół jadalny, w drugim sofa i fotele ustawione wokół masywnego ceglanego kominka. Do kuchni prowadziło z niego pozbawione drzwi i zwieńczone łukiem przejście. Wszystkie meble były wysokiej jakości; na dębowej podłodze leżały piękne dywany, zapewne rękodzieło tkaczy z północnej Afryki. Obok wejścia do kuchni wisiało na ścianie oprawione zdjęcie dużego formatu, zrobione w 1993 roku i przedstawiające *monsieur* Hooksa i jego nowo poślubioną małżonkę. Jobert od razu zauważył, że „Hooks” brał ślub w mundurze galowym z odznakami 1. pułku morsko-spadochronowego.

Giselle zabrała chłopców do kuchni, a po chwili wróciła z tacą, niosąc cztery kubki i dzbanek. Trzy były już napełnione parującą kawą. Ponownie zapewniła gości, że nie będą musieli długo czekać.

–Grupa, z którą poszedł, o czwartej miała już być z po

wrotem w Gedre, więc lada chwila...

Kilka minut później drzwi wejściowe się otworzyły i do salonu wkroczył brodaty mężczyzna średniego wzrostu, bez śladu tuszy, w wysokich skórzanych trzewikach, zamszowych szortach, z przerzuconym przez ramię zielonym plecakiem. Za szeroki, nabijany pas miał zatknięty duży myśliwski nóż. Był wyraźnie zaskoczony widokiem gości, ale przywitał ich uprzejmie.

–Przepraszam, nie spodziewałem się wizyty... Nazywam

się Jacques Hooks.

Jobert poderwał się pierwszy.

–*Bonjour, monsieur* Hooks. Jestem Michel Jobert, a to

mój kolega Gaston Savary. Przyjechaliśmy z daleka specjal

nie do pana...

Hooks na chwilę znieruchomiał. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, kiedy po chwili przemówił:

–Chyba nie ma sensu ukrywać przed wami mojej praw

dziwej tożsamości. Zakładam, że przybywacie, panowie, z ofi

cjalną misją, od razu jednak uprzedzam: nie mam pojęcia,

**czego ode mnie chcecie, ale ja jestem emerytem. Mam żonę i dzieci, jak widzicie. I nie zamierzam opuszczać mojego małego górskiego rajku.**

**58**

**Spojrzeniem dał znak Giselle, by się wycofała do kuchni.**

**–Pułkownikowi Gamoudi, jestem zaszczycony, mogąc pana poznać. – Savary wyciągnął dłoń do gospodarza. – Jestem szefem DGSE. Generał Jobert dowodzi 1. pułkiem morsko-spadochronowym... pana dawną jednostką.**

**–Oczywiście. Od razu wiedziałem, kim jest generał Jobert. Mam jeszcze kontakt z paroma starymi kolegami... Poza tym trudno, żebym nie poznał byłego dowódcy – dodał z uśmiechem. Nalał sobie kawy, upił łyk i pokręcił głową. – Ale jestem szczęśliwy tu, w górach. To dobre miejsce dla rodziny. Czyste, bez przestępczości, ludzie są życzliwi. Wolalbym tego nie zmieniać. Cóż więc panów sprowadza do Heas?**

**Gaston Savary taksował wzrokiem stojącego przed nim mężczyznę: jego szerokie ramiona, byczy kark, ogorzałą twarz; nieregularną bliznę pod prawym uchem; krótko, po wojskowemu ostrzyżone włosy, zimne spojrzenie brązowych oczu. Były legionista, komandos, spadochroniarz, najemnik... Jak niby miałyby wyglądać? Jak model Yves'a Saint Laurenta?**

**–Zanim przejdziemy do rzeczy... – ciągnął Gamoudi -...**

**powiniennem może coś wyjaśnić. Nie ukrywam się. W moim fachu człowiek robi sobie jednak wrogów, dlatego wolałem zmienić nazwisko. Uznałem, że mądrzej będzie nie wracać do Maroka, skoro tak długo przebywałem w północnej Afryce z ramienia rządu francuskiego. Panowie to chyba rozumieją.**

**Obydwaj kiwnęli głowami, a generał rzekł:**

**–Pan Savary przedstawi teraz panu tło naszej wizyty.**

**W grę wchodzi obcy kraj, a sprawą jest zainteresowany oświadczyć nasz prezydent...**

**Przez dziesięć minut szef wywiadu omawiał pokrótce problemy, przed jakimi stała Arabia**



**Saudyjska: trwonienie majątku przez rodzinę królewską, gigantyczny koszt jej utrzymania, głębokie niezadowolenie w królestwie, dramatyczny spadek dochodów osobistych, nienawistne ludziom stosunki króla ze Stanami Zjednoczonymi, zatracenie prawdziwej wiary islamskiej na rzecz ideałów bezbożnego świata zachodniego.**

**Jacques Gamoudi kiwał ze zrozumieniem głową. Będąc jednym z czterech milionów francuskich muzułmanów, wciąż starał się żyć według nakazów Koranu, choć w Pirenejach**

trudno o meczety. Tak jak jego rodzice, nie miał żadnych wątpliwości: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem”. Podczas odbywanych dwa razy do roku podróży do Paryża Jacques zawsze zabierał żonę do największego meczetu, siedziby wielkiego imama. Lata służby wojskowej w krajach Maghrebu i Sahelu utrzymywały go w kontakcie z islamem; nie wyobrażał sobie życia bez Koranu, za to dobrze rozumiał, jakie uczucia miliony Saudyjczyków mogą żywić wobec swojego rodu królewskiego, obserwując na co dzień, jak systematycznie maleje wpływ religii na życie kraju.

–Arabia Saudyjska ma wiele problemów – powiedział. – Nie mogę się jednak domyślić, dlaczego miałyby mnie obchodzić i dlaczego fatygowaliście się do mnie aż tutaj.

–Wyłożę to zatem bardzo prosto – odrzekł Savary. – Miesiąc temu prezydent przyjął prywatną wizytę jednego z najwyższych księży saudyjskich i w jej rezultacie zwrócił się do nas z prośbą o pomoc w obaleniu obecnego reżimu i przywróceniu Arabii jej beduińskich korzeni. Dlatego właśnie zdecydowaliśmy się odszukać pana osobiście... ani przez sekundę nie pomyśleliśmy, by zlecić to komukolwiek innemu... i porozmawiać. Rozumie pan, że im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej. Generał Jobert opowie teraz, co się działo do tej pory i jak zamierzamy im pomóc.

To, co Gamoudi usłyszał potem, musiało być najbardziej zdumiewającą rzeczą w jego nie pozbawionym dziwnych wydarzeń życiu. Z szeroko otwartymi oczyma słuchał o planie zniszczenia przez marynarkę wojenną przemysłu naftowego i powalenia na kolana całej gospodarki saudyjskiej. Ze zrozumieniem przyjął projekt ataku na bazę lotniczą na południowym zachodzie kraju w chwili, gdy morale armii będzie najniższe; za słuszną uznał też potrzebę zajęcia Rijadu i poderwania jego mieszkańców do powstania i być może do szturmowania pałacu. Wszystko to należało wykonać, zanim księżę Nasir będzie mógł stanąć przed kamerami telewizji i ogłosić, że stary król nie żyje, a on z pomocą grupy wyższych oficerów przejął władzę w kraju.

Gamoudi zdawał też sobie dobrze sprawę, że ci dwaj niespodziewani goście w jego domu uważają, że potrzebna jest im jego rada. Kiedy jednak usłyszał spokojny głos generała

Joberta mówiącego mu, że właśnie jego armia francuska wybrała na dowódcę operacji w Rijadzie, omal się nie udławił kawą.

–Mnie?! – krzyknął. – Chcecie, żebym to ja zdobył Rijad?

Chyba się wam to śni!

Savary pomyślał, że być może to rzeczywiście tylko senna mrzonka. Jobert był jednak śmiertelnie poważny.

–Masz wszystkie niezbędne kwalifikacje, Jacques. Według nas kierowałbyś rewolucją, która praktycznie nie spotka się z oporem. Spodziewamy się, że do tego czasu armia da za wygraną. Będziesz musiał tylko zdobyć pałac.

–Ale co z gwardią? Co z ochroną króla?

–Nie przypominam sobie, by takie drobnostki kiedykolwiek cię zniechęcały.

–Drobnostki! – warknął Gamoudi. – Setka lojalnych żołnierzy walących do ciebie z peemów po tysiąc kul na minutę przestaje być drobnostką, gdy się wyjdzie poza drzwi sztabu.

–Myślałem raczej o posłużeniu się jednym z tych muzułmańskich samobójczych zamachowców – powiedział generał. – Zrównałby pałac z ziemią bez większego zamieszania.

–Generale, czy ja mam to traktować poważnie? A kto niby miałby uzbroić ten tłum? Kto ich wyszkoli, by mogli pójść w forpoczcie ataku? Co z zaopatrzeniem, bronią, amunicją?

–Zapewniam cię, Jacques, że zaopatrzenia nie zabraknie. Dostaniesz wszystko, czego zażadasz. Na tę operację nie będziemy szczerzyć wydatków.

–No, dobrze. Kiedy przeczytam o tym w „Le Figaro”, przynajmniej będę wiedział, co się dzieje. Ale nie mogę wziąć w tym udziału. Jak powiedziałem, jestem emerytem. Nie mam już na takie historie nerwów.

–Ale jesteś wciąż młody, Jacques. Ile masz lat, czterdzieści pięć? A sądząc po wyglądzie, jesteś w jak najlepszej kondycji. Nic dziwnego, całymi dniami się uganiasz po górach.

–Panie generale, chciałbym się wyrazić jasno. Nie mogę i nie chcę się w to mieszać. Muszę myśleć o rodzinie. Nie podjąłbym się tego i za milion dolarów.

Jobert się uśmiechnął.

–A za dziesięć?

Był to widać dzień pomysłów nie z tej ziemi, ale ten bił je wszystkie na głowę.

–Ile? – wykrzyknął Gamoudi.

–Dobrze usłyszałeś. Czy podejmiesz się tego zadania za dziesięć milionów dolarów i dodatkowe pięć premii, kiedy książę Nasir zasiądzie na tronie Arabii Saudyjskiej?

*Monsieur Hooks* milczał w osłupieniu. Wstał z fotela i zaczął chodzić po pokoju, zatrzymując się co kilka kroków i kręcąc głową. Wszystko to było niesłychane: samo założenie, zuchwałość projektu, wynagrodzenie. Były pułkownik z niejednego pieca chleb w życiu jadł, ale czegoś takiego jeszcze nie słyszał. Przemówił powoli, starannie ważąc słowa:

–Nie wiem, czy dobrze rozumiem, panie generale. Chce pan, abym się jakimś cudem przeszmuglował do Arabii, dotarł do Rijadu, znalazł sobie kryjówkę i zaczął namawiać ludzi do przyłączenia się do ludowej rewolucji?

–Proszę nie żartować, pułkowniku. Nie będzie pan działał sam. Jako gość księcia Nasira, wiceministra sił zbrojnych, będzie pan tam przebywał oficjalnie. Do Arabii poleci pan prywatnym odrzutowcem podstawionym przez armię francuską, a limuzyną do pałacyku na przedmieściach Rijadu, gdzie spotka się pan z saudyjskimi dowódcami wiernymi księciu, jak również z kierownikami komórek terrorystycznych, w większości powiązanych z Al-Kaidą. Tam pan pozna szczegóły co do sił i środków pańskiego oddziału. Od tej chwili może pan decydować, co będzie jeszcze potrzebne: ciężarówki, transportery opancerzone, może artyleria, śmigłowce czy nawet czołgi... wszystko będzie dostępne, ale pan musi zaplanować całą operację, zwłaszcza atak na pałac królewski, zapewnić łączność i tak dalej.

–I za to zapłacicie mi dziesięć milionów dolarów plus pięć milionów premii, gdy kampania zakończy się powodzeniem. A co potem? Mam zostać w Rijadzie?

–Nie. Wyjedzie pan, najprawdopodobniej w ciągu kilku dni. Będzie na pana czekał nasz odrzutowiec, którym przyleci pan prosto na lotnisko w Pau-Pyrenees.

–A kto ma zlikwidować króla, jego rodzinę i najbliższych doradców?

–Myślę, że ten zaszczyt pozostawimy panu. W ten sposób

nie będzie błędów – rzekł Savary. – Pańska reputacja mówi sama za siebie.

Gamoudi dolał sobie kawy.

–Jak długo miałbym być w Rijadzie?

–Kilka miesięcy. Przez cały czas będzie pan miał osobistą ochronę, powiedzmy, sześciu byłych saudyjskich oficerów, starannie dobranych, znających kraj i mu oddanych, ale takich, którzy mają dość króla i jego świty. Poruszać się pan będzie rządowym samochodem z szoferem. W Rijadzie ich nie brakuje, a pański zapewni księżę. Do dalszych podróży otrzyma pan od niego śmigłowiec sił powietrznych. Zdążycie się z następcą tronu dobrze poznać.

–A jeśli odmówię?

–Nie odmówi pan, pułkowniku. Jest pan żarliwym muzułmaninem. Islam pana potrzebuje i wzywa do boju, a pan jak zwykle odpowie na ten zew.

–Ale przecież muszą być inni? Młodszy ode mnie oficerowie, z równie dobrymi kwalifikacjami.

–Wybraliśmy pana, Jacques. Tylko dwaj ludzie wiedzą o naszej decyzji. Prezydent i minister spraw zagranicznych.

–Ach, więc nikt ważny – zaśmiał się Gamoudi. – Lepiej trzymać sprawę na niskim szczeblu, co?

–A co sądzisz o honorarium? – spytał Jobert.

–Cóż, taka suma mogłaby skusić każdego. Ale dlaczego w dolarach?

–Ty pierwszy o nich wspomniałeś. Powiedziałeś, że nie podejmiesz się tego i za milion dolarów, a ja poszedłem tym torem, ponieważ to Saudyjczycy będą ci płacić, właśnie w dolarach, choć za naszym pośrednictwem, dla dobra Francji.

–Czy mam jeszcze prawo wyboru? Co zrobicie, jeśli odmówię?

–Myślę, że byłoby to wyjątkowo nierozsądne – odparł generał. – Wybraliśmy ciebie. To dla Francji największa operacja od czasu drugiej wojny światowej. Znacząca dla nas więcej niż którekolwiek z przedsięwzięć naszego rządu od wstąpienia do Unii Europejskiej. Zapewni nam dobrobyt na całe następne stulecie.

–Tak, tego się domyślam.

Pułkownik Gamoudi znów wydawał się przytłoczony ogro-

mem przedstawionego mu planu. Raz jeszcze zaczął chodzić po pokoju, po czym w końcu zapytał:

–Dlaczego ja?

W głosie Joberta po raz pierwszy pojawił się odcień zniecierpliwienia.

–Dlatego, że jesteś doświadczonym żołnierzem frontowym. Znasz się na dowodzeniu i na takich akcjach. Potrafisz rozłokować siły, rozpoznać decydującą oś ataku, wiesz, co trzeba zrobić. Poza tym jesteś ekspertem od materiałów wybuchowych. Najważniejsze jednak, że jesteś muzułmaninem, wiesz, jak z nimi pracować, i w ich środowisku jesteś jak w domu. Przy potężnym wsparciu wojskowym i finansowym Francji i Arabii Saudyjskiej szanse powodzenia operacji są bardzo duże.

Gamoudi stał przez chwilę nieruchomo, po czym spytał:

–Jak i kiedy miałbym otrzymać zapłatę?

Wyczuwając, że opór Myśliwego słabnie, Savary przejął inicjatywę.

–Otrzymasz pięć milionów po ustnym wyrażeniu zgody na przyjęcie zadania, płatne przelewem na rachunek, jaki założymy na twoje nazwisko w Bank of Boston, oddział przy Champs-Elysee sto cztery. Tylko ty będziesz mógł nim rozporządzać. Kiedy pieniądze wpłyną, nikt poza tobą i twoją żoną nie będzie mógł ich ruszyć, chyba że sam zadecydujesz inaczej. Wystawimy na to odpowiednie dokumenty bez opcji odwołania.

–A druga rata?

–Przekażemy ją na ten sam rachunek dwie doby przed rozpoczęciem ataku. Będziesz mógł sprawdzić, czy wpłynęła. Sprawa prosta: nie ma pieniędzy, nie atakujesz. – Savary przerwał na chwilę. – Jacques... Zapewniam cię, że ta drobna suma jest najmniejszym problemem, przed

**jakim Francja i Arabia będą w tym momencie stały.**

**–Czy będę zobowiązany trzymać pieniądze we Francji? A co z podatkiem?**

**–Pułkowniku, otrzyma pan list podpisany przez prezydenta, dożywotnio zwalniający pana i żonę z wszelkich należności fiskalnych – powiedział Jobert.**

**Gamoudi gwizdnął przez zęby.**

–A moja premia?

Savary wiedział już, że są na dobrej drodze.

–Będzie wypłacona w formie bezzwrotnego, gwarantowanego czeku bankierskiego na ręce pańskiej żony, ale wystawionego z datą miesiąc po operacji. Czek prześlemy jej w tym samym czasie, kiedy wypłacimy drugą ratę.

–A jeśli atak się nie powiedzie?

–Wówczas nasi emisariusze przyjadą odebrać czek.

–A gdybym zginął w akcji?

–Żona zatrzyma czek i będzie mogła go zdeponować na rachunku.

–Co będzie, gdyby wstępny atak z morza zawiódł i instalacje naftowe ocalały?

–Wtedy całą operację odwołujemy. Pan zatrzymuje pierwsze pięć milionów i wraca do domu.

–Co z drugą ratą?

–Pułkowniku, dziesięć milionów płacimy za zaatakowanie i zdobycie Rijadu – odparł sucho Savary. – Jasne, że jeśli ataku nie będzie, pieniędzy pan nie dostanie. Atak zaś będzie niemożliwy, jeżeli król zachowa kontrolę nad armią. A to mu się uda tylko wtedy, gdy ropa nie przestanie płynąć. Wszystko zależy od unieruchomienia saudyjskiego przemysłu naftowego.

–Tak, wszystko jasne. I bardzo kuszące – przyznał Ga-moudi.

Goście z Paryża słuchali cierpliwie, podczas gdy pułkownik sam przed sobą głośno usprawiedliwiał decyzję, wymieniając po temu powody:

–Przeciwnik będzie osłabiony, może nawet nie mieć ochoty

walczyć. Myślę, że ten wasz książę ma rację... żadna armia

nie zechce bić się za kogoś, kto może im nie zapłacić. Żpnie-

rze też mają żony i dzieci... Saudyjczycy mogą uznać, że nie

mają innego wyboru, jak tylko przejść na służbę nowej wła-

dy... w ten sposób zachowują pensje. Powstanie ludowe jest



**często najłatwiejszą z operacji wojskowych: strona przeciwna ma zbyt wiele powodów, by nie walczyć... nie chodzi tylko o pieniądze, wojsko niechętnie strzela do swoich i często się zdarza, że odmawia wykonania rozkazu...**

**Korzystając z chwili zamyślenia gospodarza, Savary wstał**

**65**

**i spojrzał na generała, który ledwo dostrzegalnie skinął głową.**

**–Jacques, nie wątpię, że chcesz to przedyskutować z żoną – powiedział szef DGSE. – Pomyśleliśmy, że damy ci tydzień do namysłu. Oto nasze wizytówki z bezpośrednimi telefonami.**

**Jeżeli zdecydujesz się na to zadanie, zadzwoń do kogokolwiek z nas i powiedz tylko, że chcesz porozmawiać. Nic więcej.**

**Odłóżysz słuchawkę i będziesz czekał. A na razie pamiętaj, że jedynymi ludźmi w całej Francji, którzy cokolwiek wiedzą o tej sprawie, są prezydent, minister spraw zagranicznych, my trzej i dwóch admirałów z marynarki. Siedem osób. Wiem, że nie muszę wspominać o konieczności zachowania absolutnej tajemnicy. Znamy twoje dossier.**

**Po tych słowach goście pożegnali się z przewodnikiem górskim, ale na odchodnym Savary miał jeszcze jedno, ostatnie pytanie:**

**–Dlaczego akurat Hooks? Dziwne nazwisko jak na Francuza...**

**Gamoudi się roześmiał.**

**–Och, to nazwisko amerykańskiego ambasadora, którego**

**ewakuowaliśmy z Brazzaville w dziewięćdziesiątym dziewiątym.**

**tym. W sumie czternastu obywateli USA. Pan Aubrey Hooks**

**był porządnym i dzielnym człowiekiem.**

**Dwa miesiące później, sierpień 2009 r.**

**Droga na ulicę Bab Touma w zabytkowej części Damaszku była długa, trudna i nie pozbawiona emocji. Trzeba było niezliczonych kontaktów z Hezbollahem, jeszcze więcej z odpowiednimi służbami irańskimi, wielu sekretnych rozmów z członkami Al-Kaidy, najczęściej reżyserowanych przez księcia Nasira, a w końcu wymiany serii e-maili z przywódcami najgroźniejszej z grup terrorystycznych, palestyńskiego Ha-masu. Ostatecznie jednak Savary i Jobert dopięli swego. Syryjski samochód rządowy z dwoma ochroniarzami przywiózł ich pod drzwi dużego domu niedaleko zabytkowej bramy w średniowiecznych murach miejskich – dyskretnej i dobrze chronionej posiadłości szefa operacji militarnych Hamasu,**

generała Rawiego Raszuda, i jego pięknej palestyńskiej żony Szakiry.

Księżę Nasir nieustępliwie upierał się przy jego zaangażowaniu. „Potrzebujemy tego człowieka. Wnieście wojskową dyscyplinę i dobrze uzbrojonych, doświadczonych arabskich bojowników. Nie możemy zniszczyć bazy lotniczej przy pomocy amatorów, a dowódca sił Hamasu jest najlepszy z najlepszych”. Teraz Gaston Savary i generał Jobert mieli spotkać się z tym człowiekiem na jego własnym terenie – jako sprzymierzeńcy. Francja miała głębokie powiązania z Syrią, ale w tym wypadku kluczem do mającej za chwilę nastąpić rozmowy było coś innego: świadomość, że nigdy nie dojdzie do powstania jednej islamskiej wspólnoty od Zatoki Perskiej po atlantycki brzeg Maghrebu, dopóki Arabia Saudyjska będzie stała jedną nogą po stronie Stanów Zjednoczonych. Wiedział to każdy fundamentalista: jest coś zdradzieckiego, niearabskiego w postępowaniu al-Saudów, którzy chcieli i uciekać z lisem, i gonić z chartami.

Taka była przyczyna dzisiejszego spotkania. Dwaj Francuzi wchodzili do domu najbardziej osławionego terrorysty, jakiego znał świat, mając w zanadrzu propozycję, która zmieni wszystko. Generał Raszud, Irańczyk z pochodzenia, wychowany w Anglii, były wysoki oficer brytyjskich sił specjalnych SAS, przyjął ich bardzo gościnnie. Drzwi otworzył im szczupły młody Syryjczyk w tradycyjnym stroju arabskim. Skłonił lekko głowę i powiedział:

–Generał Raszud oczekuje panów.

Poszli za nim długim, jasnym korytarzem z kamienną podłogą ku zamykającym go wysokim podwójnym drzwiom z ciemnego drewna. Arab otworzył jedno skrzydło i gestem dał im znak, by weszli. Przybyli z nimi ochroniarze zajęli stanowiska na zewnątrz.

Pokój nie był duży. Raszud był sam, zgodnie z ustaleniami. Siedział za szerokim, antycznym biurkiem pokrytym zieloną skórą, na którego lewym skraju stał srebrny serwis z herbatą, przyniesiony w chwili, gdy samochód zatrzymał się przed bramą. Po prawej leżał rewolwer i oprawny w skórę egzemplarz Koranu.

Rawi Raszud wstał i wyszedł gościom na spotkanie. Był

mężczyzną mocno zbudowanym, o krótkich czarnych włosach i postawie zdradzającej sprawność i sprężystość. Miał na sobie spłowiałe džinsy i luźną białą koszulę. Przywitał ich tradycyjnym arabskim „salaam alejkum”. Po wymianie powitalnych grzeczności nalał herbaty parzonej ze świeżej mięty.

– Witajcie w moim domu – powiedział. – Czasu jednak nie mamy wiele. Nie powinniście tu zabawić zbyt długo, z wielu powodów. W Damaszku ściany i drzewa mają uszy.

– Nie inaczej jest u nas – odrzekł Savary. – Paryż jest jednak większy i dlatego sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana.

Raszud skwitował to uśmiechem, przechodząc od razu do rzeczy.

– Zostałem, ma się rozumieć, dokładnie zapoznany z waszym planem. Przystudiowałem wszystkie jego aspekty i wierzę, że każdy Arab i prawowierny muzułmanin przyjmie go z aprobatą. Ekscesy saudyjskiej rodziny królewskiej naprawdę przechodzą wszelkie granice, poza tym wszyscy się zgadzamy, że dopóki Rijad pozwala sobą rządzić Waszyngtonowi, nie może być mowy o wielkim państwie islamskim.

– Rozumiemy to aż za dobrze – potwierdził Jobert. – Sytuacja się pogarsza z miesiąca na miesiąc, a król zdaje się tolerować nawet najgorsze wybryki swoich młodych krewnych. Czytał pan zapewne o niedawnej śmierci jednego z książąt w Monako? Król po prostu nie chce o tym rozmawiać. Według naszych źródeł następca tronu, książę Nasir, jest jedyną nadzieją tego kraju na odrodzenie i zajęcie należnego mu miejsca w świecie islamskim.

– A jak rozumiem, jedyną nadzieją księcia jest obalenie króla i jego reżimu – odrzekł Raszud. – To zaś może nastąpić tylko po zniszczeniu saudyjskiego przemysłu naftowego, unieszkodliwieniu armii i ataku na Rijad.

– Tak to się przedstawia w ogólnym zarysie. Głównym założeniem jest uniemożliwienie wydobycia i eksportu ropy. Wyznaczone do zniszczenia obiekty byłyby wyłączone z gry na jakieś dwa lata. Jeśli to osiągniemy, pozycja króla drastycznie osłabnie. W Rijadzie i tak już wrze. Groźba bankruc-

two kraju powinna być dla ludzi wystarczającą zachętą do powitania nowego rządu z otwartymi ramionami.

– Nie sądzę, abyśmy mogli zaatakować jedną z tych głównych baz. – Raszud pokręcił głową. – Są zbyt wielkie, potężnie ufortyfikowane i silnie bronione. Pomyśleliście o lotniskach wojskowych?

**–Jak najbardziej – odrzekł Jobert. – Uważamy, że naszym celem powinna się stać baza lotnicza króla Chalida przy Chamis Muszajt. Jeżeli uda się nam zniszczyć samoloty na ziemi i ją opanować, będziemy mogli zaatakować sztab głównej bazy i zmusić ich do kapitulacji. Proszę pamiętać, że dowództwo bazy będzie już wiedziało, że zmiotliśmy z powierzchni instalacje naftowe i unieszkodliwiliśmy dużą część sił powietrznych. Myślę, że mogą być skłonni do negocjacji. A jeśli Chamis Muszajt skapituje, prawdopodobnie pociągnie to za sobą załamanie się także reszty armii, zwłaszcza że w tym czasie telewizja będzie już nadawać apele o lojalność wobec nowego króla.**

**–Tak, to chyba realny scenariusz – zgodził się Raszud. – Ale czego właściwie oczekujecie ode mnie?**

**–Chcielibyśmy, aby podjął się pan przeszkolenia oddziałów, które zaatakują bazy w Chamis Muszajt, i objął dowodzenie tą operacją. Poza tym musiałby pan pozostawać w stałej łączności z dowódcą ataku na Rijad i pomóc mu w ostatnich fazach przewrotu.**

**–A skąd weźmiemy te oddziały? Będę potrzebował fachowców.**

**–Dostanie pan francuskich komandosów, dobrze wyszkolonych i doświadczonych. Oczekujemy też, że znajdzie pan kilkunastu własnych zaufanych ludzi. Przewodników, a także dodatkowych bojowników, jeśli zajdzie taka potrzeba, dostarczy saudyjska Al-Kaida.**

**–Na trening i koordynację będę potrzebował kilku miesięcy – powiedział Raszud. – Gdzie będzie nasza baza szkoleniowa?**

**–We Francji, w tajnych ośrodkach naszych sił specjalnych. Przede wszystkim w koszarach 1. pułku morsko-spa-dochronowego.**

**–A potem?**

–Końcowy trening odbędzie się w Dżibuti. Stamtąd zostaniecie przerzuceni do Arabii Saudyjskiej.

–Jak?

–To już pozostawiamy pańskiej inwencji. Ma pan większe doświadczenie w tych sprawach.

General Raszud skinął głową.

–Jak sędzę, z budżetem nie będzie problemu?

–Najmniejszego. Dostanie pan wszystko, co będzie potrzebne.

–A ja osobiście co z tego będę miał?

–Przy tak patriotycznej misji dla sprawy islamu... przemknęło nam przez myśl, że być może zrobiłby pan to za darmo.

–Zła odpowiedź.

–Nie? Nawet jeżeli przyczyniłoby się to do powstania zjednoczonego państwa islamskiego?

–Nawet dla takiej sprawy... nie.

–Nie wstyd panu, generale? Mówiono mi, że jest pan idealistą.

–Po części. Jeśli jednak uda mi się zrealizować te zadania, to wyobrażam sobie, że w stronę Francji popłynie rzeka miliardów petrodolarów. W przeciwnym razie by was tu nie było. Wy idealistami nie jesteście, dla was to tylko i wyłącznie interes. Ja zaś nie bywam wolontariuszem na rzecz chciwych zachodnich rządów, choć doceniam filantropijny aspekt waszej propozycji.

–Ma pan jakąś liczbę na myśli?

–Za ryzykowanie życia? Owszem, niemałą.

–Ile? – spytał Savary.

–Dziesięć milionów dolarów. Do tego premia w razie powodzenia akcji.

Jobert skinął głową bez słowa.

**–Do tego jest jeszcze Hamas – ciągnął Raszud. – Trzeba będzie też zapłacić, powiedzmy, dwudziestu ludziom... myślę, że w granicach stu tysięcy na głowę.**

**–A ile, według pana, zażąda Hamas?**

**–Za pozbycie się na pół roku swojego głównodowodzącego? Pewnie także z dziesięć milionów.**

**–To bardzo duże pieniądze – zauważył Savary.**

70

**–Nie dla Saudyjczyków. I nie próbujcie mi wmawiać, że to Francja płaci z własnej kieszeni, bo wiem, że to nie może być prawda.**

**–A o jakiej premii pan myślał?**

**–Jeżeli zdobędę bazy na południu i skutecznie pomogę waszemu drugiemu dowódcy w Rijadzie osadzić na tronie księcia Nasira, będę oczekiwał kolejnych pięciu milionów dolarów.**

**–To chyba możemy zagwarantować – oznajmił Jobert. – Chcemy, żeby w ciągu następnych dwóch tygodni wpadł pan na krótko do Paryża, na spotkanie z tym, jak to pan określił, drugim dowódcą. Przez najbliższe miesiące będziecie ściśle współpracować. Nie mamy czasu do stracenia.**

**–Jeżeli zagwarantujecie absolutne bezpieczeństwo i tajemnicę, zrobię to z przyjemnością – odrzekł Raszud. – Teraz jednak powinniśmy się pożegnać. Będziemy się nadal komunikować za pośrednictwem ambasady syryjskiej w Paryżu. Potwierdzę też do tego czasu zgodę moich przełożonych z rady Hamasu.**

**Uścisnęli sobie dłonie. Samochód zawiózł gości Raszuda prosto na lotnisko, pod schodki oczekującego na nich samolotu francuskich sił powietrznych. Po kilku godzinach byli w Paryżu.**

**Czwartek, 26 sierpnia 2009 r. Międzynarodowy port lotniczy w Damaszku**

**Dwudziestoczteroletni Daniel Mostel był jednym z paru tysięcy Żydów mieszkających w Damaszku. Jego rodzicom, ustosunkowanym właścicielom dobrze prosperującej firmy wynajmu samochodów, z lukratywnymi kontraktami rządowymi, odpowiadała atmosfera religijnej swobody, jaka panuje w syryjskiej stolicy, i zawsze opierali się pokusie emigracji do Izraela. Daniel pracował w kontroli ruchu lotniczego i miał ambicje zostać pilotem. Większość wieczorów spędzał na nauce, przygotowując się do egzaminów do Air France. Weekendy poświęcał na kurs pilotażu w szkole na drugim, mniejszym stołecznym lotnisku Aleppo.**

Choć rodzina Mostelów żyła w Syrii od kilku pokoleń, jego dziadek ze strony matki mieszkał w Izraelu podczas wojen w 1967 i 1973 roku. Jego opowiadanie o odwadze tego narodu tak poruszyło serce wnuka, że w rezultacie należał teraz do *sayanim*, tajnego wszechświatowego bractwa żydowskiego, którego członkowie gotowi byli zrobić wszystko dla swojej ojczyzny. Tego akurat upalnego popołudnia bardzo go dziwił widok airbusa w barwach Air France, stojącego z dala od innych samolotów, bez pasażerów i bez zgłoszonego planu lotu.

Krótko po szesnastej spostrzegł, że na pokład wchodzi załoga, a dziesięć minut później pod schody podstawione przy przednich drzwiach podjechał czarny samochód rządowy. Wsiadł z niego samotny mężczyzna i nie rozglądając się, szybko wspiął się do samolotu. Ubrany był w wyblakłe dżinsy, białą koszulę i jasnobrązową zamszową marynarkę, a poza małą skórzaną torbą nie miał bagażu. Daniel obserwował, jak natychmiast po jego wejściu drzwi zostały zamknięte, a wkrótce potem samolot zaczął kołować na pas startowy. Dwa stanowiska dalej szef zmiany mówił do mikrofonu: „Air France zero zero jeden, zezwalam na start”.

Daniel nie miał pojęcia, kim mógł być tajemniczy pasażer, ale dobrze wiedział, że poza nim i załogą na pokładzie nie ma nikogo. Airbus jest zaś zdecydowanie za dużą maszyną, by przewozić nim tylko jedną osobę. Nie mógł jednak zadawać zbyt wielu pytań; z całą pewnością nie był to jego interes i podobna dociekliwość mogła tylko ściągnąć na niego podejrzenie. Generał Raszud się nie mylił, mówiąc, że w Damaszku ściany i drzewa mają uszy.

Wyszedł na przerwę o siedemnastej. Na dziesięć minut opuścił teren lotniska; pojechał na odludne miejsce na otaczającej miasto pustyni i zadzwonił z komórki na pewien mało komu znany numer w mieszkaniu przy Palestine Avenue, w zachodniej części miasta. Zameldował o odlocie dziwnego francuskiego liniowca, podając jego sygnał wywoławczy, ewidentnie z księżycy wzięty numer lotu 001, czas startu (szesnasta trzydzieści) i kierunek lotu (na zachód) oraz informację, że leci nim pojedynczy pasażer, przywieziony przez samochód na rządowych numerach.



Dwadzieścia minut później zaalarmowani zostali agenci Mosadu w Kairze, Trypolisie, Bagdadzie, Tel Awiwie, Rzymie, Nicei, Paryżu, Londynie i Amsterdamie. Szefostwo izraelskiego wywiadu nie lubiło, gdy coś tajemniczego działo się czy to w Izraelu, czy w sąsiednich krajach, a oni nic o tym nie wiedzieli. To przedsięwzięcie nosiło zaś wszelkie znamiona tajnej operacji. Sygnał wysłany do agentów był lakoniczny: dowiedzieć się, kto leci lotem AF 001. Ponieważ bractwo *saya-nim* miało swoje wtyczki w każdym chyba porcie lotniczym i stacji kontroli lotów w Europie, ustalenie, że francuski airbus zmierza do Paryża, gdzie jest spodziewany o dziewiętnastej trzydziści czasu lokalnego, zajęło tylko pół godziny.

Na tarasie widokowym paryskiego lotniska Charles de Gaulle czekał uzbrojony w lornetkę Simon Baum, szef placówki Mosadu z podziemia ambasady Izraela. Obserwując, jak samolot podchodzi do lądowania, trafnie odgadł, że po-kołuje tam, gdzie na płycie czekał samochód rządowy – niedaleko miejsca, w którym ukryty za rzędem wózków bagażowych stał młody tragarz w służbowym kombinezonie, także członek *sayanim*, wyposażony w bardzo drogi aparat cyfrowy z teleobiektywem.

Tragarz także przyglądał się kołującemu airbusowi, który zatrzymał się nie dalej niż czterdzieści metrów od jego pozycji. Otworzyły się drzwi, na podest podstawionych natychmiast schodów wyszła stewardesa... Tragarz wycelował obiektyw i w chwili pojawienia się w nich pasażera nacisnął guzik. Automatyczny aparat z cichymi trzaskami wykonał serię trzech zdjęć. Pasażer odwrócił się do stewardesy i coś powiedział... klik... potem ruszył schodami w dół... klik... Obiektyw uchwycił go jeszcze dwa razy, zanim stanął na płycie i odwrócił się tyłem do tragarza, wsiadając do samochodu. Jeszcze jedno zdjęcie citroena z profilu, potem dwa kolejne przez tylną szybę, zanim wóz ruszył, szybko nabierając prędkości. Dziesięć fotografii. Po dwudziestu minutach aparat był już w torbie pana Bauma. Tragarz otrzymał swoje honorarium.

Citroen nie zatrzymywany przez strażników minął bramę. Z postoju ruszył za nim czarny peugeot i śledził go przez

całą drogę autostradą aż do północnych przedmieść Paryża. Rządowy wóz skręcił tam na obwodnicę w stronę Taverny i po kilkunastu minutach podjeżdżał pod bramę COS. Peugeot zaniechał dalszej obserwacji na dwie przecznice przed celem i odbił na południe, do centrum miasta, gdzie znajdowała się ambasada. Mosad wiedział już jednak dwie rzeczy: po pierwsze, tajemniczy gość z Damaszku zdążył do francuskiego dowództwa operacji specjalnych, a pod drugie, gospodarze naprawdę nie życzą sobie, aby ktokolwiek o tym wiedział.

Simon Baum wiedział doskonale, że niezwykle trudno śledzić kogoś, kogo przed takimi działaniami chroni armia. Jeżeli docelowy punkt przybysza znajduje się gdzie indziej na terenie kraju, po prostu poleci tam wojskowym samolotem lub śmigłowcem i na tym ślad się urwie. Baum wiedział, że musi polegać na siatce *sayanim*. Rozesłał też zdjęcia z lotniska Internetem do wszystkich biur i agentów we Francji. Pozostawało mieć nadzieję, że gdzieś coś wypłynie. Nie sądził, aby gość z Syrii mógł być szczególnie interesujący dla jego organizacji, ale Mosad nie zapracował sobie na swoje groźne imię, lekceważąc potencjalne tropy. Stał się najbardziej respektowaną służbą wywiadowczą świata właśnie dlatego, że niczego nie przegapił, niczego nie zostawiał losowi i do wszystkich problemów podchodził z maksymalnym zaangażowaniem.

Tak, jak się Baum spodziewał, coś gdzieś wypłynęło. Co dziwne, pierwszy zakodowany e-mail nadszedł z kierownictwa w Tel Awiwie. Sformułowany był lakonicznie i beznamiętnie: „Gość w Paryżu – generał Rawi Raszud, szef Hama-su, b. major SAS Ray Kerman. Zlikwidować”.

Simon Baum szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w nazwisko najbardziej poszukiwanego człowieka w Izraelu. Major Ray Kerman, dezertor w bitwie o Hebron przed trzema laty. Kerman, który zdobył najściślej strzeżone więzienie Nimrod i odbił wszystkich trzymany tam najgroźniejszych więźniów politycznych w kraju. Ten sam, który spustoszył zachodnie wybrzeże USA, terrorysta, za którym uganiały się największe wywiady świata... A teraz siedzi sobie w Paryżu, je kolację z szefami francuskich sił specjalnych, pod ścisłą

ochroną rządu. Baum nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ale Mosad nie popełnia błędów. Jeśli mówią, że to jest szef Ha-masu, to tak musi być.

Ale... zlikwidować? *Mon Dieu!* Oni chyba żartują. Niewykonalne. Nie tym razem. Tej nocy Simon nie przespał. Tkwił w swoim biurze pod ambasadą, sącząc mocną turecką kawę z koniakiem, czyli w paryskim słowniku *cafe complet*, i bez przerwy sprawdzał pocztę.

Noc minęła jednak spokojnie, tak jak i następny dzień. Simon pracował gorączkowo, przeglądając dziesiątki elektronicznych listów do wczesnego popołudnia, kiedy po prostu zasnął nad kolejną wystygłą kawą. Spał jeszcze, kiedy w niebo nad Taverny wzbił się śmigłowiec dalekiego zasięgu SA 365-7 Dauphin 2 ze znakami piechoty morskiej, wiozący dowódcę operacji specjalnych generała Joberta i Rawiego Raszuda, i skierował się najpierw na południowy zachód, by ominąć Paryż i tory podejściowe lotniska Orły, a potem na południowy wschód, ku Lyonowi, i dalej wzdłuż doliny Rodanu do Marsylii, a raczej na małe lotnisko Legii Cudzoziemskiej w Aubagne, piętnaście kilometrów na wschód od drugiego co do wielkości miasta Francji.

Poszłoby zupełnie gładko, gdyby nie to, że na wieży kontrolnej małego regionalnego lotniska w pobliżu miasteczka Mions pod Lyonem pełnił akurat dyżur niejaki Mosze Benson. Spostrzegł na swoim radarze lecący na pułapie trzech tysięcy metrów ponad winnicami Beaujolais śmigłowiec i od razu się zorientował, że to maszyna wojskowa. Nie nadawał sygnału rozpoznawczego, co było trochę dziwne, choć francuskie lotnictwo często operuje z pewną dozą nonszalancji wobec cywilnych przepisów o ruchu powietrznym. Mosze musiał jednak postępować zgodnie z nimi i zadzwonił do wieży kontrolnej w Marsylii, zgłaszając oficjalnie, że niezidentyfikowany wojskowy helikopter właśnie przemknął z dużą prędkością przez jego obszar i żeby na niego uważali.

Tymczasem Simona Bauma obudził telefon od jednego z agentów z informacją, że godzinę wcześniej dauphin piechoty morskiej opuścił kompleks w Taverny, kierując się na południe. Szef placówki natychmiast zadzwonił do czterech *sayanim* pracujących na różnych lotniskach – w okolicach

Dijon, Limoges, Lyonu i Grenoble. Jedynym, który odpowiedział na rzucone hasło, był Mosze Benson.

Baum wiedział, że dauphin ma zasięg do ośmiuset kilometrów, a z Paryża do Marsylii jest niecałe siedemset. Jeżeli nie była to wycieczka w celu podziwiania Riwiery z lotu ptaka, śmigłowiec najprawdopodobniej zmierzał właśnie do Marsylii, a raczej do bazy wojskowej w Aubagne. Baum zadzwonił do dwóch najlepszych tamtejszych agentów i polecił im natychmiast tam zaszuwać. Na wszelki wypadek postawił też w pogotowie swojego człowieka z marsylskiego lotniska międzynarodowego.

I takim to sposobem, kiedy pod wieczór dwaj generałowie lądowali na terenie koszar Legii Cudzoziemskiej, dwieście metrów od ich bramy stał zaparkowany niepozorny peugeot. Agenci Bauma z silnymi lornetkami obserwowali nadlatującą maszynę, a teraz czekali, aż na ulicy pokaże się sztabowy samochód z jednym lub dwoma pasażerami.

Doczekali się już po czterech minutach. Kiedy citroen Joberta ruszył w stronę miasta, tuż za nim do ruchu włączył się jego cień z Mosadu – i to cień groźny. Jadący w peugeocie mężczyźni nie byli zwykłymi agentami, ale raczej specami od mokrej roboty.

Samochód Joberta dojechał do samego centrum Marsylii, kierując się na zachód długim głównym bulwarem La Can-nebiere aż do Port Vieux, starego marsylskiego portu, dziś popularnej dzielnicy najlepszych restauracji, barów i sklepów. Dojechawszy nad samo kamienne nabrzeże, skręcił w prawo, na Quai du Port, i niemal natychmiast odbił z powrotem na wschód, w labirynt malowniczych uliczek. Zatrzymał się raptownie przed schodkami słynnej na całym świecie restauracji rybnej „L'Union”. Jobert i Raszud wysiedli i spiesznie weszli do środka. Duże mahoniowe drzwi już się za nimi zamknęły, zanim na placzyk skręcił peugeot izraelskich agentów. Spostreegli oni jednak śledzony samochód parkujący akurat tyłem o dwadzieścia metrów od nich i domyślili się, że pasażerowie zdążyli zniknąć w lokalu. David Schwab wyskoczył na trotuar i stanął przed restauracją, podczas gdy jego kolega zajął się szukaniem miejsca postojowego.

Pięć minut później obydwaj weszli do wyłożonego boaze-

rią baru w „LTJnion”. Restauracja była zatłoczona i panował w niej zwykły gwar. Wśród czekających na stolik ludzi rozpoznali od razu znanego im ze zdjęć Bauma generała Raszu-da. Żaden z nich nie mógł zidentyfikować jego towarzyszy, generała Joberta i trzeciego mężczyzny. Żaden nie domyślał się nawet, że jest świadkiem historycznej chwili: pierwszego spotkania wojskowego szefa Hamasu i pułkownika Jacques'a Gamoudiego – dwóch dowódców, którzy mieli pokierować atakiem na Arabię Saudyjską.

Okolo dziewiętnastej trzydzieści szef sali zaprowadził generała Joberta i jego gości do szerokiego dębowego stołu w rogu sali, nakrytego obrusem w biało-czerwona szachownicę, z dwiema świeczkami zatkniętymi w pustych butelkach po Chateau Petrus, najdroższym z win bordoskich. Usiedli po trzech stronach; żaden z nich nie zwrócił się plecami do wejścia. Gamoudi i Raszud szybko nabrali do siebie wzajemnie szacunku. Potoczyła się rozmowa, której głównym tematem były pojazdy opancerzone niezbędne do frontalnego szturmu na pałac królewski w Rijadzie. Rawi Raszud preferował cichsze rozwiązanie: skryty atak na nie podejrzewających niczego wartowników, a potem unieruchomienie przez transporter bramy w pozycji otwartej. Gamoudi był skłonny raczej uderzyć zdecydowanie: staranować bramę czołgiem, zza którego piechota mogłaby ruszyć do szybkiego natarcia.

–W mojej wersji jest mniej prawdopodobne, że poniesiemy straty – tłumaczył Raszud. – Dysponując elementem zaskoczenia, będziemy panowali nad całą sytuacją. Czołgi są cholernie hałaśliwe i na długo przed dotarciem do pałacu postawią ich wszystkich na nogi.

–Mają za to inną zaletę: są przerażające – odparł Myśliwy. – Niewykluczone, że samo ich pojawienie się skłoni gwardię do kapitulacji.

Do stolika podszedł kelner. Zamówienie było proste i szybkie: włoskie *antipasti*, waza *bouilabaisse* dla trzech i białe wino z Jurancon.

–Myślę, że naszym podstawowym problemem będzie przemycenie do Arabii ludzi z grupy mającej zaatakować bazę lotniczą w Chamis Muszajt – rzekł Rawi.

–Niezły temat do konwersacji na zupę rybną – zaśmiał

się Gamoudi. – W obu przypadkach morze ma istotne znaczenie.

Jobert mu zawtórował. Rozmowa zeszła na kwestię newralgiczną: jak przedostać się niepostrzeżenie na południowo-zachodnie wybrzeże saudyjskie.

–Tobie to dobrze, Jacques – stwierdził Raszud. – Twój ludzie są już na miejscu i będą gotowi, gdy tylko się zjawisz. Ja muszę swój oddział najpierw przerzucić do kraju, a to łatwe nie będzie. Nie wiem, czy Saudyjczycy potrafią walczyć, ale na pewno będzie ich tam bardzo dużo. Trzeba będzie zachować jak największą ostrożność.

–Bezsprzecznie, generale – zgodził się Gamoudi. – Moja operacja w pełni zależy od wieści z Chamis. Zanim zaatakuję, wojsko w Rijadzie musi wiedzieć, że na południu padł duży garnizon.

Rawi skinął głową, ale w tej chwili kelner przyniósł główne danie, rozmowa więc płynnie przeszła na tematy lżejszego kalibru. Najważniejsze decyzje zostały podjęte; Raszud i Gamoudi przyjęli zlecenie i plan księcia Nasira miał zostać wprowadzony w czyn. Nie było sensu dalej o nim dyskutować przy kolacji – teraz był czas na chwilę wytchnienia, zanim przyjdzie się wziąć ostro do pracy.

Właśnie w tym momencie w wejściu na salę stanęli agenci Schwab i Jazy, teraz ubrani w długie, czarne skórzane płaszcze. Gamoudi zwrócony był do nich twarzą, Jobert i Raszud bokiem. Pułkownik natychmiast zwrócił na nich uwagę, ale był zupełnie zaskoczony, kiedy nagłym ruchem wyrwali spod płaszczy pistolety maszynowe AK-47. Wydawało mu się, że lufy kałasznikowów unoszą się w jego stronę jak w zwolnionym tempie, choć trwało to mgnienie oka. Pchany instynktem weterana wielu bitew chwycił za blat stołu i gwałtownym podrzutem przewrócił go w stronę napastników. Talerze z niedojedzoną *bouillabaisse*, sztucce i butelkowe świeczniki pofrunęły z brzękiem na podłogę. Lewą ręką schwycił Raszu-da za kark, prawą generała Joberta za ramię i pociągnął obu za tę zaimprovizowaną barykadę. Pierwsza seria z automatu wbiła się w dębowy blat. Pociski z gwizdem śmigły po sali przy wtórze ogłuszającego huku wystrzałów. Dwaj kelnerzy leżeli na podłodze z krwawymi plamami na koszulach.

Restauracja w jednej chwili zamieniła się w pobojuwisko. Porcelanowa zastawa pękała od uderzeń, kobiety krzyczały, wszyscy w panice rzucali się na podłogę i usiłowali znaleźć jakiegokolwiek schronienie, pełzając między stolikami. Kolejna długa seria uświadomiła trzem oficerom, że przeciwnicy posuwają się naprzód. Jacques Gamoudi wyciągnął jedyną broń, jaką miał przy sobie – swój nieodłączny myśliwski nóż; Rawi wydobyl z ukrytej pod marynarką kabury rewolwer.

–To na ciebie polują, *mon ami* – rzucił do niego pułkownik. – Ja się zajmę tym z lewej, ty bierz drugiego. Generale Jobert, proszę się nie ruszać z za stołu.

Myśliwy rzucił się pod sąsiedni stół, długim ślizgiem, a potem na czworakach, póki nie dotarł za gruby środkowy filar. Łatwo było śledzić jego ruchy po smudze zniszczenia, jaką za sobą zostawiał – przewracane stoliki i krzesła, fruujące na boki porcje znakomicie przyrządzonych *fruits de mer* i świeczki, gaszone strugami wina z rozbitych butelek i kieliszków – ale ze strzelaniem było już trudniej, Gamoudi bowiem ani na chwilę nie wysuwał się spod osłony. Izraelczycy robili jednak, co mogli. Agent Jazy cofnął się nieco ku wejściu, starając się osłaniać kolegę i wypatrywać szarżującego Gamoudiego, podczas gdy Schwab ruszył naprzód ku stołowi, za którym krył się jego cel.

Myśliwemu jakoś jednak udało się zająć agenta od tyłu. Skoczył ku niemu jak puma i wbił mu w gardło nóż, przecinając tętnicę szyjną i tchawicę. Jazy nie zdążył nawet wydobyć z siebie głosu. Wypuścił z rąk kałasznikowa, ale nie upadł, przytrzymywany w silnym uścisku Gamoudiego; po chwili już nie żył.

David Schwab obrócił się błyskawicznie, kierując lufę peemu ku pułkownikowi, który jak tarczą zasłaniał się bezwładnym ciałem Jazy'ego. Zawahał się przez sekundę przed naciśnięciem spustu... Rawi Raszud jeszcze szybszym ruchem niż Gamoudi wysunął się po podłodze z za stołu i strzelił mu dwukrotnie w tył głowy. Bezsilnie bijąca w sufit seria pocisków z AK-47 była jedyną odpowiedzią Izraelczyka.

Cała sala była spryskana krwią. Piętnaścioro gości odniosło rany, w tym pięcioro ciężkie. Zginęły cztery osoby z personelu restauracji, które w początkowych sekundach strzelani-

ny znalazły się na linii ognia. Wszystko odbyło się tak szybko, że nikt nie zdążył sięgnąć po telefon, by wezwać policję czy ambulans. Ocalali pracownicy wciąż byli w szoku albo po prostu bali się opuścić schronienie.

Gamoudi i Raszud podnieśli generała Joberta na nogi i cała trójka biegiem wypadła z restauracji, po drodze chwytając z podłogi oba kałasznikowy. Zaalarmowany odgłosem wystrzałów szofer podjechał już pod wejście. Pospiesznie zajęli miejsca, a generał rzucił:

–Do Aubagne! I przyciśnij gaz. Jedź bocznymi drogami,

nie autostradą.

Citroen ruszył z piskiem opon. Oddalwszy się od miejsca wydarzenia, kierowca prowadził tak szybko, jak na to pozwalał wieczorny marsylski ruch, nie zwracając jednak na siebie uwagi zbyt szaloną jazdą. Jego pasażerowie byli ludźmi poza wszelkim podejrzeniem: dwaj wyżsi oficerowie armii francuskiej i arabski generał, przebywający w kraju na zaproszenie rządu, zaangażowany w ściśle tajną operację zadekretowaną przez samego prezydenta.

–Kłopoty, sire? – zapytał kierowca, kiedy już byli o kilka przecznic od „LTJnion”.

–Niespecjalnie, Maurice – odrzekł Jobert. – Ot, dwóch amatorów popełniło głupi błąd. Ani słowa o tym nikomu, oczywiście. Nie było nas dziś w ogóle w Marsylii.

–Jasne, sire. Znam zasady.

## ROZDZIAŁ 3

Czwartek, 19 listopada 2009 r. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), Fort Meade, Maryland

Komandor porucznik Jimmy Ramshawe, osobisty asystent dyrektora najbardziej zaawansowanej technicznie organizacji wywiadowczej na świecie, za jaką uważana jest amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, po raz trzeci tej jesieni obserwował nagły, wysoki skok światowych cen ropy naftowej. Po raz pierwszy zwrócił na to uwagę we wrześniu, potem w październiku, a teraz znowu na nowojorskiej giełdzie NYMEX na Wall Street za baryłkę West Texas Intermediate żądano pięćdziesięciu trzech dolarów. Podobnie wyglądała sytuacja na międzynarodowej giełdzie naftowej (IPE) w Londynie: tego ranka, na kilka godzin przed otwarciem NYMEX, baryłka Brent Crude podskoczyła do pięćdziesięciu pięciu dolarów, ale po południu spadła znów do poprzedniego poziomu czterdziestu ośmiu dolarów i dziewięćdziesięciu pięciu centów. Nie był to żaden dramatyczny trend, niemniej jednak stały. Gdzieś na świecie pojawił się nowy gracz, zapewne schowany za fasadą sieci



**międzynarodowych brokerów. I, jak to po swojemu soczyście ujął Jimmy Ramshawe, „Sukinsyn kupuje całe mnóstwo ropy... i to cholernie regularnie... ciekawe, kto to, u diabła, może być?”**

**Benzyna na amerykańskich stacjach kosztowała teraz cztery dolary za galon, co nikomu się nie podobało, a najmniej prezydentowi. W Wielkiej Brytanii osiągnęła poziom prawie dziewięciu dolarów. Jeżeli zaś Jimmy się nie mylił, wszystko to działo się za sprawą pojedynczego wielkiego nabywcy na rynku przyszłych dostaw, którego transakcje**

natychmiast windowały w górę ceny po obu stronach Atlantyku.

Komandor porucznik Ramshawe zachodził w głowę, jakim cudem tak poważnemu graczowi udaje się zachowywać zupełną anonimowość. Skupowanie prawa do przyszłego wydobycia ropy miało gigantyczny wymiar: ktoś uważał, że będzie potrzebował dodatkowego półtora miliona baryłek dziennie. Czterdzieści milionów miesięcznie!

–Pomnóżmy to przez czterdzieści dwa... – mrucał pod nosem Jimmy -...a wyjdzie nam, że jakiś cwaniak co miesiąc kupuje półtora miliarda galonów benzyny. Jezu, musi mieć mnóstwo samochodów...

W opinii młodego oficera pierwszym podejrzanym musiały być Chiny. Miliony samochodów i żadnych własnych źródeł paliwa... Ale przecież oni nie robiliby tego w taki sposób, rozumował. Nie kupowaliby na wolnym rynku drogich przy-szłościówek. Dogadaliby się raczej z Ruskimi albo z Kazachami czy Azerami. Nie, to nie mogą być Chinole.

Tym bardziej nie Rosja, która ma dość swoich zasobów w basenie Morza Kaspijskiego. Angole? Nie muszą, wystarczą im złoża pod Morzem Północnym... Japończycy? Nie... oni mają milutki długoterminowe kontrakty z Saudyjczykami i na benzynę, i na gaz ziemny. No, to w takim razie kto? Niemcy? Francja? Wątpliwe. Zwłaszcza jeśli chodzi o Francuzów, którzy od lat zmniejszają zapotrzebowanie na ropę, przestawiając się na energię jądrową. Jimmy zakładał jednak, że musi to być któryś z tych właśnie krajów, ponieważ żaden inny nie mógłby grać na taką skalę.

Miał teraz poważniejsze sprawy na głowie niż rynkowe turbulencje; niemniej zadzwonił na obie giełdy, zostawiając wiadomości dla swoich dwóch znajomych z prośbą, aby oddzwonili do niego do Fort Meade. Konsultował się już z nimi przy różnych naftowych kryzysach, a teraz nie chciał załatwiać tej sprawy oficjalnymi kanałami; chodziło mu tylko o odpowiedź fachowców, wskazówkę co do możliwej tożsamości tajemniczego nabywcy. Jimmy dobrze wiedział, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Jeżeli ktoś dokonuje masowych zakupów, to musi mieć bardzo konkretne motywy, a wobec tego należy je poznać i ocenić. Nie na darmo jego szef, admi-

rał George Morris, tak często mawiał, że „z tego Ramshawe'a jest cholernie dobry oficer wywiadu”.

Na odpowiedzi nie musiał czekać długo. Roger Smythson, bardzo poważny broker naftowy z Londynu, powiedział mu, że według niego bez wątpienia chodzi o państwo europejskie; zbadał już kilka tropów, które wskazują na Francję. Zamówienia nadchodzą od brokerów z Le Havre, największego morskiego portu francuskiego, w którym znajduje się też największa rafineria, Gonfreville 1'Orcher. Zdaniem Rogera na niektórych ogromnych tamtejszych transakcjach można by znaleźć odciski palców koncernu TotalFinaElf.

Nowojorski ekspert miał takie same podejrzzenia. Frank Carstairs, który pracował prawie wyłącznie dla Exxon, rzekł po prostu:

–Jimmy, nie wiem, kto to jest, ale postawiłbym na Francję. Wszystkie te zamówienia definitywnie pochodzą z Europy. W Marsylii działa pewien duży broker, który przez ostatnie miesiące wykazywał niespotykaną wcześniej aktywność.

–Marsylia to poważny rynek, prawda? Domena TotalFinaElf?

–Zgadza się. Skoncentrowana jest tam jedna trzecia francuskiego przemysłu przetwórczego. Terminal w Fos-sur-Mer to nasz Exxon. W Berre ma zakłady Shell, w Le Mede TotalFinaElf, a w Lavera BR Mają tam ogromny terminal gazowy i podziemne zbiorniki składowe LPG wielkości stadionu Yankees.

–LPG to skroplony gaz, Frank?

–Tak jest. W większości importowany z Arabii Saudyjskiej, jak zresztą większość kupowanych przez Francję surowców ropopochodnych.

–Dzięki za pomoc, Frank. Chciałem po prostu wiedzieć, co jest grane.

Natychmiast po odłożeniu słuchawki Jimmy zalogował się do Internetu i sprawdził aktualny bilans energetyczny Francji, piątej potęgi gospodarczej świata i jednego z największych producentów energii jądrowej. Przeczytał streszczenie najnowszej historii koncernu Total. W 1999 roku połączył się on z belgijską Petrofiną, a po fuzji z drugim gigantem, Elf Aqquitaine, stworzył kartel o niezbyt pomysłowej nazwie

TotalFinaElf – czwartą na świecie naftową spółkę giełdową, plasującą się tuż za ExxonMobil, Royal Dutch Shell i BP. Dysponuje ona udokumentowanymi rezerwami surowca w ilości 10,8 miliarda baryłek i zdolnością przerobową 2,1 miliona baryłek dziennie. Jest właścicielem ponad

**połowy francuskiego potencjału rafineryjnego, siódmym przetwórcą ropy naftowej świata oraz poważnym udziałowcem rurociągu transportującego ropę z Baku przez Gruzję do odległego o ponad tysiąc siedemset kilometrów terminalu przeładunkowego w tureckim porcie Ceyhan.**

**Chryste! – pomyślał Jimmy, to dostatecznie wielka firma, ale jaki miałyby motyw? Francja zużywa tylko niecałe dwa miliony baryłek dziennie, a jakby przyszło co do czego, to oni sami mogą przerobić więcej. Niech mnie szlag... Chyba że zamykają elektrownie jądrowe i chcą się przestawić z powrotem na ropę?**

**Był to jednak bardzo mało prawdopodobny scenariusz. W ciągu ostatniego trzydziestolecia Francja zredukowała zużycie ropy naftowej od sześćdziesięciu ośmiu do czterdziestu procent łącznej konsumpcji energii. Wciąż jednak sprowadza 1,85 miliona baryłek dziennie, przede wszystkim na potrzeby transportu drogowego, kolejowego i lotniczego. Jest pod tym względem całkowicie uzależniona od importu, głównie z Arabii Saudyjskiej, choć ma w nim swój udział także Norwegia i w znacznie mniejszym stopniu inni producenci. Siedemdziesiąt siedem procent energii Francuzi wytwarzają w elektrowniach jądrowych i są drugim jej eksporterem w Europie... Chyba nie zamierzają ich pozamykać? – głowił się Jimmy.**

**Czwartek, 19 listopada 2009 r., godz. 19.00. Chevy Chase, Maryland**

**Duży dom w stylu kolonialnym, oddzielony od szosy akrami trawnika, połączony z nią jedynie długim, asfaltowym podjazdem, nie był budynkiem rządowym, choć ktoś zamiejscowy nigdy by na to nie wpadł. Pilnowali go dwaj uzbrojeni agenci Secret Service – jeden w wartowni przy bramie wjazdowej z kutego żelaza, drugi w samochodzie zaparkowanym**

nieopodal drzwi frontowych – a oprócz tego skomplikowany system alarmowy z kamerami telewizyjnymi i czujnikami laserowymi.

Goście też pojawiali się tam tłumnie. Każdego miesiąca agenci wpuszczali na teren posiadłości samochody z ambasad, Pentagonu, NSA, CIA i Białego Domu. Gdy tylko admirał w stanie spoczynku Arnold Morgan przebywał w domu, nie brakowało ludzi z górą problemów, żądnych rad starego „Lwa Zachodniego Skrzydła”; ponieważ wiele tych kwestii bezpośrednio wiązało się z bezpieczeństwem państwa, admirał zazwyczaj się zgadzał poświęcić petentom chwilę.

Jak na emeryta, życie admirała było może nie zawsze pogodną, ale na pewno pełną barw jesienią. Dawny doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego wciąż był bardzo aktywny zawodowo, choć bez rządowej pensji, i nieodmiennie bezpośredni w wyrażaniu swych opinii. „Nie ufałbym temu sukinsynowi ani trochę” – kwitował zapytanie dotyczące prezydenta jednego z najbogatszych państw bliskowschodnich. „Kto? Ten przygłup nie dałby rady zbudować nawet domku z klocków lego, co tu mówić o porządnym atomowym okręcie podwodnym” – zapoznawał rozmówcę z zawodowymi kwalifikacjami szefa ośrodka naukowo-badawczego czwartej co do wielkości marynarki wojennej świata.

Arnold Morgan był jak stary szejik beduiński, na cotygodniowych *madzli* ferujący wyroki i służący swemu plemieniu mądrością i przewodnictwem, z tą różnicą, że jego plemię miało ogólnoświatowy charakter. Nie mniej niż dziesięć zagranicznych sił zbrojnych, sojuszników Stanów Zjednoczonych, wolało skonsultować się z nim przed podjęciem jakiegokolwiek poważnej decyzji. Nie inaczej postępował – często – aktualny prezydent Paul Bedford.

Większość gości admirała odwiedzała go z własnej inicjatywy, ale tego wieczoru Morgan i jego żona, piękna Kathy, dawniej jego sekretarka z czasów pracy w Białym Domu, gdzie przez lata służyła mu z cierpliwością Marii Magdaleny, zaprosili na kolację starego przyjaciela. Generał David Gavron, sześćdziesięciodwuletni ambasador Izraela w Waszyngtonie, był kawalerem, choć przynajmniej dwie damy ze stołecznej socjety były przekonane, że doprowa-

dzą go przed ołtarz. Uwielbiał biesiady z Arnoldem i Kathy, na które zawsze przybywał samotnie. Spotykali się dość często; czasem w ulubionej restauracji w Georgetown, czasem w ambasadzie, ale nierzadko też w domu w Chevy Chase.

Jesienne chłody zaczęły się już na dobre i Arnold wiedział, że to ostatni tydzień lub dwa jego sezonu grillowego. Na ruszcie nad węglami piekło się pięć wielkich kotletów jagnięcych, a w barze „oddychała” już zawartość dwóch butelek Corton Bressandes z 2002 roku, doskonałego grand cru z winnicy Chandon de Brialles w samym sercu Côte de Beaune, należącej do hrabiny Nicolais. Admirał był oddanym wielbicielem jej czerwonych burgundów i był zdania, że pieczona jagnięcina jest bez nich jak kostka Rubika w dwóch kolorach – niewielki problem ułożyć, ale i przyjemność z tego niewielka. Innymi słowy, Arnold nieczęsto miał tę pełną przyjemność, albowiem przy cenie stu dolarów za butelkę nawet dla niego regularne picie Corton Bressandes byłoby lekką rozrzutnością. Dwie skrzynki tego wina kupił przed paroma laty i chętnie podawał je specjalnym gościom – takim jak David Gavron, sam znawca trunków, który zapoznał admirała z doskonałymi, jedwabiście delikatnego smaku pustynnymi winami z dawnych winnic Rotszylda pod Tel Awiwem. Od tamtej pory w piwniczce Morgana nigdy ich nie brakowało.

Dzisiejsze spotkanie miało bardzo luźny, domowy charakter. Mięso udało się idealnie, zamiast deseru Kathy podała ser Chaumes, a burgund skończył się godzinę przed północą. Przeszli do wyłożonego boazerią (niemal niewidoczną za oszklonymi, wypełnionymi książkami regałami) gabinetu pana domu, by tam przy kominku i nad czarną, mocną turecką kawą, przyniesioną w prezencie przez gościa, porozmawiać na zwykły dla obu temat: terroryzm i problemy, jakie stwarza na całym świecie. W pewnej chwili Gavron niespodziewanie zapytał:

–Arnoldzie, słyszałeś ostatnio coś nowego o naszym starym znajomym, majorze Rayu Kermanie?

–Aż za dużo. Wulkany, elektrownie i Bóg wie co jeszcze. Ale nigdy nie udało się nam go wywęszyć. Ten sukinsyn potrafi się wyśliznąć.

–O mało go nie dostaliśmy, wiesz? – powiedział generał. – O mały włos.

–Co to znaczy, o mały włos? – Arnold raptownie poderwał głowę.

–Niewiele brakowało, a stuknęlibyśmy go.

–Poważnie? Gdzie? Kiedy?

–Parę miesięcy temu, w Marsylii.

–Naprawdę? Nic o tym nie słyszałem.

–Nie dziwię się. Przypominasz sobie może incydent ze strzelaniną w restauracji? Wyglądało to na gangsterskie porachunki. Kule gęsto latały, ranni goście, zabici kelnerzy.

–Raczej nie.

–Co dowodzi, że francuska policja świetnie sobie poradziła z zatuszowaniem sprawy, Arnoldzie.

–Dobra, ale co to ma wspólnego z Kermanem?

–Dzień wcześniej przyłapaliśmy go, jak wylądował w Paryżu. Przyleciał wielkim airbusem Air France jako jedyny pasażer. Zlokalizowaliśmy go potem w ośrodku szkoleniowym Legii Cudzoziemskiej w Aubagne pod Marsylią. Nie zapominaj, że chcemy go dostać w swoje ręce nie mniej niż wy.

–I co było dalej?

–Posłaliśmy za nim dwóch naszych najlepszych agentów.

–Zabójców?

–Agentów z... powiedzmy... elastycznym zakresem obowiązków. – No i...?

–Obaj zginęli w wymianie ognia. Nikt oczywiście nie wiedział, kim byli. Policja ogłosiła, że to epizod z wojny gangów i że chodziło o narkotyki. Próbowali zrobić w to jednego z zabitych kelnerów. O niczym nie wiedzieliśmy, dopóki nie zobaczyliśmy zdjęć dwóch trupów wynoszonych z restauracji. Nigdy nie zostały zatwierdzone do publikacji, ale jeden z naszych ludzi je zobaczył i od razu zidentyfikował jedno z ciał, z poderżniętym gardłem.

–A co z drugim agentem?

–Też nie żył. Dwie kule w tył głowy. Zabójca strzelał z półautomatycznego browninga kaliber dziewięć milimetrów. SAS używa ich od wielu lat, ale poza nią mało która ze współczesnych służb ma je na wyposażeniu.

87

–Gazety nic o tym nie pisały, prawda?

–Jasne, że nie. Z jakiegoś powodu władze francuskie, policja czy rząd, wołały tę historię wyciszyć. My też nie chcieliśmy, żeby nazwiska naszych poległych ludzi znalazły się na pierwszych stronach gazet. Oczywiście nie mieli przy sobie żadnych dokumentów. Uznaliśmy, że pozwolimy Francuzom rozegrać to po swojemu. Zwłoki gdzieś zaginęły i nikt więcej o sprawie nie słyszał. My jednak chcieliśmy dostać Kerma-na... a jestem przekonany, że to on nacisnął spust tego browninga.

–I wpakował nóż w gardło drugiemu agentowi?

–Nie, to musiał zrobić jego koleś, kimkolwiek był.

–Jezu... Czyżby kolejny dezertor z SAS?

–Prawda, że tak to wygląda? – potwierdził Gavron. – Ale Hereford twierdzi, że nikt im się ostatnio nie zgubił. W każdym razie reakcja była zdecydowanie profesjonalna. Jeszcze się nam nie zdarzyło, by para dobrze wyszkolonych i uzbrojonych agentów dała się ukatrupić zajęтым pałaszowaniem kotletów amatorom, nawet takim, co przynoszą do restauracji splawy i sprężynowce.

–Myślisz, że Kerman wciąż przebywa we Francji?

–Tego nie wiem. Wiadomo tylko, że przybył tam z Damaszku, bo tam właśnie go namierzyliśmy. Nikt z naszych nie widział jednak, aby tam wrócił. Może być gdziekolwiek.

General Gavron nie wiedział, jak zmyślnym sposobem Rawi Raszud opuścił Francję: długa podróż samochodem do Paryża; lot pierwszą klasą rejsowym, zatłoczonym samolotem Air France, na który ludzie z DGSE wprowadzili go poza terminalem i jakąkolwiek kontrolą; eskorta dwóch spadochroniarzy z 1. pułku; cała trójka w tradycyjnych arabskich ubraniach. Wyglądali tak normalnie, że nie mogli zwrócić na siebie uwagi Daniela Mostela.

–Kerman... – mruknął ze złością Arnold. – Ten to ma smykałkę do znikania bez pozostawienia adresu!

–Komuś go na pewno zostawił – odrzekł Gavron. – Nasz ślad jednak urwał się w Marsylii.

–I po raz kolejny jesteśmy w punkcie wyjścia. Mógł wrócić do Syrii, ale równie dobrze odlecieć do Jordanii, Libii czy Egiptu. A może został we Francji.





–Tak. Powiem ci jednak, że ta marsylska historia jest cholernie dziwna, Arnie. No, bo co niby Kerman robił we Francji, a już zwłaszcza w śmigłowcu francuskich sił specjalnych i w bazie Legii? Z kim był w tej restauracji? Dlaczego chronił go policja i inne organizacje rządowe? Przecież tam doszło do masakry, a policja odmówiła ujawnienia jakichkolwiek informacji. Kilkanaście osób odniosło rany postrzałowe, kilka zginęło, a oni nawet nie podali nazwisk zabitych... to znaczy, moich dwóch agentów.

Admirał Morgan się uśmiechnął. David Gavron Wciąż się uważał za szefa Mosadu, choć już sporo miesięcy minęło, odkąd przeszedł na emeryturę. „Ale tak to już jest, że jak się walczyło w tyłu wojnach, dowodziło czołgami ramię w ramię z «Brenem» Adanem, dostawało się za to kule i medale, to się później wszystkie problemy swojego kraju bierze do serca, nawet te pomniejsze”.

Popatrzył na szeroką, szczerą, ogorzalą twarz Izraelczyka, szukając w jego jasnoniebieskich oczach oznak niepokoju -i je znalazł. David Gavron był najwyraźniej przejęty tym, że jeden z najgroźniejszych wrogów Izraela może planować jakąś nową operację. Morgan złapał się na tym, że powtarza w myśli zadane przez niego pytanie: co, u diabła, Kerman robił we Francji i dlaczego został na jej terytorium przemycony przez służby rządowe?

Następnego ranka telefon na biurku Jimmy'ego Ramsha-we'a zadzwonił jeszcze przed ósmą rano. Komandor od razu poznał głos rozmówcy.

–Dzień dobry, sir – przywitał byłego dyrektora swojej firmy.

–Jimmy, parę miesięcy temu w Marsylii doszło do strzelaniny w restauracji. – Admirał Morgan nie zwykł tracić czasu na wstępy. – Pisano, że to porachunki gangsterskie i że chodziło o narkotyki. Przypominasz sobie jakąkolwiek informację na ten temat?

–Nie, sir, z niczym mi się to nie kojarzy.

–To była duża sprawa. Kilkanaście osób rannych, ze sześć zabitych, znany lokal w starym porcie.

**–Nic, sir. Ale wezmę się do tego. Ma pan jakąś konkretniej szą datę?**

**89**

**–To było w ostatnim tygodniu sierpnia. Restauracja nazywa się „L'Union”. Policja wyraźnie wolała sprawę wyciszyć, nie podała żadnych informacji. My jednak wiemy, że Mosad stracił tam w walce dwóch agentów. Jednemu ktoś podciął gardło, drugiego... niewykluczone, że zastrzelił major Ray Kerman.**

**–Kerman? Jeezu... -jęknął Ramshawe. – Znowu on!**

**–Przemknęła mi przez głowę identyczna refleksja. Zobacz, Jimmy, co ci się uda wygrzebać. Wpadniecie z Jane do nas na kolację? Miło by nam było, a i sezon na grilla się kończy. Co powiesz na porządny befsztyk nowojorski? /**

**–Brzmi zachęcająco, panie admirale. Przyjedziemy. Półtorej szklanki drugiej psiej wachty, zgadza się?**

**–Jasne. Do zobaczenia o dziewiętnastej trzydzieści, chłopcze.**

**Jimmy Ramshawe nie potrafił tego wytłumaczyć, ale za każdym razem, kiedy Wielki Człowiek do niego dzwonił, odczuwał natychmiastowy dreszczyk emocji. Arnold Morgan miał szósty zmysł, nieomylnie wykrywający prawdziwe kłopoty, a młody komandor nie pamiętał przypadku, by admirał się w tym pomylił.**

**No i ta Marsylia... przez rok czy dwa Jimmy ani razu nawet nie pomyślał o tym miejscu, a teraz w ciągu jednej doby nazwa wypłynęła dwukrotnie. Cholerne żabojady coś muszą knuć. Stary nie zawracałby mu głowy bzdurami, gdyby czegoś nie podejrzewał. Z Francją był jednak istotny problem: Ramshawe ani w ząb nie rozumiał po francusku. Potrzebował anglojęzycznego czasopisma, które mogło zamieścić tę historię. Otworzył portal internetowy i wszedł na dział zagraniczny londyńskiej „Daily Telegraph”. Bez rezultatu. „Krwawa jatka w Marsylii, a tu ani jednej linijki... Opuścili się Angole...”**

**Choć urodzony w Ameryce, młody Australijczyk wciąż mówił z wyraźnym akcentem z Nowej Południowej Walii. Jego narzeczona, Jane Peacock, była córką australijskiego ambasadora w Waszyngtonie; oboje uwielbiali wbić od czasu do czasu szpileczkę Brytyjczykom za ich rzekomą niekompetencję i nieudolność. Brak doniesień o incydencie we francuskiej restauracji dostarczył mu amunicji na kilka salw burtowych. I oni się mają za dziennikarzy... Nie zauważyliby prawdzi-**

wej sensacji, nawet gdyby się zakradła i ugryzła ich w sam tyłek... Jimmy doskonale wiedział, że to niesprawiedliwa opinia, ale bawiły go takie własne spontaniczne komentarze. Niemniej musiał się uznać za pokonanego; wezwał tłumacza i zaczął przeszukiwać wydania „Le Figaro” z ostatniego tygodnia sierpnia. Francuski dziennik okazał się lepszy od angielskiego, ale niewiele. Donosił o strzelaninie w „L'Union”, nie traktując jej jednak jako czegoś niezwykłego. Marsylia słynęła z powiązań z przestępczością, przemytem narkotyków i temu podobnych zajęć. Tytuł zajmował tylko jedną kolumnę: „Wojna gangów w Marsylii – klienci restauracji „L'Union” pod ogniem pistoletów maszynowych”.

Autor artykułu twierdził, że hospitalizowano piętnaście osób z ranami postrzałowymi, a DWIE zginęły (Jimmy napisał to słowo wielkimi literami w swoim raporcie dla admirała), choć wiadomo było, że ofiar padło więcej. „Le Figaro” wymieniał tylko zabitych kelnerów, ani słowem nie wspominając o izraelskich agentach. Redakcja uważała, że była to kolejna bitwa w wojnie gangów o wpływy i że strzelali do siebie zawodowi przestępcy, w sumie nic interesującego dla publiczności. A że ucierpiały przy tym osoby postronne? Cóż, w końcu dostaną odszkodowania od ubezpieczyciela restauracji. Przez następne pięć dni nie pojawiła się żadna nowa informacja na ten temat.

–No i na tym koniec – podsumował Ramshawe.

Niezupełnie. Temat podrzucił mu bowiem nie byle kto,

a sam Arnold Morgan... Admirał nie lubi półśrodków, pomyślał Jimmy. Zadzwoił do mnie, bo chce mieć odpowiedzi, a nie pytania, i to szybko... dziś o wpół do ósmej. Po to przecież mnie naprawdę zaprosił.

Polecił swojej tłumaczce, dwudziestotrzyletniej Jo, połączyć się z informacją telefoniczną w Marsylii i zdobyć numer restauracji „L'Union”, a potem do niej zadzwonić. Telefon przełączył na tryb głośnomówiący i choć nie znał języka, słuchał rozmowy z zainteresowaniem.

–Prefektura policji w Marsylii, słucham – odezwał się męski głos.

–Powiedz im, że chcę się połączyć z restauracją, a nie z glinami – syknął Ramshawe.

Jo walczyła dzielnie, ale mur okazał się nie do przebiccia.

–Restauracja jest zamknięta. Nie mamy informacji, kiedy zostanie otwarta.

–Powiedz im, że nie rozumiesz, dlaczego telefon do zamkniętej restauracji dzwoni w komendzie policji – podpowiadał Jimmy.

Odpowiedź policjanta była taka sama: „Nie mamy informacji”.

–Strzelaj z grubej rury – doradził komandor tłumacz

ce. – Powiedz, kim jesteście. I zażądaj dokładnej liczby ofiar

z „L'Union” ... bo o ile nam wiadomo, jedna z nich mogła być /

obywatelam amerykańskim.

Jo chwyciła w lot.

–Proszę pana, dzwonię z biura dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie. Może pan to zweryfikować. Potrzebujemy jednak informacji... i jeśli będzie trzeba, odwołamy się choćby do prezydenta. Proszę o przełączenie tej rozmowy do kogoś z kierownictwa.

–*Un moment, s'il uous plait.*

–Cudownie, Jo! – szepnął Jimmy z uśmiechem.

Z głośnika dobiegł przyciszony głos: *Securite Americaine*, a po chwili odezwał się nowy głos, w czystej angielszczyźnie:

–Nadinspektor Rochelle. W czym mogę być pomocny?

Jimmy przejął inicjatywę.

–Przepraszam, że pana fatyguję, panie nadinspektorze. Mówi komandor porucznik Ramshawe, asystent dyrektora NSA. Dzwoniłem wprawdzie do restauracji „L'Union”, ale dodzwoniłem się do pańskiego człowieka. Chciałbym się dowiedzieć, ile osób zginęło w tej strzelaninie sprzed dwóch miesięcy. Podejrzewamy, że wśród ofiar był Amerykanin.

–*Non, monsieur.* Ma pan złe informacje. Zginęło dwóch ludzi z personelu, w tym szef sali, obydwaj Francuzi. Dwóch dalszych pracowników zmarło w szpitalu. Oni również byli obywatelami francuskimi, zresztą znałem ich osobiście. W sumie były cztery ofiary. Incydent

był związany z narkotykami.

–Rozumiem... A co ze sprawcami? Kilku gangsterów weszło do lokalu i otworzyło ogień. Aresztowaliście kogoś? '

–Niestety, nie. Było ich trzech i wszystkim udało się uciec.

92

Śledztwo wskazuje na powiązania z gangiem przemytniczym z Algieru, gdzie kontynuujemy poszukiwania. Sprawcy są nam znani od kilku lat. To jednak ludzie nieuchwytni.

–Czy jest pan zupełnie pewien, że oprócz pracowników restauracji nie zginął nikt z osób postronnych?

–Najzupełniej, *monsieur*. Widzi pan, tylko oni byli wtedy na nogach. Pozostali obecni siedzieli za stołami. Kule trafiły kelnerów.

–Myśli pan, że ci Algierczycy dopięli swego?

–Chyba tak – odrzekł nadinspektor. – Jednego z kelnerów mieliśmy pod obserwacją... z oczywistych powodów nie mogę wymienić jego nazwiska... Ale sądzę, że zabójcy dostali tego, o kogo im chodziło.

–Bardzo mi pan pomógł. Sporządzę odpowiedni raport na podstawie pańskich informacji – rzekł Jimmy. – Dziękuję, nadinspektorze, że zechciał pan poświęcić mi swój czas...

Odłożył słuchawkę, dodając pod nosem: „...ty cholerny, kłamliwy żabojadzie”.

–Słucham? – spytała Jo.

–Nic takiego... Po prostu, kiedy się dowiadujesz, że jedna z najlepszych agencji wywiadowczych świata pewnego dnia straciła dwóch agentów, jest duże prawdopodobieństwo, że tak właśnie było. Kiedy zaś francuski policjant twierdzi, że nic takiego się nie zdarzyło, to jest duże prawdopodobieństwo, że to wielki pic na wodę.

Jo się zaśmiała.

–No, ten pierwszy rzeczywiście miał się na baczności – potwierdziła. – Ale Rochelle wydawał się stosunkowo szczery.

–Bez wątplenia. – Jimmy kiwnął głową. – Niemniej łąał w żywe oczy. Słuchaj, Jo, przyszedł mi do głowy pewien plan. Zorganizuj nam po dobrej kawie i zobaczymy, czy nie udałoby się napuścić na tę restaurację któregoś z asów Langley.

Cztery minuty później relacjonował całą historię człowiekowi z wydziału europejskiego CIA,

**który potwierdził, że ma w Marsylii dobrego agenta, a nawet dwóch. Pewnie, zaraz ich tam wyśle, zwłaszcza jeżeli sprawą interesuje się Wielki Człowiek. Poszuka się, poszpera... może ktoś coś będzie wiedział. Na przykład ktoś, kto pracuje przy remoncie „LTJnion” ...**

Piątek, 20 listopada 2009 r., godz. 16.00. Rue de la Loge, Marsylia

Dwudziestodwujęcioletni Tom Kelly, dziennikarz z Filadelfii, miał się właśnie żenić z wykładowczynią historii z Bryn Mawr, kiedy beznadziejnie się zakochał w jednej z jej francuskich studentek, dwudziestojednoletniej marsyliance Marie Le Clerc. Tom rzucił pracę i narzeczoną i wyjechał za ukochaną do Francji. Ożenił się z nią, znalazł zajęcie jako redaktor w jednym z miejscowych dzienników, a wkrótce awansował na szefa działu politycznego w paryskim „Le Figaro”. Z czasem nawiązał bliskie kontakty z dwoma agentami CIA, dla których był kopalnią wiedzy o stołecznej polityce. Poproszono go o przyjazd do Waszyngtonu, gdzie pomyślnie przeszedł weryfikację bezpieczeństwa, po czym powrócił do Francji już jako agent, wyposażony w bardzo użyteczny kontrakt na współpracę dziennikarską z „Washington Post”. Tom miał teraz trzydzieści sześć lat i dwoje dzieci; mieszkali z Marie niedaleko domu jej rodziców na zachodnich przedmieściach Marsylii.

W tej chwili szedł rue de la Loge w kierunku restauracji „LTJnion”. Jej wejście widział już przed sobą, mniej więcej pięćdziesiąt metrów. Przed lokalem stał biały furgon, a przez okna wystawały dwie drabiny. Praca wre, pomyślał. W holu uderzył go ostry zapach farby, a z głównej sali dobiegał ogłuszający wizg szlifierek cyklINUjących dębową podłogę. Nad jego głową na rusztowaniu pracowali dwaj malarze, pokrywając świeżą warstwą farby belkę, niedawno „udekorowaną” – o czym Tom nie wiedział – rzędkiem otworów po kulach z kałasznikowa.

Nikt z robotników nie zwrócił najmniejszej uwagi na przybysza, który swobodnie kroczył przez pomieszczenie, jakby dokonywał inspekcji prowadzonych prac. Wyglądał z resztą niemal jak jeden z nich: miał na sobie niebieskie dżinsy, podobnego koloru wełniany sweter i jasnobrązową skórzaną kurtkę. Dopiero po dłuższej chwili ktoś go zauważył i podszedł, by zapytać, o co chodzi. Był to elektryk Renę.

Francuszczyzna Toma była nienaganna. Przedstawił się i wyjaśnił, że usiłuje się dowiedzieć, ilu ludzi zginęło tamte-



go sierpniowego wieczoru, dodając, że jedna z ofiar podobno miała amerykańskie obywatelstwo. Renę był wyraźnie zadowolony z przerwy w pracy. Sam wprawdzie nie mógł mu pomóc, ale powiedział, że „Anton, ten na drabinie z pędzlem, może coś wiedzieć. Jego brat był przyjacielem tego kelnera, który zmarł od ran w szpitalu”.

Na zawołanie kolegi Anton zszedł z drabiny i przywitał się z Tomem.

–Trupów było sześć – oznajmił. – W tym ci dwaj, kjtórzy tu wpadli z automatami. Jeden zginął od kuli, drugiemu podcięto gardło.

–Skąd o tym wiesz, Anton?

–Z pogrzebu Maria. Jeden z kelnerów wszystko widział i opowiedział nam na stypie. Powiedział, że zabójców było dwóch, strzelali z kałasznikowów, ale sami zostali zabici. Według niego wyglądało na to, że załatwili ich ci, których mieli wykończyć. Był pewien, że to nie jakieś świrusy i strzelanina nie była przypadkowa. Zaklinał się, że byli to zawodowcy i przyszli zamordować konkretne osoby.

–Mario żył jeszcze, kiedy go wynosili? – spytał Tom.

–Tak. Nieprzytomny, ale żywy. Od tego kelnera wiem, że ofiar było sześć. Zapamiętał dokładnie, bo zwrócił uwagę, że tylko cztery z nich zabrały karetki, dwie zaś wywieźli policjanci.

Piątek, 20 listopada, godzina 13.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Raport Toma Kelly'ego został przekazany przez wydział europejski tuż po obiedzie. Potwierdzał to, co komandor porucznik Ramshawe od początku uważał za oczywiste: w „L'Union” zginęło sześć osób, nie cztery. Francuska policja wkroczyła, zabrała zwłoki dwóch agentów Mosadu i nikomu nic nie chce o tym mówić. Tym bardziej nie zamierza zdradzić – jeśli to wie – tożsamości człowieka, którego chcieli zabić. Admirał Morgan nie miał wątpliwości: ich celem był major Raymond Kerman. A jeżeli sprawa jest czysta, dumal Jimmy, to dlaczego władze francuskie po prostu nie ujawniły,

że on tam był, przeprowadzono na niego zamach, ale udało się mu uciec?

Odpowiedź mogła być tylko jedna: cholerne żabojady wiedziały doskonale, że Kerman był w tej restauracji... przypuszczalnie nawet na ich zaproszenie... skoro tak bardzo chcą całą tę historię zatuszować. Rodziło to jednak kolejne, ważniejsze pytanie: dlaczego rząd francuski zaaranżował potajemne spotkanie z najbardziej poszukiwanym terrorystą świata? Na to

odpowiedzi nie było. Francuzi nie przyznawali, że Kerman był na ich terytorium, że ktoś chciał go zlikwidować, a już na pewno – że najprawdopodobniej zabił jednego z zamachowców. Dla komandora Ramshawe'a był to koniec śledztwa, ślepy zaułek: dwóch izraelskich agentów nie żyje, żabojady odmawiają informacji, Kerman zniknął bez śladu, nie wiadomo też, z kim się spotkał w tej restauracji. Dalsze indagacje byłyby tylko stratą czasu, zwłaszcza że i Mosad nie zamierzał rozpowszechniać wieści o śmierci swoich ludzi. Niemniej Jimmy zapisał wszystkie zdobyte informacje w swoim komputerze, włącznie z raportem CIA, żeby móc je pokazać admirałowi Morganowi.

**Tego samego dnia, godzina 19.30. Chevy Chase**

Jimmy i Jane mieli szczęście. Admirał był przyjacielem rodziców obojga, a młodą parę bardzo lubił, postanowił więc uświetnić spotkanie kolejnymi dwiema butelkami Corton Bressandes hrabiny Nicolais. Oczywiście Jimmy'ego zabłysły, kiedy zobaczył je przygotowane na stoliku obok kominka. Pomógł gospodarzowi przy pieczeniu befsztyków (głównie trzymając nad nim parasol; listopadowa mżawka dawała się mocno we znaki).

Cała czwórka dobrze się znała. Jane, blondynka o figurze Afrodyty, uwielbiała jeździć z Kathy Morgan na zakupy, ponieważ admirałowa miała nienaganny gust i zawsze potrafiła jej doradzić, co z modnych fatalaszków zyska akceptację ambasadora Peacocka, władcy kieszonkowego pięknej córki i płatnika jej astronomicznego chesnego.

**Kathy nie uznawała pomocy domowej i sama prowadziła**

kuchnię, więc po kolacji Jane pomogła jej sprzątać, kiedy jej narzeczony udał się z Morganem do jego gabinetu. Usiedli przed kominkiem i admirał od razu przeszedł do rzeczy.

–Dobra, Jimmy, mów zatem, czegoś się dowiedział o morderstwach w „L'Union”.

–Wszystkie telefony do lokalu są przekierowywane bezpośrednio do marsylskiej komendy policji. Odbiera je dyżurny oficer i nie udziela żadnych informacji. Oficjalnie nikt o niczym nie wie. Dotarłem jednak do niejakiego nadinspektora Rochelle'a, bardzo uczynnego człowieka, który kłamie jak z nut. Powiedział mi, że w strzelaninie zginęły cztery osoby, sami Francuzi i pracownicy restauracji. Dwie na miejscu, dwie później w szpitalu. Wiadomo jednak, że trupów było sześć.

–Skąd ta pewność?

–Namówiłem Langley, żeby kazali poszperać w tej sprawie swojemu agentowi z Marsylii. Facet się postarał... Dostał się do lokalu i wdał w rozmowę z jednym z robotników odnawiających wnętrze. Okazało się, że miał on informacje od kelnera, z którym się spotkał na stypie po jednym z zabitych pracowników. Kiedy padły strzały, udało mu się schować za barem, ale wszystko widział. Powiedział naszemu agentowi, że cztery ciała zabrały karetki pogotowia, a dwa policyjne furgony. Od niego wiemy, że dwóch mężczyzn wparowało na salę z kałasznikowami, otworzyli ogień, ale sami zostali zabici przez swoje niedoszłe ofiary. Przyniosłem panu kopię tego raportu.

–No, to idealnie pasuje do historii, którą mi wcześniej opowiedziano. – Admirał skinął głową. – Obawiam się jednak, że na tym trop się urywa. Francuzi nigdy się do niczego nie przyznają, a Izrael nawet nie może ich o nic zapytać.

–Tak to chyba wygląda, sir – przytaknął Jimmy. – Jak by

to powiedzieć, *messieurs*... posłaliśmy paru egzekutorów do

zatłoczonej restauracji w centrum Marsylii, udało się im wy

strzelać połowę sali, ale podobno sami oberwali... Nie wiecie,

co się z nimi stało?

Arnold zaśmiał się krótko. Sarkastyczny humor młodego Australijczyka nieodmiennie go bawił, teraz jednak myśli zaprzętała mu inna, znacznie poważniejsza kwestia.

–Chodzi o to, Jimmy, że musimy wierzyć Izraelczykom na słowo, kiedy twierdzą, że zlokalizowali Kennana we Francji, zwłaszcza że brutalna reakcja na atak ich agentów nosi jego wyraźny znak firmowy. Najważniejsze jednak, abyśmy się dowiedzieli, co on tam robił, z kim się spotkał i po co. Ktoś taki jak Kerman, czy raczej generał Raszud, jak sam się woli nazywać, musi zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństw grożących mu podczas wszelkich podróży. Nigdy nie wie, kto *go* może zauważyć i rozpoznać. Dla niego lepiej się kryć gdzieś w zaułkach jakiejś pieprzonej kasby albo na pustyni. On jednak podjął to ryzyko. Podróżował w wielkim stylu... airbusem Air France, podstawionym specjalnie i wyłącznie dla niego. Jasne, że ktoś na wysokim szczeblu we Francji bardzo chciał się z nim zobaczyć... i nigdy się do tego nie przyzna. Wszelkie nasze indagacje byłyby jak rzucanie grochem o wieżę Eiffla. Szczerze mówiąc, uważam dalsze śledztwo w tej sprawie za czystą stratę czasu. Zakonotujmy to sobie i czekajmy na dalszy rozwój wydarzeń.

–Chyba nic innego nam nie pozostaje, sir. Ale... czy nie chciałby pan wiedzieć, gdzie ten sukinsyn teraz jest?

–Ba! Ale z Francji na pewno już odfrunął.

W tej chwili, o godzinie dwudziestej trzeciej 20 listopada, admirał Morgan się nie mylił. Niespełna trzy miesiące później instynkt miał go zawieść.

Wtorek, 2 lutego 2010 r., godzina 23.00. Nad południowym wybrzeżem Francji, pułap 3000 m

Generał Rawi Raszud tym razem podróżował z ośmioma najbardziej zaufanymi zbirami z Hamasu, z których trójka była też w kadrach Al-Kaidy, oraz trzema byłymi oficerami armii saudyjskiej. Wiozący ich francuski śmigłowiec wojskowy, silnie uzbrojony AS532 Cougar Mk 1, kończył właśnie ponad sześćsetkilometrowy przelot nad Morzem Śródziemnym z Algierii. Wystartował z małego regionalnego lotniska Tebessa na wschodnim skraju Atlasu, gdzie górskie stoki opadają stopniowo ku równinom Tunezji. Generał Raszud ze swym zespołem miał już za sobą odbyty z zachowaniem naj-

ściślejszej tajemnicy lot prywatnym odrzutowcem bez żadnych firmowych oznaczeń z Damaszku do Trypolisu w Libii, gdzie czekała na nich francuska maszyna; w Tebessie lądowała tylko dla uzupełnienia paliwa.

Zbliżali się do bazy Legii Cudzoziemskiej w Aubagne, gdzie Rawi był już przelotnie przed sześcioma miesiącami, w dniu strzelaniny w „L'Union”. Dziś jednak nikt tam nie wysiadał, pilot ponownie napełnił tylko zbiornik benzyną i natychmiast wystartował do ostatniego etapu – w stronę Paryża. Lądowanie w bazie francuskich sił specjalnych w Taverny, która na dwa tygodnie miała stać się ich domem, było zaplanowane na trzecią nad ranem, pod osłoną nocy.

Towarzyszący Raszudowi arabscy bojownicy mieli na sobie zachodnie cywilne ubrania – na ogół dzinsy, podkoszulki i swetry – ale poza tym ich wyprawa miała charakter ściśle militarny. Każdy miał mapę, którą po drodze dokładnie studiował – plan okolic bazy lotniczej imienia Króla Chalida nieopodal miasta garnizonowego Chamis Muszajt, na południu Arabii Saudyjskiej.

Śmigłowiec zatoczył szeroki łuk, omijając paryską metropolię od zachodu, przeleciał nad Sekwaną i po krótkim odcinku nad zamglonymi polami doliny Oise dotknął kołami ziemi. Cała grupa natychmiast chwyciła za torby i po chwili już zniknęła we wnętrzu koszar, przed którymi wylądował cou-gar. Do trzeciej brakowało jeszcze kwadransa, ale dowódca bazy, generał Jobert, powitał przybyszów osobiście. Z uśmiechem uścisnął dłoń Rawiemu Raszudowi, któremu właściwie zawdzięczał życie. Obaj wsiedli do sztabowego samochodu, który odwiózł ich do siedziby dowódcy, gdzie Rawi miał przydzieloną kwaterę. Teraz czekało go kilka godzin snu, a rano miał się po raz pierwszy spotkać z czterdziestoma ośmioma dobrze wyszkolonymi żołnierzami 1. pułku morsko-spado-chronowego, wybranymi do akcji pod Chamis Muszajt.

Raszud i Jobert usiedli przed płonącym kominkiem, z filiżankami rozgrzewającej *cafe complet*. Obydwóch zadziwiała sprawność, z jaką rząd francuski utrzymywał w tajemnicy szczegóły krwawego wieczoru w „LTJnion”, ale też mieli świadomość niebezpieczeństwa, na jakie narażony był podczas podróży gość Francuza. W sierpniu jego przelot z Damaszku był

starannie zaplanowany, jednak ostrożność okazała się niedostateczna. Tym razem operacja była rzeczywiście nie do wytopienia; żaden z nich nie miał wątpliwości, że poprzednim razem Rawiego wysłedzili ludzie Mosadu, i dołożono wszelkich starań, aby podobny zamach nie powtórzył się przed akcją.

–Byłoby miło nie wpaść znowu na muszkę zabójców – zauważył Jobert. – Tym bardziej że Jacques Gamoudi ma się zjawić dopiero za tydzień...

–Świetnie sobie wtedy poradził, co? – Rawi wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Myślę, że tamten mógł nas ustrzelić, gdyby Jacques w porę nie zrobił ze stołu osłony.

–Tylko myślisz? Ja ci mówię, że tak by się stało – odparł Jobert. – Nawet nie zauważyłem, że do nas podchodzą. *Mon Dieu!* Jacques się gracko spisał z tym swoim wielkim majchrem!

–Uratował nas – podsumował Rawi. – Cieszę się, że jest po naszej stronie.

Generał Jobert, choć był autorem planu obalenia monarchii saudyjskiej, nie mógł oczywiście towarzyszyć swym ludziom podczas misji. Gdyby go schwytano lub zabito, współudział Francji stałby się oczywisty dla wszystkich i położenie prezydenta – który miał wyglądać na absolutnie nieświadomego całej operacji – byłoby nie do pozazdroszczenia. Francuscy żołnierze mieli się udać do boju bez żadnych oznak tożsamości, wykonać zadanie w kilka godzin po wylądowaniu na terytorium Arabii Saudyjskiej i natychmiast je opuścić. Generał Raszud zaś musiał dokonać czegoś więcej, aby zapracować na swoje dziesięciomilionowe honorarium.

Później tego ranka Rawi zebrał swą jedenastoosobową drużynę na krótkie spotkanie informacyjne, po którym spotkali się z francuskimi komandosami wyznaczonymi do udziału w operacji. Cała grupa zjadła razem śniadanie w kantynie, po czym przeszła do podziemnego pokoju odpraw, wyposażonego w rzędy krzeseł i dwa duże ekrany komputerowe. Na jednym z nich wyświetlona była mapa południowej części Morza Czerwonego z wybrzeżami francuskiej kolonii Dżibuti i owianego legendami królestwa Jemenu, najstarszej cywilizacji Półwyspu Arabskiego. Drugi ekran pokazywał mapę

o znacznie mniejszej skali z zaznaczoną granicą jemeńsko-saudyjską. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, na salę weszli generałowie Raszud i Jobert w towarzystwie trzech wyższych oficerów sił specjalnych, majorów po trzydziestce: Etienne'a Marota, Paula Spaniera i Henriego Gilberta. Tego dnia wszyscy obecni byli w mundurach polowych khaki i w czarnych beretach. Ósemka hamasowców siedziała razem w trzecim rzędzie, a choć wszyscy znali trochę francuski, posadzono za nimi dwóch mówiących po arabsku byłych legionistów jako tłumaczy.

Zamknięto ciężkie drewniane drzwi, za którymi w dobrze oświetlonym korytarzu stało na posterunku dwóch wartowników; dwóch innych pilnowało wejścia na schody prowadzące na poziom kantyny oficerskiej. Generał Jobert rozpoczął odprawę od zapewnienia, że operacja nie będzie ani w połowie tak niebezpieczna, jak by się mogło wydawać. Oczywiście w walce będą musieli się sprawić jak najlepiej, ale zanim ruszą do ataku, Arabia Saudyjska będzie już pogrążona w chaosie i pozbawiona ekonomicznej podstawy swego istnienia -możliwości eksportu ropy naftowej. Król pod przemożną presją będzie zmuszony abdykować, dezorientowana armia zaś straci pewność, dla kogo właściwie pracuje. Mimo uspokajających słów w pokoju panowało jednak napięcie – ci młodzi ludzie szykowali się do działań wojennych poza granicami własnego kraju, na terenie, którego nigdy dotąd nie widzieli.

–Jestem pewien, że Saudyjczycy będą w kropce – powtó

rzył Jobert. – Czy mają walczyć za stary, czy za nowy reżim?

Według naszego najważniejszego informatora... człowieka, który zostanie nowym królem... garnizon z Chamis Muszajt skwapliwie się podda. Następca tronu jest na bieżąco informowany o naszych planach i możecie być pewni, że wasz sukces spotka się z jego najwyższym uznaniem i wdzięcznością.

Generał w najogólniejszym zarysie omówił czekające ich zadanie: mają zaatakować położone o osiem kilometrów od głównej bazy lotnisko wojskowe imienia Króla Chalida i zniszczyć stacjonujące tam myśliwce bombardujące.

–Inny oddział zajmie wówczas sztab bazy i zażąda kapi

tulacji garnizonu – wyjaśnił. – Niemal na pewno będzie się

to wiązało z unieszkodliwieniem wartowni, a być może i z li-

kwidacją wyższych oficerów. Tę część operacji poprowadzi osobiście generał Raszud.

Jobert oddał następnie głos najstarszemu z byłych oficerów saudyjskich, pułkownikowi Sa'ad Kabirowi. Ten gorliwy muzułmanin, potomek prastarego rodu wodzów plemiennych z północy i zaciekły wróg domu królewskiego, dowodził kiedyś batalionem w 8. brygadzie pancерnej w Chamis Muszajt. To on miał kierować pierwszym atakiem na lotnisko, który odwróci uwagę obrońców od głównego natarcia.

Pułkownik Kabir wstał i skinieniem głowy pozdrowił zebranych, po czym przeszedł do rzeczy.

– Armia saudyjska zawsze odczuwała poważny niedobór żołnierzy i w tym tkwi jej słabość. Co więcej, jej głównodowodzący jest księciem krwi, podobnie jak wielu innych wyższych oficerów, dowódców baz i batalionów. Musimy pamiętać, że w chwili naszego ataku większość z nich będzie przerażona, że ich ogromne stypendia od króla mogą się nagle skończyć. Nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby część z nich uciekła z kraju, zanim jeszcze oddamy pierwszy strzał. Zgadzam się w pełni z księciem Nasirem, że pod pierwszym uderzeniem opór armii się załamie. Powinniśmy więc wykonywać nasze zadanie świadomi, że racja jest po naszej stronie i że działamy z błogosławieństwem przyszłego rządu. Chciałbym zacząć od omówienia dokładnej lokalizacji i stanu gotowości bojowej naszego celu... – Pułkownik podszedł do ekranu i wskazał czarną kropkę na drugiej mapie. – To jest Chamis Muszajt. Baza położona jest w górzystej południowo-zachodniej części kraju, Asirze, na wysokości około dwóch tysięcy dwustu metrów nad poziomem morza. Nawiasem mówiąc, do tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku było to niezależne królestwo, zanim je podbił Abd al-Aziz. Cały ten region do dzisiaj zachował ściśle związki z Jemenem... skąd wyruszymy do ataku. Istnieje tam silna opozycja wobec aktualnego króla, ponieważ ludzie uważają go za zdrajcę ideałów beduińskich, który zaprzedał się Zachodowi. W razie niepowodzenia... co jest bardzo mało prawdopodobne... nie spotkamy się tam z wrogością, jestem o tym przekonany. Samo Chamis Muszajt jest dobrze prosperującym miastem z nowocześnie urządzonym bazarem. Mieszka w nim około trzydziestu pięciu tysięcy-



cy ludzi. Klimat ma łagodny, poza marcem i sierpniem, kiedy leje tam jak z cebra, teren więc obfituje w roślinność, która zapewni nam w razie potrzeby osłonę. W mieście znajduje się szkoła oficerska artylerii i piechoty, a także sztab południowego okręgu wojskowego. W okolicy stacjonują trzy brygady, których zadaniem jest obrona przed potencjalną agresją ze strony Jemenu. Saudyjczycy nigdy swoim sąsiadom nie ufali... i słusznie. 4. brygada pancerna w Dżizan na zachodnim wybrzeżu, 10. brygada piechoty zmotoryzowanej w Nadżran i 11. w Szarudży na wschodzie, na samym skraju pustyni Rub al-Chali. Proszę sobie teraz zapisać współrzędne geograficzne lotniska Króla Chalida, na wypadek gdyby ktoś się zgubił. To dokładnie osiemnaście stopni, osiemnaście i pół minuty szerokości północnej, czterdzieści dwa stopnie, czterdzieści osiem i trzy dziesiąte minuty długości wschodniej. Baza kontroluje cały ruch powietrzny w tej części kraju, wyłącznie wojskowy, ponieważ jest to strefa zakazana dla samolotów cywilnych. Najbliższe lotnisko cywilne znajduje się w Abha, czterdzieści kilometrów na zachód. W bazie stacjonują dwie eskadry, jedna wyposażona w amerykańskie F-15, druga w brytyjskie tornada. Ochronę zapewniają im oddziały 4. grupy obrony przeciwlotniczej. Poradzimy sobie z nimi bardzo szybko.

Dalszą część odprawy przejął generał Raszud, który omówił planowane rozlokowanie sił.

–Jak widzicie, będzie nas sześćdziesięciu. Sześć osób utworzy ośrodek dowodzenia, odpowiadać będą za łączność między naszymi trzema grupami i z pułkownikiem Gamou-dim w Rijadzie, jeśli zajdzie taka konieczność. Pod żadnym pozorem nie będzie bezpośrednio łączności z Francją. Pozostali zostaną podzieleni na osiemnastoosobowe pododdziały, które dotrą na swoje stanowiska oddzielnie, ponieważ w ten sposób mniej ryzykują. Pierwszy, dywersyjny atak skierowany będzie na główną bramę bazy lotniczej. Przeprowadzi go grupa bojowników z Al-Kaidy, z którymi spotkamy się na miejscu. Od nich dostaniemy materiały wybuchowe, zapalniki i detcord. Oni sami posłużą się ręcznymi granatnikami i wyrzutniami rakiet pepanc. W tym czasie grupy pierwsza i druga wytną przejście w ogrodzeniu po przeciwległej stronie bazy i zniszczą samoloty na płycie i w hangarach. Mamy już

doskonale mapy okolicy i plany lotniska, które rozdamy później. Za sobą macie jego plastyczny model. Nie spodziewam się silnego oporu przeciwnika. Po zakończeniu akcji oba pododdziały przesuną się w bezpieczne miejsce w połowie odległości między lotniskiem i Chamis Muszajt. Krótco przedtem trzecia grupa pod moim dowództwem zaatakuje główną bazę. Za pomocą materiałów wybuchowych wdrzemy się na teren koszar i zajmiemy sztab. Ktokolwiek przeżyje, dowie się od nas, że lotnisko padło, a połowa saudyjskich sił powietrznych została zniszczona. Przy odrobinie szczęścia będziemy mieli jeszcze odpowiednią scenografię... czerwone łuny na potwierdzenie tej wieści, zwłaszcza jeśli uda się wysadzić w powietrze magazyny paliwa. Zmusimy ich, by nas doprowadzili do kwater dowódcy i jego zastępcy. Do aresztowania ich obu wyznaczę się dwa sześciuosobowe patrole. Dowódca pod groźbą egzekucji będzie musiał wydać całej bazie rozkaz złożenia broni. Wszyscy będą przerażeni i łatwo skapitulują. To istne ołowiane żołnierzyki... My musimy pamiętać o jednym: w tak tajnej operacji nie ma mowy o pozostawieniu nikogo z kolegów na polu bitwy. Każdy ranny i zabity zostanie wywieziony poza terytorium przeciwnika i wróci z resztą do Francji. Jeżeli czegokolwiek warto się nauczyć od amerykańskich Navy SEALs, to właśnie tej zasady. W całej historii tej formacji nie zostawili ani jednego żołnierza na pastwę wroga.

Na sali podniósł się szmer. Ludzie Rawiego już się uśmiechali i wymieniali uwagi; po raz pierwszy poczuli, że da się to zrobić. Być może sprawiła to informacja o poparciu miejscowej ludności, nienawidzącej króla, i pomocy ze strony lokalnej komórki Al-Kaidy. Najważniejsza jednak była świadomość, że reprezentują przyszłego władcę. To już nie był zwykły terrorystyczny atak na niewinnych ludzi, ale prawdziwa żołnierka – operacja militarna, prowadzona przez zawodowych oficerów.

Każdy z obecnych pojął też, jak wielkiego zadania się podejmują; jak ogromne będą polityczne i ekonomiczne konsekwencje ich sukcesu – nie mówiąc już o porażce – dla całego świata.

–Czy wiadomo, jak się dostaniemy na miejsce, nie zwracając na siebie uwagi? – zapytał ktoś.

–Nie... – odparł z przekąsem Rawi. – Pomyślałem, że po czekamy i zobaczymy, czy nie nadjedzie jakiś autobus. Macie jakieś saudyjskie pieniądze? Przydałyby się na bilety.

Gruchnął śmiech, napięcie zelżało. Rawi Raszud, brutalny zawodowy zabójca, zawsze wiedział, jak i kiedy trzeba przemówić do podkomendnych.

–Tylko sprawdzałem – tłumaczył komandos, który zadał pytanie. – Dla nas normalną drogą jest desant spadochronowy, ale wydawało mi się, że nie będzie to panu odpowiadało.

–I słusznie, żołnierzu. – Rawi się uśmiechnął. – Tym razem dostaniemy się tam morzem.

–Chyba nie wplaw, sir? Morze Czerwone roi się od rekinów.

–Nie, nie wplaw. Jeszcze niebezpieczniejszą metodą, ale gwarantującą zdecydowanie większe szanse przeżycia. O tej części planu porozmawiamy dopiero w następnym tygodniu.

Generał Jobert podziękował dowódcy Hamasu i przedstawił plan szkolenia na następne dwa dni.

–Pierwsza sesja dzisiejszego popołudnia będzie w całości poświęcona sprawom organizacyjnym – zapowiedział. – Grupy pierwsza i druga podczas przygotowań i w akcji na lotnisku będą się posługiwać wyłącznie francuskim, ponieważ większość będą stanowić w nich spadochroniarze z pierwszego pułku. Ludzie z grupy trzeciej pod dowództwem generała Raszuda to głównie arabscy bojownicy, wspomagani przez kilku naszych żołnierzy. Wszyscy oni mówią jednak po angielsku, dlatego zdecydowaliśmy, że to będzie ich język roboczy. Jednakże wszelkie sygnały do centrum dowodzenia muszą być nadawane po francusku i z tego względu zastępcą ge

**nerała Raszuda zostanie major Etienne Marot, który będzie odpowiadał za łączność. Niech wam to jednak nie przesłania prawdziwej przyczyny jego obecności. Major Marot dowodzi grupą specjalnych operacji powietrznych... mówiąc prościej, to szturmowa eskadra śmigłowców. Jego zawód polega na zjawianiu się tam, gdzie go nie oczekują.**

**Ta uwaga znów sprowokowała wybuch śmiechu; nawet sam zainteresowany pozwolił sobie na szelmowski uśmiech pod grubym czarnym wąsem.**

–Przejdziemy teraz do kwestii naszych pozycji zapasowych – kontynuował generał. – Są one zaznaczone na mapach, które za chwilę otrzymacie. To znaczy, że gdyby grupa trzecia nadziała się na pięć tysięcy czujnych Saudyjczyków strzegących koszar całą noc, oczywiście ataku nie rozpoczniemy. Jak wam jednak wiadomo, nie planujemy takich operacji, nie rozważymy żadnej możliwości wejścia, działania i odwrotu. Zanim oddam pałeczkę dowódcom pododdziałów, chcę raz jeszcze podkreślić, że po kapitulacji Chamis Muszajt spodziewamy się, że reszta saudyjskiej armii złoży broń. Pamiętajcie jednak, że atak na pałace królewskie w Rijadzie nie może się rozpocząć, dopóki nie wykonacie zadania. Idziemy na słuszną wojnę, do której doprowadziło krańcowe zepsucie jednej rodziny, pasożytującej na całym narodzie. Jej wynik zależy od waszej pracy. Będzie to militarny początek łańcucha wydarzeń, które dadzą Arabii nowe, oświecone rządy... nowego króla, który już dziś jest wielkim przyjacielem Francji i wszystkich prawowiernych muzułmanów na całym Bliskim Wschodzie. Jestem pewien, że będziecie mieli błogosławieństwo waszego Boga – zakończył, zwracając się do Arabów.

Generał Raszud przedstawił teraz następnego mówcę, kapitana Fajsala Rahmana, dalekiego krewnego królewskiej rodziny, który obecnie dowodził batalionem Al-Kaidy zakonspirowanym

w Rijadzie. Jak pozostali, kapitan miał na sobie mundur polowy. Powstawszy, pozdrowił wszystkich tradycyjnym „salaam alejkum” i równie znanym beduińskim gestem – dotknął czoła prawą dłonią, po czym płynnym ruchem opuścił ją.

–Chcę wam opowiedzieć o wakacjach w Hiszpanii, jakie niedawno urządził sobie nasz władca – zaczął. – Przyleciał prywatnym jumbojetem w asyście świty liczącej trzysta pięćdziesiąt osób rozlokowanych w trzech innych samolotach, z których jeden jest wyposażony jak szpital. W kilka dni orszak rozrósł się do ponadtrzytysięcznego tłumu. Do dyspozycji króla czekało pięćdziesiąt czarnych mercedesów, a w jego leśnym pałacu pod Marbellą sztab lekarzy, sala operacyjna i sala intensywnej opieki medycznej. Same kwiaty kosztowały półtora tysiąca dolarów dziennie. Wodę dla nie-

go sprowadzano co tydzień z Mekki, jagnięcinę, ryż i daktyle z innych miejsc w Arabii. W sumie jego rachunki sięgały pięciu milionów dolarów każdego dnia! Do końca pobytu królewskie wakacje pochłonęły dziewięćdziesiąt milionów. Hiszpanie mają swoje określenie na naszych panujących: król Midas. Wśród nas są jednak tacy, którzy uważają wszystko to za najzupełniej zbędne. Te szaleńcze wydatki, niepohamowana ekstrawagancja możliwe są dzięki bogactwu zesłanemu nam przez Allaha. Król go nawet nie zdobył. Wszedł w jego posiadanie z chwilą narodzin. Według nas jest on tylko opiekunem i strażnikiem narodowego skarbu, który nie jest jego własnością i którego nie ma prawa trwonić, jak mu się żywnie podoba. A już na pewno nie powinien być do dyspozycji jego trzydziestu pięciu tysięcy krewnych, którzy zdaje się, wierzą, że mają do niego wszelkie prawa. Nie wiem, czy wam to wiadomo, ale każdy członek królewskiej rodziny podróżuje liniami lotniczymi Saudia za darmo. Jak powiedziałem, jest ich ponad trzydzieści tysięcy, a wkrótce ta liczba może się podwoić, jako że normą jest płodzenie przez każdego księcia co najmniej czterdziestu synów. Statystycznie dwustu z nich każdego dnia lata naszymi liniowcami, a że większość robi to minimum dwadzieścia razy do roku, mówimy o czterech tysiącach bezpłatnych lotów dziennie! Mam pytanie: czy tak ma być zawsze?

Oficer z Al-Kaidy przerwał tyradę. Wielu z obecnych na sali patrzyło nań z niedowierzaniem lub zdziwieniem, niejeden też kiwał potakująco głową. Cytowane liczby były rzeczywiście szokujące. Rahman jednak jeszcze nie skończył.

–Dwadzieścia lat temu mój kraj posiadał rezerwy finansowe sięgające stu dwudziestu bilionów dolarów. Dziś zostało ich dwadzieścia bilionów... – Znów zamilkł na chwilę, by słuchacze pojęli znaczenie tych słów. – Bitwa, jaką stoczymy w górach południowo-zachodniej Arabii, nie będzie rewolucją ani dżihadem. Walczymy o oczyszczenie kraju, który został zatruty.

Młody francuski żołnierz z poważną miną rzucił pytanie:

–I naprawdę ludzie chcą tam zmiany? Czy nastroje społeczne pomogą nam osiągnąć zwycięstwo?

–Bardziej, niż kiedykolwiek to zrozumiecie – odrzekł ka-

**pitan. – Szkoły religijne w całym kraju wydają młodych mężczyzn nauczonych poszanowania dla dawnych zwyczajów, dla beduińskiego stylu życia, z którego wyrastają nasze korzenie. Jesteśmy z natury ludem pustyni, ale w sąsiednich, bratnich państwach mamy coraz więcej wrogów. Prawie cały świat islamski wierzy, że zdradziliśmy Palestyńczyków, nie reagując na najstraszliwszą niesprawiedliwość wyrządzaną im przez syjonistów. Przywódcy arabscy oskarżają nas, że pozwoliliśmy na upokorzenie naszej wiary. I w pewnym sensie mają rację... nasz rząd to właśnie uczynił. Wszyscy się rodzimy jako członkowie bogobojnego ludu, którzy mają żyć według słów Koranu i nauk proroka i wspomagać uboższych współbraci, a nie jeździć na wczasy za dziewięćdziesiąt milionów dolarów niczym prawdziwy król Midas.**

**Na te słowa nawet generał Raszud zareagował.**

**–Każdy Arab wie, że tak dłużej być nie może. Zbyt wielu jest tam ludzi wykształconych. Czytałem gdzieś, że dwa na trzy doktoraty przyznawane w Arabii Saudyjskiej pisane są z teologii islamskiej. Duchowni uzmysławiają ludziom prawdę. Największym zagrożeniem dla saudyjskiej rodziny królewskiej jest ona sama. Zapaść tego systemu jest tylko kwestią czasu.**

**–Tylko kwestią czasu... – powtórzył kapitan Rahman. – A my, panowie, ten czas przyspieszymy. Zaczynamy Nasir obejmie władzę i dokona zmian, jakich nam trzeba. Wiem, że wygląda to na bezwzględną metodę osiągnięcia celu, ale innej po prostu nie ma. A nowy władca będzie miał wobec Francji dług wdzięczności nie do spłacenia... – Mówca zawahał się, po czym dodał z uśmiechem: – Ale z pewnością będzie się starał.**

**Głos zabrał ponownie generał Jobert.**

**–Odczytam teraz skład wszystkich trzech grup. Wasi dowódcy dobrze to przemyśleli, ponieważ każda z nich będzie miała zupełnie odmienne zadania. Proszę o uwagę.**

**Grupa pierwsza, atak na lotnisko, dowódca major Paul Spawner...**





109

Niedziela, 7 lutego 2010 r., godzina 8.30. Port wojenny w Breście

Czterysta kilometrów od Paryża, na najbardziej wysuniętym na zachód cyplu Bretanii, leży główna atlantycka baza francuskiej marynarki wojennej w Breście, port macierzysty mocarnych strategicznych okrętów podwodnych klasy Triomphant o wyporności dwunastu tysięcy ton, głównych sił nawodnych, a od 2005 roku także flotyli myśliwskich okrętów podwodnych.

Admirałowie Georges Pires i Marc Romanet, dowódca floty podwodnej, stali na końcu pirsu południowego, chroniącego nabrzeża podwodniaków przed falami częstych w tym rejonie sztormów, osłonięci przed chłodem i lekką mżawką ciężkimi płaszczami mundurowymi. Patrzyli na zmierzający do bazy okręt, znajdujący się teraz mniej więcej dwie mile na zachód od wejścia, który sunął w wynurzeniu z prędkością sześciu węzłów. Romanet widział przez lornetkę sylwetki trzech osób na pomoście kiosku; wiedział, że jedną z nich jest młody dowódca, kapitan Alain Roudy. Jego jednostka nosiła miano *Perle*, numer taktyczny S606, i w tej chwili była najważniejszym okrętem w całej francuskiej flocie. To ona miała dowieźć do

**brzegów Arabii Saudyjskiej pływunurków, którzy wysadzą w powietrze wielkie terminale załadunkowe na Zatoce Perskiej, a potem uderzyć salwą rakiet w wielki kompleks naftowy w Abkaik i stację pomp nr 1, wstrzymując ekonomiczny krwiobieg królestwa.**

***Perle*, atomowy okręt myśliwski o wyporności dwóch i pół tysiąca ton, powracał z remontu przeprowadzonego w tuloń-skiej stoczni, wyposażony w znacznie mniejszy od poprzedniego, ale nie mniej potężny reaktor i nowy, prawie bezgłośny pierwotny układ chłodzenia, czyniący go prawdopodobnie najbardziej cichobieżną jednostką w całym podmorskim świecie. *Perle* przez blisko pół roku tkwił w bazie floty śródziemnomorskiej, gdzie był poddany gruntownej modernizacji. Kiedy ją rozpoczynał, dowództwo marynarki zakładało, że operacja saudyjska zostanie przeprowadzona przez jeden z nowych okrętów budowanych w ramach tak zwanego Projektu Barrakuda, jednak nieprzewidziane drobne, ale istotne**

opóźnienie przesunęło termin jego wejścia do służby, a księżę Nasir nie mógł czekać. Trzykrotnie odwiedzał prezydenta Francji i tylekroć z Pałacu Elizejskiego płynęły do sztabu marynarki ponagląjące monity. Saudyjski przemysł naftowy musiał stanąć najpóźniej z końcem marca. To zadanie spoczywało na barkach trzech mężczyzn; dwaj z nich stali teraz skuleni przed lodowatym deszczem na kei, a trzeci czekał w zaparkowanym nieopodal samochodzie służbowym. Był to Gaston Savary, szef DGSE. Admirał Pires zaprosił go na tę wizytę, wiedział bowiem, pod jaką presją pracuje, i uważał, że przynajmniej tyle może dla niego w tej chwili zrobić: pokazać mu okręt, w którym pokładają wszystkie swe nadzieje... i od którego najprawdopodobniej zależą ich kariery.

Tego wieczoru mieli w planie skromną, roboczą kolację w domu admirała Romaneta, gdzie Savary pozna dowódcę jednostki i gdzie wiele zostanie powiedziane. Dla kapitana Roudy'ego będzie to pierwsza odprawa przed misją; Gaston w duchu się obawiał, że młody oficer może dostać zawału. Czekające go zadanie nie należało w końcu do rutynowych...

Z zamyślenia wyrwał szefa DGSE okrzyk Pires'a:

–Gaston, wylaż! Pokażę ci nasz okręt!

Savary wynurzył się z ciepłego wnętrza wozu na deszcz i wziął z rąk admirała lornetkę. Wpatrywał się przez chwilę w szarą, mglistą przestrzeń, zanim dojrzał tnący matowe fale kadłub *Perle* i trzy głowy marynarzy na pomoście. Czekali w strugach lejącej się z nieba wody jeszcze dobry kwadrans, obserwując, jak okręt mija w bezpiecznej odległości dwie stawy ostrzegawcze ze światłami błyskowymi, jakimi jest oznakowana Ławica St Pierre, wyrastająca z dwustumetrowej głębi do kilkunastu metrów pod powierzchnią zatoki. Prawie dokładnie na południe od główki pirsu wykonał zwrot, kierując się do portu. Jego czarna sylwetka wydawała się teraz znacznie większa i groźniejsza. Była to najnowocześniejsza jednostka w klasie Rubis/Amethyste, wprowadzonej na stan francuskiej marynarki wojennej w 1993 roku. W przeciwieństwie do statków handlowych okręty nie starzeją się szybko: wymienia się w nich wszystko co się da i służą dalej. Teraz oprócz dotychczasowego, typowego uzbrojenia w rakiety exocet, wystrzeliwane przez wyrzutnie torpedowe, *Perle*

otrzymał nową broń: rakiety średniego zasięgu typu cruise. Wystrzeliwane spod wody i kierowane systemem nawigacji satelitarnej mogą one uderzyć w cel odległy o kilkaset mil morskich, do którego dolatują z prędkością 0,9 macha – dziewięćdziesiąt procent prędkości dźwięku.

Okręt przedstawiał groźną siłę bojową, a ze sporadycznych sygnałów, jakie kapitan Roudy nadawał do bazy z Zatoki Biskajskiej, wynikało, że w podróży z Tuluonu spisywał się nienagannie, a co najważniejsze, był niesamowicie cichy. Inżynierowie z tulońskiej Escadrille des Sous-Marines Nucleaires d'Attaque wykonali swoją robotę precyzyjnie jak zawsze.

–Wygląda to na niebezpieczną broń – zauważył Gaston Savary, patrząc na podchodzący bezszelestnie do nabrzeża okręt.

–1 tym właśnie jest – potwierdził admirał Pires, w odpowiedzi na salut kapitana Roudy'ego unosząc dłoń do daszka czapki.

## ROZDZIAŁ 4

Niedziela, 7 lutego 2010 r., godzina 21.00. Port wojenny w Breście, rezydencja dowódcy floty podwodnej

Przy końcu długiego stołu w jadalni admirała Romane-ta stało pięciu mężczyzn w mundurach. Na drugim końcu czekało na nich pięć nakryć i dwie butelki białego burgunda z Meursault. Nie była to jednak jeszcze pora na kolację; na razie czterej z nich zajęci byli studiowaniem rozłożonych na drugim końcu stołu map: dwaj admirałowie, Pires i Roma-net, dowódca *Perle* i jego kolega, komandor Louis Dreyfus, pierwszy po Bogu na siostrzanej jednostce *Amethyste*. Te dwa okręty podwodne zostały wyznaczone przez dowództwo marynarki wojennej do operacji załamania saudyjskiej gospodarki, a z nią i połowy świata... albo, zależnie od poglądów, uwolnienia zalegających pod pustyniami bogactw dla ogólnego dobra tego beduińskiego narodu i przywrócenia rządów zgodnych z wolą Allaha i jego proroka.

Piąty członek grupy, Gaston Savary, stał z tyłu za oficerami marynarki, popijając wino i z uwagą przysłuchując się prowadzonej przez nich dyskusji. Tego popołudnia miał się stawić u ministra spraw zagranicznych i poinformować go o rozwoju sytuacji. To, co postanowią ci wojskowi, będzie podstawą do podjęcia ostatecznej decyzji: rozpocząć operację czy jej zaniechać.

Tematem bieżącym było Morze Czerwone – wąski akwen o długości ponad tysiąca dwustu mil morskich, z których większość przypada na wybrzeże Arabii Saudyjskiej. Okręty francuskie miały płynąć na nie od północy, przez Kanał Sueski, z konieczności poruszając się na powierzchni. Pły-



nać miały oddzielnie, w odstępie około dwóch tygodni. Tylko *Amethyste* miał pozostać na tych głębokich, ale zewsząd otoczonych ładami wodach i tam wykonać swoją część zadania; *Perle* popłynie ku południowemu wyjściu na Zatokę Adeńską i dalej, do cieśniny Ormuz, w drodze do wyznaczonego mu akwenu operacyjnego na Zatoce Perskiej. Pytanie, na jakie musieli sobie odpowiedzieć debatujący oficerowie, brzmiało: czy kapitanowi Roudy'emu uda się opuścić Morze Czerwone w zanurzeniu, poza zasięgiem wścibskich amerykańskich satelitów i radarów, czy też zmuszony będzie podejść na głębokość peryskopową, aby swobodniej i szybciej się poruszać między licznymi przeszkodami, jakimi upstrzone są wody na północ od cieśniny Babel-Mandeb? Przez większość trasy po opuszczeniu Zatoki Sueskiej – wzdłuż wybrzeży Sudanu i Erytrei – nie będzie problemu, ale ostatnie trzysta mil prowadzi środkiem coraz węższego i płytszego leja, poczynając od usianej rafami koralowymi i chmarami wysp i wysepek mielizny Farasan po stronie jemeńskiej, gdzie dno podnosi się z głębokości tysiąca do zaledwie kilku metrów, jak przy wyspie Karmaran. Wyjście na Zatokę Adeńską to długi rów podmorski, pośrodku którego sterczy wyspa Dżabal Zubayr, a nieco dalej na południe Dżabal Zuqar i Abu Ali, obie zaopatrzone w widoczne z dużej odległości latarnie morskie, nieprzydatne jednak dla podwodniaka usiłującego przekraść się nad piaszczystym dnem stusążniowego kanału. Dalej zaczyna się koszmar nawigatora okrętu podwodnego, zwieńczone wyspą wzniesienie Hanisz al Kabir: tam głębokości sięgają zaledwie dziewięćdziesięciu metrów, a żeglowny kanał ma tylko milę szerokości. Do wyboru są dwie trasy. Jedna, z wyznaczonymi pasami ruchu statków w kierunku północnym i południowym, omija Dżabal Zuqar od wschodu, bliżej wybrzeża Jemenu; druga przebiega po zachodniej stronie tej grupy wysp. Oba te uczęszczane szlaki morskie, odległe od siebie o kilkanaście mil morskich, kluczą pomiędzy licznymi podwodnymi skałami, płyciznami i drobnymi wysepkami. To najtrudniejszy nawigacyjny odcinek żeglugi przez Morze Czerwone; dalej na południowy wschód, choć akwen nieustannie się zwęża i spłyca, jest już nieco lepiej: obie trasy zbiegają się na wysokości erytrejskiego portu Asab w jeden tak zwany

system rozgraniczenia ruchu, który można porównać do drogi dwujezdniowej, prowadzący ku Wrotom Łez, jak się tłumaczy arabska nazwa Bab el-Mandeb. Morze jest tam wprawdzie jeszcze płytsze, głębokości nie przekraczają pięćdziesięciu metrów, ale za to ten trzydziestomilowy odcinek jest prosty jak strzelił aż do samej cieśniny, gdzie dno znów z wolna opada do stu sążni (stu osiemdziesięciu metrów). Miejscami jest bardzo wąski – zaledwie kilkanaście kabli między płyciznami – ale to już ostatni taki tor przeszkód; jeszcze tylko dwa zwroty w lewo na wysokości wyspy Mayyun (nawigatorom sprzed ery poprawności politycznej bardziej znanej pod nazwą Perim), daleko po prawej zamajaczy wejście do Dżibuti (i amerykańskiej bazy w miejscowości Tadżura) i już przed dziobem otwiera się głęboki na kilkaset metrów przestwór Zatoki Adeńskiej.

–Jak pan myśli, kapitanie Roudy, da pan sobie z tym radę? – spytał admirał Romanet.

–Tak, sire. Jeśli głębokości na mapie są dokładnie pomierzone, przemkniemy się tamtędy niepostrzeżenie. W najpłytszych miejscach trzeba będzie zwolnić poniżej siedmiu węzłów, ale przepłyniemy bezpiecznie.

–Mapy są dokładne – zapewnił admirał. – Miesiąc temu posłaliśmy tam statek cywilny, który wzdłuż całej trasy przez Morze Czerwone prowadził sondowanie.

–W takim razie GPS nam wystarczy. Będę płynął z wysuniętym masztem.

–Bardzo dobrze – przytaknął z aprobatą Romanet.

Dobrze wiedział, że na szczycie peryskopu okrętów klasy

Rubis zamontowano miniaturowe odbiorniki systemu nawigacji satelitarnej, niewiele większe od ręcznych wersji cywilnych, które mogą być wysuwane na kilkanaście centymetrów nad powierzchnię morza i podają pozycję z dokładnością do dziesięciu metrów. Alain Roudy będzie miał dość wody pod stępką, by móc pokonać najpłytsze fragmenty szlaku na głębokości peryskopowej.

–Zanim zasiądziemy do stołu, chciałbym jeszcze omówić

plan akcji dla *Amethyste*, który podąży pana śladem niecałe

trzy tygodnie później – dodał. – Komandorze Dreyfus, żegło

wał pan już z Suezem na południe?

–Ja nie, ale mój zastępca i oficer nawigacyjny mieli tę sposobność. Nie będzie problemu.

Romanet skinął głową i spojrział znowu na mapę.

–Pański obszar operacyjny znajduje się mniej więcej w połowie Morza Czerwonego, na wodach o średniej głębokości pięciuset metrów. Uznaliśmy, że ten akwen nie jest odpowiedni dla SDV, zresztą klasa Rubis nie jest najlepiej przystosowana do jego przewożenia. Nasi komandosi dotrą do celu dwoma zodiacami, po sześciu ludzi na łódź. Ich silniki pracują bardzo cicho, a ostatnie kilkaset metrów można będzie pokonać na wiosłach. Cele są dwa: wielkie terminale załadunkowe w Janbu i Rabigh, odległe od siebie o dziewięćdziesiąt mil... tu mamy ich zdjęcia... – Admirał użył swojego złotego długopisu jako wskaźnika. – To będą dwie odrębne operacje. Plan jest następujący: pływaki założą na filarach nabrzeży miny magnetyczne z zapalnikami czasowymi ustawionymi na symultaniczny wybuch, aby cała konstrukcja zapadła się w morze. Komandosi wyruszą o dziewiętnastej, tuż po zapadnięciu zmroku. Do przebycia będą mieli około pięciu mil, co przy prędkości trzydziestu węzłów zajmie im niecały kwadrans. *Amethyste* będzie na nich czekał, po czym popłynie do Rabigh, gdzie znajdzie się około



drugiej nad ranem. W tej części Morza Czerwonego nie ma nasłuchu sonarami pasywnymi... najbliższe ulokowano na podejściu do Dzeddy, sto dziesięć mil dalej, gdzie saudyjska marynarka ma swój zachodni sztab. To rozległy kompleks, z blokami mieszkalnymi, meczetami, szkołami i tak dalej, ale ich jedyną poważną siłę stanowią trzy lub cztery fregaty rakietowe, zbudowane i zakupione u nas. Dobrze znamy ich możliwości. Poza tym nie zapuścimy się tak daleko na południe. Szanse na to, że Saudyjczycy usłyszą okręt nuklearny posuwający się cicho o kilka mil od brzegu, są zerowe. Gdyby nawet go wykryli, to niewiele mogą zdziałać... ich jednostki praktycznie nie mają wyposażenia ZOP. A jeśli wyślą przeciw panu ścigacz albo i fregatę, z łatwością może się pan przed nimi ukryć... albo je zatopić.

Komandor Dreyfus skinął głową.

–Procedura ta sama co w Janbu? – spytał. – Wysyłam zodiaki i czekam?

–Zgadza się. Potem rusza pan na pełne morze, na pozycję gdzieś w połowie drogi między Janbu i Dzeddą... powiedzmy, tutaj... – Romanet stuknął palcem w mapę. – Trzeba dobrze zgrać wszystko w czasie. Miny muszą wybuchnąć równocześnie z uderzeniem rakiet. Otworzy pan ogień siedem i pół minuty przed godziną H, trzy salwy po cztery cruise'y z zaprogramowanym lotem. Pierwsza prosto w rafinerię pod Dzeddą, druga w główne zakłady w Rabigh, trzecia w rafinerię w Janbu.

–Wystrzel i zapomnij, czy tak?

–Oczywiście! Zaraz po wystrzeleniu ostatniej rakiety rusza pan najkrótszą drogą na głębokie wody i dalej, do wyjścia na Adeńską. Cały czas proszę płynąć w zanurzeniu. Wyjdzie pan na Ocean Indyjski i skieruje się na południe, do naszej bazy na Reunion, gdzie będzie pan czekał na dalsze rozkazy.

–Tak jest, sire.

–Panowie, możemy już chyba siadać do stołu. Przy kolacji podyskutujemy o planach akcji w Zatoce Perskiej, *d'accord?*

–*Dac* - odpowiedział slangowym skrótem admirał Pi-res. – Zgoda. Od takich rozmów zasycha mi w ustach. Sądzę, że kieliszek wyśmienitego meursaulta najlepiej rozwiąże ten problem.

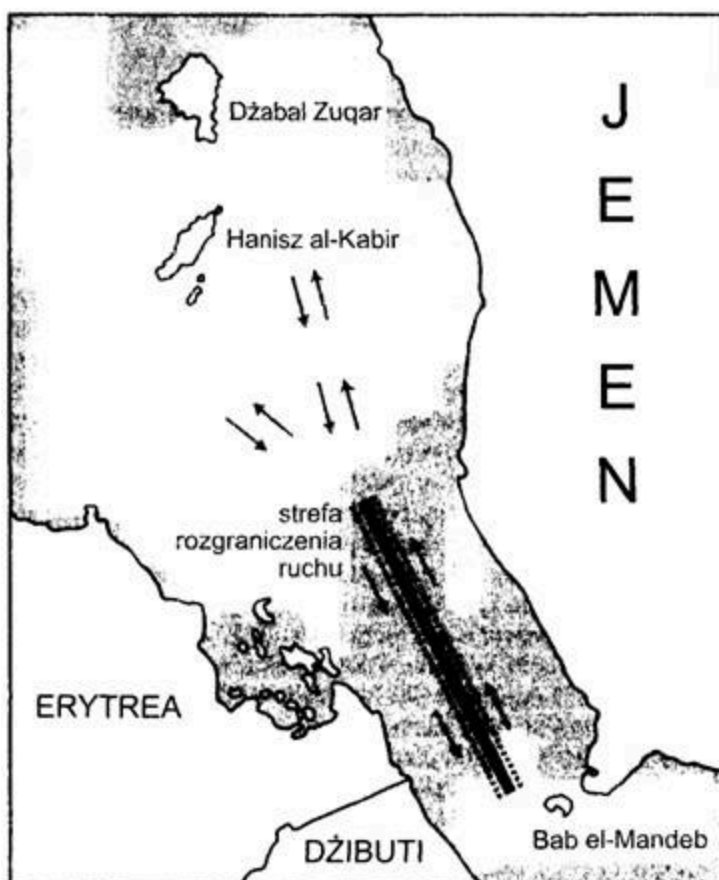
–Opinia godna prawdziwego francuskiego oficera i dżentelmena – skomentował Savary.

Admirał Romanet zasiadł u szczytu stołu, wskazując miejsca po swojej prawej i lewej stronie Pires'owi i szefowi DGSE; dwaj dowódcy okrętów podwodnych zajęli dalsze miejsca. Jak spod ziemi wyrósł ordynans w białej marynarce, podając klasyczne danie francuskiej kuchni: *coquilles Saint Jacques, małże św. Jakuba gotowane z pieczarkami w białym winie i soku cytrynowym, serwowane w muszlach i z tłuczonymi ziemniakami. Goście poczuli się jak w najlepszej paryskiej restauracji, zwłaszcza że wino okazało się godne wykwintnej przystawki; danie główne szybko im jednak przypomniało, że znajdują się w bazie marynarki wojennej, gdzie nieczęsto na stół trafiają takie delikatesy. Wieprzowe kielbaski kojarzyły się raczej z Alzacją niż z Bretanią, podano je jednak nie z tradycyjną tam zasmażaną kapustą kiszoną, lecz z frytkami, upieczone na złotobrzowo. Zamiast deseru steward*

postawił na stole deskę dobrych serów, wśród których królował wspaniały Pont l'Eveque i cały camembert, a do nich butelkę czerwonego Beaune Premier Cru z Maison Champ-ney, najstarszej winnicy w Burgundii. Admiral Pires musiał przyznać, że przynajmniej pod względem gastronomicznym dowództwo floty podwodnej w Breście, stoi wyżej niż jego własny sztab sił specjalnych w Taverny...

Gospodarz, wysoki i śniady były oficer naprowadzania rakiet na strategicznym okręcie podwodnym, nie zapominał jednak o celu tego spotkania. Gdy tylko wszyscy skończyli kolację, odstawił kieliszek z niedopitym winem i rozłożył mapę generalną zachodniej części Zatoki Perskiej. Zwrócił się po imieniu do kapitana Roudy'ego:

–Alain, uważam zatem za ustalone, że możesz wyjść z Morza Czerwonego w zanurzeniu. Z Bab el-Mandeb do twojego rejonu operacyjnego masz dwa tysiące mil. Jak wiemy, cieśninę Ormuz także można przebyć pod wodą. Amerykanie robią to cały czas. Nie jest tam jednak bardzo głęboko... miejscami będziesz miał tylko trzydzieści kilka metrów zapasu, co w razie konieczności uniku może się okazać niewystarczające. Nie sądzę jednak, aby ktokolwiek cię zauważył, ponieważ nikomu nie przyjdzie do głowy się przyglądać. Irańczycy tak są przyzwyczajeni do okrętów różnych nacji przepływających przez Ormuz, że się uodpornili na takie bodźce... Prawdziwe kłopoty zaczną się dalej, na północ od Kataru. Będziesz musiał płynąć na północ, tuż przy mieliźnie Rennie... o, tutaj. – Romanet stuknął palcem w mapę. – Zostawisz ją po prawej burcie, ale nie zapuszczaj się bliżej brzegu. Musisz ominąć to wielkie pole naftowe... Abu Safa... Należy się spodziewać, że tamte wody są pod obserwacją, zresztą są oznaczone jako strefa zastrzeżona, więc trzeba będzie się trzymać jak najbliżej dna. Główny szlak zbiornikowców biegnie tędy... około mili po prawej. Oba pasy ruchu, wejściowy i wyjściowy, są cholernie płytkie, od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu metrów, co absolutnie nie jest dla ciebie... Ale z drugiej strony nie masz innej drogi. To sztucznie pogłębiony kanał przez rozległe płycizny i inaczej nie da się podejść pod brzeg w zanurzeniu choćby tylko peryskopowym. Dobrze by było, gdybyś mógł zająć pozycję tutaj, na północ od tej łachy...



Południowe wyjście z Morza Czerwonego

jest tam trzydzieści pięć metrów wody. Ale to za daleko od wybrzeża... komandosi mieliby do pokonania prawie osiem mil do tego długiego pirsu. To główny terminal załadunkowy, największy na świecie, wysunięty w morze na milę od wielkiego kompleksu naftowego Ras al-Dżuajma. Dzień i noc zawijają tam japońskie VLCC wielkie jak Wersal. Tak więc, panowie, *Perle* musi podejść bliżej, korzystając z toru wodnego. To około pięciu mil. Będziemy oczywiście dysponowali danymi o spodziewanym ruchu statków tej decydującej nocy, ale w saudyjskich portach zawsze jest ruch, musimy więc przyjąć, że Alainowi przyjdzie płynąć między dwoma zbiornikowcami. Wejdiesz na tor tutaj... dwa tysiące metrów od tej czerwonej pławy błyskowej numer dwa... i przetniesz pas wyjściowy, kierując się wprost na światło na Ławicy Gariba... widzisz je, Alain?

–Sześć krótkich i jeden długi błysk?

–*C'est ca*. Dalej suniesz pasem wejściowym przez trzy mile, aż do pierwszego punktu desantu, dokładnie w tym miejscu...

–Czy potem mam zejść z toru, sire? – spytał Roudy. – To znaczy, w celu wysadzenia pierwszej grupy pletwonurków?

–Raczej nie. Poza pławami jest za płytko, musiałbyś się wynurzyć, a to jest nie do przyjęcia.

**–Czyli mam ich wypuścić na torze?**

**–Nie ma innego wyboru. Ale ich łodzie są szybkie. Oczekasz na przerwę w ruchu, a potem jazda. Popłyną dwa zodiaki. To w końcu kwestia minut, a nie godzin.**

**–Czyli grupa pierwsza wyruszy ze środka szlaku zbiornikowców? – upewnił się Roudy z odcieniem powątpiewania w głosie.**

**–Tak. Ale ci chłopcy wiedzą, co mają robić. Georges... -Romanet zwrócił się do dowódcy COMFUSCO. – Jak uważasz, po czterech na łódź?**

**–Tak myślałem, Marc – odpowiedział Pires. – Przypusz**

**czalnie wystarczyłoby siedmiu ludzi w jednej łodzi, ale wtedy**

**nie mielibyśmy marginesu na błąd. Absolutnie musimy po**

**śląć dwa zodiaki, na wypadek gdyby z jednym coś się sta**

**ło... awaria czy coś podobnego. Mówię o ewentualnej akcji**

ratunkowej. Nigdy nikogo nie zostawiamy na miejscu akcji, cokolwiek by się działo.

–Gdy tylko zespół pierwszy będzie w drodze... – podjął admirał Romanet -... *Perle* skręca na południe i płynie dalej torem podejściowym. Od czasu do czasu będziesz musiał wysunąć peryskop, Alain, ale pamiętaj, że na tamtych wodach nie będziesz miał wroga. To ty jesteś drapieżnikiem i nie ma cię kto zatrzymać. Problem tylko w tym, że nikt nie może wiedzieć, że w ogóle istniejesz, jasne?

–Jasne, sire. Nie mam więc czekać na pływonurków na pierwszym punkcie desantu?

–Nie. Zostawiasz ich i natychmiast przemieszczasz się na południe o trzy mile, do samego końca toru wodnego. Tam przecinasz go znowu i między mieliznami wchodzisz na głębszą wodę, znowu około trzydziestu metrów, dwie mile na północny wschód od głównego kotwicowiska. Popatrz, Alain... w tym miejscu zespół numer dwa będzie miał tylko niecałą milę do terminalu na sztucznej wyspie, który jest chyba najważniejszym celem operacji. Jak wiesz, mamy go wysadzić w powietrze. To potężna instalacja załadunkowa, zbudowana o niecały kilometr od brzegu przy największym porcie naftowym świata, Ras Tannura. Znana jest jako Platforma Numer Cztery i przepompowuje na zbiornikowce ponad dwa miliony baryłek na dobę. Z tego punktu zodiaki mają krótki sprint do celu, nie więcej niż osiemset metrów. Studiowaliśmy całe serie zdjęć satelitarnych, aby się przekonać, jak tam jest z oświetleniem. Według mnie pływonurkowie będą musieli płynąć wplaw tylko przez ostatnie trzysta metrów, zależnie od stopnia ciemności. Zajmie im to jednak bardzo mało czasu. Wyślemy ich sześciu. Każdy przytwierdzi minę magnetyczną do jednego z głównych filarów terminalu, ustawi zapalnik czasowy i zmyka. Wszystko to musi być precyzyjnie zgrane w czasie z działaniami komandora Dreyfusa na wybrzeżu czerwonomorskim. Te eksplozje muszą nastąpić jednocześnie. Saudyjski przemysł naftowy musi stanąć w jednej chwili. Dlatego zaraz po założeniu ładunków komandosi wracają do czekających zodiaców. Powrót na okręt powinien im zająć nie więcej niż dwie minuty, po czym Alain natychmiast ruszy ku punktowi numer jeden i podejmie z wody zespół pierwszy,

który do tego czasu zdąży wykonać swoje zadanie i wrócić po swej znacznie dłuższej podróży.

–Kiedy ten port wyleci w powietrze, księżę Nasir będzie miał pochodnię z piekła rodem – zauważył w zamyśleniu Ga-ston Savary. – Rozświetli chyba niebo nad połową Bliskiego Wschodu.

–Widok na pewno będzie niesamowity – zgodził się kapitan Roudy. – Wyobraźcie sobie morze zalane milionami baryłek płonącej ropy...

–Ty tego jednak nie ujrzysz, Alain. – Romanet się uśmiechnął. – Kiedy zespół numer jeden znajdzie się na pokładzie, ruszysz szlakiem zbiornikowców na pozycję strzału, osiemnaście mil na wschód od portu. To w sumie pięćdziesiąt mil drogi, więc przy prędkości dziesięciu węzłów zajmie ci to pięć godzin. Żeby wystrzelić cruise'y o czwartej nad ranem, musisz wystartować o dwudziestej trzeciej. Zapalniki min trzeba będzie pewnie ustawić na siedem godzin, ale to już sami sobie wyliczycie.

–Oczywiście po oddaniu salwy natychmiast opuszczamy rejon? – spytał Roudy.

–Oczywiście. Celem dla rakiet będą rurociąg, lądowa stacja pomp i kompleks Abkaik. Mają wylecieć w powietrze, przypominam, równocześnie z oboma terminalami. Ty będziesz już wtedy płynął cichutko na wschód, cały czas w zanurzeniu.

–Panie admirale... – Kapitan Roudy wrócił do tematu, który widocznie najbardziej go niepokoił. – Czy zodiaki wciągamy na pokład po wykonaniu zadania?

–Nie ma na to czasu. Zatopicie je na miejscu. To samo dotyczy pana, komandorze Dreyfus. Podjąć płetwonurków i zwiewać.

–A potem do Ormuz i dalej aż na Reunion, bez wynurzania się?

–Tak jest. Tam sobie zrobicie wakacje, a po paru tygodniach poprowadzi pan *Perle* do domu, wokół Przylądka Dobrej Nadziei.

–Wygląda to na dobry plan, sire. – Kapitan Roudy skinął głową. – Na szczęście mamy po naszej stronie bezcennego sprzymierzeńca... element zaskoczenia. Nikt przy zdrowych

zmysłach nie pomyśli, że którykolwiek z zachodnich krajów poważiłby się na taki wariacki krok jak zamknięcie saudyjskiego rynku ropy na co najmniej dwa lata...

–Otóż to – wtrącił Savary. – Byłoby to jak w brytyjskim przysłowiu o odcięciu nosa dla

ratowania węża... choć w tym wypadku jest inaczej. Jak mi wiadomo, paliwowe potrzeby Francji zostały już zabezpieczone. Podpisaliśmy nowe umowy na dostawy ropy i gazu z innych krajów, nie musimy więc polegać na Saudyjczykach przez dłuższy czas. Kiedy zaś kurki znów się otworzą, cała ich produkcja będzie praktycznie w naszej gestii do dystrybucji na całym świecie po cenach, jakie nam się spodoba ustalić.

–A co na to OPEC? – przypomniał komandor Dreyfus.

–Nie sędzę, aby nowy król Nasir nie' miał wpływu na swoich arabskich przyjaciół. Za bardzo będzie mu zależało na dobrych stosunkach z nami, by nie starał się ich udobruchać – odparł admirał Pires. – To będzie operacja militarna pod każdym względem wyjątkowa, możliwa do zaplanowania tylko przez potencjalnego nowego władcę, a przy tym tak cholernie sprytna, jakby mu podpowiadał sam diabeł...

–Tylko jej cel jest równie wyjątkowo szlachetny – dodał Romanet. – Przywrócić do władzy najlepszy element królewskiego rodu i dać krajowi prawdziwie oświeconego monarchę... naszego przyjaciela, następcę tronu. Panowie, myślę, że pora na toast za powodzenie inicjatywy księcia Nasira... no i... hmm... za pomyślność Francji.

**Wtorek, 23 lutego 2010 r., godz. 10:30. Placówka Legii Cudzoziemskiej w Dżibuti**

Były major SAS Raymond Kerman założył swą bazę o kilkanaście kilometrów na północ od Moulhoule, pod granicą erytrejską, na samym krańcu Zatoki Adeńskiej, prawie już w Bab el-Mandeb. Wybrał znajdujący się tam obsadzony przez szkieletowy garnizon Legii Fort Mousea, gdzie szkolenie jego pięćdziesięcioczcterosobowego oddziału nie zwróci niczyjej uwagi.

**Dżibuti należy do najgorętszych zakątków planety: na-**



wet w chłodniejszym sezonie temperatura powietrza rzadko spada poniżej trzydziestu kilku stopni, a w miesiącach letnich nie ma dnia, żeby rtęć w termometrze nie wspinała się powyżej czterdziestu. W całym tym rozpalonym kraiku można znaleźć zaledwie osiem kilometrów kwadratowych ziemi uprawnej, na które rzadko kiedy pada deszcz. Fort Mousea leży tylko o niespełna dwanaście i pół stopnia szerokości geograficznej nad równikiem. Kerman wiedział, że w swojej karierze trafiało mu się przebywać w gorszych miejscach, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnego, które by zdecydowanie w tej kategorii wygrało z Dżibuti.

Jego ludzie trenowali ostro i z oddaniem już od wielu tygodni: najpierw w lasach wokół Taverny, potem na torach przeszkód w Aubagne, a teraz wyciskali z siebie ostatnie poty na pustynnych bezdrożach wokół Fortu Mousea. Swego dowódcę znali w jego oficjalnym wcieleniu: Rawiego Raszuda, wojskowego komendanta Hamasu. Nawet oficerowie francuscy tytułowali go już bez wcześniejszej rezerwy generałem; każdego dnia na równi ze wszystkimi brał udział w morderczych treningach. Część z nich służyła wcześniej w Legii Cudzoziemskiej i wydawało się im, że wiedzą, co to znaczy ciężkie życie. Nic ich jednak nie przygotowało na reżim sprawnościowy, jaki im zafundował były brytyjski komandos.

Powoli jednak docierali do celu. Wielu z nich osiągnęło siłę porównywalną tylko ze zwierzęcą: potrafili biegać jak gepardy i walczyć jak tygrysy. Nawet Żelazny Człowiek z Pirenejów, pułkownik Jacques Gamoudi, który w tym tygodniu zajrzał na dwa dni do bazy, był pod wrażeniem ogólnej sprawności oddziału. Na tej spieczonej ziemi ćwiczyli wszystkie elementy taktyki ataku, budowali tymczasowe „fortece”, na które nacierali ich koledzy jako przeciwnicy. Całymi nocami pracowali, prowadzili obserwację, studiowali ruch gwiazd i Księżycy, z wolna wchodząc w rolę, jaką im wyznaczono: nocnych drapieżców. Nauczyli się bezgłośnie przecinać druty w zasięgu słuchu wartowników, poruszać się bezszelestnie po trudnym terenie w pełnym uzbrojeniu, atakować od tyłu nożem, bezcennej sztuki milczącego porozumiewania się między sobą, no i oczywiście posługiwania się materiałami wybuchowymi. Dla części z nich było to tylko odświeżenie wiedzy, inni byli

w tej dziedzinie nowicjuszami, ale nieustanny trening wkrótce miał zatrzeć te różnice.

Nauczyli się też słuchać. Poznali głos łagodnych pustynnych bryz, różnicę w odgłosie silnika pojazdu nadjeżdżającego z wiatrem i pod wiatr, umieli określić odległość, w jakiej trzasnęła pod butem piechura sucha gałązka, i usłyszeć z daleka odgłos kroków na piasku. Kiedy kończył się luty, ludzie Raszuda byli już doskonale dostrojeni do nocnego rytmu pustyni.

Kiedy wstawał dzień, zaczynały się ćwiczenia fizyczne. Każdego ranka o piątej, zanim wstało słońce, żołnierze biegali to truchtem, to sprintem, robili dziesiątki pompek, kończąc poranną sesję sześciokilometrową przebieżką w terenie. Potem dwie godziny odpoczynku i solidny obiad – jedzenie dwa razy w tygodniu dowoził im z Francji wojskowy samolot. Ciekawski i cierpliwy obserwator mógł odnotować częstsze niż zwykle jego kursy, ale nie odbiło się to żadnym echem; za to w całej armii francuskiej nie było lepiej karmionego oddziału. Już choćby po tym widać było, ile nadziei państwo pokłada w tych ludziach. Cały blok koszarowy został zamieniony w kuchnię; personel przybył z Taverny, tymczasowo odkomenderowany do tutejszego garnizonu. Mięsa we wszystkich gatunkach było pod dostatkiem; jeśli którykolwiek z żołnierzy miałby codziennie ochotę na *filet mignon*, nie byłoby z tym problemu, ale każdy obowiązkowo musiał spożywać jarzyny: sałatę, szpinak, kapustę, fasolę, brukselkę i pietruszkę. O takich oczywistych elementach diety jak bułki, mleko i owoce sprowadzane z nad Morza Śródziemnego nawet nie ma co wspominać, podobnie jak o niezliczonych litrach soków, kawy, herbaty i wody mineralnej. Na potrzeby kuchni (i reszty obozu) energii dostarczały dwie dieslowskie prądnice.

Każdego popołudnia przed kolacją, a po kolejnym paroki-lometrowym biegu, odbywała się odprawa, na której Raszud i dowódcy grup do znużenia powtarzali plan ataku. Operacja miała się rozpocząć nocą 25 marca. Tego wieczoru zebranie prowadził sam Rawi, przemawiając po angielsku, w języku zrozumiałym dla wszystkich arabskich uczestników i większości Francuzów. Dla pozostałych był w pogotowiu tłumacz. Generał po raz pierwszy omówił kwestię dotarcia do Arabii

Saudyjskiej, informując wszystkich, że z Fortu Mousea wyruszą typowymi dla Morza Czerwonego żaglowymi stateczkami dau, najmniej zwracającymi uwagę. Każdy z żołnierzy miał być przebrany w tradycyjne szaty beduińskie. Z Dżibuti, przeciąwszy cieśninę, dau miały popłynąć na północ, posuwając się wzdłuż brzegu jemeńskiego. Raszud mówił prostymi, dobrze artykułowanymi słowami.

–Przeciętna prędkość dau to siedem węzłów, to znaczy podczas lekkiej zachodniej bryzy znad pustyni. To normalne warunki w tych stronach. Podróż do północnych wybrzeży Jemenu zajmie nam niecałe dwa dni. Poszczególne grupy po płyną osobno, poczynając od pierwszego brzasku jutro rano. Pierwszy konwój będzie złożony z trzech dau, wiozących mój zespół numer trzy oraz obsadę centrum dowodzenia, w sumie dwudziestu czterech ludzi, po ośmiu na łódź. Chcę unikać nadmiernej koncentracji, na wypadek nieoczekiwanych wydarzeń. Każdy zabiera broń osobistą... kałasznikowa i boczna, amunicję, nóż i granaty. Weźmiemy prowiant na siedemnaście dni, wodę, radiostacje, telefony komórkowe, śpiwory i apteczki. Przez cały rejs żadna z dau nie może stracić kontaktu wzrokowego z dwiema pozostałymi. Zespoły numer dwa i trzy wyruszą dwa dni później, każdy dwiema dau, odpowiednio o szóstej i o czternastej. Wszystkie jednostki wylądują na pustym odcinku brzegu w północnym Jemenie, każdemu zespołowi wyznaczylśmy osobny punkt desantu... również w celu uniknięcia koncentracji sił na tym etapie. Nie

**obawiam się ataku, tylko tego, że ktoś mógłby nas zauważyć.**

**Miejsca lądowania zostały wybrane po intensywnym badaniu zdjęć lotniczych wykonanych w tym celu przez francuski samolot zwiadowczy.**

**Zebrani kiwali głowami na znak zrozumienia.**

**–A teraz złe nowiny – ciągnął po krótkiej pauzie generał Raszud. – Długo się głowiłem nad dogodnym i dyskretnym sposobem przedostania się z Jemenu do Arabii Saudyjskiej, ale takiego po prostu nie ma. W tamtej okolicy nie istnieją inne drogi poza jedną, biegnącą wzdłuż wybrzeża, którą od bywa się wszelki ruch między obu państwami. To oznacza, że nie możemy z niej skorzystać. Samolot też odpada, wszystkie lotniska są kontrolowane przez Saudyjczyków. Przerzutu**

śmigłowcami nie zaryzykujemy, bo są zbyt hałaśliwe i łatwe do wykrycia przez obronę powietrzną Chamis Muszajt. Pozostaje nam jedno: dotrzeć tam na piechotę.

–Jak to daleko, sir? – spytał jeden z Arabów.

–Tylko sto siedemdziesiąt sześć kilometrów w linii prostej. W rzeczywistości to będzie jakieś dwieście, może dwieście czterdzieści, zależnie od terenu. Trzeba pokonać góry. Droga zajmie nam dziesięć do dwunastu dni. Wszystko, co będzie nam potrzebne, musimy nieść sami. Nie obejdzie się więc bez ciężkich plecaków bergen, a niewiele armii na świecie może sobie pozwolić na podobny wyczyn. Teren jest paskudny, ze stromymi podejściami, a upał nie do zniesienia. My jednak nie jesteśmy zwykłym wojskiem. Mówią o nas: siły specjalne. Teraz będziemy mieli okazję się przekonać, co w nas takiego specjalnego. Jeśli my tego nie dokonamy, to znaczy, że jest to po prostu nie do zrobienia.

To dumne stwierdzenie słuchacze skwitowali ponowną falą kiwnięć głowami.

–Dwadzieścia kilometrów na dobę załatwi sprawę, prawda, sir? – spytał jeden z hamasowców.

–Załatwi, Said – potwierdził Raszud. – Czasem będzie łatwiej, gdy pójdziemy wyżyną, czasem o wiele trudniej. Na wysokich skarpach tempo marszu spadnie do kilometra lub dwóch na godzinę. Średnio powinniśmy osiągnąć tempo ponad dwadzieścia kilometrów dziennie. Szybciej czy wolniej, ale musimy tam dotrzeć w rozsądnym czasie.

Rawi odczekał, aż tłumacz skończy zdanie. Pytań z sali nie było, po chwili więc kontynuował.

–Każdy zespół pójdzie inną trasą do punktu zbornego,

sześć i pół kilometra na południe od bazy lotniczej Króla

Chalida. W górach czekać będą na nas przewodnicy z Al-Ka

idy. Gotowa już jest starannie wybrana kryjówka, gdzie od

poczniemy co najmniej dobę przed atakiem. Większość z nas

nawet dłużej, ale co noc będą wysyłane patrole zwiadowcze

na rozpoznanie terenu wokół bazy i wzdłuż drogi do Chamis

Muszajt. Zanim dotrzecie do PZ, zapewne nie będziecie już

mieli wody ani prowiantu. Nie ma zmartwienia. Legia już do

**starczyła świeże zapasy na lotnisko polowe Abha, na zachód  
od bazy, a nasi ludzie z Al-Kaidy przewieźli je na wielbłądach**

na miejsce. Każdy z was za chwilę dostanie lokalne mapy, na których zobaczycie drogę prowadzącą do bazy... którą oczywiście nie pójdziemy. Pomaszerujemy na przełaj do wioski Ar-Rosna, tam przetniemy drugorzędny szlak górski i kolejną wioskę, Elszar Muszajt, ominiemy bokiem. Z góry będziemy tam mieli widok na lotnisko i bazę główną. To idealne miejsce dla naszych potrzeb, a ludzie z obu wiosek prawdopodobnie wiedzą o naszym rychłym przybyciu i są gotowi nam pomóc. Kiedy znajdziemy się w tych górach, będziemy dość bezpieczni. Byliśmy tylko celnie strzelali nocą dwudziestego piątego marca...

Ostatnie godziny w Dżibuti (od drugiej do czwartej nad ranem) pochłonęło zwijanie obozu. Dwudziestu czterech ludzi sprawnie spakowało sprzęt i zapasy i godzinę przed wschodem słońca zostali przewiezieni do przystani na północ od Moulhoule, gdzie czekały na nich trzy dau. Ekwipunek trzeba było przenieść na długie drewniane moło; sam Raszud nadzorował rozmieszczenie sprzętu i ludzi na pokładach. Na łodziach przygotowane były miejsca do wypoczynku dla ośmiu żołnierzy, z rozpiętymi na stelażu płóciennymi zadaszeniami dla osłony przed bezlitosnym słońcem. Księżyc już zachodził, kiedy małe jednostki wyszły na wody cieśniny Bab el-Mandeb. W spłowiele łańciskie żagle dmuchał sprzyjający lekki wiatr. Dau płynęły w odstępach po trzysta do czterystu metrów i kiedy o wpół do siódmej nad horyzontem pokazał się rąbek słonecznej tarczy, robiły akurat zwrot na wschód, by pod kątem prostym przeciąć szlak żeglugowy. Ludzie Ra-wiego pozostawali w ukryciu, z bronią pod ręką i granatem u pasa. Dla wachtowych z przepływających statków, których o każdej porze roku, dnia i nocy można spotkać tam kilka, te tradycyjnej budowy łodzie wyglądały zwyczajnie, jak wiele innych – egzotycznych dla nich – podobnych jednostek, pracowicie orzających pradawne szlaki. Mało który poświęcił im więcej niż przelotną chwilę uwagi, nawet się nie zastanawiając, jaki, skąd i dokąd wiozą ładunek, i traktując je raczej jako malowniczą ruchomą przeszkodę nawigacyjną. Na pewno nikomu nie przyszło do głowy, że patrzy na „okręty desantowe” transportujące niewielką, ale groźną siłę uderzeniową, która

wkrótce podejmie próbę obalenia saudyjskiego króla i przejęcia władzy w największym mocarstwie naftowym świata. Trzy arabskie dau prowadzone przez podstarzałych szyprów, których synowie i krewni obsługiwali wielkie płachty żagli, w gorący, bezchmurny poranek sunące w żółtym tempie przez zmarszczone wiatrem wody Morza Czerwonego, przedstawiały ponadczasową, niemal biblijną scenę, niezmienną od wieków i daleką od jakichkolwiek skojarzeń z przemocą, nawet w tej niespokojnej epoce. Instrukcje generała Raszuda były jednak wyraźne: „Jeżeli jaikokolwiek intruz podejdzie bliżej niż sto metrów, nieważne, cywilny czy wojskowy, zlikwidować załogę, a jednostkę zatopić. Bez zwłoki!”

Czwartek, 4 marca 2010 r. Port Said, Egipt

Wejście francuskiego okrętu nuklearnego *Perle* zarejestrowano na północnym krańcu Kanału Sueskiego krótko przed południem. Kapitan Roudy zamierzał spędzić większość czasu potrzebnego na tranzyt na pomoście kiosku; najpierw jednak musiał odbębnić konieczne formalności: wizytę na brzegu, rozmowy z inspektorami urzędu celnego i wizytę w bazie egipskiej marynarki wojennej, usytuowanej poza rozległymi terenami portu handlowego. Egipcjacy oficjale rzadko już sami wchodzili na pokłady obcych okrętów przepływających przez kanał; był to skutek obiekcji zgłaszanych głównie przez Rosjan, którzy często przerzucali tędy swoje jednostki z Morza Śródziemnego na Ocean Indyjski i wody Zatoki Perskiej. Roudy patrzył przez chwilę w ślad za sunącym wolno na południe egipskim kutrem raketowym rosyjskiej klasy Osa, zadziwiony wiekiem okręciku.

–Ma chyba ze czterdzieści lat – odezwał się do stojącego obok swego zastępcy, zwanego w oficjalnym żargonie ZDO. – Ciekawe, czy zmodernizowali system naprowadzania. Wyobraź sobie, że z początku strzelali ręcznie! Jak z łuku...

Egipcjanie nie interesowali się specjalnie francuskim okrętem. Inspektor podpisał papiery, przystawił stosowne pieczęcie, wydał pozwolenie na przejście i ogłosił wszem i wobec przez satelitę, że Francja właśnie wysyła taką to



a taką jednostkę z Morza Śródziemnego na Czerwone. Nie było w tym nic złowrogiego; robił to rutynowo, zgodnie z międzynarodowymi porozumieniami, jak wielu innych strażników newralgicznych dróg wodnych świata.

*Perle* rozpoczął tranzyt o dwunastej trzydzieści. O zmierzchu wchodził na Wielkie Jezioro Gorzkie, a o drugiej nad ranem następnego dnia mijał Port Tewfik w Suezie, wpływając na stosunkowo płytkie wody Zatoki Sueskiej. Prowadzący wzdłuż niej szlak żeglugowy, na całej swej stuśsześćdziesiąt-ciomilowej długości wyznaczony oficjalnie i podzielony na dwa przeciwne pasy ruchu, ma nie mniej niż czterdzieści pięć metrów głębokości, ale upstrzony jest podwodnymi skałami i mieliznami, nie wspominając o kilku wrakach. Poza tym jest to akwen wąski; kontynent afrykański od półwyspu Synaj dzieli tam od piętnastu do czterdziestu kilometrów -w sumie nie jest to wymarzony rejon dla podwodniaka...

Kapitan Roudy trzymał okręt w wynurzeniu, dopóki nie minął cieśniny Gubal, wypływając na głębsze wody Morza Czerwonego, gdzie dno raptownie opada do sześciuset metrów. O godzinie siedemnastej dziewięć w piątkowe popołudnie 5 marca zarządził napełnienie głównych balastów i zszedł pod powierzchnię. Do tej chwili pozycja, kurs i prędkość *Perle* były publicznie dostępne. Teraz nikt już nie wiedział, dokąd się okręt kieruje, a już na pewno – jakie są intencje jego dowódcy. Obserwatorzy przed monitorami z obrazem z satelitów mogli się domyślać, że płynie do Zatoki Adeńskiej i dalej, ale dla Francuzów istotne było to, że te i podobne domysły nie mają i nie będą mieć żadnego punktu zaczepienia. Od tego momentu nikt już nie zobaczy *Perle* - przynajmniej nie w tym miesiącu. Okręt miał się wynurzyć na światło dzienne dopiero w drugim tygodniu kwietnia, po planowym zawinięciu na Reunion; wtedy jednak świat będzie już zupełnie inaczej wyglądał – zwłaszcza z punktu widzenia saudyjskiego rodu królewskiego... albo prezydenta Francji.

Pięć dni później, kiedy kapitan Roudy wolno płynął wzdłuż centralnej głębi Morza Czerwonego, siostrzana jednostka *Amethyste* szykowała się do odcumowania z portu wojennego w Breście. O piątej rano było tam jeszcze ciemno, ale na kei

zebrała się gromadka żegnających: rodziny załogi, cumownicy, paru inżynierów, którzy dopiero co zakończyli ostatnie próby mechanizmów, oraz – ku zaskoczeniu niektórych – sam dowódca floty podwodnej, admirał Marc Romanet.

Nukleonicy zaczęli wyciągać pręty spowalniające kilkanaście godzin wcześniej, żeby powoli rozgrzać reaktor i wytworzyć pożądane ciśnienie robocze. Komandor Dreyfus zakończył układanie listy z nazwiskami, adresami i telefonami najbliższych każdego oficera i marynarza na pokładzie – taka jest standardowa procedura przed każdym wyjściem okrętu w morze; dowództwo musi wiedzieć, kogo powiadomić, na wypadek gdyby nie powrócił do bazy.

Na pierwszej pozycji widniały dane pani Janinę Dreyfus, lat trzydzieści jeden, matki sześćioletniej Marie-Christine i czteroletniego Jerzego. Cała trójka stała teraz na nabrzeżu, chroniąc się pod szerokim parasolem przed ulewnym deszczem i patrząc na męża i ojca, który stał wysoko na pomoście i rozmawiał z ZDO i oficerem wachtowym.

O piątej piętnaście padł rozkaz przygotowania siłowni. Osiem minut później lakoniczne „Odcumować!” oficjalnie rozpoczęło rejs. Zastępca dowódcy wydał odpowiednie polecenia załodze manewrowej i po chwili dwa holowniki zaczęły odciągać *Amethyste* od nabrzeża. W niesionych atlantyckim wichrem niemal poziomo strugach deszczu wielki czarny kadłub ruszył naprzód, z wolna zwiększając prędkość do nakazanych przez Dreyfusa dziesięciu węzłów, w stronę majaczącej przed dziobem główki południowego falochronu. Po ominięciu mielizny St Pierre położono się na kurs 240°, wzdłuż wąskiej zatoki Goulet de Brest. Wkrótce zebrane na kei rodziny widziały już tylko coraz słabszy blask światła rufowego, aż wreszcie i ono zniknęło im z oczu. Janinę Dreyfus z dziećmi odeszła ostatnia.

Jej mąż zszedł z pomostu dopiero, gdy minęli trawers latarni na przylądku St Mathieu, południowo-zachodnim krańcu bretońskiego półwyspu Finistere. Wydał oficerowi wachtowemu polecenie zejścia na dużą głębokość i zwrotu najpierw na zachód, by jak najszybciej odejść od kontynentalnego szelfu, a potem na południe, ku Zatoce Biskajskiej i brzegom Hiszpanii i Portugalii. Kierunek: Gibraltar.

**Piątek, 12 marca, godz. 15.00. Północno-zachodni Jemen**

**To był najgorętszy dzień w ostatnich kilku tygodniach. Generał Rawi Raszud i jego ludzie wciąż szli naprzód. Byli w drodze przez góry Jemenu już od dziesięciu dni, od chwili wylądowania na bezludnych plażach na północ od miasta Majdi, kilka kilometrów od granicy saudyjskiej. Tak ekstremalny wysiłek możliwy był tylko dzięki wyjątkowej sprawności i żelaznej kondycji oddziału. Skoncentrowane pakiety żywnościowe pozwalały zaspokoić podstawowe potrzeby energetyczne organizmów, ale od paru dni ludzie zaczęli tracić na wadze i Rawi z niepokojem wyglądał chwili dotarcia na punkt zborny. Nikt oczywiście nie wyrzekł słowa skargi, kiedy tak dzień za dniem wędrowali stromymi zboczami, kierując się wskazaniem GPS i busoli. Jednakże kiedy elitarny oddział prosi o odpoczynek, dowódca przystaje na to natychmiast; Raszud zauważył zaś, że takie prośby zdarzają się coraz częściej.**

**Temperatura powietrza trzymała się w granicach trzydziestu paru stopni, a niesione na plecach bergeny stawały się coraz cięższe, w miarę jak ubywało zapasów, ale marsz nie był przez to ani trochę łatwiejszy. Ciężar broni i amunicji się nie zmniejszył, a dodatkowo trzeba było nieść dwa ceka-emy, po trzydziści minut na zmianę. Utrzymywane w tych warunkach dobre tempo najlepiej świadczyło o poziomie ich wyszkolenia i dyscypliny.**

**Raszud wiedział, że tego dnia mają jeszcze do pokonania ponad sześć kilometrów, zanim zapadnie zmrok. Prawie pięćdziesiąt kilometrów za nimi szedł zespół numer dwa, prowadzony przez twardego jak dąb byłego majora Legii Cudzoziemskiej Henriego Gilberta, z którym major Marot komunikował się przez satelitę co dwie godziny. Ostatni pododdział, zespół numer jeden, dowodzony przez Korsykańczyka, majora Paula Spaniera, znajdował się dwadzieścia kilometrów za „dwójką” i maszerował inną trasą, znacznie szybciej od poprzedników. Taka już jest natura podobnych marszów: z biegiem czasu i wraz z przebytą drogą wszyscy nieodmiennie tracą na szybkości.**

Tymczasem, kiedy zespół numer trzy patrzył na zapadające w toń Morza Czerwonego słońce, na horyzoncie pojawili się dwaj jeźdźcy na wielbłądach. Jechali w niespiesznym rytmie Beduinów, niezmiennym od stuleci; zbliżali się od północnego wschodu, przez usianą głazami, pozbawioną jakiejkolwiek roślinności piaszczystą pustynię, wzbijając za sobą obłok pyłu; czasami ginęli z oczu za wzniesieniem lub w zagłębieniu terenu, ale szara chmura zdradzała ich obecność.

Rawi przyjrzał się im przez lornetkę. Obaj byli uzbrojeni w zatknięte w olstra przy siodłach strzelby. Krótki rozkaz zmiotł oddział ze szlaku za pobliskie kamienie, gdzie zalegli z bronią gotową do strzału. Beduini z wolna nadjeżdżali, nie starając się ukrywać. Dojechawszy do głazów, zsiadli z wielbłądów i jeden z nich cicho przemówił.

–Generale Raszud? Jestem Ahmed, wasz przewodnik.

–Hasło! – rzucił z ukrycia Rawi.

–Szwadron śmierci! – odpowiedział Arab.

Generał wysunął się naprzód z wyciągniętą na powitanie dłonią.

–Salaam alejkum – odpowiedział przybyły. – Przywieźliśmy wam wodę. Wasza długa podróż się kończy. Zostały wam już tylko trzy kilometry.

–Dzięki, Ahmedzie. Moi ludzie są zmęczeni i spragnieni. Zaczynało nam już brakować prowiantu.

–Mamy go pod dostatkiem, a wkrótce będziemy na miejscu. Daj się ludziom napić, a potem ruszajcie za nami.

–Widzieliście nas z daleka? – spytał Rawi.

–Widzieliśmy pył, a od czasu do czasu można było zauważyć jakiś ruch. Ale nie słyszeliśmy was aż do ostatniej chwili. Poruszacie się bardzo cicho, jak Beduini.

–Jest ich kilku wśród nas. Miło nam was widzieć.

Towarzysz Ahmeda, młody Saudyjczyk z Al-Kaidy, zdjął

z juków dwa dziesięciolitrowe plastikowe kanistry z wodą i ustawił je na kamieniu. Na każdego przypadł litr; dziesięć minut później pojemniki były puste. Żołnierze nałożyli plecaki i pomaszerowali dalej na północ w ślad za jeźdźcami. Teren zaczynał się obniżać; wkrótce też dotarli do zbudowanej przez ludzi z Al-Kaidy kryjówki. Trudno ją było wypatrzeć; z jednej strony osłaniała ją urwista kilkudziesięciometrowa skała,



z drugiej – półksiężyc głązów. Z tego miejsca świetnie było widać leżącą pod nim dolinę i niskie wzgórza po przeciwległej stronie. Za nimi rozpościerała się płaska jak stół równina, na której usytuowano odległą o osiem kilometrów bazę lotniczą imienia Króla Chalida.

Obozowisko składało się z drewnianych wiat otwartych z trzech stron, z dachami z palmowych i paprociowych liści. Namiot w kolorze khaki również zamaskowano paprociami. Złożono tam zapasy: przez niezasznurowane wejście widać było kartony. Po lewej stronie pod głązem stało kilka benzynowych kuchenek. O rozpaleniu ognia oczywiście nie mogło być mowy – w czystym powietrzu blask płomieni, a w dzień dym byłby widoczny z saudyjskich koszar jak na dłoni.

Ta spartańska kryjówka miała być dla francusko-arab-skiego oddziału szturmowego domem przez najbliższe trzynaście dni. Przez ten czas Raszud zamierzał dobrze rozpoznać teren wokół obu baz, przyjrzeć się procedurom stosowanym nocami przez warty, ustalić dobowy rozkład natężenia ruchu przez główne bramy i zanotować, gdzie palą się światła przez całą noc. W poniedziałek nad ranem, kiedy rakiety kapitana Roudy'ego uderzą w stację pomp w Abkaik, szturmowcy generała będą gotowi do akcji.

Poniedziałek, 15 marca, godz. 09.00. Środkowa Arabia Saudyjska

Główna droga prowadząca do starożytnych ruin Diraiji, trzydzieści dwa kilometry na północny wschód od Rijadu, była zamknięta. Na skrzyżowaniu z szosą ar-Rouba, tuż za dzielnicą dyplomatyczną, stał na straży czółg. Dwaj żołnierze pogrążeni byli w rozmowie z trójką funkcjonariuszy *mataw-wy*, saudyjskiej policji religijnej. Formację tę, której zadaniem było pilnowanie ścisłego przestrzegania rygorystycznych nakazów Koranu, niemal całkowicie opanowali zwolennicy księcia Nasira. W tle widać było dużych rozmiarów tablicę informacyjną z napisem „Droga do Diraiji wyłączona z ruchu z powodu odbudowy”. Automobilistów, którzy deklarowali, że jadą dalej, przepuszczano z pisemnym zezwoleniem, któ-

re musieli później okazać na następnym posterunku, o trzy kilometry od ruin. Nikomu nie było wolno wysiadać z pojazdu. To samo spotykało podróżnych jadących na południe od strony Unajza.

Na wysokości Diraiji drogę w obu kierunkach przegradzał szlaban. Żołnierze pilnowali, aby nikt nie skręcił na zachód; odbierali przepustki i uprzejmie informowali, że data ponownego otwarcia zabytku zostanie ogłoszona w „Arab News”. Większości miejscowych kierowców oczywiście to zupełnie nie obchodziło, a nieliczni turyści byli zatrzymywani już na rogatekch Rijadu. Każdego, kto by poświęcił temu chwilę uwagi, mogłoby zdziwić, że tak ostre środki bezpieczeństwa zastosowano akurat w pierwszej historycznej stolicy klanu al-Saudów. W Diraiji, najpopularniejszym stanowisku archeologicznym kraju, panował stan wyjątkowy; po raz pierwszy od dwustu lat, kiedy miasto obiegł i zniszczył turecki zdobywca Ibrahim Pasza,

**armia saudyjska wydawała się zdeterminowana, by go za wszelką cenę bronić przed obcymi.**

**Dirajja była miastem martwym. W 1818 roku na rozkaz Ibrahima zburzono ją doszczętnie, nie pozostawiając ani jednej stojącej ściany. Nawała artyleryjska powaliła nawet wszystkie rosące w obrębie murów palmy, zanim turecka armia odeszła, skąd przyszła, czyli do Egiptu. Palmy odrosły, ale Saudyjczycy nie chcieli odbudowywać swego największego miasta; woleli założyć nowe – i tak powstała dzisiejsza stolica, Rijad. Przez ponad sto osiemdziesiąt lat Dirajja trwała w stanie, w jakim pozostawił ją turecki wódz: widoczne były tylko zarysy fundamentów starych budynków, meczetów, baszt strażniczych i wyznaczone przez nie linie ulic – świadectwo dawnej chwały, a dziś pozbawiona wszelkich oznak życia i zasypana piaskiem Atlantyda, w której jedynym odgłosem bywało szuranie butów turystów i trzask fotograficznych migawek.**

**Do chwili, kiedy pokazał się tam pułkownik Jacques Ga-moudi.**

***Le Chasseur* przyleciał na lotnisko międzynarodowe imienia Króla Chalida rejsowym samolotem Air France 2 grudnia i od tamtej pory nie ruszał się z Rijadu. Jego przybycie pozostało niezauważone. Z lotniska taksówką pojechał do hotelu**

„Azjatyckiego" przy ulicy al-Bathaa. Dopiero po dwóch dniach spotkał się z trzema emisariuszami księcia Nasira, w taniej restauracji z wielkim biało-czerwonym szyldeem arabskim i jeszcze większym stylizowanym portretem hamburgera nad wejściem. Odtąd działo mu się lepiej – przeniósł się do pięknej rezydencji pośrodku otoczonego wysokim białym murem palmowego gaiku, przydzielono mu oficera łącznikowego, dwie pokojówki, kucharza, szofera i dwóch przybocznych z Al-Kaidy, rdzennych mieszkańców stolicy. Jeden z nich był bratem Ahmeda, górskiego przewodnika generała Raszuda.

Przez dwa tygodnie Gamoudi ze swymi adiutantami studiowali mapy, szukając najlepszego miejsca na ukrycie transporterów opancerzonych uzbrojonych w działka przeciwpancerne i prawdopodobnie sześciu czołgów MIA2 Abrams ostatniego słowa amerykańskiej techniki zbrojeniowej. Wojska pancerne Arabii Saudyjskiej posiadały trzysta tych groźnych maszyn, z czego połowa stacjonowała w Chamis Muszajt.

Trzeba też było zgromadzić arsenał lekkiej i ciężkiej broni maszynowej oraz granatników ręcznych, nie mówiąc już o tonach amunicji i granatów. Wiele z tych rzeczy składowano w miastach garnizonowych pod czujnym okiem personelu sprzyjającego sprawie księcia Nasira, chodziło tylko o to, kiedy i dokąd będzie można przewieźć broń.

Jacques Gamoudi zwoływał odprawy sztabowe, w których uczestniczyło po kilku zapraszanych bojowników Al-Kaidy. Po konsultacjach ze swoimi specjalistami łączył się kodowanym kanałem z generałem Raszudem na południu kraju. Nigdy jednak nie komunikował się z nikim we Francji. Gdy pewnej nocy niespodziewaną wizytę złożył mu sam książę Nasir, Jacques wyraził zaniepokojenie tym zasadniczym problemem. Książę w mig rozwiął jego wątpliwości: on sam opracował odpowiedni plan zdobycia broni, a lojalni wobec niego oficerowie już ją mieli i strzegli. Rzecz okazała się wcale nietrudna; praktycznie wszystko wykradziono z magazynów wojsk lądowych, których służby kwatermistrzowskie, zalewane potokiem rządowych pieniędzy, nauczyły się niefrasobliwie traktować powierzony sprzęt. Przez dwa lata trwała niezwykła tajna operacja w łonie państwa. Jedna po drugiej bojowe maszyny znikły z bazy w Chamis Muszajt, wywo-



żonę wprost przez główną bramę na wielkich platformach samochodowych. Trafiły do garnizonu Assad w Al-Chardż, o sto kilometrów na południowy wschód od Rijadu, gdzie ulokowany jest też saudyjski przemysł zbrojeniowy. Nikomu nie przyszło do głowy pytać, dlaczego żołnierze załadują czołgi na ciężarówki, a i wartownicy nigdy żadnej nie zatrzymali. W Assad ich pojawienie się budziło tym mniejsze zainteresowanie: bramę otwierano na klakson i wpuszczano maszynę na teren bazy znudzonym machnięciem ręki. Czołgi stały w równym rzędzie na północnym skraju placu defiladowego i każdy z oficerów był pewien, że ktoś inny wydał taki rozkaz. Nikt tego słowem nie skomentował, a większość po prostu nie zwróciła na to uwagi. Tak samo było z setkami sztuk broni ręcznej, zapakowanej w skrzynki i wielokrotnie przewożonej z bazy do bazy, zawsze składowanej w tak oczywistym miejscu, że wszyscy byli przekonani o legalności operacji, której w rzeczywistości nikt nigdy oficjalnie nie usankcjonował. Prywatny arsenał księcia Nasira był widoczny dla wszystkich i nie widziany przez nikogo. Tysiące sztuk amunicji spoczywały w magazynach Assad, inny wielki skład zgromadzono w samej bazie Króla Chalida na południu, nie było jednak po tym żadnego śladu w dokumentach. Nikt też nie stwierdził jej braku, kiedy nagle zniknęła, dwa tygodnie przed dniem 25 marca.

Teraz nadeszła pora, by rozpocząć akcję. Niestety, tak jak kwatermistrze saudyjskiej armii, również książę i jego doradcy byli przekonani, że ktoś inny ma to wszystko pod kontrolą. Tymczasem sprawy nikt nie przemyślał, co przyszłym rewolucjonistom uzmysłowiły dopiero rzeczowe pytania rzucane przez byłego francuskiego oficera sił specjalnych: gdzie będzie nasza baza wypadowa? Skąd wyruszymy do ataku? Gdzie będzie nasz punkt dowodzenia? Jest tam zapewniona łączność? A czy ktoś ją przetestował? Nie? W takim razie zrobmy to teraz. Nie można zrobić porządnej rewolucji, jeśli nie można się między sobą porozumiewać.

Kłopot w tym, że Gamoudi sam nie mógł tych problemów rozwiązać. To Saudyjczycy znali teren i dostępne kryjówki. Oni powinni powiedzieć mu, gdzie ulokować kwaterę główną, a nie na odwrót. Pod koniec lutego atmosfera zaczynała być

napięta. Potajemne zmagazynowanie broni i amunicji to zadanie stosunkowo łatwe, ale z wielkimi Abramsami sprawa była trochę inna. Nie da się ciężkiego czołgu dyskretnie zaparkować na czyimś podwórku, zanim 25 marca ruszy do szarży główną arterią Rijadu, Jiddah Road. Pułkownik zaznaczył na planie możliwe lokalizacje – wielkie wille z dużymi ogrodami – ale z żadnej z nich nie był zadowolony. Ani przez chwilę nie zapomniał, że aby sprowadzić klęskę na spiskowców, wystarczy jedno nieostrożne słówko rzucone niewłaściwej osobie przez służącego... jeden bystrzejszy od innych przechodzień... jeden przyjaciel domu, lojalny wobec króla...

O swoich zmartwieniach rozmawiał z następcą tronu. Po wiedział mu, że potrzebuje bazy niedostępnej dla osób postronnych, zlokalizowanej w pobliżu jednej z głównych ulic, dobrze zabezpieczonej przed wścibskim okiem. Musiało to być miejsce łatwe do odgródzenia kordonem, ale tak, by nie zwróciło to niczyjej uwagi.

–Sire, czy jest pan władny wyznaczyć takie miejsce i zarządzić, aby oficjalnie objęto je zakazem wstępu do odwołania? Gdzieś, gdzie moglibyśmy skoncentrować siły, przewieźć broń i... skąd można by ruszyć do natarcia?

Książę Nasir zastanawiał się przez dwie godziny, krążąc po pokoju i popijając kawę, wpatrując się w plan miasta i mapę jego okolic. Wreszcie wyprostował się i uśmiechnął.

–Tak. Mam takie miejsce. Jestem w końcu dowódcą gwardii narodowej i mam wielu lojalnych oficerów. Ludzie z *matawwy* też są mi szczerze oddani. Nikogo nie będzie obchodziło, że zamkniemy zabytek w celu przeprowadzenia prac konserwatorskich. Nie będę nawet musiał z nikim tego uzgadniać.

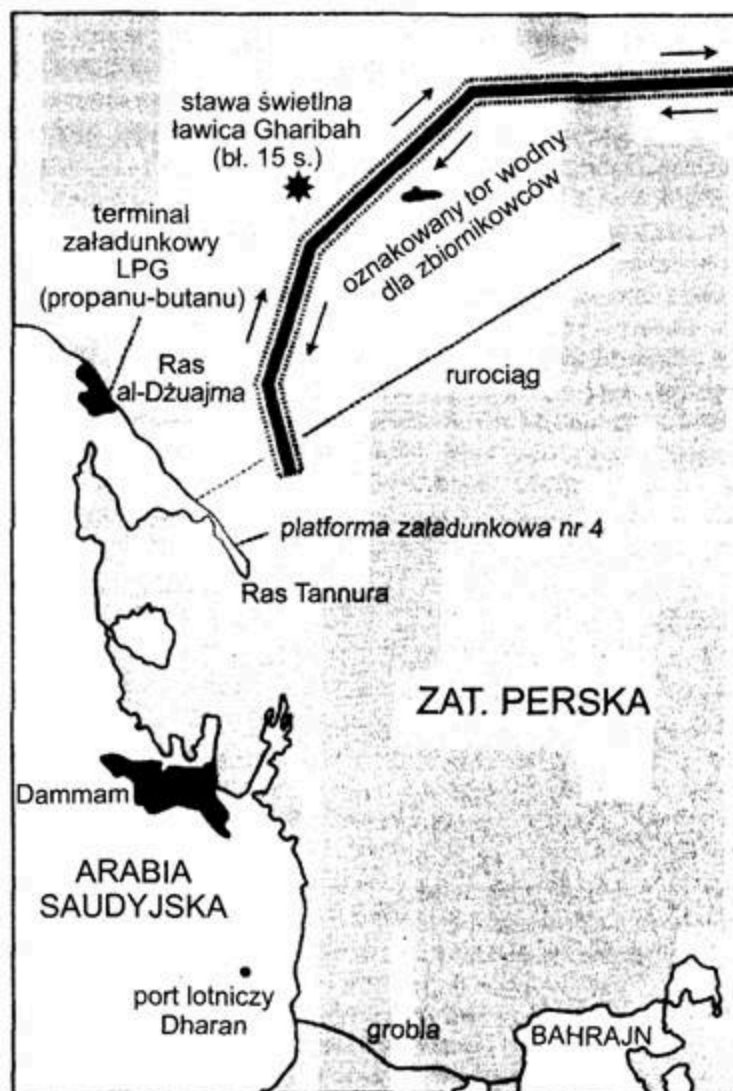
1 tak w poniedziałek 15 marca pośrodku prastarych ruin Diraiji stało już osiem Abramsów, na fundamentach osiemna stowiecznego meczetu wyrósł płócienny kamuflażowy dach, pod którym kryły się dziesiątki skrzyń z bronią i amunicją, a resztki miejskich murów obsadzili uzbrojeni po zęby war

**townicy, wyposażeni w potężne reflektory zasilane z kabla,  
który kiedyś dostarczał tylko energię dla kiosku z pamiąt  
kami, przewodnikami i oczywiście chłodzonymi napojami dla  
turystów. Gdyby przez jakieś zakrzywienie czasoprzestrzeni**

Ibrahim Pasza stanął teraz pod miastem, zawahałby się przed atakiem, choć nie broniły go już zburzone przezeń przed dwustu laty fortyfikacje – każdy napastnik zostałby unicestwiony już na pół kilometra przed celem. Pułkownik Gamoudi żywił zaprawiony niechęcią podziw dla tureckiego wodza za precyzję działania, ale wdzięczny mu był za pozostawienie nietkniętego odcinka murów, za którym mógł teraz zaparkować dwadzieścia pięć pojazdów bojowych. Wojskowe ciężarówki co godzinę dowoziły dalsze materiały. Każda dostawa była skrupulatnie odnotowywana w zbudowanym dla Myśliwego drewnianym baraku biurowym ze ścianami pokrytymi mapami. Gamoudi znał dokładnie wszystkie ważne budynki, które miał zająć – pałace, gmach stacji radiowej i telewizyjnej. Udzielał dokładnych instrukcji kierowcom wozów bojowych, a przede wszystkim dowódcom czołgów. Wiedział, że nie da się uniknąć ofiar – i zadziwiała go gotowość ochotników, którzy podejmowali się poprowadzić samolot, którym chciał w samobójczym ataku zniszczyć pałac królewski. Wydawało się, że nie ma rzeczy, której by nie dostał, gdyby zgłosił na nią zapotrzebowanie. Marokańczyk był teraz przekonany, że jest gotów zdobyć stolicę Arabii Saudyjskiej.

Środa, 17 marca, godz. 01.00. 25°50'N, 056°55'E

Okręt kapitana Roudy'ego zbliżał się do cieśniny Ormuz, krętej drogi morskiej do naftowych imperiów Bliskiego Wschodu. *Perle* sunął na głębokości piętnastu metrów kursem 315°, bliżej irańskiej strony szlaku, z prędkością dwunastu węzłów; Roudy nie starał się specjalnie kryć – tamte wody są nazbyt płytkie. Okręt zostawiał na powierzchni drobny ślad, dostrzegalny tylko dla wprawnego obserwatora. Oficerowie ani marynarze wachtowi ze zbiornikowców do takich się nie zaliczają, a w tej chwili ani irańska, ani omańska marynarka wojenna nie miały w cieśninie żadnego patrolowca. Przed dziobem *Perle* szedł z prędkością dziesięciu węzłów wielki gazowiec, a przed dwudziestoma minutami minęli się ze zmierzającym w przeciwnym kierunku liberyjskim VLCC o nośności trzystu pięćdziesięciu tysięcy ton. Alain Roudy wiedział, że ruch



Tor podejściowy do saudyjskich terminali naftowych na Zatoce Perskiej

140

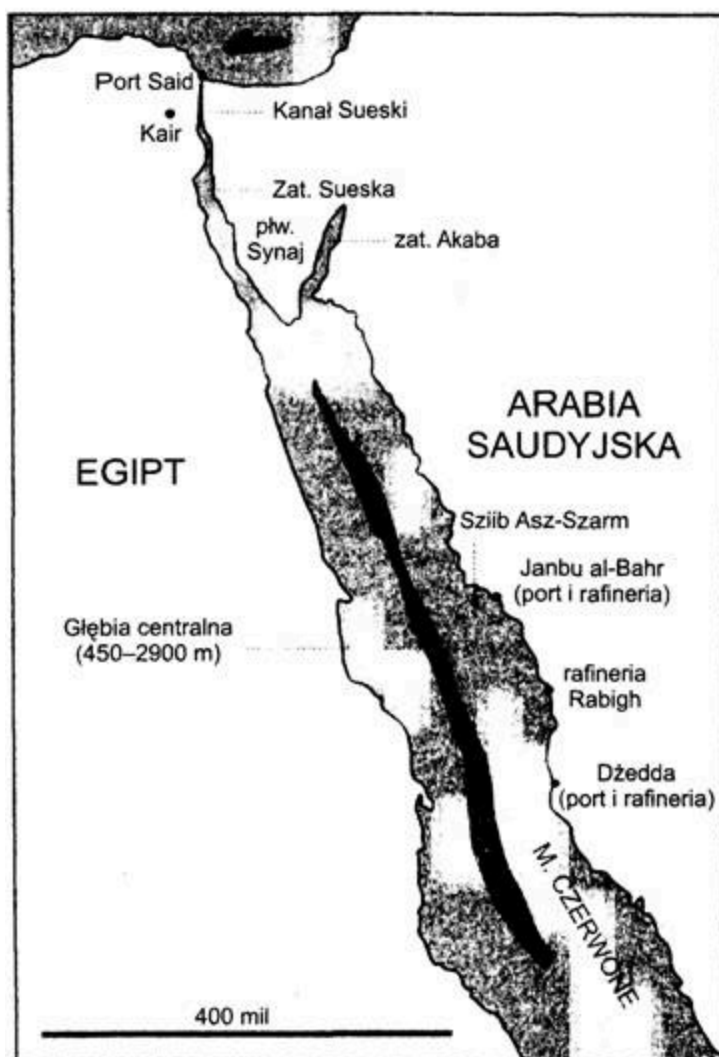
się prawdopodobnie zwiększy, kiedy wejdą na główny szlak zbiornikowców wewnątrz Zatoki, na razie jednak mogli spokojnie sunąć kilkanaście metrów nad dnem, nie przejmując się warunkami na powierzchni. Jeszcze czterdzieści mil morskich, a wejdą w długi, lewoskrętny wiraż Ormuz, okrążając rozczapierzony na wszystkie strony półwysep Musandam, najdalej na północ wysunięty skrawek sułtanatu omańskiego i zastrzeżoną strefę militarną wokół niego. Roudy spodziewał się tam patroli nawodnych i zamierzał wydatnie zwolnić, by wymazać z powierzchni morza swój delikatny, ale widoczny dla specjalistów kilwater. Dalej droga będzie prosta; *Perle* popłynie kursami zachodnimi z prędkością sześciu węzłów ku odległym o czterysta mil saudyjskim polom naftowym i w niedzielne popołudnie 21 marca bez problemu znajdzie się w swoim rejonie operacyjnym, tuż na zachód od pola Abu Safa, o pięć mil od najruchliwszego na świecie szlaku zbiornikowców prowadzącego do terminali Ras Tannury.

Na okręcie znajdowało się szesnastu komandosów z CASM, Commando d'Action Sous-Marine komandora Huberta, elitarnej jednostki francuskiej, dorównującej w podwodnych akcjach

specom z najsłynniejszych formacji amerykańskich i brytyjskich. Dwunastu z nich, pletwonurkowie, którzy mieli zaminować platformy załadunkowe, było wychowankami Huberta z Sekcji B (antyterrorystycznej; w obecnej sytuacji brzmiało to groteskowo); pozostała czwórka, doskonali sternicy zodiaków i łącznościowcy, pochodzili z wyspecjalizowanej 2. kompanii CASM.

Podczas rejsu komandosi trzymali się we własnym gronie, zamyśleni i cisi rzadko nawiązywali rozmowy z marynarzami. Wszyscy jednak dobrze to rozumieli; ta szesnastka stanowiła frontową szpicę operacji. Gdyby im się nie powiodło, gdyby zostali ostrzelani i zranieni lub zabici, konsekwencje dla Francji byłyby katastrofalne. Każdy na pokładzie zdawał sobie sprawę, jak ogromne i niebezpieczne zadanie postawiono przed tymi żołnierzami. Większość załogi oczywiście się nie orientowała, jaki jest konkretny cel ich misji; podwodniacy to jednak inteligentna grupa zawodowa i domyślano się, że chodzi o coś wielkiego.

Komandor Jules Ventura, trzydziestodwuletni śniady ol-



Morze Czerwone – część północna

142

brzym z Prowansji, półkrwi Algierczyk, miał poprowadzić swoją grupę pletwonurków przeciwko bardziej niebezpiecznemu celowi, terminalowi gazowemu w Ras al-Dzuajma. Marynarze, którzy mu usługiwali i z nim rozmawiali, już teraz uważali go niemal za boga; była to jedna z niewielu rzeczy, która potrafiła go rozbawić.

Czwartek, 18 marca, godz. 16.30. 25°40'N, 035°54'E

*Amethyste* pełził powoli przez ciepłe wody Morza Czerwonego, trzysta dziesięć mil morskich na SSE od Suez. Pod kilem miał prawie sześćset sążni (ponad tysiąc metrów) wody, a jego nowy reaktor pracował nienagannie. Okręt płynął bez-szmerowo, a jak dotąd największym przeżyciem było króciutkie podejście na peryskopową dla wizualnego potwierdzenia pozycji przy latarni morskiej na skale El-Achawein, o dziewiętnaście mil na północ od dwudziestego szóstego równoleżnika. Trzydzieści pięć mil przed nimi sterczał z wody następny „znak drogowy”, wysepka Abu el-Kizan, którą mieli mijać o dwadzieścia mil z lewej burty, zbyt daleko, by przez ledwo wystający z wody peryskop ujrzeć jej światło – gdyby nawet dowódca

chciał się wynurzyć z bezpiecznej głębi. Stamtąd do pierwszego rejonu operacyjnego pozostanie im sto dwadzieścia mil. Z dotarciem tam na czas – wieczorem 21 marca – nie będzie żadnego kłopotu.

Nastrój był ogólnie lepszy niż na *Perle*, ale też ich misja była nieporównanie mniej niebezpieczna: mieli operować na głębokich wodach, na których praktycznie nie groziło im natknięcie się na obcy okręt, przeciwko krajowi ze słabiutką marynarką wojenną, niedoświadczoną w działaniach ZOP *Amethyste* był największą rybą w tym akwarium – to jest, dopóki nie znajdzie się tam jakaś jednostka amerykańska. Na razie jednak nie miał godnego siebie przeciwnika, a jeżeli komandor Dreyfus i jego ludzie zachowają zimną krew, nie będą go mieli do końca, ponieważ przez najbliższe trzy lub cztery tygodnie nikt ich nawet nie zauważy. Kiedy zaś w końcu wychyną na powierzchnię tysiące mil na południe, na zachodnich wodach Oceanu Indyjskiego, nie będzie najmniej-



szego powodu, by ktokolwiek mógł podejrzewać, że mieli coś wspólnego z nocą szokujących katastrof, które unieruchomiły saudyjski przemysł naftowy. Załoga *Amethyste* dobrze to rozumiała. Nie doświadczała tego poczucia realnego zagrożenia, balansowania na ostrzu noża, jakie było udziałem kolegów z siostrzanego okrętu, skradającego się przez zdradliwe wody Zatoki Perskiej. Ciemnowłosy, wysoki i szczupły dowódca grupy pletwonurków, trzydziestoletni porucznik Garth Du-pont, zabijał czas podróży namiętą grą w brydża z podwładnym i marynarzami, oczywiście na pieniądze. Łączna pula postawiona przez graczy od wyjścia z Brestu nie przekraczała jednej tysięcznej sumy, jaką w pół godziny przegrywał w Monako nieboszczyk książę Chalid i jego „księżniczka” Adele.

## ROZDZIAŁ 5

Niedziela, 21 marca 2010 r., godzina 00.30. Północny skraj bazy lotniczej im. Króla Chalida

General Raszud, major Marot i dwaj specjaliści saperzy leżeli płasko na ziemi nieopodal wysokiego płotu strzegącego tyłów lotniska. Po raz kolejny obserwowali zmianę warty w bazie; każdej nocy następowała o tej samej porze, a sześciu wartowników rozwoził na odległe posterunki jeep. Jechał zawsze szybko, z włączonymi światłami drogowymi i z wielkim hałasem; blask reflektorów oświetlał zaczajonym żołnierzom stojące niedaleko za płotem samoloty. Oddział Ra-szuda spędził wiele godzin na oględzinach regularnie dostarczanych przez francuskie satelity zdjęć bazy. Wynikało z nich, że niezależnie od liczby wykonywanych lotów stacjonuje w niej niezmienna liczba maszyn: czterdzieści amerykańskich F-15 i trzydzieści dwa brytyjskie tornada, ustawione na noc w rzędach po osiem. Z rzadka otwierały się wrota stojącego o dwieście metrów dalej hangaru; widać wtedy było trzy dalsze samoloty, remontowane lub poddawane okresowym przeglądom. Rawi nie mógł się zorientować, czy to zawsze te same maszyny, miał bowiem okazję je widzieć nie częściej niż raz na trzy dni, zwrócone do niego przodem, przez co nie było widać ich numerów taktycznych.

Atak miał się rozpocząć za cztery dni – 24 marca. Dzisiejszy, ostatni zwiad miał istotne znaczenie; trzeba było się upewnić, że lotniskowa rutyna nie ulega żadnym zmianom. Wydawało się, że nie: warta zmieniała się regularnie o tych samych godzinach, mechanicy w hangarach przerywali pra-

cę o osiemnastej, a krótko po północy cała baza praktycznie zapadała w sen.

W czwartkową noc dwunastu dywersantów z zespołu numer jeden majora Spaniera, podzielonych na pary, wejdzie na teren lotniska w tym miejscu, aby systematycznie podkładać miny pod kolejne F-15. Równocześnie „dwójka” pod wodzą majora Gilberta zajmie się tornadami, zanim obie grupy przypuszczą frontalny atak na oba hangary, z których jednego ani razu nie widzieli otwartego. Rawi Raszud miał własną koncepcję kolejności działań: zapalniki min przyczepionych do silników należy ustawić na godzinę pierwszą. Siedemdziesiąt dwie jednoczesne eksplozje w połączeniu z zapłonem paliwa w zbiornikach samolotów powinny dać efekt widoczny z kosmosu. Rawi wyznaczył minerom szczodry limit czasowy – po piętnaście minut na maszynę oraz dodatkowe cztery na usunięcie śladów: sprzątnięcie narzędzi i przyciętych kawałków kabli i detcordu. W ten sposób oba zespoły dysponowały prawie dwiema godzinami, by się uporać ze swymi zadaniami, zanim punktualnie o pierwszej zaatakują hangary.

Powodzenie wstępnych działań tej przełomowej nocy ściśle zależało od przestrzegania reżimu czasowego. Wiadomo było, że wyruszający o wpół do pierwszej jeep ze zmianą warty dokładnie po czternastu minutach przejeżdża obok jedyne miejsce, w którym jego obsada może spostrzec pracujących dywersantów. Saper zajęty zakładaniem ładunku wybuchowego często zapomina o bożym świecie, dlatego każdy z nich miał zegarek z cichym, dyskretnym budzikiem ustawionym na godzinę 0.42. Miał być to dla nich sygnał, by paść plackiem na ziemię i przeczekać, aż samochód minie ich pozycję.

Dziesięć minut wcześniej, gdy jeep przejedzie obok hangarów, dwaj ludzie Rawiego dopadną wrót i założą zwoje detcordu na zamki. Zaraz po eksplozji inna grupa wejdzie do środka i podłoży bomby ustawione na pięciominutowe opóźnienie. Kiedy personel lotniska wypadnie z kwater, zaalarmowany wybuchami min na samolotach, ujrzy wylatujące w powietrze hangary, a po nich magazyn paliwa, usytuowany na wschodnim skraju bazy. Tymczasem dywersanci, wykonawszy swoją część operacji, wesprą bojowników z Al-Kaidy, którzy za dziesięć pierwsza zaatakują główną bramę, by od-

wrócić uwagę od innych punktów; warta zostanie więc wzięta w dwa ognie. Pięć minut później atakujący powinni być już w bazie i otworzyć ogień z dwóch cekaemów do bloku koszarowego i centrali łączności. Według założeń Raszuda położy to kres wszelkiemu oporowi Saudyjczyków: samoloty i hangary zniszczone, wartownicy zabici, budynki w płomieniach. Czego tu jeszcze bronić? Generał był pewien, że pomyślał o wszystkim. Plany lotniska otrzymane w Tavemy były dokładne, model w skali tak samo. Fotografie satelitarne dawały im codzienny wgląd w życie bazy, a minerzy dobrze poznali budowę myśliwców, które mieli zniszczyć. On sam czuł już, że zna to miejsce lepiej niż własny dom w Damaszku; mimo to do końca nie zaniedbywał prawidłowej obserwacji celu. Leżał teraz nieopodal ogrodzenia i patrzył przez lornetkę, jak jeep rusza spod wartowni, wiezie szóstkę żołnierzy do bramy, zabiera ich poprzedników i wraca do bloku koszarowego, by po chwili z następną szóstką pociągnąć na dalej położone posterunki. Jak zawsze, jechał główną drogą, po czym wkrótce skręcał na wąski pas betonu biegnący wzdłuż całego obwodu ogrodzenia. Rawi musiał teraz podjąć ostateczną decyzję, gdzie ulokować dwójkę swoich ludzi z lekkimi karabinami maszynowymi, na wypadek konieczności likwidacji patrolu. Przez kilka dni za najlepsze miejsce uważał pozycję w kępie trawy przy samym płocie; przyjrząwszy się przez kolejne noce, jak pada światło z reflektorów jeepa, po zastanowieniu uznał jednak, że jest jedna szansa na dziesięć, że ktoś z wozu może dostrzec zasadzkę – a wtedy mieliby poważny problem na długo przedtem, zanim saperzy ukończą minowanie. Być może dowódca patrolu zdołałby się nawet połączyć z centralą i nakazać włączenie pełnego oświetlenia bazy; kto wie, czy w kilka minut nie nadleciałyby śmigłowce z garnizonu Cha-mis Muszajt. Raszud zadrżał na tę myśl. Wszystko może pójść źle i operacja rozsypie mu się w rękach. Nie, na to nie może pozwolić... Zdecydował, że dwójka hamasowców zajmie pozycje za kołami samolotu stojącego najbliżej ogrodzenia. W ten sposób będą niewidoczni dla obsady jeepa, choć dzielić ich będzie od jego drogi tylko kilkanaście metrów. Inna sprawa, jak się będą czuli świadomi, że półtora metra nad ich głowami tyka bomba zegarowa... Są jednak zawodowcami

i zanim nastąpi eksplozja, będą mieli całe pięć minut na zwiewanie co sił w nogach – za płot i ku wojskowej ciężarówce, która od trzech tygodni dobrze zamaskowana stoi na pustyni i będzie na nich i saperów czekała w umówionym miejscu, by odwieźć całą grupę do kryjówek w górach.

Rawi zamierzał też trzymać w pogotowiu człowieka odpowiedzialnego za przecięcie siatki ogrodzenia. Od dwudziestej trzeciej oba zespoły miały wchodzić dwójkami na teren bazy przez niewielki otwór, który ów żołnierz przymknie na czas przejazdu ostatniego patrolu, po czym powiększy go do dużych rozmiarów, około trzech na cztery metry, tak że ciężarówka będzie mogła praktycznie wjechać tyłem do środka.

Z zamyślenia wyrwał go blask reflektorów nadjeżdżającego samochodu. Raz jeszcze dokładnie przyjrzał się rozkładowi świetlnej plamy na drodze i poboczach; tak, instynkt go nie mylił. Oslaniający minerów hamasowcy muszą się ukryć pod najbliższym F-15. Do czwartku drużyna zwiadu będzie się zajmować rozpoznaniem terenu wokół odległej o osiem kilometrów głównej bazy wojskowej. Dla generała przygotowania do ataku na lotnisko były zamknięte; teraz miał cztery dni na dopracowanie planu opanowania sztabu w Chamis Muszajt i wymuszenia kapitulacji garnizonu – co było warunkiem absolutnie koniecznym dla powodzenia całego wielkiego przedsięwzięcia.

Niedziela, 21 marca, godz. 18.30. Diraija

W ciągu kilku ostatnich dni z polecenia księcia Nasira przed ruinami dawnej stolicy pojawiły się ciężkie maszyny budowlane: dwa buldożery, dwie wielkie betoniarki, szereg ciężarówek z logo miejscowych firm, trzy duże furgony, sterta rusztowań, a od poprzedniego ranka dźwig samojezdny, który wyglądał, jakby był zdolny unieść wiszące ogrody Se-miramidy. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że w Diraiji prowadzone są poważne prace konserwatorskie – co oczywiście usprawiedliwia konieczność zamknięcia drogi dojazdowej dla normalnego ruchu.

Krótko po zmierzchu następca tronu przybył na konferencję z pułkownikiem Gamoudim.

–Ach, Jacques! – wykrzyknął na jego widok. – Chodź, porozmawiamy w moim tymczasowym beduińskim domu!

Kilkaset metrów za ruinami rozstawiony był tradycyjny namiot, przed którym na piasku leżał wielki perski dywan. Księciu towarzyszyło piętnastu bliskich krewnych, przyjaciół i doradców. Pułkownik czuł się wśród nich jak u siebie. Do polowego munduru nosił teraz tradycyjną czerwono-białą ghutrę przytrzymywaną na głowie czarnym aghalem. Wyglądał jak prawdziwy bojownik za sprawę islamskiego fundamentalizmu – zresztą właściwie nim był.

**Książę Nasir kochał pustynię. Bliscy mu ludzie wiedzieli, że nie znosi krzykliwego przepychu pałaców królewskiej rodziny. Mówiono, że kiedy pierwszy raz wszedł do swej nowej oficjalnej rezydencji na przedmieściach Rijadu, obrzucił jednym spojrzeniem wykwintnie urządzone sypialnię i wyszedłszy, tak długo szukał na górnym piętrze, aż znalazł mały, niemal pusty zapasowy pokój i ogłosił, że tam będzie się najlepiej czuł.**

**Za namiotem Jacques widział kucharzy uwijających się przy nowoczesnych gazowych rusztach, przygotowane duże misy pełne daktyli i wysokie szklanki ze schłodzonym wielbłądzim mlekiem, a dalej rząd zaparkowanych rangę rove-rów; z daleka czuło się apetyczną woń pieczonej jagnięciny. Czasami musiał się uszczypnąć, aby sprawdzić, czy nie śni; to była właśnie jedna z takich chwil – stał w otoczeniu królewskiej krwi Beduinów, na pustyni, nieopodal prastarych ruin Diraiji. Taką scenę można by zobaczyć i tysiąc lat temu – jeśli nie liczyć współczesnych terenowych samochodów i paru gadżetów. Patrzył na brodatą twarz następcy saudyjskiego tronu, widział, z jaką czcią traktują go towarzysze, ich ukłony z pełnym wdzięku charakterystycznym ruchem dłoni dotykającej czoła i ust, słuchał przyciszonych „salaam alej-kum”. Nie mógł się uwolnić od myśli, że oto za cztery dni podejmie zuchwałą próbę przechwycenia dla niego władzy w tym kraju, wśród ryku czołgowych silników, huku wystrzałów i chaosu. Co ja takiego mogłem zrobić, że na to zasłużyłem? – pomyślał.**

Na zaproszenie księcia Gamoudi usiadł obok niego na dywanie pod czystym niebem. Z każdym dniem było coraz cieplej; od chłodu lutowych nocy dzieliło ich już pięć tygodni. Tego wieczoru termometr pokazywał dwadzieścia siedem stopni. Nad ciągnącymi się po widnokrąg wydmami wschodził blady księżyc. Sceneria nastrajała do relaksu i w kręgu rewolucjonistów panowało rozluźnienie. Gamoudi nie mógł tego samego powiedzieć o sobie. Ostatnie tygodnie spędził na planowaniu jednoczesnego ataku na kilka celów. Doradcy zapewniali go, że będzie miał armię do dyspozycji, ale do tej pory jeszcze jej nie widział. Wiedział tylko, że w mieście rozmieszczone są duże składy broni i amunicji, no i oczywiście miał pod ręką wozy bojowe. Wiedział też na pewno, że kiedy nadejdzie czas działania, nie popełni błędu. Jeśli tylko jego rozkazy będą wypełniane, zdobędzie Rijad. Ale gdzie, u diabła, jest jego armia? Na razie miał dwudziestu czterech żołnierzy, samych Saudyjczyków z Al-Kaidy, których widywał każdego dnia. Cała reszta była dla niego zagadką. Ponieważ do ataku zostały tylko cztery dni, poważił się zadać księciu Nasirowi pytanie, czy jest absolutnie pewien, że jego wojsko się zmaterializuje.

Następca tronu się uśmiechnął, żując daktyle.

–Jacques, będziesz miał tysiące żołnierzy, wielką armię, która zmiecie wszystko na swej drodze. Wyjaśnisz im ich zadania i poprowadzisz na wybrane cele. Podążą za tobą i mianowanymi przez ciebie dowódcami i będziesz zdumiony ich odwagą i determinacją. Rozejrzyj się wokoło i wspomnij rok tysiąc osiemset osiemnasty, kiedy Diraija padła pod oblężeniem armii osmańskiego imperium. Wiedz, że był to jedyny moment w historii, kiedy do serca Arabii wdarł się zwycięski najeźdźca. Nigdy się to już nie powtórzyło. Mój lud z czasem podbił te ziemie i zajął prawie cały Półwysep Arabski. Jesteśmy wojownikami i rozumiemy, wszyscy jak jeden mąż, że w naszej dzisiejszej walce ty będziesz nam wodzem.

Pułkownik pomyślał, że wszystko to bardzo pięknie brzmi. Przywykł już do kwiecistego języka księcia Nasira, górnotłotej mowy idealisty. Popatrzył mu prosto w oczy i rzekł cicho po francusku:

–*Oii qu'ils soit...* gdziekolwiek oni są.

–Jacques, jak wiesz, od wielu tygodni gromadziliśmy broń w mieście. Mamy dwa duże składy w domach przy Makkah Road, dwa inne przy Al-Mather i al-Malek Saud. Nasze główne magazyny amunicji znajdują się przy ulicy Olaja. Mamy pistolety maszynowe, granaty, ręczne granatniki i wyrzutnie rakiet.

–Wasza Wysokość pamięta, że pytałem o możliwość wykorzystania pilota samobójcy, który by uderzył bombowcem w pałac królewski. Nadal uważam, że to najszybsza i najpewniejsza metoda wywołania natychmiastowego chaosu i zadania ciosu prosto w serce obecnego reżimu. Czy ta opcja jest prawdopodobna?

–Jak dotąd, mamy tylko dwustu trzydziestu ochotników do tego być może największego aktu męczeństwa w naszej historii. To ludzie, którzy rozumieją, że w ten sposób uratują swoje rodziny, przyjaciół i cały kraj. Wszyscy są wahabitami. Każdy z nich byłby dumny, że odpowiada na wezwanie trzech tręb, zanim wkroczy na most do raju.

Gamoudiego wyraźnie to podniosło na duchu, ale wciąż był niespokojny.

–Ale kiedy nasza wielka armia się zbierze? Pamiętaj, książę, że jeszcze jej nie widziałem na własne oczy.

–Obserwuję cię, Jacques, odkąd tu jesteś, i wiem, jaką

wagę przykładasz do łączności. Widziałem, że zażądałeś naj

droższych telefonów, radiotelefonów i nadajników satelitar

nych, jakie zna świat, i wiem, że udzieliłeś naszym dowódcom

bardzo szczegółowych instrukcji w tej materii. Każdy z ludzi,

z którymi codziennie rozmawiasz, oficerowie saudyjscy, któ

rzy będą dla nas walczyć i którzy opracowali plany zdobycia

broni, wszyscy mają w mieście przydzielony rejon operacyjny.

Bardzo wielu ludzi wie, że coś się wkrótce ma stać. W środę

od dziesiątej wieczorem zaczną przychodzić do naszych skry

tek po broń. Jacques, kiedy twoja kolumna czołgów i trans

**porterów pojawi się na głównej ulicy Rijadu, zbiegną się ze  
wszystkich domów w mieście. Będą ich tysiące. Pójdą za tobą  
i pod twoim dowództwem choćby do bram piekielnych. O tak,  
pułkowniku, będziesz miał swoją armię... *Bismillah*, w imię  
Boże!**



–Czy to znaczy, że zobaczę ich dopiero wtedy, gdy dołączą do naszego oddziału?

–Ani ty, ani nikt inny nie ujrzy ich przed tą chwilą. Obaj musimy w to wierzyć, Jacques.

Pułkownik wreszcie zrozumiał, dlaczego płacą mu co najmniej dziesięć milionów dolarów za zorganizowanie tej rewolucji. Była niedziela; we wtorek pięć milionów miało wpłynąć na jego konto w Bank of Boston w Paryżu, a kolejne pięć w postaci gwarantowanego czeku otrzyma Giselle w ich domu w Pirenejach, o czym niezwłocznie poinformuje bank. O czternastej czasu saudyjskiego on sam zadzwoni do banku i poprosi operatora o połączenie z numerem wewnętrznym 387. Odpowiedź powinna brzmieć: „Trzysta osiemdziesiąt sześć”. Będzie to oznaczało, że saldo jego rachunku wynosi dziesięć milionów, a „madame Hooks” jest w posiadaniu czeku, który może zostać zrealizowany z chwilą objęcia władzy przez księcia Nasira. Jeśli ten ostatni warunek nie zostanie spełniony, Jacques Gamoudi wsiądzie do pierwszego samolotu do Paryża, bogatszy o pięć milionów i zwolniony z wszelkich zobowiązań. Wiedział, że pieniądze od francuskiego rządu będą na niego czekały.

–Wasza Wysokość... – powiedział. – Ja w to wierzę. Ufam

tobie i oficerom, których tu poznałem. Ich praca sztabowa

i planowanie zrobiły na mnie jak najlepsze wrażenie. Każdy

z nich zna i rozumie nasze cele. Jestem pewien, że w piątek

rano ich odwaga odbierze przeciwnikowi wolę walki.

Nasir się uśmiechnął.

–A zatem twój wstępny atak odbędzie się zgodnie z planem? – spytał. – Wyruszysz z Diraiji, gdy tylko dotrze do nas wieść o kapitulacji Chamis Muszajt? Dwa czołgi i osiem transporterów pojedzie prosto na lotnisko, a ty do miasta, gdzie oddział pułkownika Bandara się odłączy, by zająć główną stację telewizyjną?

–Zgadza się – potwierdził Gamoudi. – Najważniejsze to opanować port lotniczy i wszystkie środki masowego przekazu. Major Madżid bez problemu weźmie lotnisko szturmem, ale wydałem polecenie, aby dziesięciu ludzi z Al-Kaidy udało się prosto na wieżę kontrolną. Mają wdrzeć się tam siłą, jak będzie trzeba, wybić obsługę, ale nie zniszczyć sprzętu.

**Pułkownik Bandar zajmie redakcje telewizyjnych programów pierwszego i drugiego, mam nadzieję, że bez ofiar. Nie wątpię, że kiedy wjedzie abramsem przez główne wejście do budynku, nikomu nie przyjdzie do głowy stawiać oporu. Dziennikarze nie giną dla idei, tylko w nieszczęśliwych wypadkach.**

**–A reszta konwoju? – spytał Nasir. – Ma pociągnąć, jak sugerowałeś, na pięć kilometrów w głąb miasta, prawie do centrum, jak na paradzie?**

**–Tak, Wasza Wysokość. I po drodze zbierać naszych zwolenników. Potem jednak skręci w lewo, z powrotem na ulicę Al-Mather i na północ, aby dołączyć do czwórki czołgów i sześciu transporterów, które pozostawimy na skrzyżowaniu z Jiddah Road.**

**–Bardzo dobrze. I co dalej?**

**–Ja poprowadzę konwój na wschód, wokół dzielnicy dyplomatycznej, do głównych rezydencji rządowych. Oddział majora Abdula Salaama i spora grupa z Makkah Road natychmiast uderzy na pałac księcia Miohda bin Abdula Aziza, gdzie trwać będzie posiedzenie pełnego składu rady przed przybyciem króla, którego spodziewają się o trzynastej.**

**–I spróbuje ich wziąć do niewoli? – dopytywał się książę, być może rozważając los kilku swoich kuzynów i przyjaciół z dzieciństwa, którzy będą obecni na posiedzeniu.**

**–Absolutnie nie – odparł Gamoudi. – To nasze główne zadanie. Uderzymy mocno i bezpardonowo. Zlikwidujemy wszystkich w pałacu i zburzymy, ile się da. Nie możemy pozwolić, aby rząd przeżył. Mogłoby to doprowadzić później do zamieszek, a gmaszysko nie jest nam do niczego potrzebne. I ono, i ci, którzy się w nim znajdują, są na czele naszej listy. Aby opanować nawę państwową, trzeba najpierw zmiażdżyć jej ster.**

**Nasir skinął głową.**

**–A co będzie potem?**

**–Po drodze na wschód miniemy dwa pomniejsze pałace i weźmiemy je siłą. Nie spodziewam się zastać w nich wielu ważnych osobistości, ale kogokolwiek znajdziemy, zginie. Będę się jednak usilnie starał unikać ofiar wśród ludności cywilnej.**

**–Te budynki też zniszczymy?**

**–Nie. Będą nam potrzebne, założymy w nich nasze centrum dowodzenia. Kiedy już będziemy mieli je w ręku, pociągniemy na pałac króla, Al Salam. To wielki gmach... Nacisnę czerwony guziczek na swoim radiotelefonie i z zajętego już lotniska natychmiast wystartuje do**

**samobójczego ataku bombowiec.**

**–I uderzy w pałac?**

**–W górne piętra. Dolnymi ja się zajmę.**

**–A co z królem i jego rodziną?**

**–Król umrze, podobnie jak wszyscy książęta z jego otoczenia. Jeśli jest tak sprytny, jak myślę, to do tego czasu zdąży już ewakuować większość rodziny. Zrobi to prawdopodobnie już w czwartek, kiedy wylecą w powietrze instalacje naftowe.**

**–Ale jego żony... On ma tyle dzieci... Co zrobimy, jeżeli którekolwiek jeszcze będzie w pałacu?**

**–Wasza Wysokość, jeśli żądałbyś ode mnie mordowania kobiet i dzieci, musiałbyś sobie poszukać innego dowódcy, bo ja bym się nie ruszył z moich Pirenejów.**

**–Nawet za piętnaście milionów?**

**–Nawet za piętnaście miliardów. Jestem żołnierzem, nie zbirem – odparł cicho pułkownik.**

**Nasir znów poważnie skinął głową.**

**–I co dalej? To znaczy, kiedy pałac padnie?**

**–Wezwę majora Salaama, aby zorganizował jego pełną okupację. Wyznaczyłem mu do pomocy sześciu kadrowych oficerów z Al-Kaidy. Wszystkich jeńców odprowadzimy do jednego z mniejszych pałaców, gdzie zamkniemy ich pod strażą. W drugim budynku ulokuję nowe centrum łączności, do którego pułkownik Bandar przewiezie personel telewizji, a Wasza Wysokość nada stamtąd swoje pierwsze orędzie, informując naród, że król został obalony, a miasto jest w rękach sił zbrojnych księcia Nasira Ibn Mohammeda al-Sauda, prawnuka wielkiego Ibn Sauda, i przekaże wszystkim słowa nadziei, inspiracji i wiary w przyszły dobrobyt.**

**–A ty, Jacques? Jakie jeszcze niespodzianki szykujesz dla mojego kraju? – zagadnął z uśmiechem książę.**

**–Ja przegrupuję moje siły, mam nadzieję, że mając znacznie więcej ciężarówek, i pociągnę na południowy zachód, do**

centrum miasta. Tam zajmę kilka następnych obiektów, już bez walki, chyba że natrafię na zdecydowany opór. A wtedy będę musiał działać bez litości.

–O jakich obiektach myślisz?

–Och, różnych. Wielkie centra handlowe, pocztę główną, dworzec autobusowy i kolejowy, no i szpitale, ponieważ nie obejdzie się bez rannych.

–A co z głównymi siłami armii? Tymi stacjonującymi w wielkich garnizonach na prowincji?

–Tym się już zajmie generał Raszud. Zmusi naczelnego dowódcę z Chamis Muszajt do skontaktowania się ze swym odpowiednikiem z Tabuku i poinformowania go, że jego garnizon poddał się wojskom następcy tronu. Każe mu też powiedzieć, że król został usunięty, a jego wielki przyjaciel książę Nasir nalega, aby komendant wraz z całym garnizonem niezwłocznie opowiedział się po jego stronie... tym bardziej że nie będzie już nikogo, kto by im płacił i troszczył się o ich rodziny. Król umarł, niech żyje król.

Nasir uniósł brwi w lekkim zdziwieniu.

–I nie martwi cię, że wstępny bój w tej wielkiej historii odbywać się będzie wyłącznie we wschodniej części miasta, podczas gdy w centrum mało kto będzie wiedział, co się w ogóle dzieje?

–Nie, skoro resztę saudyjskiej armii trzyma w szachu

ktoś taki jak Rawi Raszud. Aby podbić jakikolwiek kraj, Wa

sza Wysokość, trzeba najpierw ściąć jego głowę. To król. Po

jego upadku wali się wszystko inne. Od piątkowego popoł

dnia będziesz, książę, władcą Arabii Saudyjskiej.

Nasir wstał i skinął ręką, dając znak Gamoudiemu, by szedł za nim.

–Dochodzi ósma, Jacques. Chciałbym, abyśmy się wspólnie

nie pomodlili.

–Dziękuję... – odpowiedział marokański gorliwy mahometanin. – Będzie to dla mnie wielki zaszczyt.

Na sypkich piaskach Dirajji, u boku arabskiego księcia krwi, więź z wielkim islamskim

Niedziela, 21 marca, godz. 19.00. 24°10'N, 37°35'E

*Amethyste* płynął powoli przez ciemne głębie na zachód od skalistej wyspy Sziib Asz-Szarm, samotnej strażniczki wejścia na dziesięciomilowej długości zatokę na północ od Janbu al-Bahr. Krótco po dziewiętnastej, kiedy nad Morzem Czerwonym zapadał gęsty tropikalny mrok, komandor Dreyfus zarządził wynurzenie. Przed dziobem błyskało światło latarni na wyspie, odbijające się bladą smuzką na czarnej powierzchni wody – ostrzegawczy sygnał dla kapitanów zbiornikowców, że najwyższa pora wykonać ostry zwrot w stronę brzegu, do którego jest stąd pięć mil. Prosto na wschód leżały terminale załadunkowe dla największych statków świata, kończące po-nadtysiąckilometrowy rurociąg, tłoczący do Janbu ropę z pól naftowych Abkaik. Aby do nich dotrzeć, zbiornikowce muszą ominąć Sziib Asz-Szarm od północy lub od południa oznakowanymi torami wodnymi. Komandor Dreyfus dla swoich celów, czyli do wysadzenia dywersantów, wybrał trzymilowej szerokości podejście północne, prowadzące między wyspą a rozległą przybrzeżną płycizną. Morze było cudownie gładkie, a wynurzający się znad górskich szczytów księżyc rzucał na powierzchnię delikatną poświatę. Czarny kadłub okrętu był praktycznie niewidoczny, za to w jego wnętrzu trwały gorączkowe przygotowania. Kilkoro rąk już podawało do góry przez właz pozbawione powietrza sześciometrowe zodiaki, a na pokładzie już czekali marynarze z gotowymi elektrycznymi sprężarkami do ich napełnienia. Silniki przyczepne Yamaha o mocy stu siedemdziesięciu pięciu koni mechanicznych wędrowały już na górę inną drogą, z dziobowego przedziału torpedowego, gdzie były składowane podczas rejsu. W chwilę potem sześciu mechaników wyskoczyło w ślad za nimi i zaczęło je montować na rufach łodzi, podłączać przewody paliwowe i elektryczne, podczas gdy sprężarki jeszcze tłoczyły powietrze do komór wypornościowych. Dwaj inni członkowie załogi wlewali do zbiorników paliwo i mocowali pod ławką zapasowe kanistry. Do łodzi wkładano też pistolety maszynowe, amunicję i granaty – na wszelki wypadek -oraz przenośną radiostację, która posłużyć miała przede wszystkim do namierzania sygnału naprowadzającego z ma-

cierzystego okrętu po założeniu min. Nie obyło się bez środków opatrunkowych, morfiny i butelek z wodą dla ewentualnych rannych. Na koniec przyniesiono dwie deski pływackie z zamontowanymi kompasami i zegarami, którymi mieli się posłużyć dowódcy zespołów pletwonurków. Przydatne się okazały zwłaszcza w sytuacji, kiedy z jakiegokolwiek przyczyny - nadmiernego ruchu w porcie, obecności patroli nawodnych itp. - byliby zmuszeni opuścić zodiaki wcześniej, niż zaplanowano.

Kiedy pierwsza łódź była gotowa, marynarze zepchnęli ją na obłą część kadłuba, po której ześliznęła się do wody, bezpiecznie zacumowana dwoma faleniami. Dwaj ludzie zamocowali i rozwinęli sztormtrap z drewnianymi szczeblami. Kierujący pracą oficer wachtowy dał znak czekającym pod włazem komandosom i pierwsza szóstka wyszła na pokład pod wodzą porucznika Duponta. Nikt by w nim teraz nie rozpoznał wy-luzowanego brydżysty z dolnego pokładu. Na twarz nałożył czarną pastę kamuflażową, ubrany był w czarny piankowy kombinezon z kapturem i maską zsuniętą na czoło; do pasa miał przytroczone długie płetwy, na plecach w wodoszczelnym plecaku taszczył trzydziestokilogramową minę magnetyczną, którą wkrótce przyczepi do jednego z filarów wspierających platformę załadunkową terminalu w Janbu. Uzbrojony był w bojowy nóż marki Sabatine, miał też przy sobie rolkę detcordu, kable i dwudziestoczwierogodzinny zapalnik czasowy. Jego aparat oddechowy Draeger był modelem kompaktowym, z zapasem powietrza na półtorej godziny - mniej więcej dwukrotnie większym, niż będzie potrzeba. Pracował w obiegu zamkniętym, nie wypuszczając na zewnątrz wydychanego powietrza, by nie zdradzić obecności pletwonurka. Nawet gdyby czujny strażnik wpatrywał się w wodę, i tak nie wypatrzyłby w ciemnej toni francuskich dywersantów - mieli pracować na głębokości piętnastu metrów, niewidoczni dla nikogo na górze. Mimo to czwórka pływaków miała nadzieję, że przy kei będzie stał zbiornikowiec, dodatkowo kryjąc ich pod swym masywnym cielskiem. Mieli pracować w parach, zakładając miny ze wspólnym na każdą trójkę zapalnikiem, połączonym z nimi detcordem. Kiedy zegar wskaże ustawiony czas, elektryczny impuls pomknie do spłonki, która zdetonuje

wplecione w nią trzy odcinki detcordu. Ten wybuchowy lont, ulubiony materiał sił specjalnych całego świata, spala się z prędkością ponad trzech kilometrów na sekundę; w efekcie detonatory trzech min zostaną aktywowane praktycznie bez zwłoki i równocześnie. Eksplozja przetnie filary sztucznej wyspy i prawdopodobnie rozsadzi całą jej konstrukcję. Jeżeli będzie przy niej zacumowany statek, także ulegnie zniszczeniu i zatonię; w przyszłości Saudyjczycy mogą mieć spory kłopot z usunięciem wielkiego wraku.

Garth Dupont pierwszy zszedł tyłem po drabince do zodiaka przytrzymywanego przy burcie za falenie przez dwóch marynarzy. W ślad za nim pięciu komandosów sprawnie zajęło swoje miejsca. Starszy marynarz Raul Potier ujął ster i uruchomił silnik, który zaskoczył po pierwszym naciśnięciu elektrycznego rozrusznika; gdyby było inaczej, któregoś z okrętowych mechaników czekałoby pewnie przeciągnięcie pod stępką... Odwiązał falenie i odrzucił końce na pokład. Na wolnych obrotach odsunął łódź o kilkanaście metrów od okrętu, zatrzymał się i czekał. Łącznościowiec sprawdził sprzęt, komunikując się z oficerem wachtowym. Tymczasem na wodę spłynął drugi zodiak i następna szóstka wykonała te same czynności testowe, dodatkowo nawiązując próbną łączność z kolegami z pierwszej łodzi. Po chwili obie obsady były już w drodze. Zodiaki sunęły bez świateł z prędkością piętnastu węzłów, połową maksymalnej. Garth Dupont siedział obok sternika, wpatrując się przez nocną lornetkę w ciemność przed nimi, w czym trochę przeszkadzał mu świecący w oczy księżyc. O milę przed dziobem spostrzegł zbiornikowiec idący kontrkursem, widział jednak tylko jego zielone światło burtowe, z czego wywnioskował, że kieruje się na południowy tor wodny. Daleko w przedzie majaczyła sylwetka innego statku wchodzącego do portu; Dupont uśmiechnął się na myśl, że nikt z załogi się nie spodziewa, iż wywiozą z Janbu ostatni przed długą przerwą w działalności portu ładunek ropy. Po dwunastu minutach widzieli już światła terminalu, odległego teraz już tylko o parę mil. Była to pracowita niedziela: dwa zbiornikowce stały przy nabrzeżach, trzy inne czekały na redzie, o milę po lewej. Kiedy do terminalu pozostała już tylko mila, porucznik polecił Raulowi zwolnić

do pięciu węzłów. Wywiad marynarki nie miał informacji o ewentualnym nasłuchu sonarowym, ale Garth nie zamierzał ryzykować. Cały akwen przyportowy był dobrze oświetlony: odbłask latarni na kei i na nadbudówkach statków sięgał na dwieście do trzystu metrów na wodę. Trzeba było zatrzymać łódź; porucznik rozejrzał się po raz ostatni i wydał rozkaz pletwonurkom. Nasunęli maski na twarze, założyli płetwy i cicho zsunęli się do wody. Łącznościowiec szeptem przekazał rozkaz na drugiego zodiaca. Ósemka komandosów płynęła w dwóch grupach na głębokości czterech metrów, utrzymując w parach kontakt dotykowy, prowadzona przez dowódców z deskami. Plan był prosty: obie czwórki zmierzały prosto do zacumowanych statków, by przepłynąć pod ich stępkami na wysokości śródokręcia (dla uniknięcia ewentualnego wypadku, gdyby któryś niespodziewanie uruchomił silnik i śrubę). Przy znanej głębokości akwenu i częściowym stanie załadowania należało się spodziewać, że mieli zapas kilku metrów wody. Znalazłszy się po stronie nabrzeża, mieli się skierować ku przeciwnym krańcom kei i zamocować miny na filarach. Płynęli równomiernym rytmem, odmierzając po dziesięć sekund między kolejnymi machnięciami płetw, by oszczędzać siły. Do statków dotarli jednocześnie; przesuwając dłońmi po poszyciu, zeszli głębiej i z ulgą stwierdzili, że pod dnem stalowych kolosów jest wystarczająco dużo wody, choć i tak praca w tych warunkach zawsze przyprawia o dodatkowy dreszczyk emocji. Obie grupy ruszyły ku swoim celom. Okazało się, że filary porośnięte są grubą warstwą muszli; poirytowani tą przeszkodą zdrapywali je nożami, aby zapewnić magnesom min dobrą przyczepność. Każdy zapalnik trzeba było ustawić na inny czas: wybuch miał nastąpić punktualnie o czwartej rano, przy pierwszym filarze byli o dziewiętnastej pięćdziesiąt sześć, wybrali więc opóźnienie osiem godzin i cztery minuty. Do odległego filara od strony lądu dotarli później, zegar należało więc ustawić na odpowiednio mniejszą wartość, i tak dalej. Zdrapywanie muszli, przyczepianie min, podłączanie i ustawianie zapalników szło sprawnie, aż wreszcie wszystkie osiem trzydziestokilogramowych ładunków znalazło się na miejscach. Uwolnieni od niewygodnego obciążenia pletwonurkowie ruszyli w drogę powrotną, pod dnem statków i ku



czekającym poza oświetlonym akwenem zodiacom. Płynąc do nabrzeża, odliczali kolejne machnięcia płetwami (było ich osiemdziesiąt – każde niosło pływaka około trzech i pół metra do przodu). Teraz, licząc do osiemdziesięciu, mogli się orientować w przebytej odległości. Wynurzyli się na powierzchnię w tej samej chwili, dość mocno rozproszeni. Garth Dupont sięgnął do mikronadajnika, by przekazać łącznościowcom swoją pozycję; po paru minutach wszyscy siedzieli już bezpieczni na ławkach zodiaców, wdychając pierwsze od godziny hausty świeżego powietrza. Sternicy skierowali łodzie prosto ku czekającemu w dali *Amethyste*. Piętnaście minut później zamigotał przed nimi umówiony sygnał świetlny, a po chwili już marynarze z pokładu podawali im falenie. Komandosi wspięli się po przygotowanym sztormpapie, ostatni spakowali broń, amunicję i inne wyposażenie do płóciennych worków, które szybko wywindowano na okręt, a potem nożami przecięli kilkakrotnie każdą z komór powietrznych łodzi. Zanim zdążyli zejść przez właz i zdjąć kombinezony, oba obciążone silnikami zodiaki spoczęły już na dnie, dwieście sążni pod powierzchnią. Komandor Dreyfus nakazał przygotować okręt do zanurzenia i wkrótce *Amethyste* odpływał już na południe z prędkością dwunastu węzłów, na głębokości dziewięćdziesięciu metrów, ku następnemu celowi: był to drugi z wielkich czerwonomorskich portów Arabii Saudyjskiej, Rabigh.

Komandosi natychmiast po powrocie zasiedli do obiadu, a potem do brydża. Porucznik Dupont, rozgrzany perfekcyjnie (w jego własnej ocenie) przeprowadzoną akcją, skończył licytację na sześciu pikach i sromotnie przegrał rozgrywkę; wśród ogólnego śmiechu i docinków ktoś z powagą wyraził nadzieję, że Garth pod wodą potrafi liczyć o niebo lepiej niż na górze. Porucznik ripostował, że po powrocie do Brestu wyzwie wszystkich śmiałków na pierwszy podwodny turniej brydżowy o mistrzostwo Francji. Skończyło się na tym, że zespół zdążył się przespać tylko przez trzy godziny, zanim okręt dotarł na trawers Rabigh krótko po pierwszej w nocy; oszczędzając na bezpieczną odległość od brzegu, Dreyfus pozwolił sobie na szybszą żeglugę, tym bardziej że morze dookoła było zupełnie puste – przez całą drogę z Janbu sonar wykrył tylko odgłosy śrub dwóch kutrów rybackich. Tylko raz, kwa-

drans przed północą, podszedł na chwilę na peryskopową dla potwierdzenia pozycji GPS; mijali wtedy wysepkę Sziib al-Chamsa, leżącą u wejścia na piętnastomilową zatokę, w głębi której znajdował się terminal Rabigh. *Amethyste* zostawił ją po prawej burcie, wpływając na szeroki tor wodny. Głębokość była wystarczająca, do dziewięćdziesięciu metrów, choć nieopodal po lewej dno podnosiło się stromo do trzydziestu. Dla okrętu podwodnego był to jednak ślepy zaułek; piętnastometrowy wąski kanał między wysepkami przegradzającymi drogę na południe jest za płytki, by móc płynąć w zanurzeniu. Dreyfus polecił wyjść na powierzchnię i wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, kierując *Amethyste* dziobem ku wyjściu. Dookoła nie było widać żadnych jednostek – niczego nie wykrywał ani radar, ani sonar.

Rabigh nie był tak uczęszczanym portem jak Janbu al-Bahr, przede wszystkim dlatego, że nie dochodziła do niego nitka rurociągu z pól naftowych na wschodzie kraju. Była tam jednak duża rafineria, przetwarzająca surowiec otrzymywany z Janbu, i należało się spodziewać ruchu zbiornikowców. Porucznik Dupont po raz drugi tej nocy poprowadził swój od-działek do akcji. Metoda ataku była taka sama: dwa nowe zodiaki i miny magnetyczne do założenia na filarach nabrzeża. Nie było tu tak jasno jak w Janbu i Garth miał nadzieję, że tym razem będzie można podpłynąć łodziami znacznie bliżej celu. Z portu wychodził właśnie w pełni załadowany VLCC, mijając ich o pół mili z lewej. Keje były puste, ale dwie mile dalej dostrzegli statek podchodzący z minimalną prędkością do stacji pilotowej. Nie groziło jednak niebezpieczeństwo, że ktokolwiek ich zauważy: noc była pochmurna i bezksiężycowa, a nabrzeżną wilgocią powietrze nie zapewniało dobrej widoczności.

Na nabrzeżach nic się nie działo. Zbliżywszy się na czterysta metrów, Dupont zdecydował się zatrzymać zodiaki i dalej płynąć wplaw pod wodą; w ten sposób sternicy będą mogli trzymać się w mroku poza zasięgiem świateł portowych i wzroku załogi zbiornikowca, który podpływał tak wolno, jakby chciał cumować za parę dni. Tak już jednak jest z VLCC, które przy normalnej całej naprzód potrzebują kilku mil, żeby się zatrzymać. Ostatnie kable do nabrzeża pokonują z taką

prędkością, jakby dryfowały zdane na kaprys wiatru. Garth Dupont wydał swoim ludziom ostatnie instrukcje.

–Ruszmy z powrotem dopiero, kiedy on skończy manewry. Pamiętajcie, żeby zejść głęboko na dół, z dala od jego stępki. Nie ma sensu ryzykować, dopóki mocno nie stanie. Chyba że zdążymy się zmyć, zanim podejdzie do samej kei.

Do nabrzeża dotarli niezauważeni; port nie był pilnowany od strony wody, a cumownicy jeszcze się nie zjawili na przyjęcie kolejnego statku. Płetwonurkowie mogli pracować spokojnie; po pięćdziesięciu minutach wszystkie osiem ładunków było na miejscu, z zapalnikami ustawionymi tak, by wybuchy nastąpiły równocześnie w Rabigh i Janbu – o czwartej rano. Dupont się zastanawiał, jak długo potrwa, zanim władze saudyjskie się zorientują, że między tymi wypadkami zachodzi ścisły związek.

Kiedy skończyli minowanie, zbiornikowiec stał już na cumach i trzeba było zanurkować pod jego dnem, żeby się przedostać do czekających w bezpiecznej odległości zodiaców. Wody jednak było wystarczająco dużo i wkrótce cała ósemka płynęła już na głębokości czterech metrów ustalonym przez lata ćwiczeń tym samym rytmem niespiesznych, mocnych machnięć płetwami. Kiedy się wynurzyli po odliczeniu ich odpowiedniej liczby, do najbliższej łodzi było kilkanaście metrów. Morze dookoła wciąż było puste; po dwudziestu minutach wchodzili już z powrotem na *Amethyste*. I tym razem po rozładowaniu sprzętu zodiaki zostały zatopione, a zanim ostatni komandos znalazł się w swoim pomieszczeniu na dolnym pokładzie, komandor Dreyfus wydawał już rozkaz zanurzenia i wkrótce okręt opuścił rechę Rabigh. Znalazłszy się na otwartym morzu, położył się na kurs 150°, wzdłuż głównego szlaku przez Morze Czerwone, na głębokości stu dwudziestu metrów. Przez następne dwa tygodnie nikt z załogi nie miał ujrzeć nieba nad głową; *Amethyste* wynurzy się ponownie dopiero na podejściu do bazy francuskiej marynarki na odległej o trzy i pół tysiąca mil morskich wyspie Reunion i nikt na całym Półwyspie Arabskim nigdy się nie dowie, co zrobili.

Niedziela, 21 marca, godz. 17.30. 27°01'N, 050°24'E

Noc zapada nad arabskimi pustyniami o wiele szybciej niż w Europie – pozorna droga słońca na nieboskłonie biegnie na niższych szerokościach bardziej stromo i dlatego nie ma tam długich „szarych godzin”; w jednej chwili patrzy się, jak czerwona kula zapada za horyzont, i ani się człowiek obejrzy, kiedy świat ogarnia ciemność. Jednakże tego wieczoru, dwadzieścia pięć mil od lądu, na wysokości pola naftowego Abu Safa, kapitan Alain Roudy nie mógł się doczekać zmierzchu. Ten czterdziestoletni oficer z Tours nad Loarą po raz pierwszy w swojej morskiej karierze miał nerwy napięte jak postronki. Nikomu by się do tego nie przyznał, nawet swojej o wiele młodszej drugiej żonie, Annę Marie. Poprawka: zwłaszcza swojej drugiej żonie. Roudy był wyznawcą ścisłej dyscypliny, ulepionym z tej samej, a nawet lepszej gliny niż osiemnastowieczni francuscy dowódcy floty; czuł, że wprawdzie niełatwo byłoby mu pokonać admirała Nelsona w 1805 roku, ale na pewno lepiej by sobie poradził pod Trafalgarem od defetystycznie nastawionego hrabiego de Villeneuve, który przegrał bitwę, stracił okręt i dostał się do niewoli, a później odebrał sobie życie.

Zadanie, które teraz wypełniał, przysparzało mu nie mniejszych kłopotów. Czasu miał niewiele. Dochodziła teraz siedemnasta trzydzieści i wciąż było jasno. *Perle* sunęła wolno sześć metrów pod powierzchnią, bez wysuniętego peryskopu, w kierunku głównego toru wodnego, który zawiedzie go do wielkiego terminalu gazowego w Ras al-Dżuajma. Problem w tym, że musiał się znaleźć na torze do godziny kwadrans po osiemnastej, a za każdym razem, kiedy odważył się wystawić nad wodę obiektyw peryskopu, ruch statków wydawał mu się większy niż w niedzielne popołudnie na Champs-Ely-see. Akwen oficjalnie jest zastrzeżony dla żeglugi, tymczasem oprócz dwóch kutrów patrolowych krążących wokół wież wiertniczych widać było cztery drobnicowce na północy, trzy duże rybackie *dau*, trawler i patrolowiec kapitanatu portu, nie mówiąc o dwóch śmigłowcach lecących ku platformie pośrodku Abu Safa. Morze miało tu tylko szesnaście sążni głębokości i Roudy zdawał sobie sprawę, że dalej płynąć

na zachód powinien tylko przy stałej obserwacji przez peryskop. Nie mógł jednak ryzykować zdradzenia własnej obecności. Saudyjczycy najprawdopodobniej nie mieli w tym rejonie żadnego okrętu podwodnego ani ZOP, ale *les Ame-ricaines...*? Francuz nie życzył sobie ujrzeć jakiegokolwiek jednostki pod gwiazdzistą banderą ani na wodzie, ani tym bardziej pod wodą.

Decydującym czynnikiem w tej operacji było to, że następnego ranka o czwartej rano musiał być o pięćdziesiąt mil morskich stąd, na pozycji ogniowej. To zaś oznaczało, że nie może przekroczyć kilku terminów: najpóźniej kwadrans po dwudziestej drugiej odpłynąć z pierwszego punktu podjęcia płetwonurków, godzinę później z następnego; trzeba zaś liczyć dwie półgodziny oczekiwania na drugim punkcie na ich powrót z akcji. Wszystko to razem sprowadzało się do jednego: musi wpłynąć na tor razem ze zbiornikowcami jak w konwoju, z prędkością dziesięciu węzłów, najpóźniej o osiemnastej piętnaście, czyli za czterdzieści pięć minut. W przeciwnym razie przysłoby mu odpalić rakiety, zanim dotrze na punkt wyznaczony przez admirałów Romaneta i Pires'a. Dodatkowego czasu nie dostanie, ponieważ Louis Dreyfus wykona swoje... znacznie łatwiejsze, cholera... zadanie na Morzu Czerwonym punktualnie, a obie części operacji muszą być dokładnie zgrane w czasie.

–*Merdel* – zaklął pod nosem Roudy, zerkając na zegarek

po raz siódmy w ciągu ostatnich dwudziestu minut. „Jeżeli

cokolwiek pójdzie źle, będę w cholernych tarapatkach...”

Jeszcze piętnaście nerwowych minut i...

–Peryskop w górę!

Po raz kolejny dał się słyszeć cichy odgłos wysuwanego masztu. Roudy złapał za uchwyty, zanim jeszcze okular znalazł się na wysokości jego oczu, i błyskawicznym obrotem ogarnął cały horyzont dookoła. Umiejętność szybkiej obserwacji, dzięki której zyskał sobie pozycję prymusa w szkole podwodniackiej, i tym razem go nie zawiodła. Nikt z jego kolegów nie umiał równie sprawnie i dokładnie zapisać w pamięci obrazu sytuacji jak on; po dwudziestu latach Alain Roudy wciąż był w tej dziedzinie mistrzem.

–Peryskop w dół!

Trzydzieści sekund. Po raz pierwszy od kilku mil nie spostrzegł niczego na całej powierzchni. Morze było puste. No i nareszcie zaczynało się ściemniać. Miał jeszcze pół godziny na dotarcie do osi toru wodnego, nie mógł jednak sobie już pozwolić na żadne, choćby kilkuminutowe spóźnienie. Do przebycia zaś pozostały jeszcze cztery mile dzielące okręt od trawersu stawy błyskowej Ławicy Gariba. Korzystając z nieobecności innych jednostek, kapitan polecił zwiększyć prędkość o dwa węzły. To powinno wystarczyć. Raz jeszcze wysunął na chwilę peryskop... i jeszcze raz, choć sonar pasywny mówił mu, że są tutaj sami. Wreszcie prosto przed dziobem mignęło mu białe światło Gariba.

–Kurs dwa sześć zero, prędkość sześć węzłów!

–Jest, dwa sześć zero, sześć węzłów!

–Peryskop w górę!

O sto metrów przed nimi i lekko z prawej świeciła zielono pława oznaczająca skraj toru wodnego; dla Roudy'e-go było to potwierdzenie, że znajdują się prawie na wyjściowym pasie ruchu. Obrócił peryskop bardziej w prawo i ujrzał światła pozycyjne dużego statku płynącego w ich kierunku.

–Peryskop w dół!

Turbiny pchnęły okręt naprzód, w poprzek szerokiego na milę toru wyjściowego, mniej więcej z tą samą prędkością co zbliżający się teraz szybko zbiornikowiec, potężny trzystuty-sięcznik załadowany „do marki”, jak w marynarskim żargonie określa się maksymalne dla konkretnego statku w danej strefie zanurzenie. Pięć minut później kapitan Roudy raz jeszcze wysunął maszt, by sprawdzić ruch na pasie wejściowym, jego drodze do celu. Chciał zachować co najmniej dwie mile odstępu od każdego zbiornikowca, jaki mogli tam napotkać, i w razie potrzeby gotów był poczekać na właściwy moment; traf chciał jednak, że po przecięciu kursu wychodzącego z portu statku *Perle* mógł spokojnie wykonać zwrot i ustawić się w osi toru; najbliższa jednostka, pusty VLCC zmierzający do terminalu załadunkowego, znajdował się w tej chwili o półtorej mili przed nimi. Roudy wydał odpowiedni rozkaz sternikowi i okręt ciasnym łukiem wszedł na oznakowaną drogę wodną.

–Trzymać dwa dwa zero, piętnaście węzłów. Zanurzenie peryskopowe. Do rejonu operacyjnego dziesięć tysięcy metrów.

Dwa pokłady niżej komandor Jules Ventura zarządził ostatni przegląd sprzętu, który mieli zabrać na zodiaki: deski, broń i ładunki wybuchowe. Komandosi skrupulatnie, punkt po punkcie, sprawdzali wyposażenie osobiste: płetwy, draegery, noże bojowe, detcord, zapalniki czasowe, detonatory, kable, kombinerki monterskie, śrubokręty, uprząż na miny. Cała ósemka była już w piankach, z kapturami naciągniętymi na głowy, maskami zsuniętymi na czoło i poczernionymi twarzami. Marynarze przygotowywali zodiaki do wyciągnięcia na górny pokład. Wcześniej mechanicy przejrzeni i wyregulowali oba silniki przyczepne; napędzane nimi pneumatyczne łodzie mogłyby na krótkim dystansie ścigać się z samą *Queen Mary 2* (jeśli ktoś wydłubał już wypalony wrak *Shades of Arabia* z jej burty).

Trzy minuty później dowódca zarządził ostry zwrot o dziewięćdziesiąt stopni. Zatrzymano turbiny, przedmuchano główne zbiorniki balastowe i wkrótce ociekający wodą *Perle* znalazł się na powierzchni. Na sygnał z centrali manewrowej Ventura poprowadził swoich ludzi włazem na górę. Komandor, na ogół milczący i flegmatyczny, po raz pierwszy od opuszczenia Brestu był dziwnie rozmowny: zagrzewał swych ludzi do pracy, dziękował mijanym członkom załogi za wsparcie. Doświadczenie i rutyna nie przesłaniały mu prostego faktu: za chwilę z francuskiego żołnierza czasu pokoju stanie się śmiertelnym wrogiem króla Arabii Saudyjskiej i jego sił zbrojnych.

Pierwszy zszedł na zodiaca sternik, dowódca zespołu zsunął się tuż po nim, by pomóc przy faleniach. Kiedy łódź była gotowa do drogi, sam odrzucił linki i nakazał odbicie od burty *Perle*. Zadziwiające, jak szybko przestali być widoczni dla obsady kiosku: czarny kadłub zodiaca, czarne kombinezony i twarze doskonale zlewały się z czernią bezksiężycowej jeszcze nocy. To samo zresztą można było powiedzieć o macierzystej jednostce; na mijającym ich zbiornikowcu z całą pewnością nikt nie miał najbledszego pojęcia, że o niecałą milę stoi w dryfie wynurzony myśliwski okręt podwodny, za któ-

rego przyczyną wkrótce wyschnie najważniejsze źródło paliw płynnych na świecie.

Drugi zodiac spłynął na wodę w przewidzianym czasie i jak poprzedni szybko zniknął w mroku. *Perle* też ruszył naprzód i zniknął w ciemnej toni, kierując się dalej torem wejściowym, około mili przed kolejnym nadpływającym pustym zbiornikowcem. Do największego portu naftowego świata pozostało im jeszcze siedem mil drogi. Podczas gdy zespół dywersyjny numer dwa pod komendą dwudziestosześcioletniego porucznika René Doumena szykował się do akcji, ludzie Jules'a Ventury płynęli do celu z prędkością zaledwie pięciu węzłów. Mieli dużo czasu; *Perle* powróci po nich dopiero za cztery godziny. Od terminalu LPG dzieliło ich pięć mil i komandor mógł się dobrze przyjrzeć rozkładowi światła wokół nabrzeża, poszukując najciemniejszego miejsca, z którego będzie mógł rozpocząć działanie. Rzucając okiem na zegar na desce (był kwadrans po dziewiętnastej), pomyślał przelotnie o swoim przyjacielu Garcie Duponce. Wiedział, że w tej samej chwili robi to samo co on... „pływa po omacku z bombą na plecach”...

Jego dwa zodiaki sunęły teraz nad rozległą płycizną, strzegącą wschodniego podejścia do sztucznej wyspy przy Ras al-Dżuajmie – przy głębokościach rzędu sześciu sążni była to przeszkoda nie do pokonania dla okrętu podwodnego. Do wybranego punktu wypadowego, około pół mili na północ od nabrzeża, dotarli o dwudziestej. Terminal był rzęsiście oświetlony i komandor nie zamierzał ryzykować bliższego podejścia, skoro tu miał nieprzeniknioną dla ewentualnego obserwatora ciemność. Widział teraz niemal na wyciągnięcie ręki to, co tak długo studiował na mapach i zdjęciach: długi most łączący ułożone na kształt wielkiej litery V pirsy załadunkowe z odległym o siedem kilometrów lądem. Wiedział, że pod mostem biegną rury tłoczące płynny gaz do potężnych zaworów stacji pomp. Przy kei stały dwa statki; przez nocną lornetkę odczytał na rufie pierwszego nazwę i port macierzysty: *Global Mustang* z Houston. Przeniósł wzrok na dziób drugiego, ale nie mógł rozpoznać liter; wysnuł stąd wniosek, że na północnym skraju terminalu jest ciemniej.

–Płyn dalej wzdłuż nabrzeża. Minimalne obroty – rzucił



cicho sternikowi. – Podejdziemy jeszcze z siedemset metrów, a resztę już wplaw.

Bardziej niż światło niepokoił go panujący w tej okolicy ruch. Na północny zachód od Ras al-Dżuajmy po morskim dnie biegło pięć rurociągów naftowych; niedaleko stąd widniały platformy pola Katif, a nieco w bok reda z czekającymi na swoją kolejkę zbiornikowcami. Cały akwen pełen był zielonych, czerwonych i białych lamp pozycyjnych niewielkich jednostek pomocniczych. Ventura liczył na to, że w ciemności nikt nie dostrzeże jego czarnych, płasko leżących na wodzie łodzi. Płynęli niemal bezgłośnie w pewnej odległości od nabrzeża, poza plamą odbitego na wodzie światła terminalu. Jeszcze pięć minut i komandor dał sygnał do akcji. Ośmiu komandosów jednocześnie ześliznęło się do wody i ruszyło ku celowi, jak godzinę wcześniej zrobiła to grupa porucznika Du-ponta na Morzu Czerwonym.

Między obu zadaniami była jednak istotna różnica. W Jan-bu i Rabigh pletwonurkowie mieli tylko wysadzić terminal w powietrze, zakładając wszystkie osiem min na wspierających go filarach. Tu, w Ras al-Dżuajmie, trzeba było zrobić coś więcej. Od ludzi Ventury wymagano także zniszczenia systemu załadunkowego i wywołania pożaru gazu. Sam terminal był jeszcze podatniejszy na dywersję, jako stalowa konstrukcja posadowiona na dnie morza, kilka kilometrów od brzegu; przypuszczalnie wystarczyłyby tylko dwa lub trzy ładunki, a sześć zapewniało całkowite powodzenie. Jednakże komandor Ventura i dwudziestotrzyletni marynarz Vincent Lefevre musieli się wspiąć na dolną część sztucznej wyspy, bezpośrednio pod jej nawierzchnią, i założyć miny tuż pod pompami. Jak powiedział admirał Pires, Jeżeli już mamy to cholerstwo wysadzić w powietrze, zróbmy to z rozmachem. Powinniśmy osiągnąć podwójny efekt: zniszczenie i przerażenie. Dopilnujcie, żeby Ras al-Dżuajmę było widać z bardzo daleka..."

Komandosi od tygodni wbijali sobie do głów plany terminalu i teraz każdy dobrze znał przydzielony sobie obiekt. Sternicy zodiaków natychmiast odpłynęli o paręset metrów dalej; zgodnie z instrukcją mieli wrócić po pletwonurków za godzinę. Dotarcie do pirsu zajęło zespołowi niespełna trzy mi-

nuty. Jak wcześniej ustalono, wynurzyli się pod konstrukcją na ostatnią, błyskawiczną odprawę.

–Wiecie, co robić – powiedział Jules Ventura. – Płyniecie parami do swoich filarów i zakładacie sześć ładunków w wyznaczonych miejscach. Po robocie czekacie przy czwartym. Vincent będzie prosto nad wami. Uważać na wszystko i nie wysadzić nas wszystkich w powietrze. Do łodzi wracamy razem.

I tu, jak w portach czerwonomorskich, stalowe konstrukcje pokrywała szczelna warstwa przyrośniętych małży; trzeba było mozolnie oskrobać po kilkudziesiąt centymetrów kwadratowych, aby dać magnesom przyczepną powierzchnię. Jules i Vincent zdjęli pletwy i aparaty oddechowe, doskonale draegery, ważące po trzynaście kilogramów na łądzie, pod wodą zaś nieważkie dzięki idealnie dobranej wyporności obudowy. Komandor zamocował sprzęt do filara sześć metrów pod powierzchnią; obaj nałożyli nasiąknięte wodą czarne adidasy i po chwili wdychali już przesycone zapachem ropy powietrze. Stalowy ukośny wspornik, którego szukali, był tuż nad ich głowami. Chwycili się go rękami; teraz czekała ich stosunkowo prosta wspinaczka do odległego o kilkanaście metrów poziomego dźwigara podtrzymującego centralną część pirsu. Wkrótce byli już na górze. Filar numer cztery kończył się tutaj; miał średnicę słupa telegraficznego i był świeżo pomalowany na rdzawy kolor. Znikome na Zatoce Perskiej pływy tak wysoko nie sięgały, dlatego jego powierzchnia była zupełnie wolna od muszli. Siedząc okrakiem na dźwigarze, Ventura odpiął gumowany pojemnik zabezpieczający minę. Na wszelki wypadek przeciągnął nożem po magnesie i przyłożył niszczące urządzenie do filara, czując, jak silnie przywiera do stali. Lefevre podał mu zapalnik czasowy, który w tym typie miny wkręca się w jej kadłub. Można to zrobić ręcznie, ale znacznie pewniejsze jest użycie śrubokrętu. Komandor zamontował zapalnik i ustawił go na siedem godzin i czterdzieści minut. Wyciągnął dłoń po podawane mu narzędzie, silniej go dokręcił i zamocował koniec detcordu w detonatorze. Obaj z marynarzem zaczęli się wolno przesuwać po dźwigarze, rozwijając wybuchowy lont. W połowie długości zatrzymali się, a Jules naciągnął luźny przewód

i przymocował go taśmą od spodu, aby był niewidoczny dla ewentualnego obserwatora z góry.

W tym właśnie momencie śrubokręt wyśliznął się mu z dłoni i spadł, dwukrotnie obijając się z metalicznym dźwiękiem o elementy konstrukcji, zanim z pluskiem wpadł do morza.

Komandor nie miał pojęcia, czy ktokolwiek znajduje się akurat nad nimi, ale bez wahania wyciągnął pistolet maszynowy z wodoszczelnej kabury i z palcem na spuście wpatrywał się w krawędź platformy i burzę zacumowanego do niej gazowca. Po chwili ze zgrozą usłyszał nad sobą tupot nóg pojedynczego człowieka. Obaj komandosi byli nie dalej niż pięć metrów od skraju. Zza krawędzi wysunęła się czyjaś głowa, a w ślad za nią ręka uzbrojona w zapaloną latarkę.

–Man hunak?

Gardłowy okrzyk Araba był dla Francuzów niezrozumiały, ale ton nie pozostawiał wątpliwości: zostali zauważeni. Jules nie miał wyboru. Strzelił w odwróconą do góry nogami głowę krótką serią z AK-47. Zaopatrzona w tłumik broń wydała kilka cichych kliknięć, znacznie cichszych niż odgłos obijającego się o filar śrubokrętu. Mężczyzna opadł bezwładnie, brocząc krwią. Komandor już biegł schylony po dźwigarze ze zręcznością linoskoczka; z niezwykłą siłą chwycił Araba za gardło i jednym pociągnięciem zrzucił go w morze. Stał przez chwilę nieruchomo i dyszał ciężko, zastanawiając się, ilu ludzi przyjdzie mu jeszcze zabić, zanim oddział będzie się mógł wycofać.

Ku zdumieniu obu Francuzów ciszy nie zmącił żaden inny odgłos, ani z platformy, ani z pokładu zbiornikowca. Zabity człowiek był sam. Na górze słychać było tylko jednostajny poszum urządzeń elektrycznych. Ventura gestem polecił Le-fevrowi cofnąć się po dźwigarze i sam podążył za nim do miejsca, gdzie zbiegało się pięć podobnych wsporników, bezpośrednio pod stacją pomp przeładunkowych. Założyli tam minę Vincenta. Nie wymagała ona zastosowania zapalnika czasowego, przygotowana do detonacji za pomocą detcordu. Jules omotał ją lontem wraz z dźwigarem, wcisnął koniec w otwór na zapalnik i dokręcił śruby mocujące. Odchylił się

do tyłu, jak malarz sprawdzający efekt ostatnich pociągnięć pędzla. Miał teraz pewność, że ta mina wybuchnie w milisekundę po pierwszej.

Zejsście do wody zajęło im osiem minut. Pod filarem numer cztery czekali już na nich pozostali komandosi, zaniepokojeni rozwojem wydarzeń: ciało zastrzelonego przez ich dowódcę Araba unosiło się na wodzie, dryfując coraz głębiej pod platformę. Na szorstko rzucony rozkaz obwiązali trupa resztą detcordu; dwaj z nich mieli pohlować go pod wodą do czekających w oddali zodiaców. Komandor, nie wdając się w zawile tłumaczenia, wyjaśnił, że wprawdzie niewiele go obchodzi sam nieboszczyk, ale nie można pozwolić, żeby ktokolwiek go znalazł.

Ruszyli naprzód. Dotarwszy do łodzi, zamienili detcord na mocniejszą i dłuższą linkę, na której ciągnęli ciało za rufą do samego okrętu. Tam nieszczęsny Arab został przywiązany do silnika przyczepnego. Miał na sobie mundur saudyjskich królewskich sił powietrznych, których zadaniem jest ochrona bezcennych dla kraju instalacji naftowych. Młody żołnierz spoczął na piaszczystym morskim dnie razem z porzuconymi przez komandosów przedziurawionymi zodiacami. Za sześć godzin dołączy do niego wielu innych i nikt się nigdy nie dowie, że zginął w inny sposób. Wszyscy będą po prostu ofiarami wojny o zyski z najbardziej intratnego – i najbardziej bezwzględnego – biznesu na świecie.

## ROZDZIAŁ 6

Tej samej nocy, godzina 22.15. Podejście do Ras Tannury

Ostatnie dwa zodiaki płynęły teraz na wschód, z powrotem ku torowi wodnemu. Porucznik René Doumen, syn mera atlantyckiego miasta portowego La Rochelle, szanowanego armatora miejscowych promów, pogrążony był w zadumie. Jak sięgał pamięcią, właściwie nigdy dotąd nie znalazł się poza prawem. Teraz jednak siedział na rufie pneumatycznej łodzi, spoglądając za siebie, na jarzeniowe światła wielkiego terminalu naftowego i usiłując się pogodzić z tym, co właśnie zrobił. W kategoriach ściśle wojskowych wymiar jego zadania był oczywisty: poprowadził zespół świetnie wyszkolonych dywersantów do serca portowej instalacji i umieścił na niej tyle materiałów wybuchowych, że wystarczyłoby do zburzenia wieży Eiffla. René wpatrywał się w odległe światła i ciemną na ich tle, masywną sylwetkę wielkiego amerykańskiego zbiornikowca. Zostały o dwie mile za rufą, ale był pewien, że do śmierci będzie pamiętał te wrażenia: czarna jak smoła woda... dłoń Philippe'a na jego lewym ramieniu, gdy w równym rytmie płynęli na głębokości kilku metrów ku platformie... zgrzyt noża na twardych muszlach... miniaturowy krążek światła z latarki... siła magnetycznego przyciągania, gdy zbliżał minę do stalowego filara... palce drżące przy mocowaniu detcordu do detonatora...

Sześć godzin i dwadzieścia pięć minut. Tych liczb nigdy nie zapomni. Teraz dochodziło wpół do jedenastej. Jeszcze tylko pięć i pół godziny, zanim się okaże, jakie naprawdę skutki przyniesie ich działanie. Zanim cała platforma numer cztery



wyleci w powietrze. Czy kiedykolwiek powie ojcu, co zrobił? Albo swojej dziewczynie Annie? Albo kiedyś tam swoim dzieciom? Czy opowie im o tej nocy, kiedy przez parę godzin był jednym z najgroźniejszych terrorystów na świecie?

Oczywiście że nie. Kodeks francuskich sił specjalnych, podobnie jak ich odpowiedników we wszystkich armiach świata, nie może zostać złamany. Renę wiedział, że musi raz na zawsze wymazać z myśli to słowo: terrorysta. Jest lojalnym oficerem francuskiej marynarki wojennej i właśnie wykonał najważniejsze zadanie, jakie zostało przed nią postawione od czasów... no, Trafalgaru.

Wzruszył ramionami i obrzucił spojrzeniem swoich towarzyszy; zastanawiał się, czy i oni myślą o tym samym, patrząc na rozświetlony setkami jarzeniówek port i wiedząc, że będzie istniał jeszcze tylko pięć godzin z hakiem i że to za ich przyczyną istnieć przestanie.

Renę zawsze był twardzielem. Kiedyś poważnie myślał o grze w reprezentacji narodowej w rugby; za studenckich lat ceniono go w klubie z Tuluzy za szybkość i siłę. Marynarka wojenna jednak również miała mu coś do zaproponowania, a jego ojcu, który zaczynał jako zwykły marynarz na promie, szalenie imponowała perspektywa, że syn może kiedyś zostać admirałem – i tak to sport przegrał z kretesem.

Ale... terrorysta? Na Boga! Porucznik Doumen wzdrygnął się na to słowo uparcie wczepione w jego myśli. „Chyba przyjdzie mi unikać porannych gazet do końca życia...”

Wiedział jednak, że wróci do swych normalnych obowiązków i znów ogarnie go znajome uczucie dumy z noszenia tego właśnie munduru, z tego, że marynarka akurat jego wybrała spośród wielu, aby poprowadził oddział sił specjalnych do tak zuchwałego, niebywałego ataku. Co więcej, wiedział, że jeśli będzie trzeba, zrobi to jeszcze raz.

Jeszcze zanim wspiął się po sznurowej drabinie na mokry pokład *Perle*, wyczuł panujące napięcie. Sam dowódca stał na pokładzie i Renę dwa razy usłyszał jego ponagląący głos: „*Vite... vite... depiches-toi!*” Wszyscy i bez tego dobrze wiedzieli, że stoją w niebezpiecznym miejscu – pośrodku oznakowanego toru wodnego w najwęższej chyba jego części. Na pomoście i na dziobie obserwatorzy wypatrywali przez nocne

lornetki nadpływającego złowrogo zbiornikowca. Niebo było szczelnie zaciągnięte chmurami, a okrętowanie komandosów przebiegło w rekordowym czasie. Oba zodiaki pocięto, ale *Perle* równo z nimi zniknął pod powierzchnią morza, schodząc na głębokość peryskopową. Akwen miał tu około piętnastu sążni i Alain Roudy musiał podjąć decyzję, czy zanurzyć się głębiej. W tej chwili mieli pod stępką dziewięć metrów wody; dowódca po krótkim wahaniu uznał, że lepiej nie ryzykować i pozostać na aktualnej głębokości, płynąc na NNE pasem wyjściowym z prędkością dziesięciu węzłów. Taki limit obowiązywał wszystkie statki i był ściśle egzekwowany przez saudyjską służbę kontroli ruchu; tak więc ani żaden wychodzący z portu zbiornikowiec nie dogoni *Perle* na szlaku, ani oni nie zbliżą się do poprzedzającej jednostki.

Do czwartej zostało pięć godzin. Pięć godzin do tymczasowego końca świata zachodniego, a przynajmniej do końca ery taniej ropy naftowej.

Załoga francuskiego okrętu niespecjalnie się przejmowała tą myślą, ale w przedziale rakietowym napięcie rosło. Wkrótce wszystkie dwanaście cruise'ów poszybują w niebo; nie ku jakimś pozorowanym celom, jak dotąd bywało, lecz z głowicami bojowymi, precyzyjnie i z premedytacją nakierowane w stronę prawdziwych obiektów na lądzie.

Osiem mil dalej kapitan nakazał zwrot na kurs 050°, a po kolejnych dwunastu zdecydował się opuścić szlak dla zbiornikowców. Tam, gdzie tor wodny skręca na wschód, zarządził kolejny zwrot na północ i rozpoczął podejście szerokim łukiem przez głębsze wody do odległej o dwadzieścia pięć mil pozycji ogniowej – 27°06'N, 050°54'E.

Dotarli na miejsce o trzeciej czterdzieści, trzymając się na głębokości piętnastu metrów, od chwili wyjścia z Kanału Su-ckiego przez nikogo nie zauważeni.

–Centrala kierowania ogniem, tu kapitan... Proszę przeprowadzić końcowy test.

Komandor porucznik Albert Paul po raz ostatni włączył monitor komputerowy pokazujący cele i ich współrzędne: kompleks Abkaik – 25°56'N, 049°32'E; rurociąg wschodni -25°56'N, 049°34'E. Trzecia salwa miała być wymierzona w główne złącze w Katif, 26°31'N, 050°01'E, w cztery mini-

malnie rozrzucone obiekty, w celu zniszczenia jedyne go odcinka rurociągu, który był wykonany „na miarę”, jego naprawa więc potrwałaby długie miesiące.

Albert Paul wiedział, że strzelanie do rur nie jest najlepszym pomysłem, podobnie zresztą jak i do platform wydobywczych: jedno i drugie można zatkać i naprawić za pomocą typowego sprzętu i materiałów, a tych koncernowi Aramco nie brakuje. Trzeba rąbnąć w instalacje przeladunkowe, stacje pomp i rafinerie, jak nad Morzem Czerwonym. Cele wyznaczone kapitanowi Roudy'emu były jednak doskonale wybrane. Przez pompownię w Abkaik przechodzi prawie trzy czwarte saudyjskiej ropy. Obsługuje ona nie tylko ogromne pole naftowe Gawar, skąd tłoczy surowiec przez góry na wybrzeże czerwonomorskie, ale i całe wschodnie wybrzeże saudyjskie -w tym oba porty, które dziś stały się celem pletwonurków z COMFUSCO. Również rurociąg wychodzący z Abkaik ma wyjątkowe znaczenie i dlatego książę Nasir wskazał go jako cel. Złącze w Katif jest czymś w rodzaju monopolistycznego centrum dystrybucyjnego, rozprawdzającego do punktów przeznaczenia całą saudyjską ropę eksportowaną z rejonu Zatoki Perskiej.

–Przygotować wyrzutnie od jeden do cztery!

Dziesięć minut przed czwartą pierwsza z rakiet Stormcat wyskoczyła z dziobowej wyrzutni torpedowej *Perle*, zamiatając przez chwilę ogonem w prawo i lewo, zanim odnalazła właściwy kierunek – ku górze. Z rykiem przebiła powierzchnię morza i śmignęła w czarne niebo. Elektroniczny mózg błyskawicznie przetwarzał dane, kierując ją na kurs 240". Prędkość optymalną – 0,9 macha – osiągnęła na wysokości sześćdziesięciu metrów nad wodą. W tej chwili zapracowała turbina gazowa i ognisty warkocz za ogonem zgasł. W ciepłym, wilgotnym powietrzu nad Zatoką 0,9 macha odpowiadało ponad dziewięćset sześćdziesięciu kilometrom na godzinę. Przy takiej prędkości rakiet doleci do celu w dziesięć minut od startu. Zanim przebyła pierwsze trzydzieści kilometrów, w powietrzu były już następne trzy, lecące jej śladem. Nad stałym lądem znalazła się o trzeciej pięćdziesiąt siedem, minąwszy wąski półwysep Ras Tannura i nadbrzeżną autostradę. Był to dla niej ostatni punkt zwrotu przed odległym



o szesnaście kilometrów celem, nad który miała nadlecieć od północnego wschodu, nieco na północ od głównego kompleksu.

Minutę po czwartej uderzyła w sam środek pompy numer jeden. Impet poddźwiękowej prędkości sprawił, że wbiła się głęboko w instalację, zanim eksplodowała jej głowica bojowa, zawierająca sto sześćdziesiąt trzy kilogramy trotylu. Z pracowników nocnej zmiany nie przeżył nikt. Wybuch zniszczył doszczętnie wszystkie najważniejsze mechanizmy i systemy. Jego siła oraz pożar, jaki wywołał, mogły zaszokować każdego w promieniu kilku kilometrów; szybko jednak przyćmił je nowy fajerwerk, kiedy druga rakietą trafiła w zespół kolumn do destylacji frakcyjnej, wysokich stalowych cylindrów wypełnionych gorącymi, łatwopalnymi cieczami i gazami. Rozmiar piekła, jakie rozpętała, zawstydziłby samego Dantego. Płomienie strzelały na setki metrów w niebo, a żar był tak ogromny, że spowodował reakcję łańcuchową – w krótkich odstępach czasu eksplodowały kolejne kolumny. Jeszcze przez długie lata pożar w Abkaik będzie uważany za największą katastrofę przemysłową wszech czasów, usuwając w cień nawet tragedię Texas City z 1947 roku, kiedy eksplozja zacumowanego w pobliżu rafinerii statku wypełnionego azotanem amonowym zrównała z ziemią całe miasto. Abkaik płonęło już teraz całe; wszystkie cztery cruise'y Alaina Roudy'ego trafiły w zaprogramowane cele. Kapitan nie powiedział jednak jeszcze ostatniego słowa...

Następna poczwórna salwa rozniosła w pył rurociąg wschodni w pewnej odległości od rozdzielni Katif; krótko potem i ona zamieniła się w kulę ognia. Daleko na wschodzie niebo gorzało czerwienią nad sztuczną wyspą terminalu Ras Tannura, która trzy minuty po czwartej wyleciała w powietrze, rozlewając płonąca ropę na powierzchni paru kilometrów kwadratowych morza. Jednak najbardziej spektakularny pożar szalał pod Ras al-Dżuajmą, gdzie dwie bomby Jules'a Ventury wyrzuciły stalowe nabrzeże terminalu na trzydzieści metrów w górę, zamieniły w stertę złomu system zaworów gazowych i zapaliły przewidywaną sześć tygodni wcześniej przez Gastona Savary'ego „pochońnię z piekła rodem”: słup białego ognia mierzący niecały metr średnicy u podstawy

i sięgający na wysokość pięćdziesięciu metrów. Sama keja leżała teraz w kawałkach na dnie morza, ale łączący ją z lądem most był praktycznie nietknięty; końcówka rury gazociągu sterczała teraz pod groteskowym kątem czterdziestu pięciu stopni w niebo, zasilając płomień nieprzerwanym strumieniem propanu, którego nikt nie mógł odciąć.

Dwadzieścia minut po eksplozjach, które praktycznie unicestwiły saudyjski przemysł naftowy na wschodnim wybrzeżu, nikt jeszcze nie łączył tych wypadków ze sobą. Spośród ludzi, którzy pracowali w zaatakowanych kompleksach, nie przeżył nikt. Gmachy administracji w Abkaik i Katif legły w gruzach, a jeśli ktokolwiek był w tej okolicy, mógł tylko z daleka patrzeć ze strachem na wzbijające się co parę minut w niebo nowe ogniste języki, kiedy wybuchały kolejne zbiorniki czy urządzenia w tych ulokowanych na bezludziu obiektach.

Pierwszy alarm podniesiono w odległym Janbu al-Bahr, gdzie miny Gartha Duponta rozsadziły instalacje przeładunkowe. Port leży jednak na uboczu i miasto niemal nie ucierpiało. Rakiety wystrzelone z *Amethyste* właśnie uderzyły w rafinerię stojącą o kilka kilometrów od przedmieścia -i to dopiero dało do myślenia szefowi policji i kilku pełniącym służbę oficerom ochrony z Aramco. Komisariat w Janbu połączył się z Rabigh, gdzie sytuacja była identyczna: zniszczony port, serie coraz to nowych eksplozji, rafineria trawiona pożogą. Komisarz następnie zadzwonił do Dżeddy, która dopiero co straciła własne zakłady petrochemiczne, zniszczone kolejną salwą komandora Dreyfusa. W centrali sił bezpieczeństwa w Rijadzie, gdzie już wiadano o losie Ras al-Dżuajmy, zaczęły się urywać telefony. Z rozmiarów katastrofy zdano sobie jednak sprawę w stolicy dopiero około piątej rano. Niemal wszystkie znaczące porty załadunkowe w królestwie przestały istnieć, zniszczony był system pomp, a naprawa głównej rozdzielni w Katif potrwa co najmniej rok. Saudyjczycy od dawna zdawali sobie sprawę z tego, jak narażony jest ich przemysł naftowy, ale to, co się działo teraz, wykraczało poza granice pojmowania. Wszystkie zakłady dysponowały licznymi służbami ochrony, a mimo to jakiś wrogi oddział przedo-

stał się przez wszystkie zabezpieczenia. Kura, która znosiła tyle złotych jajek władcom tego pustynnego państwa, jednej z najbogatszych rodzin królewskich na świecie, teraz została zarżnięta. Na pustyni wiele pożarów miało trwać całe tygodnie.

Tymczasem na różnych morzach, tysiące mil od siebie, dwa okręty podwodne francuskiej marynarki wojennej po cichu płynęły do macierzystego portu. Na *Perle*, zmierzającym teraz w trzydziestometrowym zanurzeniu ku cieśninie Ormuz, komandor Ventura właśnie zaliczył skromne dwa bez ataku.

**Poniedziałek, 22 marca, godz. 8.00. Zachodnie przedmieścia Rijadu**

Książę Nasir dowiedział się o wszystkim wcześniej niż większość Saudyjczyków, przede wszystkim dlatego że w wybranych miejscach miał własnych obserwatorów, z których każdy odebrał ściśle instrukcje, by meldować mu natychmiast, gdy cokolwiek się wydarzy. Między czwartą a czwartą dwadzieścia nad ranem był w związku z tym bardzo zajęty. Teraz siedział w swym gabinecie z pułkownikiem Gamou-dim, przy porannej kawie oglądając wiadomości nadawane przez arabskojęzyczne stacje telewizyjne, ciekaw ich reakcji. Większość komentatorów skłaniała się do twierdzeń o spisku wymierzonym w saudyjską gospodarkę i unieruchomieniu przemysłu naftowego przez nieznane dotąd siły bądź osoby. Najczęściej sugerowano, że z pewnością kryje się za tym Al-Kaida – ale jak wiadomo, jest to twór raczej mglisty, bez oficjalnego kierownictwa i kwatery głównej, ponadpaństwowy ruch zdeterminowanego i rozgniewanego społeczeństwa, wrogi wobec saudyjskich królów. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że Al-Kaida jako organizacja jest finansowana głównie przez Saudyjczyków, to trudno zrozumieć, dlaczego miałyby odcinać karmiącą ją rękę? Pewne było tylko, że działanie nieokreślonych sił w pół godziny rzuciło saudyjską gospodarkę na kolana. Co to więc były za siły? Czym się kierowały w tym akcie bezsensownej, jak się mogło wydawać, agresji? Jaki mi-

li tamy geniusz zaplanował i przeprowadził operację tak swobodnie, jakby armia saudyjska w ogóle nie istniała?

Nasir i Gamoudi z rozbawieniem obserwowali wysiłki dziennikarzy, bezskutecznie starających się znaleźć odpowiedzi na nurtujące wszystkich pytania. Książę uznał, że robota została wykonana wzorowo. Na wielu kanałach pojawiały się skierowane do króla wezwania o pokazanie się narodowi w telewizji, o wygłoszenie przemówienia, danie ludziom nadziei, wskazanie drogi wyjścia z kryzysu i poderwanie narodu do działania. Król jednak był teraz w szoku, podobnie jak jego rada ministrów i generalicja.

Niektóre ze stacji anglojęzycznych wieszczły już rychły kres panowania dynastii Saudów, a nawet totalny krach krajowej gospodarki, upadek waluty i niezdolność rządu do finansowania

czegokolwiek, skoro ropa praktycznie przestała płynąć. Z pałacu nie doszło ani jedno słowo komentarza, co mogło świadczyć o krótkowzroczności, jeśli nie o zupełnej nieudolności monarchy. Zresztą nikt z kręgów oficjalnych się nie odzywał aż do godziny trzynastej, kiedy redaktor Kanału 2 oddał głos rzecznikowi rządu, który dość gniewnym tonem poinformował ludność o katastrofie, jaka spadła na instalacje przesyłowe i przeladunkowe najważniejszego surowca w kraju, nie przedstawiając jednak żadnych szczegółów. Sponsorowany przez Aramco Kanał 3 zachowywał zrozumiałą powściągliwość i nie ujawniał żadnych bliższych danych. Zdecydowanie najlepszym źródłem informacji były nadające po angielsku stacje z Bahrajnu i Kataru, których reporterzy spędzili całe przedpołudnie na nagabywaniu każdego pracownika Aramco, z którym udało się im skontaktować. Powoli, krok po kroku, doszli do wstrząsającej prawdy, że ktoś dokonał nadzwyczaj skutecznego i idealnie skoordynowanego ataku na saudyjski przemysł naftowy, podkładając bomby ustawione na wybuch synchroniczny: wszystko się rozegrało w ciągu około dziesięciu minut. Stacje były oczywiście w stałej łączności z mediami londyńskimi, a od godziny jedenastej w powietrzu nad płonącymi Ras Tannurą i Ras al-Dzuajmą uwijały się helikoptery z kamerami. W południe zdjęcia z saudyjskiego *inferno* obieły już cały świat.

O czternastej w Rijadzie zaczęły się rozruchy.

Tego samego czasu, godz. 5.00. Waszyngton

Komandor porucznik Jimmy Ramshawe spał snem sprawiedliwego w przejętym po rodzicach luksusowym apartamencie w słynnym kompleksie Watergate. Poprzedniego wieczoru wraz z narzeczoną, Jane Peacock, do późna biesiadowali z przyjaciółmi; do mieszkania na terenie ambasady australijskiej odwiózł ją dopiero o drugiej, a w biurze musiał się stawić jak zwykle o siódmej. Nie pozostawiało to dość czasu na tyle snu, ile potrzebował... Jimmy był zdania, że znacznie lepiej byłoby zacząć ten dzień w południe. Kiedy minutę po piątej zadzwonił telefon, o mało nie spadł z łóżka. Lata służby w marynarce nauczyły go jednak, jak się budzić w jednej sekundzie, i przyzwyczyliły do zwariowanych godzin pracy, nie na tyle jednak, żeby podnosząc słuchawkę, nie burknął pod nosem:

–Jak to nie jest sprawa absolutnie najwyższej wagi, to...

Oficer służbowy z NSA zachichotał.

–Dzień dobry, komandorze. Tak, pojawiło się coś, o czym powinien pan wiedzieć.

–No, to wal – mruknął Jimmy, bezwiednie naśladowując styl swego idola, admirała Morgana.

–Wygląda na to, sir, że ktoś właśnie wysadził w powietrze cały saudyjski przemysł naftowy.

–Ktoś właśnie co?! – Jimmy z trudem złapał powietrze.

–Myślę, że powinien pan jak najszybciej przyjechać do biura, sir. Niech pan włączy telewizor na CNN. Jak zwykle mają dobre informacje.

–Dzięki, poruczniku. Już jadę. Spróbujcie powiadomić admirała Morrisa. Wiem, że jest na Zachodnim Wybrzeżu, ale na pewno będzie chciał być na bieżąco.

–Jasne, sir. Takiego ognia jak żyję, nie widziałem.

Jimmy wcisnął guzik pilota. Odbiornik był już ustawiony

na kanał CNN i na ekranie pojawiła się strzelająca w niebo, straszliwa pochodnia, w której świetle widać było sterczącą z wody nadbudówkę i maszt zatopionego przy zniszczonym nabrzeżu zbiornikowca.

–Jezu Chryste...

W tej chwili obraz się zmienił, pokazując wielką połać

morza pokrytą płonąca ropą, którą wkrótce zastąpiły zdjęcia z rafinerii nad Morzem Czerwonym. Pożary szalały z ogromną siłą, wciąż widać było nowe eksplozje i nie zanosilo się na rychle ich wygaśnięcie. Największa katastrofa, o której mówił głos komentatora, w kompleksie Abkaik, najwyraźniej nie została jeszcze sfilmowana. Jimmy siedział wyprostowany na łóżku, w oszołomieniu starając się rejestrować płynące z głośnika informacje. Na ile mógł się zorientować, bomby wybuchły we wszystkich newralgicznych punktach największego systemu naftowego na świecie. Ktokolwiek był sprawcą, zaplanował atak niezwykle precyzyjnie. Reporter CNN twierdził, że wszystko wyleciało w powietrze tuż po czwartej nad ranem czasu lokalnego i że na razie wygląda na to, że jest to czysto wewnętrzna sprawa arabska.

Jimmy Ramshawe wiedział o rosnących niepokojach w królestwie saudyjskim, kurczących się rezerwach walutowych i dywidendach z eksportu ropy, jakie przysługują każdemu jego obywatelowi. Nieraz słyszał od kolegów z CIA, że Arabia Saudyjska jest o dwa kroki od rewolucji. Podkreślił głośnik telewizora i usiłował słuchać dalej spod prysznic, ale w sumie jedyna wyłaniająca się z tego wszystkiego prawda – przynajmniej według kryteriów wyższego oficera wywiadu – była taka, że nikt na świecie nie ma zielonego pojęcia, kto jest odpowiedzialny za atak, jakimi motywami się kierował ani w jaki sposób go przeprowadził. Dziennikarz z CNN skupił się raczej na konsekwencjach niż na przyczynach wydarzeń: co będzie się działo, skoro ktoś wyłączył z rynku jedną czwartą globalnej podaży ropy naftowej.

Na tym etapie Jimmy'ego nie interesowała ekonomia; w mig zaszufłdkował ten problem pod hasłem „Nieuniknione reperkusje”. Na razie chciał wiedzieć kto, jak i dlaczego. Ubrał się spieszenie, wyłączył telewizor, w biegu chwycił neseser i po chwili jechał już windą do podziemnego garażu, gdzie czekała na niego druga po Jane Peacock miłość jego życia – lśniący trzynastoletni czarny jaguar, prezent od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny. Miał wtedy tylko cztery lata i dwanaście tysięcy mil na liczniku, odkupiony od starszego pana, przyjaciela ojca z kręgów dyplomatycznych. Od tamtej pory Jimmy przejechał tylko trzydzieści tysięcy

mil – poza Waszyngton wybierał się bowiem zaledwie dwa lub trzy razy do roku, a na co dzień często jeździł razem z Jane jej małym, bezpretensjonalnym dodge'em neonem, który zadowalała się sześcioma i pół litra benzyny na sto kilometrów, w przeciwieństwie do żłowiącego ponad piętnaście litrów brytyjskiego „drapieżnika”. Jaguarem dojeżdżał w zasadzie tylko do pracy, korzystając z dogodnego położenia Watergate przy Beltway, uczęszczanej stołecznej obwodnicy, którą mógł dojechać prawie pod bramy Fort Meade. Uwielbiał manipulowanie ręczną skrzynią biegów, dobre przyspieszenie wozu i sportowe zawieszenie pozwalające na pewne pokonywanie zakrętów z dużą prędkością.

Tego ranka wydusił z silnika więcej niż zwykle. O tej porze szosa była prawie pusta i mógł dobrze przycisnąć gaz. Pod wartownię zajechał z piskiem opon, wywołując uśmiech na twarzy strażnika, który na widok jeżdżącego jak Schumacher młodego asystenta dyrektora błyskawicznie podniósł szlaban. Jimmy podjechał prosto pod wejście OPS-2B. W gmaszysku o lustrzanych szklanych ścianach na ósmym piętrze kwaterę główną miał admirał George Morris, wieloletni szef NSA. Piastowane stanowisko dawało komandorowi przywilej, z którego korzystał tylko w wyjątkowych sytuacjach – takich jak dzisiejsza. Wskoczył z auta, sygnalizując jednemu ze strażników, by je zaparkował.

–Dzięki, żołnierzu! – rzucił w przelocie.

–Nie ma sprawy, sir! Trzeba gasić ten pożar na Perskiej, nie?

Jimmy wyszczerzył zęby w uśmiechu. Niewiarygodne, jak szybko rozchodzą się w tym miejscu wieści i plotki... Za rzędami drutu kolczastego, wysokich płotów i murów, strzeżonych przez siedmiuset policjantów i kilkanaście plutonów antyterrorystycznych, trzydzieści dziewięć tysięcy kadrowych pracowników wywiadu dwoiło się i troiło, aby wiedzieć sto razy więcej niż ktokolwiek w Ameryce o tym, co się w każdej chwili dzieje na całym świecie. Jimmy od dawna twierdził, że każdy z nich co dziesięć minut wymienia informacje co najmniej z jedną osobą. Poczta pantoflowa działa tu sprawniej niż DHL.

Dotarłszy do swego biura na dyrektorskim piętrze, po-

spiesznie włączył telewizor. Była za dziesięć siódma; czternasta pięćdziesiąt w Arabii Saudyjskiej. Pożary wciąż szalały; CNN uporała się już z tematem wysadzonych w powietrze instalacji portowych i przechodziła do katastrofy w Abkaik. Nikt jeszcze nie rzucił światła jupiterów na kwestię znaczenia zniszczonej stacji pomp numer jeden, ale korporacja uzyskała zdjęcia z gigantycznego morza ognia na pustyni, pośrodku którego wciąż widać było nowe eksplozje. Czegoś podobnego nikt jeszcze nie widział. Komentator koncentrował się teraz na potencjalnych sprawcach i bardziej zgadywał, niż twierdził, że stoi za tym Al-Kaida. Nie da się jednak zadzwonić do jej biura prasowego z prośbą o potwierdzenie, pomyślał Ramshawe. Poza tym jest jeszcze wiele innych ugrupowań islamskich fundamentalistów, którym mogłoby zależeć na unicestwieniu – i być może późniejszej odbudowie – najbogatszego na świecie kraju-producenta ropy naftowej.

Sam następca tronu, książę Nasir, był tak zaniepokojony sytuacją w Rijadzie, że zgodził się udzielić wywiadu londyńskiemu „Financial Times”, w którym snuł domysły, że zniszczenie saudyjskiego przemysłu naftowego może się komuś wydawać niską ceną za usunięcie trwoniącej narodowy majątek rodziny królewskiej i zmianę politycznego status quo. Wyraźnie podkreślił, że on sam jako lojalny dworzanin nie ma z tym nic wspólnego, choć serce mu się kraje na myśl o przyszłości jego prastarej ziemi, a wrażliwość na los rodaków każe mu wypowiadać te bolesne prawdy.

Ani CNN, ani reszta światowych mediów wciąż nie potrafiły wyjaśnić, co się dzieje. Podczas gdy na ekranie telewizora kolejni dziennikarze przedstawiali najbardziej fantastyczne wersje wydarzeń, Jimmy Ramshawe, któremu płacono za myślenie, a nie za zgrywanie eksperta, uczciwie i gorączkowo starał się wywiązać z tego zadania. Podczas jazdy do Fort Meade kołatał mu się po głowie pewien uporczywy motyw. Przypominał sobie listopadowe rozmowy telefoniczne ze znajomymi w Londynie i Nowym Jorku, jakie przeprowadził po niewytłumaczalnym i nieprzewidzianym chwilowym skoku cen ropy naftowej. Wszystko wtedy wskazywało na to, że ktoś prowadzi dziwną grę na rynku przyszłych dostaw i najprawdopodobniej gromadzi zapasy surowca – dyskretnie, ale



w dużych ilościach. Jimmy pamiętał, że trop wiódł do Francji, co potwierdził mu i Roger Smythson z giełdy londyńskiej, i Frank Carstairs z nowojorskiej. Badał wtedy rynkowe posunięcia Francji i doszedł do nieuchronnego wniosku, że żabojady nie robią nic nielegalnego; potem jego uwagę odwrócił admirał Morgan, prosząc o wyszukanie informacji na temat strzelaniny w marsylskiej restauracji. W obu tych kwestiach zabrnął w ślepy zaułek i zaniechał dalszego śledztwa. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Szokująca wiadomość o nocnych eksplozjach w Arabii Saudyjskiej migiem ustawiła jego myśli znowu na właściwy tor – uznał, że teraz warto przyjrzeć się wszystkiemu jeszcze raz. Włączył komputer, wszedł do Internetu i znalazł stronę dokładniej omawiającą francuskie poczynania na rynku ropy naftowej. Niewiele się z niej dowiedział ciekawego, poza tym że Francja wciąż importuje milion osiemset tysięcy baryłek dziennie, głównie z Arabii Saudyjskiej. Jak zaś wynika z porannych dzienników telewizyjnych, to źródło miało szybko wyschnąć.

–Ciekawe... – zastanawiał się na głos. – Ciekawe, czy cały świat uprzemysłowiony dostaje teraz kota... z jednym wyjątkiem.

Nie mógł się opędzić od myśli o jedynym państwie, które zawczasu zawarło inne umowy i dziś mało je obchodzi, czy saudyjska ropa płynie czy nie. Czyżby Francuzi wiedzieli coś, o czym reszta świata nie miała pojęcia? Jimmy uznał to za możliwe, ale odrzucił jako zbyt fantastyczną teorię, by z jej powodu wszczynać alarm. Ale na razie to jedyna teoria, jaką mamy... Cóż, pewnie sprawa się wkrótce sama wyjaśni, pomyślał.

O ósmej zamówił kawę i babeczki. Zdecydował, że nie będzie na razie dzwonić do szefa (na Zachodnim Wybrzeżu jest dopiero piąta rano, a on już miał jedno nocne budzenie). Postanowił za to skontaktować się ze Smythsonem w Londynie. Makler odebrał telefon w swoim biurze w budynku International Petroleum Exchange i z godną podziwu brytyjską powściągliwością oznajmił Jimmy'emu, że jeśli się nie myli, to właśnie wszystko się wali.

–Chaos, staruszk, kompletny cholerny chaos.

–Kupujący windują ceny?

–Kpisz czy o drogę pytasz? Kiedy otwieraliśmy dziś ten interes, każdy, kto się zajmuje handlem ropą, wiedział, że Saudyjczycy wypadli z gry. Na Boga, Jim! Widziałeś wiadomości. Porty stoją w ogniu, nabrzeża rozwalone, główna pompownia w Abkaik zniszczona, nawet rozdzielnia w Katif jest nie do naprawienia! Mówię ci, ktokolwiek to zrobił, znał się na robocie.

–Myślisz, że to sprawa wewnętrzna? Sprawcy są Saudyjczykami?

–Na to mi wygląda. Możesz sobie wyobrazić, jaka tu wszędzie panika. Dla ludzi pracujących pod tym dachem Abkaik, Katif, Janbu, Rabigh to słowa codziennego użytku. Wiemy, jakie mają znaczenie, i wiemy, że jakikolwiek problem z jednym z tych miejsc wystarczy, by wprowadzić zamieszanie w obrocie ropą na całym świecie. Atu padły wszystkie naraz! Cena saudyjskiej sweet crude właśnie przekroczyła osiemdziesiąt pięć dolarów. Wczoraj zamykaliśmy przy czterdziestu sześciu.

–Ustabilizowała się na tym poziomie? – spytał Jimmy.

–Czekaj... Nie, już jest osiemdziesiąt sześć.

–Co z tego wyniknie?

–Tego nikt nie wie, przynajmniej dopóki Saudyjczycy nie wydadzą jakiegoś oświadczenia.

–A co z królem?

–Nie pisał ani słówka. Ich ambasador też. Nikt nie wie, co się dzieje, a to ma fatalny wpływ na rynek.

–No, ja ci też więcej nie powiem. Czekamy na wieści z naszej ambasady w Rijadzie, ale jak dotąd nic nie przyszło.

–Hej, właśnie mi coś zaświtało! – wykrzyknął Anglik. – Pamiętasz naszą rozmowę z listopada? O Francuzach skupujących przyszłe dostawy?

–Jasne.

–No więc miałem na tę sprawę oko i teraz wiem na pewno, że to byli oni. Co dziwne, nie kupili ani litra od Saudyjczyków, za to weszli mocno do Abu Dżabi i Bahrajnu. Trochę wzięli od Kataru i wielkie ilości z pól w Kazachstanie, choć tam jest znacznie drożej. Trudno nie mieć podejrzeń, co? Wynika z tego, że Francja jest jedynym graczem na rynku, któ-

rego ten kryzys specjalnie nie dotknie. Do tej pory zgarnęli, o ile wiem, około sześciuset

**milionów baryłek na następny rok, choć od dawien dawna mieli długoterminowe kontrakty z Aramco.**

**Odłożywszy słuchawkę, komandor Ramshawe długo siedział zamyślony.**

**Poniedziałek, 22 marca, godz. 15.00. Rijad**

**Pierwsze zamieszki po załamaniu się eksportu ropy zaczęły się w dzielnicy dyplomatycznej. Około pięciuset osób zebrało się przed ambasadą USA i obrzuciło ją kamieniami. Wartownicy z Korpusu Marines wycofali się za bramę i zaczęli przez megafony wzywać tłum do rozejścia się, grożąc użyciem broni. Wezwana na pomoc *matawwa*, policja religijna, sama znalazła się pod gradem miotanych przez rozjuszonych ludzi pocisków. Dowódca oddziału, przyzwyczajony do współpracy z Amerykanami, nalegał, by marines otworzyli ogień, ale ponad głowami zgromadzonych.**

**Demonstrujący nie wiedzieli za bardzo, dlaczego Stany Zjednoczone są obwiniane za potencjalny krach saudyjskiej gospodarki, a pierwsza salwa zza muru osiągnęła pożądany efekt. Większość tłumu rzuciła się do ucieczki, ale szybko się pozbierała i sformowała szyk na nowo, tym razem przed ambasadą brytyjską, głośno skandując hasło wygnania niewiernych. Teraz i kilku z ciżby zaopatrzyło się w broń i zaczęło • strzelać w powietrze; potem ktoś cisnął granat za ogrodzenie. Nikt nie ucierpiał, ale warta odpowiedziała ogniem bezpośrednim, raniąc czterech Arabów.**

**Policja religijna zwróciła się o pomoc do gwardii narodowej, tradycyjnie wiernej królowi; służyła mu z oddaniem i działała niezależnie od struktur dowodzenia armii lądowej. Gwardziści towarzyszyli monarsze wszędzie, dokądkolwiek się udawał. W Rijadzie stacjonowała elitarna jednostka, pułk gwardii królewskiej; niegdyś samodzielny, od 1964 roku przypisany do regularnej armii, ale podległy bezpośrednio królowi, z własnym systemem łączności i bardzo prostym credo: nieustająca lojalność wobec władcy. Ta właśnie nie-**

wielka, lecz dobrze wyszkolona siła przybyła teraz na odsiecz policji religijnej; wyposażona w broń lekką i transportery opancerzone, ruszyła do ataku na tłum i odparła go od zagrożonej ambasady. Ludzie szybko jednak się zebrali na nowo w okolicy węzła komunikacyjnego przy ulicy Al-Mather i pociągnęli ku głównej dzielnicy handlowej. Smok buntu rósł w siłę, ale nie bardzo wiedział, na kogo zionąć ogniem. Od rana wszyscy słyszeli w radiu i telewizji alarmujące doniesienia o „bankructwie kraju” i zniszczeniu jego źródła dochodów na wiele lat. Mieszkańcy stolicy po raz pierwszy w życiu odczuli strach przed biedą. Na dobitkę krótko przed godziną piętnastą gruchnęła wieść, że banki zamykają placówki i mogą ich nie otworzyć już do końca tygodnia.

Bank Saudyjsko-Brytyjski przy szerokiej arterii Króla Fajsala jest jednym z największych gmachów w mieście. Teraz jego zamknięte na głucho drzwi sprowokowały tłum do ataku. Demonstranci zgromadzili się na ulicy, zatrzymując ruch i strzelając w powietrze z pistoletów i strzelb, a w końcu ruszyli ku wejściu. Policja była bezsilna – miała przeciwko sobie co najmniej tysiąc ludzi, gotowych siłą włamać się do banku. Oficerowie gorączkowo dzwonili z telefonów komórkowych do dowództwa straży pałacowej, błagając o wsparcie gwardii. Pomoc jednak nie nadeszła. O szesnastej czterdzieści pięć czwórka młodych Saudyjczyków staranowała wielką śmieciarką masywne wrota gmachu i wjechała do środka. Rozdzwoniły się alarmy, opadły kraty i stalowe zapory chroniące halę kasową i skarbiec, ale tłum był już w środku. Niepowodzenie tylko rozjuszyło ludzi; palba pistoletowa się wzmożła, rzucono nawet uzyskane od wojskowych lojalnych wobec księcia Nasira granaty, nie zważając na własne bezpieczeństwo.

Nic nie wskórawszy w banku, motłoch zajął się zaparkowanymi w pobliżu samochodami, przewracając je do góry kołami i podpalając. O osiemnastej sytuacja wyglądała już bardzo źle, głównie dlatego, że demonstranci nie mieli żadnego realnego obiektu, na którym mogliby wyładować swą furję. Wiedzieli tylko jedno: ktoś zniszczył jedyne źródło bogactwa ich kraju, a władca okazał się bezsilny – nawet nie przemówił do narodu. Wyglądało to tak, jakby rodzina królewska

postanowiła zabarykadować się w pałacu i przeczekać czas kryzysu.

Z zapadnięciem zmierzchu zaczęła się grabież. Uzbrojeni w siekiery i młoty mężczyźni napadali na ekskluzywne sklepy, nic sobie nie robiąc z wyjących alarmów. Kradli, co się dało, a potem podkładali ogień. W saudyjskiej stolicy nastąpiła noc bezprawia. Dopiero około dwudziestej pierwszej gwardia narodowa zaczęła z wolna odzyskiwać kontrolę. Wielu demonstrantów rozeszło się już do domów z łupem, czasem bardzo cennym; policja i patrole gwardzistów dokonywały sporadycznych aresztowań, ale przede wszystkim chodziło im o zabezpieczenie wielkich, luksusowych hoteli w centrum miasta, jak „Al Bathaa”, „Safari” i „Azjatycki”, w których personel zamknął się wraz z gośćmi jak w fortecach.

Pośrodku tego chaosu pułkownik Jacques Gamoudi w towarzystwie trzech ochroniarzy z Al-Kaidy objeżdżał miasto jeepem, obserwując wszystko uważnie i robiąc notatki. Co pół godziny dźwięczał sygnał jego telefonu komórkowego i jeden z pięciu operujących w mieście francuskich agentów meldował o aktualnej sytuacji. *Le Chasseur* był chyba najlepiej poinformowanym człowiekiem po obu stronach barykady, co nie znaczy, że najspokojniejszym. Uważał, że sprawy toczą się za szybko. Nasir wielokrotnie zapewniał go, że ludzie wyjdą na ulice, gdy tylko pojmą, że zagrożone są podstawy ich egzystencji, albowiem król nie ma już dla nich pieniędzy.

Sam monarcha był głównym trybem w maszynie państwowych finansów, ale innym istotnym czynnikiem wpływającym na ich kondycję są wydatki ponoszone na rzecz ludności. Dziewięćmilionowy naród przywykł do nabywania dóbr konsumpcyjnych za przysługujące każdemu obywatelowi roczne stypendium w wysokości siedmiu tysięcy dolarów. To właśnie te sześćdziesiąt trzy miliardy napędzały wielki komercyjny mechanizm, a trzeba do tego dodać ogromne koszty socjalne. Saudyjczycy mieli się dobrze: bezpłatna edukacja i ochrona zdrowia, nieoprocentowane kredyty mieszkaniowe, tania energia, telefony, wodociągi, krajowe połączenia lotnicze i oczywiście benzyna. Teraz zaś nikt nie wiedział, co będzie.

Najbardziej dotkniętą grupą społeczną była jednak bez

wątpienia rodzina królewska. Tysiące pływających się dotąd w luksusie książąt miało najwięcej do stracenia. Podczas audiencji u prezydenta Francji poprzedniego lata książę Nasir w swej tyradzie przeciwko rozrzutności i niemoralności panującego rodu ukazał tylko wierzchołek góry lodowej. Prawdziwy wymiar tej historii był znacznie większy, chciwość i zepsucie królewskich krewnych bowiem nie miały granic. Na porządku dziennym było wśród nich przyjmowanie łapówek od wielkiego biznesu, przejmowanie nieruchomości za bezcen dzięki koneksjom, a czasem i zawołanym groźbom, manipulowanie instytucjami rządowymi dla własnych korzyści, a nawet po prostu wyłudzenie od banków dużych pożyczek, których nikt potem nie spłacał. Dla tych, którzy cierpieli przez poczynania rodziny rządzącej, jawiła się ona jako zaklęty krąg nie do przebiccia; nikt, kto prowadzi interesy w Arabii Saudyjskiej, nie ośmieliłby się protestować, nie chcąc ryzykować gniewu króla i jego doradców. To monarcha miał pieniądze, a więc siłę – armia przysięgała lojalność wobec niego, a nie państwa.

Pieniądze były jednak w bankach. Dziś zamknęły one podwoje, a nad ich przyszłością w tym kraju zawisł wielki znak zapytania. Pierwszego dnia rozruchów natychmiast rzucono się do kas – kupcy, biznesmeni i co bystrzejsi ze zwykłych obywateli usiłovali w porę wycofać swoje fundusze. W parę godzin zaczęła się kończyć gotówka. O piętnastej Bank Saudyjsko-Amerykański zmuszony był pójść w ślady Saudyjsko-Brytyjskiego i zakończyć pracę, nie tylko zresztą w Rijadzie, lecz także w Dżeddzie i Taif, a i inne banki wzięły z nich przykład. W tej sytuacji coraz więcej książąt decydowało się brać nogi za pas. Jeszcze daleko było do wieczora, kiedy z lotniska imienia Króla Chalida śmignęły w niebo pierwsze prywatne odrzutowce; ludzie na wysokich stanowiskach szybko się zorientowali w rozmiarach finansowego kryzysu, przed jakim stanęło królestwo. Od samego rana na rachunki we Francji, Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych przelewano wielkie sumy; całe rodziny szykowały się do wyjazdu, a na drogach prowadzących do granicy z Syrią i Jordanią zapanował wzmożony ruch. A przecież prawdziwe kłopoty jeszcze się nawet nie zaczęły.

Pułkownik Gamoudi kontynuował objazd stołecznych ulic, wyczuwając narastające z każdą chwilą napięcie. Był pewien, że lada moment ta beczka prochu może wybuchnąć; nieustanny sygnał alarmowy w jego głowie jakby wtórował dźwięczącym w strzaskanych portalach wielkich banków dzwonkom i syrenom. Widział teraz dwa zagrożenia dla planu księcia Nasira: po pierwsze, rozjuszony tłum może spalić całe miasto, a po drugie, król musiał rozważyć, czy nie wezwać wojska z okolicznych garnizonów dla przywrócenia porządku, jeśli sytuacja się szybko nie poprawi. Armia wciąż była lojalna wobec monarchy i taka jego decyzja obróciłaby wniwecz operację księcia Nasira. Choćby Gamoudi miał tysiące rebeliantów, anarchistów i bojowników z Al-Kaidy, garstka czołgów i wozów bojowych nic by nie wskórała przeciwko zmasowanym saudyjskim siłom zbrojnym. Pułkownik wiedział, że nie może czekać z atakiem do czwartku czy piątku. Wszystko działo się o wiele szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Polecił kierowcy wracać do bazy w Diraiji, a znalazłszy się na miejscu, zarządził odprawę sztabu na godzinę dwudziestą drugą. Sam zaś wziął telefon i ruszył poza obręb murów, starym szlakiem wielbłądzim na pustynię. Szedł szybkim marszem przez dziesięć minut i dopiero kiedy się upewnił, że znikąd nie dobiega żaden dźwięk, wybrał poufny numer w Commandement des Operations Speciales w Taverny pod Paryżem. Rozmowa prowadzona była w uzgodnionym kodzie.

–Chciałbym rozmawiać z kustoszem.

–Przy aparacie.

–Ta impreza rozkręciła się szybko i wymyka się spod kontroli. Myślę, że trzeba ruszyć przynajmniej o dzień wcześniej, jeśli nie o dwa. Proszę o pozwolenie postępowania według mojego uznania.

–Pozwolenie udzielone. Zostawiam też panu sprawy naszych przyjaciół z południa.

Na tym dwudziestosekundowa konwersacja się urwała. General Jobert odłożył słuchawkę; tysiące kilometrów na południowy wschód od Paryża pułkownik Gamoudi wcisnął guzik rozłączenia i wolnym krokiem wrócił do swego namiotu. Musiał tam zadzwonić, bo tego absolutnie wymagała sytuacja. Teraz sam mógł decydować o dalszym przebiegu wydarzeń

**i, w samej rzeczy, o losach tajnego sojuszu francusko-arab-skiego. Nawiązanie łączności ze sztabem było jednak ryzykowne i Gamoudi dobrze o tym wiedział, wystukując numer na klawiaturze komórki.**

**Tego samego dnia, o tej samej porze. Jednostka nasłuchu radiowego na Cyprze**

**Jednostka Wywiadu Elektronicznego, utrzymywana wspólnie przez trzy rodzaje wojsk, ulokowana jest wśród niskich wzgórz otaczających miasteczko Ajos Nikolaos, na północ od eksterytorialnej bazy wojskowej w Dekelii, na południowo-wschodnim wybrzeżu Cypru. Tu, gdzie Wschód się spotyka z Zachodem, na wyspie strategicznie położonej pośrodku półkola tworzonego przez brzegi Turcji, Syrii, Izraela i Egiptu, brytyjskie służby specjalne założyły centrum przechwytywania sygnałów satelitarnych, rozmów telefonicznych i transmisji radiowych wychodzących z całego Bliskiego Wschodu, od Libii przez Egipt, Jordanię, Arabię Saudyjską po Irak i Iran. W JWE pracuje śmietanka specjalistów łączności i elektroniki, w większości wywodzących się z wojsk lądowych. Operatorzy ośrodka, świetnie wyszkoleni lingwiści, prowadzą nieustanny nasłuch, przez całą dobę monitorując ruch w eterze, sieci telefonicznej i Internecie: faksy, telefony, pocztę elektroniczną, szyfrowane depesze w przeróżnych językach i dialektach. Większość tych danych zapisywana jest na taśmach dla późniejszej analizy, ale szczególnie interesujące rozmowy są wychwytywane od razu i tłumaczone na bieżąco. Placówka jest bezcennym atutem dla brytyjskiego wywiadu, a dzięki dobrej współpracy rządów obu krajów, także dla amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Organizacyjnie podlega Głównemu Zarządowi Łączności Rządowej w Cheltenham, w hrabstwie Gloucestershire. Właśnie w Ajos Nikolaos po raz pierwszy namierzono sygnały z polowych radiostacji terrorystów Osamy bin Ladena w odległym Afganistanie. Nic dziwnego, że Amerykanie z NSA uzyskiwanymi informacjami chętnie dzielą się z Cheltenham.**

**Tego poniedziałku w JWE panowało istne pandemonium –**

**po zniszczeniu saudyjskiego przemysłu naftowego w całym świecie arabskim łącza telefoniczne i internetowe pracowały na granicy pojemności. Był to chyba najgorętszy dzień od czasu, gdy egipska 2. armia przerwała izraelską obronę na linii Bar Lew w 1973 roku. Dopiero teraz, kiedy w Rijadzie zamieszki z wolna gasły, a firmy skończyły pracę, wezbrany strumień krzyżujących się we wszystkich mediach informacji zaczynał opadać. Kapral Shane Collins, dwudziestoosmiolet-ni łącznościowiec z jednego z brytyjskich pułków pancernych, siedział przed ekranem komputera na swoim stanowisku w pokoju operacyjnym, wsłuchując się w rozmowy prowadzone najczęściej w języku arabskim. Nalał sobie właśnie pierwszy tego wieczoru kubek kawy, kiedy z głośnika popłynęły słowa, które od razu przykuły jego uwagę. Pochylił się ku konsoli; niczego nie zapisywał, słuchał tylko z napięciem – rozmowa i tak była**



automatycznie rejestrowana. Dwaj mężczyźni rozmawiali po francusku i ewidentnie był to dla nich język ojczysty. *Le conserveur? La fête? En avance?* Kapral wcisnął guzik „Odtwórz ponownie” i starannie przepisał wszystko słowo w słowo, dodając własne uwagi o lakoniczności wypowiedzi, braku osobistych powitań, a nawet wzajemnej identyfikacji rozmówców. Znał trochę francuski, ale nie na tyle, żeby mieć pewność. Wystukane na komputerze kilka zdań przesłał do sekcji tłumaczeń na innym piętrze. Pięć minut później czytał już całą transkrypcję, mrużąc pod nosem: „Impreza się rozkręciła... spod kontroli... ruszyć szybciej... pozwolenie postępowania... udzielone... zostawiam też sprawy... z południa”. Collins nie mógł wyśledzić, skąd dzwoniło, ale niezwłocznie zameldował oficerowi dyżurnemu, że przechwycił podejrzaną rozmowę przez łącze satelitarne. Zapoznawszy się z jej treścią, kapitan zgodził się z tą opinią i niewiele myśląc, przekazał ją dalej, prosto do centrali w Cheltenham dla szczegółowego zbadania. Była dwudziesta trzydzieści; w Rijadzie o godzinę później, w Anglii o dwie wcześniej.

Wydział Bliskiego Wschodu mieści się głęboko w podziemiu gmachu Sztabu Łączności Rządowej, z racji kolistego kształtu i okrągłego wewnętrznego dziedzińca nazywanego „Obwarzankiem”. Dyżurny natychmiast po *ujawnieniu* sygnału uaktywnił śledzenie przechwyconej rozmowy, usiłując odszu-

kać miejsce, skąd dzwoniono. Komputer wyrysował na elektronicznej mapie linię łamaną, ciągnącą się od Cypru przez Liban, Syrię na południe od Damaszku i Jordanię do Arabii Saudyjskiej, urywającą się gdzieś na pustyni Rub al-Chali. W jakimś jej punkcie nieznany Francuz wybrał numer... nie wiadomo czyj. Następnie operator uruchomił podobną procedurę dla innego ośrodka nasłuchowego, w nadziei że tam też zarejestrowano tę samą rozmowę i przecięcie obu linii da mu pozycję dzwoniącego. Nikt nie był zaskoczony, kiedy placówka w północno-wschodniej Afryce dostarczyła niezbędne dane. Obie linie przecięły się w punkcie odległym o trzydzieści kilometrów na północ od Rijadu. Analitycy z Cheltenham wzięli się do pracy. Komputery wykonały biliony operacji w ciągu pięciu minut i ustaliły, że nie jest to szyfr, ale raczej zawołany sygnał. Tożsamość „Kustosza” pozostawała tajemnicą, ale specjaliści nie mieli wątpliwości, że rozmowa miała podtekst militarny. Kapral Collins wyczuł to instynktownie, potwierdził to jego przełożony, a kropkę nad i postawili spece z centrali: to jest przykład komunikatu wojskowego. Żadnego dzień dobry ani do widzenia; jedna informacja... „ impreza wymyka się spod kontroli” ... jedno pytanie... „można ruszać wcześniej” ... i konkretna odpowiedź... „Pozwolenie udzielone”. Tylko dokąd? O jaką chodzi „imprezę”? Czy to ma związek z tym, co się właśnie dzieje w Rijadzie? Jeśli tak, to kto chce się włączyć do gry? Czyżby przypadkiem wpadli na trop sztabu Al-Kaidy?

Brytyjscy oficerowie wywiadu łamali sobie nad tym głowy przez cały dzień. Jeśli to Al-Kaida, jaki może mieć motyw? Przez ostatnie piętnaście lat otrzymała od Arabii Saudyjskiej prawie pół miliarda dolarów. Dlaczego miałyby już nawet nie kęsać, ale ucinać karmiącą ją rękę? Większość członków organizacji to Saudyjczycy; najwięcej ich było wśród terrorystów z 11 września 2001 roku, a jak głosi plotka, tej narodowości są wszyscy więźniowie przetrzymywani przez Amerykanów w Guantanamo.

Jeśli zaś nie Al-Kaida, to kto? Tożsamość i motywy sprawców saudyjskiego kataklizmu były dla analityków z Cheltenham nieodgadnione, nie umknęła im jednak waga przechwyconego przez Collinsa materiału. O dwudziestej drugiej

przekazali go kolegom z Fort Meade. W Waszyngtonie była siedemnasta. W pokoju operacyjnym NSA panował ożywiony ruch i napięcie, ale informacji na temat kryzysu w Arabii Saudyjskiej było szokująco mało. Nikt ani przez chwilę nie brał poważnie możliwości obcej ingerencji; wszystko wciąż wskazywało na to, że to sprawa wewnętrzna królestwa. Ktoś z niewiadomych pobudek podłożył bomby i w jednej chwili wysadził w powietrze cały interes. Jeżeli tak się istotnie zdarzyło, to działanie było wymierzone przeciwko królowi i jego rodzinie. Ani w CIA, ani w NSA, ani w Pentagonie nie było człowieka, który by podał choćby jeden sensowny powód podjęcia takiej akcji przez którekolwiek państwo. Saudyjska ropa naftowa jest najłatwiej dostępna dla światowych nabywców i dla większości krajów nie do pomyslenia byłoby jej zniknięcie z rynku. Import z Arabii pokrywa aż jedną piątą paliwowych potrzeb Stanów Zjednoczonych. Bez dostaw z Janbu czy Ras Tannury stanęłyby samochody, pociągi i samoloty w całej Francji.

Komandor porucznik Ramshawe nie mógł się jednak uwolnić od dziwnego przeczucia. Coś w tym wszystkim było nie tak. Strawił większą część dnia na wygrzebywaniu danych o saudyjskim systemie obrony instalacji naftowych – a było w czym szperać. Każda z wielkich konstrukcji czy instalacji – stacje pomp, terminale załadunkowe, rafinerie, sztuczne wyspy – była dobrze strzeżona. Według specjalistów z wydziałów bliskowschodnich CIA i FBI, nie dałoby się do nich nawet podejść, zwłaszcza lądem i z bagażem trotylu niezbędnym do ich zniszczenia. A od strony morza? Z wykorzystaniem płetwonurków... SEALs potrafiliby czegoś takiego dokonać, Brytyjczycy też. Rosjanie prawdopodobnie... Francuzi być może... Chińczycy raczej nie... a już na pewno nie Saudyjczycy, nie posiadający okrętów podwodnych ani zdolnych do takich akcji morskich sił specjalnych.

Jimmy nie mógł znaleźć żadnego logicznego wytłumaczenia. Nawet gdyby przyjąć, że saudyjska marynarka nagle powstała przeciwko własnemu monarsze, to jak wyjaśnić równoczesne zniszczenie położonego w głębi lądu rurociągu, stacji pomp numer jeden i Abkaik, największego kompleksu przetwórczego na Bliskim Wschodzie, zbudowanego na bezludziu

i otoczonego stalowym kordonem zbrojnej straży? Jeżeli to rzeczywiście była sprawa samych Saudyjczyków, to rozmiar spisku musiał być imponujący. Poza tym gdzie szukać motywu? Taki numer mogliby wykreślić chyba tylko zwariowani fundamentaliści dążący do finansowej śmierci własnego kraju. Saudyjczyków trudno zaś uważać za głupców. Jimmy kliknął kilka razy myszą, przywołując z pamięci komputera sprawdzane już wcześniej dane o królewskiej gwardii narodowej, niezależnej od dowództwa armii siły, której specjalnym zadaniem było ochraniać zakłady naftowe we wschodniej prowincji. Dokładnych informacji władze saudyjskie nie podawały, wiadomo jednak, że do strzeżenia blisko dwudziestu tysięcy kilometrów rurociągów łączących kilkadziesiąt pól naftowych, rafinerii i terminali odkomenderowano tysiące żołnierzy, których dowództwo ściśle współpracuje z Aramco -firmą o silnych powiązaniach amerykańskich, tak pod względem finansowym i technologicznym, jak i militarnym. Tych ludzi nie można lekceważyć, snuł rozważania Ramshawe. Gromadka dywersantów miałaby się przemknąć między batalionami strażniczymi, ominąć patrole, czujniki laserowe, specjalnie tresowane psy... a potem jeszcze podłożyć kilkanaście bomb, zsynchronizować ich zapalniki... i to w tylu miejscach naraz, na obu wybrzeżach i pośrodku pustyni? Dajcie spokój! To po prostu śmieszne. Gwardia narodowa jest za silna, żeby do czegoś podobnego dopuścić. Szefowie Aramco zdają sobie sprawę z zagrożenia i wiedzą, jak się przed nim chronić. Mają do dyspozycji czołgi, działa, rakiety i całe siły powietrzne. Nie, to nie do przyjęcia...

Dla Jimmy'ego sedno sprawy leżało w samej liczbie zaatakowanych celów. Tylu strażników i żaden niczego nie zauważył? Żadnego ostrzeżenia czy alarmu, ani jednego błędu ze strony agresorów? Banda Beduinów w prześcieradłach miałaby puścić z dymem jedną czwartą światowej podaży ropy i nie wzbudzić po drodze niczyich podejrzeń? Niemożliwe! To nie była akcja terrorystów, ale operacja wojskowa!

Zegar ścienny wskazywał siedemnastą trzydzieści, kiedy ktoś zapukał do drzwi biura komandora. Oficer dyżurny przyniósł kopie paru zakodowanych depech z Cheltenham; na specjalne zamówienie Jimmy'ego sekcja międzynarodo-

wa zbierała wszelkie materiały, jakie mogłyby rzucić choć promyk światła na saudyjską lamigłówkę, i dostarczała mu je dwa razy dziennie w postaci wydruków. Można je było znacznie szybciej przejrzeć na monitorze, ale Ramshawe wolał mieć wszystko czarno na białym. Popatrzył na pierwszy arkusz i stracił zainteresowanie. Wiedział, że są ułożone według hierarchii ważności; na pierwszy rzut oka nie zobaczył zaś nic szczególnie ekscytującego w tym, że ktoś zamierzał się przyłączyć do wcześniej rozpoczętej imprezy. Po chwili jednak dostrzegł komentarze brytyjskiego oficera, który dopatrywał się w przechwyconej rozmowie kontekstu militarnego. To wystarczyło, by Jimmy zmienił zdanie. Potem zauważył, że łączność nawiązano z telefonu komórkowego zlokalizowanego o trzydzieści kilometrów od Rijadu, co jeszcze bardziej go zaciekało; po takim dniu wszystko, co się wiązało z arabską stolicą, było bardzo interesujące. Jednak prawdziwy dreszczyk emocji poczuł dopiero wtedy, gdy przeczytał, że rozmówcy posługiwali się czystym francuskim. Młody Ramshawe zaszedł tak wysoko w NSA głównie dlatego, że szybko kojarzył fakty.

–Coś tu śmierdzi – oznajmił czterem ścianom swego biura. – Francuz dzwoni z pustyni do kustosa... czego? Muzeum Wojskowego?

Jimmy widział w życiu dość komunikatów wojskowych, by umieć rozpoznać ten „gatunek literacki”. Kustosz? To musi być kryptonim. I to pytanie... „Proszę o pozwolenie postępowania”? Nigdzie poza armią nie używa się takiego języka! A jeszcze odpowiedź... „Pozwolenie udzielone”... Niech mnie szlag. Równie dobrze mógłby się podpisać „General de Gaulle”. To byli wojskowi, nie ma wątpliwości. Spryciarze Angole mogli tu wpaść na coś wartościowego. Może nie są aż tak durni...

Jimmy nie wiedział tylko, komu zgłosić swoje przemyślenia. Admirał Morris wciąż był w San Diego, niewykluczone że na próbach morskich lotniskowca, a na pewno nie należało mu zawracać teraz głowy. Zwłaszcza takimi niedosmażony-mi spekulacjami. Zastanawiał się nad tym przez kilkanaście minut, zanim uznał, że jest tylko jedna osoba, której chciałby podrzucić ten problem. Tak, to coś w sam raz dla niego. Ko-

mandor podniósł słuchawkę i wystukał domowy numer emerytowanego Lwa Zachodniego Skrzydła, admirała w stanie spoczynku Arnolda Morgana.

–Morgan. Mów.

–Witam, sir. Tu Jimmy Ramshawe. Ma pan minutkę? – Nie bardzo... Właśnie wychodzimy, więc się streszczaj. Jimmy wrzucił mentalnie wyższy bieg. Przykuć uwagę

admirała jednym zaskakującym zdaniem czy wprowadzić go w temat powoli... ryzykując, że się znecierpliwi i każe mu przyjść z tym kiedy indziej? Próg znudzenia Morgana był zawsze raczej niski... A więc z grubej rury.

–Sir, uważam, że jest najzupełniej prawdopodobne, iż

z powodów znanych tylko sobie Francja właśnie wysadziła

w powietrze saudyjskie pola naftowe.

W słuchawce usłyszał krótkie prychnięcie, a po nim pytanie:

–Stopień prawdopodobieństwa?

–Na tym etapie około jednego procenta, panie admirale.

–Ach, w takim razie powinniśmy chyba zrzucić na nich atomówkę... W tym tygodniu czy w następnym?

–Sir, do pana wiadomości, usiłuję tu poskładać coś w sensowną całość. Nie mam jednak z kim o tym porozmawiać. Wie pan, pewnie, że admirał Morris jest w Kalifornii. Mam kilka nowych informacji, które bardzo bym chciał panu pokazać.

–W porządku, Jimmy. Powiem ci, co zrobimy. Kathy i ja mamy dzisiaj gości. Może wpadniesz na deser? Gdzieś koło dziesiątej, w „Le Bec Fin” w Georgetown. Znasz to miejsce?

Jimmy przyjąłby zaproszenie Wielkiego Człowieka nawet na sajgonki z ulicznego straganu, a cóż dopiero do najlepszej francuskiej restauracji w okolicy.

–Wspaniała propozycja, sir. Nie będzie pan żałował.

–Czyżby?

–No, tak myślę, choć powiedziałem to głównie dlatego, żeby pan nie zmienił zdania...

Odłożywszy słuchawkę, komandor wrócił do nie dającej mu spokoju rozmowy przechwyconej na drugim końcu świata przez kaprala Collinsa. „Pozwolenie udzielone”. Na co?

–Ciekawe, co się tam, u diabła, ma jeszcze wydarzyć? –

powiedział głośno do siebie. – My nie wiemy, ale ktoś wie.

Poza tym co to za cholerni przyjaciele z południa?

197

Postanowił skrócić sobie dwunastogodzinny dyżur, pójść coś zjeść i trochę się przygotować na wieczór z państwem Morganami. Kiedy już wyruszył w stronę Georgetown, korek na obwodnicy był tak duży, że Jimmy był już dziesięć minut spóźniony, zanim jeszcze zaczął wypatrywać miejsca do zaparkowania. Zatrzymał się pod wejściem do restauracji i zawołał do odźwiernego:

–Chyba się nie minąłem z admirałem Morganem?

Człowiek w liberii pokręcił głową i dał Jimmy'emu znak,

by wysiadł.

–Zajmiemy się samochodem, sir – oznajmił. – Rozkaz ad

mirala.

*Maitre d'hôtel* zaprowadził Ramshawe'a do stolika Morganów. Kathy, cudowna jak zawsze, miała szmaragdowozieloną suknię, z którą pięknie harmonizowały jej długie, rozpuszczone włosy. Goście najwyraźniej już poszli; stół był sprzątnięty i leżały na nim trzy karty deserów, czekała też butelka Chateau Coutet. Admirał nalał wino i podsunął Jimmy'emu kieliszek. Młody Australijczyk zwrócił z aprobatą uwagę, że admirał wybrał rocznik 1995. Wypił mały łyk, przymknął oczy i rzekł:

–Dziękuję, sir. Już dla tej chwili warto było się panu narzucać.

–Cała przyjemność po mojej stronie, Jimmy. Skoro chcesz oskarżyć i zgilotynować wielką republikę Francji, pomyślałem sobie, że wypadają godnie pożegnać jej własnym porządnym trunkiem.

–Ma pan absolutną rację! – Ramshawe się roześmiał. – Żabojady to zdradzieckie cwaniaki, ale wiedzą, co robić z winogronami.

Kathy posłała mu życzliwy uśmiech. Młodemu oficerowi do twarzy było z tą australijską rubasnością, podobnie jak jej mężowi z jego szorstką ironią. Przyszło jej na myśl – nie po raz pierwszy – jacy oni są do siebie podobni. Jak dwóch profesorów ze sposobem myślenia Ala

Capone... czy raczej, w wypadku Jimmy'ego, Neda Kelly'ego. Uznała, że dalsza część wieczoru na pewno nie będzie nudna, w czym była zgodna z Arnoldem.

–Hmm... Jak już panu powiedziałem, prawdopodobień-



stwo mojej wersji oceniam na jeden procent. – Jimmy przeszedł od razu do rzeczy. – Ale to nie jest strzał na oślep, jestem na pewnym tropie. Pamięta pan, jak w listopadzie się zorientowaliśmy, że któryś z krajów europejskich nagle i bez widocznej przyczyny zaczął skupować przyszłe dostawy ropy naftowej. Znawczy zagadnienia sugerowali wtedy, że może chodzić o Francję, co się w późniejszych miesiącach potwierdziło. Dzisiaj się dowiedziałem, że Francuzi zakupili ponad sześćset milionów baryłek. Część w Abu Dżabi, trochę w Bahrajnie i Katarze, a na dodatek sporo w Kazachstanie. Ich prawo. Zaopatrzyli się z nadwyżką na cały następny rok. Ale co dziwne, nie kupili ani litra od swych starych kumpli i stałych dostawców, Saudyjczyków. Dlaczego? Jeśli ktokolwiek potrzebuje więcej ropy, udaje się po nią właśnie do Arabii, która ma jej więcej niż każde inne państwo, a w dodatku przy wielkich rządowych kontraktach jest ona tam najtańsza. Francuzi jednak woleli zamówić dostawy gdzie indziej. I nagle dzisiaj ktoś wysadza w powietrze cały saudyjski przemysł naftowy. Cały świat w panice, tylko jeden kraj nic sobie z tego nie robi... Francja właśnie. Bo zabezpieczyła sobie rynek wcześniej. Dla mnie jest jasne, że oni musieli wiedzieć zawczasu o tym, co się ma wydarzyć. To byłby zbyt wielki bieg przedziwnych okoliczności.

Arnold Morgan skinął w milczeniu głową i ponownie napełnił kieliszki.

–A potem... – ciągnął Jimmy – Czego się dowiadujemy? Najbardziej poszukiwany bliskowschodni terrorysta na świecie, sam dowódca Hamasu, były major Ray Kerman, zostaje namierzony przez Mosad podczas jakiegoś tajnego spotkania w Marsylii, na które został z honorami dowieziony przez rząd francuski z przesiadką w Taverny, kwaterze głównej sił specjalnych żabojadów, i potem równie potajemnie wyekspediowany do domu. Francuskie służby specjalne kłamały potem w żywe oczy, odpowiadając na nasze pytania o zdarzenia owej nocy... strzelaninę w restauracji i tak dalej. Pytam więc, co ów oberterrorysta robił na pieprzonej francuskiej Riwierze? Musiał mieć ich zgodę i ochronę... To stuprocentowo pewne. I tak dochodzimy do mojego ostatniego punktu. Angole z Cypru nagrali pewną rozmowę telefoniczną, ewidentnie o cha-

rakterze wojskowym, jak się pan zaraz przekona. Jakiś żabojad dzwonił do innego żabojada z arabskiej pustyni niemal tuż za rogatkami Rijadu. I co o tym myśleć? Z kim konkretnie jadł akurat żaby major Kerman, kiedy w powietrzu zaczęły fruwać izraelskie kule? I gdzie teraz przebywa? No i czy to wszystko nie świadczy o tym, że Francuzi muszą być w jakiś sposób zamieszani po pachy w cały ten saudyjski bałagan?

Cała trójka w zamyśleniu siedziała nad ledwo tkniętym deserem, popijając wino.

–Jimmy, nie słyszałem nic od nikogo, co by sugerowało, że ataku na saudyjskie instalacje mógł dokonać ktoś inny niż sami Arabowie. – Morgan pokręcił głową. – Być może Al-Kai-da, ale na pewno to robota Saudyjczyków.

–Oni nie mogli tego zrobić, sir. Studiowałem ten temat cały dzień. Po prostu nie mogli. Chyba że w całym kraju wybuchła rewolta z udziałem armii i gwardii narodowej. Inaczej byłoby to niewykonalne.

–Dlaczego?

–Dlatego, że gwardia, której racją bytu jest ochrona króla i jego ropy, to siła licząca tysiące żołnierzy, uzbrojonych po zęby i doskonale opłacanych. Mają czołgi, transportery, artylerię, zapewnioną współpracę wojsk powietrznych. Wszystkie instalacje są też dobrze chronione technicznie... systemy alarmowe, lasery, oświetlenie, patrole, psy policyjne. Saudyjczycy nie są głupi, znają wartość swojego majątku i zabezpieczyli go najlepiej, jak umieli. Może mi pan wierzyć, wszystko sprawdziłem.

–Mów dalej – zachęcił go Morgan.

–Popatrzmy na straty. Zniszczone zostały dwa wielkie porty załadunkowe na Morzu Czerwonym i trzy rafinerie. Na wschodnim wybrzeżu to samo. W powietrze wyleciały dwa najważniejsze terminale, naftowy i gazowy, a poza tym główna rozdzielnia w Katif... przepływała przez nią cała ropa z prowincji wschodnich... stacja pomp numer jeden obsługująca rurociąg do Janbu... W ogniu stanął cały kompleks w Abkaik, położony na środku pustyni. Wszystko to w odstępie zaledwie paru minut. Absolutną precyzją działania, jaką trudno powiązać z bandą turbaniarzy z bombami na brzuchach. To była operacja militarna. Nie zadziałał ani jeden

alarm, nikt nie popełnił najmniejszego błędu, nikt się nie dał przyłapać. Co zaś najbardziej mnie zdumiewa, to jak ktokolwiek mógł się zbliżyć do Abkaik albo stacji pomp na płaskiej pustyni. Tam się nie ma gdzie kryć, teren jest pod obserwacją radarową i strzeżony przez setki żołnierzy. Nie wiem, jak to się im udało, ale na pewno nie zrobił tego jakiś spryciarz z paroma laskami dynamitu. To była robota armii.

–Albo marynarki – mruknął admirał.

–Sir? – Jimmy nie mógł się doczekać, kiedy z ust Morgana padną słowa, które nie po raz pierwszy dowiodą, że obaj nadają na tych samych falach.

–Gdybym to ja chciał rozpieprzyć te cele, posłałbym pletwonurków z okrętu podwodnego, żeby założyli bomby zegarowe w portach, a potem ostrzelałbym resztę rakietami spod wody.

–To tak jak ja, sir. Tylko że Saudyjczycy nie mają pod-wodniaków, musiał więc to zrobić ktoś inny. I ja myślę, że tym kimś była Francja.

–Gdyby istniał choć cień motywu, przyznałbym ci rację, Jimmy. Za nic nie mogę jednak pojąć, dlaczego ktokolwiek chciałby zrobić coś podobnego. Być może coś jednak się wyjaśni w najbliższych dniach.

–Święta racja, szefie! – skwapliwie rzucił Ramshawe. – Nie zapominajmy o żabojadzie z pustyni, który chce wcześniej ruszyć na imprezę.

## ROZDZIAŁ 7

Światowy kryzys paliwowy uderzył z całą mocą rano we wtorek 23 marca. Zaraz po otwarciu międzynarodowej giełdy naftowej w Londynie cena Brent Crude, globalny wyznacznik rynkowy, strzeliła w górę do osiemdziesięciu siedmiu dolarów za baryłkę – oznaczało to prawie dwukrotną podwyżkę w stosunku do ceny zamknięcia z poprzedniego piątku. Było to wydarzenie bez precedensu; nawet w dniu inwazji Saddama Husajna na Kuwejt w 1990 roku Brent Crude nie przekroczyła progu siedemdziesięciu dolarów. Nie zanosilo się zaś na to, że trend się zmieni. Wielcy gracze kupowali przyszłe dostawy, płacąc każdą żądaną sumę. Wszystkie największe korporacje, których byt zależał od paliw – przewoźnicy lądowi, lotniczy i morscy, koncerny energetyczne i przemysł petrochemiczny – stanęły w obliczu największego zagrożenia swej działalności.

O dziesiątej wznowiono transakcje na rynku gazu ziemnego, a ostatnim obrazem, jaki maklerzy ujrzeli na ekranach telewizorów przed wyjściem do pracy, była płonąca nad resztkami konstrukcji terminalu w Ras al-Dżuajmie pięć-dziesięciometrowa pochodnia z piekła rodem, dzieło – o czym oczywiście nikt nie wiedział – komandora Jules'a Ventury z francuskiej

**marynarki wojennej. Dla ludzi w czerwonych szelkach był to czytelny sygnał, że Arabia Saudyjska utraciła potencjał eksportu gazu w dużych ilościach. Kiedy w IPE rozbrzmiał pierwszy dzwon, parkiet zamienił się w arenę. Ludzie pchali się jeden przez drugiego, potracali, przekrzykiwali, byle tylko ich usłyszano. „Plus dwa!... Plus cztery!... Plus sześć!”... Normalnie liczby te oznaczały centy, a fluktuacja cen zamykała się ostatecznie w granicach od dwudziestu do trzydziestu kilku dolarów za baryłkę. Dziś chodziło o dolary,**

najprawdziwsze „zielone”, a krzyk maklerów był tak ogłuszający, że utonął w nim drugi dzwon, sygnalizujący otwarcie o dziesiątej dwie transakcji na rynku surowej ropy. Nikomu nie był on jednak potrzebny; każdy dobrze wiedział, która jest godzina, i pandemonium się podwoiło, kiedy kolejna armia rozgorączkowanych handlowców rzuciła się do walki o Brent Crude. Urzędnicy giełdy daremnie czekali na opadnięcie emocji; chaos nie słabł, a nawet się nasilał. O jedenastej po raz pierwszy w historii International Petroleum Exchange dzwon rozbrzmiał długo i twardo na znak, że wszelkie transakcje zostają zawieszane. Sir David Norris, prezes giełdy, przemówił do maklerów, wyrażając nadzieję, że każdy chyba rozumie, iż to zamieszanie nie może trwać dalej i że handel ropą to nie gra w rugby, po czym zaprosił największych spośród sprzedających i kupujących na prywatną konferencję w swoim biurze.

To posunięcie dało rynkowi chwilę wytchnienia, ale napięcie nie zelżało i poranny szczyt osiemdziesięciu siedmiu dolarów za baryłkę ani przez chwilę się nie zmniejszył. Tego wieczoru sir David osobiście wystąpił w wiadomościach telewizyjnych, oświadczając, że w środę giełda będzie zamknięta z powodu sytuacji w Arabii Saudyjskiej. Dla wielu obserwatorów skwapliwość, z jaką nowojorska NYMEX poszła za przykładem IPE, dowodziła, że prezes Norris i premier brytyjski musieli się w ciągu ostatnich paru godzin kontaktować z Białym Domem. Pięciogodzinna różnica czasu sprawia, że giełda londyńska zaczyna działalność pierwsza i ustala ceny na dany dzień, zanim maklerzy z Wall Street przyłączą się do codziennej walki o zaspokojenie paliwowych potrzeb Stanów Zjednoczonych. W obecnych warunkach, kiedy po burzliwej sesji w Anglii cena ropy naftowej się potroiła, reakcja nowojorczyków była, co oczywiste, nerwowa. W ten wtorkowy wieczór benzyna kosztowała już osiem dolarów za galon zamiast dotychczasowych dwóch i pół dolara. Nie inaczej zresztą było w całej Europie – poza Francją, gdzie litr bezołowiowej Super-95 podrożał tylko o niecałe euro, po czym wkrótce znów potaniał.

Japonia pogrążyła się w chaosie. Nie ma tam złóż gazu ziemnego i w większości gospodarstw domowych do gotowania używa się propanu-butanu (co podkreślił książę Nasir

w rozmowie z prezydentem Francji niespełna rok wcześniej). Teraz główne źródło japońskiego zaopatrzenia, czyli terminal w Ras al-Dżuajmie, zamienił się w ogromną pochodnię. W tej chwili w promieniu tysiąca mil od saudyjskich portów znajdowały się dwadzieścia cztery zbiornikowce pod banderą ze wschodzącym słońcem. Wszystkie czekały na decyzje armatorów – wracać „na pusto” do domu czy skierować się do innych terminali załadunkowych, czy to w rejonie Zatoki Perskiej, czy na przykład na Morzu Czarnym.

Z dnia na dzień dwukrotnie wzrosły ceny biletów lotniczych na całym świecie. British Airways i American Airlines natychmiast odwołały wszystkie tanie loty transatlantyckie; trudno było je o to winić, skoro nikt nie mógł przewidzieć, ile przyjdzie im płacić za benzynę pod koniec tygodnia. Wstrząs odczuła giełda londyńska; indeks FTSE spadł aż o tysiąc punktów w zaledwie dwie godziny. Pod koniec dnia indeks Dow Jones także poleciał na łeb, na szyję – o osiemset czterdzieści dwa punkty – obracając w nicość miliardy korporacyjnych dolarów. Szczególnie drastycznie załamały się notowania linii lotniczych; nikt nie chciał kupować akcji przewoźników, których nie stać na zatankowanie własnych samolotów. Na całym świecie słyhać było ostrzeżenia przed rychłą podwyżką cen na towary i usługi w dziedzinach gospodarki silnie uzależnionych od transportu, jak choćby przemysł spożywczy. Akcje Forda, Chryslera i General Motors straciły około dwudziestu procent wartości. Przeciętny Amerykanin powoli zaczynał sobie uświadamiać, że co piąty galon benzyny w jego kraju pochodził do tej pory właśnie z Arabii Saudyjskiej. Teraz miało go zabraknąć.

Rząd demokratyczny został przyparty do muru. Na nadzwyczajnym nocnym posiedzeniu Kongresu republikańscy politycy grzmieli przeciwko „szalonym” restrykcjom ekologicznym, zabraniającym poszukiwania i wydobywania ropy naftowej na dziewiczych terenach Alaski. Ich złowróżbne prognozy, powtarzane od początku XXI wieku, właśnie się sprawdziły – Ameryka jest zbyt uzależniona od arabskiej, a zwłaszcza saudyjskiej ropy. Pięcioprocentowy spadek jej podaży wpędziłby Wuję Sama w kryzys ekonomiczny; dwadzieścia procent to już był istny krach.

O dwudziestej pierwszej prezydent Paul Bedford, centroprawicowy demokrat i były oficer marynarki wojennej, wygłosił nadawane na żywo z Gabinetu Owalnego orędzie do narodu, zapewniając rodaków, że kraj nie polega wyłącznie na dostawach z Arabii Saudyjskiej, i podkreślając, że zużycie paliw w ostatnich latach wykazuje nawet tendencję spadkową. Wyraził przekonanie, że w skali globalnej bliskschodnia katastrofa jest tylko drobną niedogodnością, choć z całą pewnością unaocniła, jak bardzo świat jest wciąż narażony na ataki terrorystów; przyznał też jednak, że raz jeszcze potężną gospodarką amerykańską wstrząsnęły wydarzenia na drugim końcu świata. Sytuacja nie jest jeszcze dramatyczna, stwierdził, apelując o spokój na stacjach benzynowych, ograniczenie podróży i o współczucie dla „naszych wielkich przyjaciół, saudyjskiej rodziny królewskiej”. Powiedział, że jest przekonany, iż al-Saudowie znów zwrócą się do USA o pomoc w wielkim przedsięwzięciu odbudowy swojego przemysłu, a to będzie oznaczało zyski i miejsca pracy dla Amerykanów. Przytoczył uwagi brytyjskiego premiera z wygłoszonego kilka godzin wcześniej telewizyjnego przemówienia.

–Arabia nie straciła swojej ropy – powiedział na zakończenie. – Ona wciąż tam jest, ukryta pod piaskiem pustyni. Saudyjczycy ponieśli straty i chwilowo nie mogą jej eksportować. Z naszą pomocą ten stan wkrótce się zmieni. Nie dalej jak pół godziny temu rozmawiałem z królem. Jego Królewska Mość, jak się można domyślać, niewiele spał tej nocy, był jednak spokojny i obiektywnie oszacował szkody. Ani on, ani ja nie wiemy, kto mógł tak źle życzyć miłującym pokój mieszkańcom Półwyspu Arabskiego, ale droga powrotna do niedawnego dobrobytu stoi otworem. Nasi inżynierowie dotrą do Rijadu jeszcze w tym tygodniu, by służyć radą królowi i jego ministrom. Tymczasem straciliśmy jedną piątą potrzebnych nam paliw. Sekretarz do spraw energii pracuje już nad programem przydziałów, który pomoże nam przetrwać nadchodzące miesiące. Potrzeba tylko trochę powściągliwości, zdrowego rozsądku i rozwagi. W tej chwili otwieramy nowe rynki i szukamy nowych dostawców z Ameryki Południowej. Kontaktowałem się też z prezydentem Rosji w sprawie specjalnych kontraktów na ropę z regionu Morza Kaspijskiego. Wezwałem do Wa-

szynge tonu przedstawicielei wszystkich dużyh koncerńów naftowych. Spotkam się z nimi najdalej jutro i dopilnuję, aby nie było w tym kraju spekulacji paliwami. Możecie oczekiwać, że ceny benzyny wkrótce znowu spadną. Przedsiębiorcy, a szczególnie duże firmy transportowe i linie lotnicze, otrzymają priorytetowe dostawy. Rodacy! Będę walczył, abyśmy w przyszłości już nigdy nie musieli polegać na saudyjskiej ropie w takiej mierze jak obecnie. Eksplozje w Arabii przebudziły Amerykę! Zamierzam niezwłocznie przedłożyć w Kongresie projekt ustawy zezwalającej na intensyfikację wierceń na' Alasce. Dążenie do uniezależnienia Stanów Zjednoczonych od bliskowschodnich dostaw uczyniłem moją osobistą misją. Na tym dziś kończę. Boże, błogosław Amerykę!

Wielu słuchaczy oceniło, że było to chyba najlepsze przemówienie, jakie kiedykolwiek słyszeli w czasie kryzysu od demokracji. Był tylko jeden problem: nikt nie wziął go sobie do serca. Przez całą noc pod stacjami benzynowymi stały długie kolejki samochodów, właściciele żądali za paliwo tyle, ile tylko im się zamarzyło, a w całym kraju ceny poszybowały w górę jak w ogarniętej inflacją bananowej republice. Pod ciemnym marcowym niebem znów pędzili czterej jeźdźcy Apokalipsy. Parafrazując komentarz Grantlanda Rice'a\* z jego słynnej relacji sportowej, „w tradycyjnej dramaturgii ich imiona były: Głód, Zaraza, Wojna i Śmierć. To jednak tylko pseudonimy...” W Stanach Zjednoczonych A.D. 2010 naprawdę nazywali się Benzyna, Olej Napędowy, Propan-butan i Paliwo Lotnicze. A mimo prezydenckiego apelu o zachowanie spokoju inna, jeszcze większa siła się szykowała, by płomień strachu rozprzestrzenić na cały świat. Paul Bedford nie zdążył jeszcze życzyć rodakom dobrej nocy, a w pokojach redakcyjnych już zapanowała gorączka medialnego złota – Przeróżających Wieści, bezcennego towaru, który tak wspaniale powiększa nakłady gazet i oglądalność stacji telewizyjnych.

Ogólnokrajowe dzienniki drukowały dodatkowe tysiące

\* Znany amerykański dziennikarz sportowy i poeta, publikujący w „New York Herald”. Cytowany artykuł pochodzi z 18 listopada 1924 roku.



egzemplarzy, a ceny ogłoszeń sięgały rekordowego poziomu. Nie inaczej było w eterze; za telewizyjne i radiowe spoty reklamowe natychmiast żądano opłat normalnie stosowanych tylko podczas finałów ligowych albo wyborów prezydenckich. Jednym słowem, dla mediów nastał czas obfitości. Im bardziej ludzie się boją – a dla Amerykanina nie ma gorszej perspektywy niż utrata swobody poruszania się samochodem – tym lepiej dla wydawców prasy i zarządów sieci telewizyjnych. Takie tygodnie jak ten były najlepszym usprawiedliwieniem ich bajońskich zarobków i nielimitowanych rachunków na wydatki służbowe. Redaktorzy prześcigali się w wymyślaniu coraz to groźniej brzmiących nagłówków: „Gospodarka USA padła ofiarą pożarów w Arabii! Prezydent rozważa zakaz używania prywatnych samochodów! Wraz z saudyjską ropą spłonie nasz dobrobyt! Bank federalny ostrzega: nadchodzi inflacja! Takich cen jeszcze nie było!” Gdyby w starożytnym Rzymie istniała prasa, relacje z Pompejów A.D. 79 nie byłyby chyba bardziej apokaliptyczne.

Wtorek, 23 marca, godz. 21.00. Baza lotnicza Andrews

Odrzutowiec z oznakami Korpusu Marines wiozący korpulentnego admirała George'a Morrisa niezbyt delikatnie dotknął kołami pasa startowego i pokołował do strefy postojowej, gdzie na jego pasażera czekał już gotowy do startu śmigłowiec, aby go odtransportować na lądowisko w Fort Meade.

Dyrektor NSA miał inną hierarchię ważności bieżących spraw niż rząd i politycy. Nie obchodziła go inflacja, ceny ani kondycja gospodarki. Chciał wiedzieć tylko trzy rzeczy: Kto wysadził w powietrze saudyjskie instalacje naftowe? Dlaczego to zrobił? Czy może zrobić coś jeszcze? Miał też nadzieję, że sprawą zajął się już Jimmy Ramshawe.

Morris znalazł się w swoim gabinecie w dwadzieścia trzy minuty po wylądowaniu w Andrews. Teczka, którą przyniósł mu w chwilę potem jego młody asystent, zawierała sporo domysłów, ale niewiele niekwestionowanych faktów. Ram-

shawe przedstawił mu swoją teorię tak jak wcześniej Arnoldowi Morganowi; wysłuchawszy go, Morris rzekł:

–Jimmy, dobrze to wszystko zebrałeś. Myślę, że coś w tym jest, tylko nie wiem co. Nie widzę żadnego logicznego motywu. – Siedział przez kilka minut w milczeniu, przetrawiając zasłyszane informacje, po czym dodał: – Zgadza się, że była to operacja wojskowa. Tylko czyja? Jedynym podejrzanym jest armia saudyjska. Któż inny mógłby chcieć czegoś podobnego? W jakim celu? To nie miałyby najmniejszego sensu.

–Pozwolę sobie zauważyć, sir, że dla kogoś jednak miało.

**–Na to wygląda. Rozmawiałeś już z Wielkim Człowiekiem?**

**–Tak, sir. Spotkaliśmy się wczoraj wieczorem.**

**–I co on na to?**

**–Jest zdania, że tak totalnego zniszczenia w Arabii Saudyjskiej można było dokonać tylko z użyciem okrętów podwodnych. Porty załatwił desant komandosów, cele lądowe ostrzelano raketami.**

**–To rzeczywiście jedyny sposób – potwierdził były dowódca zespołu lotniskowca. – Poza bombardowaniem z powietrza, a tego przecież nikt nie zrobił. Jedno jest pewne... nie była to też robota amatorów z chałupniczo skleconymi bombami.**

**–W takim razie, sir, skoro obaj wiemy, że admirał Morgan ma rację dziewięć razy na dziesięć, może warto sprawdzić jego tezę o okrętach podwodnych?**

**–Jasne, że warto. Dzwoń do admirała Dicksona w Pentagonie, pozdrów go ode mnie serdecznie i poproś o historię ruchów wszystkich podwodniaków na świecie z ostatniego miesiąca. Niech się z tym pospieszy. Lepiej, żebyśmy z tym zdążyli, zanim Morgan zacznie się dopytywać, czy już to sprawdziliśmy.**

**Jimmy skonstatował w duchu, że dobrze jest znów mieć szefa pod ręką.**

**–Robi się, sir. Na pewno wkrótce dostaniemy te dane od**

**SUBLANT. Przyniosę wydruki, gdy tylko nadejdą.**

**Pół godziny później Ramshawe wrócił do gabinetu dyrektora z gotowymi danymi. Nie musiał pukać; admirał Morris zwolnił go z tego obowiązku już dawno. Zastał szefa rozmawiającego przez telefon i bez słowa usiadł po drugiej stronie**

jego wielkiego, ciężkiego biurka, niegdyś zajmowanego przez samego Arnolda Morgana.

–A więc, sir... – powiedział, kiedy Morris odłożył słuchawkę. – Zacznę od tych z alibi. Jeśli nie liczyć wód chińskich, Rosjanie mieli parę jednostek klasy Kilo na próbach morskich na północ od Murmańska, a jeden okręt nuklearny przeszedł drugiego marca przez GIUK\* na Atlantyk. Nasze satelity wykryły go przy wchodzeniu na Bałtyk, a potem na stocznię w Sankt Petersburgu, gdzie stoi do dzisiaj. Angole trzymają jednego tridenta na południe od Grenlandii i dwa SSN na Morzu Barentsa przy granicy stałego lodu. Nic w kanale La Manche ani niżej, na Atlantyku. Inne europejskie kraje mające okręty podwodne, jak Włochy, Niemcy, Hiszpania, Szwecja i Polska, w minionym miesiącu nie wysłały w morze żadnej jednostki. Francuski SSBN klasy Triomphant z Brestu operuje na Atlantyku na północ od Azorów... Ale tu mam coś ważnego. Dwa ich SSN klasy Rubis/Amethyste zostały przerzucone z Morza Śródziemnego na Czerwone przez Kanał Sueski.

–Tego samego dnia?

–Nie. *Perle* opuścił kanał w południe czwartego marca, *Amethyste* w ostatni czwartek około czternastej...

–I potem wróciły na Śródziemne?

–Nie, sir. Od tamtej pory nikt ich więcej nie widział.

–To znaczy, że na Czerwonym poszły w zanurzenie?

–Na to wygląda. Nasz satelita przelatuje nad kanałem o dziewiętnastej, a do tego czasu czwartego i osiemnastego marca oba okręty już zniknęły.

–A co z wyjściem południowym przez Bab el-Mandeb?

–Tę cieśninę obserwujemy bardzo uważnie, sir. Z satelitów, okrętów nawodnych i brzegowych stacji radarowych. Ani *Perle*, ani jego bliźniak tamtędy nie przepływały.

–W każdym razie nie na powierzchni, co?

–Właśnie.

\* GIUK – przejście z wód północnej Europy na otwarty Atlantyk, skrót od „Grenlandia-Islandia-Wielka Brytania (United Kingdom)”; SSN – myśliwski okręt podwodny o napędzie atomowym; SSBN – strategiczny okręt podwodny o napędzie atomowym, przenoszący rakiety balistyczne.

–Ale mogły to zrobić w zanurzeniu.

–Czy to możliwe nawigacyjnie, sir?

–Jak najbardziej. Cieśnina jest na to dość szeroka, a głębokości na podejściu nie są mniejsze niż trzydzieści metrów. Myślę, że większość dowódców woli ją pokonywać na powierzchni... Jest tam trochę wysp, poza tym trzeba się trzymać wyznaczonych tras, na których często panuje spory ruch. Łatwiej to zrobić w wynurzeniu, zwłaszcza że morze jest tam na ogół gładkie jak stół. Znam jednak paru naszych kapitanów, którzy przeszli tamtędy pod wodą, i to niejeden raz. Tamten akwen to istne rozstajne drogi. Kiedy już wyjdiesz na Zatokę Adeńską i znikniesz z powierzchni, nikt nie wie, dokąd się wybierasz, na północ, południe czy na wschód. Świetne miejsce, żeby się zgubić.

–No, dowódcom *Perle* i *Amethyste* na pewno się to udało. Nie ma po nich najmniejszego śladu, a w ostatnim miesiącu żaden inny okręt podwodny nie kręcił się w pobliżu Morza Czerwonego ani Zatoki Perskiej. Chyba że paru naszych kapitanów zwariowało i postanowiło przygrzmocić Arabom kilkoma *cruise*'ami...

–To raczej mało prawdopodobne, nie sądzisz, Jimmy?

–Niemożliwe, sir. Jeżeli te instalacje rzeczywiście zostały trafione rakietami, to musiały one zostać wystrzelone z tych francuskich jednostek, skoro w promieniu tysięcy mil nie było żadnej innej.

–Problem w tym, że nie wiemy, gdzie teraz są *Perle* i *Ame-thyst*.

–Stawiam pięć do jednego, że jeden z nich jest wciąż na Perskiej, a dziesięć do jednego, że drugi nadal tkwi na Czerwonym, sir. Przyjmuje pan zakład?

–Nie, dzięki.

–To co robimy?

–Skontaktuj się jeszcze raz z Dicksonem i zapytaj, czy SUBLANT może się dowiedzieć, czy którykolwiek z francuskich podwodniaków wyszedł z Czerwonego na Adeńską w zanurzeniu... powiedzmy, przez ostatnie pięć lat.

–Zrobi się, sir. To rzeczywiście interesujące.

–Ma się rozumieć, nie będzie to żaden dowód. Ale może dać nam do myślenia, co?

**Jimmy Ramshawe wrócił do swego wyjątkowo zabalaga-nionego biura i połączył się z szefem operacji morskich.**

**–Stuprocentowej dokładności nie obiecuję, komandorze -odrzekł admirał Dickson. – Ale obserwujemy ten akwen bacznie i odnotowujemy każde przejście okrętu podwodnego. Na pewno znajdą się zapisy i o Francuzach. Polecę, aby SU-BLANT przesłało wam jak najdokładniejszy opis ich poczynań.**

**–Dziękuję, panie admirale. Będę czekał.**

**–Potrwa to z godzinkę – ostudził go Dickson. – A propos, czy to robótka dla Wielkiego Człowieka?**

**–Nie, dla admirała Morrisa.**

**–Na jedno wychodzi. Pozdrówcie go ode mnie.**

**Arnold Morgan nie piastował już żadnego oficjalnego stanowiska, ale jego obecność wciąż się wyczuwało w całym departamencie obrony. Każdy wyższy oficer marynarki dobrze znał jego obsesję na punkcie okrętów podwodnych. Najdrobniejsze zapytanie na ten temat ze strony NSA nieodmiennie wywoływało tę samą reakcję, jak teraz u admirała Dicksona: „To dla Morgana?”, choć Wielki Człowiek od dobrych kilku miesięcy był emerytem, a za dyrektorskim biurkiem w Fort Meade ostatni raz zasiadał kilka lat temu. Nigdy jednak nie odszedł zupełnie, a wielu bardzo wysoko postawionych ludzi z prezydentem włącznie pragnęło, by wrócił.**

**Nie minęła godzina, a z SUBLANT wysłano pocztą elektroniczną potrzebne komandorowi Ramshawe'owi dane. Wynikało z nich, że Francuzi wysyłali okręty podwodne przez Kanał Sueski na Morze Czerwone mniej więcej osiem razy w roku. Cztery na dziesięć wracały na Śródziemne i do bazy w Tulonie lub w Breście tą samą drogą. Pozostałe sześć płynęło na Zatokę Adeńską i zazwyczaj kierowało się na Reunion. Bywało, że któryś z nich zaglądał i na Zatokę Perską, ale zdarzało się to rzadko.**

**W bazie danych US Navy nie było żadnej wzmianki o przejściu francuskiej jednostki przez Bab el-Mandeb w pełnym zanurzeniu. Według analityków z SUBLANT żaden podwodniak nie przepada za podobnymi wyczynami. W ciągu ostatnich pięciu lat amerykański wywiad morski nie przeoczył zaś żadnego z francuskich okrętów podwodnych wychodzących z Morza Czerwonego na południe, choć trzy-**

**krotnie się zdarzyło, że jednostki klasy Rubis przepływały przez Bab el-Mandeb na głębokości peryskopowej; wykryto je tylko dzięki zdjęciom satelitarnym.**

**Jimmy Ramshawe pospieszył z powrotem do biura dyrektora, obracając w myślach ustaloną już teraz prawdę: Francja wysłała na Morze Czerwone dwa okręty podwodne uzbrojone w rakiety kierowane i miały one aż nadto czasu, by ukradkiem zająć dogodnie pozycje i znokautować saudyjski przemysł naftowy. Oczywiście nie znaczy to, że tak się stało. Ale teraz ten cholerny żabojad z pustyni wygląda znacznie groźniej, pomyślał komandor.**

**Cztery minuty później otrzymał służbowe polecenie, by na bieżąco informować o wszystkim Wielkiego Człowieka, ale przede wszystkim dowiedzieć się, co on o tym myśli.**

**Wtorek, 23 marca, w południe. Bazar w Chamis Mu-szajt**

**Dwudziestoczteroletni Miszari al-Ard wspólnie z ojcem prowadził stragan z daktylami i produktami miejscowych ogrodów. To stare miasto, położone ponad tysiąc osiemset metrów nad poziomem morza, Allah obdarzył dobrodziejstwem marcowych i sierpniowych deszczów, dających tutejszym rolnikom wielką przewagę nad ich kolegami z gorącej, pustynnej północy. Tego dnia Miszari miał wyjątkowo dużo pracy. Wyglądało na to, że fatalne wieści z pól naftowych wywołały wśród ludności nastrój bliski paniki. Wszyscy na gwałt kupowali i zamawiali więcej, niż potrzebowali, jak to się dzieje na całym świecie, kiedy normalny rytm życia zostanie nagle zaburzony. Na bazarze w Chamis Muszajt napięcie było nie mniejsze niż pod stacjami benzynowymi w USA.**

**Miszari zajęty był właśnie otwieraniem pięciu skrzynek daktyli, kiedy wąską uliczką nadbiegł jego rówieśnik i przyjaciel Ahmed, dając mu znaki, że muszą porozmawiać na osobności. Obaj byli członkami Al-Kaidy. Straganiarz przeszedł na drugą stronę ulicy. Ahmed przekazał mu zwinętą karteczkę i krótkie polecenie: „Zawieź to zaraz w góry generałowi Raszudowi”.**

**Miszari wrócił do ojca, szepnął mu coś na ucho i wsiadł do wysłużonej rodzinnej półciężarówki. Wkrótce był już na szosie, kierując się w stronę leżącej na uboczu wioski Osza Muszajt, nieopodal której znajdowała się kryjówka oddziału Rawiego Raszuda. Po przejechaniu pięciu kilometrów skręcił na starą gruntową drogę, a właściwie pustynny szlak do wsi. Dalej trzeba było telepać się na przełaj przez wertepy, ale już po kilku minutach samochód dotarł na miejsce. Ukryty wartownik poznał Miszariego i nie zatrzymując go, dał znak, by jechał dalej; pojazd al-Ardów zjawiał się tu prawie każdego ranka, przywożąc świeży prowiant i poranną gazetę.**

**Arab zaparkował na północnym skraju obozu i zgłosił się do starego Beduina, który pełnił funkcję kwatermistrza. Wyjaśnił mu, że przywieziona wiadomość to telefonogram od siatki Al-**

**Kaidy w Rijadzie. Starzec odebrał kartkę, podziękował i udał się z nią wprost do namiotu generała.**

**„Na ulicach wrze, król może potrzebować wojska. Nie możemy tego ryzykować. Musisz ruszać dzisiaj. Kustosz zezwala. Ja zaczynam jutro z samego rana. Z Bogiem, Rawi. Podpisano: Myśliwy”.**

**Rawi Raszud przeczytał krótki tekst dwa razy, po czym podszedł do jednego z rusztów, na których piekło się mięso na obiad. Wsunął kartkę między pręty i patrzył, jak się skręca i strzela niewielkim, jasnym płomykiem. Odwrócił się do Beduina i powiedział:**

**–Tak, przyjacielu. Nasz czas dobiegł końca. Zwołaj wszystkich na odprawę. Atakujemy dzisiejszej nocy. Niech Allah ma nas w opiece.**

**Tego samego dnia, godz. 14.00. Rijad**

**Pułkownik Jacques Gamoudi siedział w namiocie z księciem Nasirem. Wiedzieli już, że generał Raszud odebrał rozkaz. Teraz mogli tylko czekać na wiadomość, że garnizon w Chamis Muszajt i baza lotnicza imienia Króla Chalida padły. Wówczas sami uderzą, zdecydowanie i mocno.**

**Od tej chwili dzieliło ich jeszcze może trzynaście godzin. Następca tronu będzie musiał wrócić do pałacu w mieście,**

aby być na miejscu, kiedy wieść nadejdzie. Prędeż niż od Ra-wiego dowiedzą się o tym z sieci łączności wojskowej. Wówczas nastąpi atak na pałac królewski, a Nasir nada swoje orędzie, ogłaszając śmierć króla i przedstawiając świetlaną przyszłość, jaka odtąd czeka Arabię: odbudowę przemysłu naftowego i ponowne napełnienie skarbu państwa spustoszonego przez rodzinę upadłego monarchy. „Mówi do was wasz pokorny sługa i dumny przywódca, król Arabii Saudyjskiej, Nasir. Zgodnie z naszymi prastarymi prawami, jako następca tronu objąłem ster rządu. Złożyłem śluby przed radą starszych, przysięgając przed Bogiem bronić naszych praw religijnych i świeckich”.

Te słowa na zawsze odmienia los trzydziestu pięciu tysięcy saudyjskich książąt. Nikt już nie będzie wiązał imienia władcy pustynnego królestwa z bezwstydnym przepychem i rozrzutnością. Nasir na swój sposób zamierzał zmasakrować winy dotychczasowych panujących.

Tymczasem na niespokojnych ulicach Rijadu znów szalał żywioł destrukcji. Tłumy mieszkańców stolicy dewastowały sklepy, niszczyły samochody, miotały kamienie i butelki. O piętnastej król postawił armię w stan najwyższej gotowości. Jak wszyscy, obawiał się, że krajowi grozi bliżej nie określona inwazja, choć nikt wciąż nie miał pojęcia, kto jest odpowiedzialny za unieruchomienie instalacji naftowych.

W miastach garnizonowych Tabuk, Króla Chalida i Chamis Muszajt żołnierze natychmiast zajęli planowe pozycje obronne. Tak bardzo jednak brakowało ludzi i sprzętu, że najwyżej trzy czwarte sił zbrojnych zdolne były do działania. Król rozkazał marynarce wojennej utworzyć kordon wzdłuż wybrzeży, a minister lotnictwa polecił wzmocnić patrole powietrzne. Okrętów było jednak za mało, by skutecznie bronić czegokolwiek większego od Manhattanu, i to w słoneczny, spokojny dzień, a piloci samolotów zwiadowczych nie mieli nic niezwykłego do zameldowania. Nawet patrolujące obszar stołeczny śmigłowce gwardii narodowej zgłaszały tylko zamieszki uliczne, choć jeden z nich zapuścił się aż w okolice ruin Diraiji.

Na niebie nie było widać samolotów sił powietrznych. Eskadry bombowców i myśliwców pozostawały w hangarach



z jednej zasadniczej przyczyny. Od wielu lat ich dowódcami byli książęta krwi, z których wielu przeszło odpowiednie szkolenie w Wielkiej Brytanii. Teraz ci potomkowie rodu Saudów cichaczem wymykali się z kraju, najczęściej przez bazę w Ri-jadzie, gdzie całe ich rzesze wsiadały do wyczarterowanych w ostatniej chwili odrzutowców, ani myśląc zaprzętać sobie głowę wydawaniem niezbędnych rozkazów swym podkomendnym. Lotnictwo miało poza tym jeszcze inną piętę achillesową. Personel naziemny nie zamierzał się angażować w wojnę o władzę i czekać, aż mu na głowy polecą bomby. Mechanicy, kontrolerzy lotów, służby paliwowe i technicy uzbrojenia już z wolna znikali z baz i zaszywali się gdzieś na otaczających je rozległych pustkowiach.

Schowani za szczątkami murów Diraiji i pod osłoną kamuflażu ludzie pułkownika Gamoudiego szykowali się do boju. *Le Chasseur* niezachwianie wierzył w sukces generała Raszuda; z zapadnięciem zmroku zarządził uzupełnianie paliwa w czołgach i wozach bojowych oraz ładowanie broni i amunicji na ciężarówki. Od początku zamierzał pozostawić tę część operacji na ostatnią chwilę. W ten sposób nawet gdyby ktoś spostrzegł jadący o zmierzchu za miasto konwój cystern, na jakąkolwiek spójną reakcję byłoby już za późno. Sam książę Nasir – teraz w mundurze polowym z tradycyjną ghutrą zamiast czapki – pozostawał w samym centrum przygotowań, nie odstępując Gamoudiego i przyglądając się, jak ten profesjonalny w każdym calu żołnierz zabiera się do gargantuicznego zadania zdobycia wielkiego miasta.

Wtorek, 23 marca, godz. 19.00. Góry jemeńskie w okolicy Chamis Muszajt

Doborowy oddział Rawiego Raszuda zwinął obóz równo z zapadnięciem zmroku. Sześćdziesięciu komandosów, włącznie z jego własnym kontyngentem z Hamasu, pomaszzerowało w ślad za miejscowymi bojownikami Al-Kaidy. Wszystkie twarze były poczerwione, każdy żołnierz oprócz broni osobistej niósł ładunki wybuchowe, a dodatkowo dwa czteroosobowe zespoły dźwigały cekaemy.

Początkowo rozważali inny wariant – dotarcie do poszczególnych punktów wypadowych ciężarówkami, co byłoby znacznie szybszym i wygodniejszym rozwiązaniem. Generał Raszud zdecydował jednak, że w obliczu podwyższonego stanu gotowości nieprzyjaciela byłoby to zbyt ryzykowne. „Jedyną rzeczą gorszą od porażki byłoby zdemaskowanie nas”, powiedział na odprawie i wszyscy wyżsi oficerowie się z tym zgodzili.

Mieli zatem przed sobą ośmiokilometrowy marsz z boczem wzgórza do asfaltowej pętli okalającej obie bazy, odnogi głównej szosy. Szli rzędem na przełaj, unikając starych szlaków beduińskich. Dwaj ludzie z Al-Kaidy na wielbłądach jechali o półtora kilometra w przedzie jako szpica.

Punktualnie o dwudziestej pierwszej, trzy kilometry od lotniska, miała się „zepsuć”

ciężarówka, blokując jedyny dojazd od zachodu; komandosi będą mogli wówczas spokojnie przeciąć drogę, wiedząc, że nic nie grozi z prawej flanki. Ludzie Rawiego obserwowali tę szosę każdej nocy od przybycia do obozu i wiedzieli, że nigdy się nie zdarzyło, aby jakikolwiek pojazd nadjechał z lewej, od strony bazy. Generał domyślał się, że istnieje inna, wewnętrzna droga między lotniskiem i bazą wojsk lądowych, dlatego uznał, iż wystarczy wystawić tu tylko dwóch żołnierzy z cekaemem; gdyby ktokolwiek się jednak pojawił z tego kierunku, poradzą sobie z nim w mig i bez trudu.

Do szosy dotarli w spodziewanym czasie. Tu odłączyła się sześćosobowa drużyna ze sprzętem radiowym, jedyną deską ratunku na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się źle. Mieli zająć pozycję na wzniesieniu o kilometr na północ od bazy lotniczej i zapewnić łączność między generałem, szefem Al-Kaidy i dowódcami trzech zespołów dywersyjnych. Mogli też wezwać posiłki z miasta Chamis Muszajt, jeśliby zaszła potrzeba akcji ratunkowej, co Rawi uważał jednak za nieprawdopodobne.

Komandosi przecinali linię szosy czwórkami na komendę dowódców, ubezpieczając się wzajemnie. Ostatni przeszedł generał; było dwadzieścia pięć po dziewiątej i panowała już zupełna ciemność – noc była pochmurna. Rawi zaplanował na tym etapie dziesięciminutowy odpoczynek – nie z powo-

du pokonanej odległości, ale dla odsapnięcia po taszczeniu z gór ciężkiego ekwipunku – po którym przyszła pora, by się rozdzielić. Uścisnął dłoń majorom Spanierowi i Gilbertowi, życząc im powodzenia. Pożegnał się z arabskimi bojownikami z Al-Kaidy i wieloma spośród francuskich komandosów, z którymi dobrze się przez minione tygodnie poznali. Wiedział, że najprawdopodobniej nikogo z nich już nigdy nie zobaczy.

Spanier i Gilbert ze swoimi dwunastoosobowymi zespołami ruszyli na wschód, w długą drogę wokół bazy do wybranej pozycji w zaroślach przylegających do północnego odcinka ogrodzenia. W pewnej odległości za nimi poszła dziesiątka wyznaczona do zaminowania hangarów i wsparcia ataku na główną bramę.

General Raszud poprowadził swój oddziałek na zachód, ku odległemu o siedem kilometrów głównemu wjazdowi do bazy wojskowej pod Chamis Muszajt. Ludzie z Al-Kaidy, którym powierzono zadanie odciążenia uwagi obrońców przez zaatakowanie bramy, mieli rozkaz rozpocząć akcję o godzinie zero pięćdziesiąt pięć – pięć minut przed zdetonowaniem podłożonych pod samolotami bomb. Do nich też należało pilnowanie ukrytych na pustyni ciężarówek ewakuacyjnych. Sami, wraz z dziesięcioma żołnierzami, którzy po wysadzeniu w powietrze hangarów przyjdą im z pomocą, wycofają się przez góry. Po unicestwieniu bazy lotniczej na miejscu miała pozostać tylko drużyna Rawiego Raszuda, czekająca w pogotowiu u bram miasta garnizonowego. Po zakończeniu operacji większość jego podkomendnych odleci z gór trzema śmigłowcami z powrotem na stronę jemeńską; general uznał to za bezpieczne rozwiązanie, ponieważ w tej części kraju nie będzie już im groziła konfrontacja z saudyjską kontrolą i obroną przestrzeni powietrznej. Jak nikt nie wiedział o ich przybyciu, tak nikt się nie dowie o ich zniknięciu. Francuscy żołnierze powrócą do domu z Sany, stolicy Jemenu, samolotem. Air France utrzymuje połączenie z tym biblijnym miastem, zbudowanym podobno przez Sema, syna Noego. Normalnie jest to jeden lot na tydzień; tym razem odbędą się dwa. Sam general Raszud odleci śmigłowcem saudyjskich sił powietrznych prosto do Rijadu, gdzie dołączy do pułkownika

Gamoudiego i księcia Nasira, by wspomóc ich w ostatecznej rozgrywce o stolicę.

Na razie jednak pod Chamis Muszajt pozostawało jeszcze wiele do zrobienia. Major Spanier ze swym zespołem znalazł się na pozycji po drugiej stronie lotniska o dwudziestej drugiej trzydzieści pięć. Spotkał się tam z komendantem grupy Al-Kaidy i uzyskał potwierdzenie, że ciężarówki są w gotowości. Krótco potem dołączył do nich oddziałek majora Gilberta. Jeszcze ostatecznie sprawdzenie łączności z kierowcami i można było zaczynać. Za dziesięć jedenasta dwójka komandosów wycięła w ogrodzeniu przejście. W tym odległym zakątku bazy nie było oświetlenia, co Rawi Kaszud uznał za czysty absurd; najwyraźniej Saudyjczykom nie przychodziło do głowy, że ktokolwiek mógłby próbować ataku – nawet ich wrogo nastawieni sąsiedzi z Jemenu.

Pierwsi weszli na teren bazy ludzie Gilberta. Po pokonaniu biegiem kilkunastu metrów od płotu i drogi patrolowej skręcili w prawo, ku zaparkowanym w czterech rzędach myśliwcom Tornado. Podzielili się na dwuosobowe zespoły i wzięli do pracy. Cztery dwójki zaczęły od przeciwległego końca, dwie pozostałe skupiły się na ośmiu maszynach stojących najbliżej ogrodzenia – i reflektorów jeepa. Mieli jednak dobry widok na drogę prowadzącą do hangaru i z daleka mogli dostrzec nadjeżdżający patrol. W gorszej sytuacji byli żołnierze Spamera, zajęci minowaniem zaparkowanych nieco dalej F-15, i właśnie dlatego generał Raszud przydzielił im osłonę: dwaj ludzie z karabinami maszynowymi leżeli już ukryci za kołami samolotów. Ich pole ostrzału było dostatecznie duże, by w razie potrzeby wesprzeć ogniem także pododdział Gilberta; jednak gdy tylko upora się on z zaminowaniem pierwszych sześciu tornado, dwaj z jego komandosów także zamienią trotyl, detcord i narzędzia na erkaemy. Rawi nie zamierzał ryzykować – saperzy pracujący z materiałem wybuchowym mają tendencję do zapomnienia o wszystkim innym i potrzebują kogoś, kto zabezpieczy im tyły.

A saperzy pracowali metodycznie, w dobrze wyćwiczonym rytmie. W kolejnych samolotach odkręcali osłony silników, przecinali biegnące wzdłuż nich wiązki przewodów i mocowali magnetyczne miny, dostatecznie silne, by rozsadzić

**blok silnika i cały kókpit. Po takiej eksplozji żadna z maszyn nigdy już nie wzbije się w powietrze. Dywersanci nie mieli pewności, ile paliwa znajduje się w zbiornikach, ale wiedzieli, że przynajmniej część z nich jest zatankowana do pełna: kilkakrotnie podczas zwiadu widzieli, że niektóre tornado kołowały z postoju wprost na start. Można się zatem było spodziewać, że pożary wywołane wybuchami min pozostawią tylko wypalone doszczętnie wraki.**

**Po założeniu ładunku komandosi przebijakami wybijali otwory w osłonach, przez które przewlekali detcord, następnie rozwijany do miejsca pośrodku każdej czwórki maszyn, gdzie splatano końce i łączono je z zapalnikiem czasowym. Praca przy pierwszych czterech samolotach została zakończona kwadrans po jedenastej, zegar zapalnika ustawiono więc na godzinę i czterdzieści pięć minut. Każda kolejna czwórka bomb miała odpowiednio krótszy czas do detonacji, tak aby wszystkie zapalniki zadziałały punktualnie o pierwszej nad ranem. Mimo że się nie spodziewano, by ktokolwiek odwiedził miejsce postojowe przed tą godziną, komandosi starannie usuwali ślady swojej pracy, pilnując, by pod samolotami nie został choćby skrawek detkordu czy zapomniana śrubka. Gdyby nawet byli zmuszeni przerwać akcję, wycofać się czy w boju przedzierać na zewnątrz, najważniejsze było, żeby nikt się nigdy nie dowiedział, że to francuskie siły specjalne działały na lotnisku pod Chamis Muszajt.**

**Dwa kolejne saudyjskie patrole przejechały obok nich, nie poświęcając chwili uwagi zaparkowanym myśliwcom. Za każdym razem osłona zauważyła jeepa dopiero, gdy ruszał spod hangaru, i wszyscy przerywali pracę, kryjąc się na ziemi pod maszynami. O godzinie zero czterdzieści dwie zagrały budziki w zegarkach, sygnalizując rychłe pojawienie się ostatniego patrolu. Każdy wiedział też, że gdy tylko samochód odjechał, ich koledzy znaleźli się przy masywnych wrotach hangaru, rozwijając za sobą zwój detcordu, szykując ładunki i zapalniki. Ukrywszy się w pobliżu, mieli czekać na wybuch, aby wpaść ponownie do środka i dokończyć dzieła zniszczenia.**

**Mijały minuty, napięcie rosło – nie dlatego, że ktokolwiek z nich się obawiał bezpośredniego starcia, ale z powodu samej groźby przedwczesnego wykrycia. Jeden nieostrożny ruch**

mógł zwrócić uwagę Saudyjczyków i dać im czas na zaalarmowanie bazy, że na jej terenie znaleźli się intruzi.

Jeep nadjechał i wszyscy przycisnęli poczerwione twarze do ziemi; tylko kaemiści czujnie obserwowali zbliżający się pojazd, gotowi w każdej chwili otworzyć ogień. Patrol jednak przejechał jak zwykle szybko, bez zbytecznego rozglądania się na boki. Przy hangarze Francuzi już zakładali pętle detcordu wokół zamków, ubezpieczani przez kolegów na wypadek niespodziewanego pojawienia się patrolu pieszego.

Nie było się jednak czego obawiać. Tej nocy baza lotnicza imienia Króla Chalida była strzeżona jak zwykle nieudolnie i bez przekonania. Dezercja części wyższych oficerów miała druzgocący wpływ na morale. Piloci pozbawieni dowództwa nie wiedzieli, co robić – zakłady naftowe płonęły, porty były zniszczone, w stolicy panował chaos i nie było już czego bronić, nie mówiąc już o atakowaniu. Żeby cokolwiek zdziałać na wojnie, myśliwce muszą mieć cele, no i obsługę naziemną. Tymczasem nie tylko personel techniczny bazy, ale i wartownicy gremialnie opuszczali bazę, uchodząc ku pobliskiej granicy w górach. Piloci, jako grupa elitarna, pozostali na stanowiskach, w większości jednak albo spali, albo siedzieli bezczynnie, dyskutując o sytuacji. Nie płacono im za pilnowanie i serwisowanie samolotów, tylko za latanie. Na razie jednak latać nie było po co. Poza tym kto wie, jak długo jeszcze będą otrzymywać wynagrodzenie, skoro zewsząd dochodziły pogłoski o rychłym bankructwie króla? W Arabii Saudyjskiej media równie sprawnie umiały nastraszyć odbiorców, jak ich zachodnie odpowiedniki, jeśli tylko nadarzała się po temu okazja.

Komandosi dokończyli zakładanie ładunków na wrotach hangaru, ustawili zapalniki i wrócili pod ogrodenie, by tam przeczekać do chwili eksplozji. Czasu pozostało już niewiele.

Za pięć pierwsza Al-Kaida przypuściła atak na główną bramę bazy. W stronę zewnętrznej wartowni poleciały dwa ręczne granaty, zabijając na miejscu znajdujących się w niej czterech żołnierzy. Czwórka atakujących rzuciła się naprzód i odsunęła na bok żelazną bramę, pozostawianą przez wartowników bez zamknięcia. Natychmiast potem cztery pociski z ręcznych granatników trafiły w budynek warty wewnątrz

ogrodzenia; trzy z nich wpadły przez okna do środka i sześciu pozostałych żołnierzy z nocnej zmiany nie miało żadnych szans. Podoficer zginął ze słuchawką telefonu w ręku; po wybuchach granatów chciał zameldować zwierzchnikom o ataku, ale nie zdążył nawet wybrać numeru.

W koszarach kompanii wartowniczej zaczęły się zapalać światła. Barak stał o dwieście metrów od bramy – za daleko na skuteczny ogień z rpg. Dlatego też zgodnie z poleceniem generała Raszuda po opanowaniu bramy sześciu ludzi z granatami i peemami pobiegło ku koszarom, a przy zburzonej wartowni ustawiano tymczasem dwa brytyjskiej produkcji karabiny maszynowe. Broń ta, czasem krytykowana za nadmierny ciężar (jedenaście kilogramów z trójnogiem, ale bez amunicji), mogła jednak skutecznie i celnie razić nieprzyjaciela z odległości do kilkuset metrów. SAS nigdzie się nie ruszała bez tych niezawodnych i przydatnych kaemów.

Biegący Saudyjczycy z Al-Kaidy wpadli wprost pod lufy trójki wartowników, którzy wyskoczyli z drzwi koszar, aby zobaczyć, co się dzieje. Jeden z chłopców cisnął w nich granatem, ujrzeni go jednak na tle płonącej wartowni i zdołali otworzyć ogień, kładąc go na miejscu. Trzej atakujący błyskawicznie skręcili w lewo i obrzucili barak granatami. Siła wielokrotnych eksplozji niemal rozniosła drewnianą konstrukcję, a dzieła dopełniły kule z pistoletów maszynowych pozostałej dwójki i kaemów, które w tej samej chwili zagrały ostrym staccato. Była minuta przed pierwszą. Ludzie z Al-Kaidy pobiegli ku śmiertelnie ranionemu koledze, zadowoleni, że zapobiegli nawiązaniu łączności przez wartę, ale zrozpaczeni stratą przyjaciela i brata. Dotarli do niego bezpiecznie pod osłoną ciągłego ognia od strony wartowni w chwili, gdy na lotnisku rozległy się pierwsze eksplozje. Drobną niedokładność zapalników spowodowała, że najpierw wybuchły ładunki założone na najbliższych czterech tornado, a w sekundę później kilka następnych. Po pół minucie nie ostał się już ani jeden cały samolot. Niebo rozświetlił snop płomieni wysokich na trzydzieści metrów; co chwila strzelały nowe, kiedy ogień ogarniał kolejne zbiorniki paliwa. Gdy z ogłuszającym hukiem eksplodowała ostatnia czwórka maszyn, na moment

zapadła względna cisza, po czym bazą wstrząsnęła jeszcze silniejsza detonacja.

Kiedy założony detcord rozsadził zamki drzwi hangaru, sześciu komandosów wpadło do środka i ostrzelało stojące w nim trzy samoloty z granatników. Dwa z nich po zakończonym remoncie lub przeglądzie były zatankowane do pełna. Jeden z pocisków trafił w podręczny zbiornik paliwa znajdujący się w hangarze. Wybuch był widowiskowy. Błazniane poszycie budynku rozleciało się na wszystkie strony, półokrągły dach się zapadł i kula ognia uniosła się w powietrze. Tuż obok, we własnym hangarze, stały dwa samoloty E-3A AWACS elektronicznego rozpoznania i naprowadzania. Wystrzwały z granatników, które obróciły je w płonące wraki, były jednymi z ostatnich podczas tej akcji.

Baza stała w ogniu, zniszczono prawie osiemdziesiąt samolotów – teraz już naprawdę nie było o co walczyć. Ostatni żołnierze z 4. Południowej Grupy Obrony Powietrznej, których zadaniem było bronić bazy przed atakiem lotniczym, porzucili stanowiska i uciekli na pustynię rozjaśnioną potężną łuną. Ich dowódca już dawno był daleko stąd.

Ostatni akord w tej symfonii zniszczenia zagrał major Spamer. Został z dwoma ludźmi w tyle, gdy reszta jego drużyny wycofywała się ku powiększonej teraz dziurze w ogrodzeniu, i pokonawszy biegiem czterysta metrów, wystrzelił cztery pociski w wielkie zbiorniki benzyny lotniczej, choć prawdopodobnie wystarczyłby jeden. Nie ma na świecie sił specjalnych, których żołnierze odmówiliby sobie takiej gratki jak wysadzenie w powietrze magazynów paliwa w atakowanej placówce nieprzyjaciela, i Paul Spanier nie był wyjątkiem. Baza lotnicza odeszła do historii, jak przystało na jej królewską nazwę -z istną feerią fajerwerków, wśród nieustającego werbla wybuchów. Zespół odpowiedzialny za zniszczenie hangarów biegł już z powrotem w stronę rejonu koszarowego, aby zmusić do kapitulacji pozostałych przy życiu Saudyjczyków – nie mieli już jednak przeciwnika. Dołączyli więc do ludzi z Al-Kaidy, zawłaszczyli parę jeepów i pojechali prosto do wieży kontroli lotów. Wydawało się, że nie jest broniona; na wszelki wypadek wpakowali w drzwi raketę przeciwpancerną, po czym dowódca przez znaleziony w samochodzie megafon wezwał



obsadę wieży do kapitulacji. Czterech dyżurnych oficerów bez ociągania się zeszło na dół i z podniesionymi rękami wyszło na zewnątrz. Zostali zakuci w kajdanki i poprowadzeni pieszo przed jeepem w stronę budynku sztabowego i stojącego po sąsiedzku bloku mieszkalnego dla pilotów. Wystarczyło, że jeden z arabskich bojowników rzucił parę granatów w okna biur na parterze, a drzwi się otworzyły i sześciu Saudyjczyków oddało się w ich ręce bez oporu. Komendant Al-Kaidy zażądał widzenia z dowódcą bazy, którego jednak nie było już na jej terenie. Jedyne pozostały na posterunku wyższy oficer został zmuszony do połączenia się z komendą garnizonu w Chamis Muszajt i przekazania informacji, że baza lotnicza została zniszczona i bezwarunkowo skapitulowała przed zbrojnymi siłami nieznanej narodowości.

W tej chwili setki żołnierzy i oficerów wpatrywały się tam w łuny na wschodzie. Telefon potwierdził tylko to, czego już się domyślali: lotnisko zostało zaatakowane i wyłączone z gry. Nie zdążyli jeszcze ochłonąć po usłyszeniu tej wiadomości, kiedy oddział generała Raszuda przystąpił do ataku. Główną bramę staranowała i zablokowała ciężarówka prowadzona osobiście przez Rawiego, który wyskoczył teraz z szoferki i wrzucił dwa granaty w okno wartowni. Dwaj żołnierze pełniący służbę przy szlabanie zginęli od kul z peemów jego podkomendnych z Hamasu, którzy już zeskakiwali ze skrzyni i pędzili w stronę najbliższego budynku koszarowego, strzelając bez celowania w jego okna, wypełnione gapiącymi się na odległą pożogę ludźmi. Wpadli do środka, ostrzelali dyżurkę u wejścia, raniąc lub zabijając kilku żołnierzy, po czym pobiegli na górę, siekąc kulami gdzie popadnie.

Nie było to potrzebne. Saudyjczycy nie mieli ochoty walczyć; stali na korytarzu na piętrze, skwapliwie podnosząc ręce nad głowy. Rawi zostawił przy nich czterech ludzi i podążył do budynku sztabu. Tam również nie napotkał oporu: oficer dyżurny z wartownikami poddali się, gdy tylko pod kopniakami atakujących rozwarły się z trzaskiem drzwi wejściowe. Raszud zapytał o dowódcę bazy, ale oczywiście usłyszał, że już go nie ma.

–Kto więc tu dowodzi, na Boga? – krzyknął zniecierpliwiony. – Musiał chyba zostać jakiś wyższy oficer?

Najstarszy stopniem okazał się niemłody pułkownik, wychowanek dawnej szkoły i weteran pierwszej wojny z Irakiem. Rawi wysłał po niego i czterech innych sztabowców patrol pod komendą swojego łącznika z Al-Kaidy. We wszystkich działaniach starał się unikać wszelkiego kontaktu między francuskimi komandosami i Saudyjczykami.

Pułkownika nie trzeba było długo przekonywać. Generał Raszud rozmawiał z nim może dwie minuty, przedstawiając sukcesy swoich sił, i Saudyjczyk mądrze uznał, że dalszy opór byłby bezcelowy. Zgodził się wydać podległym sobie trzem brygadam rozkaz wycofania się do odległych o półtora kilometra koszar i oczekiwania na dalsze rozkazy.

Nie skapitulowała dotąd tylko jego własna 4. brygada pancerna stacjonująca w Dżizan. Pułkownik powiedział, że dowództwo w Rijadzie wysmażyło niewydarzony plan, zgodnie z którym na wypadek przewrotu miała ona zostać postawiona w stan gotowości bojowej i skierowana do stolicy jako najbliższa jednostka wojsk pancernych; ktoś ostrożny w królewskim Komitecie obrony zdecydował, żeby przygotowała się do drogi. Wiązało się to z załadowaniem czołgów na platformy i przewiezieniem ich pod Rijad ciężarówkami – ponad tysiąc kilometrów przez góry i nadmorską szosę, co musiało zająć dobry tydzień. Było to posunięcie rozpaczliwe i niepraktyczne, zbyt powolne i z taktycznego punktu widzenia absurdalne. Generał Raszud się uśmiechnął i zapytał, kto dowodzi w Dżizan. Pułkownik wymienił nazwisko swego zastępcy, księcia krwi. Rawi polecił mu zadzwonić do Jego Wysokości i uzmysłwić mu, że marnuje tylko czas. Okazało się, że sam telefon był marnowaniem czasu, albowiem młody arystokrata już zwił do rodzinnej Dżeddy, zabrał całą rodzinę i odleciał w najbezpieczniejsze w tej sytuacji miejsce: do Szwajcarii. Rawi zaklął pod nosem, pomyślał przez chwilę i wydał ostatnie polecenie.

–Pułkowniku, zadzwoni pan do ministerstwa obrony i poinformuje ich o zniszczeniu bazy imienia Króla Chalida i kapitulacji waszego garnizonu oraz wyjaśni, że dalszy opór nie ma sensu.

Oficer chętnie na to przystał. Był tak wstrząśnięty wydarzeniami tej nocy i utratą dowództwa, że nawet zapomniał

zapytać generała o nazwisko. Czuł tak przemożną ulgę, że uszedł z życiem, a jego rodzina jest bezpieczna na miejscu w bloku oficerskim, że nie miał najmniejszej ochoty wysłać nikogo na pewną śmierć. Plan pułkownika był prosty: pozostać tutaj ze swymi ludźmi, dopóki nowy władca Arabii Saudyjskiej nie wyda mu nowych rozkazów. Rawi Raszud doradził mu śledzenie wiadomości telewizyjnych i uprzedził o rychłym przybyciu oddziału dwustu bojowników Al-Kaidy.

–Po prostu dla utrzymania porządku, rozumiemy się, pułkowniku? Nie chcemy tu żadnych nagłych zrywów w przypływie lojalności wobec starego reżimu. Dlatego też odetnę wszelką łączność bazy ze światem zewnętrznym. Środki transportu zostaną skonfiskowane przez Al-Kaidę, a jak pan już wie, nie pozostał w okolicy ani jeden samolot czy śmigłowiec.

To powiedziawszy, Raszud przekazał dowództwo komendantowi sił Al-Kaidy, który pożegnał go uściskiem dłoni, życząc, aby Allan prowadził generała na drugim etapie kampanii, w Rijadzie.

Tymczasem najmniej zatłoczona z ciężarówek ewakuacyjnych podjechała już pod zablokowaną bramę główną. Rawi rozstał się z większością swojej ośmioosobowej drużyny z Ha-masu, między innymi ze swoimi dwoma osobistymi ochroniarzami, którzy mieli powrócić do Damaszku. W podróży do Rijadu będą mu towarzyszyć trzej byli oficerowie saudyjscy, którzy zdezerterowali przed trzema laty i przyłączyli się do Al-Kaidy. Hamasowcy odjechali ciężarówką do górskiej kryjówki, gdzie przylecą po nich i po Francuzów śmigłowce transportowe armii jemeńskiej, maszyny jeszcze rosyjskiej produkcji, pozostałość sprzed ćwierć wieku, kiedy to Związek Radziecki był liczącym się graczem na południu Półwyspu Arabskiego. Nie były w najlepszym stanie technicznym, ale jeszcze zdolne do lotu. Komandosów z COS czekał – na wszelki wypadek powolny i na niskim pułapie – lot przez łańcuch górski do Sany.

Jedynym zagrożeniem w tej operacji były wszystkowi-dzące oczy amerykańskich satelitów zwiadowczych. Kwestia ewakuacji francuskich żołnierzy była jednak tak nagląca, że Rawi uznał ryzyko wykrycia za grę wartą świeczki – zwłaszcza-

cza że nikt nie może określić, co lub kto znajduje się na pokładzie śmigłowców.

Helikopter, którym Rawi Raszud i jego towarzysze mieli się udać do Rijadu, był za to nowiutki jak spod igły; przyleciał poprzedniego dnia, pilotowany przez dwóch ludzi z wojsk lądowych, lojalnych wobec księcia Nasira. Kiedy dotrze do stolicy, jego lądowiskiem będzie dziedziniec królewskiego pałacu.

Środa, 24 marca, godzina 1.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Zdjęcia nadchodzące z wydziału zwiadu satelitarnego były ostre i precyzyjne, ale zarazem prawie niewiarygodne. Amerykanie mieli już nadmiar materiałów z płonących instalacji naftowych, jednak te nowe dane były elektryzujące. Widać było na nich wyraźnie, że potężna baza lotnicza w okolicy Chamis Muszajt, dom dla osiemdziesięciu myśliwców bombardujących, została praktycznie wymazana z mapy. Lotnisko tonęło w morzu ognia, z samolotów zostały wypalone wraki, hangary przestały istnieć.

Komandor porucznik Ramshawe, od siedemnastu godzin nie opuszczający swojego biura, wpatrywał się w rozłożone wszędzie fotografie i raz jeszcze porównał je z mapą. Nie było wątpliwości – to jest Chamis Muszajt i zaatakował je jakiś wyjątkowo silny nieprzyjaciel. Jimmy mógł to porównać jedynie do unicestwienia egipskich lotnisk przez Izraelczyków w wojnie sześciodniowej z 1967 roku. Nie mógł uwierzyć, że teraz, w 2010 roku, jakieś państwo mogło wydać wojnę Arabii Saudyjskiej, a świat o tym nic nie wie. Takie rzeczy nie są możliwe. Miał jednak przed sobą niezbity dowód, że się zdarzają.

–Nie... – powiedział na głos. – Nikt nie mógł tego zrobić poza samymi Saudyjczykami. A to już byłby czysty idiotyzm.

Zadzwoił do wydziału bliskowschodniego CIA, ale i tam nowe informacje wzbudziły takie samo zdumienie. Od agentów w Rijadzie nadchodziły meldunki o przeciągających się zamieszkach w mieście, ale ani słowem nie wspominały o żad-

nym nalocie na południu, o skali zniszczeń porównywalnej do bombardowania Drezna przez aliantów podczas II wojny światowej. Następnie Ramshawe połączył się z admirałem Morrisem, budząc go w domu dość brutalnie:

–Sir, wygląda na to, że ktoś wszczął wojnę z Arabią Saudyjską i zaczął od zrównania z ziemią jednej z największych baz lotniczych, niszcząc przy tym całe skrzydło myśliwskie. Osiemdziesiąt maszyn, sir.

–Poważnie? – mruknął wyrwany ze snu dyrektor NSA. – I pewnie teraz chcesz powiedzieć, że

**to Francuzi posłali tam eskadrę mirage'ów i dali Arabom wycisk?**

**–Ehm... nie, sir. – Jimmy niełatwo tracił kontenans. – Myślę, że ich nowe myśliwce Rafale lepiej by się do tego nadały.**

**George Morris pozwolił sobie na uśmiech mimo powagi sytuacji.**

**–Mamy jakieś dane na ten temat? Langley coś wie?**

**–Nic nie mamy. Oni też nie ani nikt inny. To się po prostu stało, jak grom z jasnego nieba. Oczywiście musimy ten atak łączyć z poniedziałkową dywersją w przemyśle naftowym.**

**–Nie widzę innej możliwości, Jimmy. Ktokolwiek to zrobił, to te same osoby.**

**–Jasne, sir. Ale takiej sprawy dawno nie było. Dowiedziałem się od CIA, że prezydent właśnie zwołuje na naradę całą górę Pentagonu. Od drugiej będzie w Gabinetecie Ovalnym.**

**–Daj mi pół godzinki, Jim. Zaraz tam będę.**

**Komandor odłożył słuchawkę i znów spojrział na zdjęcia,**

**zastanawiając się, jaka jest aktualna sytuacja w Chamis Mu-szajt. Z najnowszych danych wywiadu wynikało, że u bramy głównej doszło do wymiany strzałów, ale nic nie świadczyło o ewentualnym nalocie lotniczym. Oparł się wygodniej i zatopił w rozmyślaniach. „Jeżeli nikt niczego nie zbombardował, a armia saudyjska wciąż jest na swoich pozycjach, musiała to być ich sprawa wewnętrzna. Tylko że dopiero co ustaliliśmy, że nikt nie mógł rozwalić tych instalacji, nie wykorzystując okrętów podwodnych. Tych zaś ich marynarka nie posiada. Dzisiejszy atak był zbyt precyzyjny jak na rakiety... te rzędy zaparkowanych samolotów musieli załatwić sabotażyści, inaczej na zdjęciach byłoby widać leje po wybuchach. Żeby wy-**

sadzić w powietrze skład paliwa, wystarczy jeden człowiek. Nie widać żadnych śladów kontraktaku... Tak, trzeba przyjąć, że to jakaś wewnętrzna rozprawa. Nie ulega jednak wątpliwości, że sprawcy z kimś współpracują. I myślę, że tym kimś jest Francja".

W jego rozumowaniu była tylko jedna, ale za to duża skaza: jak dobrze wiedział, przełożeni zażądają podania motywów. Na razie zaś Jimmy Ramshawe żadnego motywu nie dostrzegł.

„Jakiś motyw musi jednak być, tylko niewidoczny... w każdym razie dla nas, a to zupełnie inna sprawa”.

Podniósł słuchawkę i zamówił kawę dla dwóch osób z dostawą do gabinetu dyrektora, choć raczej nie groziło im zaśnięcie. „Takiej sprawy dawno nie było... Teraz na Bliskim Wschodzie, ale kto wie, gdzie się to skończy?”

Admirał Morris dotarł do biura i natychmiast zażądał dostarczenia najświeższych wiadomości z ambasady w Ri-jadzie. Znalazł w nich jednak wiele informacji o rozruchach w stolicy, ale na temat akcji militarnej na południu kraju była tylko mglista wzmianka. Bez ostatnich zdjęć satelitarnych ambasador wiedział mniej niż oni. Morris wziął lupę i przyglądał się zrobionym z wysokości trzydziestu dwóch tysięcy kilometrów fotografiom.

–Chirurgiczna precyzja, co? – zauważył. – Wszystkie zaparkowane samoloty, oba główne hangary i skład paliwa. Żadnego bicia piany... uderzyli tylko w istotne elementy. Nie widać ogólnego bałaganu na pasach startowych czy w innych częściach lotniska. To nie był ostrzał artyleryjski czy raketowy... Wówczas żelastwo byłoby porzucane po całym terenie.

–Tak właśnie pomyślałem, sir – odrzekł Jimmy. – Ten atak przeprowadzono na ziemi i to tak, że nikt w bazie się nie zorientował w zagrożeniu. Brzmi to niewiarygodnie... Saudyjskie lotniska wojskowe są dobrze strzeżone, a to leży o rzut beretem od wielkiego miasta garnizonowego. Przecież tam są tysiące żołnierzy.

–W ten sposób do niczego nie dojdziemy, Jimmy. Trzeba zastosować metodę Sherlocka Holmesa.

–Jeśli wyeliminujemy niemożliwe, zostanie tylko prawda?

–Właśnie. Poświęćmy zatem pięć minut na eliminowanie niemożliwego.

–Się robi, szefie. Po pierwsze, żaden agresor nie mógł wysadzić w powietrze rurociągów i pomp na środku pustyni. Po drugie, nie da się zniszczyć morskich platform załadunkowych od strony lądu. Po trzecie, nadbrzeżne rafinerie można rozwalić tylko raketami.

–Zgadza się. A co po czwarte? Niemożliwe jest zbombardowanie Chamis Muszajt bez wykrycia przez radary. I po piąte, żaden dywersant nie mógłby dotrzeć do tego lotniska z Bóg wie jaką ilością trotylu i spokojnie wysadzić w powietrze osiemdziesięciu maszyn bez poważnej kooperacji z jakimiś siłami wewnątrz armii saudyjskiej. Musieli dysponować mapami, schematami i mieć czas na rozpoznanie terenu.

–Tak jest. A po szóste, sir, ktokolwiek wystrzelił te rakiety, musiał to zrobić spod wody, inaczej zostałyby wykryte. Tego nie mogła dokonać saudyjska marynarka wojenna.

–Z czym więc zostajemy? – spytał admirał, wyraźnie nie życząc sobie usłyszeć nasuwającej się odpowiedzi. – Zostajemy z jedną niepodważalną prawdą. Gdzieś w łonie saudyjskich sił zbrojnych istnieje siatka buntu przeciwko własnej armii. Jej przywódca może mieć ambicje przejęcia władzy politycznej. Poza tym jakieś obce mocarstwo uznało za stosowne wesprzeć tego człowieka w jego zamiarze. Mówię mocarstwo, bo musi to być kraj dość duży, by mieć marynarkę wojenną ze sprawną flotą podwodną o globalnym zasięgu.

–A jest tylko jedna taka marynarka, której dwa okręty podwodne dopiero co w tajemniczy sposób zniknęły z pola widzenia – dodał Jimmy Ramshawe.

## ROZDZIAŁ 8

Środa, 24 marca, godzina 5.00. Biały Dom, Waszyngton

Prezydent Paul Bedford spędził w swym gabinecie prawie całą noc, czytając raporty, konferując z admirałem Morrisem bądź swymi doradcami wojskowymi i próbując znaleźć rozwiązanie narastającego kryzysu gospodarczego, jaki wydarzenia w Arabii Saudyjskiej ściągnęły na resztę świata. Problem tkwił w tym, że nikt, z samymi Saudyjczykami i amerykańskim ambasadorem w Rijadzie włącznie, nie miał pojęcia, co się tam właściwie dzieje.

O piątej pięć asystent powiadomił prezydenta, że dzwoni król saudyjski. Światowi przywódcy mają nienormowany czas pracy... Bedford natychmiast podniósł słuchawkę, kordialnie witając rozmówcę, choć dotąd nie miał okazji go poznać.

–Panie prezydencie... – zaczął król z odcieniem upokorzenia w głosie. – Żałuję, że przychodzi mi rozmawiać z panem w tak trudnych okolicznościach...

**–Domyślam się – rzekł Bedford. – Jak się zdaje, niezupełnie wiadomo, kto jest odpowiedzialny za te ataki na wasze państwo?**

**–Istotnie. Ktokolwiek jednak to robi, działa skutecznie. Zadano nam bardzo poważne ciosy zarówno militarne, jak i ekonomiczne. Prawdopodobnie przez co najmniej rok, a może dwa nie będziemy mogli eksportować ropy.**

**–Rozumiem powagę sytuacji. Trudno jednak przeciwdziałać, skoro nie ma jasno określonego wroga. Czy Wasza Królewska Mość ma jakiegokolwiek podejrzenia co do tożsamości agresora?**



–Nie, choć nie zdziwiłbym się, gdyby wyszło na jaw, że stoją za tym przywódcy jakiejś grupy islamskich fundamentalistów. Uważam jednak za właściwe poinformować pana, że wszyscy moi doradcy są zdania, iż żadna taka grupa nie mogłaby tego dokonać bez pomocy jakiegoś obcego państwa.

I na odwrót: zewnętrzny agresor nie zdołałby wyrządzić tylu szkód bez wsparcia wewnętrznego, i to ze strony naszej własnej armii.

–Rozumiem... To jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Diabeł u drzwi i diabeł w domu.

–Otóż to – przytaknął król. – Muszę zatem stwierdzić, że moja władza jest bardzo poważnie zagrożona i nie wiem już, komu mogę ufać.

–I dlatego Wasza Królewska Mość zwraca się do nas?

–Beduin zawsze jest wierny wypróbowanym przyjaciołom. Pański kraj był dla mnie największym przyjacielem, odkąd wstąpiłem na tron. I dlatego tylko z największym bólem powiem to, co zamierzam powiedzieć. – W głosie monarchy pojawiła się twarda nuta. – Muszę mieć pana zapewnienie... słowo człowieka przemawiającego w imieniu najpotężniejszego mocarstwa świata... że Stany Zjednoczone nie są w żaden sposób odpowiedzialne za to, co spotyka moje królestwo.

Przez chwilę po obu stronach linii trwała głucha cisza, po czym król dodał:

–Jeśli może pan mi dać takie zapewnienie, apeluję do pana o pomoc w potrzebie, jak ja nieraz pomagałem wam.

Paul Bedford był dostatecznie długo w Białym Domu, by wiedzieć, że kiedy raz da słowo, druga strona będzie je uważała za wiążące. Nie obruszył się, nie zapewniał kwiecistie o niewinności, ale bez fałszywego żalu, jaki często mimo woli pobrzmiwa w słowach tych, którzy świadomie kłamią, jednym prostym zdaniem wypowiedział to, na czym Saudyjczykowi tak rozpaczliwie zależało: Stany Zjednoczone nie mają nic wspólnego z całą tą historią. Co do drugiego punktu królewskiej prośby... Bedford dobrze wiedział, o co rozmówcy chodzi. Saudyjczycy kilkakrotnie rzucali na rynek dodatkowe ilości ropy naftowej, kiedy dostawy wydawały się zagrożone przez niezliczone problemy Bliskiego Wschodu, i jeszcze częściej

**stabilizowali ceny, gdy zaczynały zbyt gwałtownie ro-**

snąć. Współpraca między USA i Arabią Saudyjską układała się dobrze przez ponad trzydzieści lat, na długo przed obecną kadencją. Zawahał się jednak przed odpowiedzią. Jako były oficer marynarki rozumiał, jak ważne dla wojska są wyraźnie określone cele. Od razu przemknęła mu przez głowę myśl, że nie może posłać amerykańskich żołnierzy do walki z jakimś niewidzialnym przeciwnikiem. Kiedy po dłuższej chwili się odezwał, mówił łagodnym i pełnym troski głosem.

–Rozumiem punkt widzenia Waszej Królewskiej Mości.

Gdyby prośba dotyczyła wyparcia nieprzyjaciela z granic Ara

bii, moglibyście liczyć na to, że Stany Zjednoczone pierwsze

staną u waszego boku. W tej chwili mamy na Zatoce zespół

lotniskowca i nie zawahałbym się posłać go wam na pomoc.

Wydaje mi się jednak, że żaden z nas nie ma do czego strze

lać.

Król się mimo woli roześmiał.

–To szczerą prawdą. Nie widzę mojego wroga, wiem jed

nak, że istnieje i działa. I bardzo się obawiam następnych

kilku dni, czuję bowiem, że wkrótce znów uderzy.

–Głównym wrogiem może być Saudyjczyk... ale czy nie ma żadnych danych co do siły jego zagranicznych przyjaciół?

–Żadnych. Jesteśmy jednak przekonani, że musi to być ktoś dostatecznie potężny, skoro mógł tak sprawnie i skutecznie unieruchomić nasz przemysł naftowy. Nikt z moich doradców nie wierzy, aby tyle zniszczeń mogła spowodować choćby najsilniejsza organizacja terrorystyczna.

–Moi ludzie z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego są tego samego zdania – potwierdził Bedford. – Nawet szefowie sztabu z Pentagonu, o wiele ostrożniejsi w wyciąganiu wniosków, dochodzą do tej samej konkluzji.

–Nigdy jeszcze nie byłem w takich tarapatach – przyznał król. – Ja jestem zagrożony, moje państwo jest zagrożone, a ja nawet nie wiem przez kogo. Bardzo bym pragnął wezwać na pomoc moich potężnych amerykańskich przyjaciół, ale nie mam pojęcia, co mogliby zrobić.

**–Mam w Waszyngtonie mądrego i doświadczonego eksperta od spraw międzynarodowych – powiedział prezydent. – Był doradcą do spraw bezpieczeństwa ostatniego prezydenta republikańskiego. Zamierzam go wezwać dziś rano i poprosić**

o opinię i radę. Kiedy przedyskutujemy z nim sprawę szczegółowo, oddzwonię i przekażę Waszej Królewskiej Mości jego przemyślenia.

–Musi pan mówić o admirale Morganie. To rzeczywiście człowiek, który budzi respekt.

–Tak jest. Proszę oczekiwać mojego telefonu jeszcze dziś po południu.

Żaden z nich nie wiedział, że nigdy już nie usłyszy drugiego.

Tego samego dnia, godz. 6.30. Chevy Chase, Maryland

Budził się kolejny dzień niepewności i obaw, ale admirał Arnold Morgan jak zwykle szedł pod prąd. Ni okazując oznak napięcia, oddawał się jednej z niewielu pasji – zrywaniu żonkili, które o tej porze roku zaścilały jego rozległy ogród żółtym dywanem. Kiedy wchodził do kuchni ze swym łupem, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i jęknął, usłyszawszy, że „to ta cholerna fabryka”.

–Chwileczkę, sir, prezydent chce z panem mówić.

Po nocnej rozmowie z Jimmym Ramshawe'em admirał spodziewał się tego telefonu.

–Dzień dobry, Arnie – rozległ się w słuchawce głos Paula Bedforda. – Jak ci leci na emeryturze?

–Całkiem nieźle, panie prezydencie... zważywszy na okoliczności. Krótco dziś spałem.

–Wyobrażam sobie. Jak my wszyscy. To była pracowita noc.

–W czym mógłbym pomóc? – Morgan skrywał rozbawienie wyciągniętym przez głowę państwa wnioskiem. – Trochę się zresztą domyślam.

–1 słusznie, Arnie. Mógłbyś zaraz przyjechać do Białego Domu? Właśnie miałem telefon od króla Arabii Saudyjskiej. Powiem ci, że biedaczysko cholernie się niepokoi.

–Nie wiem, czy okażę się choć trochę pomocny, sir – od

rzekł Morgan. – Ale skoro pańska firma zapewnia mi wóz

i szofera, to chyba wypada, żebym chociaż wpadł i pogawę

dził. Będę za godzinę.

**–Dziękuję, admirale.**

**–Żaden kłopot, panie prezydencie.**

**Wcześniej tego samego dnia. Diraija pod Rijadem**

**Już prawie świtało, kiedy w ruinach dawnej saudyjskiej stolicy rozbrzmiał sygnał telefonu komórkowego pułkownika Gamoudiego. Dzwonił sam księżę Nasir.**

**–Jacques?**

**–Wasza Królewska Mość...**

**–Możesz zaczynać. Obie bazy w Chamis Muszajt padły dziś nad ranem. Lotnisko i wszystkie samoloty zniszczone. Garnizon skapitulował około trzeciej.**

**–A co z innymi garnizonami? Tabuk? Assad? Król Chalid? Są jakieś wieści?**

**–Jeszcze się nie poddały. Wszyscy trzej dowódcy odmówili wprost, kiedy generał z Chamis skontaktował się z nimi i zasugerował, że to może być dobry moment na złożenie broni.**

**–Dobra... Czy siły powietrzne poderwały w powietrze jakieś samoloty? Pojawiły się śmigłowce?**

**–Nie. Donoszą mi, że morale wśród lotników jest bardzo niskie. Wielu księząt uciekło z kraju.**

**–Są jakieś oznaki ruchów wojsk w którymkolwiek z garnizonów?**

**–Absolutnie żadnych. Wygląda na to, że chowają głowy w piasek.**

**–Cóż, sir, jest pan ekspertem od piasku, więc przyjmuję to za pewnik.**

**–Pułkowniku, podziwiam pana za poczucie humoru nawet w takiej chwili. – Księżę się roześmiał. – Muszę jednak zapytać: kiedy atakujemy?**

**–Od razu, sir. Już pora. Zadzwoń później.**

**Ta rozmowa i tak trwała za długo, aby można było liczyć na jej pełną poufność. Gamoudi wcisnął guzik kończący połączenie i wyszedł na otwarty plac za meczetem. Wezwał do siebie wszystkich pięciu dowódców i rozkazał uruchomić silniki maszyn.**

**–Ruszamy za dwadzieścia minut!**

W tym samym czasie następca tronu rozmawiał już ze swoimi stronnikami w mieście. Tysiące uzbrojonych obywateli saudyjskich szykowały się do marszu na główny pałac królewski, czekając tylko na czołgi.

Po raz pierwszy od 1818 roku mury Diraiji zdrząły od odgłosów przygotowań do boju – dziś nie był to dźwięk werbla, lecz basowy warkot dieslowskich silników wozów bojowych. Abramsy pułkownika Gamoudiego potoczyły się z wolna ku szosie, mijając rzędy transporterów, po brzegi załadowanych bronią i amunicją. Formowała się stalowa pięść, która miała zrzucić z tronu władcę Arabii. Do rozpoczęcia akcji pozostały zaledwie minuty. Myśliwy cofnął się do zburzonego meczetu i wystukał na klawiaturze telefonu numer kontaktowy niewielkiej grupy zwiadowców z francuskich tajnych służb, która trzy tygodnie wcześniej ulokowała się w Rijadzie, aby zebrać końcowe informacje, niezbędne Jacques'owi podczas ataku. Pułkownik ufał swoim saudyjskim informatorom, ale nie tak jak wywiadowi francuskiemu.

Michel Phillippes, dowódca grupy, nie miał wiele do dodania poza tym, że król rozkazał gwardii narodowej opuścić podmiejskie koszary z czołgami i transporterami i zająć pozycje w stolicy. Według uzyskanych przez Francuzów danych gwardzistom powierzono zadanie obrony za wszelką cenę Al-Mather, Umm al-Hamman i Nasrija – dzielnic otoczonych murami posiadłości i pałaców wysokich funkcjonariuszy rządowych i wielu książąt krwi. Michel donosił jednak, że operacja była prowadzona bez entuzjazmu. Kilka oddziałów dotarło na wyznaczone pozycje, ale zaraz nerwowo schroniło się za murami ogrodów. Część zaś nawet nie ruszyła się z koszar, a wielu żołnierzy cichaczem zniknęło. W porannych wiadomościach podano, że główne banki będą znów zamknięte tego dnia, ale o ile mu wiadomo, do przewidywanych zamieszek i grabieży na razie nie doszło; co więcej, cały jego zespół czuł, że w Rijadzie jest niezwykle cicho jak na tę gwarną zazwyczaj porę dnia, gdy słońce stoi już dość wysoko na niebie.

–Wygląda to jak cisza przed burzą – zakończył meldunek Michel. – *Un peu sinistre...* Trochę złowieszcza.

W tym, co się teraz działo w Diraiji, nie było nic złowieszczego i niewiadomego. To była armia ruszająca do boju: broń

sprawdzona, pociski w abramsach gotowe, pasy z amunicją przewieszane przez ramiona żołnierzy wsiadających do transporterów, silniki rozgrzane. Kości zostały rzucone o dziewiątej dwadzieścia: oddział Myśliwego wjechał na szosę prowadzącą do stolicy. On sam siedział w otwartym włazie pierwszego czołgu, ściskając w rękach pistolet maszynowy. Jacques Gamoudi, przewodnik górski z Pirenejów, mąż i ojciec, raz jeszcze szedł na wojnę. U szerokiego pasa miał swój nieodłączny nóż komandoski – na wszelki wypadek, gdyby dzisiejsza walka miała się przerodzić w starcie wręcz. Konwój jechał w szyku ubezpieczonym: trzy czołgi na przedzie w pojedynczej kolumnie, za nimi sześć wozów bojowych parami, znów trzy czołgi i sześć transporterów, kolejna trójka abramsów i dwanaście transporterów. Dalej sunęły ciężarówki wypełnione żołnierzami, a w ariergardzie podążał ostatni, dziesiąty czołg. Taki szyk trudno byłoby atakować, gdyby nawet ktokolwiek myślał o takim przedsięwzięciu.

Zanim ujechali pięć kilometrów, zadzwonił telefon pułkownika. Michel Phillippes meldował, że ludzie w popłochu ciągną na międzynarodowe lotnisko Króla Chalida. Nie inaczej było w odległej Dzeddzie, skąd także jest wiele połączeń za granicę. Cudzoziemscy pracownicy z rodzinami, menedżerowie i wyżsi urzędnicy koncernów naftowych, a nawet robotnicy, kobiety, dzieci, służący, nauczyciele, sekretarki i pielęgniarki – wszyscy rozpaczliwie usiłowali wyjechać z kraju. Setki ludzi ze wschodniej prowincji podążało szosą ku prowadzącej na wyspę Bahrajn grobli. Na mniejszych lotniskach w Dammamie i Daranie panował nieopisany ścisk i zgiełk; kto żyw, przepychał się do kontuarów linii lotniczych w nadziei na zdobycie upragnionych biletów. Nawet amerykańskie wojsko praktycznie rejterowało; personel z rozrzuconych po kraju baz starał się dotrzeć do Al-Chardż, jedyne lotniska, z którego Pentagon mógł zorganizować ewakuację swoich oddziałów. Michel miał tam swoich ludzi; oprócz Amerykanów natknęli się na dziesiątki brytyjskich pracowników kontraktowych z firm związanych z ministerstwem obrony, w tym przede wszystkim British Aerospace. Z Arabii Saudyjskiej wiali teraz wszyscy.

Ze wszystkich dotąd zebranych informacji Jacques Ga-



**moudi mógł wyciągnąć tylko jeden wniosek: tego ranka nie ma co się spodziewać jakiegokolwiek zbrojnego oporu, poza gwardzistami z pałacu królewskiego. Konwój sunął bez przeszkód ku północnym przedmieściom Rijadu. Przez całą drogę jego ludzie machali przyjaźnie do wszystkich napotkanych przechodniów. Przez całe lata wojaczki takie było credo pułkownika: zawsze starać się o dobre wrażenie w kraju, na który się napada.**

**W Rijadzie udawało mu się to tym lepiej, że mieszkańcy po prostu zakładali, iż jest to oddział armii saudyjskiej. Wszyscy byli w mundurach, na pojazdach widniały znane wszystkim emblematy. Któż by to mógł być inny? Pewnie szykują się dodatkowe kłopoty i wojsko jedzie bronić króla...**

**Pierwsza odłączyła się od kolumny grupa majora Madzi-da. Dwa czołgi i cztery transportery skręciły z szosy i skierowały się na przełaj ku portowi lotniczemu Króla Chalida, który mieli wziąć szturmem. Reszta oddziału ciągnęła dalej, ku zwartej zabudowie przedmieścia wzdłuż Makkah Road, gdzie oczekiwał ich liczny – co poniekąd zaskoczyło Myśliwego – tłum Saudyjczyków z nowiutkimi pistoletami maszynowymi, tak zapobiegliwie gromadzonymi przez oficerów księcia Nasira, wiwatujący gromko na cześć wojaków. Uformowany za pojazdami pochód pomaszerował ku skrzyżowaniu z ulicą Al-Mather. Tam w bok skręcił pododdział pułkownika Ban-dara, którego zadaniem było opanowanie gmachu mieszczącego główne stacje telewizyjne. Gamoudi skierował się ku siedzibie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jego oficerowie przez ręczne megafony nieustannie napominali, by nikt nie otwierał ognia bez komendy.**

**Wkrótce kolumna stanęła na wprost szerokiego wejścia do gmachu. Pełniący służbę na schodach wartownik, nerwowy jak większość obywateli, ogarnął ją jednym spojrzeniem i uciekł do środka, zatraskując za sobą masywne dębowe drzwi, ręcznie rzeźbione przez snycerzy z irańskiego Isfaha-nu. Pułkownik nie zwlekał ani chwili. Lufa jego czołgu dwukrotnie plunęła ogniem i po wrotach została tylko strzaskana framuga. Dwudziestu sześciu komandosów z Al-Kaidy, szkolonych w obozach w górach Afganistanu, rzuciło się naprzód; pierwsza szóstka cisnęła granaty w najbliższe okna. Jednocze-**

sne wybuchy w biurach na parterze miały druzgocący efekt. Zginęli urzędnicy, rozpadły się meble, zapłonęły dokumenty. Komandosi już byli w holu, wrzeszcząc: „Na ziemię! Wszyscy na ziemię!” Dwaj ministrowie wybiegli z sali obrad na antresoli i wychylając się przez kutą balustradę, zadali głupie pytanie, co się dzieje. Trafieni serią z peemu obaj spadli bez życia na posadzkę holu. Tymczasem następna szóstka atakujących wbiegała już na schody. Każdy dobrze znał rozkład budynku z planów otrzymanych w biurze firmy budowlanej, która przed dwudziestu laty oddała gmach ministerstwa do użytku. Firma nazywała się Bin Laden Constructions... Dziś także pracowali dla jej szefa, nieuchwytnego przywódcy najbardziej osławionej organizacji terrorystycznej od czasów Czarnego Września, Czerwonych Brygad -i Baader-Meinhof, którego celem było obalenie rozpustnego, sterowanego przez Zachód władcy ich ojczyzny.

Komandosi dotarli na drugie piętro i przyczaili się przy wschodniej ścianie pod wielkim kamiennym łukiem. Trzy sekundy później ogłuszający huk nad ich głowami dał sygnał do dalszego ataku: Gamoudi wpakował kolejne dwa pociski w okna na trzeciej kondygnacji. Przez chmurę ceglanego pyłu i sypiących się odłamków tynku pobiegli na górę...

Budynek był praktycznie w ich rękach. Pięćdziesięciu ludzi z bronią gotową do strzału przeczesywało pokój po pokoju, kopniakami otwierając drzwi i posyłając do środka na oślep serie pocisków, a następnie każąc tym, co przeżyli, poddać się i wychodzić. Dziesiątki przerażonych urzędników gromadziło się pod lufami w głównym holu. Trzydzieści dwie minuty po pierwszej salwie ministerstwo wraz z całym personelem stało się pierwszą ofiarą puczu księcia Nasira. Pułkownik Gamoudi rozkazał zabezpieczyć gmach i przeciąć linie telefoniczne. Zostawił w tym celu pięciu komandosów i wybraną z tłumu grupę dwudziestu uzbrojonych mężczyzn, sam zaś pociągnął dalej na północ, ku dzielnicy dyplomatycznej i leżącym za nią królewskim pałacom.

W tej samej chwili ludzie pułkownika Bandara stanęli pod wieżowcem telewizji. Główne drzwi i frontowa ściana były ze szkła, ale pułkownik nie dał się skusić pierwszej myśli, żeby wjechać prosto w nie czołgiem. Zamiast tego podjechał

na trzy metry do budynku i przez otwarte okno wrzucił granat do sali pocztowej. Po kilku sekundach zalegające w niej stosy papierów roznosił już wiatr. Cztery następne granaty zniszczyły westybul; podmuch eksplozji wbił w tynk sufitu parometrowej wysokości portret monarchy w ciężkich, złoconych ramach, który zawisł tam na moment, po czym runął w dół na zasłaną gruzem podłogę. Piętnaścioro pracowników wysunęło się z przyległych pomieszczeń z rękami uniesionymi wysoko nad głowy i na polecenie oficera wyszło na ulicę, gdzie wyznaczony pododdział ustawił ich pod ścianą. Z transporterów zeskoczyło trzydziestu żołnierzy, którzy wdarli się do budynku i ruszyli ku klatce schodowej, nawet nie spojrzawszy na windy. Dwaj ochroniarze próbowali stawiać opór, ale zostali bezlitośnie zastrzeleni. Pierwsza szóstka rozbiła stalowym krzesłem drzwi redakcji wiadomości, długiego pomieszczenia z dźwiękoszczelnymi studiami, i wpadła do środka, metodycznie wyciągając z gniazdek wszelkie przewody, których płałało się tam co niemiara. Przy stole w końcu pokoju dziennikarze szykowali się do następnego nadawania. Nie zdążyli się nawet poderwać z krzeseł, kiedy przygwoździła ich wystrzelona przez jednego z żołnierzy nad ich głowami seria z automatu. W chwilę potem do redakcji wkroczył pułkownik Bandar. Rozkazał wszystkim wstać, zdjąć z uszu słuchawki i pilnie słuchać, po czym warknął krótko:

–Kto jest redaktorem naczelnym?

Dwaj z dziewięciu cywilów wskazali na dwie różne osoby. Bandar bez uprzedzenia podniósł pistolet i zastrzelił obydwu. Powtórzył pytanie...

–Ja jestem redaktorem naczelnym działu wiadomości -rzekł cicho jeden z mężczyzn, wychodząc zza stołu.

–Zła odpowiedź! – krzyknął Bandar. – Byłeś redaktorem naczelnym. Teraz ja nim jestem. Pójdiesz teraz z moimi ludźmi i nakażesz wszystkim pracownikom zejść do głównego holu. Najmniejsza oznaka nieposłuszeństwa, a zginiesz ty i losowo wybrany jeden z twoich podwładnych. A wy... – Odwrócił się do pozostałych dziennikarzy. – Ręce do góry i jazda na dół! Schodami, nie windą!

Na rozkaz pułkownika czterech żołnierzy poszło za redaktorem przez budynek, zgarniając z kolejnych pomiesz-

czeń cały personel i kierując ludzi do westybulu, gdzie byli rewidowani i trzymani pod strażą. Bandar zszedł po dwudziestu minutach i zażądał, by dziesięciu techników stawilo się z powrotem w redakcji wiadomości. Wystraszeni elektrycy potulnie pomaszerowali, gdzie im kazano, i wzięli się do ponownego podłączania zespołów nadawczych, które dopiero co napastnicy tak skrupulatnie rozłączali. Pułkownik następnie obwieścił stłoczonym pracownikom, że wkrótce władzę w kraju obejmie następca tronu, który za parę godzin nada swoje orędzie, po czym zadał pytanie: kto z obecnych chce pracować jak przedtem, ale pod nowym, fundamentalistycznym rządem, a kto woli trwać w lojalności wobec obecnego władcy i zostać rozstrzelany... może nie dzisiaj, ale na pewno przed końcem tygodnia? Przy takiej alternatywie personel stacji jak jeden mąż zapewnił o swej niezłomnej woli służenia nowemu monarsze. Pozwolono im wrócić do biur, na wszelki wypadek pod czujnym okiem żołnierzy. Bandar polecił przygotować wóz transmisyjny, zaznaczając, że za cztery godziny ma podjechać pod pałac książęcy, gdzie nakręci historyczny film z pierwszego publicznego wystąpienia obecnego następcy tronu w nowej roli głowy państwa.

Główne stacje telewizyjne zajęto przy względnie niewielkich zniszczeniach, jak na te okoliczności. Do technicznej sprawności miały powrócić w parę godzin, choć już pod innym zarządem. Dookoła gmachu rozlokowało się obronnym pierścieniem dwustu żołnierzy i powstańców, aby zabezpieczyć go do czasu przybycia wyznaczonego na nowego dyrektora jednego z wyższych urzędników do spraw public relations z Aramco.

Tymczasem oddział majora Madżida dojeżdżał już do portu lotniczego Króla Chalida, prowadzony przez dwa czołgi w szyku czołowym, za którymi sunęły cztery transportery opancerzone i ciężarówki z setką komandosów. Dowódcami drużyn byli ludzie z Al-Kaidy osobiście wybrani przez pułkownika Gamoudiego, pozostali mieli za sobą służbę w armii saudyjskiej. Ku zdumieniu ochrony czołgi wjechały bez zatrzymania na teren lotniska, skruszywszy wysoki, betonowy płot niczym sklejkę, i skierowały się prosto ku wieży kontroli lotów. Po chwili osłupiali pasażerowie wsiadający do czekają-

cych na płycie samolotów ujrzeli, jak z transporterów strzelają smugi ognia – żołnierze odpalili cztery rakiety przeciwpancerne w przeszkloną kabinę operacyjną. Trafiła tylko jedna; dwie uderzyły poniżej, w korpus budowli, czwarta rozniosła wielką antenę radarową na szczycie. To jednak wystarczyło: wybuch w kabinie wybił wszystkie szyby i zdemolował czułe urządzenia. Zgasły ekrany komputerów, rozbrzmiały dzwonki alarmowe, radiostacja zamilkła, czternastu pracowników odniosło poważne rany, a dwaj zginęli na miejscu. Do wieży wdarli się komandosi, krzykiem żądając poddania się, ale nie miał już kto ani się bronić, ani kapitulować. Rakieta kompletnie zdemolowała pomieszczenie, za co pułkownik Ga-moudi z pewnością swych ludzi nie pochwali: przestrzegał ich wcześniej, że wyrzutni mogą użyć tylko w wypadku silnego oporu. Co się stało, to się nie odstanie...

Żołnierze majora opanowali terminal pasażerski, pod lufami peemów wyprowadzając niedoszłych podróżnych na zewnątrz i każąc wracać do domów -jakim bądź sposobem. Rekwirowali w tym celu lotniskowe autobusy i taksówki, które wypchane ludźmi zaczęły się sznurem kierować w stronę miasta. Kto zdążył kupić bilet i przejść przez odprawę, wygrał: Madżid ogłosił, że zatankowane i gotowe do startu samoloty będą mogły odlecieć. Wysłał nawet sześciu uzbrojonych po zęby bojowników z Al-Kaidy do hali bagażowej, by przekazali szefowi zmiany polecenie rzucenia wszystkich podwładnych do obsługi odlotów. Zarządził też, aby wszystkie restauracje pozostały otwarte; ewakuacja terminalu trwała oczywiście dalej, sterowana przekazywanymi przez radiowęzeł nakazami.

Zniszczoną wieżę kontroli lotów zastąpiła radiostacja awaryjna. Pilotom oczekujących samolotów kolejno udzielano pozwolenia na start, nadawano też ostrzeżenia, że żadna maszyna nie może lądować bez specjalnego zezwolenia majora Madżida. Dowódca chciał zapewnić wszelkie ułatwienia prywatnym odrzutowcom firmowym, przylatującym po personel techniczny wyższego szczebla z Aramco i British Aero-space – księżę Nasir będzie bardzo potrzebował takich specjalistów w najbliższej przyszłości. Godzinę po rozpoczęciu akcji mógł wreszcie zameldować telefonicznie Gamoudiemu o całkowitym opanowaniu lotniska.

Myśliwy wciąż prowadził trzon swoich sił na północ. Teraz już ciągnął za nim tłum co najmniej dziesięcioletni. Na skrzyżowaniu z aleją Króla Chalida dołączył znów do niego pułkownik Bandar. Gamoudi zarządził krótki postój i nakazał mu wziąć jeden czołg i cztery transportery i ruszyć pod położone na przedmieściu więzienie Dżubal, gdzie osadzonych było wielu członków i sympatyków Al-Kaidy, przeważnie bez procesu i wyroku. Rozkaz był krótki: „Rozwal bramę i zajmij obiekt siłą. To tylko straż więzienna, nie będzie stawiać oporu. Uwolnij wszystkich i melduj o wykonaniu”.

Opanowawszy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, lotnisko i stację telewizyjną, Gamoudi miał przed sobą jedno główne zadanie – atak na główną rezydencję monarchy. Najpierw jednak chciał załatwić inną sprawę: według informacji księcia Nasira, w pałacu księcia Miohd bin Abdula Aziza miała się zebrać w pełnym składzie rada królewska. Myśliwy nie wiedział, czy na tym rodzinnym spotkaniu będzie obecny którykolwiek z książąt krwi, ale był przekonany, że jeżeli kiedykolwiek nastąpi bunt przeciw panowaniu Nasira, to jego zarzewiem będzie ta właśnie grupa dzisiejszych notabli. Siedział wyprostowany w otwartym wózku pierwszego czołgu jak uosobienie zdobywcy – pistolet maszynowy przewieszony przez pierś, uniesiona głowa, krzepka sylwetka, a za nim pancerna formacja i tysiące odrodzonych pustynnych wojowników, maszerujących, by usunąć z tronu dotychczasowego władcę. Nastrój nie był jednak triumfalny; kolumna posuwała się w milczeniu, bez oznak radości ani podniecenia.

Wyznaczona trasa przemarszu celowo wiodła przez dzielnicę dyplomatyczną. Gamoudi chciał dobitnie uzmysłwić wszystkim obcym rządcom, że nie jest to jakaś niewydarzona próba zamachu stanu, ale prawdziwa rewolucja. Przed budynkami i w bramach mijanych ambasad stali małymi grupkami ich pracownicy, niewątpliwie układający już w myśli raporty z bitwy o Rijad. Spory tłumek wyległ na trotuar przed placówką brytyjską, a jeszcze liczniejsza grupa stała przed wejściem do ambasady amerykańskiej. Pułkownik przestraszył się, że ktoś z personelu dyplomatycznego może odnieść rany, jeśli – co w końcu nie było wykluczone -jego oddział napotka

nagle zorganizowany opór. Przejeżdżając obok nich, krzyknął więc na cały głos:

–Wracajcie do środka! Nie wychodzić na ulicę! O zmianie rządu zostaniecie powiadomieni w odpowiednim czasie!

Nikt z gapiów nie miał pojęcia, kto do nich przemawia. Pułkownik mówił po arabsku z miejscowym akcentem, a wszystkie wozy bojowe nosiły emblematy saudyjskich sił zbrojnych. Widzieli tylko, że silny oddział, prowadzony przez zdecydowanego dowódcę, zmierza w nieznanym, ale konkretnym kierunku. Ludzie ze służb dyplomatycznych są na ogół bystrzy i dobrze widzieli, że kroi się coś poważnego, ale wszystko to pozostawało dla nich zagadką.

Wyjątkowo usilnie głowił się nad tym pewien wyższy funkcjonariusz amerykański. Charlie Brooks podczas długiej i zaszczytnej kariery dyplomatycznej odbył niejedną kadencję w ambasadach w północnej Afryce i krajach Sahelu; chodziły słuchy, że może zostać nowym ambasadorem w nowo otwartej po wieloletniej przerwie placówce w Teheranie. Wbił wzrok w człowieka na czołgu, który tak władczo rozkazywał mu wracać do budynku. Charlie nie przywykł, by na niego krzyczano. Kiedy mierzył oficera zimnym spojrzeniem, zaświtało mu w głowie, że jego twarz wydaje mu się znajoma. Trudno mieć pewność... Mężczyzna nosił ghutrę i zwrócony był do niego półprofilem, ale... Charlie czuł, że skądś go zna. Przewertował w myśli historię swoich przydziałów, starając się przypomnieć sobie, kto mógł wyglądać podobnie jak ten nieznamy Saudyjczyk. Żadne konkretne nazwisko nie przychodziło mu jednak do głowy... dopóki wojskowa kolumna nie zniknęła za najbliższym rogiem.

Nagle stanął mu przed oczami pewien upiornie gorący dzień z czerwca 1999 roku. Kongo, dawna kolonia francuska; ambasada amerykańska w Brazzaville bezpośrednio zagrożona przez siły rebeliantów. Charlie dobrze pamiętał atmosferę oblężenia i ulgę, gdy nadszedł ratunek. Grzmot silnika śmigłowca lądującego na ich terenie, obsadzonego przez francuskich komandosów; dowódca wpadający do budynku z krzykiem, by każdy łapał, co się da, dokumenty, rzeczy osobiste i „zasuwał albo do helikoptera, albo do naszej ciężarówki przy bramie”. Pamiętał tego brodatego oficera o zdumiewająco

twardym wyglądzie nawet jak na komandosa, wymachującego pistoletem maszynowym, rzucającego rozkazy. Miał go przed oczami, jak odprawia zapakowany ludźmi śmigłowiec, a potem popędza resztę personelu do samochodu, dźwigając w obu rękach skrzynki z dokumentami, a w końcu w ostatniej chwili, już w biegu, wskakuje na ciężarówkę.

Udało się im pokonać te kilka kilometrów dzielące ich od granicy i międzynarodowego lotniska w Kinszasie, gdzie ten sam oficer kierował dalszą ewakuacją, prowadząc wszystkich do czekającego na pasie startowym transportowca. Charlie mgliście pamiętał wchodzącego po stopniach ambasadora, Aubreya Hooksa, i jego świętę obarczoną walizkami; słyszał rozkazy wykrzykiwane przez brodacza, poganiającego potykających się, wystraszonych cywilów. Dołączyły wtedy do nich także inne grupy, w tym zespół operacji specjalnych departamentu stanu z działu europejskiego, głównie analitycy i tym podobni, aż wreszcie samolot był pełen. Miejsca nie starczyło tylko dla francuskich żołnierzy, którzy wyprowadzili ich z rejonu zagrożenia i potem wrócili do Brazza-ville. Ostatnim wspomnieniem Charliego Brooksa z tamtych chwil był widok przez okienko MC-130 rwącego ostro w górę i kładącego się w zakręt nad rozlaną szeroko rzeką Kongo: grupka komandosów w panterkach przed terminalem, patrzących na nabierający wysokości samolot. Brooks był wtedy pewien, że nigdy nie zapomni twarzy ich brodatego dowódcy.

Teraz jednak nie miał całkowitej pewności. Przysięgłby, że facet na wieżyczce saudyjskiego czołgu był tym francuskim oficerem. Pamiętał nawet jego nazwisko... prawie. Wydawało mu się, że podkomendni nazywali go wówczas „majorem Chasserem”. Chciałby usłyszeć, jak mówi swoim normalnym głosem – wtedy mógłby powiedzieć na pewno, czy to ta sama osoba. Ten gardłowy okrzyk po arabsku sprzed paru minut, powtórzony na ich użytek po angielsku – „Wracajcie do środka!” – w niczym mu nie pomógł. Mimo to dałby sobie uciąć może nie głowę, ale jakiś mniej ważny fragment ciała, że na prowadzącym kolumnę czołgu siedział nie kto inny, jak major Chasser.

W umyśle zawodowego dyplomaty, od lat ściśle współpra-



cującego z CIA, nie mogło to nie zrodzić automatycznie następnego pytania: co, do cholery, taki ktoś robi w mundurze saudyjskiego pułkownika i ewidentnie na dowódczym stanowisku, w samym środku wydarzeń w ogarniętym zamieszkami Rijadzie? Charlie Brooks za nic nie mógł tego zrozumieć. Chyba że...

Chyba że Francja jest w jakiś sposób zamieszana w atak na Arabię Saudyjską. Ale czołgi były „tutejsze”, a w armii saudyjskiej nie mogą służyć obcokrajowcy... Nic tu się nie zgadza, mruknął pod nosem dyplomata. Może się mylę... Gość wyglądał jak rodowity Arab. Ale... to samo można by powiedzieć o majorze Chasserze!

Tymczasem oddziały Gamoudiego ze złowrogim chrzęstem czołgowych gąsienic parły dalej przez alejki dzielnicy dyplomatycznej. Maszerujący tłum zdawał się z każdą chwilą gęstnieć. Do pałacu księcia Miohda zostało już tylko dwieście metrów; widać już było jego wysokie, białe mury i pułkownik Gamoudi dał sygnał. Trzy jadące na czele kolumny czołgi wystrzeliły niemal jednocześnie. W lśniących ścianach pałacu pojawiły się czarne wyrwy; komnaty i korytarze zasypał deszcz ceglanych i betonowych odłamków, powietrze wypełnił duszący pył. Cztery następne pociski wbiły się w drugie piętro budowli, inny zmiotł wieżyczkę wartowniczą na murze zewnętrznym. Zagrożona brama była ważnym punktem obrony: dwunastu gwardzistów natychmiast rzuciło się zająć przy niej pozycje. Atakujące czołgi znów otworzyły ogień, tym razem nie z dział, lecz z karabinów maszynowych, omiatając długimi śmiertcionośnymi seriami pałacowy dziedziniec. Pod ich kulami padła cała dwunastka. Gamoudi już był przy bramie; jego Abrams bez trudu pokonał wrota z kutego żelaza, wrywając je z masywnych zawiasów i wgniatając gąsienicami w betonowy podjazd. Pułkownik cisnął jeden po drugim dwa granaty w okna na lewo od bramy, a dowódca następnego czołgu uczynił to samo, biorąc na cel prawą stronę wjazdu. Detonacje zabiły wszystkich w pomieszczeniu wartowni i znajdującym się naprzeciwko niej sekretariacie. Drzwi obok sekretariatu otworzyły się gwałtownie i na zewnątrz wybiegło sześciu gwardzistów – nie wiadomo, czy aby się bronić czy się poddać; uzbrojeni byli dobrze, ale żaden nie podniósł bro-

ni do strzału. Jacques ściał ich wszystkich ze swojego peemu. Nie było czasu na pytania.

Komandosi już wbiegali na dziedziniec, wysypując się z dwóch transporterów tuż za stalowymi cielskami abramsów. Pierwsi na szczycie schodów znaleźli się czterej byli żołnierze saudyjskich sił specjalnych, sami doświadczeni dowódcy, którzy jeszcze niedawno, w pierwszych latach wieku brali udział w tajnych operacjach przeciwko Al-Kaidzie, a dziś walczyli z nią w jednym szeregu. Nie żalowali amunicji, strzelając na oślep po całym westybulu, mimo że nie zastali w nim nikogo. Tuż za nimi wbiegła szóstka ich dawnych wrogów, kierując się od razu na schody górnej kondygnacji. Tam właśnie zaczęły się pierwsze kłopoty. Gwardziści pełniący służbę na górnym piętrze przed główną salą konferencyjną mieli około dwóch minut na zajęcie pozycji obronnych. Zdążyli w tym czasie ustawić dwa karabiny maszynowe u szczytu schodów i kiedy ludzie z Al-Kaidy dobiegali na piętro, otworzyli ogień, zabijając całą szóstkę. Jacques Gamoudi stanął właśnie w głównym wejściu i ku swemu zdumieniu zobaczył, że jest jedynym celem dla obu kaemów. W okamgnieniu rzucił się na podłogę i przetoczył w bok, byle dalej od schodów. Cudem udało mu się dotrzeć pod gradem pocisków przez rozrzucony wszędzie gruz pod osłonę masywnego biurka recepcji. Pozostali żołnierze ze szpicy zajmowali stosunkowo bezpieczną pozycję pod schodami; nie mając do kogo strzelać, kaemiści przerwali ogień. Pułkownik powoli przepełznął pod nawis galerii pierwszego piętra. Dziękował teraz w duchu Allahowi za to, że w Pirenejach zdążył po mistrzowsku opanować technikę ulubionej francuskiej gry w boule z ciężkimi metalowymi kulami i chytrymi, podkręcanymi rzutami. Niejedną miłą godzinę spędził z sąsiadami z Heas na, jak to żartobliwie nazywali, bulodromie – niewielkim płaskim i piszczystym placyku w cieniu drzew, nieopodal skromnego rynku. Szybko się zorientował, że kula ma wagę zbliżoną do granatu ręcznego. Może jest cięższa, ale nieznacznie.

Wyrwał zawleczkę z granatu i cisnął go ponad balustradą w miejsce, gdzie leżeli jego zabici podkomendni. W westybulu było teraz cicho, ale na łoskot uderzającego o marmur żelaza gwardziści natychmiast zaczęli strzelać w tamtym kierunku.

Jacques zyskał cenne sekundy. Wsunął się o krok spod galerii i rzucił drugi granat prosto w górę, nadając mu ruch obrotowy. To wystarczyło, by odpowiednio odchylić trajektorię lotu... Granat zgrabną parabolą przeleciał nad balustradą i cztery sekundy później eksplodował, prawie natychmiast po pierwszym.

Gamoudi nie wiedział, jak się znalazł z powrotem pod osłoną galerii. Pamiętał tylko, że uniósł prawą stopę, obracając się na lewej... i padł twarzą na dół o dwa i pół metra od pozycji rzutu. Wybuch ściał cały odcinek marmurowej balustrady imiotnął nim w dół. Gdyby pułkownik stał tam, skąd rzucał, zginąłby przygnieciony ciężarem; teraz poczuł tylko, jak posadzka zadrzała pod nim od uderzenia kamiennego pocisku.

Na górze nikt z gwardzistów nie ocalał, cekaemy zamienione zostały w poskręcany złom. Jacques poderwał się na nogi i wykrzyczał kilka rozkazów dla swych ludzi czekających przed wejściem. Trzej żołnierze pospieszyli za nim na górę, czwarty przekazywał polecenie dla drużyny sanitarnej, aby zabrała zwłoki poległych. Dobiegłszy na piętro, pułkownik zatrzymał się pod dużymi podwójnymi drzwiami, wyważył je silnym kopnięciem, odskakując w bok, żeby zrobić miejsce. Sekundę później do sali wpadły trzy granaty. W konferencji brało udział piętnastu ministrów, z których tylko jeden nie był członkiem królewskiej rodziny. Potrójną eksplozję przeżyli tylko dwaj, którzy mieli dość rozsądku i refleksu, by się schować pod masywny stół. Po chwili wstali z podniesionymi rękami, ale Gamoudi bez wahania zastrzelił obu krótkimi seriami z peemu.

Teraz na piętrze było już około trzydziestu atakujących. Dalszego oporu nie napotkali, ale naruszona wybuchami galeria wyglądała, jakby za chwilę miała się zapaść. Pułkownik wydał ostatni rozkaz oficerowi, który miał pozostać w pałacu:

–Zabezpieczyć budynek, aresztować wszystkich, w razie oporu zabić. Zostawiam panu stu ludzi.

Zdecydowana akcja w pałacu księcia Miohda potwierdziła to, co przewidywano już w fazie planowania: poranne posiedzenie rady królewskiej odbywało się bez obecności samego władcy. Król niewątpliwie tkwił zabarykadowany w głównej rezydencji Al-Salam, w strachu o własne życie po oszalecia-

jących wydarzeniach ostatnich paru godzin, o których z pewnością mu doniesiono. Pułkownik zwołał ad hoc naradę swego sztabu. Na rozłożonej mapie wskazał dwa pomniejsze pałace wzdłuż drogi do Al-Salam. Jego instrukcje dla dowódców pododdziałów były jak zwykle lakoniczne. Podkreślił konieczność unikania niepotrzebnego rozlewu krwi i zniszczeń.

–Służbie powiecie, że ma zostać na miejscu. Wszystkich krewnych królewskich aresztować... choć wątpię, czy kogokolwiek z książąt jeszcze zastaniecie. Weźcie po czterdziestu ludzi, nie więcej. Nowy król wygłosi swe pierwsze orędzie z któregoś z tych dwóch pałaców.

To rzekłszy, Gamoudi wrócił na wieżyczkę swojego czołgu. Czekał go ostatni odcinek drogi, półtora kilometra do królewskiej rezydencji. Nie ujechał jednak i stu metrów, kiedy pojawił się nowy problem – nad kolumną zawisł nisko samotny śmigłowiec wojskowy. Myśliwy przyjrzał mu się przez lornetkę; numer taktyczny nie figurował na jego krótkiej liście trzech helikopterów, jakimi dysponował książę Na-sir. Jacques domyślił się, że maszyna mogła przybyć w celu ewakuacji króla – na to zaś nie mógł pozwolić. Zanim jednak zdążył wydać rozkaz zestrzelenia intruza stingerem, śmigłowiec pochylił się do przodu i odleciał prosto ku pałacowi. Gamoudi jeszcze nie skończył soczystej wiązanki przekleństw, kiedy pojawiły się dwa następne helikoptery z emblematami armii saudyjskiej, lecące nisko nad dachami budynków. Ponownie podniósł lornetkę do oczu; tym razem wyraźnie zobaczył oznaki pułku królewskiego na ich ogonach. Nie ulegało wątpliwości – to próba wydostania króla z zagrożenia. Były to dwa duże transportowe chinooki; po chwili zniżały się już do lądowania na terenie rezydencji. Nie było ani chwili do stracenia. Zsunął się błyskawicznie do wnętrza czołgu, dopadł radiostacji i wcisnął czerwony guzik na nadajniku. Trzydzieści trzy kilometry dalej w kokpicie czekającego na płycie lotniska międzynarodowego podstarzałego boeinga 737 niemal natychmiast pchnął do przodu manetki silników. Za sterami samolotu siedzieli dwaj młodzi fanatycy z Al-Kaidy, dla których miała to być ostatnia podróż w życiu – u jej celu zagrzmia dla nich trzy trąby, wzywające do przejścia przez most do raju, w objęcia Allaha.

Boeing położył się w ciasnym wirażu w lewo, kierując się na wschód, nad północne przedmieścia Rijadu. Zatankowany do pełna wyrównał na niskim pułapie i pomknął z prędkością pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę ku celowi. Gamoudi zatrzymał kolumnę o tysiąc metrów od bram pałacu, czekając na przybycie samobójców, którym powierzył misję jego zniszczenia. Przelot z pasa startowego nad pałac zajął niespełna cztery minuty – wszystkie głowy zwróciły się ku rosnącej w oczach srebrzystej maszynie, lecącej, zdawało się, wprost na nich. Samolot przemknął nisko, celując w podstawę wieńczącej pałac wielkiej centralnej kopuły. Gamoudi mimo woli wstrzymał oddech, gdy boeing z rykiem pracujących teraz z pełną mocą silników śmignął mu nad głową.'

Pilot musiał wyczuć, że jest za wysoko. Pociągnął w tył manetki i pchnął wolant do przodu, zmuszając maszynę do pochylenia nosa, po czym znów dodał gazu. Za późno – wciąż wyglądało na to, że przeleci nad celem, do którego zostało mu jeszcze niecałe czterysta metrów. Pilot szybkim ruchem cofnął manetki i odciał dopływ paliwa; nagle ustanie ciągu silników zakołysało maszyną; nos uniósł się w górę i ociężały kadłub opadł jak kamień o kilkanaście metrów. To wystarczyło. Uderzył brzuchem w sam szczyt kopuły i w jednej sekundzie zniknął w kuli ognia. Kopuła zapadła się pod potężnym ciosem, zabijając wszystkich, którzy jeszcze pozostawali na górnej kondygnacji. Boeing jak w zwolnionym tempie skręcił w lewo i przechylił na prawe skrzydło, dotykając jego końcem ziemi. Nagły opór obrócił go gwałtownie i maszyna uderzyła nosem w grunt z wielkim hukiem, miażdżąc pięć zaparkowanych tam mercedesów. Ósemka wartowników trzymająca straż na tyłach pałacu zginęła od razu, ale cel całej tej operacji – zabicie króla i jego najbardziej zaufanych doradców -nie został osiągnięty. Biegli teraz pochyleni ku czekającym śmigłowcom. Było ich razem osiemnastu – samych mężczyzn. Kobiety i dzieci z królewskiej rodziny uciekły z kraju już cztery godziny po upadku baz wojskowych w Chamis Muszajt. Grupa i tak była jednak dość duża, a pojemność chinooków ograniczona – przed pasażerami trzeba było załadować skrzynie bezcennych klejnotów i dzieł sztuki.

**Pułkownik Gamoudi nie miał złudzeń co do charakteru**

misji śmigłowców. Widział słup czarnego dymu unoszący się w niebo zza pałacu, ale nawet z odległości kilometra widać było wyraźnie, że boeing nie wypełnił przewidzianego zadania. Jego ofiara mogła mu się wymknąć! Ostatnią zaś rzeczą, jakiej nowy król mógłby sobie życzyć, był jego poprzednik cały i zdrowy. Nawet powściągliwi Brytyjczycy wygnali z kraju Edwarda VIII i jego amerykańską dziewczynę, kiedy zapadła decyzja, że jego miejsce zajmie Jerzy VI. Najgorszym ciosem dla Nasira byłoby, gdyby obalony władca miał sobie dalej żyć, i to po królewsku, z nagromadzonych gdzieś w Szwajcarii bogactw, podczas gdy on będzie w znoju stawiał Arabię z powrotem na nogi. Gamoudi musiał jakoś przygwoździć uciekającego Sauda. Miał na to nie więcej jak dziesięć minut – właśnie w pałacowym ogrodzie lądował trzeci śmigłowiec. *Merdel* – wymamrotał, gorączkowo sygnalizując wszystkim kierowcom, by z maksymalną prędkością gnali naprzód. Silniki zawyły na wysokich obrotach, ale od pałacu wciąż dzieliły ich trzy minuty jazdy. Byli o minutę od bramy, gdy powietrze rozdarły dwie nowe silne eksplozje, a nad murem wykwitła chmura dymu i ognia. Nikt jednak nie wiedział, co tam zaszło.

Pierwsze maszyny dopadły bramy i wdarły się na teren rezydencji, witane bezładną strzelaniną z broni maszynowej pozostałych jeszcze na posterunku gwardzistów, którzy schronili się na parterze pałacu. Ludzie Gamoudiego odpowiedzieli zmasowanym ogniem i szybko uciszyli obrońców, odbierając im ochotę na wychylanie głów nad parapety. Scena, jaka ukazała się przed oczami Gamoudiego, miała mu się wryć w pamięć na zawsze. Z obu chinooków pozostały płonące sterty żelastwa, na ziemi leżały trupy sześciu Arabów w białych dżelabach, a nieco dalej po prawej stał oparty o palmę... były major SAS Ray Kerman w towarzystwie jednego ze swych ludzi z Hamasu. Obydwaj trzymali w rękach dymiące jeszcze ręczne wyrzutnie rakiet.

–Cześć, Jacques. – General Raszud jak gdyby nigdy nic

przywitał przybyłego. – Pomyślałem sobie, że lepiej załatwię

za ciebie te śmigłowce. Nie masz mi tego za złe, co?

Pułkownik na chwilę zaniemówił.

–Boże drogi! – wykrztusił w końcu. – Czyżbyś to ty przy

leciał przed chwilą tym trzecim helikopterem?

–A jak myślałeś, że tramwajem? – Rawi uniósł brwi w za-  
skoczeniu.

Gamoudi pokręcił głową i się roześmiał. Wnet jednak wrócił myślami do ogromu problemów i nagle krzyknął nienaturalnie głośno:

–Cholera, Rawi! Gdzie król? Gdzie, do diabła, jest król?

–Tam. – Raszud wskazał kciukiem pałac.

–Skąd wiesz?

–Głównie stąd, że widziałem, jak wchodził. On i pięciu ochroniarzy. Miał w ręku kałasza.

–Przecież może uciec! Choćby tylnym wyjściem!

–Nie da rady. Właśnie posłałem tam trzech moich ludzi, żeby obstawili tyły pałacu. Poza tym jest trochę za gorąco na spacer po ogrodzie. Zwróciłeś chyba uwagę, że leży tam w cieniu palm wielki samolot z czterystu tonami płonącej benzyny...

–To znaczy, że musimy go wykurzyć, tak?

–Ano, tak. Przydam się wam do czegoś?

–A czy de Gaulle był Francuzem? Chcesz peem?

–Przecież nie łuk i strzały.

Jacques puścił mimo uszu ten wątpliwej jakości dowcip; pogromca Chamis Muszajt był widać w wyjątkowo sarkastycznym nastroju. Zawrócił do swoich oficerów, dając Rawie-mu znak, by do nich dołączył. Ktoś podał generałowi pistolet maszynowy i parę magazynków, a jeden z bojowników Al-Kai-dy rozłożył plan pałacu. Jacques studiował go już wcześniej, nigdy jednak nie przypuszczał, że będzie go naprawdę potrzebował. Liczył, że atak pilotów-samobójców obróci królewską rezydencję w perzynę, i był przekonany, że ostateczna interwencja sił księcia Nasira będzie tylko rutynowym zajęciem terenu. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna. Pałac doznał oczywiście poważnych uszkodzeń, ale w części dachowej; najwyższe piętro z pewnością jest zasłane gruzami. Jednakże pierwsze dwie kondygnacje, w tym dwadzieścia siedem królewskich sypialni, prawdopodobnie pozostały nietknięte. Było przy tym najzupełniej prawdopodobne, że osobista ochrona -przynajmniej dwudziestu ludzi wybranych z pułku królewskiego – stawi zacięty, desperacki opór w obronie swojego króla. Być może mają nawet w pałacu zawczasu przygotowane kry-

jówki; nie wiedzieć czemu Jacques'owi przyszły na myśl „księżę dziury” z angielskich XVI-wiecznych zameczków, w których katolicy kapłani chowali się przed siepaczami Henryka VIII. Nie uśmiechała mu się perspektywa ścigania króla w jakimś kominie czy podziemnym lochu. Wpatrywali się z Raszudem w rzuty kondygnacji rozległej budowli. Liczne komnaty, salony, jadalnie urządzone z niewyobrażalnym przepychem łączył istny labirynt korytarzy; na dole były kuchnie, spiżarnie i magazyny, i wewnętrzny dziedziniec z krużgankami. Gamoudi pokręcił głową w bezsilnej frustracji. Co teraz robi władca? Pewnie wisi na telefonie, informując świat o swej niedoli. Może właśnie błaga o pomoc swojego przyjaciela z Białego Domu, donosząc, że atakuje go jakaś banda wariatów, więc ONZ musi go szybko ratować?

Znacznie gorsza była ewentualność, że król ze swiątą, wśród której byli i dowódcy armii, planuje zaszyć się gdzieś w pałacowych zakamarkach i przedrzeć na zewnątrz pod osłoną nocy. Atakujący odnieśli duże sukcesy, zadali silne ciosy i zdołali wzniecić powstanie, ale monarcha nie stracił nic ze swego niezmiernego bogactwa i wciąż miał za sobą poważne siły militarne. Wojsko mogło zaś wydostać go z pułapki – a to byłaby najgorsza z możliwych wiadomości dla księcia Nasira. Gamoudi i Raszud potrafili sobie wyobrazić, jak obalony Saud udziela w jakiejś luksusowej posiadłości nad Jeziorem Genewskim wywiadów, skarżąc się na bezprawie i niemoralność zbirów, którzy wygnali ze spokojnego i bogatego królestwa prawowitego władcę, najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miał Zachód. Dla mediów byłaby to wielka gratka i nikt by nie dochodził, ile jest w tym prawdy. Wrzawa, jaka by się w świecie podniosła, mogłaby rzeczywiście skłonić ONZ do potępienia księcia Nasira i jego sprawy.

–Rawi, musimy go dostać – rzekł ponuro pułkownik.

–1 to szybko. Nie trzeba mnie o tym przekonywać – odrzekł Raszud.

–Jak się do tego zabrać? Ja bym zaatakował frontalnie, staranował czołgiem wejście i wpadł do środka, grzejąc do nich ze wszystkiego, co mamy.

–Lepiej tak, niż dzwonić do drzwi. – Rawi się uśmiechnął. – Ustawmy przed pałacem kilku ludzi z ręcznymi gra-



natnikami i niech walą w okna wyższych pięter, kiedy my sforsujemy główne wejście.

–Dobra. Nie byłoby dobrze, gdyby wycofali się na górę, w ten bałagan pod kopułą. Mogą tam mieć dobre, osłonięte pozycje, a poza tym wolałbym nie bić się w tym budowlanym leju po bombie. Konstrukcja może być naruszona i kto wie, czy na przykład wybuch granatu nie zarwie piętra?

–Masz rację. I lepiej wzmocnijmy posterunki na tyłach pałacu, jeśli pożar już osłabł. Tylko niech chłopaki nie sterczą na otwartym placu. Nie zdziwiłbym się, gdyby gwardia ustawiła w oknach cekaemy.

–Przyjdzie nam chyba zdobywać salę po sali – mruknął Jacques.

–Niestety. Mnie też to się nie podoba. Ale spieszymy się.

Wyznaczyli szesnastu żołnierzy, którzy mieli atakować od

frontu za czołgiem. W drugim rzucie miała pójść dwudziestka z Al-Kaidy i Hamasu. Ustalili, że Myśliwy skoncentruje się na pomieszczeniach parteru, Rawi zaś poprowadzi komandosów na górę. Zadanie nie było łatwe; królewska gwardia mogła się okazać twardym orzechem do zgryzienia i trzymać na pozycjach do zmięczenia. Znając doskonale swój teren, zyskają wtedy dodatkową przewagę. Wszystko to zajmie czas, którego im brakuje, a król może go wykorzystać...

Pułkownik Gamoudi wspiał się na swojego abramsa. Odczekał, aż pododdział szturmowy zajmie pozycje za czołgiem, po czym rozkazał kierowcy ruszać. Z rykiem silnika ciężka maszyna potoczyła się ku wrotom pałacu. Jacques schował się we włazie, gdy uderzyła w drzwi, wyłamując je i miażdżąc pod gąsienicami. W tej samej chwili o pancierz zadudniły pociski cekaemów gwardii. Nie wyrządziły oczywiście szkody, ale przygwoździły do ziemi nacierającą piechotę, chroniącą się za stojącym do połowy w wejściu abramsem. Teraz to Myśliwy nie ośmielił się wychylić głowy ponad „parapet” włazu; polecił kierowcy wycofać się nieco, a działonowemu obrócić wieżyczkę, skierowaną do tyłu dla ochrony lufy podczas taranowania drzwi. Jeden za drugim cztery pociski uderzyły w galerię pierwszego piętra; ściany nośne nie wytrzymały i załamały się, powodując zapadnięcie się wyższej kondygnacji w tej części budynku. Całą przestrzeń wypełniła gęsta chmura

ceglanego i cementowego pyłu i kiedy przebrzmiało echo wybuchów, na chwilę zaległa cisza. Karabiny maszynowe umilkły; sala za ścianą, w którą trafiły pociski, przestała istnieć i jeśli ktokolwiek w niej przebywał, musiał zginąć. Gamoudi uznał, że niebezpieczeństwo minęło, i dał znak generałowi Raszudowi, by zajął to, co zostało z pierwszego piętra. Patrzył w ślad za Rawim, gdy ten wbiegał na przysypane gruzem marmurowe schody na czele grupy swoich ludzi. Z miejsca, skąd wcześniej do nich strzelano, nie dochodził żaden odgłos.

Jacques podzielił swoich żołnierzy na dwa oddziały i objąwszy dowództwo jednego z nich, ruszył w korytarz na lewo, drugi kierując w przeciwną stronę. Kopnięciami otwierał drzwi kolejnych pomieszczeń, do każdego wrzucając granat. Był w tej walce jeden aspekt, który znacznie ją ułatwiał: nikogo nie obchodziło, kto może być w danym pokoju, czy przeżyje, czy zginie i jakich zniszczeń dozna pałac. Można było iść na całość.

Oczyszczenie sześciu pomieszczeń szło zgodnie z planem. Kiedy jednak pułkownik wyważył drzwi do siódmego, w tej samej chwili wyleciał z niego na korytarz granat, uderzył o przeciwległą ścianę i potoczył się po podłodze. Jacques obrócił się błyskawicznie i rozpostartymi ramionami pchnął swoich ludzi, padając z nimi płasko na posadzkę. Udało mu się uratować sześciu; dwóch, których nie zdołał „zgarnąć”, zginęło od wybuchu. Ocaleni pozbiali się szybko, poturbowani i ogłuszeni, ale żywi – i wtedy z pokoju rzucono następny granat.

Znowu pierwszy spostrzegł go dowódca, lecz tym razem wepchnął wszystkich do sali naprzeciwko, zatraskując za sobą masywne drzwi właśnie w chwili, gdy korytarzem wstrząsnęła eksplozja. Sytuacja nagle zrobiła się poważna. Wspólnymi siłami przesunęli pod drzwiami solidną komodę, żeby zyskać trochę na czasie. Brakowało im broni: cztery peemy zostały wśród gruzu na korytarzu, nie mieli już także granatów. Cała szóstka znalazła się w pułapce – przynajmniej dopóki nie uda się im otworzyć okien, umieszczonych tu aż dwa i pół metra nad podłogą. Nie wiedzieli, z iloma przeciwnikami mają do czynienia. Pałac był otoczony i generał Raszud na pewno so-

bie radził na piętrze, ale oni byli chwilowo unieruchomieni, z zaledwie dwoma pistoletami maszynowymi i zbyt małym zapasem amunicji. Nie odważyli się wołać o wsparcie, ponieważ tylko zdradziliby się przed nieprzyjacielem. Myśliwi stali się zwierzyną – a takiej roli *Le Chasseur* bardzo nie lubił.

Duże, co najmniej dwudziestometrowej długości pomieszczenie, w którym się przez przypadek znaleźli, miało jedną zaletę: masywna kamienna lada pod ścianą naprzeciwko drzwi mogła dać wszystkim osłonę nawet przed silnym ostrzałem. Kij ma jednak dwa końce; trudno będzie stamtąd odpowiadać ogniem w razie zdecydowanego ataku, ponieważ trzeba by stanąć na tle białej, wyłożonej marmurem ściany. Ich jedyną szansą było czekać w ukryciu, dopóki gwardziści nie wkroczą do środka, a potem związać ich walką wręcz. Wszyscy mieli bojowe noże – i dobrze umieli się nimi posługiwać.

Słyszeli, jak drzwi się otwierają, jak zgrzyta przesuwana siłą komoda. Gamoudi dał sygnał, by wszyscy padli na podłogę, jak najbliżej lady. W milczeniu oczekiwali na dalszy los... który jednak nie spieszył się z nadejściem. Kiedy drzwi otworzyły się na pół metra, do pokoju wśliznęło się sześciu mężczyzn, z których pięciu miało mundury i broń. Jednocześnie otworzyli ogień, celując tuż ponad blat lady. Po kilku seriach zaległa cisza. Nikt się nie poruszał, dopóki dowódca nie dał znaku, by żołnierze rozsunęli się w luźny szereg wzdłuż ściany. Kiedy zajęli nowe pozycje, krzyknął po angielsku:

–W imieniu króla... wychodzić wszyscy z rękami do góry!

Nie było odzewu ani reakcji, więc Saudyjczyk przemówił

ponownie:

–Jeżeli nie wyjdziecie, wrzucimy za tę ladę trzy granaty

i wycofamy się na korytarz. Zginiecie wszyscy! No, wycho-

dzić! – A potem, już ciszej, dodał: – Król chce ujrzeć tych,

którzy ośmielili się uznać go za wroga. Liczę do dziesięciu,

a potem rzucamy.

W sali panowała głucha cisza. Pułkownik Gamoudi miał nadzieję, że uda się im schwycić jeden lub dwa granaty i odrzucić, ale nie miał wątpliwości, że z trzema taka sztuczka się nie powiedzie.

–Jeden... dwa... trzy... cztery...

**I nagle nieuchwytny ruch u drzwi – jednym skokiem w sa-**

li znalazł się Rawi Raszud, w czarnej chuście zawiązanej na twarzy dla ochrony przed pyłem. Z lufy jego peemu długą serią poleciały pociski – wzdłuż linii rozstawionych szeroko gwardzistów. Rawi jak zawsze celował wysoko. Żaden z nich nie zdążył nawet się odwrócić i zobaczyć swego kata. Jeden po drugim Saudyjczycy osuwali się na podłogę, zbryzgując krwią jasny marmur.

Powietrze w sali było czyste i Raszud ściągnął z twarzy maskę. Podszedł do leżących pokotem swoich ofiar, nie zwracając uwagi na piątkę mundurowych i kierując się wprost do jedyne go cywila, który jak inni leżał twarzą w dół, z potworną raną w potylicy. Kopnięciem odwrócił trupa na wznak i spojrział w niewidzące oczy człowieka, którego rysy były mu aż nadto znane. U stóp szefa Hamasu leżał martwy król Arabii Saudyjskiej. Żył jak turecki basza, ale zginął jak prawdziwy Beduin, z odbezpieczoną bronią w ręku, zwrócony ku nieprzyjaciółom – z wyjątkiem jednego, który z zaskoczenia wpakował mu kilka kul w tył głowy.

-*Mon Dieu...* – wyszeptał Gamoudi, wychodząc zza osłony. – Jeszcze nigdy się tak nie cieszyłem na twój widok.

–Tak sobie pomyślałem – odrzekł Rawi swoim eleganckim akcentem, doskonalonym w murach ekskluzywnej szkoły w dalekim Harrow. – Ale byłem ci to winien. Ty sobie świetnie radzisz we francuskich bistrach, ja zaś się czuję jak ryba w wodzie w królewskich pałacach...

To rzekłszy, otoczył Gamoudiego ramieniem. Żaden z nich nie powiedział głośno tego, z czego jednocześnie zdali sobie sprawę: oto wspólnie dopełnili podboju największego państwa na Półwyspie Arabskim.

Tego samego dnia, godz. 16.00

Księżę Nasir stał przed kamerami, wygłaszając swoje inauguracyjne przemówienie do narodu. Transmisja była nadawana z jednego z mniejszych pałacyków o dwa kilometry od dymiącej jeszcze dawnej rezydencji królewskiej. Nasir opisał śmierć władcy, który zginął podczas zbrojnego zrywu ludu saudyjskiego, tak dawno oczekiwanego. Podkreślił, że król

wraz ze swą ogromną rodziną nie robił nic innego, tylko łupił i trwonił wielkie bogactwo kraju, należące przecież do każdego obywatela, a nie tylko jednego wybranego rodu. Gromił go za bliskie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi i dowodził, że o wiele naturalniejszą polityką byłoby dla Arabii Saudyjskiej nawiązanie przyjaźni z bliższymi i bardziej tradycyjnymi sojusznikami, na przykład z Francją. Wskazał na długą historię współpracy między obydwoma państwami i obwieścił, że prowadzi już rozmowy z francuskim prezydentem w celu ułożenia planu odbudowy przemysłu naftowego, który stał się – co księżę przyznał z najwyższym żalem – pierwszą ofiarą ludowego powstania. Zaiste taki musiał być skutek długich lat hulaszczego życia i ogromnej

**niekompetencji rodziny panującej. Gdzie był król, kiedy zapłonęły nasze wielkie zakłady? Księżę rozłożył bezradnie ręce.**

**Całe przemówienie było jednak przesycone nadzieją i optymizmem. Nasir przyrzekł dążyć do odzyskania przez Arabię jej dawnej siły, znaczenia i bogactwa, które odtąd miało być sprawiedliwie dzielone między wszystkie saudyjskie rodziny. Zakończył zaś wystąpienie słowami, na które wszyscy czekali: „Zgodnie z naszym prastarym prawem, przejąłem jako następcą tronu przywództwo naszego kraju. Złożyłem przysięgę przed Bogiem Najwyższym w obecności rady starszych, że będę przestrzegać naszych praw i obyczajów jako wasz pokorny sługa i dumny wódz, król Nasir Ibn Mohammed al-Saud”.**

## ROZDZIAŁ 9

Środa, 24 marca, godzina 7.45. Biały Dom, Waszyngton

Kathy Morgan za kierownicą ich nowiutkiego hummera czuła się jak ryba w wodzie. Z fasonem podjechała pod wejście do zachodniego skrzydła Białego Domu, gdzie wyprężeni wartownicy salutowali jej mężowi, zajmującemu dziś miejsce pasażera. Ilekroć Wielki Człowiek odwiedzał prezydencką siedzibę, przyjmowano go jak generała Eisenhowera w Normandii w rocznicę D-Day. Mało kto wzbudzał takie uwielbienie. Pożegnawszy się z Kathy, która była umówiona z matką na śniadanie w hotelu Ritz-Carlton, wmaszerował przez w porę otwarte przez żołnierza marines drzwi. W holu czekało na niego dwóch agentów Secret Service, którzy z rozkazu prezydenta natychmiast, bez neodłącznej procedury wystawiania przepustki, poprowadzili go do Gabinetu Owalnego. Morgan, jak zwykł czynić przez tak wiele lat swojej pracy w Białym Domu, minął bez słowa biurko sekretarki, zapukał dwa razy i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Prezydent wyszedł zza biurka na powitanie i wylewnie uściśnął gościowi dłoń.

–Dzień dobry, Arnie – powiedział z uśmiechem. – Punk

tualny jak zawsze, co?

–Zgodnie z rozkazem, o czwartej szklance świtówki, sir.

Admirał pamiętał, że Paul Bedford spędził kilka lat jako

oficer nawigacyjny na fregacie rakietowej i do dzisiaj był dumny z tego epizodu w karierze. Stare żargonowe określenie wachty od czwartej do ósmej rano zgodnie z przewidywaniem wywołało jego uśmiech, który szybko jednak zgasł.

258

–Siadaj, Arnie. Posłałem po kawę... Zjadłbyś coś?

–Nie, dziękuję. Kawa wystarczy. Domyślam się, że będziemy rozmawiać o tym saudyjskim bajzlu?

–A o czym by innym? Od samego rana telefony się przegrzewają. Sprawy toczą się szybko. Słyszałeś najnowsze wiadomości?

–Na pewno nie tyle, ile pan – odrzekł Morgan. – Zatrzymałem się na etapie ciężkich walk wokół garnizonu Chamis Muszajt i marszu rijadczyków na pałac królewski.

–Zgadza się. Doniesiono mi teraz, że baza w Chamis skapitulowała, a pobliskie lotnisko

**wojskowe zostało zniszczone.**

**–Czy ktoś powiedział, przed kim skapitulowała?**

**–Nawet nie pytaj. Nie wiemy absolutnie nic. Oni zresztą też nie. Co nie zmienia faktu, że podobno połowa saudyjskich sił powietrznych została unicestwiona. Tak melduje nasz attache wojskowy.**

**–Mamy choć cień dowodu, że atak nastąpił z zewnątrz?**

**–Nic. Jeżeli to jest czyjaś wojna, to w całej historii nie było działań równie utajnionych. Nikt na świecie nie ma zielonego pojęcia, kto jest agresorem.**

**–No, ktoś musi wiedzieć... – mruknął admirał.**

**–Kimkolwiek jest, zna się na robocie – ciągnął Bedford. – Przeglądałem raporty o sytuacji w Chamis Muszajt. To wielka baza wojskowa, położona na zupełnym odludziu, na płaskim i dogodnym do pilnowania terenie... a mimo to atak spadł na nich jak grom z jasnego nieba. Wszyscy są zgodni tylko w jednej kwestii... to w stu procentach wewnętrzna akcja arabska, przeprowadzona z terytorium kraju.**

**–No, sprawa może być nieco bardziej złożona. – Arnold pokiwał głową. – Co się teraz dzieje w Rijadzie? Słyszałem po drodze w radiu, że podobno armia obróciła się przeciwko królowi?**

**–Są na razie pogłoski, że port lotniczy opanował jakiś oddział z wozami bojowymi.**

**–Wiadomo, gdzie przebywa król?**

**–Nikt nie wie dokładnie. Rozmawiałem z nim jednak przed paroma godzinami i wtedy nikt go jeszcze nie atakował.**

**–Jest w pałacu?**

259

**–Nie mam pojęcia. Myślę, że woli, aby nikt nie znał jego miejsca pobytu.**

**–Zwłaszcza te chłopaki, które rozwały mu instalacje naftowe i pól lotnictwa...**

**–Właśnie.**

**–Czy coś wskazuje na to, że król organizuje obronę? Ma w końcu doskonałą i dobrze wyposażoną armię.**

**–Cała ta historia wygląda na serię szybkich, druzgocących, profesjonalnie przygotowanych ataków. Typowo militarnych – odrzekł prezydent, kręcąc głową, jakby sam nie mógł uwierzyć**



w to, co mówi.

Było kilka minut po ósmej. Do gabinetu weszła sekretarka i włączyła telewizor, ustawiony na kanał CNN.

–Panie prezydencie, zadzwonił przed chwilą generał Scannell i powiedział, że prawdopodobnie król saudyjski nie żyje, a jego następca ma zaraz wygłosić orędzie do narodu.

–Dziękuję, Sally.

Prezydent i admirał odwrócili się ku ekranowi. Komentator właśnie ogłaszał śmierć saudyjskiego władcy.

–Nowym królem został pięćdziesięciosześcioletni Nasir

Ibn Mohammed al-Saud, żarliwy sunnita, kuzyn zabitego monarchy. Przez prawie dwadzieścia lat był następcą tronu i jak większość saudyjskiego rodu panującego jest w prostej linii potomkiem założyciela królestwa, legendarnego beduińskiego wojownika Abdula Aziza, znanego jako Ibn Saud. A teraz łączymy się z Rijadem, skąd transmitujemy na żywo pierwsze publiczne wystąpienie nowego króla. Być może wreszcie dowiemy się z niego, jak do tego wszystkiego doszło.

Na ekranie pojawiła się twarz brodatego Araba w białej dżellabie i biało-czerwonej ghutrze. Prezydent i Morgan w milczeniu słuchali, jak głosem tłumacza król Nasir wyraża smutek z powodu śmierci kuzyna, ale i potwierdza, że ostatnie wydarzenia w Arabii były „powstaniem ludowym”, wznieconym przez tysiące obywateli, którzy nie mogli dłużej godzić się z trwonieniem przez władzę narodowego majątku. Nowy król mówił o nadziei na przyszłość; obaj słuchacze zmarszczyli jednak brwi, gdy stwierdził, że wybiera Francję jako kraj, który wspomże Arabię w odbudowie zniszczonych instalacji naftowych.

Bedforda i Morgana nie zdziwił specjalnie ton jego wypowiedzi. Jako następca tronu Nasir był znany z bezwzględności krytycyzmu wobec utracjuszy z rodziny królewskiej. Sam był człowiekiem wstrzemięźliwym i oddanym modlitwie, szczerze gardził bezbożnym, materialistycznym stylem życia Zachodu. Większym zaskoczeniem było dla nich jego stwierdzenie, że chce położyć kres amerykańskiej obecności na Bliskim Wschodzie, a wraz z nią terroryzmowi, za którego praprzyczynę ją uważał. Najpierw jednak będzie dążył do utworzenia niepodległego, uznanego przez świat państwa palestyńskiego. Nie ulegało wątpliwości, że po raz pierwszy Palestyńczycy mają prawdziwego sprzymierzeńca w najpotężniejszym państwie arabskim, którego berło dzierżył teraz władca otwarcie wrogo nastawiony wobec USA i Izraela. Dla człowieka zajmującego Gabinet Owalny były to zdecydowanie złe wiadomości; dla przeciętnego Amerykanina także nie lepsze – benzyna już kosztowała dziesięć dolarów za galon, a expose nowego króla nie zapowiadało pozytywnych zmian w tej kwestii. Prezydent nie krył swych emocji.

–Wygląda na to, że tylko dwie strony dobrze na tym wyjdą – skomentował admirał. – Francja i sam Nasir.

–Na pewno. W końcu dorwał się do niezłego żłobu.

–Twierdzi jednak, że królewski styl życia go nie interesuje...

–Jasne. Na razie. Ale absolutna władza łatwo uderza ludziom do głowy, a styl życia zaczyna się podobać. Spodoba się i jemu.

–Mam nadzieję, że się pan nie myli, sir- odrzekł Morgan. – W przeciwnym razie, to znaczy, jeżeli on jest naprawdę taki, za jakiego się podaje, mamy poważny problem.

–Koniec z dostawami saudyjskiej ropy?

–To też. Przede wszystkim jednak dlatego, że Arabia Saudyjska zawsze była tym ostatnim, brakującym elementem w pokręconej układance Bliskiego Wschodu. Jeśli nie liczyć kilku małych państweczek, zawsze mieliśmy do czynienia z Jemenem, Irakiem, Jordanią, Syrią, Kuwejtem, Emiratami, Iranem, Egiptem, Libią i resztą północnej Afryki. Na ogół wiadomo, jakie jest ich stanowisko, i można je uważać za jeden wielki islamski blok. Ale w samym jego środku zawsze

stała Arabia, która współcześnie zawsze zajmowała stanowisko w gruncie rzeczy neutralne. Mimo całej religijnej otoczki nie była państwem fundamentalistycznym. Rządziła nią rodzina pobożnych muzułmanów z największą na świecie flotą luksusowych jachtów, zawsze przyjazna wobec Zachodu... młodzi ludzie głoszący wierność Koranowi, ale wiodący życie playboyów z Riwiery na koszt króla. Arabia Saudyjska, nasz przyjaciel i sojusznik, zawsze była solą w oku islamskich republik. Ona jedna nigdy nie stała w szeregu, grając na dwie strony. Krótko mówiąc, parias z aspiracjami przywódcy wielkiego muzułmańskiego imperium od Atlantyku po Morze Arabskie. Niektórzy najbardziej wpływowi Arabowie od dawna ich nienawidzą... faceci w rodzaju Osamy bin Lade-na, ludzie z Hamasu i Hezbollahu, wszyscy zwolennicy džiha-du, nawet nieboszczyk Saddam. Nie cierpieli Saudyjczyków za ich niezmierne bogactwo, skwapliwą współpracę z Zachodem, a przede wszystkim za odmowę wsparcia jakichkolwiek arabskich działań przeciwko Izraelowi. Panie prezydencie, to wszystko się skończyło dziesięć minut temu. Ostatni element układanki wskoczył na miejsce, wstawiony przez Nasira. Paul Bedford wstał i przeszedł przez cały gabinet.

–Ale co dalej z ropą, Arnie? Jak to się, do cholery, teraz potoczy?

–Sir, cała wina za obecny kryzys spadnie na pana.

–Na mnie?! – wykrzyknął prezydent. – Jak, u diabła, oni mogą mnie to przypisać?

–Proszę pomyśleć. Amerykanie muszą się pogodzić z ceną dziesięciu dolarów za galon... na razie. A potem usłyszysz pan... „Co, u diabła, robi nasz prezydent? Dlaczego nie neogocjuje z królem Nasirem? Dlaczego nie może być z nim w przyjaźni, jak wszyscy inni prezydenci?”

–Inni prezydenci chyba nie bywali w takiej sytuacji, co?

–Nie w takiej – przytaknął Arnold. – Tym razem zanoszą się na załamanie gospodarki na skalę światową. Raczej nie zbankrutujemy, ale niewiele będzie do tego brakowało. Inflacja oszaleje, korporacje upadną, a giełda dostanie zapaści. Dolar poleci na łeb, na szyję, a nasi partnerzy handlowi na całym świecie staną się niewypłacalni. To światowy kryzys finansowy. Pan zaś, sir, może zostać porwany przez ten prąd.

**Historyczna hańba... prezydent, który do tego dopuścił... Chyba że pan coś z tym fantem zrobi, i to cholernie szybko.**

**–Dobra, zreasumujmy sytuację. – Bedford zaczynał być zirytowany nie na żarty. – Co my tam mamy? Facet ubrany w prześcieradło, który chce mieszkać w namiocie na pustyni, nie chce mieć z nami nic wspólnego, za to cała ropa należy do niego. Jakim kursem najlepiej będzie z tego punktu po płynąć?**

**Admirał Morgan wstał z fotela i wbił wzrok w stojącego w drugim końcu gabinetu najbardziej samotnego człowieka na świecie, stojącego z niepewną miną pod portretem Jerzego Waszyngtona. Zacisnąwszy pięści, wysyczał:**

**–Przywódczo, sir! Musi pan podnieść czoło. Do diabła z tym pieprzonym Arabem i jego ropą. Musi pan wstać i po wiedzieć: „Nie godzę się na to. Za żadną cenę. Nikt nie ma prawa niszczyć światowej gospodarki. I niech ten, kto się na to porwał, lepiej zacznie ze mną układy, bo jak nie, to mu nakopię w dupę”.**

**Prezydent otworzył usta, by mu przerwać, ale Arnold jeszcze nie skończył. Usiadł z powrotem i dodał, już ciszej:**

**–A potem, jak będzie trzeba, odbierzemy sukinsynowi ropę i pošlemy go do diabła czy na pustynię. Żaden inny kurs jest nie do przyjęcia. I to nie dla nas, ale dla całego świata.**

**–Arnie, jeżeli cię dobrze rozumiem, to nic więcej nie mów. Nie pójdę na wojnę z Arabią Saudyjską.**

**–Sir, na wojnę iść nie musimy ani z Nasirem, ani z kimkolwiek na Bliskim Wschodzie. Wystarczy pokazać żelazną pięść... czy to pustynnemu kacykowi, który uważa, że może bezkarnie mordować setki tysięcy własnych obywateli, czy komuś, kto ma za dużo broni i**

**ambicji, czy wreszcie komuś, kogo uznamy za niepoczytalnego i niebezpiecznego dla sąsiadów. Ponieważ tu chodzi o ropę i jej wpływ na światowe rynki, po prostu nie możemy zostawić sytuacji bez kontroli. Skoro jakiś głupi kutas spod daktylowej palmy myśli, że może bezczelnie paprać ekonomię dziesiątek krajów świata tylko dlatego, że się urodził na terenie geologicznego fenomenu, to...**

**–To wtedy ropa staje się bardziej dobrem ogólnoludzkim niż narodowym – wszedł mu w słowo Bedford. – A my uznaje-**

my, że pogwałcił zasady, i wkraczamy, żeby raz jeszcze przywrócić stabilizację na świecie.

–Nie mógłbym tego lepiej ująć, panie prezydencie.

Paul Bedford uśmiechnął się w duchu. Ależ z tego Morgana uparty, pewny siebie skurczybyk! Potem jednak pomyślał o czekających go ciężkich dniach i spochmurniał. Admirał zdawał się czytać w jego myślach.

–Panie prezydencie, pan to wie lepiej niż ja. To kwestia uporządkowania myśli. Musi się pan kierować główną zasadą: ten cały Nasir nie może grać na nosie Ameryce i psuć świata dla swoich zachcianek.

–Czasami chyba zapominasz, Arnoldzie, że jestem przywódcą lewicowej partii politycznej, która wyznaje inną zasadę: wolności, pomocy i edukacji dla wszystkich uciskanych ludzi na tym świecie. Nie leży w naszej naturze miażdżenie każdego, kto nam stanie na drodze...

Morgan uniósł brew. Jego opinia o lewicy była powszechnie znana.

–Sir, z całym szacunkiem... Lewica nigdy i nigdzie nie

miała racji w żadnym aspekcie. Myliliście się w kwestiach

ekonomicznych, militarnych, finansowych, a zwłaszcza geo

politycznych. Lewica spieprzyła sprawę i właśnie dlatego

zbankrutował Związek Radziecki i wszystkie jego satelickie

reżimy w Europie. Na pana miejscu nie zawracałbym sobie

teraz głowy lewicowymi sloganami.

Bedford westchnął i pokręcił głową, ale słuchał dalej. Morgan raz jeszcze wyłożył mu – tym razem rzeczowo i z uzasadnieniem – swoją opinię na temat najważniejszego kierunku działania w obecnym kryzysie i podkreślił dobitnie, że cokolwiek się stanie, winą zostanie obarczony nie kto inny, tylko on: urzędujący prezydent USA.

–Arnie, wszystko to domniemania. Na razie nie wiemy, czy rzeczywiście będzie tak źle.

–Nie może być dobrze, skoro z rynku znika nagle jedna piąta światowej podaży ropy. Przyjdzie jej szukać gdzie indziej. W Ameryce Środkowej i Południowej, a może nawet w Kazachstanie...

**Prezydent przerwał admirałowi w pół zdania, przypominając mu z lekkim zniecierpliwieniem, że nie dalej jak kilka**

**dni temu ogłosił rozpoczęcie rozmów z Rosjanami na temat dostaw z Baku i wstępne badanie rynków na zachodniej półkuli.**

**–Zgadza się, ale na tym nie koniec tego saudyjskiego bałaganu – skontrował Arnold. – Kilka liczących się krajów stanie nad ekonomiczną przepaścią, w tym Japonia, Indie i Niemcy. A kiedy wreszcie arabska ropa wróci do gry, kolejka będzie znacznie dłuższa. Wszyscy będą chcieli kupować dużo i tanio... a na razie widzę Stany Zjednoczone na końcu tej kolejki.**

**–Czy Nasir może nas pominąć?**

**Tak właśnie Morgan uważał. A skoro tak, to prezydent musi zagrać agresywnie i stawić Nasirowi czoło. Musi przyjąć – jak w klasycznym kryminale – że ponieważ nowo koronowany król jest osobą, która najbardziej na przewrocie skorzystała, to on właśnie mógł stać za wszystkimi ostatnimi wydarzeniami w Arabii Saudyjskiej. Wszystkie poszlaki na to wskazują. Co więcej, jest coraz bardziej oczywiste, że w działaniach wspierał go ktoś z zewnątrz.**

**–To samo twierdził zmarły król, kiedy rozmawialiśmy na parę godzin przed jego śmiercią. Powiedział, że według wszystkich jego doradców Nasirowi musiał pomagać jakiś obcy kraj. Nie wiedział, o kogo może chodzić, ale tak się właśnie wyraził: diabeł u drzwi i diabeł w domu. Czuję, że jest zrezygnowany. Jakiej zatem rady mi udzielisz, Arnie? Na czym ma polegać to moje agresywne zagranie?**

**–Sir, musi pan ustalić, który kraj umożliwił Nasirowi zamach stanu i w ten sposób przyczynił się do nastania obecnego kryzysu. Wtedy będziemy mieli cel, politycznego chłopca do bicia; kogoś, na kogo będzie można ciskać gromy... a może i bomby. Zademonstrujemy w ten sposób, że Ameryka ma prezydenta, który nie da sobie w kaszę dmuchać i nie będzie tolerował wrogich działań, przynoszących szkodę tylu milionom ludzi. Często się nas oskarża o uzurpowanie roli policjanta świata. Wielu ludziom się to nie podoba, ale kiedy ktoś popełnia międzynarodowe przestępstwo, wszyscy czekają, kiedy policjant się zjawi i zrobi porządek. Pan weźmie zatem na siebie tę odpowiedzialność, stanie przed problemem i go rozwiąże. Wtedy wszelka krytyka się rozplynie. Jej ostrze**

skieruje pan na przestępców. A że zrobi pan to sprytnie, całe odium spadnie na nich, my zaś wyjdziemy na tych dobrych, którzy szukali prawdy... a później może i odwetu.

Prezydent przez chwilę trawił słowa admirała Morgana. To miało sens, ale... Pora na pytanie za milion dolarów.

–Czy domyślasz się, Arnie, kto mógł być współnikiem Na-sira?

–Pewności nie mam, sir. Ale gdybym miał się założyć o ostatniego dolca, postawiłbym go na Francję.

–Francję! – To słowo zdawało się eksplodować w ustach Bedforda.

Morgan opowiedział mu o swoich i NSA podejrzaniach: o zaginionych okrętach podwodnych, o tym, że prawdopodobnie saudyjskie rafinerie i porty zostały zniszczone salwami rakiet cruise wystrzelonych spod wody, i wreszcie o przejawie jasnowidzenia, z jakim Francuzi zdecydowali się zawczasu uniezależnić od dostaw saudyjskiej ropy. Uzmysłowił prezydentowi, jak nieprawdopodobne byłoby powodzenie ataku na dobrze bronione instalacje w głębi lądu.

–To można było zrobić tylko z morza, sir. Nie ma innego wariantu.

Paul Bedford zakończył czynną służbę dobre dwadzieścia lat temu, ale starał się być w miarę na bieżąco ze sprawami marynarki wojennej swojego kraju, a odpowiednie organizacje informowały go o tym, co się dzieje w jej zagranicznych odpowiednikach. Wiedział, że Saudyjczycy nie mają floty podwodnej, jako że ich płytkie i usiane rafami wody nie są dla niej odpowiednie, i zgadzał się z opinią, że rakiety musiały być wystrzelone spod wody, a zatem musiała to zrobić marynarka jakiegoś innego państwa.

Nie przekonywała go tylko teoria o zaangażowaniu Francji.

–Dobra, zmienili swoją politykę zakupów akurat w dobrym momencie. Ale to jeszcze nie dowód, że są zamieszani w zbrodnię przeciw ludzkości, nie?

–Oczywiście, że nie. I przyznaję, że nie mamy dowodów na to, że rakiety odpaliły jednostki francuskie. Nie da się jednak zaprzeczyć, że dwa okręty klasy Rubis były w tym czasie na tamtych wodach, a potem tajemniczo zniknęły. Każdy z nich mógłby to zrobić, albo i oba naraz. W promieniu tysiąca mil



nie było innych podwodniaków o takiej zdolności bojowej... oprócz, ma się rozumieć, naszych. Ale my jesteśmy niewinni. Po raz nie wiadomo który od chwili objęcia najwyższego urzędu Paul Bedford żałował, że Arnold Morgan nie jest jego osobistym doradcą. Jego wnikliwość, mądrość i nieomylna intuicja byłyby bezcenne – i ze względu na nie chętnie by tolerował nieużyty charakter i bezceremonialność admirała. Dobrze jednak wiedział, że nigdy nie uda mu się go skusić do zawieszenia emerytury, choćby dlatego, że w życiu nie zgodziłaby się na to admirałowa.

–Czy oprócz tego masz jakieś inne poszlaki co do udziału Francji?

–Mam, sir. NSA pracuje nad pewnym bardzo dziwnym sygnałem, jaki został nadany z okolic Rijadu w przeddzień bitwy o Chamis Muszajt. To jakaś rozmowa telefoniczna, przechwycona przez Angoli ze stacji nasłuchowej na Cyprze.

–I co w niej takiego dziwnego?

–Prowadzona była po francusku w jakimś kodzie.

–Nic o niej nie słyszałem.

–Usłyszałby pan, gdyby ją do końca rozszyfrowano. Jak pan wie, służby wywiadowcze nie mają zwyczaju zanudzać prezydentów na śmierć różnymi niesprawdzonymi rewelacjami. Wiem jednak, że nad nią pracują.

–Pewnie twój młody Australijczyk, komandor Ramshawe?

–Nie kto inny. Nie zdziwię się, gdy pewnego dnia zostanie najmłodszym w historii dyrektorem NSA.

–I co on myśli? To znaczy, ogólnie o tym, że Francuzi mogli maczać w tym wszystkim palce?

–Ramshawe jest tego absolutnie pewien. Ale jest w tym pasjansie jeszcze jedna karta. W sierpniu ubiegłego roku dwaj egzekutorzy z Mosadu próbowali zlikwidować głównodowodzącego Hamasu. Nie udało się im i obydwaj zginęli.

–Ma to dla nas jakieś znaczenie?

–Ma, sir. Było to w Marsylii.

–No i...? Nie widzę związku...

–Komandor Ramshawe zastanawia się, co taka szycha z Hamasu robiła w samym centrum francuskiego miasta, ewidentnie pod ochroną rządu, raptem pół roku przed tak zwanym

**–Aaa... Łączy więc tę sprawę z wycofaniem się Francuzów z saudyjskiego rynku naftowego i z tymi okrętami podwodnymi? No i tym kodowanym sygnałem z Rijadu na godziny przed bitwą? Czyżby szef Hamasu miał swój udział w tej akcji?**

**–Właśnie, sir. Tak to według naszego Jimmy'ego wygląda – potwierdził Morgan. – Proszę pamiętać, że zawsze, gdy dzieje się coś absolutnie szokującego na skalę światową, wyjaśnienie nigdy nie jest proste, tylko bardzo złożone. Ram-shawe twierdzi, że zbuduje bardzo solidnie udokumentowane oskarżenie wobec Francji. Jeżeli mu się to uda, będzie to dla pana idealne wyjście z tej sytuacji. Można będzie zaatakować żabojadów otwarcie... słowami, oczywiście... potępić za ich wieczne kierowanie się wyłącznie własnym interesem i nieliczenie się z nikim innym. Powie pan światu, jak z żądzzy zysku pomogli obalić prawowitego króla arabskiego, nie przejmując się, że pół globu straci źródło energii, że staną fabryki, szpitale, szkoły, zawałą się giełdy, z braku paliwa zamrze ruch na ziemi, wodzie i w powietrzu. To ich nie obchodzi. Wyniosli Francuzi będą się mieli dobrze i spokojnie będą zbijali fortunę. Pieprzone żabojady! Na koniec zażąda pan z całą stanowczością i oburzeniem, jakie pan zdoła w sobie wzbudzić, aby Francja została zawleczona przed szacowne oblicze ONZ i tam się tłumaczyła ze swego postępuku. Panie prezydencie, innej drogi nie ma. Proszę mi wierzyć. Nie może pan tu cicho siedzieć i się modlić, żeby to wszystko się odstało, bo się nie odstanie. A jeśli Francuzi naprawdę to zrobili i praktycznie usunęli z rynku saudyjską ropę, to zasługują na tyle kopniaków w tyłek, na ile starczy nam tchu.**

**–Tak – odrzekł prezydent. – Na to właśnie zasługują.**

**Środa, 24 marca, w tym samym czasie. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego**

**Komandor porucznik Jimmy Ramshawe chętnie pochodziłby sobie po pokoju, gdyby nie to, że podłoga tak była zasłana stosami papierów, że po paru krokach przypuszczalnie potknąłby się, upadł i skręcił kark. Pozostało mu więc tylko**

siedzenie nad kopiami sygnałów i zastanawianie się, dlaczego każdy trop, na jaki trafia w sprawie wydarzeń w Arabii Saudyjskiej, kończy się w jakiejś ślepej uliczce.

O obu francuskich podwodniakach wciąż nie było ani widu, ani słyhu. Po raz kolejny Jimmy obliczył czas, jaki upłynął od chwili, kiedy rakiety musiały zostać wystrzelone, czyli od pierwszej w nocy z poniedziałku na wtorek. Sześćdziesiąt pięć godzin, w czasie których *Perle* i *Amethyste* oddalały się od miejsca akcji, najpewniej cichaczem, z prędkością nie większą niż siedem węzłów. Jimmy wziął cyrkiel i wyznaczywszy na mapie prawdopodobną pozycję strzału (biorąc pod uwagę, że okręt musiał wcześniej wysadzić i podjąć płetwonurków), mrucał pod nosem, obliczając odległości: „Gdzieś tutaj, przy polu naftowym Abu Safa... nie mogli w końcu go przeciąć... musieli popłynąć na północ... sześćdziesiąt pięć razy siedem to... czterysta pięćdziesiąt pięć mil morskich. Najpierw przez Ormuz, a potem jakieś sto dwadzieścia mil na południowy wschód przez Zatokę Omańską. To by znaczyło, że jest teraz gdzieś tutaj... Jeszcze dzień, a będzie wolny i bezpieczny, na głębokich wodach Morza Arabskiego, w drodze prosto do swojej bazy na Reunion... chyba że się bardzo mylę". Doszedłszy do tej konkluzji, obrócił uwagę na Morze Czerwone: „Drugi okręt odpalił cruise'y jednocześnie z pierwszym, gdzieś spod Dzeddy... Jeśli i on robi siedem węzłów, to w tej chwili wchodzi w tę węższą część na wysokości Erytrei... Za dobę przejdzie przez Bab el-Mandeb na Adeńską, a potem gdzie zechce... na przykład do bazy na Reunion".

Jimmy wiedział, że to znowu ślepy zaułek. Francuzi do niczego się nie przyznają, a zapewne nawet nie odpowiedzą na podobne zapytanie ze strony Stanów Zjednoczonych. Nie mógł jednak przestać myśleć o możliwych trasach obranych przez dowódców obu okrętów.

–Cholera, żeby coś się wreszcie posunęło naprzód! – burknął pod nosem. – Może coś nowego o żabojadzie z pustyni, na przykład namiar na jego rozmówcę... Gdybyśmy tylko mogli się doszperać, z kim Kerman zasiadł do kolacji w Marsylii. Cokolwiek... A do tego jeszcze ten nowy król sugeruje, że śmietankę z programu odbudowy spije Francja... Niby dlaczego?

Ramshawe czuł, że jest na dobrym tropie. Był pewien, że

to wszystko sprawka Francuzów, ale jak nie jeden detektyw przed nim, czekał na jakiś przełom, drobny ślad, niewielki promyk w jakimś ciemnym kącie, w którego świetle nagle odsłoni się cały obraz.

–Czy ja żądam za wiele? – zapytał czterech ścian gabinetu. – Mały kroczek dla Jima, wielki skok dla wolnego świata.

Doczekał się o jedenastej rano. CIA właśnie zaczynała wpuszczać w sieć pierwsze raporty swoich ludzi z Rija-du: paru agentów zatrudnionych w Aramco, miejscowych informatorów z przedsiębiorstw i banków, no i oczywiście zawodowców z ambasady. Wszyscy przekazywali podobnie brzmiące relacje z wydarzeń w stolicy: opis jadącej przez miasto kolumny wojskowej prowadzonej przez ciężkie Abramsy, kolejno zdobywającej gmach ministerstwa, stację telewizyjną, lotnisko i pałace. Były oczywiście i jeżące włos na głowie wieści o kamikadze, który zburzył królewską rezydencję, i mgliste informacje o strzelaniu w jej murach oraz spaleniu dwóch śmigłowców, które widziano wcześniej przelatujące nad dzielnicą dyplomatyczną. Dopiero jednak raport Char-liego Brooksa przykuł uwagę Jimmy'ego. To, co miał do powiedzenia ten stary dyplomatyczny wyga, było rzeczywiście elektryzujące – przynajmniej z punktu widzenia czekającego na przełomowy moment detektywa.

„Wszystkie wozy bojowe nosiły oznaki armii saudyjskiej, dlatego przyjęliśmy, że to jakieś ćwiczenia. Niezwykła była tylko obecność Abramsów. Moją uwagę zwrócił jednak dowódca kolumny, siedzący wysoko na wieżycy pierwszej maszyny: krępy, mocno zbudowany mężczyzna z brodą, ubrany w mundur polowy i tradycyjną arabską ghutrę. Jak wszyscy żołnierze, miał pistolet maszynowy i pas z magazynkami na piersi. Byłem pewien, że skądś go znam. Brałem oczywiście pod uwagę, że mogliśmy się spotkać na jakimś oficjalnym przyjęciu. Często widuje się na nich oficerów czynnej służby, a ów człowiek zdecydowanie wyglądał na Araba. W końcu jednak sobie przypomniałem, gdzie i kiedy go widziałem. Był dowódcą oddziału francuskich sił specjalnych, który ratował personel naszej ambasady w Brazzaville w czerwcu 1999 roku, gdzie akurat od kilku miesięcy pracowałem. Jestem pewien, że to ta sama osoba. Niósł wtedy mój bagaż do francu-

skiej ciężarówce wojskowej, czekającej w bramie ambasady. Razem ładowaliśmy skrzynki z dokumentami i uścisnęliśmy sobie ręce, kiedy wsiadałem do samolotu w Kinszasie. Z całą pewnością jest Francuzem. Jego ludzie nazywali go chyba majorem Chasserem".

Jimmy Ramshawe omal się nie udławił zimną kawą. Przeczytał raport kilka razy, analizując tę podrzuconą przez Charliego Brooksa e-mailową bombę. Pytanie, jakie dyplomata sobie zadawał przed paroma godzinami, nasunęło się teraz i jemu: „Co, u diabła, robił francuski komandos w roli dowódcy oddziału atakującego pałac królewski w Rijadzie?"

Wyjaśnienie mogło być całkiem zwyczajne. Wiele armii bliskowschodnich zatrudniało emerytowanych oficerów sił specjalnych jako doradców i szkoleniowców. Ludzie z SAS często pełnili takie role w Izraelu... jak choćby major Ray Kerman. Nikt zaś nie korzystał z podobnych usług w takim zakresie, jak Arabia Saudyjska, gdzie zachodni specjaliści pracowali we wszystkich rodzajach wojsk. Najczęściej byli to Amerykanie i Brytyjczycy, ale trafiali się i Francuzi. Niewykluczone, że i ów brodacz na czołgu mógł w ten sposób dorabiać sobie do emerytury.

Tylko że Charlie Brooks, gość nie w ciemną bity, twierdzi, że facet nie był żadnym tam „specjalnym doradcą", ale głównodowodzącym sił rebelianckich, które przeprowadziły udany zamach stanu i obaliły króla. Jimmy Ramshawe zdążył już trochę poznać arabską mentalność, zaczytywał się też książkami wielkiego arabisty Wilfreda Thesigera, piewcy be-duińskiej dumy i umiłowania niezależności. Jedno wiedział na pewno: nawet jeśli to byli rebelianci, zbuntowana część armii saudyjskiej, nie pozwoliliby sobą dowodzić jakiemuś „cholernemu Francuzowi". Myśli kłębiły się w głowie Jimmy'ego z zawrotną szybkością. Czy to był ich „żabojad z pustyni"? Czyżby w ataku na Rijad brały udział siły francuskie? Kto siedział w tych czołgach? Nasir wszedł w spółkę z Paryżem? Czy major Chasser to po prostu facet, który wyemigrował do Arabii i jakimś cudem skaptował sobie wojsko?

–Jasna cholera! – zaklął. – Charlie Brooks podrzucił niezły kąsek, tylko co z nim zrobić? Trzeba jak najszybciej wygrzebać coś o tym Chasserze.

Wziął kopię raportu i poszedł do admirała Morrisa w nadziei, że szef będzie miał wolną chwilę i gorącą kawę. Obie perspektywy budziły w nim radosny dreszczyk.

Admirał miał czas na rozmowę, ale jego kawa była jeszcze zimniejsza niż Jimmy'ego. Przeczytał meldunek Brooksa i spojrzał komandorowi w oczy.

–Dwa priorytety, Jim. Po pierwsze, wygrzebać spod ziemi wszystko, co się da o tym majorze. Po drugie, zanim cokolwiek zaczniesz robić, pogadaj z Wielkim Człowiekiem.

–Po trzecie – dodał Jimmy – czy mam skombinować dla nas dzbanek świeżej kawy?

–Dobry podwładny wie, kiedy szefowi przypomnieć o priorytetach. Kawa się przyda.

Ostatnie wypowiedzi były typowe w stosunkach między obu mężczyznami – melancholijnym z natury, mądrym i zdyscyplinowanym byłym dowódcą zespołu lotniskowca i zawadiackim Australijczykiem urodzonym w Ameryce, u którego intelekt i instynkt łączyły się w sprawną maszynkę dedukcyjną.

–Zadzwoń do admirała, zanim ją przyniosą – dorzucił

Ramshawe.

Wrócił do swojego pokoju, zamówił kawę do gabinetu dyrektora, po czym wykręcił domowy numer Arnolda Morgana. Odpowiedzi nie było, więc spróbował poszukać go w Białym Domu. Połączył się bezpieczną linią z centralą i zapytał, czy admirał jest „na terenie”.

–Czyim może być gościem? – spytał operator.

–Tego nie wiem, ale zacząłbym od prezydenta.

Chwilę później odezwała się sekretarka Paula Bedforda.

–Komandorze, pan Morgan rozmawia teraz z prezydentem. Czy mam mu powiedzieć, że pan dzwoni?

–Bardzo proszę.

Nie minęło dziesięć sekund, gdy Jimmy usłyszał w słuchawce znajomy, lekko chrapliwy głos admirała.

–Cześć, Jimmy. To aż tak ważne?

–Tak, sir. Jeden z naszych ludzi z ambasady w Rijadzie właśnie nadał raport, w którym

zidentyfikował dowódcę kolumny pancernej, która zaatakowała dziś rano pałac królewski, jako byłego francuskiego oficera sił specjalnych.

272

–Jezu Chryste! Na pewno? Słuchaj, Jimmy... nie wychodź z biura. Jadę do was i razem pogrzebiemy w tym francuskim bajorku.

Odłożywszy słuchawkę, Morgan zwrócił się do prezydenta.

–Lepiej już pójdę, sir. Być może mamy już coś, dzięki czemu przyciśniemy Francję do muru. Załatwi mi pan samo chód?

Pół godziny później Arnold Morgan był już w swoim dawnym carstwie w Fort Meade i siedział – gdzieś by indziej? – za biurkiem George'a Morrisa, czytając raport Brooksa i narzekając na jakość, a zwłaszcza temperaturę serwowanej w NSA kawy. Pod tym względem admirał nic się nie zmienił od dwunastu lat, kiedy po raz pierwszy zasiadł na tym samym krześle: niecierpliwy, wybuchowy, obcesowy i nieodmiennie bystry. Da się lubić, jak mawiała Kathy, trzeba tylko pamiętać, że więcej szczeka, niż gryzie.

–Poślę po nowy dzbanek – zaofiarował się Jimmy, sięgając po słuchawkę.

–Tylko gorącą, Jimmy! Od letniej kawy ludzie się robią letni, nie?

Ramshawe wiedział, że najstosowniejszym argumentem w dyspucie nad podobnymi admirałskimi twierdzeniami jest krótkie „Aye, sir!”

–Mamy cholerne szczęście, że ten Brooks był akurat na miejscu – rzekł Morgan. – Teraz sprawa numer jeden... nie licząc kawy... to zidentyfikować tajemniczego majora Chasse-ra. Dzwoncie do naszego Charliego.

Znalezienie autora meldunku zajęło tylko trzy minuty; telefon z NSA stawia na nogi personel we wszystkich ambasadach amerykańskich i ta w Rijadzie nie była wyjątkiem.

–Mówi Charles Brooks. Spodziewałem się waszego telefonu od godziny...

**–Dzień dobry, Charlie – przywitał go Jimmy. – Komandor porucznik Ramshawe, asystent dyrektora. Mieliśmy już nieraz okazję ze sobą rozmawiać.**

**–A, Jimmy. Dzwonisz pewnie w sprawie mojego raportu?**

**–Właśnie. Bardzo nas zaciekał, szczególnie ten fragment opisujący dowódcę kolumny.**

**–To on, jestem tego pewien. Nie znam, niestety, jego**



prawdziwego nazwiska, wiem tylko, jak go nazywali żołnierze. Major Chasser. W Brazzaville kilka razy z nim rozmawiałem, to prawdziwy Francuz, tylko wygląda jak Arab.

–Tak się go pisze? C-h-a-s-s-e-r?

–Tak napisałem, ale to tylko mój domysł.

–Charlie, być może pójdziemy dalej tym tropem. Wtedy potrzebne nam będą dodatkowe wskazówki. Mógłbyś sięgnąć jeszcze raz pamięcią do tamtego czasu i podpowiedzieć, gdzie w Brazzaville dałoby się coś wygrzebać na ten temat?

–No, będę musiał pomyśleć. W końcu widziałem go tylko jednego dnia i w szczególnych okolicznościach. Wialiśmy z ambasady niemal pod ogniem. Ale może coś jeszcze znajdę w komputerze, choćby parę nazwisk ludzi, którzy mogą wiedzieć więcej.

–Bylibyśmy wdzięczni. Może zadzwonię jeszcze raz za parę godzin?

–Nie kłopotz się, Jimmy. Wyślę ci e-mail.

–Świetnie. Jeszcze jedno... Odniosłeś wrażenie, że ten

Chasser był dowódcą całego konwoju?

–Och, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jego czołg prowadził kolumnę, a on wydawał rozkazy i żołnierzom, i nam, cywilom na ulicy. Poszedłem za nimi dalej, do rogu, i na własne oczy widziałem, jak swoim abramsem staranował bramę pałacu. Na pewno nie pytał nikogo o pozwolenie, możesz mi wierzyć.

–Okay, Charlie, bardzo nam pomogłeś. Będziemy w kontakcie.

–To na razie, Jim.

Ramshawe odłożył słuchawkę i odwrócił się w stronę biurka, gdzie Morgan rozmawiał z Morrisem.

–Gość zdecydowanie potwierdza wszystko, co napisał -oznajmił. – Dobrze pamięta, jak się do tamtego zwracano, i podał przypuszczalną pisownię.

–Tylko że rodzi to kolejny problem – odrzekł Morgan. – We francuskim nie ma słów, które się pisze z końcówką „er” i tak samo je wymawia. Fonetycznie to „r” ginie i wtedy zamiast Chassera mielibyśmy „Szasse”, z długim „e”.

–Powtarzam to, co słyszałem od Charliego. Jest przekonany, że tak to właśnie brzmiało.

–Ale brak mu takiej pewności co do pisowni. To elementarne – upierał się admirał. – Taki dźwięk we francuskim nie istnieje.

Powiedziane autorytatywnie, pomyślał Jimmy, jak na faceta, którego francuski akcent brzmi jak parodia Maurice'a Chevaliera w wykonaniu Homera Simpsona.

–Dobrze, sir. W takim razie jaki francuski dźwięk jest najbliższy naszemu „er” i jak się go pisze?

–No, jest „eur”, jak w słowie *educateur*, nauczyciel. Brzmi podobnie.

–No więc spróbujmy z „Chasseur”. Czy jest takie słowo?

–A skąd mam to wiedzieć? – obruszył się Morgan. –

George, znajdzie się tu słownik francuski?

–U mnie nie, ale każę przysłać z biblioteki.

W tej chwili steward wniósł tacę z parującym dzbankiem kawy i – jak za dawnych czasów – niebieskim pudełeczkiem ulubionego „śrutu” Arnolda – słodzika, którym zastępował zakazany mu od dawna przez lekarza i żonę cukier. Do kuchni dotarła już wieść, że zjawił się Wielki Człowiek. Morris nalał do filiżanek, a zanim Morgan zdążył dobrze zamieszać łyżeczką, lekko zdyszany sekretarz z działu języków zachodnioeuropejskich wszedł z potrzebnym słownikiem.

–Dawaj go tutaj, synu – mruknął Arnold, podnosząc fili

żankę do ust.

Przewertował szybko część francusko-angielską w poszukiwaniu słowa, które przypominałoby podane przez dyplomatę nazwisko. Znalazł je na stronie 74. *Chasser*, czyli polować lub przepędzić. Wymowa? Oczywiście, „szasse”. Tuż pod nim widniał rzeczownik *chasseur*, myśliwy lub wojownik. Do tego hasła dodano też *Chasseurs Alpains*, strzelcy alpejscy, i rodzaj żeński, *chasseuse*. Morganowi to wystarczyło. *Le Chasseur*. Myśliwy. To musiał być ich człowiek.

–Diabło dobry pseudonim dla pieprzonego francuskiego twardziela-najemnika – orzekł. – Pytanie, kim, u diabła, jest ów Myśliwy. Jimmy, dzwoń do Charliego i spytaj, czy według niego to mogło być raczej przydomkiem niż nazwiskiem.

–Robi się, sir.

**Chwilę później komandor łączył się już znowu z Rijadem.**

**–Przezwisko? Myślę, że tak – odpowiedział na pytanie**

**Brooks. – Słyszałem je kilkakrotnie, ale nie pamiętam, żeby on sam mi się tak przedstawił. Istotnie mogło to być przezwisko.**

**Jimmy pożegnał Charliego i zrelacjonował jego wypowiedź obu admirałom. Morgan wstał z za biurka.**

**–Działajcie dalej – powiedział. – Wypatrujcie tych podwodniaków i naciśnijcie Angoli w sprawie tego zabójstwa z pułstyni. Może trafił się im jeszcze jakiś sygnał od niego. Według mnie, mógł nim być właśnie Myśliwy. Meldujcie o wszystkim, co wygrzebiecie.**

**To rzekłszy, wyszedł bez pożegnania. Ani admirał Morris, ani Ramshawe nie mieli najmniejszych wątpliwości, co muszą teraz zrobić.**

**–Jimmy, musimy ustalić, czy ten Chasseur jest obywatelem lub rezydentem francuskim, czy ma tam dom i rodzinę. Bez tego nic nie mamy. Nawet tyle, by choć rzucić drobną aluzję o winie Francji.**

**–Stare dobre, j'accuse"? – spytał Jimmy, wykorzystując jeden z trzech francuskich zwrotów, jakie znał, oprócz *Je ne sais quoi* i *Arrivederci Roma*, choć wobec tego ostatniego żywił podejrzenia, że może mieć coś wspólnego z włoskim.**

**–Tak jest. Musimy mieć dostateczne dowody, żeby wskazać na winnego. Wykazanie, że ten facet z czołgu jest naprawdę Francuzem, w połączeniu z pozostałymi poszlakami może nam załatwić sprawę.**

**–To co robimy, szefie? Napuszczamy na niego CIA?**

**–1 to natychmiast. Niech zaczną w Brazzaville. Muszą tam być ludzie, którzy pamiętają tę akcję z dziewiędziesiąt-go dziewiątego i naszego majora. Francja do dziś ma tam ambasadę. Nasi ludzie powinni potwierdzić tożsamość Myśliwego w parę dni.**

**–Aye, sir. Dzwonię do Langley.**

**Środa, 24 marca, godz. 6.00. Brazzaville, Kongo**

**Ray Sharpe pracował w dawnej stolicy Francuskiej Afryki Równikowej od dwóch lat. To gorące i parne miasto na północnym brzegu Konga było jednym z najmniej pożąda-**

nych przydziałów służbowych, jakie Langley miało do zaoferowania swoim agentom, niemniej była to ważna placówka – Brazzaville jest dużym i ruchliwym portem, położonym w centrum politycznie sejsmicznego obszaru obejmującego Republikę Środkowoafrykańską, Kamerun, oba państwa kongij-skie i Gabon. Szeroka na półtora kilometra rzeka Kongo jest najdłuższym śródlądowym szlakiem żeglownym w Afryce, dogodną arterią dla eksportu wielkich ilości drewna, kauczuku i produktów rolnych, a także dla niezliczonych ciemnych machinacji. Sharpe dobrze się orientował, co w afrykańskiej trawie piszczy, choć kosztowało go to sporo energii. Czasami myślał, że tutejsza polityka bije na głowę góry lodowe w kategorii objętości niewidocznej części.

Tego dnia nigdzie mu się jednak nie spieszyło. Przede wszystkim od rana lało jak z cebra\* Deszcz był ciepły, jak to pod koniec sezonu, ale tak intensywny, że kilka głównych dróg było nieprzejezdnych. Kanalizacja burzowa, mimo że całkiem niezła jak na afrykańskie normy, nie jest najmocniejszą stroną Brazzaville. Ray siedział na szerokiej, zacienionej werandzie wynajętej francuskiej willi kolonialnej. Miał dwa powody do zadowolenia: po pierwsze, nie służył potem, bo deszczowe chmury nie dawały się przedrzeć palącemu słońcu, a po drugie, właśnie wypił pierwszy tego wieczoru haust cudownie zimnego piwa.

Czterdziestotrzyletni Ray Sharpe, krępy, czarnowłosy amerykański Irlandczyk pochodził z Nowej Anglii, a ściślej mówiąc, z południowego Bostonu i był oddanym kibicem Red Sox i Patriotów. Na placówkę w Brazzaville zgłosił się na ochotnika – głównie po to, by uciec od wyjątkowo nieprzyjemnego rozwodu. Zgoda, może i pił odrobinę za dużo, a praca odrywała go od domu przez większą część roku, ale za nic nie potrafił zrozumieć, dlaczego Melissa musiała od niego uciec z jakimś pieprzonym fryzjerem o imieniu Marc – „przez c”, jak zawsze dodawał wzgardliwie. Równie zdumiewał go zamysł połowicy, by finansowo obedrzeć go żywcem ze skóry. Jezu! Razem studiowali w Boston College, ona była cheerleaderką, a on najlepszym obrońcą w uczelnianej reprezentacji; rodziny obojga wywodziły się z tego samego hrabstwa w Limerick -a teraz ona usiłuje przybić go do ściany?

Wszystko to się złożyło na przemianę, jaka niepostrzeżenie w nim zaszła – dziś Ray Sharpe był uosobieniem klasycznego kolonialnego expata, osiadłego na czarnej, skwarnej i parnej obczyźnie więźnia afrykańskiego zadupia, nadużywającego trunków, tęskniącego za domem, ale za bardzo rozczarowanego życiem i za mało zasobnego w gotówkę, a do tego coraz szybciej pogrążającego się w apatii, by do niego wracać. Owszem, nauczył się nieźle francuskiego i miał w Brazzaville przyjaciół, ale większość z nich była jego dokładnymi kopiami – tkwiącymi na placówkach i w przedstawicielstwach handlowych facetami z otwartymi kontami na wydatki służbowe i bez możliwości korzystania z nich -jeśli nie liczyć knajp i nocnych klubów.

Miejsca takie jak Brazzaville dawały jednak szansę na zabicie dużej fortuny – import i eksport, tanie towary drogo sprzedawane w Europie i Ameryce. Ray widział, jak to się robi, sam też miewał możliwości i wiedział, że jeszcze będą się pojawiać. Nigdy się jednak nie zdobył na jakiegokolwiek przedsięwzięcie komercyjne. W każdym razie do tej pory... ale kiedyś się do tego weźmie. Na pewno.

Właśnie sięgał do lodówki po drugie piwo, kiedy zadzwonił telefon. Kto, u diabła? Może ta czekoladowa ślicznotka Matilda, kelnerka z „La Brasserie” w hotelu „Stanley” ... Albo Melissa? Pewnie ją rzucił ten pedałowaty gach i chce więcej pieniędzy.

–Niech to szlag... – mruknął, wracając do pokoju.

–Sharpe – rzucił niechętnie do słuchawki i jęknął w duchu, słysząc aż nadto znajome „Dobry wieczór, mister Sharpe. Tu Langley, wydział zachodniej Afryki. Łączę z szefem...”

Pięć minut później siedział znów na werandzie, wpatrując się w pospiesznie nagryzmołone notatki. „Dowódca grupy francuskich komandosów, czerwiec 1999. Ewakuacja ambasady USA. Ambasador Hooks i poseł Brooks. Prawdopodobny pseudonim Le Chasseur. Sprawdzić tożsamość, życiorys, aktualne miejsce zamieszkania. Pilne, TDTO”. Tylko dla twoich oczu. Oczy Raya były lekko przekrwione, a na dworze wciąż lało niemiłosiernie... Dokończył jednak szybko piwo, złapał płaszcz i po chwili gnał już swoim fordem mustangiem przez szerokie bulwary metropolii w stronę ambasady francuskiej

przy rue Alfassa. Tamtejszych sekretarzy znał bardzo dobrze, jak każdy dyplomata, szpieg i dziennikarz. Trasa wiodła przez centrum miasta, nad którym dominowała wystająca wysoko nad sąsiednią zabudowę bryła wieżowca Elf Oil Tower, symbol francuskiej potęgi przemysłowej. Sharpe nigdy nie poświęcił gmaszysku wiele myśli; prawdopodobnie nigdy się nie dowie, jak mocno jego właściciel był związany z jego dzisiejszą misją.

Pech chciał, że większość personelu ambasady rozeszła się już do domów i na służbie został tylko słynący z wybuchowego temperamentu Claude Chopin, mężczyzna w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat i – jak twierdził – bliski krewny wielkiego kompozytora (o którego polskiej narodowości nigdy nie wspominał). *Monsieur* Chopin był żarliwym patriotą, co manifestował głównie za pomocą wiszącej na ścianie za biurkiem wielkiej francuskiej flagi i portretu generała de Gaul-le'a. Starzec pracował w ambasadzie od trzydziestu pięciu lat, z których większość upłynęła mu na sączeniu wina i wyrzekaniu na wszystko i wszystkich.

Na odgłos kroków podniósł głowę, a ujrawszy, że gościem jest *l'Americaine* Sharpe, powitał go kwaśnym uśmiechem.

–*Bonsoir*, Sharpe. *Qu'est-ce que vous voulez?*

Była to tylko nieznacznie bardziej uprzejma wersja pytania, jacy diabli go o tej porze przynieśli.

–No, Claude, nie ma co się żołądkować, przyjacielu. Jestem tu z bardzo prostą misją... Potrzebuję tylko drobnej in-formacyjki, nic więcej. Na pewno masz ją gdzieś na podorędziu.

–*Possiblement* - odparł Chopin, swoim zwyczajem tworząc nowe, angielsko-francuskie słowa.  
– Ale czy ci ją dam, to już zupełnie inna sprawa.

–Claude, nie zawracałbym ci głowy i dalej spokojnie popijał sobie piwko, zamiast gnać tu przez taką ulewę, gdyby nie ten telefon z Waszyngtonu. Taka trywialna sprawa, że aż mi się włosy skręciły na myśl o wyjściu z domu...

–Twoje włosy i tak są *boucle* - burknął Claude, który był łysy jak kolano i bujną czuprynę Amerykanina uważał za atrybut godny raczej rockowego gwiazdora.

–Nie daj się prosić, Claude. – Sharpe się uśmiechnął. –

**Bez trudu możesz rozwiązać mój problem. Pamiętasz, jak wasze dzielne zuchy z sił specjalnych uwolniły personel oblężonej przez rebeliantów naszej ambasady w dziewięćdziesiątym dziewiątym?**

**–Któż by mógł to zapomnieć? – Chopin wzruszył ramionami, wracając myślami do tych strasznych dni sprzed lat, kiedy zbrojne gangi jeździły po mieście z głowami ofiar zatkniętymi na antenach samochodów. – Oczywiście, że pamiętam.**

**–Otóż ja usiłuję sobie przypomnieć nazwisko dowódcy tych komandosów. Nazywali go *Le Chasseur*... Znałeś go?**

**–Pewnie, że znałem. Stacjonował w Kongu przez kilka miesięcy, a parę tygodni mieszkał nawet niedaleko, w „Stan-leyu”. Wszyscy nasi oficerowie tam się zatrzymywali.**

**–Pamiętasz, jak się naprawdę nazywa?**

**–A dlaczego on cię tak interesuje?**

**–Powiedziano mi właśnie, że prezydent chce przyznać specjalne nagrody obcokrajowcom, którzy szczególnie się zasłużyli dla bezpieczeństwa obywateli i mienia Stanów Zjednoczonych. – Ray Sharpe był utalentowanym kłamcą, jak większość szpiegów. – Chcemy ich zaprosić do Waszyngtonu z rodzinami i udekorować medalami za odwagę. Prezydent Bedford będzie osobiście przewodniczył ceremonii.**

**–To piękny gest – powiedział Claude. – I co, wybór padł na *Le Chasseur*... po tylu latach?**

**–Czasami musi nastać nowy rząd, żeby długi honorowe zostały spłacone.**

**–Wiele ci nie pomogę. Słyszałem, że wystąpił z czynnej służby i przeszedł na emeryturę. Nazywa się Jacques Ga-moudi i był wtedy w stopniu majora. Tak, wszyscy go nazywali *Myśliwym*. To wspaniały żołnierz, prawdziwy bohater, co chyba chętnie poświadczą wasi ówcześni dyplomaci. Wiem od kogoś, że awansował potem na pułkownika.**

**–Dzięki, Claude. Więcej mi nie trzeba. Resztą zajmie się już Waszyngton.**

**Pięć minut później Ray dzwonił do wydziału zachodniej Afryki w Langley. Po następnych trzech minutach zabrzączał telefon na biurku komandora Ramshawe'a.**

**–Cześć, Jimmy. Twój człowiek to Jacques Gamoudi, puł-**

**kownik w stanie spoczynku. Miałeś rację co do jego pseudonimu. Nazywali go *Myśliwym*.**



Rozmówca zapewnił Ramshawe'a, że ich agent w Brazza-ville nadal prowadzi poszukiwania i gdy tylko znajdzie jakieś nowe wiadomości, natychmiast da znać. Okazało się, że nie trzeba było na to długo czekać. Szef pięknej Matildy, barman z „La Brasserie”, pracował tam od lat i pamiętał dość dobrze gościa o nazwisku Jacques Gamoudi, francuskiego majora z północnej Afryki, urodzonego w Maroku.

–Był żonaty? – spytał go Sharpe.

–Chyba tak... Tak, na pewno, ale żona nigdy tu nie przyjeżdżała. Widziałem raz jej zdjęcie. Nie wiem, jak ma na imię, ale... albo jej rodzice, albo jego mieszkali gdzieś w Pirenejach. To sobie dokładnie przypominam.

–Dlaczego?

–No, gość zawsze gadał o górach. Mówił, że lubi samotność. Zdaje się, że jego ojciec był czymś w rodzaju przewodnika. W każdym razie nieraz od Gamoudiego słyszałem, że po przejściu na emeryturę chciałby znaleźć pracę jako przewodnik górski, i ciągle wspominał, jak chłodne jest powietrze w okolicach, gdzie mieszkają jego teściowie. Wcale mu się nie dziwię... po kilku latach w Afryce tutejsze straszliwe upały i wysoka wilgotność naprawdę mogą się dać we znaki. W każdym razie wiem, że Jacques marzył o górach i zimie.

Ray Sharpe natychmiast po powrocie zadzwonił do Langley, po czym mógł wreszcie wrócić na swą werandę i otworzyć piwo. Nieustępliwy deszcz przemoczył go do suchej nitki, więc rozsiadł się tylko na bujanej sofie, cały w delikatnych pasemkach pary unoszącej się z mokrego ubrania, popijając zimny złocisty płyn i myśląc o wiosennych treningach bostońskiej drużyny Red Sox.

Komandor porucznik Ramshawe raz jeszcze przejrzał notatki i poszedł do szefa.

–To wszystko, sir. Nie wiem, czy to wystarczy, żeby go znaleźć.

–W porządku, Jimmy. Zamienię parę słów z naszym attache wojskowym w Paryżu, a potem prześlemy cały materiał francuskiej placówce CIA, niech kończą robotę.

Przez następne dwie godziny agenci CIA we Francji przeprowadzili pół setki rozmów telefonicznych i jedna z nich okazała się żyłą złota. Rezydent w Tuluzie, Andy Campese, przyjaźnił się ze swoim francuskim kolegą po fachu z DGSE. Agent Yves Zilber, nic nie wiedząc o ściśle tajnej naturze zadania Myśliwego, chętnie udzielił informacji dobremu kumpłowi.

–Jacques Gamoudi? Pewnie, że znam. Pracowaliśmy razem przez parę lat. Nie widziałem się z nim ostatnio, ale wiem, że przeszedł do cywila i zamieszkał gdzieś w Pirenejach, w rodzinnych stronach żony. O ile dobrze pamiętam, został przewodnikiem górskim w Cirque de Troumouse... to duży grzbiet przy granicy hiszpańskiej, w strefie śniegu. Można się tam dostać tylko przez jakieś cztery miesiące w roku, ale wiem, że Jacques jest tam jednym z najlepszych alpinistów. Mieszka gdzieś niedaleko Gedre.

Amerykanin już się miał pożegnać z kolegą, gdy ten nagle przypomniał sobie jeszcze jedną ważną informację.

–Andre, Jacques zmienił nazwisko, wiesz? Wielu ludzi to robi, odchodząc ze służby. Może i ja kiedyś zmienię. W każdym razie postanowił, że odtąd będą państwem Hooks. Spytałem go kiedyś, dlaczego wybrał tak dziwne nazwisko, a on mi na to, że miał kiedyś w Afryce przyjaciela, który tak się nazywał.

Andy Campese podziękował Zilberowi wyjątkowo ciepło. Dwadzieścia minut później Francuz zaczął się zastanawiać. Dlaczego CIA interesuje się emerytowanym funkcjonariuszem DGSE? Pewnie to nic ważnego, ale zawsze lepiej być krytym...

Zilber zawsze składał meldunki bezpośrednio do Paryża i teraz też zadzwonił pod numer telefonu zarejestrowanego w mieszkaniu przy bulwarze Mortier 128, w Caserne des Tourelles,

na odległym stołecznym przedmieściu. Zrelacjonował rozmowę z Amerykaninem oficerowi służbowemu i ku swemu zdziwieniu otrzymał polecenie czekać na linii. Po chwili w słuchawce odezwał się nowy głos.

–Witam, agencie Zilber. Tu Gaston Savary. Proszę mówić, co ma pan do zameldowania.

A to niespodzianka! Trywialny raport wzbudził zainteresowanie samego szefa tajnych służb?  
Yves Zilber gorączkowo

zaczął się zastanawiać, co też takiego powiedział... albo co gorsza, zrobił.

–Hmm... Sire, przed chwilą zadzwonił do mnie znajomy, niejaki Andre Campese, który pracuje dla amerykańskiego wywiadu. Chciał się dowiedzieć paru szczegółów o naszym dawnym koledze, emerytowanym oficerze. To nikt ważny. Dałem mu parę wskazówek, gdzie mógłby go szukać. Niewiele tego było... Wie pan, że często się wymieniamy informacjami z Amerykanami. Campese nieraz nam pomagał...

–Oczywiście – odpowiedział spokojnie Savary. – O kogo mu chodziło?

–O pułkownika Jacques'a Gamoudiego, sire.

Szef DGSE znieruchomiał. Miał wrażenie, że serce przestało mu bić, a mózg pracować. Trening jednak wziął górę. Po trzysekundowej pauzie zadał kolejne pytanie.

–A dla jakiej gałęzi wywiadu pracuje ów Campese?

–Dla CIA.

Gaston Savary zawsze miał bladą karnację, ale teraz jego twarz mogłaby z powodzeniem znaleźć się na okładce płyty ze starym rockowym przebojem *Bielszy odcień bieli*. Był tak zaszokowany, że odłożył słuchawkę, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa więcej. Przed oczami stanęła mu wizja Francji skazywanej na banicję z międzynarodowej społeczności. I pomyśleć, że przeciek nastąpił w jego własnej organizacji, owianej złowrogą legendą DGSE. Savary ukrył twarz w dłoniach i starał się normalnie oddychać. Emocje potrafił trzymać na wodzy, ale teraz czuł, że mógłby się rozplakać.

Czwartek, 25 marca, godz. 9.00. Pireneje

Jechali z Tuluzy całą noc. Było coraz zimniej i pogoda się psuła, w miarę jak wspinali się na zbocza Pirenejów. Przebycie trzystu pięćdziesięciu kilometrów zajęło im bite siedem godzin, z czego aż dwie stracili na ostatni, kręty odcinek z Tarbes do Gedre.

Jak już parę osób przed nimi, Andy Campese i jego kolega, dwudziestośmioletni Guy Roland urodzony we Francji, przekonali się, że niełatwo znaleźć dom Jacques'a Gamoudiego.

Nie dawali jednak za wygraną i wczesnym rankiem dobrnęli do Heas. Była siódma trzydzieści, gdy w miejscowym sklepiku przy piekarni kupowali na wynos gorącą, mocną kawę i świeże bagietki z szynką. Dopiero w drzwiach, jakby mu się dopiero przypomniało, Andy się odwrócił i spytał sprzedawczynię:

–Jak mam trafić do pana Hooksa? Dalej prosto?

–Cztery domy stąd, po lewej.

Campese miał poczucie dobrze wykonanej roboty, którego nie mąciły obolały po całonocnej jeździe krzyż ani bliska zero temperatura powietrza. Ruszyli niespiesznie ku wskazanemu domowi. W oknach paliły się światła, ale postanowili zawrócić do samochodu, zjeść śniadanie i obserwować budynek jeszcze przez godzinę. Nic się nie działo, nikt nie wchodził ani nie wychodził. O wpół do dziewiątej otworzyli furtkę. Działali szybko i zdecydowanie od chwili, gdy Andy otrzymał informację od Yves'a Zilbera, ale nie mogli się równać sprawnością z ludźmi Gastona Savary'ego, którzy przybyli śmigłowcem i ewakuowali Giselle Hooks i jej synów trzy godziny wcześniej.

Kiedy Guy zadzwonił do drzwi, otworzył im Francuz, który z całą pewnością nie był pułkownikiem Gamoudim. Miał około trzydziestu lat i nosił czarną skórzaną kurtkę na granatowym polo. Włosy miał ostrzyżone po wojskowemu, prawie do skóry, i wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać żołnierz 1. Morsko-Spadochronowego Pułku Piechoty – którym był jeszcze pół roku temu.

–Nie – odpowiedział po angielsku, jakby wiedział, z kim ma do czynienia. – Pan Hooks wyjechał w interesach.

–A pani Hooks?

–Pani Hooks z synami jest w odwiedzinach u matki.

–Może nam pan powiedzieć, gdzie?

–Chyba gdzieś niedaleko Pau. Ale nie mam możliwości się z nią skontaktować.

–A kim pan właściwie jest? Można wiedzieć?

–Po prostu przyjacielem rodziny.

–Wiadomo, kiedy wróca? – Andy nie ustępował. – Przykro mi...

–Pracuje pan z nim w górach?

–Nie. Po prostu się przyjaźnimy.

–Ostatnie pytanie. Czy pan Hooks jest właścicielem tego domu?

–Tak myślę, ale pewności nie mam.

–No cóż, nie będziemy panu dłużej przeszkadzać.

–Żegnam panów.

Andy Campese był na tyle doświadczonym agentem, by rozpoznać kolegę po fachu. A więc DGSE założyła obóz w willi Gamoudiego... Amerykanin nie miał już wątpliwości, że gdziekolwiek jest i cokolwiek robi był pułkownik, musi to być coś o najwyższej klauzuli tajności. Przed odjazdem z Heas ponownie zatrzymał się w sklepiku i zapytał, czy *madame* Hooks była w miasteczku poprzedniego dnia.

–Po południu na pewno była. Widziałam ją, jak wyszła po chłopców do szkolnego autobusu. Zwróciłam jednak uwagę, że dziś rano nie wsiedli do niego.

–A Jacques?

–O, jego nie widzieliśmy tu od paru miesięcy. Podobno jest na jakiejś górskiej ekspedycji... Ale kto wie? W życiu różnie się układa. Może on już do niej nie wróci?

Andy już w samochodzie zadzwonił z komórki do Langley i podyktował dyżurnemu krótki raport, w którym donosił, że rezydencja pułkownika Gamoudiego jest obecnie pod ścisłym dozorem DGSE, a rodzina została najprawdopodobniej gdzieś wywieziona minionej nocy, zapewne w reakcji na jego rozmowę z Yves'em Zilberem.

–Musieli zadziałać cholernie szybko – dodał. – Wyjecha

liśmy z Tuluzy od razu po uzyskaniu tych informacji, a ich

już tu dawno nie było. Sam Gamoudi wyjechał przed paro

ma miesiącami. Jego adres to rue St. Martin osiem, Heas

pod Gedre, kod pocztowy sześćdziesiąt pięć sto trzystaście.

W książce telefonicznej figurują pod nazwiskiem Hooks, nu

mer zero, pięć, sześć, dziewięć, dwa, pięć, zero, dwie szóstki.

Nie próbowałem dzwonić, bo na pewno jest na podsłuchu,

zresztą nie miałyby to sensu. Nie wiem nawet, czy telefon nie

**został wyłączony. Pani Hooks z synami była w miasteczku**

**jeszcze wczoraj po południu.**

**Kiedy Andy i Guy ruszali w drogę powrotną do Tuluzy, agent w domu pod numerem ósmym również nie tracił czasu i natychmiast wybrał numer kwatery głównej DGSE w Ta-verny i zameldował bezpośrednio Savary'emu:**

**–Byli tu o wpół do dziewiątej. Dwaj agenci CIA, dopy-**

tywali się o rodzinę pułkownika. Uprzejmi i niezbyt natarczywi. Gdybym miał zgadywać, tobym powiedział, że chcieli po prostu się upewnić co do miejsca jego zamieszkania. Nie żądali szczegółów, spytali tylko, kim jestem.

–Czego im oczywiście pan nie powiedział?

–Oczywiście, sire!

Gaston Savary wstał z krzesła i zaczął chodzić po gabinecie. Wiedział, że ten rosnący w oczach problem może mieć tylko jedno rozwiązanie. Obracał go w myślach przez następne pół godziny, ale fakty pozostawały niezmiennie... i wyjście z sytuacji też. „Jeśli Amerykanie wiedzą, że pułkownik Ga-moudi był dowódcą ataku na Rijad, to mają też prawdopodobnie kilka innych poszlak co do naszego zaangażowania... ten zbir z Hamasu nie będzie problemem... pewnie już siedzi w domu razem ze swymi ludźmi... w Syrii nigdy go nie znajdą. Okręty podwodne są nie do wykrycia, a poza tym francuska marynarka nie musi się tłumaczyć Pentagonowi... Rząd amerykański bez wątplenia wie o naszych manewrach na rynku naftowym, ale to tylko zbieg okoliczności... Pozostaje jeden problem: Gamoudi. Jest Francuzem, mają jego adres i wygląda na to, że został zidentyfikowany jako przywódca saudyjskich sił rewolucyjnych. Jeśli go złapią, może być zmuszony przyznać się do wszystkiego”.

Savary zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pierre'owi St. Martinowi powiedział lakonicznie, że odwiedzi go w bardzo pilnej sprawie. Był tak zaaferowany, że ku zdumieniu personelu polecił się zawieźć na Quai d'Orsay szoferowi. Było to niezwykle posunięcie szefa, który zawsze sam prowadził samochód; tym razem jednak siedział zamyślony na tylnym siedzeniu, zastanawiając się nad nielicznymi dostępnymi wariantami działania.

Kiedy wreszcie wchodził do gabinetu ministra, był już zdecydowany. Przyjął oferowaną filiżankę kawy i odczekał, aż kamerdyner wyjdzie na zewnątrz. Spojrzał wtedy St. Martinowi prosto w oczy i lodowatym tonem powiedział:

–Pierre, obawiam się, że musimy wyeliminować Jacques'a Gamoudiego.



## ROZDZIAŁ 10

Czwartek, 25 marca, godzina 5.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Komandor porucznik Ramshawe rozmawiał na kodowanej linii z Charliem Brooksem w Rijadzie, aby po raz ostatni sprawdzić wszystkie informacje, zanim admirał Morris będzie mógł zameldować prezydentowi z całą pewnością, że podczas zamachu stanu w Arabii Saudyjskiej atakującymi siłami dowodził były oficer francuskich sił specjalnych, Francja jest w całą aferę zamieszana aż po pas. I znów doświadczony dyplomata dostarczył dobry towar. Spędził noc w podziemiu ambasady, przeglądając materiał filmowy z kamer zamontowanych na murze ogrodzenia. Te znad bramy były ustawione na wąski kąt widzenia i nie obejmowały całej szerokości alei, ale umieszczona pod dachem obrotowa kamera z szerokokątnym obiektywem sfotografowała całą scenę. Charlie wydrukował kilka fotografii kolumny w kolejnych ujęciach: gdy się zbliżała do ambasady, mijała bramę i odjeżdżała dalej. Na wszystkich wyraźnie widać było brodatą twarz pułkownika Gamoudiego, stojącego w otwartym władzie pierwszego czołgu z pistoletem maszynowym w ręku. Jeden kadr uchwycił nawet jego władczy gest, jakim najwyraźniej przekazywał jakiś rozkaz jadącym za nim maszynom. Nad jego głową wisiał śmigłowiec – ten, z którego generał Raszud przyglądał się konwojowi, zanim odleciał w stronę pałacu. Na nieszczęście Amerykanów ich kamera nie sięgała tak wysoko, by sfotografować i tego protagonistę wydarzeń w Rijadzie.

Brooks powiedział Jimmy'emu, że wysłał już komplet

287

zdjęć za pośrednictwem National Surveillance Office\* i że nie ma już żadnych wątpliwości: dowódcą oddziału atakującego pałac królewski był ten sam człowiek, który ocalał personel ambasady w Brazzaville. *Le Chasseur*.

–Charlie, ja też mam coś dla ciebie – powiedział Ram-shawe. – Znamy już jego prawdziwe nazwisko. Czy Jacques Gamoudi brzmi znajomo?

–Gamoudi... Poczekaj minutkę.

Brooks wrócił myślą do tych gorących chwil w stolicy Konga, ostatnich dni przed ewakuacją, kiedy miasto było już w dużym stopniu zniszczone. Sceny chaosu i grozy wciąż były żywe w jego pamięci, w uszach brzmiała mu dobiegająca z ulic bezładna strzelanina, przypominał też sobie wszechobecny zapach palonej gumy z samochodowych opon. Szczególnie prześladował go w tych wspomnieniach widok odciętych ludzkich głów wożonych jak trofea na samochodach rebeliantów i ryk rozjuszonego tłumu dochodzący, zdawało się, tuż zza murów ambasady. Próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy spotkał Myśliwego. Było to wcześniej rano;

francuscy komandosowie wpadli przez bramę; ostrzeliwano ich, ale „rewolucjoniści” nie byli godnym przeciwnikiem dla świetnie wyszkolonych Francuzów, którzy celnym i zmasowanym ogniem rychło odparli atak.

I wtedy Charlie sobie przypomniał – jeden z komandosów, kierowca ewakuacyjnej ciężarówki, został trafiony w chwili, gdy wyskakiwał z szoferki na ziemię. Kulejąc, dobiegł za mur, z rany w udzie lała się krew... Mimo że upłynęło już jedenaście lat, zrekonstruował w wyobraźni całą scenę dość dokładnie. Żołnierz upada, wstaje i znów upada. Charlie stał nie dalej jak dwa metry od niego... I ten krzyk, jedno słowo: Jacques!

–Macie go – powiedział do słuchawki. – Le Chasseur miał na imię Jacques, na bank. Zobaczycie go na zdjęciach. To on, nikt inny.

–A jego domu w Pirenejach pilnuje francuska służba specjalna – mruknął Jimmy.

\* Gałąź amerykańskiego wywiadu zajmująca się nasłuchem elektronicznym i obserwacją satelitarną.

Podziękował Brooksowi za wydatną pomoc. Teraz miał już dość potwierdzonych danych, by wyekspediować admirała Morrisa do prezydenta... oczywiście po szybkiej konsultacji z Wielkim Człowiekiem. Przeszedł do gabinetu dyrektora, który, jak Jimmy dobrze wiedział, spędził w nim prawie całą noc. Zastukał lekko w drzwi i wszedł do środka, dzierżąc teczkę z zebranymi informacjami.

–I co, Jim, mamy ich? – spytał Morris.

–Absolutnie, sir. Właśnie rozmawiałem z Charliem Brook-sem. Potwierdza, że słyszał, jak jeden z jego ludzi, ranny podczas akcji w Brazzaville, na cały głos wykrzyknął imię majora Gamoudiego, Jacques. Co najważniejsze, Brooks przejrzał też filmy z kamer monitorujących teren wokół ambasady i stwierdził, że na kilku ujęciach wyraźnie widać kolumnę pancerną i Gamoudiego w niekwestionowanej roli dowódcy. Zidentyfikował go na sto procent. W Pirenejach chłopaki z CIA odszukali dom naszego żabojada, ale zastali w nim już tylko francuskich tajniaków. Po Gamoudim oczywiście ani śladu, ale to nas nie dziwi, skoro jest w Rijadzie w służbie króla Nasira. Nasz agent doszedł do wniosku, że był to wyścig między nim a DGSE, kto pierwszy dopadnie pani Gamoudi, i że Francuzi go po prostu wygrali. Kiedy o wpół do ósmej dotarł do miasteczka, zorientował się, że całą rodzinę ewakuowano już w nocy. Pytam więc, czy żabojady zadaliby sobie tyle trudu, gdyby Gamoudi był tylko niewinnym górskim przewodnikiem? Oczywiście, że nie.

–A to na pewno był jego dom?

–Absolutnie. Nasi ludzie wypyтали miejscowych, a i sam tajniak, który im otworzył drzwi, powiedział, że prawdopodobnie dom należy do Gamoudiego, choć zastrzegął, że pewności nie ma. Myślę, że mówił prawdę.

–To nam wystarczy – orzekł Morris. – Teraz pozostaje nam tylko odnaleźć pana pułkownika i jakoś go przeszwar-cować do Stanów, a wtedy będziemy mogli złapać ich za gardło.

–Mam to skonsultować z panem Morganem? – spytał Jimmy.

–Dobry pomysł. Ja tymczasem jadę do Białego Domu.

Jimmy podjechał swoim jaguarem pod drzwi domu admi-

rała w Chevy Chase punktualnie o dziewiątej. Dwaj agenci Secret Service odprowadzili go do gospodarza, który siedział w gabinecie przy kominku, z irytacją pomrukującego nad artykułami w „Washington Post” i „New York Timesie”. Pierwsza z gazet grzmiała o „Kłęsce amerykańskiej dyplomacji w Arabii Saudyjskiej”, druga ganiła rząd za „Niezrozumienie islamskiej mentalności”, czym obie zasłużyły na komentarz Morgana o tradycyjnym, smutnym i zupełnym braku zrozumienia u dziennikarzy wszelkiej maści.

–Liberalne dupki – stwierdził z tradycyjną, niezachwianą stanowczością. – Pieprzone tumany więcej by się nauczyły po dwóch godzinach spędzonych z naszym Ramshawe'em niż przez całe życie na swoich uniwersytetach. – Podniósł głowę i zobaczył gościa. – A, Jimmy. Właśnie o tobie myślałem. Co tam nowego?

–Sporo. Wytropiliśmy pocziwego Chassera.

–Chass-e-u-r-a, Jimmy. Naucz się poprawnej wymowy -odrzekł Arnold, wciąż nadając francuskiemu słowu akcent parodysty.

Uśmiechnął się jednak, powstrzymał odruch wrzucenia gazet w ogień na kominku i wskazał Ramshawe'owi miejsce przy małym stoliku, swoim zwyczajem wrzasnął na cały głos do krzątającej się po kuchni Kathy o kawę, po czym sam usiadł i powiedział:

–No, to opowiadajcie, komandorze.

–A więc tak, sir. CIA wpadła na jego trop w Brazzaville...

–Brazzaville! Toż to jakaś cholerna wiocha nad Kongiem! Jakim cudem on tam trafił? Myślałem, że jest w Rijadzie.

–1 słusznie, sir.

–Przestanieś mnie wreszcie tytułować, u licha? Jestem na emeryturze. Przyjaźnię się z twoim ojcem od wielu lat. Mów mi Arnie jak wszyscy.

–Aye, sir – odrzekł Jimmy, jak obydwaj wiedzieli, że odpowie. – Okay, Arnie. CIA zaczęła od Brazzaville, ponieważ wiedzieliśmy, że przebywał tam przez kilka miesięcy mniej więcej dziesięć lat temu. Pamiętaj, że jako punkt wyjścia mieliśmy tylko relację Brooksa o *Le Chasseurze*, nic więcej.

–Proszę, jak ci się akcent poprawił – wtrącił admirał.

–Dziękuję. Wygrzebali tam jego prawdziwe nazwisko, po

**czym postawili na nogi wszystkich swoich ludzi we Francji, by go wyśledzili. No i dowiedzieli się, gdzie mieszka... w małej wiosce w Pirenejach, gdzie pracuje jako przewodnik górski. A zgadnij, co...**

**–Gdy agenci dotarli na miejsce, w domu czekali francuscy tajniacy – wszedł mu w słowo Arnold.**

**–Skąd wiedziałeś?**

**–Postaw się w ich położeniu. Wybrali tego wyróżniającego się oficera sił specjalnych, aby opracował dla Nasira plan puczu. Przez kilka miesięcy tkwił gdzieś na odludziu, szkoląc żołnierzy do akcji. Być może on sam pracował kiedyś dla tajnych służb. Wszyscy go znają. I nagle nie wiadomo skąd wyskakuje amerykański agent i zaczyna węszyć. No to co, młody człowieku, zrobiłbyś na ich miejscu? Pozwoliłbyś jankesowi dotrzeć do żony i dzieci człowieka, który trzęsie posadami światowej gospodarki?**

**–Zasuwałbym w te cholerne góry i zabrał rodzinę Ga-moudiego w bliżej nieznanym miejscu.**

**–Otóż to, Jimmy. A potem co byś zrobił?**

**–No, potem... hmm...**

**–Według mnie nie miałbyś wielkiego wyboru. Musiałbyś zlikwidować Jacques'a Gamoudiego, a może i jego żonę. Tylko bowiem ci dwoje mogą powiedzieć światu, co narobiłeś.**

**–Ale przecież Myśliwy na pewno dostał od rządu francuskiego całą górę forsy, żeby nic podobnego nie przychodziło mu do głowy!**

**–Przypuszczalnie tak. I myślę, że wywiązałyby się ze swojej części umowy. Ale co by było, gdyby wpadł w nasze ręce? Gdybyśmy postawili go w stan oskarżenia o zbrodnie przeciw ludzkości czy coś w tym rodzaju? Moglibyśmy go zmusić do wyjawienia prawdy.**

**–No tak. W takim wypadku zabójcy woleliby go zawczasu uciszyć.**

**–Właśnie. A jeśli zabiliby Gamoudiego, to musieliby zabić także jego żonę. Żony, którym nagle ktoś morduje męża, mają zazwyczaj wiele do powiedzenia.**

**–Jezu, Arnie! Sądzisz, że Francuzi sami mogą teraz polować na swojego człowieka?**

–Tak właśnie sędzę. Jeśli chcemy go dostać, lepiej niech

George się zacznie szybko uwijać.

W tej chwili promienna jak zawsze Kathy weszła z kawą. Przywitała serdecznie Jimmy'ego, a mężowi zaproponowała, że na urodziny kupi mu ręczny megafon, by nie musiał sobie zdzierać gardła, gdy ona będzie dalej niż o rzut harpunem. Morgan zerwał się z krzesła i objąwszy żonę ramieniem, rzekł do Ramshawe'a:

–Jimmy, jak ona ze mną, u diabła, wytrzymuje?

Jimmy wiedział, że podobne pytania lepiej zostawiać bez

odpowiedzi, lecz mimo to nie mógł się powstrzymać.

–Obawiam się, że tak samo, jak my z międzypokładu z naszymi admirałami...

–Będę wobec tego musiała wymienić doświadczenia z jakimś szczególnie znękanym międzypokładem – powiedziała Kathy ze śmiechem. – Zostaniesz na obiedzie, Jim?

–Niestety, nie mogę, proszę pani. Muszę wracać, a w tym ruchu zajmie mi to z godzinę.

Morgan usiadł z powrotem w dużym fotelu przy kominku. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał, najwyraźniej zatopiony w rozmyślniach, ale zaraz podniósł głowę.

–Wiesz, Jimmy, ten postęp Francji to straszna rzecz. Przypuszczam, że Nasir skusił ich obietnicą udziału w zyskach z eksportu saudyjskiej ropy, a być może nawet wyłączności na jej dystrybucję. Poza tym Arabia zawsze kupowała dużo francuskiej broni, co też mogło być jego kartą atutową. Ale czy wyobrażasz sobie, że my moglibyśmy zrobić coś podobnego? Albo Wielka Brytania czy Australia? Z czystej żądzy zysku wpuścić resztę świata w taki kanał na parę lat? Pozbawić międzynarodowy rynek największego źródła taniej ropy? Wpędzić dziesiątki krajów w bankructwo? Na to trzeba być naprawdę wyjątkową nacją.

–Sir, czy jest pan osobiście przekonany... równie głęboko jak ja... że sprawcą tego wszystkiego jest Francja?

–Jestem głęboko przekonany, że zwykła grupa saudyjskich wywrotowców nie mogłaby tego dokonać na własną rękę. Jestem pewien, że musiał im pomagać ktoś z zewnątrz i że takiej pomocy udzielili im Francuzi.

–Czy taka pewność wystarczy, abyśmy podjęli działania?

–Jimmy, nie jestem prezydentem. Nie jestem nawet ofi-  
 cjalnym doradcą rządowym. Gdybym jednak był głową pań-  
 stwa, to nie mógłbym spokojnie siedzieć z założonymi rękami  
 i się biernie przyglądać, jak wali się w gruzy cały uprzemy  
 słowiony świat, a tylko Francja spokojnie obżera się ślimaka  
 mi i zbija fortunę na saudyjskiej ropie.

Tymczasem w Białym Domu admirał Morris przedstawiał prezydentowi swoją wersję  
 wydarzeń, wyjaśniając, jak doszło do identyfikacji Myśliwego. Kiedy skończył, zaniepokojony  
 Paul Bedford zamyślił się głęboko. Wszystko, przed czym ostrzegwał go Arnold Morgan,  
 zaczynało się spełniać: będzie obarczony winą za ogólnoświatowy krach ekonomiczny. Bez  
 cienia własnej winy przejdzie do historii z piętnem, jakiego oszczędziła ona większości jego  
 poprzedników.

–I co o tym wszystkim sądzisz, George? – spytał. – To znaczy, co ty byś zrobił na moim  
 miejscu? Pytam, bo wygląda na to, że ty i twój asystent jesteście jedynymi ludźmi w kraju,  
 którzy rozumieją, co się naprawdę dzieje.

–Sir, nie jestem fachowcem od polityki. Moim zadaniem jest właśnie wiedzieć, co się dzieje, i  
 odgadywać, co się może wydarzyć potem. Pan musi jednak postępować metodycznie. Ja bym  
 zaczął od konsultacji z admirałem Morganem. W takich sytuacjach nie ma lepszego specja-  
 on, zwłaszcza gdy trzeba będzie zdrowo komuś przyłać.

Prezydent tylko skinął głową. Pięć minut później, niemal natychmiast po odjeździe Jimmy'ego  
 Ramshawe'a, w willi w Chevy Chase zadzwonił telefon. Po godzinie Arnold Morgan był już w  
 Gabinetcie Ovalnym, relacjonując Bedfordowi ostatnie wydarzenia, wśród których niepoślednie  
 miejsce zajmowało załamanie się tokijskiej giełdy Nikkei. W ciągu czterech dni od wyschnięcia  
 strumienia dostaw saudyjskiej ropy i gazu japońscy analitycy sporządzili prognozę  
 energetyczną dla kraju, przewidującą istotny niedobór energii elektrycznej i gazu ziemnego.  
 Najdalej za sześć tygodni, około 10 maja, w jednej z największych potęg przemysłowych  
 świata zgasną światła. Specjalistów od dawna niepokoiło uzależnienie kraju od saudyjskich  
 surowców – teraz spełniały się ich najczarniejsze proroctwa.

Nie inaczej było na Tajwanie, w Indiach i Pakistanie,

**także polegających dotąd na dostawach z Arabii. Chińczycy część potrzebnej ropy kupowali w Kazachstanie, ale i oni należeli do najpoważniejszych klientów Saudyjczyków. Indonezja ma własne złoża naftowe, dużo też jednak sprowadzała z rejonu Zatoki Perskiej. To samo można powiedzieć o Kanadzie, natomiast w zdecydowanie gorszej sytuacji znalazły się państwa zachodnioeuropejskie. Stary Świat pozbawiony jest zasobów energetycznych poza węglem we wschodniej części kontynentu i stosunkowo niewielkimi złożami ropy pod dnem Morza Północnego. Wielka Brytania stała w obliczu kryzysu nie mniejszego niż w Stanach Zjednoczonych.**

**Rosjanie mogli się uśmiechać, podobnie jak były republiki radzieckie w środkowej Azji i nad Morzem Czarnym. Ameryka Południowa też da sobie radę bez Saudyjczyków, ale globalna ekonomia to system naczyń połączonych – ekonomiczna zapaść największych graczy niosła zagrożenie dla wszystkich bez wyjątku. Jak to ujął tego ranka komentator z „Wall Street Journal”: „Trudno przecenić charakter i zasięg reperkusji wydarzeń na saudyjskich polach naftowych. Na głównych światowych giełdach już odnotowano wstrząsy i akcje straciły miliony dolarów na wartości w Europie, na Dalekim Wschodzie i w Stanach Zjednoczonych. Nagim faktem zaprzeczyć się nie da: świat nie może prawidłowo funkcjonować bez normalnej podaży ropy naftowej, a przez następne dwanaście miesięcy nie będzie o niej mowy. W skali globalnej może to oznaczać tylko jedno – bankructwa, załamanie rynków, przerwy w dostawach energii elektrycznej, upadek banków i koncernów energetycznych na wszystkich kontynentach. Przesada? Wyobraźcie sobie duży bank kredytujący linie lotnicze, które nie mogą zatankować samolotów; producenta samochodów, których nikt nie kupuje, bo i tak zamknięte są stacje benzynowe; przemysł spożywczy i sieci supermarketów bez chłodzi; koncerny paliwowe, floty ciężarówek, a wreszcie armatorów zbiornikowców. A to tylko garść przykładów. Co się stanie, gdy kraje uprzemysłowione staną w bezruchu? Na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi. Gatunek ludzki ma wyjątkowe zdolności adaptacyjne i nieraz w historii musiał sobie radzić z ekstremalnymi trudnościami. Trzeba jednak powiedzieć, że jeśli nie liczyć wojen światowych,**



w takiej sytuacji jeszcze się nie znaleźliśmy. Jak w biblijnym Egipcie nadchodzą lata chude, na które nawet najwięksi potentaci mogą się okazać nieprzygotowani".

I prezydent, i Morgan czytali ten artykuł, a choć ich poglądy często stały w diametralnej sprzeczności, tym razem obydwaj się zgadzali, że nadeszła pora na działanie – przeciwko Francji, krajowi, który Ameryka niegdyś uważała za przyjaciela i pomagała mu w potrzebie. Paul Bedford zdawał sobie sprawę, że miliony jego rodaków nigdy nie wybaczyły Francuzom ich dogmatycznej opozycji wobec USA podczas przygotowań do obalenia zbrodniczego dyktatora Iraku w 2003 roku i nie zapomniały, jak potem ci sami Francuzi domagali się udziału w kontraktach na odbudowę tego kraju. Od zakończenia wojny minęło siedem lat, a wciąż są w USA importerzy, hurtownicy i restauratorzy, którzy bojkotują francuskie produkty. I oto znów ten „najbardziej egoistyczny kraj świata” pokazał, co potrafi... Tylko że tym razem może się przeliczył – nawet w kategoriach czystego interesu narodowego; może się mimowolnie skazał na rolę światowego pariasa... o ile da się udowodnić mu współudział w przewrocie w Arabii Saudyjskiej.

Arnold Morgan nie miał wątpliwości, że się da.

–Sir, wyłożę to panu punkt po punkcie. To Francja była tym zewnętrznym sojusznikiem księcia Nasira. Saudyjskie instalacje naftowe zostały zniszczone przez francuskie rakietki wystrzelone z francuskich okrętów podwodnych. Porty przeładunkowe wysadzili w powietrze francuscy komandosi. Atak na bazy wojskowe w Chamis Muszajt był dziełem francuskich sił specjalnych, a uliczny motłoch w Rijadzie zorganizował i poprowadził na pałac królewski były francuski oficer. Nowy król wybrał Francję do odbudowy przemysłu naftowego, a kiedy saudyjska ropa znów popłynie, zobaczy pan, że nie kto inny jak Francja przejmie kontrolę nad jej globalną dystrybucją. Od pana zależy, czy zostaniemy na lodzie w nadchodzącym wyścigu po miejsca w kolejce, jaka się po

**nią natychmiast ustawi.**

**–1 jesteś absolutnie pewien, że to oni? Mamy na to wystarczające dowody?**

**–Absolutnie.**

–A co z tymi ich okrętami? Gdzie one mogą być?

–Jeden płynie przez Morze Arabskie, drugi już pewnie na Indyjskim.

–A jeśli nie pokażą się na Reunion, jak pan i NSA przewidujecie?

–To nie ma najmniejszego znaczenia. Na całym świecie są tylko dwa okręty podwodne, które mogły wystrzelić te cholerne rakiety. Oba noszą banderę francuską, oba były w tym właśnie rejonie i tajemniczo zniknęły, a to trochę za dużo jak na zwykły zbieg okoliczności.

–Kto powinien się zwrócić do Francuzów?

–Pan, panie prezydencie. Ewentualnie sekretarz stanu. Co prawda niewiele to da, bo oni wszystkiemu zaprzeczą.

–Jak więc możemy ich załatwić?

–Musimy schwytać Myśliwego i zmusić go do zeznań.

–Czy to będzie trudne?

–Niezwykle. Zwłaszcza jeżeli żabojadom uda się go przedtem zlikwidować.

–Myślisz, że mogą to zrobić?

–Ja bym zrobił.

Bedford wstał i przeszedł przez gabinet, znów zatrzymując się pod portretem Waszyngtona.

–Arnoldzie – powiedział. – Zwracam się do ciebie z prośbą. Wróć do pracy jako mój specjalny doradca. Na kilka miesięcy, z pensją, jaką sam wyznaczysz.

–Sir, nie jestem dobry w doradzaniu – odrzekł Morgan. – Wydaję rozkazy i muszą być one wykonane. Nie zamierzam przedstawiać swoich sugestii komitetom niedowarzonych demokratów, żeby nad nimi siedzieli i zastanawiali się, co by tu zrobić inaczej.

–A gdybym cię mianował głównodowodzącym tej operacji, z uprawnieniami do wydawania rozkazów wojsku?

–Czy pan i pańscy doradcy mielibyście prawo weta?

–Tego się wyrzec nie mogę.

–W takim razie na mnie pora, sir. Zawierzając mi, zawierza pan swoim najwyższym

dowódcą z Pentagonu. Nie wydam nikomu żadnego rozkazu bez ich poparcia. Pracuję z Pentagonem, sir, a nie wbrew niemu.

Paul Bedford zastanawiał się przez chwilę.

296

–To znaczy, że miałbym udzielić ci pełnomocnictwa do postawienia kraju w stan wojny?

–Oczywiście że nie, sir. Sugeruję, żeby dał mi pan upoważnienie do wymierzenia tu i tam paru kopniaków bez konieczności odpowiadania na zestawy pytań. W ten sposób ocali pan swoją kadencję, a USA znajdą się tam, gdzie chcemy, czyli na dobrej pozycji do układów z Saudyjczykami.

–Znalazłbym się wtedy w bardzo niepewnej sytuacji. Praktycznie musiałbym słuchać twoich poleceń... zgadza się?

–Tak, sir. Inaczej nie chcę się w ogóle w to mieszać. Muszę mieć wolną rękę i możliwość szybkiego działania. Jeśli mi pan nie ufa, to nie ma o czym dalej mówić. Ale jeśli ma pan do mnie zaufanie, to niech się pan szybko decyduje, bo ten cały naftowy bajzel może lada chwila wymknąć się spod kontroli.

–Dobrze. Umieszczę pana w przyległym biurze.

–Po sąsiedzku z Gabinetem Ovalnym? Świetnie. I będę rozmawiał tylko z panem. Nie będę zasiadał na żadnych zebraniach rządowych czy jakichkolwiek innych. Przekazuję panu informacje, a pan działa sam, gdzie i jak trzeba.

–Arnoldzie, wiedz, że nie zgodziłbym się na taki układ z nikim innym.

–Ani ja, sir.

–Jakiej żądasz pensji?

–Nie ma o czym mówić. Wystarczy, gdy dostanę wszelkie wsparcie, jakiego będę potrzebował.

–No to dobiliśmy targu. Mianuję cię głównodowodzącym operacji... jak ją nazwiemy? Pustynny Grom?

–A co pan powie na... Pieprzony Turbaniarz?

–Chryste, Arnold! Osobiste animozje zostawmy na boku. Wymyśl coś neutralnego.

–Okay, niech będzie operacja Tankowiec.

–Zatwierdzam. Kiedy zaczynasz?

**–Już zacząłem. Proszę dopilnować, aby moje biuro miało porządną pokój dla Kathy. Będzie jej też potrzebna asystentka.**

**–Nie ma problemu. Będziesz dziś dzwonił do Paryża?**

**–Chyba nie. Skupiam się chwilowo na bitwach lądowych i raczej nie wetknę żabojadom petardy w tyłek, dopóki nie**

znajdziemy tych dwóch okrętów. Wtedy będę mógł udawać, że wiemy więcej, niż wiemy.

–Aha... I co dalej?

–Och, nie sądzę, abyśmy cokolwiek tą drogą osiągnęli. Francuzi będą po prostu wzruszać ramionami i powtarzać, że nie mają pojęcia, co się stało w Arabii Saudyjskiej, bo to nie ich interes.

–I co my na to?

–Postawimy ich zaocznie przed sądem i uznamy za winnych. A potem, jak się mawia w Pentagonie, pokusimy się o ocenę sytuacji.

–Powiemy coś prasie?

–Do diabła, nie! Żadnych oświadczeń, żadnych konferencji, głucha cisza, sir.

–A jeśli kogoś zdziwi, że nagle się zjawileś w Białym Domu i zadamowiłeś tuż obok prezydenta?

–Ogłosi pan, że admirał Morgan pracuje z panem nad analizą potencjalnego problemu dla Stanów Zjednoczonych i pełni obowiązki specjalnego doradcy na czas ograniczony i bez wynagrodzenia.

–Tuż przedtem, zanim każesz SEALs wysadzić w powietrze wieżę Eiffla czy coś w tym rodzaju?

–Coś w tym rodzaju. Żeby jednak pana uspokoić, zapewniam, że nie będziemy demolować żadnych obiektów lądowych. Natomiast nie zależy nam na tym, by francuskie tankowce jak gdyby nigdy nic wozily ropę z Abu Dżabi do Marsylii i Le Havre, podczas gdy reszta świata obchodzi się smakiem.

–Zanosi się na interesujący scenariusz – zauważył prezydent.

–Powtarzam po raz ostatni, sir. Pańską jedyną szansą jest przyjęcie postawy agresywnej, okazanie gniewu i bezkompromisowe napiętnowanie Francji za to, co zrobiła. Musi pan odsunąć punkt skupienia krytyki od własnej osoby i jeśli trzeba, zaskoczyć i zaszokować świat. Ale przy tym należy zrobić wrażenie strony poszkodowanej i narobić dużo hałasu. Najważniejsze, by wolny świat uznał Francję za wroga. W ten sposób nie może pan przegrać.

–Słucham cię, Arnie. I wiem, że masz rację. Tak, chyba

nie da się uniknąć zaangażowania Ameryki w tę całą aferę, choć nie zrobiliśmy niczego, co by ją zapoczątkowało.

–Nie jest pan pierwszym prezydentem, który staje wobec podobnej sytuacji. Musimy chwycić byka za rogi i całą sprawę tak odwrócić, żeby jeszcze na tym skorzystać. Będzie to Francję sporo kosztowało.

**Czwartek, 1 kwietnia, godz. 11.00. Dzielnica dyplomatyczna w Rijadzie**

Kiedy w Arabii z wolna opadał bitewny kurz, pułkownik Gamoudi i generał Raszud trzymali się głęboko w cieniu. W stolicy od chwili objęcia władzy przez nowego króla panował spokój, a całe siły zbrojne zgodziły się przejść na jego służbę. Nasir ogłosił już, ku gromkiemu aplauzowi narodu, kasację niebotycznych pensji dla niezliczonych książąt oraz -wobec tych nielicznych, którzy pozostali w kraju – konfiskatę majątku poza ich rodowymi siedzibami. Wszystkim członkom rodziny obalonego władcy, którzy mogli wyemigrować, doradził, by to niezwłocznie uczynili, po czym natychmiast zamroził ich konta w saudyjskich bankach. To prawo bezlitośnie działało wstecz, pozostawiając liczne kasyna, hotele i mariny na Riwierze z niespłaconymi długami byłej złotej młodzieży królestwa. Król wyznawał prostą zasadę: książęta mieli swoje pięć minut, ale teraz koniec. Jeżeli mieli zobowiązania finansowe, to przestało to być sprawą skarbu państwa, a stało się ich osobistą. Będą musieli poszukać sobie pracy i spłacać je sami albo wyjechać gdzieś i żyć odpowiednio skromniej. Na jakiegokolwiek wynagrodzenie rządowe mogą liczyć tylko ci królewscy krewni, którzy się ugną wobec nowej władzy i znajdą użyteczne zajęcie. Wszelkie przelewy funduszy za granicę zostały im prawnie zabronione.

Król zaapelował do wszystkich rodzajów sił zbrojnych, aby pozostały lojalne wobec Korony, i jednocześnie oznajmił, że należne zawodowym wojskowym pensje będą wypłacane ze środków rządowych w pierwszej kolejności. W bieżącym roku przeznaczył już na ten cel trzy miliardy dolarów. Tymi dwoma posunięciami Nasir zarazem pozbył

się w rocznym budżecie dwustu miliardów „zobowiązań wobec książąt” i zdobył sobie niekwestionowaną lojalność armii, „zarabiając” na tym sto dziewięćdziesiąt siedem miliardów.

Król sam był wzorem lojalności wobec Jacques'a Gamou-diego i Rawiego Raszuda. Gościł ich obu w wielkiej, luksusowej willi, z przyjemnością spełniając ich wszelkie życzenia. Mieli do dyspozycji służbę, na każde zawołanie limuzyny i śmigłowce, prawo korzystania z najlepszych restauracji w mieście na jego koszt i bywali często zapraszani do pałacu lub na pustynne uczyty w królewskim namiocie. Nasir polubił ich tak bardzo, że gdyby tylko chcieli, z otwartymi rękami przyjęto by ich na stałą gościnę i mogliby mieszkać w Rijadzie do końca swoich dni. W Arabii Saudyjskiej oficjalnie zniknęła uprzywilejowana kasta książąt, ale ci dwaj przywódcy rewolucji byli traktowani tak samo jak arystokratyczna śmietanka poprzedniego reżimu.

Nasir spełniał też obietnice dane Francji. Przeznaczył dziesięć miliardów dolarów na odbudowę kompleksu Abkaik, stacji pomp numer jeden, złącza Katif i instalacji przeladunkowych na Zatoce oraz rafinerii nad Morzem Czerwonym. Do budżetu nie wpłynęły jeszcze oczywiście poważne należności za wcześniejsze dostawy, a król zamierzał podnieść wypłacane obywatelom roczne kwoty do czternastu tysięcy dolarów, nie czuł się więc na siłach podjąć odbudowy portów w Janbu al-Bahr, Rabigh i Dżeddzie. Z tym chciał poczekać, dopóki eksport nie zostanie wznowiony. Niezwłocznie jednak przyznał wszystkie poważniejsze kontrakty budowlane firmom francuskim i wypłacił ogromne honorarium koncernowi TotalFinaElf za doradztwo, konsultacje i planowanie prac. Wiele tygodni miało jeszcze upłynąć, zanim saudyjski dług wobec Francji zostanie w pełni ujawniony, a tymczasem przez Morze Śródziemne i Kanał Sueski płynęła stamtąd do Arabii frachtowcami rzeka materiałów i maszyn budowlanych, rur, pomp i ciężarówek za grube miliony dolarów. Dla przemysłowców znad Sekwany nastał czas niespotykanej hossy – tak jak to przewidział prezydent już po pierwszej rozmowie z księciem Nasirem.



Skwarny dzień miał się ku końcowi i dzielnica dyplomatyczna budziła się znów do życia po południowej sjeście. Rawi Raszud i Jacques Gamoudi postanowili się wybrać na kolację do „Da Pino”, jednej z najlepszych włoskich restauracji w mieście, w centrum handlowym Al Chozama. Do niedawna bardzo popularny wśród saudyjskiej elity lokal przeżywał teraz ciężkie czasy, gdy nagle zabrakło klienteli, nie mieli więc najmniejszego problemu z rezerwacją stolika. Szofer wiózł ich do centrum najkrótszą drogą i kiedy znaleźli się na ulicy Króla Chalida, Rawi po raz pierwszy spostrzegł w prawym bocznym lusterku jadącego za nimi czarnego citroena. Nie wzbudziło to jego zainteresowania, ale zauważył, że samochód skraca dzielący ich dystans, a w pewnym momencie nie wpuścił przed siebie białego furgonu. Rawi odwrócił się na ostry dźwięk klaksonu i zobaczył, jak kierowca wozu dostawczego wymachuje pięścią. Po skręcie w lewo w Makkah Road sprawdził, czy citroen jedzie dalej za nimi. Jechał jak przyklejony; nie było to wprawdzie nic szczególnie dziwnego, obie ulice są bowiem ruchliwymi arteriami. Kiedy jednak ich limuzyna skręciła w ulicę Emira Soltana, czarne auto powtórzyło i ten manewr. Przejechali z dużą szybkością pod wiaduktem bezkolizyjnego skrzyżowania z ulicą Króla Fahda i skręcili w trzecią przecznicę w lewo – szeroki bulwar Ola-ja, przy którym znajdował się hotel i centrum handlowe Al Chozama. Szofer zaparkował po prawej stronie, gdzie było więcej miejsca, i miał tam na nich czekać. Obaj pasażerowie wysiedli od strony chodnika; Rawi patrzył uważnie, jak czarny wóz mija ich i niespiesznie skręca w prawo w ulicę Emira Mohammeda. Uznał, że to zwykły zbieg okoliczności, i więcej o citroenie nie myślał.

W restauracji przy sąsiednim stoliku zastali pułkownika Bandara, z dobywcę stacji telewizyjnej, który przyjechał z rodziną. Wymienili z Gamoudim milczące toasty sokiem owocowym, po czym Jacques przedstawił pułkownikowi Rawiego Raszuda. Kolacja się trochę przeciągnęła i było kilka minut po dziesiątej, gdy obaj najemnicy wyszli z lokalu na przyjemnie rześkie o tej porze dnia powietrze. Szofer pomachał do nich przez ulicę; przez chwilę stali, rozmawiając w oczekiwaniu na przerwę w ulicznym ruchu. W końcu ruch ustał

i obaj jednocześnie ruszyli przez jezdnię. Dochodzili do środka, gdy Kawi usłyszał z lewej strony pisk opon gwałtownie ruszającego samochodu. Zatrzymał się instynktownie, ale Gamoudi szedł dalej. Raszud zwrócił głowę ku nadjeżdżającemu pojazdowi; przez głowę przemknęły mu dwa słowa: „Czarny citroen!” Widział, jak sylwetka wozu rośnie w oczach, kierując się wprost na nich; kierowca musiał wciskać pedał gazu do końca. Dwoma skokami Rawi przebył dystans dzielący go od kolegi; obrócił się na pięcie, jednocześnie z niebywałą siłą owinął przedramię na jego szyi i pchnął go w tył. Zaskoczony Gamoudi fiknął kozła i uderzył głową o asfalt. Przez ułamek sekundy były legionista myślał, że umiera; gdyby Raszud zareagował choćby o okamgnienie później, tak by się właśnie stało – stopy Jacques'a jeszcze nie zdążyły opaść na jezdnię, kiedy musnął je błotnik pędzącego citroena.

Rawi zerwał się na nogi; w tej samej chwili zapuszczaly hamulce i wóz napastników zatrzymał się, obrócony w poślizgu ukośnie do osi drogi. Z początku myślał, że kierowca wrzuca wsteczny bieg i chce jeszcze raz ruszyć na nich. Przestraszył się, że nie zdążą uskoczyć, zwłaszcza że pułkownik wciąż leżał zamroczony uderzeniem.

Stało się inaczej. Samochód ani drgnął, za to otworzyły się tylne drzwi i Rawi ujrzał koniec lufy pistoletu maszynowego, a potem śniadą i nie ogoloną twarz przeciwnika. Mistrz walki wręcz ze szkoły SAS nie wahał się ani przez moment. Rzucił się sprintem ku citroenowi; potężne kopnięcie, jakiego nie powstydziliby się ligowy rugbista, omal nie urwało mężczyźnie głowy, łamiąc mu kręgi szyjne i żuchwę w dwóch miejscach. Gotowy do strzału kałasznikow upadł ze szczękiem na jezdnię i Rawi zdążył go chwycić, zanim kierowca wyskoczył z drugiej strony i obiegł wóz dookoła, ściskając w dłoniach identyczną broń. Nie było czasu wycelować i strzelić; Raszud odruchowo uderzył kolbą w twarz nadbiegającego. Cios był silny, zadany z półobrotu ku górze i trafił go w środek czoła. Atakujący zachwiał się, lecz nie upadł, nie wypuścił też z rąk pistoletu maszynowego. Nie miał już jednak żadnych szans. Rawi był już przy nim; lewą ręką chwycił go za długie, kręcone włosy, a nasadą prawej dłoni rąbnął w górną część nosa. Klasyczne uderzenie, znak firmowy brytyjskich sił specjal-

nych, wbiło fragmenty strzaskanej przegrody nosowej prosto w mózg, uśmiercając mężczyznę na miejscu.

Jacques Gamoudi usiadł, wciąż oszołomiony upadkiem, i zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego kolega rozprawia się z drugim napastnikiem. Cała bójka trwała sekundy; jedno kopnięcie, jeden cios kolbą, jeden ręką – i dwa trupy, a wszystko w normalnym ulicznym ruchu.

–Nieźle, jak na faceta, który woli zdobywać królewskie

pałace. – Jacques wyszczerzył zęby w bolesnym uśmiechu.

Rawi, który wzywał właśnie gestami szofera, by się pospieszył, odwrócił się do niego i powiedział:

–Jacques, jeszcze ci do śmiechu? To nie był wypadek. Ktoś nas próbował zabić. I mam wrażenie, że bardziej im zależało na tobie niż na mnie. Chyba zauważyłeś... francuski samochód, francuskie tablice, a ten drugi sukinsyn pachniał jak pieprzona beczka czosnku.

–Postaraj się nie traktować mojej nacji ze swoimi uprzedzeniami rodem z brytyjskiej szkoły publicznej – zareplikował Gamoudi. – To, że lubimy przyprawiać potrawy, nie upoważnia nikogo do imputowania nam nieświeżego oddechu.

–Milczeć, pułkowniku – rzucił Raszud najlepszym koszarowym tonem. – Bo każę wam salutować za każdym razem, gdy wam uratuję życie. To już drugi raz w tym tygodniu.

–*Mon Dieu*, co ja bym bez ciebie zrobił?

–Mam zgadywać? Pewnie byś leżał posiekany odłamkami granatu za tą ladą w pałacu. – Rawi zaśmiał się krótko. – A teraz zamknij się i wstawaj, pora stąd spadać. Tylko nie wysmaruj krwią zagłówka, bo się król będzie złościł... Ah-med, daj no tu trochę tych serwetek. Pułkownik nabił sobie guza.

–Myślę, że nie boli go tak jak tamtych dwóch – mruknął szofer, wzruszając ramionami i ruchem głowy wskazując na leżących bezwładnie napastników.

Po chwili limuzyna ruszyła, szybko przyspieszając. Niedługo potem obaj oficerowie siedzieli już na werandzie białej willi na skraju dzielnicy dyplomatycznej, popijając chłodny sok, choć aż się prosiło o solidny koniak czy whisky – w Rija-dzie, w dodatku za rządów tak ortodoksyjnego władcy, nawet tak uprzywilejowanym ludziom jak oni nie wypada łątać

jednego z najbardziej znanych zakazów Koranu. Milczeli, ale obydwaj myśleli o tym samym: być może Rijad nie jest już dla nich właściwym miejscem. Postanowili, że nazajutrz rano zasugerują królowi Nasirowi, że ich misja dobiegła końca i pora im wracać do domów.

Dla pułkownika Gamoudiego nie była to jednak taka prosta sprawa. Szkopuł w tym, że incydent na bulwarze Olaja zasiał w jego umyśle ziarno wątpliwości. Jak na człowieka, który większość kariery wojskowej spędził w warunkach bojowych, był dość mocno poruszony tym, że właśnie o mały włos nie padł ofiarą zamachu. Nie miał pojęcia, kto mógł być zleceniodawcą napastników. Człowiek, który żyje tak jak on, musi się liczyć z groźbą nagłej śmierci. Myśłami wrócił do spotkania w Pirenejach z dwoma ludźmi z Paryża. Nie ma powodu, by ich podejrzewać... Czy jednak czegoś wtedy nie przeoczył? Czy nie dość przekonująco mówił o swej lojalności wobec ojczyzny? Może za dużo zażądał? Ale pieniądze raczej nie były problemem. Nie, to absurd... Co też mu przychodzi do głowy? A król? Może to on uznał, że obecność ludzi, którzy posadzili go na tronie, nie jest już w jego interesie? Zaczął się obawiać, że prawda wyjdzie na jaw? Nie, to też nie miało sensu. Więc kto?

Ktokolwiek to był, obaj z Raszudem wiedzieli, że muszą zniknąć z Rijadu. Pytanie tylko, dokąd on, Jacques Gamou-di, miał się udać? Nie mógł pozostać na Bliskim Wschodzie – to zbyt niepewne. Mimo że rozum mu podpowiadał, iż w wieczornym incydencie nie mógł maczać palców rząd francuski, pułkownik ufał niezawodnemu dotąd instynktowi - ten zaś ostrzegał, że we Francji też nie będzie bezpiecznie. DGSE wiedziała, gdzie go znaleźć, i znała jego ulubione miejsca. Przydzielona mu przez nią piątka ochroniarzy została już odwołana. Francuzi mogą go wytropić wszędzie... a to się Myśliwemu bardzo nie podobało. Nie był przyzwyczajony do roli zwierzyni.

Piątek, 2 kwietnia, godz. 18.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

–Jak w zegarku – powiedział do siebie Jimmy Ramshawe,

patrząc na świeże zdjęcia nadsyłane on-line z NSO.

Widniała na nich baza marynarki wojennej na wyspie Reunion, jednym z departamentów zamorskich Francji. Przy jednym z pirsów stał sobie grzecznie nowo przybyły okręt podwodny klasy Rubis, numer taktyczny 605 – *Amethyste*, który pokazał się po raz pierwszy od trzech tygodni, kiedy zniknął pod powierzchnią Morza Czerwonego u wylotu Zatoki Sueskiej. Przysłowie „Co z oczu, to z serca” w tym wypadku się nie sprawdzało – przynajmniej nie dla komandora porucznika Ramshawe'a. Jimmy już wcześniej obliczył, że okręt musiał przejść przez cieśninę Bab el-Mandeb mniej więcej w czwartek przed tygodniem, w godzinach popołudniowych. Zatoka Adeńska od cieśniny do przylądka Guardafui (komandor jak wielu marynarzy nie uznawał poprawności politycznej na mapach morskich i mimo światowego trendu

do zmiany „kolonialnych” nazw geograficznych na „narodowe” używał tych pierwszych w odniesieniu do najbardziej znanych nawigatorom miejsc) mierzy ponad czterysta siedemdziesiąt mil morskich, więc przy założeniu, że dowódca zdecydował się tam przyspieszyć do dwunastu węzłów, dotarcie do wyjścia na otwarty ocean zajęłoby mu niespełna czterdzieści godzin. Jimmy zaznaczył na mapie punkt przy Rogu Afryki, gdzie wobec tego *Amethyste* mógł być w sobotę rano. Stamtąd do Reunion pozostawało równe dwa tysiące mil. W pustych głębinach Oceanu Indyjskiego Francuz mógł sobie pozwolić na żeglugę z prędkością piętnastu węzłów, czyli pokonałby tę trasę w pięć i pół doby. Ramshawe zerknął na swój zapisek w rogu mapy: „Wypatrywać *Amethyste* na Reunion wieczorem 1 kwietnia”.

–Doba spóźnienia – mruknął. – Przeceniłem jego śmia

łość. A co z jego kumplem?

Nie widziany przez nikogo od wyjścia z Suez 4 marca *Perle* miał dłuższą drogę do przebycia, z zawinięciem na Zatokę Perską. Według obliczeń Jimmy'ego mógł wychodzić z cieśniny Ormuz w środę 24 marca, a stamtąd miał przed

sobą około trzech tysięcy mil. „Przez Morze Arabskie na pewno płynął jeszcze wolno, średnio dziesięć węzłów przez pierwszy tysiąc mil, co ulokowałyby go na wysokości Rogu Afryki mniej więcej w niedzielę dwudziestego ósmego. Stamtąd już szybciej, te same pięć i pół doby, a więc możemy się go spodziewać w bazie najwcześniej dzisiaj pod wieczór lub jutro do południa. Jezu, jeżeli on się rzeczywiście w tym czasie zjawi, to bingo! Gdzie indziej mógłby się pałętać? I dlaczego oba poszły w zanurzenie na Czerwonym i odtąd nosa nie pokazały? Ani jeden francuski podwodniak płynący tą trasą tego dotąd nie robił... Arnie, staruszkule, mamy ich!”

Raz jeszcze wpatrzył się w niepodważalny dowód, uzyskany dzięki wszytkowidzącemu oku szpiegowskiego satelity: *Amethyste*, numer taktyczny 605, dowodzony przez komandora Louisa Dreyfusa (według rejestru w Port Saidzie) stoi sobie w całej krasie w podzwrotnikowym rajku Reunion. Wydawało mu się to aż niewiarygodne... Z trudem pojmował, co ten okręt zrobił: zniszczył wszystkie saudyjskie instalacje naftowe na Morzu Czerwonym. Wiedział jednak, że tak właśnie musiało być i że nikt nie miałby za złe US Navy, gdyby go teraz tam dopadła i zatopiała.

O tym jednak decyduje teraz Wielki Człowiek. Jimmy nie mógł się doczekać jego reakcji po weekendzie, kiedy już będzie jasne, że główni podejrzani w tej wciąż zagadkowej sprawie zgodnie z przewidywaniami dotarli do bazy w wyliczonym czasie. Na razie zapisał i wydrukował zdjęcia, po czym pospieszył do gabinetu dyrektora. Admirał Morris obejrzał przyniesione trofea i pokiwał mądrze głową.

–A więc układanka zaczyna się nam wyłaniać, co, Jimmy? Kiedy, mówisz, *Perle* powinien zawinąć do portu?

–Dzisiaj wieczorem lub jutro rano, sir.

–Okay. W takim razie do tego czasu nie będziemy meldować Morganowi. Uważam, że dublet w sobotnie popołudnie będzie lepszy od singla przy piątku.

–Dostaniemy ich, szefie. To wszystko zaczyna nabierać sensu.

Sobota, 3 kwietnia. Pałac królewski w Rijadzie

Król Nasir z posępną miną wysłuchał relacji o próbie zamachu na życie pułkownika Gamoudiego. Raszud i Jacques nie zamierzali mu o tym donosić i po prostu chcieli po kilku dniach dyskretnie zniknąć z Rijadu. Do policji szybko jednak dotarły informacje o incydencie, a jakiś przechodzień zapisał nawet numer ich limuzyny; poza tym Ahmed musiał napłot-kować o całej aferze setkom swoich krewnych i znajomych... Dość, że tego sobotniego ranka król zadzwonił do pułkownika i zaprosił obu oficerów na spotkanie w celu omówienia wypadku.

Szybko się okazało, że Nasira nie obchodzi sam wynik zajścia. Dla niego ważne było, że dwaj jego najbardziej zaufani przyjaciele zostali brutalnie zaatakowani w miejscu publicznym i że wyszli z tego cało. Chciał tylko wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za napaść. Usłyszawszy wersję generała Raszuda, był skłonny zgodzić się z jego domysłami: sprawcy prawdopodobnie działali na zlecenie rządu francuskiego. Tego zaś król nie mógł tolerować. Wszyscy trzej wiedzieli, że bezcelowe byłoby zwracanie się do prezydenta Francji z zapytaniem o wyjaśnienie. Nikt się nie przyzna do zamachu, zwłaszcza nieudanego. Niemniej fakt pozostawał faktem i jeżeli to naprawdę Francuzi zdecydowali się zlikwidować Myśliwego, to ma on przeciw sobie potężną siłę... on i król.

Nasir nie wyrzekł się bowiem owego chwalebego credo Beduinów, zasady uświęconej tysiącletnią tradycją: lojalności wobec przyjaciół, a za takich uważał generała Raszuda i pułkownika Gamoudiego. Obaj ryzykowali dla niego życie, a to czyniło ich ludźmi wyjątkowymi. Nie chciał słyszeć o nich złego słowa i gotów był ich zawsze chronić, a w razie potrzeby położyć własne życie na szali. Jeżeli Francuzi się porwali na jego przyjaciół, to pożałują, że tego o swym nowym sojuszniku nie wiedzieli.

I tak król Arabii Saudyjskiej przysiągł wspierać i bronić dwóch przywódców swojej rewolucji. Powiedział Jacques'owi, że musi starannie zaplanować ucieczkę i zacząć gdzieś nowe życie, a on pomoże mu we wszystkim, choćby oddając mu do dyspozycji swój prywatny samolot, który zawiezie go

**w dowolne wybrane miejsce na świecie.**

**Gamoudi był głęboko**

**wzruszony; ujął królewską dłoń i**

**wylewnie dziękował swemu**

**protektorowi. Nasir spojrział mu**

**prosto w oczy i rzekł tylko:**

**- Nie zapominaj nigdy, Jacques, że**

**jestem Beduinem.**

**Sobota, 3 kwietnia, godz. 19.45. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade**

**Według kryteriów komandora porucznika Ramshawe'a, kapitan Alain Roudy zmieścił się bez problemu w „wyznaczonym” harmonogramie. Na najnowszym zdjęciu satelitarnym w małym porcie wojennym stały obok siebie dwa okręty myśliwskie klasy Rubis.**

**–No, jesteś, sukinsynku – mruknął Jimmy. – Wiedzia**

**łem, że się znajdziesz.**

**Zadzwoił z nowiną do admirała Morrisa, który niezwłocznie zameldował o odkryciu Arnoldowi Morganowi. Głównodowodzący operacji „Tankowiec” zwołał robocze spotkanie w Białym Domu na poniedziałek rano. Dla wszystkich wtajemniczonych było teraz jasne, że Francja przyłożyła rękę do obalenia saudyjskiej rodziny panującej. Jimmy wiedział, że teraz coś się zacznie – Wielki Człowiek podejmie działania przeciwko żabojadom. Był to jednak ten rzadki przypadek, kiedy młody Australijczyk za nic nie mógł odgadnąć, jaki kurs admirał obierze. „Jedno jest pewne”, pocieszał się, „Stary nie puści im tego płazem”. I z tak rosnącym podekscytowaniem przybył do Białego Domu punktualnie o dziewiątej w poniedziałkowy ranek. Admirał Morris zjawił się tam niemal równocześnie, a w gabinecie Morgana zastali już szefa operacji morskich, admirała Alana Dicksona, wpatzonego w wielką komputerową mapę Francji wyświetloną przez rzutnik na ściennym ekranie.**

**Arnold przywitał ich zarazem ciepło i ponuro.**



**–Zapoznałem już Alana z sytuacją – powiedział. – 1 myślę,  
że się ze mną zgadza: w interesie prezydenta musimy podjąć  
jakieś działania. Żaden kraj nie może poczynić sobie tak jak  
Francja, z zupełnym brakiem poszanowania dla wszystkich  
innych. A już na pewno nie na taką skalę. Zamierzam poroz-**

mawiać z ich prezydentem, ale oczywiście do niczego to nie doprowadzi. Oni się do niczego nie przyznają. Dlatego widzę przed nami kilka różnych zadań. Po pierwsze, musimy sprawić, żeby nie mogli sobie spokojnie siedzieć i śmiać się z nas wszystkich w kułak. Po drugie, zdemaskować ich i upokorzyć na forum ONZ. I po trzecie, dać im naprawdę solidną nauczkę. Alan Dickson zrobił minę, jakby chciał zaprzeczyć, co Morgan natychmiast zauważył.

–Alanie, mamy bardzo dobrego przywódcę w Gabinetcie

Owalnym. Sprzyja marynarce, ufa nam i nie pozwala nikomu

mieszać nam w budżecie. Bez własnej winy został wplątany

w globalny kryzys, który go może wykończyć, jeżeli nie wy

kona żadnego ruchu, i to szybko. Uważam, że jesteśmy mu

winni lojalność. Marynarka musi stanąć za nim murem, bo

tylko w ten sposób on przetrwa. Świat musi zobaczyć, że nasz

prezydent jest rozgniewany tym, co zaszło w Arabii, musi

wskazać wszystkim winowajcę, a przede wszystkim musi go

ukarać.

George Morris przypomniał pokrótce problemy nękające wszystkie duże giełdy i oznajmił, że Międzynarodowy Fundusz Walutowy zwołał na ten dzień nadzwyczajne zebranie w Szwajcarii w celu przeciwdziałania ogólnoswiatowemu spadkowi wartości akcji i indeksów giełdowych.

–Od tej chwili zamierzam traktować saudyjską ropę jako

dobro ogólnoswiatowe – zapowiedział Morgan. – Francuzów

zaś jak zbrodniarzy przeciwko ludzkości. I szczerze mówiąc,

guzik mnie obchodzi, co na to powiedzą inne kraje. Nie po

zwolę, by ktokolwiek narażał Stany Zjednoczone na taki

wstrząs.

Zabrzmiało to nader zdecydowanie. Wszyscy trzej goście jednocześnie kiwnęli głowami; nawet admirał Dickson wyzbył się pierwotnych obiekcji. Czekali teraz na mocne uderzenie, ale

kiedy po dłuższej chwili głównodowodzący operacji „Tankowiec” znowu się odezwał, mówił cicho i w zamyśleniu.

–Proponuję założyć morską blokadę każdego francuskiego portu przyjmującego ropę naftową i jej pochodne. Także Le Havre i tamtejszy terminal największej ich rafinerii w Gonfreville 1'Orcher. Marsylia przeładowuje trzydzieści procent francuskiego importu. Duży terminal i rafineria Exxonu

jest w Fos-sur-Mer, w tej samej okolicy Shell ma rafinerię w Berre, TotalFinaElf w La Mede, BP w miejscowości Lave-ra. Przez Marsylię przechodzą też wielkie ilości gazu ziemnego i propanu-butanu. Do niedawna większość sprowadzali z Ras al-Dżuajmy, ale teraz oczywiście załatwili sobie innych dostawców. Trzeba się też bliżej przyjrzeć sześciu terminalom naftowym na Żyrondzie. Ostatnim punktem jest Brest, znany nam wszystkim głównie jako baza ich marynarki wojennej, ale jest tam też niemały port przeładowujący ropę i gaz. Panowie, zamierzam rozmieścić nasze okręty na podejściach do wszystkich tych czterech zespołów portowych. Zdaję sobie sprawę, że to działanie krótkoterminowe, ponieważ Francuzi zorganizują dostawy łądem przez porty niemieckie i belgijskie. Zwłaszcza Belgowie chętnie im pomogą z uwagi na swoje poważne udziały w koncernie TotalFinaElf. Niemniej i ten krótki okres da się im we znaki. Odetniemy dopływ ropy, a rafinerie będą musiały stanąć. Później się otrząsną, ale *na* razie interesuje mnie tylko efekt bieżący.

–Arnie... – Admirał Dickson odchrząknął. – Ja wiem, że to kwestia czysto akademicka, ale... Francja ma bardzo silną marynarkę wojenną i duże bazy w Breście i Marsylii. Czy bierzesz pod uwagę, że mogą wyjść w morze i nas zaatakować?

–Na to się nie odważą – warknął Morgan.

–A jeśli się mylisz?

–Wówczas ich zatopimy, ma się rozumieć. Pamiętaj, że będziemy działać w roli światowego policjanta z aprobatą międzynarodowej społeczności. Kiedy prezydent zakończy swoje przemówienie obnażające haniebne czyny Francji, nie będzie ani jednego kraju, który by potępił naszą akcję.

–Z tym się zgadzam. Ataki na policjantów zazwyczaj spotykają się z dezaprobatą ludzi szanujących prawo. Zastanawiam się tylko, czy nie przesadzimy z gorliwością, otwierając ogień do francuskiego okrętu.

–Tym się nie będę przejmował. Po ujawnieniu szczegółów ich operacji w Arabii Saudyjskiej będzie wiadomo, że dostali to, o co się sami prosili.

Głos zabrał Jimmy Ramshawe.

–Sir, czy ma pan jakieś plany natychmiastowego działa

nia oprócz czekania na skutki blokady?

–Ciekawe, że o to pytasz, młody człowieku, bo istotnie mam takie plany. Najpierw jednak chciałbym zapoznać was z sytuacją na Riwierze. Francuzi od lat pławili się tam w saudyjskich petrodolarach. Dziesiątki młodych książąt trzymało w Cannes, Nicei i Monte Carlo wielkie jachty motorowe, przysparzając gospodarzom ogromnych zysków. Z kolei Francuzi nie zapominali podkreślać, że tylko ich porty mogą zapewnić odpowiedni dla arystokracji poziom cywilizowanego życia. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy upokorzyć Francję przez wysadzenie w powietrze całej zawartości tych cywilizowanych portów.

–Niech mnie!... – Jimmy z trudem się powstrzymał, by nie gwizdnąć. – Ależ to by nas kosztowało krocie w odszkodowaniach i Bóg wie czym jeszcze!

–Nie, jeżeli nikt by nie miał zielonego pojęcia, kto to zrobił.

–Masz na myśli SEALs? – spytał George Morris.

–A kogóż by innego? I powiadam ci, te eksplozje mogą być jedynymi w całej tej wojence, ale przysporzą Francji więcej kłopotu niż jakiekolwiek inne działanie, jakie moglibyśmy podjąć. Zamierzam także przyrzeć się marinom nad zatoką St Mało na północy, ale interesujące będą dla nas tylko wtedy, gdy zastaniemy tam dużo jachtów pod obcymi banderami. Ich armatorzy na pewno zgłoszą poważne roszczenia odszkodowawcze, które Francja będzie musiała spłacić, zanim jeszcze dotrą do londyńskiego Lloyd'a. Jeśli w ogóle ubezpieczenie pokrywa szkody wynikłe z aktów wojny.

–Do tego czasu prezydent oczywiście nada swoje oskarży-cielskie przemówienie? – spytał Morris.

–Tak jest – odrzekł Arnold. – I nienawiść do Francuzów rozgorzeje w tak wielu krajach, że nikt nie będzie potrafił wskazać, kto się porwał na taką akcję odwetową.

–No, niejeden będzie podejrzewał właśnie nas.

–I bardzo dobrze – odparł Morgan. – Ale nikt nie będzie miał pewności, a my się do niczego nie przyznamy. I powiem ci coś jeszcze... Większość ludzi uzna, że dobrze im tak.

Admirał Morris przez chwilę dał się ponieść tym argumentom. Jego też do żywego gniewała francuska jawna pogarda dla ludzkiego życia, ale to, co Arnie proponował, było nie do przyjęcia.

–Słuchaj, Arnoldzie – rzekł. – Chyba wiem, do czego  
zmierzasz. Chcesz nas sprowokować do działania, podsuwa  
jąc nam jak najgorsze ciosy, jakie możemy zadać Francji. Nie  
mówię, że się z tobą nie zgadzam... oko za oko...

Odpowiedział mu szmerek potakiwań.

–Ale musimy pokazać się jako ta dobra strona. Gdyby  
kiedykolwiek wyszło na jaw, że to my podłożyliśmy te bom  
by... – Morris widział, że Morgan chce mu przerwać, ale uci  
szył go gestem. – Wiem, że uważasz to za mało prawdopodob  
ne, ale jednak jest to możliwe, a wtedy wyjdziemy na równie  
czarne charaktery jak Francuzi. Na to nas nie stać.

Morgan zastanowił się nad tym argumentem. Nie umniejszało to jego gniewu, wiedział jednak,  
że musi go pohamować i skierować całą energię na meritum czekającego ich zadania.

–W takim razie chciałbym omówić z wami możliwości odszukania naszego przyjaciela, majora  
Gamoudiego – powiedział.

–Mogę spytać, co zrobimy, gdy go znajdziemy? – spytał Morris.

–Pewnie. Porwiemy go.

–Porwiemy?

–No, przecież sam się do nas nie zgłosi jako świadek koronny, nie?

–Pewnie nie. Ale przecież nie możemy go ot, tak sobie zwinąć z ulicy i wywieźć do Stanów?

–A niby dlaczego nie? W końcu to człowiek, który najprawdopodobniej zamordował naszego  
nieodżałowanego króla saudyjskiego. Jeden z najbardziej poszukiwanych przestępców na  
świecie. To nas jednak nie obchodzi. My chcemy tylko, żeby stanął przed forum Zgromadzenia  
Ogólnego ONZ i przyznał, że Francja mu zapłaciła za obalenie króla.

–Myślisz, że na to pójdzie?

–Nie sądzę, aby miał wybór. Można go oskarżyć o wszystko. Charlie Brooks przysłał nam z Rijadu jego zdjęcie na czołgu. Liczę na to, że Francuzi pokuszą się o próbę zlikwidowania go. My wtedy wkroczymy i sprzątniemy im go sprzed nosa, a on chętnie sprzeda nam swoich zdradzieckich mocodawców, ratując własną skórę.

312

–Nie będzie mógł potem wrócić do Francji – zauważył Morris.

–Raczej nie. To zaś oznacza, że będziemy musieli ewakuować z Pirenejów także jego żonę i dzieci, bo inaczej oni zrobią z nich zakładników. A Jacques, jeśli go właściwie oceniam, wolałby sam umrzeć, byle ochronić rodzinę przed gniewem swojego rządu.

–Tylko skąd będziemy wiedzieli, czy i kiedy Francuzi zechcą go wykończyć? – wtrącił Jimmy Ramshawe. – Nawet nie wiemy, gdzie on teraz jest. Tydzień temu był w Rijadzie, ale tydzień to długi czas w takiej grze.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi i ukazała się głowa asystentki Kathy.

–Przepraszam, sir, ale jest pilny telefon do komandora

porucznika Ramshawe'a od jednego z naszych dyplomatów

w Rijadzie... Zechce pan komandor odebrać go tu czy w se

kretariacie?

Ramshawe wstał zza stołu, skinął głową admirałowi Morganowi i zniknął za drzwiami gabinetu. W pokoju Kathy usiadł przy wolnym biurku i podniósł słuchawkę.

–Ramshawe przy aparacie.

–Jimmy, tu Charlie Brooks. Dzwonię, bo w czwartek wydarzyło się tu coś, co cię na pewno zainteresuje. Do incydentu doszło na bulwarze Olaja, jednej z głównych arterii Rijadu. Dwaj mężczyźni zginęli w ulicznej bójce. To znaczy, obaj nie żyli, kiedy na miejsce przybyła policja. Jeden leżał w samochodzie, dużym citroenie z paryską rejestracją, drugi tuż obok wozu. Obaj mieli kałasznikowy, a świadkowie twierdzą, że zabił ich człowiek, którego oni sami próbowali zlikwidować.

Jimmy nie wierzył własnym uszom. Czekał w napięciu na dalsze informacje.

–Mamy w tutejszej policji swoje kontakty. Przez kilka

dni prowadzono typowe dochodzenie, jakby chodziło o zwykłe

morderstwo. A potem nagle śledztwo wstrzymano... nie zgad

niesz... na bezpośredni rozkaz samego króla. Podobno sa  
mochód, którym odjechał zabójca, należał do pałacu. Policja  
ustaliła, że było w nim dwóch mężczyzn, a jednym z nich był  
pułkownik Jacques Gamoudi. Świadkowie zeznali, że citroen  
usiłował ich przejechać, gdy przechodzili przez ulicę, ale nie



udało mu się to... i wtedy zaczęła się zabawa na całego. Obaj napastnicy zginęli w walce wręcz. Nie padł ani jeden strzał. Musiał to być paskudny widok... jeden się udusił po złamaniu kręgow szyjnych, drugiemu nos wbito w mózg.

–Jeezu... – mruknął Jimmy.

–To nie wszystko. Jednym ze świadków był saudyjski oficer, niejaki pułkownik Bandar, fanatycznie lojalny wobec nowego króla. To on zidentyfikował Gamoudiego. Mówi, że razem służyli w akcji w Rijadzie. Drugim mężczyzną był facet, który dowodził atakiem na południu i zdobył Chamis Mu-szajt, pułkownik nie znał jednak jego nazwiska.

–Charlie, to niezwykle ważna wiadomość – zapewnił rozmówcę Ramshawe. – Słuchaj, czy masz kopie zeznań któregośkolwiek ze świadków?

–Pewnie, że mam. Mogę ci je przefaksować. Ale tu nie ma cienia wątpliwości... to był na pewno Gamoudi. Jego towarzysza nie udało mi się zidentyfikować, a policja nagle zrobiła się bardzo drażliwa. Gadałem z nimi jeszcze przed godziną, ale wszyscy jakby nabrali wody w usta. Wyglądali na wystraszonych. Domyślałem się, że ludzie Nasira trochę im pogrozili.

–Pewnie masz rację, Charlie. Dzwon, jak tylko się czegoś nowego dowiesz, dobra? To sprawa pierwszej wagi.

Ramshawe wrócił do gabinetu Morgana i przekazał trzem admirałom, czego się dowiedział. Nie zajęło im wiele czasu dojście do niezwykle pożytecznego wniosku: incydent w Rijadzie nie był zwykłą uliczną burdą we wciąż jeszcze niestabilnym mieście, ale najprawdźniejszą próbą zamachu na życie Jacques'a Gamoudiego. Co więcej, modus operandi zabójcy niedoszłych zamachowców wskazywał na jego tożsamość. Opಿಸawszy z detalami ustalenia policyjnych lekarzy, Jimmy spojrział na admirała Morgana i spytał:

–Nie przypomina to panu czegoś, sir?

–Myślisz, że to wizytówka naszego starego znajomego, majora Raymonda Kermana?

–Tak jest. Naszego starego znajomego Kermana, który w sierpniu bawił w Paryżu, a potem Mosad wytropił go w mar-sylskiej restauracji, której dziś pilnują tamtejsi żandarmi.

–No właśnie. – Arnold pokiwał głową. – I chyba już wiemy, z kim tam biesiadował, co?

–Absolutnie, sir. Stawiam sto dolarów do jednego, że Ray Kerman i Jacques Gamoudi zajadali wtedy razem *bouilla-baisse*.

Arnold nie omieszkał przyganić Jimmy'emu, że niewłaściwie, oczywiście, akcentuje, ale obaj wiedzieli, że na szyi francuskiego rządu zaczyna się zaciskać pętla.

## ROZDZIAŁ 11

Poniedziałek, 5 kwietnia, godzina 9.00. Biały Dom

Admirał Alan Dickson najchętniej miałby następne dziesięć minut już za sobą. Czekają go niezbyt miłe zadanie poinformowania Arnolda Morgana, że uważa próbę blokady pięciu głównych portów Francji za zbyt niebezpieczne przedsięwzięcie. Po pierwsze, aby blokada była w miarę skuteczna, trzeba by wysłać tam przynajmniej połowę atlantyckiej floty podwodnej. Po drugie, marynarka francuska może się zdecydować na przyjęcie bitwy, a po trzecie – kosztowałyby to więcej niż cała II wojna światowa. Dickson czuł się jak ów wielki producent z Hollywood, który na filmie *Podnieść „Titanica”* stracił kolosalną sumę, co skomentował krótkim: „Taniej by wyszło osuszyć Atlantyk”. Argumenty szefa operacji morskich były przekonujące, ale Morganowi z pewnością nie będą się podobały...

Wiał zimny wiatr i admirał trzymał ręce w kieszeniach płaszcza. Prawą bezwiednie ścisnął mały notes, który wszędzie ze sobą nosił, zawierający wypisane jego drobnym, niemal kaligraficznym pismem szczegółowe dane o dyslokacji floty. Szedł szparko przez alejkę wiodącą do wejścia do zachodniego skrzydła Białego Domu, z marsem na ogorzałym czole. Dobra, Arnold Morgan nie żartuje i jest władny robić, co mu się żywnie podoba... ale nie z jego marynarką wojenną. Nie, sir! Dickson widział na horyzoncie widmo wojny, a chociaż z całego serca pragnął dokopać tym nadętym, aroganckim Francuzom, to nie uśmiechała mu się perspektywa wystawiania okrętów na salwę burtową ich floty, jednej z najsprawniejszych w Europie. Dobrze znał zdolność bojo-

wą Marinę de Guerre, jej nowoczesnych fregat i niszczycieli rakietowych, potężnej flotylli podwodnej i dwóch szybkich, dobrze uzbrojonych lotniskowców, i nie zamierzał wchodzić z nimi w konflikt.

Wiedział też, że jest jednym z niewielu ludzi na ziemskim globie, z których zdaniem admirał Morgan się liczy. Wielki Człowiek nie jest dogmatykiem, ale jeśli ktoś chce go skłonić do zmiany kursu choć o kilka stopni, to lepiej niech się uzbroi w niezbite fakty... Alan Dickson był pewien, że spełnia ten warunek.

**–Proszę wejść, admirał pana oczekuje – zaprosiła go sekretarka. – Zechce pan wypić kawę?**

**–Tak, dziękuję – odrzekł, ruszając ku „pokładowi rufowemu” Morgana.**

**–Cześć, Alan – gospodarz przywitał go, nie podnosząc głowy znad mapy podejścia do portu w Le Havre, leżącego w lejkowatym ujściu Sekwany do kanału La Manche. – Martwi mnie to jak cholera... Ani kawałka głębokiej wody w promieniu dwudziestu mil od głównego toru wodnego. Za płytko tam dla okrętów podwodnych. Trudno będzie... ale coś wymyślimy, nie?**

**–Hmm... Przepraszam, Arnie, ale nie kojarzę... O jakim porcie mówisz?**

**–Ach, o Le Havre. Dla nas jest chyba najważniejszy, z uwagi na rafinerię w Gonfreville, największą we Francji. Spójrz na mapę... Na tym półwyspie między dwoma kanałami. Od północy benzyna, na południu petrochemia. Całe kilometry kwadratowe instalacji. Pozbawić tego kolosa dopływu ropy przez dwa tygodnie, a wyschnie tak, że tylko patrzeć, jak po-rośnie kaktusami.**

**Admirał Dickson nerwowo przestąpił z nogi na nogę i z ulgą odetchnął, kiedy sama Kathy wpłynęła przez drzwi, niosąc tacę z dzbankiem, dwoma kubkami, cukiernicą i niebieskim pudełkiem śrutu.**

**–Witaj, Alanie – przywitała gościa z uśmiechem. – Miło cię znowu widzieć. Czarną jak zawsze?**

**–Dzięki, Kathy.**

**Pani Morgan nalala prawie jeszcze wrzącego, smoliście czarnego napoju i wstrzeliła dwie kuleczki do kubka Arnolda, na**

którym dużymi literami wypisane było napomnienie: „Cisza! Geniusz przy pracy!”, po czym wycofała się do sekretariatu.

–Sir... – Dickson uznał, że najlepiej będzie od razu wziąć byka za rogi. – Chciałbym wyrazić moją... dobrze przemyślaną... opinię, że blokada francuskich portów byłaby zbyt trudna, niebezpieczna i o wiele za kosztowna.

Morgan był w tej chwili gdzieś w połowie toru podejściego do Le Havre, starając się utrzymać na głębokości peryskopowej.

–Hę? – mruknął, jednym uchem słuchając admirała, drugim wyimaginowanego sonaru. A potem dotarła do niego treść słów Dicksona. Podniósł głowę i spytał: – Czy mnie słuch nie myli? Naprawdę to powiedziałaś?

–Tak jest, sir.

–O czym ty, u diabła, mówisz? Sądziłem, że uzgodniliśmy plan działania... Prezydent otwarcie oskarża Francję

o zdradziecki współdział, a potem zakładamy blokadę, póki reakcje są świeże i mamy za sobą światową opinię publiczną.

Tak się umówiliśmy?

–Tak. Ale przemyślałem to jeszcze raz, a właściwie wiele razy i doszedłem do wniosku, że ten plan to jedna wielka prowizorka.

–Alan, znamy się od wielu lat. Nie chcesz chyba powiedzieć, że zaczynasz tracić rezon?

–Nie, sir. Bynajmniej. Ale kiedy dobrze się przyjrzyysz tym mapom, jak ja to robiłem przez prawie całą noc, ujrzysz wylaniające się wszędzie problemy. Jeden już zlokalizowałeś... rozległy płytki akwen wokół Le Havre. Zakładam, że będziesz chciał działać dyskretnie, a nie rzucać się do ataku na powierzchni jak nowe wcielenie Hornblowera?

–Dobra. Słyszę cię. Alanie, w takim razie zabieraj się do roboty i logicznie, metodycznie niszczyć mój plan. W ten sposób... jeśli się z tobą zgodzę... będziemy mogli zacząć wszystko od początku. Nie chcę słyszeć jakiejś nieskładnej gadki. Powiedziałeś, że to zbyt trudne, niebezpieczne i kosztowne. Wyłóż mi więc swoje argumenty w takim właśnie porządku.

**1 przestań z tym bzdurnym „tak, sir, nie, sir”.**

**Admirał Dickson umiał równie dobrze wykonywać rozkazy, jak je wydawać.**

**318**

**–Arnie, każdy z tych portów to nie pojedynczy, skupiony cel, ale rozległy kompleks. Dobrze wiesz, że nie da się ich zablokować jednym okrętem, choćby i podwodnym. Zgadzam się, że byłoby to wykonalne, jeśli... powtarzam, jeśli... na prawdę nie będziesz się patyczkować i od razu coś zatopisz, napędzając wszystkim potężnego stracha. Myślę jednak, że powinniśmy unikać tego rodzaju aktów przemocy na wodach francuskich. Wobec tego trzeba by ulokować przy każdym porcie po dwa podwodniaki. To dziesięć SSN klasy Los Angeles z Floty Atlantyku, rozstawione w większości z dala od brzegu z uwagi na głębokość. Do tego należałoby wysłać wsparcie nawodne, głównie po to, żeby Francuzi widzieli, że mamy poważne zamiary. Powiedzmy, pięć fregat i pięć niszczycieli z baz Wschodniego Wybrzeża. Dolicz jeszcze dwa lub trzy zbiornikowce zaopatrzeniowe, jeśli chcemy trzymać zespół przez kilka tygodni. Nawet wtedy operacja ma rację bytu tylko pod Le Havre i Cherbourgiem. W Breście jest duża baza ich marynarki wojennej, sporo okrętów kręci się też zawsze pod Marsylią. Jeszcze gorsze jest Bordeaux. Tamten akwen też jest gęsto patrolowany, a poza tym są tam największe baterie nadbrzeżne. Musielibyśmy rozmieścić w tych trzech**

**miejscach minimum po sześć okrętów nawodnych, jeśli mamy**

**wywrzeć na Francuzach wrażenie. Arnie, na wypadek gdybyś**

**nie zauważył... to ponad trzydzieści jednostek...**

**–Trzydzieści pięć. Zauważyłem, dupku.**

**Dickson się roześmiał, ale ciągnął dalej.**

**–Dobra, tyle o trudnościach. Teraz element niebezpieczeństwa. Nie wiem, czy pamiętasz, że Francja dysponuje bardzo groźną, nowocześnie wyposażoną i świetnie wyszkoloną marynarką.**

**–Pamiętam, dupku do kwadratu.**

**–A zatem, jak wynika z moich zapisków w małej czarnej książeczce, musimy brać pod uwagę następujące fakty. Oni mają dwa lotniskowce, jeden dla samolotów, drugi dla śmigłowców...**

**–Obydwa są teraz w Breście – przerwał mu Morgan. – *Charles de Gaulle* ma na pokładzie dwadzieścia myśliwców bombardujących Super Etendard, a *Jeanne d'Arc* dużo helikopterów.**

–Właśnie. A teraz flota podwodna. To dwanaście jednostek: sześć myśliwskich klasy Rubis, dwa strategiczne i cztery SSBN klasy Triomphant. I dalej: trzynaście niszczycieli rakietowych uzbrojonych w najnowszą wersję exocetów. Dwadzieścia fregat rakietowych... niektóre mają na wyposażeniu nowe pociski o wydłużonym zasięgu, MM-40 Block 3, dziś chyba najbardziej zaawansowane z rakiet woda-woda.

–Czy to te z silnikami turboodrzutowymi zamiast starych rakietowych? – upewnił się Arnold.

–Tak jest. Cholerstwo potrafi pokonać do stu mil morskich.

–I to szybko, jak czytałem. Na granicy prędkości dźwięku. Da się je zestrzelić?

–Prawdopodobnie, ale mają programowalny tor lotu z dość skomplikowanym profilem, a w dodatku nadają się do strzelania z lądu.

–Cholera. W takim razie lepiej nie igrać z ogniem bez potrzeby, co?

–Z ust mi to wyjąłeś, Arnie. I moim zdaniem potrzeby nie ma.

Morgan skinął głową bez uśmiechu.

–To co, przechodzimy do kosztów?

–Jeszcze nie. Chcę dorzucić parę uwag na temat francuskiej doktryny wojskowej. Jak wiesz, oni zawsze utrzymywali absolutną niezależność. Sami budują okręty, rakiety, myśliwce. Tak było zawsze. Dla nich liczy się tylko Francja i nic poza tym, i potrafią być groźni. Uważam, że jeśli zatopimy ich okręt na ich własnych wodach, będą szukać odwetu i nie zdziwiłbym się bardzo, gdyby posłali na dno parę naszych fregat. I co wtedy zrobisz? Każesz zbombardować Łuk Triumfalny?

–Nie. Tego nie zrobię.

–W takim razie trzeba to wszystko jeszcze raz przemyśleć, bo według mnie pomysł z blokadą jest zbyt szalony. Oni są na to trochę za silni.

–I czyż to nie jest cholerna lekcja dla tych wszystkich lewicujących palantów w naszym wspaniałym Kongresie? – wycedził Arnold przez zęby. – W poważnym sporze międzynarodowym nawet my, stokroć silniejsi niż reszta świata ra-

zem wzięta, wolimy nie zadzierać z cholernymi żabojadami. Dlaczego? Bo wiemy, że mają możliwość oddać uderzenie z nawiązką i są na tyle dumni, by z niej skorzystać. Taka sama

**filozofia tak długo chroni nasz kraj przed inwazją... nikt nie chce zaczepiać naszej armii i floty. Jesteśmy za silni.**

**–Zgadzam się z tobą – przytaknął Dickson. – Pozostaje jednak problem, jak mamy się z nimi obejść. Kiedy prezydent wygłosi swoje oskarżenie i przekona świat o naszej racji, ktoś będzie musiał wykonać jakiś ruch.**

**–Masz jakieś sugestie? Wiem, że nie przyszedłbyś do mnie tylko z misją czysto destrukcyjną.**

**–Arnie, musimy uderzyć we francuski przemysł naftowy u samego źródła.**

**–To znaczy?**

**–Jak wiemy, oni wycofali się z większości kontraktów z Saudyjczykami i kupują ropę i gaz w innych krajach regionu. I to jest ich pięta achillesowa. Zbiornikowce francuskich armatorów pływają teraz do Abu Dżabi, Kuwejtu i Kataru... ale muszą przejść przez Ormuz. Jestem zdania, że trzeba zatopić jeden z ich VLCC, jeszcze zanim wyjdzie z cieśniny. Wpakujemy mu torpedę i nikt nie będzie wiedział, co się właściwie stało.**

**–I co dalej?**

**–Inny okręt zaczął się u wejścia na Morze Czerwone na zmierzający do Marsylii któryś z dużych gazowców i też go pośle do diabła. Wtedy Francuzi się zorientują, że mają problem, ale nie będą mieli pewności, z kim mają do czynienia.**

**–I co dalej? – powtórzył Morgan.**

**–Zapewne będą głośno fukać i sapać, ale nic nie powiedzą w sytuacji, gdy cały świat jest zwrócony przeciwko nim. Ale następny tankowiec wychodzący z Perskiej pójdzie pod eskortą, na przykład jednego z tych nowych niszczycieli klasy Horizon, który jak słuchy niosą, jest w składzie flotyli odbywającej manewry na Morzu Arabskim...**

**–Interesujące. Dobra robota zwiadowcza. Zaczyna mi się to podobać... I co?**

**–Storpedujemy go i zatopimy.**

**–Pięknie. – Arnold zaczął się uśmiechać. – Mów dalej.**

**–Ponieważ dbamy o środowisko naturalne, zbiornikowiec**



ostrzelamy raketami Harpoon. W ten sposób zamiast rozlać setki tysięcy ton ropy po całej cieśninie, ekologicznie ją spalimy.

–Kat z sercem, co?

–Właśnie. I to wystarczy. Francja dostanie po nosie od niewidzialnego wroga i cały świat będzie się z niej podśmiewał. Podejrzanych będzie kilkunastu, my oczywiście wśród nich... ale żabojady odtąd nie ośmielą się wywozić ropy z Zatoki, bo będą wiedzieli, czym to grozi. Nie zechcą też wystawiać na strzał kolejnego niszczyciela. W rezultacie zmuszeni będą zaprzestać importu ropy arabskiej... jak my wszyscy. A przez ten czas musimy dopaść pułkownika Gamoudiego i jego rodzinę i wywieźć ich w bezpieczne miejsce. Potem już będzie można wytoczyć Francuzom proces w ONZ.

Arnold wstał zza stołu.

–Stary, wygrałeś – oznajmił. – Masz rację we wszystkich punktach. Mój cholerny plan był taki, jak powiedziałeś: niewykonalny, niebezpieczny i za drogi.

–Nie musisz się kajać, Arnie. – Dickson się roześmiał. – Każdy plan od czegoś musi się zaczynać. Twoja idea była dobra. Urobić światową opinię, a potem przyłożyć żabojadom. Po prostu o wiele lepiej zrobić to szybko, dotkliwie i dyskretnie. W ten sposób nikomu nie będziemy musieli się tłumaczyć. A teraz, jeśli pozwolisz, wrócę do Pentagonu. Mamy w tamtym rejonie dwa lotniskowce z zespołami, jeden pod Kuwejtem, drugi w północnej części Morza Arabskiego. Wydam rozkaz, by dwa SSN wyszły z zatoki i zajęły pozycje u wejścia do Ormuz. Drugi zespół może odpłynąć na południe, do Diego Garcia, a jego podwodniaki zbroczą na Adeńską.

–Nie boisz się zostawiać lotniskowca bez osłony podwodnej?

–Tylko na parę dni. Wyślę mu naprzeciw dwa inne z DG.

–W porządku. Brzmi to wszystko nieźle, Alan. Dobra, w takim razie znikaj, a po drodze powiedz Kathy, żeby natychmiast ściągnęła tu komandora porucznika Ramshawe'a.

Szef operacji morskich skinął głową na pożegnanie i ruszył ku drzwiom. Otwierał je, kiedy Morgan nagle rzucił za nim:

–Hej, Alan!

Dickson obejrzał się przez ramię, a Arnold powiedział krótko:

**–Dzięki, stary. Jestem ci wdzięczny.**

**Przez całą drogę długim korytarzem do wyjścia admirał Dickson raz jeszcze przeżywał w myślach rozmowę z Morganem. „W pewnym sensie z tym człowiekiem bardzo łatwo się dogadać... nigdy nie zaprzeczy logice i faktom... i nie upiera się przy swoim. Myślę, że on się po prostu nie czuje przez nikogo zagrożony i potrafi się przyznać do błędu. Jest, kurczę, za wielki, by się tym przejmować...”**

**Dwadzieścia minut później Wielki Człowiek ryknął basem przez dębowe drzwi gabinetu:**

**–Pani Morgan! Gdzie, do diabła, jest Ramshawe?**

**Kathy stanęła w progu.**

**–Myślę, że zjeżdża właśnie z obwodnicy. Rozmawiałam z nim niecałe dwie minuty po twoim ostatnim rozkazie.**

**–Za wolno! Przez takie rzeczy upadały imperia!**

**–Małżeństwa też – odparła i zostawiła męża samego, chichoczącego w mapę cieśniny Ormuz.**

**Po dalszych dziesięciu minutach do gabinetu wpadł lekko zdyszany i rozchełstany Jimmy Ramshawe.**

**–Dzień dobry, sir – powiedział, rzucając na boczny stół stos papierów.**

**–Coś ty, psiakrew, robił tyle czasu?**

**–Melduję, że głównie to zasuwałem obwodnicą sto trzydzieści na godzinę, sir.**

**–Za wolno.**

**–Jest ograniczenie do setki, sir.**

**–Nie dla nas, synu. Nas nie obowiązują limity, czy to szybkości, czy budżetu, odwagi i zuchwałości.**

**–A gdyby mnie zatrzymał gliniarz z drogówki?**

**–Zająłby się nim pluton egzekucyjny, gdy tylko zlokalizowalibyśmy jego najbliższą rodzinę. Dobra, siadaj tu i wykładaj wszystko w kolejności według znaczenia, tak jak chcemy to widzieć w przemówieniu prezydenta. Wszystko, co odmaluje Francję w najczarniejszym odcieniu.**

**–Okay, sir. Czy mogę zacząć chronologicznie, a pan potem ustali hierarchię ważności?**

**–W porządku, zaczynaj.**



–A więc tak... Dwudziesty siódmy sierpnia, Mosad usiłuje sprzątnąć majora Kermana w Marsylii. Pytanie: co najbardziej poszukiwany arabski terrorysta robił we Francji pod ochroną rządu? Dalej, połowa listopada. Francuzi wycofują się z kontraktów na import saudyjskiej ropy i powodują wzrost cen na rynkach, jak gdyby wiedzieli, co ma się stać. Marzec: okręty podwodne przepływają przez Kanał Sueski i znikają. Tylko one mogły ostrzelać saudyjskie instalacje. Dwudziesty drugi marca, Angole przechwytyją sygnał z przedmieścia Rijadu, nadany po francusku, w którym ktoś prosi o pozwolenie na wcześniejsze rozpoczęcie przyjęcia. Koniec marca: docierają do nas fotografie pułkownika Gamoudiego w roli dowódcy kolumny pancерnej w ataku na pałac królewski, podczas którego zamordowano króla saudyjskiego. Odnajdujemy dom Gamoudiego w Pirenejach. Jest obywatelem francuskim, stale mieszkającym we Francji, żonatym z Francuzką. Krótko potem żabojady próbują go zlikwidować w Rijadzie, gdzie przebywa z tym samym majorem Kermanem, który według naszych ostatnich informacji dowodził atakiem na saudyjskie bazy wojskowe w Chamis Muszajt. Tydzień temu nowy król przyznaje Francuzom kontrakty na odbudowę zniszczeń. W tym samym czasie zaginione francuskie podwodniaki przy

bywają do portu na Reunion. Odległości, jakie musiałyby pokonać w tym decydującym czasie, i prawdopodobne prędkości dokładnie pasują do hipotezy, że zniszczenia w Arabii były ich dziełem. Innych podejrzanych, powtarzam, nie ma.

Morgan podniósł głowę z nad notatek.

–Doskonale, Jimmy. Dochodzę do wniosku, że najlepiej będzie, gdy prezydent też przedstawi fakty chronologicznie. Słuchacze łatwiej mogą śledzić tok wypowiedzi, a przy tym napięcie narasta jak u Hitchcocka. Dobra, teraz ja to wszystko napiszę na czysto, a ty siadaj i czekaj, mogę cię potrzebować przy trudniejszych punktach.

–Aye, sir. Poukładałam sobie dokumenty, żeby w razie czego być gotowym. Bez nawalanki, co?

–Bez. Skocz jeszcze tylko do Kathy i powiedz, żeby przekazała prezydentowi, że jego przemówienie będzie nadawane na żywo dziś o dziewiętnastej.

–Robi się. Nie skorzystamy z jego ludzi od pisania mów?

–Tych sfrustrowanych poetów? – burknął Arnold. – Niech przyślą maszynistkę za dwie godziny.

**Poniedziałek, 5 kwietnia, godz. 19.00. Sala Prasowa, Biały Dom**

Marlin Fitzwater zawsze nazywał ich „Lwami”. Reporterzy krążący nerwowo po Sali Prasowej rzeczywiście przypominali rozdrażnione drapieżniki – konferencję prasową wyznaczono na godzinę, która dla dziennikarzy z popołudniówek była zbyt późna, by zdążyli na dzisiejsze wydanie, dla ekip telewizyjnych oznaczała gorączkowe przygotowania do nadawanych o dwudziestej wiadomości, a dla redaktorów dzienników bliskość zamknięcia numeru. Dziewiętnasta wybiła przed trzema minutami i sześćdziesiątka „Lwów” uważała, że jest już dawno po porze karmienia. Co wrażliwszym uszom w biurze rzecznika prasowego zdawało się, że całe zachodnie skrzydło rozbrzmiewa głuchym, złowrogim warczeniem. Wszyscy zgromadzeni chcieli wiedzieć, dlaczego prezydent się spóźnia. Czy nie wie, że ich czas, dostawców informacji, jest cenny? Kiedy im się każe czekać, to tak, jakby całemu krajowi, nie? Zgadywali, że chodzi o Arabię Saudyjską, skoro od kilku dni gazety są pełne wiadomości o reperkusjach przewrotu wojskowego w tym kraju. Tego dnia znów poleciał na łeb indeks Dow Jones i Nasdaq, a z giełd zagranicznych dochodziły jeszcze gorsze słuchy. Ceny benzeny utrzymują się na najwyższym poziomie, szczególnie na Środkowym Zachodzie...

Nagle otworzyły się drzwi za podium i na salę wkroczył sam prezydent, za asystę mając tylko Arnolda Morgana, który potoczył groźnym spojrzeniem po zebranych, jakby szukał śmiałka, który odważy się wysunąć przed karny szereg. Admirał bardzo rzadko zniżał się do rozmów z przedstawicielami mediów, ale powszechnie był znany z bezpardonowego usadzania zbyt natarczywych reporterów i ani dbał, co o nim na drugi dzień napiszą. Obecność na tej konferencji prasowej wymógł na nim Paul Bedford, który z nikim innym się nie konsultował przed wystąpieniem. Instrukcje Morgana były lakoniczne: „Powie pan tylko to, co jest zapisane na tych

kartkach... Zignoruje pan wszelkie pytania w trakcie przemówienia... W ogóle nie dopuścimy reporterów do głosu". Admirał tłumaczył to tak: „Chcę po prostu uniknąć sytuacji, gdy ktoś z nich wrzaśnie: Czy uważa pan, że prezydent Francji to tłusty komuch?... Pan żartobliwie odpowie, że nie w pełni odrzuca taki pogląd, a na drugi dzień na pierwszych stronach wołami napiszą: Prezydent nazwał francuskiego przywódcę tłustym komuchem!"

Bedford zamienił jeszcze kilka słów z admirałem, po czym wstąpił na podium. Stał przed rzędem mikrofonów i morzem podekscytowanych, ale cynicznych min na twarzach mężczyzn i kobiet gotowych rzucić mu się do gardła, niezależnie od stopnia własnej ignorancji. Tak już z lwami jest: jeśli są wygłodzone, zaatakują wszystko, nawet gdy nie mają szans powodzenia. Sami dziennikarze nazywają to odwagą w służbie moralności. Arnold Morgan miał na to inne, dosadne określenie, oznaczające kogoś niespecjalnie mądrego.

–Dobry wieczór – zaczął prezydent. – Spodziewam się, że większość z państwa odgadła, że zabiorę dzisiaj głos w sprawie wyjątkowo ważnej dla naszego kraju. Mam na myśli ostatnie wydarzenia w Arabii Saudyjskiej, które przyniosły tak daleko sięgające skutki ekonomiczne dla całego niemal świata. Trudno zaprzeczyć, że saudyjska rodzina królewska przez wiele lat rządziła swoim państwem w sposób odległy od naszej idei demokracji. Jednakże ów gorący, pustynny kraj to nie Ameryka, ma własne, głęboko zakorzenione tradycje i kulturę, których nigdy nie uda się nam zrozumieć. Arabia jest monarchią, i to muzułmańską, a jej naród niewiele pokoleń dzieli od pradawnych beduińskich korzeni. Ich styl życia różni się od naszego, ale my to potrafimy uszanować. Dodam też, że w różnych trudnych momentach, kiedy sytuacja międzynarodowa bywała napięta, Saudyjczycy pierwsi gotowi byli nam pomagać. Niemniej jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że nie ze wszystkim dzieje się u nich dobrze, i nie było wielkim zaskoczeniem dla znawców regionu, kiedy wybuchło tam zbrojne powstanie, które zmiotło z tronu panującą dynastię i osadziło na nim nowego władcę. Naród saudyjski pragnął lepszych rządów i bardziej sprawiedliwego podziału bogactwa, jakim los ich obdarzył, do tej

pory zagarnianego przez jedną tylko rodzinę. Rewolucja, jakiej wielu z nas się spodziewało, musiała w końcu nastąpić. W dalszej perspektywie, o czym sam jestem przekonany, może się okazać najlepszym rozwiązaniem. Dziś jednak chcę tylko omówić bardziej bieżący problem... kryzys, jaki dotyka nas wszystkich, a najbardziej jest widoczny na stacjach benzynowych. Galopującą inflację, jaka już nas trapi, zwłaszcza w dziedzinie transportu i energetyki. Zapewniam was, że nasz rząd robi wszystko, co możliwe, aby tę sytuację opanować, i w nadchodzących tygodniach ją opanujemy, jak to obiecałem przed kilkoma dniami. Moje wystąpienie ma jednak inny cel. Pragnę poinformować nie tylko obywateli Stanów Zjednoczonych, ale wszystkich ludzi na świecie, że saudyjski zryw nie miałby szans powodzenia bez współdziałania silnego i doświadczonego pod względem militarnym państwa zachodniego. Z tego miejsca i w tej chwili wskazuję palcem na Francję, która postąpiła w sposób, jaki wielu z was uznałoby za niewybaczalny. To właśnie Francja przygotowała saudyjską rewolucję, umożliwiła ją i pokierowała nią, wspierając nowego króla. To Francja zamordowała jego poprzednika... a wszystko po to, by zarobić na międzynarodowych rynkach, gdy ropa z Arabii znów na nie popłynie. Patrzę w stronę Paryża i powtarzam raz jeszcze: Oskarżam was!... lub jeśli wolicie, *j'accuse*! Rodacy, zrobiła to Francja. Na pewno słyszeliście, jak król Nasir w swym inauguracyjnym orędziu obwieścił, że jej właśnie przypadną wszystkie miliardowej wartości kontrakty na odbudowę saudyjskich instalacji naftowych. – Bedford przerwał na chwilę i wypił łyk wody. – Aby wszyscy dobrze zrozumieli, w jaki sposób doszliśmy do takiej konkluzji, zapoznam was z ciągiem wydarzeń, który nieomylnie doprowadził nas na trop winnego. Zacznę od systemu obronnego, jakim Saudyjczycy chronili swój najważniejszy przemysł, pola naftowe, rafinerie i porty. Broniła ich dobrze wyposażona i wyszkolona armia. Arabia Saudyjska poza ropą nie ma praktycznie innych bogactw, a przecież tylko głupiec zaniechałby odpowiedniego ich zabezpieczenia. Jediną bronią, która mogła zniszczyć te instalacje, jest rakiet cruise. W dodatku musiałaby zostać wystrzelona z zanurzonego okrętu podwodnego. Nie z powierzchni morza i nie z samolotu. Saudyjskie radary szyb-



ko wykryłyby taki atak. Natomiast nic nie mogło ich ostrze\* przed salwą spod wody – i tak się właśnie stało. Saudyjska marynarka jednak nie ma okrętów podwodnych. Mało tego w pobliżu brzegów Arabii znajdowały się w krytycznym cza sie tylko dwie takie jednostki i obie noszą francuską bandę ręk. Znamy ich numery taktyczne i wiemy, kiedy przepłynęła przez Kanał Sueski, widzieliśmy, jak się zanurzają na głębokich wodach Morza Czerwonego. Od tamtej pory jednak śląc po nich zaginął... do chwili, gdy się zjawily we francuskie, bazie akurat po czasie, jaki musiało im zająć dotarcie tan z miejsca odpalenia rakiet. Wiemy, co one zrobiły! Obserwowaliśmy w listopadzie, jak Francuzi wycofują się z importu; saudyjskiej ropy i skupują prawa do przyszłego wydobycie od innych eksporterów. Wiemy, co zrobili! Sfotografowaliśmy wysokiego rangą oficera francuskich sił specjalnych który poprowadził atak na pałac królewski w Rijadzie, i byliśmy w jego domu we Francji. Znamy jego nazwisko. Wiemy, co zrobił! Wiemy, że rząd francuski ochraniał, a potem wynajął najniebezpieczniejszego dowódcę wśród arabskich terrorystów. Znamy datę i miasto we Francji, gdzie dobili z nim targu, aby przeprowadził atak na duże saudyjskie bazy wojskowe na południu kraju. Znamy jego nazwisko. Wiemy, co zrobił! Słyszeliśmy ostatni sygnał od dowódcy sił rebelianckich w Rijadzie do mocodawców we Francji, nasi przyjaciele z armii brytyjskiej go przechwycili i nam przekazali w pół godziny po transmisji. Znamy treść tej rozmowy i wiemy, kto telefonował. Wiemy, co zrobił!

Prezydent przerwał, by słuchacze w sali i przed telewizorami na całym świecie mieli czas dobrze pojąć jego słowa.

–Wielu z tych, którzy mnie teraz słuchają, wspomni, że nie po raz pierwszy Francuzi poczynają sobie wbrew zasadom przyjętym przez resztę ludzkości. Wielu też zada sobie pytanie, czy nie ma granic, których by oni nie przekroczyli w swoim antyamerykańskim nastawieniu. Tym razem jednak posunęli się za daleko. Za ich sprawą świat zachodni znalazł się finansowo na kolanach... ale tylko chwilowo. Wkrótce znów wstaniemy, a tymczasem moi doradcy rozważają, jakie stanowisko zajmiemy wobec francuskich działań. W tej chwili jesteśmy gotowi ogłosić saudyjską ropę dobrem ogólnym

noświatowym. Być może wraz z naszymi głównymi sojusznikami uznamy, że Saudyjczycy nie są już kompetentni, by nim zarządzać. Oczywiście nie oczekujemy, że Francuzi okażą się skłonni do współpracy w jakiegokolwiek formie. Rodacy! Jestem pewien naszych racji. Jestem przekonany, że narodom świata wyrządzono wielkie zło. Nie zamierzam przeproszać za którekolwiek ze stwierdzeń, jakie tu wygłosiłem. Nie będę dziś odpowiadać na pytania. Raz jeszcze jednak powtórzę prezydentowi i rządowi Francji: Wiemy, co zrobiliście. *J'ac-cusel J'accuse\ J'accusel*

I z tymi słowami demokrata z Wirginii, czterdziesty piąty prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali, pozostawiając admirała Morgana sam na sam z rozgorączkowanymi już teraz do maksimum „Lwami”.

Sala Prasowa rozbrzmiała takim zgiełkiem, że pytań nie można było nawet dosłyszeć, a cóż dopiero na nie odpowiadać. Prasowcy jeden przez drugiego rzucili się na tył pomieszczenia i po kilku sekundach wszyscy krzyczeli już do telefonów komórkowych. Była dziewiętnasta dwadzieścia, ostatnia chwila, by zdążyć z rewelacjami przed zamknięciem wydań. Reporterzy telewizyjni umierali z niecierpliwości, by wystrzelić pytanie, z którym wypadną na wizji jako fachowi, mądrzy i dalekowzroczni obserwatorzy polityczni. Bieda w tym, że do medialnej nieśmiertelności dążyli wszyscy naraz, i efekt był groteskowy – sala pełna wyrafinowanych asów żurnalizmu wyglądała bardziej na celę z grzesznikami na Sądzie Ostatecznym, którym właśnie ogłoszono wyrok. Arnold Morgan pokręcił z obrzydzeniem głową i warknął do mikrofonów:

–Albo się, do cholery, uspokoić i zaczniecie zachowywać

jak dorośli, albo wychodzę!

Tej wypowiedzi nie zacytowała żadna ze stacji. Kiedy w końcu się uciszyło, ktoś ze środkowych rzędów wykrzyknął:

–Sir, czy prezydent Francji wie, co przed chwilą powiedział prezydent Bedford?

–Nie mam pojęcia. U nich jest teraz środek nocy, więc może sobie śpi niezasłużonym snem sprawiedliwego. Jeśli jednak ogląda jeszcze w łóżku CNN czy inny taki kanał, to chyba słyszał. O planowanym wystąpieniu prezydenta poinformowaliśmy już kilka godzin temu.

–Czy spodziewa się pan telefonu z Paryża dziś lub jutro?

–Nie. To znaczy, nie bezpośrednio rozmowy. Myślę jednak, że padnie jakieś oświadczenie ze strony ich rządu, zaprzeczające wszelkim pomówieniom o udział Francji w ostatnich wydarzeniach w Arabii Saudyjskiej. Spodziewam się, że premier oskarży Stany Zjednoczone o sfabrykowanie gigantycznego kłamstwa wymierzonego w dobre imię Republiki Francuskiej i wezwie ONZ do udzielenia naszemu ambasadorowi jak najostrzejszej reprimendy.

–Jak na to zareagujemy?

–Tommy, zamknij się, dobra? Mało ci jeszcze materiału na artykuł stulecia, że musisz stać tam i jak małolat powtarzać w nieskończoność „I co? I co?” Chryste, czy wam naprawdę płacą pensje za takie coś?

Ta część konferencji również nie została przez nikogo wyemitowana. Ostry język Morgana rozluźnił jednak nieco atmosferę i nikt już się specjalnie nie zdziwił, kiedy admirał pokręcił znów głową i powiedział:

–Wychodzę z tego zoo. Idźcie pisać swoje dzieła.

Opuścił Biały Dom natychmiast potem. Kathy czekała już

za kierownicą ich ukochanego hummera i razem wrócili do domu. Drewno było już ułożone w kominku i wystarczyło je podpalić. Arnold włączył telewizor, a pani Newgate, nowa gospodyni zatrudniona zaraz po powrocie Morgana do pracy, zaanonsowała, że kolacja będzie gotowa o ósmej czterdzieści pięć, i spytała, czy ma otworzyć butelkę wina. Arnold odrzekł, że jest w nastroju na całą skrzynkę, ale zadowoli się butelką Chateau 1'Hópital 2000.

–I proszę przelać wino do karafki – dorzucił. – Jak już ce

lebrujemy, to stylowo. Postanowiliśmy z Alanem Dicksonem

nie wysadzać ich w powietrze.

Odpowiedź cokolwiek zaskoczony pani Newgate utonęła w grzmocie następnego zdania gospodarza:

–Rany boskie! To się nazywa szybkie działanie!

Pani Newgate, która nawet nie zdążyła się ruszyć z miejsca, nie знаła jeszcze charakteru swojego pracodawcy i przez ułamek sekundy myślała, że to ironiczna uwaga skierowana do niej. W następnej chwili zorientowała się jednak, że uwagę admirała przykuł ekran, na którym mężczyzna w ciemnym



garniturze i brązowym krawacie w paski przemawiał szybko po francusku, co niewidoczny komentator CNN tłumaczył na angielski.

–...i Francja nie może zrozumieć oskarżeń amerykańskiego prezydenta... naszemu rządowi nic nie wiadomo o żadnym z przypisywanych nam działań... Nic nie wiemy o jakichkolwiek francuskich oficerach w Arabii Saudyjskiej... nasze okręty podwodne przepływają przez Kanał Sueski przynajmniej raz w miesiącu... to żaden sekret... Prowadzimy rutynowe ćwiczenia na Morzu Arabskim i na Oceanie Indyjskim tak samo jak oni... my mamy bazę na Reunion, oni na Diego Garcia... nie ma tu żadnych różnic. A o jakim to sygnale z Rijadu mówił pan Bedford? Cóż to za sygnał? Był po francusku? Kto tak twierdzi? I gdzie są te fotografie, którymi rzekomo dysponują, ale nikomu nie pokazali? To niewiarygodne, że prezydent Stanów Zjednoczonych mógł rzucić na nas takie niesamowite oskarżenia. Zapewniam wszystkich obywateli, że wniesiemy tę sprawę na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych i będziemy się domagali satysfakcji. Te zarzuty są absolutnie bezpodstawne i będziemy im zaprzeczać z całą energią i stanowczością. Jestem pewien, że Amerykanie, zawsze zazdroszczący Francji naszego poziomu cywilizacyjnego, bardzo by pragnęli, żeby były prawdziwe. Obawiam się jednak, *mister president*, że nic z tego. To wierutne kłamstwa. Kończąc swoje wystąpienie, pozwolę sobie wziąć z pana przykład i po trzykroć powtórzę: Nie, nie i jeszcze raz nie!

–Nieźle powiedziane – mruknął Morgan. – Ty cholerny, kłamliwy żabojadzie.

W tej chwili do gabinetu weszła Kathy, niosąc szklankę whisky dobrze rozcieńczonej wodą sodową, tak jak mąż lubił, bez lodu. Zerknęła na telewizor i usłyszała słowa dziennikarza:

–Tak więc Stany Zjednoczone zostały oskarżone przez

Francję o oszczerstwo i prawdopodobnie będą musiały za to

odpowiedzieć przed Radą Bezpieczeństwa. Rzecznik prasowy

ONZ powiedział przed kilkoma minutami, że prezydent Bed

ford poczynił wiele zarzutów, które trudno mu będzie udo

wodnić. Dodał też, że sekretarz generalny jest bardzo zdzi

wiony, że Stany Zjednoczone jako stały członek Rady Bezpie-

czestwa mogły się zdecydować na tak daleko idące zniewagi wobec innego stałego członka.

To powiedziawszy, spiker oddał głos reporterowi stojącemu w strugach deszczu przed siedzibą ONZ w Nowym Jorku.

–Dobry wieczór, Fred. Może przedstawiś telewizjom postępowanie, jakie prawdopodobnie zostanie wszczęte przeciwko Ameryce?

–Z przyjemnością, Joe. I zacznę od stwierdzenia, że oskarżenia są rzeczywiście bardzo poważne. Francja, jak mi wiadomo, złożyła już wniosek o zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa, które zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych musi się w tej sytuacji odbyć w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Rada Bezpieczeństwa jest najsilniejszym organem ONZ, a w jej skład wchodzi pięciu członków stałych: Chiny, Francja, Rosja, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Oprócz nich jest dziesięciu członków tymczasowych. Do uchwalenia rezolucji potępiającej wymagana jest większość dziewięciu głosów. Można przyjąć, że USA i Wielka Brytania będą głosować przeciwko wnioskowi Francji, możemy też liczyć na parę innych głosów. Jak się jednak w kuluarach mówi, Ameryka przegra i jest wielce prawdopodobne, że zostanie postawiona przed Zgromadzeniem Ogólnym i solidnie zbesztana za takie bezpodstawne insynuacje wobec jednego z państw założycielskich.

–A jak znajdziemy te podstawy, dupku? – burknął Arnold.

Kathy wiedziała, że stoi na przegranej pozycji, ale ze dwa

razy w roku zgłaszała obiekcje względem męzowskiego niewyparzonego języka.

–Byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie używał tego wulgar

nego słowa tak często, Arnoldzie.

–O jakie słowo ci chodzi? Francja? – Nie.

–Więc o jakie?

–Nie powtórzę go.

–To jak mam przyznać się do winy i zadośćuczynić, skoro nie chcesz mi przedstawić aktu oskarżenia?

–Arnoldzie Morgan, jesteś...

–Chwileczkę, kochanie... tylko chwileczkę. Chcę słyszeć, co ten dupek usiłuje powiedzieć.

Pani Morgan ewakuowała się z siedliska karczemnych obyczajów z brzękami jej w uszach słowami dupka z ekranu: „Tu nie ma wątpliwości... nasz rząd znalazł się w poważnych opałach”.

Następnego dnia rano. Pentagon

Zebranie odbywało się w gabinecie szefa operacji morskich na czwartym piętrze. Oprócz gospodarza i Morgana obecni byli tylko admirał Frank Doran, CINCLANT, czyli dowódca Floty Atlantyku, który w tym celu przyleciał z bazy w Norfolk, oraz przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, generał Tim Scannell, którego zaproszono, mimo że omawiane sprawy dotyczyły wyłącznie marynarki wojennej. Arnold przyjął zasadę, że im mniej osób wie o całym przedsięwzięciu, tym lepiej. Jako głównodowodzący operacji „Tankowiec” zasiadł u szczytu stołu.

–Jak sądzę, wszyscy panowie widzieliście dzisiejsze gazy ty i słuchaliście wiadomości telewizyjnych, rozumiecie zatem, że szykuje się gremialny atak na USA na forum ONZ – rozpoznać. – Powiem od razu, że to część mojego planu, ponieważ to, co wkrótce zrobimy, będzie tak szokujące, iż nikomu nie przyjdzie do głowy podejrzewać nas, gdy i tak mamy już wielkie problemy. Panowie, problemu nie ma. Francja, cokolwiek by tam ich premier wygadywał, naprawdę obaliła saudyjskiego króla, przy okazji powodując światowy kryzys gospodarczy. I my na to zareagujemy.

Admirał nakreślił zarysy opracowanego przez Alana Dick-sona planu: szybkie uderzenie w pierwszy tankowiec z francuską ropą, jaki wyjdzie z Zatoki Perskiej, a potem kolejne w pierwszy francuski gazowiec, jaki wejdzie przez Bab el-Mandeb na Morze Czerwone.

–To ich powinno trochę przyhamować – powiedział. –

Francuzi to jednak naród uparty i przypuszczamy z Alanem, że następny duży tankowiec pójdzie pod eskortą ich mary

**narki wojennej. I wtedy dopiero narobimy rumoru! Najpierw  
zatopimy eskortowiec, a potem jego podopiecznego. I to bę  
dzie dla Francji dostateczny dowód, że muszą zwinąć interes.**



Nie odważą się już więcej wysłać statków z Perskiej, dopóki im na to nie raczymy pozwolić.

–Arnie, czy to operacja dla publiczności? Uderzamy i nie dbamy o to, kto się o tym dowie?

–Nie na tym etapie. Do akcji użyjemy okrętów podwodnych i do niczego się nikomu nie przyznamy. Niech sobie zgadują.

–Torpedy? – spytał generał.

–Tak. Wystrzelone z odległości kilku mil. Ale nie w przypadku ostatniego zbiornikowca. Temu przyłożymy trzema lub czterema harpoonami, żeby podpalić ropę i nie dopuścić do skażenia morza.

–Wiem, że to się wam, matrosom, wyda naiwne, ale skąd będzie wiadomo, że tankowiec wiezie ropę francuską? One wszystkie są zarejestrowane w Liberii, Panamie czy jeszcze gdzie indziej. Wszystkie wyglądają tak samo.

–Poniekąd masz rację, Tim – odrzekł Dickson. – Ale sprawdziliśmy, które VLCC i ULCC obsługują import francuski...

–Rozumiem, że ULCC jest większy od VLCC\*?

–Tak jest. VLCC zaczynają się od stu tysięcy ton nośności, a o ULCC mówimy w wypadku tankowców powyżej trzystu tysięcy.

–I taki właśnie zaatakujemy?

–Być może – odparł Dickson. – Ale żeby ci odpowiedzieć na pytanie o identyfikację właściwego celu, powiem, że przyjrzelśmy się bliżej koncernowi TotalFinaElf i jego metodom transportu dużych ilości surowca. Lwią część przewozi dla nich bardzo szacowna korporacja Transeuro z siedzibą w Luksemburgu, która od lat zarządza flotą kilkunastu tankowców wycarterowanych Totalowi na długi okres, przeważnie o nośności od dwustu pięćdziesięciu do trzystu tysięcy ton. W branży nazywane są „tonażem francuskim”. Pływają na linii z Zatoki Perskiej do Marsylii, Brestu i innych portów naftowych Francji. Mogą przewozić i ropę, i płynny gaz ziem-

\* Skróty od: *Very Large Crude Carrier* (bardzo duży ropowiec) i *Ultra Large Crude Carrier* (superduży ropowiec).

ny. Z ich rozpoznaniem nie będzie żadnego problemu, chociaż pływają pod tanią banderą.

–Mamy tam w pobliżu okręty podwodne? – spytał Scan-nell.

–Prawie na pozycji – potwierdził Dickson. – Akurat dwa najlepsze we flocie. Są w zespole Ronalda Reagana. Najnowsze jednostki SSN klasy Virginia, *Hawaii* i *North Carolina*. Wspaniałe łajby, siedem tysięcy osiemset ton wyporności, przystosowane do wystrzeliwania spod wody rakiet Tomahawk i uzbrojone w trzydzieści osiem torped ADCAP Mark 8. Gdybyśmy potrzebowali więcej, a myślę, że tak byłoby lepiej, w zespole *Constellation* pod Kuwejtem są *Cheyenne* i *Santa Fe*, oba klasy Los Angeles, a w Diego Garcia czekają w gotowości *Toledo* i *Charlotte*. *Connie* nie powinien za długo tam sterczeć bez podwodnej osłony.

–Nie przewidujesz użycia sił nawodnych?

–Nie chcemy rozgłaszać naszej obecności na miejscu zbrodni, Tim... Poza tym nie widzę takiej potrzeby. To prosta operacja. Mamy jednak na podorędziu dwa niszczyciele rakietowe klasy Arleigh-Burke, trzymają się o dwieście mil dalej.

Morgan wiedział, że Alan mówi o *Decaturze* i *Higginsie*, dziewięcioletnich jednostkach rodem z Maine, należących do najgroźniejszych jednostek nawodnych na świecie, uzbrojonych w precyzyjnie naprowadzane rakiety woda-woda krótkiego zasięgu typu Harpoon z ćwierćtonowymi głowicami i pięćdziesiąt sześć cruise'ów typu Tomahawk.

–Może ja nie wszystko dobrze zrozumiałem... – wtrącił admirał Doran. – Czy ktoś może mi wyjaśnić, co my właściwie na tym zyskamy? Co nam da posłanie na dno tych tankowców?

–Cóż, po trosze chodzi tu o zasadę – powiedział Morgan. – Bieżący kryzys wkrótce jeszcze się pogłębi, z szokującym skutkiem dla ludzi na całym świecie. Głównym celem naszych działań jest powiesić Francję na najwyższym drzewie w okolicy, żeby wszyscy ją dobrze widzieli. Tylko w ten sposób uratujemy prezydenta Bedforda. Jeżeli nic nie zrobimy, cała wina spadnie na niego, tak już bowiem ten świat jest urządzony. Amerykańska gospodarka pójdzie na dno i ludzie

zaczną zadawać pytania, dlaczego głowa państwa nic nie robi, gdy płonie Wall Street. Nie będą mogli tego zrobić, gdy im pokażemy prawdziwego winowajcę dyndającego na suchej gałęzi.

–A upokorzenie Francji może nawet wybrukować nam nową drogę powrotu do Arabii Saudyjskiej i przejęcia kontroli nad globalną dystrybucją ropy – dorzucił Dickson. – Nadal będziemy Saudyjczykom płacić, ale musimy dopilnować, aby podobna historia się więcej nie powtórzyła.

Jak wszyscy dowódcy różnych rodzajów wojsk, admirał widział w tym przedsięwzięciu wielką rolę marynarki wojennej i nie zamierzał przepuścić takiej szansy.

–W moim odczuciu – dodał – trzeba Francuzów tak urządzić, żeby i Saudyjczykom, i wszystkim innym w naftowym biznesie wstyd było z nimi handlować.

–Święta racja – zagrzemiał Arnold Morgan. – Zobaczycie, że wszystkie elementy naszego nadrzędnego planu wkrótce wskoczą na właściwe miejsca. Jednego kawałka wciąż jednak brakuje i musimy go szybko odnaleźć.

–O czym mówisz? – spytał Scannell.

–Trzeba odszukać francuskiego pułkownika, który dowodził siłami rebelianckimi w Rijadzie. Nazywa się Jacques Gamoudi. Musimy też znaleźć jego żonę i dzieci, ukryć w bezpiecznym miejscu, a potem całą rodzinę wywieźć z Francji, najlepiej oczywiście do USA. I trzeba to zrobić przed Francuzami. Sądzymy, że chcą go zlikwidować... Jedna próba już była.

–Pierwszy punkt jest łatwy. Zatopić kilka łajb to żaden problem – zauważył Dickson. – Ale jak sobie radzimy jako kidnaperzy?

–CIA i FBI już pracują nad tym w Rijadzie – odparł Morgan. – Według ich informacji Gamoudi jeszcze nie opuścił miasta, choć to niewykluczone. Sytuacja wydaje się w tej chwili statyczna. Francuzi chcą go załatwić, ale facet jest pod silną ochroną króla i zapewne zamelinował się w jednym z pałaców.

–A co z jego rodziną?

–To może być najważniejsza sprawa. – Arnold skinął głową. – Jestem zdania, że powinniśmy ich po prostu porwać,

użyć komandosów i śmigłowców, jeśli będzie trzeba, i wywieźć z Francji w cholerę. W ten sposób zyskamy pewne karty. Potem prześlemy jakoś Gamoudiemu, że jego bliscy są

**bezpieczni w naszych rękach, a on musi tylko znaleźć sposobność i do nas zwać, i też będzie bezpieczny. Postawimy go przed ONZ, on obietnie Francuzom jaja, a w nagrodę dostanie nową tożsamość i nowe życie. I wtedy właśnie wkroczymy i przejmemy saudyjską ropę, ponieważ zabójcy będą wyłączeni z gry na dobre, a sami Saudyjczycy sobie bez nas nie poradzą.**

**–No cóż... – westchnął admirał Doran. – Wygląda na to, że ten Gamoudi awansował na najważniejszego człowieka na globie. Najgorsze, że konkurencja chce nam go sprzątnąć sprzed nosa.**

**–Na miejscu Francuzów już dawno bym go ukatrupił -powiedział generał Scannell. – Mogę tylko dodać, że lepiej się pospieszmy z wydostaniem jego żony i jak się da, to bez łamania więcej niż setki międzynarodowych przepisów.**

**–Trafnie to ująłeś, Tim. – Arnold się uśmiechnął, ale zaraz spochmurniał. – Jak to spieprzymy, to znajdziemy się w gorszych tarapatach niż Francuzi. Bez Gamoudiego niczego nie da się im udowodnić. Czy ktoś wie, kiedy John Berg-strom ma tu dojechać?**

**–Okolo trzynastej – odrzekł Doran. – Wyleciał z San Die-go o piątej rano.**

**Wtorek, 6 kwietnia, godz. 13.30. Biały Dom**

**Dwaj uzbrojeni i umundurowani wartownicy oczekiwali na lądowisku przed Białym Domem, wpatrzeni w niebo nad wschodnim brzegiem Potomacu, gdzie widać już było rosnący z każdą chwilą ciemny punkt – duży śmigłowiec szturmowy z Korpusu Marines, wiozący „Fokę Cesarską”, admirała Johna Bergstroma, dowódcę SPECWARCOM, najlepszej formacji sił specjalnych w siłach zbrojnych USA, szerzej znanej jako Navy SEALs. Maszyna zatoczyła krąg nad trawnikiem i miękko opadła pośrodku okrągłej płyty lądowiska. Podoficer ładunkowy wyskoczył w tej samej chwili i otworzył drzwi**

kabiny. Admirał wysiadł i odsalutował wyprężonym na baczność marines.

–Proszę z nami, sir – rzucił słuźbiście jeden z nich.

Pod czujnym okiem zespołu SWAT w pełnym rynsztunku, obsadzającego gniazda karabinów maszynowych na dachu siedziby głowy państwa, cała trójka pomaszerowała po lekko nachylonym trawiastym stoku ku wejściu do zachodniego skrzydła. Na gościa z Kalifornii czekał admirał Morgan, a ich spotkanie w cztery oczy miało jak zwykle charakter dyskusji nad strategią i taktyką „akcji dnia” między dwoma z największych twardzieli, jakich nosiła amerykańska ziemia. Przywitali się jak starzy znajomi i od razu przeszli do rzeczy. Arnold zwięźle przedstawił sytuację, podkreślając pierwszorzędne znaczenie pochwylenia pułkownika Gamoudiego i jeszcze większe porwania jego rodziny. Bergstrom się zamyślił.

–Rozumiem problem – powiedział. – Jak będziemy mieli żonę i dzieci, to Gamoudi będzie chciał do nas przejść. Inaczej nawet nie będzie z nami gadał.

–O to chodzi. Poza tym dziesięć razy łatwiej jest znaleźć faceta, który nas szuka, niż takiego, który się przed wszystkimi ukrywa.

–I sugerujesz wysłanie drużyny Fok do Pau, żeby zgarnęli panią Gamoudi z dziećmiakami? – Bergstrom uniósł brwi z powątpiewaniem.

–Widzisz w tym jakiś problem?

–Zwinięcie rodzinke to bułka z masłem, podobnie jak wywiezienie jej z kraju. Obawiam się raczej reperkusji. Po pierwsze, to akcja jak najbardziej nielegalna. Po drugie, stąd tylko o krok do wypowiedzenia wojny... żołnierze w amerykańskich mundurach na obcym terytorium porywają niewinnych cywilów w publicznym miejscu? Jak to sobie wyobrażasz?

–No, to przebierzemy ich w cywilne łachy.

Admirał Bergstrom pokiwał głową niemal z politowaniem.

–Arnie, nie da się przebrać ani zamaskować Fok.

–Niby dlaczego nie?

–Dlatego, że się różnią od normalnych ludzi. Wystają z tłumu jak baobaby na sawannie. Potężna budowa, głowy ostrzyżone do skóry, prosta postawa... Oni nawet idąc na obiad, wyglądają, jakby maszerowali, że już nie wspomnę

o emanującej z nich czujności. Z tym się nie da nic zrobić. To wyszkoleni zabójcy, nie szarzy zjadacze chleba. A pani Ga-moudi będzie pod eskortą. Pilnujący jej ludzie rozpoznają moich na pierwszy rzut oka i o sto kroków. Jak chcesz elegancko i dyskretnie zgarnąć trójkę cywilów z ulicy, to musisz do tego użyć cywilów. Moje chłopaki wywołałyby panikę, wierz mi.

Admirał Morgan skinął głową. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym powiedział:

–Coraz częściej trafiają mi się kiepskie oceny w tej operacji. Chyba się starzeję.

–Zdarza się najlepszemu – pocieszył go Bergstrom. – To bez znaczenia, dopóki zdajesz sobie z tego sprawę i jesteś gotów zmienić kurs.

–Jestem gotów. Co sugerujesz?

–Dobra. Zreasumujmy. Mamy miłą francuską madame i dwóch małych chłopców, praktycznie w areszcie domowym. Zgadza się? Pilnuje ich francuska służba specjalna, gdzieś w okolicach Pau w Pirenejach. Trzeba tę sprawę przekazać CIA. Niech ich zlokalizują i obserwują przez parę dni. Kiedy nadejdzie moment na akcję, zrobią to cichaczem na ulicy. Drobna dywersja dla odwrócenia uwagi eskorty, porwanie, do samochodu i w nogi, a potem helikopterem. Bez problemu, szybko i czysto, zanim tamci się połapią, co się dzieje.

Arnold wyraźnie poweselał.

–Kapuuję. Masz rację. Ale jak rozegramy sprawę z samym pułkownikiem?

–To się musi odbyć gdzieś w porcie albo na plaży, wtedy moi ludzie będą mogli przeprowadzić całą akcję. Jeśli jednak Francuzi chcą go zabić, możemy być zmuszeni do bardzo brutalnego działania.

–Gra idzie o najwyższą stawkę, John – odrzekł Morgan. – Miejmy w pogotowiu pełen pluton, najlepiej gdzieś na Śródziemnym, bo najpewniej tam znajdziemy starego Chasseura.

–A to kto znowu, do diabła?

–Och, to ksywa Gamoudiego. Ma ją od dawna, to po francusku Myśliwy.

–Myśliwy, powiadasz? To niedobrze.

–Dlaczego niedobrze?

–Bo facetowi nie nadaje się takiego przydomka, jeśli nie jest cholernie niebezpieczny. Był

**kiedyś w siłach specjalnych?**

**–Pewnie, że był. Pierwszy morsko-spadochronowy pułk piechoty, Legia Cudzoziemska, a potem francuski wywiad w służbie liniowej w północnej Afryce.**

**–Jezu Nazareński! – westchnął dowódca Fok. – Wyszkolony komandos. Takich lepiej nie próbować brać wbrew ich woli, bo wtedy giną ludzie. Musisz znaleźć tę damę, i to szybko, Arnie.**

**Sobota, 10 kwietnia rano. Pau**

**Andy Campese i zespół CIA liczący piętnastu agentów, w tym jego kolegę Guya Rolanda, od kilku dni śledził i notował każdy ruch Giselle Gamoudi. Nietrudno było ją wytropić w domu jej matki przy alei Montpensier, w zadrzewionej dzielnicy willowej niedaleko parku Lawrence. Nigdy jednak nie wychodziła na dłużej niż pół godziny, zawsze w towarzystwie dwóch uzbrojonych ochroniarzy. Jednym z nich był często ten sam mężczyzna, którego Andy i Guy zastali wcześniej w jej własnym domu w Heas. Nigdzie nie ruszała się też bez synów, ale Amerykanie nie zauważyli, by któryś z nich chodził do szkoły. Najwyraźniej byli na ponadplanowych feriach, zafundowanych przez rząd republiki. Andy spodziewał się, że misja nie będzie łatwa; DGSE wyraźnie nie życzyło sobie żadnych jej kontaktów z obcymi.**

**Dziwiło go tylko, że sam obiekt ich zainteresowań nie okazuje najmniejszego podenerwowania. Siedział teraz z młodym Rolandem w samochodzie po przeciwnej stronie ulicy, obserwując podjazd willi. Madame Gamoudi była już w swoim wozie obok kierowcy z DGSE, ale tylne drzwi były otwarte, w oczekiwaniu, jak się Campese domyślił, na malców.**

**Nie mylił się. Starszy nadbiegł pierwszy, ścigany przez wrzeszczącego brata. Wsunęli się na tylne siedzenie i po chwili samochód wyjechał na aleję prowadzącą do odległego o półtora kilometra centrum miasta. Natychmiast dołączył do niego identyczny peugeot, czekający przy chodniku. Andy**

wyciągnął telefon i zadzwonił szybko w trzy miejsca, poleciwszy koledze ruszać w ślad za tamtymi.

W centrum, u zbiegu rue Marechal Foch i Place Clemenceau, prowadzący samochód się zatrzymał i Giselle z chłopcami wysiadła. Z eskortującego peugeota wysunęli się dwaj ochroniarze. Andy skręcił w przyległą rue Marechal Joffre i zaparkował w niedozwolonym miejscu. Obaj z Guyem wyskoczyli i cofnęli się na plac. Pani Gamoudi szła powoli wzdłuż rzędu wystaw sklepowych, tajniacy trzymali się o trzy metry z tyłu! Andy znów wybrał numer i rzucił kilka poleceń, po czym zadzwonił jeszcze raz, ale tym razem nie przerwał połączenia – przez następne sto metrów siedł z telefonem przy uchu.

Giselle doszła do dużej apteki i niecierpliwie ponagliła marudzących chłopców, by weszli za nią. Ludzie z ochrony zostali na zewnątrz; zapalili papierosy i patrzyli do środka przez duże okno. Na ulicy panował spory ruch, dlatego nie zwrócili uwagi na trzech agentów CIA wysiadających z czarnego mercedesa, którego kierowca zaparkował „na drugiego” o dwadzieścia metrów od apteki. Nie zauważyli też dwóch innych osiłków w granatowych swetrach i bretońskich czapkach rybackich, którzy z wolna nadchodzili od strony rue Marechal Foch, za to bystrym, wytrenowanym okiem natychmiast wykryli urodziwą blondynkę siedzącą na miejscu pasażera w innym, także nieprawidłowo zaparkowanym wozie po drugiej stronie jezdni, która najwyraźniej się do nich uśmiechała.

Mijały minuty, aż wreszcie Giselle Gamoudi wychynęła z apteki, trzymając za rękę Andre. Jean Pierre pokazał się w drzwiach piętnaście sekund później. Kiedy cała trójka znalazła się na trotuarze, Andy podniósł prawą rękę.

Blondynka, jak się okazało, miała bardzo smukłe nogi i nosiła supermini. Wysiadła z wozu i nagle wydała z siebie przeraźliwy krzyk. Campese musiał przez dwie godziny przekonywać agentkę Annie Summers, by włożyła tak krótką spódniczkę i zawyła jak syrena na środku Place Clemenceau.

Dwaj ochroniarze Giselle odruchowo rzucili się w kierunku damy w niebezpieczeństwie. Jednemu tak się spieszyło, że potknął się i omal nie upadł. Ratując się przed upadkiem, nawet nie zauważył, kiedy jeden z grupki mężczyzn w bre-



tońskich czapkach był już przy nim i podciawszy mu nogi, z całej siły kopnął w tył głowy, pozbawiając go przytomności.

Jego kolega nie miał czasu zareagować. Drugi z „Bre-tończyków” jednym susem dopadł do niego i uderzył z rozmachem w splot słoneczny. Francuz zgiął się wpół od ciosu i w tej samej chwili otrzymał kolejny, kolanem prosto w twarz. Ludzie z mercedesa podbiegli błyskawicznie, odciągnęli go na chodnik i stanęli w pogotowiu, pilnując obu nieprzytomnych tajniaków. Zajście zauważyło kilku przechodniów, którzy zdumieni zatrzymali się, patrząc na dwa nieruchome ciała. Annie jednak wciąż darła się wniebogłosy, skutecznie ściągając na siebie uwagę otoczenia.

Andy, Guy i dwaj „Bretończycy” jednocześnie pochwycili Giselle i chłopców, unosząc całą trójkę, szamoczącą się i protestującą, do czekającego z włączonym silnikiem czarnego mercedesa. Silne ręce zatkały im usta, ale jednocześnie uspokajające głosy mówiły po francusku: „Nie bójcie się... jesteście bezpieczni... Wsiadajcie do samochodu. Przybyliśmy was ratować”.

Od rozpoczęcia ataku upłynęło zaledwie dwadzieścia sekund, kiedy Guy Roland naciskał pedał gazu i masywny mercedes z piskiem opon ruszył naprzód, skręcając po chwili w prawo, w Boulevard Barbanegre, ku głównej bramie parku Beaumont. Andy Campese założył tymczasem swoim ofiarom kajdanki, zwracając uwagę, by nie zaciskać ich za mocno. Dla ich własnego dobra nie chciał, by któreś zrobiło coś szalonego.

Samochód zwolnił, skręcił znów w prawo i wjechał na teren parku. Przy zamkniętych oknach nie słyszeli nadlatującego śmigłowca, który skierował się w stronę szerokiej otwartej płaszczyzny przed dominującym nad parkiem gmachem Casino Municipal. Andy rozmawiał właśnie przez komórkę z pilotem, który zatrzymał maszynę w zwisie, kilka metrów nad linią drzew.

Guy zamrugał światłami i śmigłowiec ruszył do przodu, dotykając płozami ziemi, ku niepomiernemu zdumieniu dwóch parkowych strażników. Guy podjechał najbliżej jak się dało i wyłączył silnik. Jednocześnie z Andym wyskoczyli na zewnątrz i wyciągnęli Giselle i jej synów. Na pół ich tasz-

cząc, na pół popychając, pospieszyli ku otwartym drzwiom ośmioosobowego helikoptera, który wyglądał jak zwykła cywilna maszyna, choć na pokładzie miał dwóch poruczników i bosmana z US Navy. Giselle poczuła, jak silne ręce unoszą ją nad ziemię i wkładają jak pakunek do kabiny; po chwili obok niej wylądował Jean Pierre, a za nim frunął jak na skrzydłach Andre, zaśmiewając się mimo początkowego strachu do łez na tę niespodziewaną przygodę. On jeden zdawał się świetnie bawić. Jako ostatni wskoczył do środka Andy, który był potrzebny z uwagi na płynną znajomość francuskiego. Potem drzwi się zatrzasnęły. Jeden z oficerów, Billy Fallon, zdjął porwanym kajdanki i na migi pokazał, żeby zapięli pasy. Śmigłowiec wzbił się w powietrze niespełna pół minuty po wylądowaniu. Mały Andre wyjrzał przez okno i pomachał Guyowi, który zdążył jeszcze odpowiedzieć wesołym salutem, a potem wszystko zniknęło. Mercedes zawrócił do miasta po pozostałych agentów, helikopter piał się w górę na pułap trzech tysięcy metrów, kładąc się na kurs zachodni wzdłuż masywu Pirenejów.

Porucznik Fallon usiadł naprzeciwko pasażerów i spokojnym tonem, ale bez ogródek powiedział:

–Pani Gamoudi, była pani w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Francuskie tajne służby dokonały już nieudanej próby zamachu na życie pani męża. Będą próbować znowu, a gdyby się im udało, pani i chłopcy... no, po prostu byście zniknęli. Jesteśmy oficerami marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych i zabieramy panią w bezpieczne miejsce. Rozpaczliwie staramy się też uratować pułkownika Gamoudiego, ale nie mamy pewności, gdzie teraz przebywa.

Andy tłumaczył jego słowa na francuski. Giselle nagłym ruchem zasłoniła dłonią usta, jakby chciała się powstrzymać od krzyku. Fallon mówił jednak dalej.

–Musi pani postarać się zachować spokój. Miała pani ostatnio jakieś wieści od męża? Nie? Proszę mi teraz powiedzieć, czy wasze pieniądze są bezpieczne... Domyślam się, że mówimy o kilkuset tysiącach dolarów? Ile by tego było, mu

**simy je wydostać z Francji i to szybko, bo oni mogą zamrozić  
pani konto. Muszę wiedzieć, w jakim banku je pani trzyma,  
jaki jest numer rachunku i czy jest zabezpieczony hasłem.**

Kiedy Andy przetłumaczył to „pani Hooks”, była wyraźnie zaskoczona. Wciąż w szoku po gwałtownym zajściu, natychmiast zamknęła się w sobie. Kiedy po dłuższej chwili przemówiła, zaczęła od wyrzutów i wątpliwości.

–Dlaczego mam wam ufać? Porywacie nas w biały dzień z ruchliwej ulicy. Twierdzicie, że jesteście amerykańskimi żołnierzami, że mój mąż jest w niebezpieczeństwie i że staracie się nas ratować przed wrogiem, o którym dotąd nie wiedzieliśmy, że nim jest. Robicie aluzje do jakichś pieniędzy i żądacie, żebym zdradziła wam wszystkie dane o moim koncie...

Andy rzucił porucznikowi spojrzenie mówiące: „Ja to załatwię” i sam zwrócił się do kobiety po francusku. Kiedy skończył, jej opór był przełamany.

Uzyskawszy potrzebne informacje, Bill Fallon połączył się telefonem komórkowym z okrętem, przekazując szczegóły rachunku bankowego bezpośrednio dowódcy, który z kolei mógł teraz zadzwonić na zastrzeżony numer prezesa oddziału Bank of Boston przy Champs-Elysee w Paryżu. W tym samym czasie w siedzibie NSA komandor porucznik Jimmy Ramshawe uruchamiał już proces, który miał uwolnić pieniądze Gamoudich. Z nakazu prezydenta centrala banku została uprawniona i zobowiązana do dokonania przelewu całej zdeponowanej sumy na rachunek w jednym z bostońskich oddziałów. Po sześciu minutach zabrzączał telefon porucznika Fallona. Do pani Gamoudi dotarła informacja, że piętnaście milionów dolarów właśnie przewędrowało nad Atlantykiem (a właściwie światłowodowym łączem po jego dnie) z Paryża do USA.

Śmigłowiec przelatował już na Pirenejami Atlantyckimi, gdzie ten wielki łańcuch szybko opada ku zachodowi do kraju Basków i ku Zatoce Biskajskiej. Dotarcie do linii brzegowej zajęło czterdzieści pięć minut; przecięli ją, nie zmieniając kursu ani wysokości, o pięć mil na północ od Biarritz. Po dalszych dwudziestu minutach w dole zamajaczyła mała szara kreska i pilot zaczął schodzić niżej. Wkrótce wyrósł pod nimi smukły kadłub krążownika rakietowego *Shiloh*, dziesięcioletni-ka klasy Ticonderoga, groźnego narzędzia wojny morskiej. Ocean był spokojny i okręt sunął gładko z prędkością siedmiu

węzłów. Na pokładzie śmigłowcowym dyżurny przekazywał pilotowi wskazówki do lądowania za pomocą świetlnych pałeczek z daleka przypominających miecze rycerzy Jedi. Śmigłowiec zatoczył krąg w prawo i podszedł od rufy, przez chwilę zawisając nad wyrzutniami rakiet Harpoon, działami kalibru 120 mm i baterią rakiet przeciwlotniczych, po czym przysiadł na pokładzie tuż obok wyrzutni torped.

–Przepraszam, chłopaki, ale to będzie wasz dom, dopóki nie wydostaniemy taty z Arabii Saudyjskiej – powiedział Bill Fallon, kiedy już przycichł łoskot silnika.

Andre Gamoudi pomyślał, że to chyba najlepszy dzień w jego życiu.

## ROZDZIAŁ 12

Sobota, 10 kwietnia, godz. 14.00. Kwatera główna DGSE, Caserne des Tourelles, Paryż

Gaston Savary nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pochylił się nad biurkiem oparty na obu łokciach, ściskając mocno słuchawkę. Ani razu w całej swojej karierze nie był aż tak wstrząśnięty – nawet wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszał, że CIA wpadła na trop Jacques'a Gamoudiego.

–Co to znaczy zniknęli? Jak? Gdzie zniknęli?

–Po prostu zniknęli, sire – tłumaczył głos po drugiej stronie linii. – Kilku ludzi zaatakowało naszych funkcjonariuszy, którzy obaj są teraz w szpitalu.

–Ale co się, do diabła, stało z Giselle Gamoudi i jej synami?

–Straciliśmy ich z oczu.

–Jakim cudem?

–Wywieziono ich mercedesem, chyba eską.

–Zapisał ktoś numery?

–Nie, sire.

–No, tak. – Gaston westchnął bezsilnie. – A w którą stronę odjechali?

–Do parku Beaumont.

–Śledziliście ich?

–Nie... ale ktoś widziałładujący śmigłowiec.

–Śmigłowiec!

–Tak, w parku Beaumont.

–I co, jest tam nadal?

–Nie, sire. Był na ziemi tylko przez kilkanaście sekund, a potem odleciał. Straż parkowa wszystko widziała.

346

–A co z panią Gamoudi? Z chłopcami?

–Zabrał ich helikopter.

–Jezus Maria... – wyrwało się Savary'emu; odłożył delikatnie słuchawkę na widelki.

Dwie minuty później oddzwonił do swego pechowego agenta z Tuluzy, Yves'a Zilbera, który z ponurą miną siedział nad stygnącą kawą w barze hotelu „Continental” nieopodal feralnego placu Clemenceau.

–Słuchaj, Yves. Mam nadzieję, że polecieś odpowiednim służbom spróbować wysledzić ten śmigłowiec?

–Tak, sire, oczywiście. Powiedziałem im, że strażnik widział, jak maszyna nabiera wysokości i odlatuje na zachód, w stronę regionu baskijskiego... i wybrzeża.

–No jasne, że wybrzeża – mruknął pod nosem Savary i znów zakończył rozmowę bez pożegnania.

Cholera, źle, pomyślał. Nie, gorzej. To iście diabelska sprawa. Jeżeli pułkownik Gamoudi wie już, że to agenci DGSE usiłowali go zamordować, i jakimś cudem się dowie, że jego żonie i dzieciom udało się bezpiecznie uciec z Francji... Nie musi już wracać do domu. Może trzeba zamrozić jego pieniądze? Gaston był oszołomiony wieściami. Wstał i podszedłszy do okna, zapatrzył się w przygnębiającą bryłę dachu *La Piscine*, miejskiego krytego basenu pływackiego. Czy sprawy rzeczywiście wyglądają aż tak źle, jak to sobie przedstawia? Tak. Jest gorzej, niż się można było spodziewać. Czy on, Gaston Savary, jest jedynym z sześćdziesięciu milionów obywateli republiki, który rozumie przerażające konsekwencje dzisiejszego incydentu na placu Clemenceau? Pewnie tak. Porwanie rodziny Gamoudich z samego centrum Pau to katastrofa, która może pociągnąć za sobą wiele ofiar, tak w rządzie, jak i w tajnych służbach. A najgorsze, że niemal na pewno pierwsza poleci jego głowa.

Stojąc tak samotnie w ten szary i mokry paryski dzień, Gaston zaczynał rozumieć, jak mogła

się czuć odsądzona od czci i wiary Maria Antonina na godziny przed zgilotynowa-niem. Ze znużeniem raz jeszcze podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z ministrem spraw zagranicznych.

–Nie musi się pani spieszyć – dodał pod nosem, za cicho,  
żeby telefonistka dosłyszała.

W tej samej chwili gniewnie – tak mu się przynajmniej wydawało – zadzwiczał dzwonek drugiego aparatu. Telefonował znowu Yves Zilber, wciąż z hotelu „Continental” w Pau.

–Sire, właśnie dostałem wiadomość z lotniska w Biarritz.

Niezapowiedziany śmigłowiec lecący na pułapie trzech tysięcy metrów opuścił Francję, kierując się prosto nad Zatokę Biskajską. Zaalarmowali sztab obrony powietrznej regionu atlantyckiego, ale ponieważ śmigłowiec nie nadawał żadnych sygnałów, uznali, że pościg byłby bezcelowy. Dziesięć minut po tym telefonie maszyna i tak była poza naszym terytorium.

Siły powietrzne stwierdziły, że to nie nasz interes, bo on nie próbował naruszyć naszej przestrzeni powietrznej, tylko z niej odlatywał.

Gaston podziękował Zilberowi i się rozłączył.

–Powinni go zestrzelić – burknął. – Mielibyśmy kłopot z głowy... choć weszlibyśmy na wojenną ścieżkę z Amerykanami.

Chwilę później odezwało się ministerstwo. Pierre St. Martin w milczeniu wysłuchał relacji szefa DGSE na temat fatalnego rozwoju wydarzeń w Pirenejach, a potem zapytał tylko:

–A według was dokąd ten helikopter leci? Do Waszyngtonu?

–Wątpię, skoro jego zasięg wynosi może kilkaset kilometrów. Najprawdopodobniej na jakiś amerykański okręt czekający daleko na otwartym oceanie.

–Najprawdopodobniej. A wobec tego, monsieur Savary, w jakiej to nas stawia sytuacji?

–Tak kłopotliwej, że gorszą trudno sobie wyobrazić.

–To znaczy, że pozostaje nam tylko jedna opcja – stwierdził beznamietnie St. Martin. – Nakazuję panu ją zrealizować za wszelką cenę, czy to w pieniądzu, czy w ludziach. Odnajdzie pan Myśliwego i go wyeliminuje. Jeśli się panu nie uda, USA zniszczy naszą wiarygodność na następne dwadzieścia lat.



–Ale... panie ministrze, co z madame Gamoudi?

–Gastonie, trochę realizmu! Przestań uganiać się za cieniami. Pani Gamoudi jest dla nas stracona i nic na to nie poradzimy. Co ona wie, to wie. Cokolwiek im powie, to powie,

348

ale i tak będzie to stukrotnie mniej ważne od tego, co ma do powiedzenia jej małżonek. On jeden może nas pogrążyć. Dopadnij go i ucisz na zawsze. Możesz przyjąć, że to rozkaz samego prezydenta. I jeszcze jedno... na twoim miejscu pamiętałbym, że to w twojej organizacji nastąpił pierwszy przeciek do CIA o miejscu pobytu rodziny Gamoudiego. Teraz to twoi ludzie sromotnie pokpili sprawę i nie wywiązali się z powierzonego im prostego w końcu zadania: trzymać tę babę z dala od Amerykanów.

–Ależ panie ministrze... – zaprotestował Savary. – Przydzieliłem do tej operacji ośmiu dobrych funkcjonariuszy, którzy strzegli jej dzień i noc...

–To może i zęba było przydzielić stu ośmiu – przerwał mu ostro St. M; x> i.In. – W sprawach tej wagi koszty nie mają żadnego• ar- ri> tylko sukces albo porażka. Powtarzam raz jeszcze/-: mi j> n. znaleźć Jacques'a Gamoudiego i go zlikwidować. <' -7, \i :...!> j>, st zupełnie jasne?

–Tak, i, i' .! ministrze. Zupełnie jasne – odpowiedział z bolącym głosem Savary. – Jeszcze tylko jedno. Czy chce pan zostawić Gamoudim całą tę forszę, czy mam nakazać bankowi zablokowanie konta?

–To już może pan zostawić mnie – odrzekł spokojnie mi

nister.

Savary nie mógł tego wiedzieć, ale Pierre'owi St. Martinowi z nerwów i strachu drżały dłonie. Dobrze rozumiał, że najprawdopodobniej nadchodzi koniec. Koniec jego własnej, misternie zaplanowanej kariery, koniec nadziei na jej uwieńczenie prezydenturą. Słuchał, oczywiście, z uwagą oskarży-cielskiego przemówienia Bedforda, pomógł premierowi skomponować ripostę, ale w głębi duszy wiedział, że Amerykanie odkryli ich tajemnicę. Wynikało to jasno z postawy ich prezydenta, z siły i pewności, jaka była z jego słów. Powiedział, że wie – i wiedział, co mówi. St. Martin nie miał co do tego wątpliwości. Słyszał też o odwołaniu z emerytury Arnolda Morgana; prasa i dzienniki telewizyjne powtarzały tę nowinę przez kilka dni z rządu. Kiedy przeczytał o tym po raz pierwszy, włosy zjeżyły mu się na karku. Teraz jego najgorsze przeczucia się spełniały: Stany Zjednoczone wiedzą dokładnie, co Francuzi zrobili dla saudyjskiego rebelianta.

Zapatrzył się w dal, na paryskie dachy za Sekwaną. Zdał sobie sprawę, że być może jego dni na Quai d'Orsay są policzone. Ostatnie dni marzenia, jakie hołubił przez całe dorosłe życie.

–Przeklęty Arnold Morgan! – wybuchnął nagle. – Oby go piekło pochłonęło!

Niedziela, 11 kwietnia, godz. 8.30. Pozycja 24°36'N, 058°52'E. Kurs 270°, zanurzenie 60 m, prędkość 7 w

*North Carolina*, nowiutki okręt myśliwski klasy Virginia, płynął powoli przez czyste, ciepłe wody Zatoki Omańskiej na przedprożu cieśniny Ormuz. Kapitan Bat Stimpson przed chwilą nakazał błyskawiczne sprawdzenie łączności satelitarnej; teleskopowy maszt systemu rozpoznania elektronicznego wysunął się nad powierzchnię morza na krótkie siedem sekund i okręt znów zszedł na większą głębokość, cichy i niewidoczny dla nikogo. Stimpson czytał otrzymany właśnie sygnał radiowy, kierujący *Carolina* do akcji. „102300KWI-10Z\*  
Waszyngton. VLCC *Voltaire* w czarterze Transeuro wyszedł z Abu Dżabi 100800KWI10Z. Przybliżona aktualna pozycja 2520N/05700E, prędkość 12. *Voltaire* 300 000 ton, w drodze do Marsylii via Suez. Postępować zgodnie z ostatnimi rozkazami. Doran”.

Kapitan dobrze pamiętał „ostatnie rozkazy”: ma zatopić wskazany statek. Przeczytawszy depezę, mimo woli przełknął głośno. Nigdy dotąd nie strzelał do „żywego” celu, ale miał dużą praktykę na symulatorach bojowych. Jak posłać na dno bezbronny tankowiec, wiedział równie dobrze, jak otworzyć pudełko płatków kukurydzianych, które codziennie zjadał na śniadanie. Teraz jednak miał to naprawdę zrobić.

\* Stosowany w niektórych oficjalnych sygnałach morski system zapisu daty i czasu, gdzie pierwsze dwie cyfry oznaczają dzień, dalsze cztery godziny i minuty, trzy litery to skrót nazwy miesiąca, ostatnie dwie cyfry to rok; tu: „10 kwietnia (20)10 r., godz. 23.00”. Wyróżnik Z lub L na końcu oznacza odpowiednio czas UTC (Greenwich) lub lokalny (strefowy). W rejonie Zatoki Omańskiej i Perskiej obowiązuje strefa czasowa UTC + 4 godz.

Odwrócił się do swojego zastępcy, doświadczonego podwodniaka z klasy Los Angeles, komandora porucznika Dana Reilly'ego, i powiedział cicho:

–Zaczynamy, ZDO. On jest ponad sto mil na west nord west od nas. CINCLANT nie żartuje. Mam tu świeży sygnał od niego, przeczytaj. Ile mamy czasu?

–Mniej więcej pięć godzin, sir, jeżeli ten tankier nie przyspieszy – odrzekł Reilly po naniesieniu pozycji na mapę i szybkim obliczeniu wektora względnego. – Jest już na otwartych wodach, a one mogą robić do piętnastu węzłów. Myślę, że znajdzie się w naszym zasięgu około trzynastej trzydzieści, może ciut wcześniej.

–Mówisz o pięciu milach?

–Aha. Ale będziemy musieli podejść na pięć kabli dla identyfikacji. Nie możemy ryzykować, że trafimy w niewłaściwą łajbę, a z dalszej odległości nazwy nie odczytamy.

–Jasne. Potem się wycofamy o kilkanaście mil na pozycję strzału. Nie chcę być bliżej, a z drugiej strony nie możemy ryzykować spuszczenia.

–Myśli pan, że te parę harpoonów wystarczy na niego?

–Och, pewnie. Przypomnij sobie wojnę falklandzką. Argentyńczycy posłali dwa exocety w rufę rorowcowi *Atlantic Conveyor*. Statek był spory i palił się godzinami, rozżarzony ponoć do czerwoności... a nie był wypełniony po brzegi ropą.

–Ropą nie, ale za to bombami i pociskami, sir.

–Zgadza się, długo jednak potrwało, zanim ogień z nadbudówki doprowadził do eksplozji ładunku. *Conveyor* i tak był już stracony.

–Nasze harpoony sprawią się jeszcze lepiej, sir.

–Jak i cały okręt, Danny.

Dowódca był dumny ze swojej jednostki. Każdy element tej śmiertelnie groźnej maszyny pracował absolutnie bez zarzutu: broń, mechanizmy, elektronika, ludzie. *North Carolina* odbywał swoją pierwszą turę operacyjną po dwóch latach prób morskich, ćwiczeń i wdrażania okrętu do służby. Jeżeli kiedyś był lepszy podwodniak we flocie, Bat Stimpson o nim nie słyszał.

*Voltaire'a* spodziewał się namierzyć po obiedzie. Wystarczy do tego parę obrotów anteny radaru, a potem podejść

blisko dla wizualnej identyfikacji przez peryskop. Paradoksalnie trudniejsza z tym sprawa w wypadku statków handlowych – nie wyróżniają się niczym szczególnym: ze środków rozpoznania używają praktycznie tylko radarów, powszechnie dostępnych urządzeń o niemal identycznych charakterystykach, i nie mają wyraźnej elektronicznej „wizytówki” jak okręty wojenne. Pozostaje tylko po staremu podpłynąć i przyjrzeć im się z bliska zwyczajnie, ludzkim okiem.

–Pójdziemy kursem na zbliżenie – oznajmił. – Sternik! Położyć się na dwa siedem sześć.

–Aye, sir, dwa siedem sześć.

Prezydent Francji powściągliwie odniósł się do kwestii pieniędzy Gamoudich. Oczywiście wiadomość o porwaniu rodziny przez CIA przyprawiła go o furję, ale szybko pojął, że nic już się z tym nie da zrobić. Minister spraw zagranicznych miał jednak słuszość, zastanawiając się, jak postąpić z piętnastoma milionami dolarów wypłaconymi człowiekowi, którego muszą teraz zlikwidować.

–Widzę tu problem natury moralnej – powiedział niespodziewanie dla samego siebie. – Myślę, że nie powinniśmy zostawiać pani Gamoudi zupełnie bez środków. W końcu ona się nie prosiła, żeby ją ci cholerni kowboje porwali.

–Nie, sire.

–Sugeruję więc, żeby tymczasowo zamrozić jej konto, a potem wycofać z niego dziesięć milionów, pozostawiając jej pięć. Może to trochę jej ulży w bólu po stracie męża. Trzeba ją też zapewnić, że może spokojnie wracać do swoich, do Francji. Jest przecież niewinna.

–Tak, lepiej by było mieć ją po naszej stronie – odrzekł St. Martin z wahaniem. – Po wyeliminowaniu pułkownika będzie można podjąć starania o jej powrót.

–Byle tylko się nie dowiedziała, jak zginął jej mąż – przypomniał prezydent.

–Och, tego się nigdy nie dowie. – Minister wzruszył ramionami. – Nieszczęśliwy wypadek w dalekim kraju... Dobrze, zajmę się więc tym rachunkiem bankowym. Dziesięć milionów dla martwego człowieka to rzeczywiście zbytnia rozrzutność.

Przez następne pół godziny dziesięciu asystentów St. Martina miało pełne ręce roboty z niełatwym zadaniem uruchomienia oddziału banku w niedzielne przedpołudnie. Najszybciej poszło z odszukaniem alarmowego numeru telefonu jego dyrektora; wystarczyło zadzwonić do komendy stołecznej policji. Kiedy jednak w końcu komuś udało się z nim połączyć, wiadomości

nie były dobre.

–Przykro mi, ale ten rachunek został przeniesiony z Paryża do Bostonu – powiedział bankier.

–Jak to? Kiedy to się stało? I dlaczego nie zostaliśmy o tym poinformowani?

–Proszę pana, to konto było celowo zabezpieczone. Tylko pan Gamoudi i jego żona mogli nim dysponować dzięki hasłu. Pieniądze zostały wycofane mniej więcej cztery godziny temu na telefoniczne zlecenie ambasadora amerykańskiego. Miał on wszystkie potrzebne dane i oznajmił nam, że pani Gamoudi znajduje się pod opieką rządu USA i jeśli pofatygujemy się sprawdzić, przekonamy się, że ich prezydent specjalnym edyktem nakazał centrali Bank of Boston dokonać transferu całej sumy do innego oddziału... Oczywiście, że sprawdziliśmy. Zadzwoniliśmy nawet do ambasady dla weryfikacji i wszystko było w porządku... Sire, to nie jest tak, jakby te pieniądze zniknęły. One są nadal w naszym banku, tyle że w innym mieście.

–Raczej na innej planecie – mruknął St. Martin, życząc dyrektorowi miłego dnia i rozważając czystą daremność próby kontaktu z amerykańskim bankiem i domagania się dostępu do piętnastu milionów dolarów na prywatnym rachunku.

–Beznadziejna sprawa – mruknął pod nosem. – Cała ta operacja staje się coraz bardziej beznadziejna.

Niedziela, 11 kwietnia, godz. 13.30. Zatoka Omańska

USS *North Carolina* wciąż płynął na zachód. Od odebrania sygnału z dowództwa minęły cztery godziny. Bat Stimp-son ponownie zarządził podejście na peryskopową. Już pierwszy cykl pracy radaru wykrył duży statek o siedem mil morskich przed dziobem z prawej. Kilka dalszych obrotów anteny

pozwoili mikroprocesorowi radaru obliczy jego przyblizoną prędkość: dwanaście i pół węzła. W lekko zamglonym powietrzu nie można go było zobaczyć przez peryskop, okręt ponownie zszedł więc na większą głębokość i ruszył na spotkanie, nie zmieniając kursu ani prędkości.

Dziesięć minut później oficer nawigacyjny określił przyblizoną pozycję statku na 24°40'N i 058°02'E. Peryskop znów poszedł w górę; tym razem kapitan zobaczył w dali głęboko zanurzony czarny kadłub VLCC, na oko nie mniejszego niż 250 000 ton. Jego jasnoczerwona nadbudówka rzucała się w oczy, ale żeby odczytać nazwę, musieli podpłynąć znacznie bliżej. Stimpson opuścił peryskop i polecił wykonać zwrot na dwieście czterdzieści stopni i przyspieszyć do dwudziestu węzłów. Przez dziewięć minut *North Carolina* mknął ku swej ofierze, po czym znów zwolnił i wystawił nad powierzchnię swoje „oko”. Teraz, z odległości niespełna mili, naprawdę można było ocenić wielkość zbiornikowca („ależ słonisko”, brzmiał komentarz ZDO); wciąż jednak nie dało się rozróżnić liter nazwy na dziobie. Jeszcze pół mili... Kiedy Stimpson po raz kolejny wysunął peryskop, byli już o parę stopni za trawersem statku i kąt widzenia nie był najkorzystniejszy, ale nie miał już wątpliwości: to był *Voltaire*. Zjawił się w przewidywanym miejscu i czasie, wypełniony wysokogatunkową ropą z Abu Dżabi dla marsylskiej rafinerii. Można było zaczynać. Kapitan omiół jeszcze peryskopem widnokrąg dookoła, po czym posypały się komendy.

–Uwaga na sterach głębokości! Trym dziesięć, zejść na sześćdziesiąt metrów. Sternik, kurs zero siedem dwa! Prędkość dwadzieścia dwa!

Okręt ruszył szybko naprzód tak dobranym kursem i prędkością, by oddalając się od zbiornikowca, zachować stały tak zwany aspekt, czyli kąt kursowy, pod jakim widziałby go wachtowy z mostku statku – gdyby mógł przeniknąć wzrokiem głębinę. W ten sposób po czterdziestu pięciu minutach obie jednostki dzielił dystans trzynastu mil morskich, ale *North Carolina* wciąż znajdował się na trawersie *Voltaire*'a.

–Kapitan do centrali naprowadzania. Sprawdzić rakiety.

–Oficer naprowadzania do kapitana... Obie rakiety zaprogramowane i sprawdzone.

**–Sternik, kurs dwa dwa pięć! Maszyna wolno naprzód! Trym dziesięć, zanurzenie sto dwadzieścia!**

**Okręt zwolnił biegu i skierował się na południowy wschód, dziobem w stronę nieszczęsnego tankowca, wystawionego teraz na cel całą długością burty. Punktualnie o czternastej czterdzieści kapitan Bat Stimpson wydał rozkaz wystrzelenia rakiet. Dwa harpoony wyskoczyły z wyrzutni, niepowstrzymane w swej śmiercionośnej misji... a w każdym razie nie przez bezbronny statek handlowy. Śmignęły ukośnie ku powierzchni, a znalazły się w powietrzu, zakreśliły kilka sinusoidalnych łuków, zanim ich elektroniczne mózgi ustawiły je na zaprogramowany kurs. Poleciały nisko nad wodą z prędkością prawie dwóch tysięcy stu kilometrów na godzinę; piętnastomilowa podróż zajęła im czterdzieści jeden sekund. Nikt ich nie widział. Do brzegu było daleko, ustawiony na zakres dwudziestu czterech mil radar nie pokazywał żadnego innego statku; korzystając z względnego spokoju, pełniący wachtę drugi oficer zajął się akurat uaktualnianiem map, a wpatrzonemu w horyzont przed dziobem marynarzowi nie przychodziło do głowy, by od czasu do czasu zerknąć na lewy trawers. Gdyby nawet ktokolwiek spostrzegł z daleka dwie czarne kropki okolone białymi pierścieniami ognia, nie zdążyłby zareagować. Obie rakiety przebiły burtę na wysokości sześciu metrów nad linią wodną, w odstępie ułamka sekundy i dwudziestu metrów od siebie. Eksplozje były potężne. Dwie kule ognia zniszczyły grodzie między trzema sąsiednimi zbiornikami ładunkowymi, a mimo wypełniającego przestrzeń nad swobodną powierzchnią ropy tzw. inertgazu straszliwy żar spowodował wybuch jej oparów, rozdzierając jak karton stalowe poszycie pokładu i pokładowe rurociągi. Surową ropę nie tak łatwo podpalić, ale w temperaturze tysięcy stopni wytworzonej przez połączone eksplozje może ona iść o lepsze z benzyną lotniczą. W dwadzieścia sekund od uderzenia harpoonów wielki tankowiec zamienił się w gigantyczną pochodnię i jego los był już przypieczętowany.**

**Można nazwać cudem to, że nikt z załogi nie zginął. Wszyscy przebywali w tym czasie w nadbudówce, a pierwsza rakietka uderzyła o dziewięćdziesiąt metrów od niej; kilku filipińskich marynarzy, którzy jeszcze przed chwilą pracowali**

na pokładzie, uratowało niezbyt ortodoksyjne przestrzeganie godzin pracy – tradycyjna na statkach wszystkich bander przerwa na kawę zaczyna się o piętnastej, ale przecież najpierw trzeba trochę ochłoniąć po południowym skwarze i umyć ręce...

Francuski kapitan wydał rozkaz opuszczenia statku. Już po dwóch minutach wszyscy siedzieli przypięci pasami w szalupie na rufie; pierwszy oficer zwolnił hak mocujący i zamknięta, ognioodporna łódź zsunęła się po silnie nachylonych prowadnicach, spadając z wysokości ośmiu metrów do wody. Inercja upadku pchnęła ją naprzód; elektryczny starter uruchomił silnik i szalupa na pełnych obrotach zaczęła się oddalać od szalejącego inferna. *Voltaire* płonął jeszcze przez trzy i pół doby; przez ten czas pokład i górna część burt na śródkręciu stopiły się niemal całkowicie.

W minutę po oddaniu salwy USS *North Carolina* odpłynął niespiesznie na południowy wschód, zostawiając za sobą zagadkę, nad którą tankowcowy świątek miał się głowić przez kilka najbliższych dni. Tylko we wtajemniczonych kręgach wojskowych Francji od razu pojawiły się podejrzenia wobec Stanów Zjednoczonych. Generał Jobert, dowódca sił specjalnych, jeszcze tego samego wieczoru spotkał się w Breście z dowódcą floty podwodnej, admirałem Romanetem. Nad kolacją rozważali jedno zasadnicze pytanie: czy Amerykanie poważiliby się na taki czyn? Marc Romanet nie miał wątpliwości, że mogła to zrobić wszechpotężna US Navy.

–Dla średniej klasy okrętu podwodnego to żadna sztuka zatopić powolny i ociężałe manewrujący VLCC – oświadczył.

–Nie pozostawiając po sobie śladów ani poszlak? – spytał sceptycznie Jobert.

–Bez problemu. Myślę jednak, że przy obecnych kłopotach, jakie kowboje mają teraz w ONZ, podobna operacja jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobna. Nasz czwartkowy wniosek o potępienie spotkał się z silnym poparciem. Co prawda, jak chyba zauważyłeś, ich przedstawiciele odmówili udziału w trzech kolejnych spotkaniach Rady Bezpieczeństwa i oświadczyli, że nie przyjmą do wiadomości żadnej rezolucji przeciwko sobie.

–Oczywiście, że o tym słyszałem – odparł Jobert. – Siedzą



cicho, ale nie stracili rezonu. Masz jednak rację, że nawet dla nich takie bezceremonialne zniszczenie wielkiego zbiornikowca, nie licząc się z opinią światową, byłoby zbyt bezczelnym postępkiem.

–Niby tak... – powiedział powoli admirał. – Jest tylko jedna rzecz, która mi nie daje spokoju. Mój były kolega po fachu, admirał Morgan, wprowadził się do Białego Domu jako specjalny doradca prezydenta. To człowiek bardzo niebezpieczny dla każdego wroga Stanów Zjednoczonych, a czy nam się to podoba czy nie, w tej chwili zalicza nas do tej kategorii.

**Poniedziałek, 12 kwietnia, godzina 5.30. Morze Czerwone**

Kapitan David Schnider, dowódca drugiej z najnowszych jednostek klasy Virginia, USS *Hawaii*, czekał na swój łup na głębokości stu dwudziestu metrów, o czterdzieści pięć mil morskich od cieśniny Bab el-Mandeb. Okręt krążył kursem nawrotnym z prędkością zaledwie pięciu węzłów, trzymając się w wąskim dennym rowie o szerokości od dwóch do trzech mil, gdzie głębokość przekracza dwieście metrów, o szesnaście mil na zachód od jemeńskiego portu Al Muha. W tym miejscu szlak żeglugowy prowadzący przez cieśninę rozwidła się na dwa dwukierunkowe pasy ruchu, omijające od wschodu i zachodu wyspy Hanisz al Kubra i Dżabal Zuąar. Schnider nie wiedział, który z nich wybierze jego cel, dlatego ustawił się na tej właśnie pozycji, gdzie mógł obserwować ruch w obu kierunkach. Cekał na szczególnego rodzaju statek, który trudno pomylić z innymi.

Czterdziestoczteroletni kapitan Schnider był jednym z najzdolniejszych oficerów w amerykańskiej flocie podwodnej. Miał już za sobą staż dowódczy na okręcie myśliwskim klasy Los Angeles, a nominacji do objęcia USS *Hawaii* zazdrościł mu nie jeden kolega. Był mężczyzną niskiego wzrostu, ale silnie zbudowanym, wyróżniał się błyskawiczną orientacją w sytuacji i komputerową pamięcią, a także skłonnością do czarnego humoru. Mógłby zrobić błyskotliwą karierę jako adwokat, ale tradycja rodzinna wzięła górę: ojciec Davida dosłu-

żył się emerytury jako starszy bosman na niszczycielu, dziadek, podoficer artylerzysta, zginął na pancerniku *California* w Pearl Harbor. Urodzony w zasięgu słuchu od dawnej bazy morskiej w Brooklynie, miał marynarkę wojenną we krwi. Był dowódcą wymagającym i potrafił być surowy, ale ludzie lubili służyć pod jego komendą, a niektórzy przepowiadali mu awans na najwyższe stanowiska w US Navy.

Schnider wiedział dokładnie, jak wygląda jego ofiara: gazowiec o nośności osiemdziesięciu tysięcy ton, kadłub czerwony, z czterema kopułami zbiorników w kolorze mosiądzu, wystającymi na osiemnaście metrów nad górny pokład i połączonymi biegnącym od nadbudówki do dziobówki pomostem. Zgadzał się z opinią SUBLANT, że taki statek trudno przeoczyć, pod warunkiem że jest się we właściwym miejscu. Rozkazy miał lakoniczne: zatopić i zniknąć.

Zamierzał przepuścić gazowiec i zaatakować spoza trawersu, celując raketami w burtę na wysokości dwóch środkowych zbiorników. Miał dostateczny zapas głębokości na sprawną i bezpieczną ucieczkę, ale uznał, że lepiej nie ryzykować przechodzenia wzdłuż płonącego statku, którego ładunek siłą potencjalnego rażenia niewiele ustępuje bombie atomowej. Miał przed sobą szczegółowe dane o wyczarterowanym przez Transeuro statku. *Mo-selle* wiezie sto trzydzieści pięć tysięcy metrów sześciennych skroplonego gazu ziemnego, schłodzonego do temperatury minus stu sześćdziesięciu stopni, pod ciśnieniem sześćset razy większym od atmosferycznego – jeden z najniebezpieczniejszych ładunków, jakie przewozi się na skalę handlową.

–Chryste... – szepnął do siebie kapitan. – Sukinsyn zmiótlby z powierzchni ziemi cały Brooklyn.

W tej samej chwili obiecał sobie solennie, że *USS Hawaii* ruszy do bicia rekordu wszech czasów w kategorii szybkości ucieczki z miejsca akcji, gdy tylko harpoony opuszczą wyrzutnie.

Tymczasem *Moselle*, który w czwartek pod wieczór opuścił terminal załadunkowy przy północnym polu gazowym Kataru i wyszedł z cieśniny Ormuz w piątkowe południe, niecałe trzy dni przed *Voltaire'em*, mijał właśnie błyskowe światło latarni na wyspie Majjun w największym miejscu cieśniny Bab el-Mandeb i wchodził na wody Morza Czerwonego.

Kapitan Schnider nagle zatroskał się o pewien aspekt techniczny planowanego ataku.

–Harpoony w ostatniej fazie lotu przestawiają się na prowadzenie w podczerwieni – zwrócił się do oficera rakietowego. – Jak w takim razie mają znaleźć cel zamrożony do stu sześćdziesięciu stopni poniżej zera? Kurczę, toż to zimne jak tyłek polarnego niedźwiedzia po lodach waniliowych! Równie dobrze można by szukać źródła ciepła we wnętrzu pieprzonej góry lodowej.

Komandor porucznik Mikę Martinez się roześmiał.

–Sir, gwarantuję, że na tym statku wysokich temperatur jest na tony! Same sprężarki chłodnicze wytwarzają ogromne ilości ciepła, nie mówiąc o silniku głównym o mocy dwudzie stu trzech tysięcy koni... Nasze rakiety uderzą w kadłub najprawdopodobniej w okolicy siłowni. Wcale nie trzeba trafić w zbiorniki ładunkowe, choć i one dzięki izolacji nie są zimne. Siła eksplozji i tak uszkodzi przynajmniej jeden, a może i dwa. Płynny gaz w kontakcie z gorącym powietrzem gwałtownie się rozpręży do postaci lotnej... a wtedy wystarczy jedna mała isierka, nie mówiąc już o szalejącym w siłowni pożarze, żeby *Moselle* zamienił się w chmurę ognia i dymu w kształcie grzyba. Mam nadzieję, że my już wtedy będziemy na dużym zanurzeniu zwiewać, gdzie pieprz rośnie albo raki

**zimują.**

**Teraz z kolei dowódca się uśmiechnął.**

**–Mikę, będziemy strzelać z odległości pięciu mil zza jego trawersu. Pewnie prawego, bo większość załadowanych zbiornikowców wybiera wschodnią trasę. Kiedy on wyleci w powie trze, będziemy już tak daleko, jakbyśmy nigdy tu nie byli.**

**W samej rzeczy trudno byłoby komukolwiek uwierzyć, że USS *Hawaii* w ogóle istnieje, kiedy tak krążył na minimalnych obrotach sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią morza, niewidoczny dla nikogo i prawie niewykrywalny. Przez całą noc trzymali się w wybranym rejonie operacyjnym, słuchając pasywnym sonarem odgłosów śrub przepływających nad nimi statków i – co się zdarzyło dwukrotnie – okrętów, na których nikt nie miał zielonego pojęcia, że pod ich dnem czai się jeden z najgroźniejszych myśliwych we flotach całego świata.**

**Dwie i pół godziny później, kiedy kapitan Schnider po**

raz kolejny zarządził podejście na peryskopową, w okularze zobaczył swój cel. *Moselle* płynął z prędkością siedemnastu węzłów, zgodnie z przewidywaniem kierując się na NNW, ku lewej odnodze szlaku do Suez. Na kanałowej redzie znalazłby się w czwartek nad ranem, za późno, by wejść w konwój ruszający tego samego dnia do Port Saidu; do Marsylii dotarłby zatem nie wcześniej jak w następnny wtorek. Nie było mu to jednak pisane...

Radar amerykańskiego okrętu wykrył go już półtorej godziny wcześniej, ale oprócz gazowca w tym samym kierunku zdążyły jeszcze dwa inne statki o zbliżonej prędkości. Dopiero teraz, o ósmej, kiedy słońce wspięło się już nad jałowe wzgórza Jemenu, można było dokonać pełnej identyfikacji wizualnej. Czerwony kadłub *Moselle* dobrze się odcinał od blado-niebieskiego tła, a cztery kuliste kopuły zbiorników lśniły metalicznym połyskiem.

–Mamy go, sir – potwierdził ZDO, wezwany przez kapitana dla weryfikacji.

–Peryskop w dół! – zarządził Schnider. – Jesteśmy o milę od jego kursu. Sternik, zwrot na dwa siedem zero! Podpłyniemy tak blisko, żeby odczytać nazwę.

Kolumna peryskopu z cichym sykiem opadła w dół. Łącznościowiec zameldował o braku sygnałów. Poprzedni rozkaz pozostawał więc w mocy. Tak jak poprzedniego dnia jego siostrzany okręt, *Hawaii* podkraść się do swojej ofiary. Przy tym oświetleniu wystarczyło zbliżyć się o kilkaset metrów; peryskop znów wysunął się nad wodę i oczom dowódcy, ukazały się wielkie białe litery LNG na burcie gazowca. Bez trudu przeczytał nazwę na dziobie. Pora była zaczynać. Na jego komendę okręt zawrócił na południowy wschód i przyspieszył do dwudziestu węzłów, jednak tylko na sześć minut. Kolejny rzut oka przez peryskop i kilka obrotów radaru potwierdziły, że statek nie zmienił kursu ani prędkości. *Hawaii* w ciasnym zwrocie skierował się dziobem ku celowi.

–Centrala naprowadzania, sprawdzić rakiety!

–Obie rakiety zaprogramowane i sprawdzone, sir! Wyrzutnie gotowe!

–Numer jeden ognia! Numer dwa ognia!

Sekundy później dwa harpoony były w drodze. Wzbiwszy

się z wody w powietrze, po krótkim wahaniu ustawiły się na odpowiednim kursie i w stumetrowym odstępnie pomknęły ku oddalającemu się czerwonemu kadłubowi *Moselle*. Po dziesięciu sekundach lotu wbiły się w prawą burtę, kilka metrów nad wodą. Podwójna stalowa ściana rozpadła się w niemal jednoczesnych eksplozjach dwóch ćwierćtonowych głowic bojowych. Duraluminiowa powłoka zbiornika numer dwa pękła ułamek sekundy później i dwadzieścia tysięcy ton mroźnej cieczy zetknęło się z czerwonomorskim powietrzem – cieplejszym o prawie dwieście stopni Celsjusza. Powierzchniowe warstwy natychmiast zamieniły się w lotny gaz i eksplodowały z ogłuszającym hukiem, daleko głośniejszym niż wybuchy trotylu. Zbiornik dziobowy i numer trzy nie wytrzymały ciśnienia i zanim kapitan statku zdołał wykrzyknąć pierwszą komendę, *Moselle* był już jedną wielką, oślepiającą pochodnią, strzelającą w niebo na setki metrów, a cała przednia część kadłuba zamieniła się w rumowisko pogiętej, topiącej się stali.

I tym razem cała załoga przebywała na rufie – w nadbudówce lub w siłowni. Rozkaz kapitana ogłaszający alarm opuszczenia statku był najzupełniej zbędny; kto żyw, rzucił się już ku rufowej pochylni z szalupą ratunkową. Pożar ogarnął także morze w promieniu dziesiątek metrów, zasilany płynnym jeszcze gazem wyciekającym z naruszonego zbiornika numer cztery, który jednak jakimś zrządzeniem fizyki nie eksplodował. Prąd morski znosił jednak wstrzymany w biegu statek i plamę ognia na północ, sektor rufowy pozostawał więc wolny i większości marynarzy udało się ewakuować. Nikt nie zdążył nadać wezwania o pomoc, ale straszliwy widok wystarczył za sto sygnałów „Mayday”; dwa kontenerowce i płynący z północy masowiec zwalniały do obrotów manewrowych, idąc na ratunek. Katastrofę przeżyli prawie wszyscy z *Moselle*. Śledztwo wszczęte później w tej sprawie trwało długo. Wbrew pozorom konstrukcyjne zabezpieczenia gazowców i rygorystycznie przestrzegane i kontrolowane procedury bezpieczeństwa sprawiają, że rzadko trafiają się na nich poważne wypadki, a nigdy nie odnotowano całkowitej utraty gazowca z powodu pożaru – poza jednym, który parę lat wcześniej wszedł na minę w cieśninie Ormuz.

W chwili, gdy szalupa ratunkowa *Moselle* spadała do wo-

dy, *Hawaii* był już na głębokości stu dwudziestu metrów i gnał ku wyjściu na Zatokę Adeńską z prędkością dwudziestu pięciu węzłów. Kapitan Schneider zamierzał przebyć w ten sposób tylko kilka mil dzielących go od najwęższej części podmorskiego rowu, tam zwolnić do sześciu węzłów i cichaczem opuścić cieśninę na bezpieczniejszej głębokości sześćdziesięciu metrów. Meldunek do SUBLANT – jedno słowo „Zapalniczka” – nada dopiero na wysokości Adenu.

Poniedziałek, 12 kwietnia, godz. 9.00. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Paryż

Na Quai d'Orsay panowała złowieszcza atmosfera. Po korytarzach lotem błyskawicy rozniosła się wieść o losie *Mo-selle*. Prezydent był w furii, wojskowi domagali się rozkazów, a Pierre St. Martin usilnie starał się trzymać nerwy na wodzy, żeby nie popełnić niczego, co w dalszej perspektywie sam mógłby uznać za pochopne. Nad wszystkim zaś wisiało niczym czarna chmura jedno nurtujące wszystkich pytanie: czy to Ameryka właśnie zniszczyła dwa francuskie zbiornikowce, czy to tylko upiorny zbieg okoliczności? St. Martin, który na polityce międzynarodowej zjadł zęby, dobrze wiedział, że wszelkie próby domagania się wyjaśnień od Białego Domu byłyby daremne. Jeśli nawet jankesi pokwapiliby się z jakąkolwiek odpowiedzią, to z pewnością tylko po to, aby wykorzystać kolejną okazję do pogwałcenia Francji. Już słyszał, jak z wyższością mówią, kpiąc z nich w duchu: „Nie każdy kraj posuwa się do użycia siły dla własnych interesów... Nie sądzicie innych po sobie”. Nie, minister nie widział najmniejszego powodu, by zwracać się do rządu Stanów Zjednoczonych. Krążył nerwowo po gabinecie, niepewny, co ma doradzić prezydentowi, i w ogóle co w tej sytuacji robić. Sprawa wyglądała tym bardziej beznadziejnie, że nikt z obu załóg nie miał zielonego pojęcia, co się właściwie stało. Obaj kapitanowie zgodnie twierdzili, że na ich statkach bez żadnej widocznej przyczyny nagle doszło do eksplozji i gwałtownego pożaru. Pierre Wi Martinowi takie zeznania nie pomogły ani trochę.

Stanowisko ministra spraw zagranicznych zawsze było dlań komfortową, i jak sam to określał, elegancką posadą. Wielce sobie cenił związane z nim rozliczne przywileje, a przede wszystkim możliwość otaczania się bezcennymi antykami z minionych dni chwały tego kraju. Teraz jednak wszystko się psuło, jakby prawo Murphy'ego nagle ciałem się stało. Cokolwiek mogło pójść źle, poszło jeszcze gorzej. Nawet to, co musiało pójść dobrze, też wyszło opacznie. St. Martin spojrział na portret Napoleona, na pełną samozadowolenia minę na jego krągłej twarzy. Przez głowę mu przemknęła myśl, że tak się cesarz musiał czuć, pakując kufry przed ostatecznym wygnaniem na Wyspę Św. Heleny. Na tym poziomie zarządzania po prostu nie było się za kim schować ani nawet do kogo zwrócić. Prezydent od samego rana kipiał z wściekłości: „Wszystko, o co was prosiłem, to utrzymać sprawę w tajemnicy. I co dostaję? Jakiś durny oficerzyna z Pirenejów pozwala się sfotografować na czołgu! To zdjęcie wisi już pewnie w złotych ramach w amerykańskiej ambasadzie i Bóg wie gdzie jeszcze! Indolenci, zdrajcy! Prosiłem moją rozdętą i wysoko opłacaną służbę bezpieczeństwa, żeby przypilnowała jednej drobnej kobietki i dwójki dzieciaków. Nie grupy groźnych terrorystów, tylko gospodyni domowej i ledwo od ziemi odrosłych uczniów! Ale to się okazało dla was zbyt trudnym zadaniem. Teraz Ameryka, która najwyraźniej wie o nas wszystko, zatapia francuskie statki, a wy mi mówicie, że nie możemy nawet zaprotestować! Pierre, to jest nie do przyjęcia!”

Minister próbował się uspokoić. Podniósł słuchawkę i polecił, by go połączono z Gastonem Savarym. Powtórzył mu słowa prezydenta: „Gastonie, to jest nie do przyjęcia”. Szefowi DGSE nie trzeba było jednak tego tłumaczyć. Sam dobrze wiedział, że sprawy przyjęły bardzo groźny obrót. On też, jak minister i głowa państwa, był przekonany, że US Navy wzięła się do francuskich tankowców.

–I według ciebie powinniśmy zupełnie zawiesić transport ropy z Zatoki Perskiej? To twoja fachowa opinia? – spytał St. Martin.

–Szczere? Tak jest – odpowiedział Savary. – Jeśli bowiem stracimy choćby jeszcze jeden tankowiec, kto wie, czy



tym razem nie z całą załogą, Francja się zakołysze nie gorzej niż statek na fali. Ludzie nas oskarżą o bezduszne szafowanie życiem biednych, spracowanych marynarzy, którzy dla naszych ambicji osierocili dzieci. Pierre, nie możemy sobie pozwolić na żadną nową katastrofę. Ryzyko jest zbyt wielkie.

–Czy w żaden sposób nie można powstrzymać amerykańskiego okrętu podwodnego przed następnym atakiem?

–Praktycznie nie. Te pudła mogą się trzymać w głębinie choćby i osiem lat, jeśli zajdzie potrzeba. Przynajmniej tak długo ich reaktory mogą pracować, produkować energię, ciepło, słodką wodę i tlen. Muszą się wynurzać tylko dla odnowienia zapasu żywności.

–A sonary? Wydajemy na nie miliony euro. Czy nasza marynarka nie może wytropić jednego okrętu?

–Marne szanse. Jednostka o napędzie jądrowym może być w dowolnym miejscu na oceanie i przemieszczać się cholernie szybko. Będziemy jej szukać na Atlantyku, a ona już dawno zwała na Indyjski. Zaczniemy na Indyjskim, a ona już jest na Pacyfiku. Niech pan da temu spokój, panie ministrze. Oni obwiniają nas za wywołanie globalnego kryzysu ekonomicznego i biorą teraz odwet, a my niewiele możemy na to poradzić, nie wypowiadając im wojny... którą byśmy szybko przegrali.

–A więc twoja jedyna rada to wstrzymać wszystkie zbiornikowce ładujące teraz ropę w portach arabskich?

–Tak, sire. To moja rada.

–W takim razie' dalszych rad będę szukał w marynarce wojennej. Miłego dnia, Gastonie.

Admirał Romanet, telefonicznie obłożony w Breście przez najróżniejsze „czynniki rządowe”, zastanawiające się, jak zareagować myślą, mową lub uczynkiem na ten najnowszy przejaw amerykańskiej bezczelności, wykazał odrobinę większy optymizm.

–Panie ministrze – odpowiedział na pytanie St. Martina. – Marynarka mogłaby zapewnić zbiornikowcom eskortę, jak to robili Brytyjczycy podczas bitwy o Atlantyk w drugiej wojnie światowej.

–Chce pan powiedzieć, że każdemu statkowi płynącemu z Zatoki do Francji miałby towarzyszyć jakiś pancernik?

–Sire, nie mamy we flocie pancerników. Myślałem raczej

**o niszczycielu.**

**–Jak zwał, tak zwał... – odparł z nutką ironii w głosie minister. – Duży, hałaśliwy, śmierdzący ropą okręt, pełen dział, pocisków i gniewnych młodych ludzi w wygniecionych mundurach.**

**Admirał nie był zachwycony poziomem wiedzy polityka o marynarce wojennej.**

**–Nie te czasy, panie ministrze – zareplikował szorstko. –**

**Duże, szybkie, nieskazitelnie czyste, wypełnione rakietami**

**kierowanymi i elektroniką, niepojęte dla cywila narzędzie**

**walki, obsadzone przez chłodnych, wykształconych młodych**

**profesjonalistów w idealnie wyprasowanych mundurach.**

**St. Martin zrozumiał, że się zagalopował, a za nic nie chciał do siebie zrazić jednego z najlepszych dowódców we flocie.**

**–Tylko żartowałem, admirale.**

**–Mam nadzieję, bo tak się składa, że jeśli kiedykolwiek zostaniemy zaatakowani, pańskie życie znajdzie się w rękach tych młodych ludzi.**

**–Oczywiście, oczywiście – sumitował się minister, niena-wykły, by go w ten sposób przywoływano do porządku. – Nie chciałem nikogo urazić.**

**–Oczywiście – powtórzył Romanet bez uśmiechu. – Wracając do tematu... Nasz najnowszy niszczyciel klasy Tour-ville, *De Grasse*, odbywa akurat ćwiczenia na Morzu Arabskim. To wyspecjalizowana jednostka ZOP... to znaczy, do zwalczania okrętów podwodnych. Jeśli ktokolwiek może ochronić te statki przed atakiem, to właśnie on.**

**–Przeciw torpedom? Chyba ich właśnie użyli Amerykanie?**

**–Prawdę mówiąc, sire, to raczej nie. Pożary na obu zbiornikowcach były zbyt nagłe i zbyt wielkie. Według mnie zostały trafione rakietami. Ale *De Grasse* i przed nimi potrafi się obronić, a jako broń ofensywną ma na uzbrojeniu doskonale torpedy ECAN L5 o aktywnym i pasywnym naprowadzaniu, skuteczne na odległość sześciu mil, oraz dwa śmigłowce ZOP, sonar holowany, urządzenia zakłócające i cały szereg innych środków. Gdyby to pański statek był narażony na atak, na pana miejscu modliłbym się o taką eskortę.**

–Admirale, dziękuję za cenną radę. Przekażę ją prezydentowi, muszę jednak jeszcze o coś zapytać. Czy może pan zagwarantować, że ten niszczyciel doprowadzi statek bezpiecznie do portu?

–W moim fachu nie ma czegoś takiego jak gwarancja – odparł Romanet. – I w odróżnieniu od przynajmniej niektórych polityków, my nie lubimy zapewniać o czymś, czego sami nie jesteśmy pewni. Ograniczę się do stwierdzenia, że *De Grasse* ma szansę poradzić sobie z każdym przeciwnikiem.

–Jeszcze raz dziękuję – zakończył rozmowę minister, który miał już dosyć tego słownego pojedynku z chłodnym, wykształconym profesjonalistą, i zaczynał się czuć nieswojo.

Nie przejął się jednak usłyszanyimi zastrzeżeniami. Uznał, że nadarza się szansa, być może ostatnia, na ratowanie kariery, i zadzwonił do prezydenta, informując go z całym przekonaniem, jakie mógł z siebie wykrzesać, że może w pełni zagwarantować francuskim tankowcom bezpieczeństwo, jeżeli będą eskortowane przez okręty wojenne, zwłaszcza zaś przez najnowsze niszczyciele klasy Toundlle.

–Trzeba by je może zgrupować w konwoje po kilka statków i przydzielić odpowiednią osłonę – zaryzykował „fachową”

opinię. – Myślę, że pięć lub sześć tych *tourville*'ów powinno

załatwić sprawę. To oczywiście specjalistyczne jednostki do

walki z okrętami podwodnymi – dodał.

Żaden z nich nie wiedział, że marynarka wojenna posiada tylko dwa niszczyciele tej klasy, z czego jeden jest wciąż na próbach morskich na Atlantyku. Prezydent na swoje nieszczęście zawierzył jednak słowom St. Martina, którego wóz nieubłaganie zbliżał się do jego własnego politycznego szafotu.

Środa, 14 kwietnia, godz. 14.30. Cieśnina Ormuz

/

USS *North Carolina* był na tej samej pozycji co w niedzielny poranek, zanim ruszył do ataku na *Voltaire*'a. Płynął powoli na północ w gardziel cieśniny Ormuz na głębokości sześćdziesięciu metrów, czekając na swój kolejny łup, tym razem ULCC o nośności czterystu tysięcy ton, *Victor Hugo* w czar-

terze Transeuro, zmierzający do Cherbourga. Przed kilkoma godzinami kapitan Bat Stimpson odebrał szyfrowany i zwięzły sygnał z SUBLANT: „140100KWI10L. ULCC Victor Hugo płynie na wschód z Abu Dżabi. Eskortowany przez francuski niszczyciel ZOP de Grasse. ETA Ormuz: 141200KWI10Z. Zatopić obydwu”. Tym razem kapitan nie odczuwał nerwowości. Czekał spokojnie na pojawienie się celów. *Victor Hugo* opłynął już półwysep Musandam; wiedzieli dokładnie, gdzie go szukać, sonarzyści namierzili bowiem „wizytówkę” jego towarzysza: sygnały aktywnego sonaru pracującego w paśmie D, marki Thompson Sintra DUBV-23. O piętnastej dziesiątę wykryto promieniowanie radaru *De Grasse'a*, na samej granicy szesnastomilowego zasięgu: Thompson-CSF DRBV 5IB, pasmo G. Oficer torpedowy dokonał ostatnich testów. Miał przygotowane dwie torpedy, naprowadzane przewodowo Gould Mark 48 ADCAP o zasięgu sześciu tysięcy czterystu metrów. Plan ataku był następujący: najpierw zatopić torpedami niszczyciel, potem ostrzelać zbiornikowiec rakietami - jak w przypadku *Voltaire'a* chodziło o to, by ogromna ilość ropy z jego ładowni spłonęła, zamiast rozlać się na morzu. W centrali manewrowej obliczono parametry ruchu obu obiektów: kurs dwieście dwa stopnie, prędkość piętnaście węzłów, dwustumetrowy odstęp, przy czym *De Grasse* ustawiony był z przodu, na lewo od dziobu *Victora Hugo*. Szły prosto w pułapkę.

–Przygotować wyrzutnie numer jeden i dwa.

–Aye, sir.

Minęło piętnaście minut.

–Sonar do centrali, namiar jeden siedem zero, odległość sześć mil.

Cały okręt zamarł w oczekiwaniu, jakby wstrzymując oddech. Pełną napięcia ciszę przerywały tylko regularne meldunki sonarzysty, podającego zmieniające się dane celu. Wachtą dowodził zastępca dowódcy, kapitan Stimpson zaś siedział wpatrzony w ekran.

–Uwaga na pierwszej! Przygotować się do strzelania według sonaru!

–Namiar jeden dwa zero, odległość sześć czterysta... Komputer zaprogramowany, sir!

–Numer jeden, ognia!

Wszyscy na okręcie poczuli delikatne drgnięcie kadłuba, kiedy stalowe cygaro pchnięte sprężonym powietrzem wyskoczyło z otworu wyrzutni, błyskawicznie rozpędzając się do prędkości czterdziestu pięciu węzłów w stronę francuskiej jednostki.

–Naprowadzanie włączone, sir!

–Aktywować zapalnik!

Torpeda ADCAP zdążyła pokonać cztery i pół tysiąca metrów, gdy włączony czujnik termiczny w jej głowicy rozpoczął poszukiwanie ciepłego kadłuba *De Grasse'a*. Znalazłszy go przed sobą, przekazał elektroniczny impuls do procesora. Natychmiast uruchomił się aktywny sonar, wykrył cel, porównał go z zaprogramowaną charakterystyką akustyczną. Torpeda już „wiedziała”, komu jest przeznaczona. Nie mogła chybić.

Była o zaledwie trzysta metrów od niszczyciela, kiedy jego zaskoczony sonarzysta ujrzał ją na monitorze swojego systemu.

–Torpeda! Torpeda! Torpeda! Lewo jeden siedem pięć,

trzysta metrów! Aktywny sonar!

Nieuwaga operatora drogo kosztowała. Ostrzeżenie przyszło za późno. Po dwunastu sekundach ADCAP Mark 48 uderzyła z boku w rufę *De Grasse'a* i eksplodowała z barbarzyńską siłą, wrywając ogromną dziurę w poszyciu, łamiąc wszystkie cztery wały napędowe i siejąc spustoszenie w siłowni. Ośmiu motorzystów zginęło na miejscu, a wlewająca się potężną kaskadą woda pociągnęła rufę w dół. Dowództwo nie wykazało się dalekowzrocznością i czujnością, jakiej wymagało zadanie wykonywane w strefie potencjalnego zagrożenia: drzwi wodoszczelne między niektórymi przedziałami okrętu pozostawały niezamknięte...

Kapitan, oficer wachtowy i paru marynarzy z *Victora Hugo*, zgromadzeni na skrzydle mostka, w osłupieniu patrzyli, jak ich mocarny towarzysz podróży, który miał zagwarantować im bezpieczną żeglugę, staje w ogniu i zaczyna się z wolna przegłębiać na rufę. Tylko dwie pary oczu, które na chwilę oderwały się od przejmującego widowiska, spostrzegły, jak dwie ogniste smugi uderzają w ich statek. Podwój-

na eksplozja wybiła dużą wyrwę w lewej burcie i rozerwała wzdłuż górny pokład na długości blisko stu metrów, unosząc obie części w górę niczym podwinięte denko puszek sardynek. I tu

**nie obeszło się bez ofiar: na śródkręciu pracowało akurat czterech marynarzy, którzy zginęli na miejscu w chwili wybuchu. Ogień strzelał już w niebo z ogromną siłą i żar potęgował się z każdą sekundą. Nie było już żadnych szans na uratowanie tankowca: gdyby załoga pozostała na nim jeszcze przez następne dziesięć minut, nie ocalałby nikt. Z rozdartych zbiorników ładunkowych płonąca ropa rozlewała się na morzu szeroką plamą. Kapitan wydał rozkaz opuszczenia statku.**

**W tej samej chwili Bat Stimpson po raz ostatni spojrzął na isticie dantejską scenę, której był autorem, po czym wydał komendy sternikom, rozpoczynając odwrót z miejsca akcji.**

**–Trym dziesięć, zanurzenie sześćdziesiąt metrów. Prędkość dwadzieścia węzłów, kurs jeden trzy pięć.**

**Jako człowiek morza miał nadzieję, że pomoc dla rozbitków nadejdzie szybko i omańska marynarka wojenna, na której akwenie działania to się działo, sprawnie poradzi sobie z ewakuacją. Nie mógł jednak sobie pozwolić na dywagacje nad niesprawiedliwością losu francuskich marynarzy. Ich kraj przekroczył międzynarodowe prawo i zasługiwał na każdy akt zemsty, jakim Stany Zjednoczone zechciałyby go za to ukarać. Za niszczyciel i jego załogę odpowiadało dowództwo francuskiej marynarki wojennej i politycy z Paryża. Bat Stimpson wierzył, że ocaleni otrzymają od nich rekompensatę; w końcu, tak jak on, wykonywali tylko rozkazy.**

**Tego samego dnia, godz. 16.00. Pałac Elizejski, Paryż**

**Prezydent republiki bywał już w życiu tak rozwścieczony, ale nie w ostatnich latach. Dwa razy uderzył pięścią w blat napoleońskiego kredensu, aż zadźwięczał serwis kawowy z sewrskiej porcelany.**

**–Nie będę tego tolerować! – ryknął. – Oni nie mogą... nie mogą nam tego zrobić! To szaleńcy! Za kogo oni się mają?**

**–W tym, naturalnie, tkwi cały problem, panie prezyden-**

cie – odpowiedział Pierre St. Martin. – Oni są tym, za kogo się mają.

–Ale nie mogą bezkarnie topić naszych statków i zabijać ludzi!

–Mogą, sire. I uważam, że nie przestaną, dopóki my będziemy próbowali wywieźć choćby tonę ropy z Zatoki Perskiej. Wystosowali bardzo poważne ostrzeżenie, a dopóki ten sukinsyn Morgan jest w Białym Domu, będą to robić dalej.

–Chcesz powiedzieć, że mamy się zgodzić na unieruchomienie naszego kraju?

–Nie, tego nie powiedziałem. Ale musimy znaleźć inne sposoby importowania paliw niż drogą morską.

–Ale, Pierre... – przerwał mu prezydent, prawie biały z gniewu. – Nie możemy tak po prostu usiąść i się poddać jak... jak wystraszone pudle!

–Musimy, panie prezydencie, ponieważ na ich okręty podwodne nie ma rady. Nie da się ich nawet odszukać, nie mówiąc już o zatopieniu. A gdybyśmy nawet tego dokonali, na ich miejsce mogą podstawić pięćdziesiąt innych.

–Pięćdziesiąt! – Prezydent o mało się nie zachłysnął. – Pięćdziesiąt! To idiotyzm!

–Sire, już to panu mówiłem, US Navy jest niezwyciężona.

Francuski przywódca stracił resztki panowania nad sobą.

–Już mi to mówiłeś, co? Mówiłeś mi też, że ten niszczyciel ochroni tankowiec! Gwa...ran... to...wa...łeś mi to, łajdaku! Mówiłeś, jaki to z niego specjalista do walki z okrętami podwodnymi! I co? Amerykaninowi wystarczyła minuta, żeby go rozpieprzyć w drobny mak! Niech cię jasny szlag trafi, Pierre. Rozumiesz, co mówię? Pieprzyć cię!

–Powtarzałem tylko, co usłyszałem w sztabie marynarki...

–A więc sztab marynarki nie wie, co mówi. Czy na nikim nie mogę polegać? Jestem otoczony przez zwariowanych dyletantów! I mam tego po dziurki w nosie!

Dalszy słowotok przerwało wejście kamerdynera, który zaanonsował przyjazd sztabowego samochodu generała Mi-chela Joberta.

–Niech tu natychmiast wchodzi – burknął prezydent, na

wet nie spojrzawszy na służącego.

Trzy minuty później dowódca połączonych sił specjalnych wmaszerował do gabinetu. Jobert sam sobie narzucił zadanie wykazania, co zaszło na wodach cieśnin Ormuz i Bab el-Mandeb. Z miejsca obwieścił, że przynosi ważne wiadomości – i w samą porę, jako że prezydent za chwilę nadawałby się do związania w kaftanie bezpieczeństwa, a minister spraw zagranicznych bliski był łez.

–Sire, jak panu wiadomo, nie mogliśmy ustalić niczego

w sprawie *Moselle* i *Voltaire'a* - zaczął generał. – Jednak dzi

siejsza zbrodnia miała zupełnie inny charakter. Większość

ludzi z niszczyciela przeżyła, w sumie dwudziestu oficerów

i dwustu dziewięćdziesięciu czterech marynarzy. Ich sonar

wykrył zbliżającą się torpedę z odległości trzystu metrów.

Mają zamiar, w jakim się pojawiła, udało się zresztą urato

wać nagranie z wyraźnie słyszalnym meldunkiem podnoszą

cego alarm operatora. Po raz pierwszy dysponujemy niepod

ważalnym dowodem, że nasze jednostki zostały zaatakowane

przez wroga. Na tym nie koniec, sire. Czterech członków za

łogi *Victora Hugo* obserwowało z mostku tonący niszczyciel,

kiedy nadleciały dwie rakiety i uderzyły w burtę tankowca.

Widzieli je w locie! Panie prezydencie, teraz możemy udo

wodnić na forum ONZ, że Stany Zjednoczone są winne przy

najmniej dwóch zbrodniczych czynów na wodach międzyna

rodowych.

Prezydent po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął.

–Paul Bedford mógł sobie myśleć, że ma dość podstaw, by nas publicznie oskarżać, ale tym razem to my możemy ich przyprzeć do muru! – zakrzyknął.



**–Tylko że oni zaprzeczają wszystkiemu w żywe oczy – przypomniał trzeźwo minister spraw zagranicznych. – Powiedzą, że to sprawka Japończyków, Papuasów czy w ogóle Marsjan.**

**–Nie tak łatwo – przerwał mu Jobert. – Kiedy system sonarowy czy radarowy wykrywa nadlatującą rakietę czy torpedę w wodzie, natychmiast wprowadza uzyskane dane do komputera, który rozpoznaje rodzaj sonaru czy radaru używanego przez nieprzyjaciela. – Dostrzegł malujący się na twarzy prezydenta brak zrozumienia i wyjaśnił w prosty sposób: – Sire, gdybym wyszedł za drzwi i krzyknął, wiedziałby**

pan, że to ja. Rozpoznałby pan mój głos. Na tej samej zasadzie komputer sonaru może zidentyfikować źródło odbieranego sygnału. W tym wypadku była to torpeda ADCAP Mark 48 w trybie aktywnego namierzania celu. To broń amerykańska, sire. Dodam jeszcze, że Omańczycy pomagają nam w odzyskaniu i przetransportowaniu twardych dysków z centrali operacyjnej *De Grasse'a*, dopóki jeszcze się utrzymuje na powierzchni morza.

–A zatem mamy ich, generale? – Prezydent znowu się uśmiechnął.

–Mamy ich, sire.

–W takim razie możemy publicznie upokorzyć potężną Amerykę! Osobiście wygłoszę w telewizji przemówienie potępiające ich zbrodnicze działania. Przedstawię ich jako morderców z zimną krwią, kowbojów, bandytów! Nieodpowiedzialnych szaleńców! Powiem, że powinno się przenieść siedzibę ONZ z Nowego Jorku do Paryża. Do centrum świata, gdzie ludzie są... no, cywilizowani, a nie szaleni.

–Spokojnie, panie prezydencie – przestrzegł St. Martin. – Oni sami by się chętnie pozbyli tej, jak to mówią, papuziej klatki znad East River.

–Taak... No cóż, zobaczymy, Pierre, zobaczymy...

Tego wieczoru stosunki między Paryżem i Waszyngtonem załamały się zupełnie. Przemówienie prezydenta Francji zostało nadane o dziewiętnastej. Było teatralnie oskarżycielskie, w najwyższym stopniu obraźliwe i upolitycznione do dziesiątej potęgi. Mówca użył tych samych sformułowań, jakie padły rano na porannym spotkaniu. Obrzucił Stany Zjednoczone wszelkimi obelgami, jakie francuscy przywódcy pragnęli rzucać od czasów drugiej wojny światowej. Nawet Charles de Gaulle w swoim najbardziej nieznośnie wyniosłym okresie nie považył się tak zjadliwie wypowiadać o policjancie świata. Na koniec prezydent zachował najefek-

towniejszą puentę: |

–Z tą chwilą posłowie amerykańscy przestają być mile |

widziani w tym kraju. Stają się persona non grata. Ogła- 3

szam zamknięcie ich ambasady, szpecącej oblicze pięknej:|

avenue Gabriel nie dalej niż trzysta metrów od miejsca, J

372 1

w którym teraz stoję. Wiem, że zgodnie z prawem międzynarodowym ten budynek i otaczająca go ziemia jest oficjalnie desygnowaną własnością Stanów Zjednoczonych. Od dzisiaj przestaje nią być i powraca do prawowitego właściciela... Francji! – W tym momencie prezydent uniósł ramiona i wykrzyknął: – *Vive la France! Vive la France!*

Odszedłszy z godnością przed kamer i jupiterów skierowanych na przestronny hol Pałacu Elizejskiego, powrócił do prywatnego gabinetu i schwycił dłoń generała Joberta, który wraz z ministrem St. Martinem oglądał jego wystąpienie na ekranie dużego telewizora.

–I jak się panu podobało, generale? – spytał. – Czy wasz prezydent godnie się zaprezentował?

–Och, absolutnie, sire – pospieszył z zapewnieniem dowódca COMFUSCO. – Ta mowa była odbiciem tego, co się... tego... dzieje w każdym francuskim sercu. Była nam wszystkim potrzebna.

Pierre St. Martin tego dnia wziął na siebie rolę Kasan-dry.

–Była doskonała, sire – przytaknął cicho. – Byle tylko Ame

rykanie nie dopadli pułkownika Gamoudiego przed nami...

Stawka w grze została tego dnia raz jeszcze podniesiona. O dwudziestej drugiej czasu paryskiego prezydent Bedford oficjalnie wydalil z kraju wszystkich francuskich dyplomatów z waszyngtońskiej ambasady, nakazał też zamknięcie konsulatów w Nowym Jorku, San Francisco, Bostonie, Atlancie, Chicago, Houston, Los Angeles, Miami i Nowym Orleanie. Był to najgorszy moment w całej historii stosunków między stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa ONZ od chwili, gdy Rosjanie zestrzelili w latach sześćdziesiątych amerykański samolot szpiegowski U-2 i wzięli do niewoli jego pilota, kapitana Powersa. Przy sześciogodzinnej różnicy czasu między dwiema stolicami amerykańska prasa i telewizja miały aż nadto czasu, by zmienić artykuły na pierwsze strony i główne tematy do najważniejszych wydań wiadomości, jakie od samego rana przygotowywali.

Tematem dnia miał być stan światowej gospodarki – jak zresztą prawie co dnia od owej

**fatalnej marcowej nocy, kie-**

dy francuska marynarka urządziła blitzkrieg w saudyjskim przemyśle naftowym. Codziennie na całym świecie działy się złe rzeczy, ale tego dnia wieści były szczególnie dramatyczne. Przez całą noc, od dwudziestej trzeciej do szóstej, w całym Tokio wyłączono zasilanie w sieci energetycznej. Ciemności nie łamał ani jeden neon, światło w oknie czy sygnał uliczny, a rząd japoński ostrzegał, że podobnie może być odtąd co noc, aż do odwołania, prosząc obywateli o zachowanie spokoju i cierpliwości. Od trzech dni elektryczności były pozbawione Osaka i Kobe, gdzie elektrownie zużyły ostatnie litry mazutu. Inny żarłoczny konsument energii, Hongkong, trzymał się jeszcze na rezerwach. Wieczne Miasto, Rzym, szybkimi krokami zbliżało się do pogrążenia w wiecznej ciemności. Także w północno-zachodniej Francji zaczynało brakować benzyny, a wielki port w Rotterdamie praktycznie stał w bezruchu. Ani wata energii nie otrzymywali mieszkańcy Kalkuty, ruch zamierał w Niemczech, Hamburg wyłączył całą sieć, okresowo gasły światła w Berlinie i Bremie. W Anglii zaprzestawały pracy rafinerie w rejonie ujścia Tamizy, a z nakazu rządu wyłączono wszystkie neony w Londynie. Dostawy energii całkowicie wstrzymano w całym hrabstwie Kent. W coraz gorszej sytuacji były miasta Wschodniego Wybrzeża USA. To wszystko powinno zaspokoić żądę sensacji nawet najbardziej nienasyconego redaktora wiadomości, ale polityczny pat między Ameryką i Francją natychmiast wyparł wszelkie inne nowiny z pierwszych stron dzienników i głównych wydań wiadomości telewizyjnych.

W Fort Meade komandor porucznik Jimmy Ramshawe starał się utrzymać w garści rozległą sieć agentów na całym Bliskim Wschodzie, starających się znaleźć miejsce pobytu pułkownika Jacques'a Gamoudiego. Nie bardzo pomagały mu w tym telefony od admirała Morgana, który z regularnością gejzera Old Faithful co dwie godziny go nagabywał, zaczynając rozmowę od pytania: „I co, masz go?”, a kończąc innym: „To gdzie on, u diabła, jest?”

Żaden z nich nie wiedział, że w tym wyścigu są daleko w tyle za Francją. Pięciu najlepszych agentów DGSE od sa-

mego początku było w Rijadzie, przydzieleni pułkownikowi jako asystenci...

Przez cały okres przygotowań do ataku cała piątka dostarczała mu najnowsze informacje i miała do niego stały dostęp. Trzech z nich wciąż pozostawało na miejscu w roli obserwatorów z ramienia swojej służby i jak dawniej regularnie odwiedzali wspaniałą białą willę, którą udostępnił Gamoudiemu król Nasir. I nagle, kiedy do gry weszła Ameryka, sytuacja uległa radykalnej odmianie. Gaston Savary, jedyny człowiek, który miał z nimi kontakt, zadzwonił do przełożonego grupy, byłego majora sił specjalnych Raula Foya, i zwięźle polecił mu zameldować się u francuskiego ambasadora. Nieco zaskoczony major niezwłocznie pojechał do dzielnicy dyplomatycznej i usłyszał od sekretarza ambasady, że ma czekać na nowe rozkazy z Paryża, które Jego Ekscelencja za dziesięć minut przekaże mu osobiście.

Oczekiwanie potrwało nawet krócej; już po pięciu minutach majora Foya zaprowadzono do gabinetu ambasadora. Dyplomata podał mu rękę, ale nie poprosił o zajęcie miejsca, od razu przystępując do rzeczy.

–Majorze, nie chcę, aby pan pozostawał tu ani o sekun

dę dłużej niż potrzeba. Właśnie po raz drugi tego dnia roz

mawiałem z Gastonem Savarym. Otrzymałem instrukcje,

by panu przekazać w największej tajemnicy, że pan i pańscy

ludzie macie jeszcze dziś zlikwidować pułkownika Jacques'a

Gamoudiego. To bezpośredni rozkaz prezydenta.

Gdyby majorowi zaproponowano tradycyjną filiżankę kawy, mógłby się nią w tej chwili udławić.

–Ale... – wyjąkał, nie pozwolono mu jednak dokończyć.

–Żadnych ale, majorze. Ja sam mam zadzwonić do Pałacu Elizejskiego natychmiast po pana wyjściu z potwierdzeniem, że rozkaz został panu przekazany. Nie muszę panu tłumaczyć powagi sytuacji, ale upoważniono mnie, bym pana poinformował, że po powrocie do Paryża może się pan spodziewać niemałej nagrody pieniężnej. Mowa o kwocie sześciocyfrowej.

Raul Foy, który nieraz stawał oko w oko ze śmiercią w służbie swojego kraju, stał teraz z rozdziawionymi ustami, niezdolny wypowiedzieć słowa.

–Przykro mi, Raul – ciągnął ambasador łagodniejszym

tonem. – Wiem, że na pewno jesteś dobrym kolegą pułkownika, jeśli nie przyjacielem. Pamiętaj jednak, że to sprawa wagi państwowej. Najczarniejsza z czarnych operacji, można powiedzieć. *Au reuoir*, majorze.

Czterdziestojednoletni oficer bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu. Do samochodu zaparkowanego na podjeździe dotarł jak w transie. Usiadł za kierownicą, machinalnie zapiął pas i siedział przez długą chwilę nieruchomo, oszołomiony tym, co przed chwilą usłyszał. Nie był pierwszym żołnierzem, w którym otrzymany rozkaz budził sprzeciw, i być może inni przed nim też musieli pomyśleć to samo: „Nie po to włożyłem mundur, żeby zabijać moich kolegów z jednego szeregu”. Niewykluczone jednak, że był pierwszym, któremu rozkazano zgładzić własnego dowódcę. Nie mógł myśleć o niczym innym, jak o wrodzonej uczciwości pułkownika Gamoudiego, jego profesjonalizmie i oddaniu służbie. Kilkakrotnie zasiadali razem do stołu, rozmawiali codziennie i zawsze odnosili się do siebie z szacunkiem. Obaj godnie służyli w Brazzaville w najgorętszych dniach kongijskiej rewolucji... Nie, major Foy absolutnie nie był przekonany, że wykona ten rozkaz, pal diabli sześć cyfr!

Potem jednak nie mógł nie pomyśleć, jak myślałby każdy mężczyzna, co taka suma oznaczałaby dla niego, jego żony i dzieci. Uruchomił silnik i ruszył z powrotem do mieszkania w centrum miasta. Postanowił, że na razie nikomu nie powie o swoich pięciu minutach sam na sam z ambasadorem. Potrzebował kawy i czasu na zebranie myśli. Spojrzał na zegarek; dochodziła jedenasta. Rzeczywiście... dopiero teraz dotarło do niego, że skwar jest już nie do wytrzymania. Jedenasta rano. Ma więc dość czasu na zastanawianie się... Na pewno bowiem nie zamierzał z zimną krwią strzelać do pułkownika Gamoudiego w biały dzień.

Czwartek, 15 kwietnia, godzina 22.00. Dzielnica dyplomatyczna, Rijad

Major Foy zaparkował około dwustu metrów od willi Gamoudiego. Podjął już decyzję. Zamknął drzwi kluczykiem i ru-

szął bezszelestnie pustą ulicą, skryty pod drzewami i girlandami nieco już przywiedłych białych i różowych kwiatów zwieszających się z murów mijanych domów i ogrodów. Doszedłszy do bramy posiadłości pułkownika, zastukał w szybę ustawionej przed nią budki wartowniczej. Z zadowoleniem stwierdził, że obaj mężczyźni na służbie go znają; bez pytania przepuścili go przez elektrycznie otwieraną furtkę. Przed wejściem do budynku stali dwaj inni saudyjscy wartownicy, jeszcze lepiej mu znani; jeden nawet uczynnie otworzył przed nim drzwi. Oficer służbowy przywitał go wewnątrz z uśmiechem.

— *Bon soir*, majorze. Obawiam się, że pan pułkownik udał się już na spoczynek. Myślę, że nie chce, aby mu przeszkadzano.

–Achmedzie, przychodzę prosto z ambasady francuskiej -powiedział Foy do młodego Araba, z którym był w przyjaznych stosunkach od czterech miesięcy. – Mam dla pułkownika wiadomość tak tajną, że nie chcieli nawet przelewać jej na papier. Muszę natychmiast się z nim zobaczyć. Na pewno jeszcze coś czyta.

–W porządku, majorze, skoro to takie ważne, to proszę bardzo.

Raul wszedł na piętro po szerokich schodach i ruszył dalej korytarzem w lewo. Przed podwójnymi drzwiami głównej sypialni zawahał się chwilę, ale zastukał cicho.

Jacques Gamoudi usłyszał pukanie, ale nie otworzył. Wyśliznął się z łóżka i schował za drzwiami, ściskając w dłoni nóż.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł major Foy, zamykając je za sobą. W głuchej ciszy rozbrzmiał jego szept: „Jacques, zbudź się!”

Pułkownik nie poznał jego głosu. Jednym susem znalazł się przy intruzie, chwytając go za włosy i przyciskając mu do krtani ostrze bojowego noża.

Raul omal nie umarł na miejscu z wrażenia, po raz drugi tego dnia.

–Jacques, to ja, Raul! – wychrypiał. – Puśćcie mnie, czło

wieku, muszę z tobą pomówić. To pilne! I zabierz ten pieprzony majcher, co?’



Gamoudi zwolnił chwyt i zapalił światło.

–Na Boga, Raul! Co ty tu robisz w środku nocy? I czemu zakradasz się do mojej sypialni?

–Jacques, posłuchaj mnie i nie przerywaj. Dziś rano otrzymałem osobisty rozkaz od samego cholernego prezydenta, żeby cię za wszelką cenę zlikwidować. Nie wiem dlaczego, ale jesteś na celowniku, Jacques. Oni są zdecydowani cię zabić. Zaproponowali mi za to kupę forsy!

–Hej, chyba nie chcesz mnie zastrzelić, co? – Gamoudi się uśmiechnął.

–Nie, dopóki trzymasz ten zafajdany nóż. Nie, Jacques, poważnie. Nie mam nawet broni, nie powiedziałem też ani słowa moim ludziom. Przyszedłem cię ostrzec. Musisz stąd zjeżdżać, i to już. Ci faceci nie żartują. Uciekaj, Jacques. Nie możesz tu dłużej zostać.

–A ty, Raul? Skoro nie wykonałeś rozkazu, co będzie z tobą?

–Jacques, nie gadaj tyle, tylko uciekaj. Już. Powiem im, że przyszedłem cię zabić, ale już cię nie było. Podwieźć cię gdzieś? Na lotnisko?

–Nie. Król zorganizuje mi transport. Zgarnę tylko generała Raszuda, który gra sobie w bilard, i spadamy. I... dzięki, stary. Szczerze. W końcu tracisz przeze mnie fortunę.

Francuski agent uśmiechnął się szeroko.

–Decyzję podjąłem już rano. Pomyślałem sobie o słowach

napisanych dawno temu przez pewnego Anglika. Nazywał

się Forster.

To rzekłszy, skierował się ku drzwiom. Odwrócił się jednak i objął swego byłego dowódcę, mówiąc z niekłamaną troską:

–Zegnaj, Jacques. Rany boskie, uważaj na siebie. I... niech cię Bóg prowadzi.

–Zanim odejdziesz, może mi przytoczysz te słowa, które uratowały mi życie?

Major Foy wyglądał na zakłopotanego, jak gdyby wstydził się własnej lojalności.

–No więc... – zaczął i odchrząknął, a potem wolno i wyraź

nie powiedział: – „Gdyby mnie postawiono przed wyborem, czy

mam zdradzić mój kraj czy mojego przyjaciela... mam nadzie

**ję, że znalazłbym w sobie dość odwagi, by wybrać mój kraj".**

# ROZDZIAŁ 13

Czwartek, 15 kwietnia, godzina 23.00. Pustynia An Nafud

Modlili się o zachodzie słońca na skraju pustyni, na południowy zachód od Rijadu. Król Nasir i krąg jego najbliższych doradców korzyli się przed Bogiem, zwróceniu w stronę Mekki, bijąc czołem, jak nakazuje Koran. Tego wieczoru miał się odbyć prastary rytuał *mansaf*, którego częścią oprócz specjalnych modlitw jest również posiłek: ryż podany na płaskim placku z pełnoziarnistej mąki, z kawałkami soczystej jagnięciny w jogurtowym sosie. Zebrani siadają wokół wielkiej tacy, biorą mięso palcami prawej ręki i obtaczają je sprawnymi ruchami w kleistym ryżu. Król miał spożyć tę uroczystą kolację w towarzystwie sześciu najbardziej zaufanych dygnitarzy.

Te wieczorne spotkania w pierwszych dniach nowego panowania miały szczególne znaczenie, ponieważ Nasir wymagał, aby nauki islamu przeniknęły każdy aspekt beduińskiego życia. „Nie ma Boga innego niż Allah, a Mahomet jest jego prorokiem” – szeptane przez najbardziej wpływowych ludzi w królestwie słowa wyznania wiary rozbrzmiewały w suchym, pustynnym powietrzu ze szczególną mocą.

Wysoki, brodaty monarcha, klęczący teraz pośrodku rozpostartego na piasku wielkiego, barwnego perskiego dywanu, uosabiał siłę, jaka płynie z braterstwa w wierze. Podczas wszystkich narad, jakie zwoływał od objęcia tronu, wyraźnie podkreślał, że będzie dążył do przywrócenia dawnych obyczajów, i to nie tylko pod względem osobistej wiary i pobożności. Nasir pragnął odrodzenia muzułmańskiego życia, właściwego kodeksu etycznego, wynikającego z mądrości objawionej

## 379

w świętej księdze. Pragnął powrotu do islamskiej kultury, systemu prawnego i politycznego – krótko mówiąc, i jednostki, i całe państwo powinny według niego we wszelkich dziedzinach życia kierować się naukami Koranu. I nie było wśród mężczyzn klęczących obok niego na dywanie ani jednego-, który by nie wierzył, że król swój cel osiągnie. Nasir był silnym przywódcą o niezłomnych zasadach. Wciąż gardził komfortowymi i bogato dekorowanymi pałacowymi sypialniami, preferując swój mały, spartańsko urządzonej pokój, wieczerze zaś jadał w namiocie na pustyni, pilnując, aby wszyscy mieli pod dostatkiem jedzenia, włącznie z piętnastoma służącymi. Tego wieczoru również, jak to miał w zwyczaju, zaprosił na posiłek cztery zupełnie obce, przypadkowe osoby.

Teraz odziani w tradycyjne szaty mężczyźni rozsiedli się wygodnie przed królewskim namiotem, by do późnej nocy oddawać się najstarszemu z arabskich rytuałów: popijaniu kawy, świeżo palonej na ogniu podczas kolacji, a teraz nalewanej przez służbę z błękitnego emaliowanego dzbanka z długim dzióbkiem, zaparzonej z ziarnami kardamonu. Była to scena ponadczasowa, niezmienna od wieków; wyraz pradawnych beduińskich tradycji

podtrzymywanych przez ludzi XXI wieku, jak gdyby czas w tym miejscu znieruchomiał.

Dwadzieścia dwie minuty przed jedenastą XXI wiek przypomniiał o sobie głośnym dźwiękiem telefonu, schowanego gdzieś w fałdach dżelaby króla. Przez twarz Nasira przemknął wyraz zdziwienia, a potem irytacji, jak gdyby nagle w jego filiżance znalazła się tania bezkofeinowa kawa rozpuszczalna. Odebrał jednak telefon. Sprawa musiała być bardzo ważna; nikt z obecnych nie pamiętał, aby ktokolwiek do tej pory miał czelność przeszkadzać Nasirovi al-Saidowi w ceremonii *mansaf*, nawet gdy był jeszcze tylko następcą tronu. Trwożną ciszę, jaka w jednej chwili zapadła, przerwał głos króla.

–Jacques? Co się stało? Jesteś bezpieczny?

**Potem przez minutę słuchał, jak**

**pułkownik Gamoudi**

**opowiada o następnym planowanym zamachu**

**na jego życie**

**i ostrzeżeniu, z jakim przybył do**

**niego przyjaciel z francu-**

**skich sił specjalnych.**

**-1 to cię uratowało? Te piękne**

**słowa z *Two Cheers for***

**i**

**380**

***Democracy?* – Uśmiechnął się przelotnie. – Tak, znam je bardzo dobrze. – Spoważniał jednak natychmiast. – Jacques, gdy stąd odjedziesz, stracę brata. Jestem głęboko rozczarowany postępowaniem Francji, ale zgadzam się, że musisz zniknąć. Żadne środki bezpieczeństwa nie dają stuprocentowej pewności. Moi ludzie zabiorą cię z domu na lotnisko. Pilot mojego prywatnego boeinga zawiezie cię, gdzie tylko zechcesz. Chcę, abyś zatrzymał go do dyspozycji tak długo, jak będzie trzeba, dopóki nie będziesz bezpieczny. Czy generał Raszud odleci z tobą? – zapytał.**

**Po minie króla doradcy poznali, że szef Hamasu także zamierza opuścić Rijad.**

**–Obaj wyjeżdżacie jako moi bracia i towarzysze broni. Waszych imion tu nie zapomnimy. Macie moje wsparcie po kres moich dni. Jedź w pokoju, Jacques, i niech Allah będzie z tobą.**

**Pół godziny później nocną ciszę nad dzielnicą dyplomatyczną rozdarł łoskot silnika śmigłowca królewskiej marynarki wojennej, który nadleciał nisko nad dachami i osiadł na trawniku przed domem Gamoudiego i Raszuda. Pułkownik omal nie dostał zawału na widok francuskiej maszyny Aerospatiale SA 365 Dauphin-2, przez moment przekonany, że to siepacze Gastona Savary'ego przybywają go wykończyć, zanim dostrzegł oznaczenia marynarki i królewską**

koronę na kadłubie. Podoficera, który zaraz po wylądowaniu wyskoczył z kabiny po bagaż, wartownicy wpuścili od razu, jakby z góry uprzedzeni o wizycie. Jacques i Rawi spakowali tylko po jednej podręcznej torbie; każdy zabrał też pistolet maszynowy z czterema zapasowymi magazynkami i nóż bojowy. Garnitury, koszule i mundury mogły poczekać na lepsze czasy. Dauphin wzbił się w górę, gdy tylko znaleźli się na pokładzie, i osiem minut później siadał już na końcu pasa startowego w porcie lotniczym Króla Chalida, tuż obok gotowego do startu boeinga-737. Raszud i Gamoudi wbiegli po schodach do samolotu. Drzwi się zatrzasnęły i elegancki drugi pilot w wyprasowanym na sztywno mundurze zapytał: „Dokąd lecimy, sir?”, jakby wielki odrzutowiec był taksówką.

Proste pytanie zaskoczyło Rawiego. W gorączkowych przygotowaniach do ucieczki nie zdążył się zastanowić nad celem

podróży. Szybko przebiegł myślą dostępne warianty przynajmniej pierwszego etapu. Damaszek odrzucił jako zbyt oczywisty, w każdym razie nie należało się tam udawać bezpośrednio z Rijadu. Amman był zbyt blisko, Bagdad zbyt niebezpieczny, podobnie jak Kair...

–Bejrut – rzucił w odpowiedzi. – Lotnisko międzynarodowe.

dowe.

–Nie ma problemu, sir – odrzekł z lekkim ukłonem pilot.

Trzy minuty później boeing piął się ostro w górę na pułap

przelotowy, zostawiając za sobą jasną plamę światła na czarnym tle pustyni. Rijadzki etap był definitywnie zakończony.

Tego samego dnia, godz. 21.00. Kwatera główna DGSE, Paryż

Gaston Savary od paru dni prawie nie opuszczał biura. Większość czasu spędzał, siedząc w ponurym zamyśleniu, nie ogolony, w rozchełstanej koszuli z podwiniętymi rękawami, i modlił się, by wreszcie zadzwonił telefon i ktoś zameldował mu o śmierci pułkownika Jacques'a Gamoudiego. Jak dotąd modły pozostawały nie wysłuchane i dzisiejszy wieczór nie był pod tym względem wyjątkowy. Telefon wprawdzie zadzwonił, ale wieści od majora Raula Foya były przeciwieństwem tego, czego jak kania dżdżu wyczekiwał.

–Sire, udało mi się dostać do jego domu o dwudziestej dru

giej trzydzieści. Zakradłem się do jego sypialni, ale przekona

łem się, że obiekt wyjechał i najprawdopodobniej nie wróci.

Warta mnie tam zna i darzy zaufaniem. Zorientowałem się,

że ucieczkę zorganizował mu sam król. Znajomy oficer powie

dział mi, że obiekt podobno wyjechał już z kraju.

Jaki obiekt i z jakiego kraju, major oczywiście mówić nie musiał.

–*Merdel* - wyszeptał Savary. – Są jakieś poszlaki, dokąd mógł wyjechać?

–Żadnych, sire. Wiemy tylko, że jeden z prywatnych samolotów królewskich wystartował z lotniska międzynarodowego krótko przed północą i nasz człowiek mógł być na pokładzie. –

**musiał uważać, by nie przekroczyć cienkiej linii między dobrym, posłusznym, ale pechowym agentem a zdrajcą. – Cholernie trudno wysledzić królewski samolot, sire – dodał tonem usprawiedliwienia. – One nie muszą rejestrować planu lotu z własnego lotniska i oczywiście nikt w kontroli nie wie, dokąd się wybierają.**

**–Merdel - powtórzył Savary. – I co teraz?**

**–Sire, ten boeing ma zasięg prawie czterech tysięcy kilometrów. Ale odleciał nim także generał Raszud, który mieszkał razem z pułkownikiem. Proponuję rozmieścić agentów na wszystkich bliskowschodnich lotniskach, gdzie mógłby chcieć lądować. Na pewno w Damaszku, gdzie generał mieszka na stałe. Stawiałbym też na Amman i Kair, gdzie cholernie łatwo się ukryć. Kto wie, czy nie Dżibuti... mógł tam nawiązać kontakty podczas szkolenia. Nie wykluczam Trypolisu, gdzie na pewno uzyskałby pomoc, ani Bejrutu, typowego miasta bezprawia.**

**–A co z Bagdadem, Kuwejtem, Teheranem? – podsunął Savary.**

**–Bagdad nie, Raszud może mieć tam wrogów. Teheran? Być może... Jest w końcu z pochodzenia Irańczykiem. A Kuwejt? Chyba nie, za blisko. To tak, jakby się schował w ogródku sąsiada.**

**Szef DGSE polecił majorowi Foyowi, żeby był z nim w kontakcie, po czym odłożył słuchawkę i pospiesznie nagryzmolił nazwy wymienionych miast na kartce. Zadzwoił do swojego zastępcy, żeby przygotował operację przerzucenia po dwóch agentów do każdego z nich. Teraz czekała go rozmowa z ministrem St. Martinem. Gaston Savary nie miał na nią najmniejszej ochoty.**

**Piątek, 16 kwietnia, godz. 0.30. 7600 m nad pustynią An Nafud**

**Generał Raszud odzyskał równowagę. Zrelaksowany w komfortowym wnętrzu królewskiego samolotu wyjął telefon komórkowy i po raz pierwszy od niemal czterech miesięcy wybrał swój domowy numer w Damaszku. Mimo późnej pory**



Szakira odebrała natychmiast i ze łzami radości przywitała się z mężem. Drżenie w jej głosie powiedziało mu, że musiała już odchodzić od zmysłów z niepokoju po tak długim braku wiadomości. Chciała go zarzucić pytaniami, ale lata praktyki w zawodzie terrorystki wzięły górę i najpierw upewniła się, czy linia jest bezpieczna od podsłuchu.

–Przypuszczam, że tak, skoro dzwonię z wysokości sied

miu kilometrów nad pustynią.

–Wracasz do domu? Powiedz, że tak, proszę!

Rawi powiedział jednak stanowczym tonem:

–Szakiro, zanotuj, co ci teraz powiem. Spotkamy się jutro po południu w Byblos pod Bejrutem. Dojedziesz tam główną szosą z Damaszku. To około stu kilometrów i droga jest dobra, ale zarezerwuj sobie ze cztery godziny na jazdę, w górach będziesz musiała zwolnić. Na miejscu, tuż przed rogatkami, zobaczysz drogowskaz do jakichś rzymskich ruin. Za nimi jest zamek krzyżowców. Tam właśnie będę na ciebie czekał. Postaraj się tam dojechać nie później niż o trzeciej po południu. Zanim wyruszysz, idź do banku i podejmij pieniądze, co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a jak się uda, to sto. Klientce z pięcioma milionami na koncie nie powinni robić problemów. Zakładam, że w drogę wyruszysz około wpół do dziesiątej. I jeszcze coś, Szakiro. Zabierz kałasznikowa. Zmieści się w schowku, który przygotowałem w ranżerze. Na szosie będzie kilka punktów kontrolnych, ale oni nigdy nie szukają zbyt dokładnie. Użyj paszportu syryjskiego, ale miej też ze sobą izraelski... Nie, ja nie potrzebuję, mam przy sobie trzy. Zapisałaś?... Dobra, powtórz teraz wszystko i się rozłącz. Zobaczymy się jutro, kochanie.

–Mamy kłopoty, Rawi?

–Jeszcze nie.

–Do zobaczenia, kochany. Czekał na mnie.

Czwartek, 15 kwietnia, godz. 17.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Przy ośmiu godzinach różnicy czasu w Waszyngtonie było jeszcze czwartkowe popołudnie, gdy królewski boeing uwo-

ził pułkownika Gamoudiego z Rijadu. Już po kilku minutach agent CIA zameldował z lotniska, że jeden z prywatnych odrzutowców Nasira właśnie wystartował z dwoma pasażerami o nieustalonej tożsamości w nieznanym, jak zwykle, kierunku. Oficer dyżurny w ambasadzie

niezwłocznie powiadomił o tym wiecznie zapracowany wydział bliskowschodni w Langley. Wiedziano już tam, że krótko przed północą do dzielnicy dyplomatycznej przyleciał wojskowy śmigłowiec i wylądował na terenie prywatnej posiadłości, po czym niemal natychmiast odleciał. Komandor porucznik Ramshawe miał już na biurku zdjęcie maszyny, zrobione w podczerwieni przez agenta na lotnisku w chwili lądowania przy boeingu. Ludzie z Rijadu, Langley i Fort Meade zgodnie przyjęli, że *Le Chasseur* został wywieziony z Arabii Saudyjskiej i teraz leci gdzieś nad pustynią. Wiedzieli, że Francuzi już raz próbowali go zgładzić; było oczywiste, że król podejmuje kroki dla jego ochrony w zamian za wyświadczoną mu ogromną przysługę. Pytanie tylko, dokąd Gamoudi się wybiera? CIA zrobiła mniej więcej to samo, co DGSE: rozstawiła agentów we wszystkich portach lotniczych Bliskiego Wschodu, które mogły wchodzić w rachubę, by wysłedzili królewską maszynę. Przeliczyli się jednak; Bejrut był ostatni na ich liście i agent dotarł na lotnisko dopiero o czwartej, kiedy Raszud i Gamoudi zostali już bezpiecznie odtransportowani do saudyjskiej ambasady. Ustalenie, że boeing rzeczywiście wylądował w Bejrucie, zajęło mu godzinę – i teraz nie pozostało mu nic innego, jak siedzieć i czekać, aż znowu odleci.

Francuzi za to nie zaspali. Nie udało się im zbliżyć do obu pasażerów, ale śledzili dyplomatyczną limuzynę do bramy ambasady i przynajmniej znali miejsce pobytu swojego celu. Czy szczęście im dopisze na tyle, by spróbować ataku, to inna sprawa; nie ulegało jednak wątpliwości, że DGSE prowadzi w wyścigu. Kiedy następnego ranka inny, mniejszy samochód z przyciemnionymi szybami wyjechał z terenu ambasady na ulicę, czterej agenci – tylu ich teraz przydzielono do akcji - zdecydowali się ruszyć za nim. Śledzili go aż do prastarego miasta Byblos.

**Piątek, 16 kwietnia, godz. 12.30. Przedmieścia Bejrutu**

**Szakira Raszud była aktywnym członkiem Hamasu od dwunastego roku życia. Rzadko bywała dalej niż o wyciągnięcie ręki od najbliższego kałasznikowa, a w akcjach bojowych zaczęła brać udział jako siedemnastolatka. Razem z Rawim uciekli z bitwy na Palestine Road w Hebronie w godzinę po ich pierwszym spotkaniu przed czterema laty. On uratował jej życie, potem ona jemu. Pobrali się w obecności najściślejszego kręgu kierownictwa Hamasu, do którego Rawi wkrótce wszedł jako głównodowodzący wojskowy. Ich małżeństwo, choć dojrzewające i zawarte w najsurowszych okolicznościach, wyzuty z wszelkiego romantyzmu, oparte było jednak na prawdziwej miłości. Piękna Palestynka, tkwiąca teraz w korku osiem kilometrów przed Bejrutem, wychodziła z siebie z niepokoju. Wyczuwała wielkie niebezpieczeństwo. Dlaczego Rawi potrzebuje tylu pieniędzy? Czemu tak niechętnie z nią rozmawiał po tak długiej rozłące? I czemu specjalnie kazał jej zabrać broń, choć wie, że ona nigdzie się bez niej nie rusza? Każda komórka ciała mówiła jej, że szykuje się coś strasznego. Nerwowo po raz kolejny nacisnęła klakson... jak wszyscy wokół.**

**Jak to zwykle bywa, sprawcą zatoru okazał się młody i narwany człowiek, któremu podczas kolejnego zygzaka między pasami ruchu udało się w końcu zderzyć czołowo z ciężarówką. Teraz był jedynym kierowcą w okolicy, któremu absolutnie i nieodwracalnie stało się obojętne, czy jedzie, czy stoi. Około trzystu innych miało w tej kwestii wspólny i określony pogląd, zwłaszcza Szakira, której ostatnie czterdzieści minut dłużyło się jak wieczność. Nie wiedziała, czy jest jakaś inna droga, która pozwoliłaby jej ominąć najgorszy ruch w mieście; jechała na północ ku wybrzeżu ulicą Damas i skręciła w prawo w aleję Charles'a Hevlou, szeroką arterię, która jednak po niecałym kilometrze zatkała się niczym najwęższe z gardeł. Niemal fizycznie słyszała w głowie uporczywe tykanie zegara. Dochodziła czternasta, a ruch zablokował kolejny wypadek. Bejrut wciąż był jednym wielkim placem budowy i wszędzie widziało się maszyny pracujące przy usu-**

waniu wojennych zniszczeń, a kursujące gęsto ciężarówki ze stalą, cementem i ceglami dodatkowo utrudniały przepływ rzek pojazdów. Kiedy w końcu droga się odblokowała, Szaki-ra miała czterdzieści pięć minut na pokonanie tyluż kilometrów i nie miała innego wyjścia, jak przyjąć miejscowy styl jazdy. Naciskała gaz do deski, gdy tylko pojawiła się szansa na wyprzedzenie choćby jednego wozu, nie żałując przy tym klaksonu. Ostatnie kilometry szosy wzdłuż lazurowego bezmiaru Morza Śródziemnego zdawały się rozciągać w mile. Do Byblos wjechała prawie setką pięć minut po trzeciej i z piskiem opon skręciła w drogę do starożytnych ruin. Zaczęło padać, kiedy dojechała na parking. Stały na nim dwa samochody, a w bramę zamkową wchodził właśnie mocnej postury mężczyzna.

Szósty zmysł Szakiry, który już nieraz wywiódł ją cało z obierzy, włączył w jej mózgu sygnał alarmowy. Sto metrów za obcym zaczęła biec, rozbryzgując wodę w kałużach, z automatem schowanym pod płaszczem, z trudem hamując szloch. Niesiona przemożnym strachem o ukochanego, nie zatrzymując się, wpadła w ciemną czeluść średniowiecznej bramy. Wiedziała, że jej Rawi jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

**Godzina 15.07. Zamek krzyżowców w Byblos, drugie piętro**

Rawi i Jacques byli w pułapce, przyciśnięci do kamiennej ściany komnaty po obu stronach drzwi. Ich trzech uzbrojeni prześladowcy z francuskich służb specjalnych stali w korytarzu; podjęli już decyzję, że najlepszą taktyką będzie, gdy po prostu wyważą drzwi i wpadną do środka, strzelając ze wszystkiego, co mają przy sobie. Ścigani nie mieli innej drogi ucieczki, a poza tym w odwodzie czekał na zewnątrz ostatni z czwórki agentów.

Komnata nie miała okien; jedyne ongiś istniejące było zamurowane i pozostała po nim tylko wnęka z parapetem półtora metra nad podłogą. Jacques Gamoudi wspiał się do niej i stał zaparty stopami w załomach muru, mając przewagę wysokości nad spodziewanymi napastnikami.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pomieszczenia wpadli dwaj Francuzi. Jacques krzyknął: „Tutaj!” Mężczyzna z prawej odwrócił się i dostał kulą prosto między oczy. Drugi agent odruchowo też się obejrzał w stronę, skąd dobiegł głos. Był to ostatni błąd w jego życiu. Krótka seria z peemu Rawiego rozniosła mu tył głowy.

Szakira wbiegała schodami, przeskakując po dwa stopnie. Słyszając wystrzały, zamarła na chwilę, zdjeta grozą, ale szybko ruszyła naprzód, powtarzając raz za razem imię męża, jak gdyby w ten sposób mogła go osłonić.

Osaczeni zyskali chwilową przewagę, ale też stracili element zaskoczenia. Ktokolwiek został na korytarzu, wiedział już, że oprócz pułkownika Gamoudiego w komnacie jest jeszcze jeden

przeciwnik. Wyszukoleni żołnierze mają sposoby na takie sytuacje, a jednym z nich jest użycie granatów. Ten, który stał przed drzwiami, nie miał żadnego, ale jego kolega nadchodzący od schodów niósł trzy. Ze spokojem rzucił mu jeden i sam zaczął wyciągać zawleczkę z następnego.

W tej samej chwili bliska hysterii, zapłakana Szakira wybiegła zza załomu korytarza, trzymając jednak swojego kałasznikowa gotowego do strzału. Usłyszawszy tupot obaj agenci odwrócili się błyskawicznie w jej stronę. Ten, za którym szła, upuścił granat – na szczęście wciąż z zawleczką -i skierował ku niej lufę automatu, ale było już za późno. Palestynka nacisnęła spust, celując wysoko, w głowy i szyje przeciwników, jak ją nauczył Rawi. Kałasznikow ustawiony był na ogień ciągły.

–Jeżeli go zabiliście... jeżeli go... – powtarzała, przeskakując nad dwoma bezwładnymi ciałami i bez zastanowienia wbiegając do komnaty, gdzie Rawi wciąż tkwił jak przyklejony przy ścianie, a Jacques we wnęce zamurowanego okna.

–Mówiłem, żebyś była o piętnastej – przywitał ją spokojny głos z akcentem wyszlifowanym w szkole publicznej w Harrow. – Mało brakowało, a wszyscy byśmy zginęli.

Szakira nawet nie słyszała, co mąż mówi; ważne było, że słyszy jego głos. Wypuściła z rąk automat i rzuciła mu się w ramiona, zdyszana powtarzając między kolejnymi pocałunkami: „Dzięki Bogu!... Dzięki Bogu!”

Gamoudi, zeskoczywszy miękko z parapetu, odchrząknął

teatralnie i zasugerował jak najszybsze opuszczenie zamku, zanim ktoś ich oskarży o poczwórne morderstwo. Propozycja została przyjęta jednomyślnie i po chwili cała trójka wychodziła już z bramy zamku na parking. Wokoło nie było żywej duszy, ale w oddali widać było nadjeżdżający drogą turystyczny autobus. Okolice Bejrutu nie pozbyły się jeszcze opinii niebezpiecznych i nie były popularnym celem wycieczek. Strach przed zamachem terrorystycznym lub porwaniem był silniejszym argumentem od niewątpliwej atrakcyjności miasta. Bóg jeden wie, co musiała sobie pomyśleć pierwsza grupa zwiedzających, która natknęła się na cztery trupy leżące we krwi i wśród porzuconej broni i granatów.

–Urząd do spraw turystyki medalu za zasługi nam za to

nie da – skomentował krótko Rawi, sadowiąc się w samocho

dzie, po czym polecił skonsternowanemu saudyjskiemu kie

rowcy, by jak najszybciej zawiózł ich na lotnisko.

Z komórki zadzwonił do dwóch swoich ludzi w Bejrucie i wydał instrukcje, by przyjechali do Byblos i odstawili rangę rovera do jego domu w Damaszku. Następnie skontaktował się z pilotem królewskiego samolotu i poprosił o niezwłoczne zarejestrowanie planu lotu do Marrakeszu, zatankowanie do pełna i przygotowanie maszyny do startu za godzinę. Ujechali dobre dziesięć kilometrów, zanim przyszło mu do głowy przedstawić żonie Jacques'a Gamoudiego. Jacques był jednak tylko człowiekiem; od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Szakirę, prawie nie spuszczał z niej oczu, chłonąc jej urodę. Gdy w odpowiedzi na prezentację mówił „Cała przyjemność po mojej stronie”, nie była to czysta towarzyska formalność.

Atmosferę w samochodzie zdominował jednak groźny rozwój sytuacji w Bejrucie. Przez prawie całą drogę na lotnisko siedzieli w pełnym napięcia milczeniu.

–Czy ktoś mi może wytłumaczyć, dlaczego jedziemy akurat do Maroka? – przerwała je w końcu Szakira.

–To nie była łatwa decyzja – odpowiedział Rawi. – Jacques prawdopodobnie jest w większym niebezpieczeństwie niż my. Poluje na niego cała francuska DGSE. Nam grozi to, co zawsze, ale on musi się wydostać z Bliskiego Wschodu i znaleźć miejsce, gdzie mógłby przycupnąć na kilka miesięcy i złapać oddech. Instykt mu podpowiada, żeby wra-

cać do domu w górach Atlas. Tam nie będzie im go łatwo wytropić.

–I my też tam jedziemy?

–Aha. Zostaniemy z Jakiem, dopóki nie będzie bezpieczny.

–I dlatego chciałeś, bym wypłaciła te pieniądze? Na koszty podróży?

–Nie. Samolot już mamy.

–Zmieścimy się w nim we troje?

–1 jeszcze starczy miejsca dla dwustu osób. Nie mówiąc o załodze.

–No, to w porządku. Udało mi się podjąć sto tysięcy.

–Szakiro... – Rawi przybrał uroczysty ton. – Jeśli pominąć twoje karygodne spóźnienie, muszę przyznać, że zebrałaś dziś najwyższe noty jako żona, finansistka i strzelec wyborowy.

–Ku chwale ojczyzny, panie generale! – Szakira zasalutowała ze śmiechem. – To zaszczyt pracować dla pana.

Rawiego nieodmiennie dziwiło, jak dalece jego palestyńska piękność przyswoiła sobie jego angielskie poczucie humoru, zupełnie nienaturalne dla Arabów. Przyznawał jednak, że jest jej z nim wyjątkowo do twarzy. Rozluźnił się nieco i poprawił na siedzeniu.

–A więc znów się udało oszukać kostuchę – rzekł. – Ja zawdzięczam życie tobie, a Jacques twierdzi, że jego uratował E. M. Forster.

–Co to za jeden? Chyba o takim nie słyszałam.

–To bardzo znany pisarz angielski. W szkole na piątkę musiałem przeczytać minimum dwie jego książki.

–Tak? A co on napisał?

–No, chyba najbardziej znana rzecz to *Droga do Indii*.

–Znam! – zakrzyknęła triumfalnie Szakira. – Widziałam film!

–No właśnie – Rawi się uśmiechnął, dobrze znając słabość palestyńskiej bojowniczkii do wytworów Hollywood. – Forster potrafił z wyczuciem pisać o takich sprawach jak lojalność, traktowanie słabszych, a zwłaszcza przyjaźń.

**–Tak, ale... W jaki sposób ocalił życie Jacques'owi? Mieszka w Arabii?**

**–Nie żyje od czterdziestu lat – wyjaśnił Rawi. – Jednak i**

**390 |**

**jego słowa zainspirowały kolegę Jacques'a do przedłożenia przyjaźni nad rozkaz z najwyższego szczebla.**

**–Kazano mu cię zabić? – Szakira zwróciła się do Ga-moudiego.**

**–Tak, i to podobno z polecenia samego prezydenta.**

**–A on go nie wykonał, ponieważ zapamiętał cytaty z książki?**

**–Tak mi powiedział.**

**–Ty też ją czytałeś?**

**–Nie, ale teraz będę jej musiał poszukać.**

**Zajęci rozmową nawet nie zauważyli, kiedy się znaleźli na przedmieściach Bejrutu. Ruch był jak zwykle gęsty, ale do lotniska na szczęście nie musieli jechać przez centrum. Raszud raz jeszcze zadzwonił do pilota i polecił mu przygotować boeinga do startu. Po kilkunastu minutach samochód skręcał już w bramę terminalu towarowego, kierując się prosto na pas startowy dla maszyn prywatnych. Kierowca podjechał tuż pod schody i troje pasażerów niemal biegiem rzuciło się do kabiny. Stewardzi mimo całodobowego pogotowia powitali ich pogodnie.**

**–Do Marrakeszu, sir?**

**–Jeśli to nie kłopot... – Rawi odwzajemnił uśmiech.**

**–To prawie cztery tysiące kilometrów, sir. Lot potrwa pięć godzin, ale zyskamy trzy godziny na różnicy czasu. Powinniśmy lądować około dziewiętnastej trzydzieści.**

**Gdy tylko zajęli miejsca i zapięli pasy, samolot ruszył naprzód i po chwili rwał już ostro w górę, ku nieskazitelnie błękitnemu niebu, kładąc się na skrzydło w zwrocie na zachód. Na lotnisku agent CIA, który czekał tam od spóźnionego przybycia o czwartej rano, wyjął telefon i zadzwonił na wieżę kontroli lotów. Od swojego człowieka dowiedział się, że boeing zmierza do Marrakeszu i ma na pokładzie troje pasażerów przywiezionych przez samochód z saudyjskiej ambasady.**

**Wylot ze stolicy Libanu różnił się od startu z Rijadu jednym, ale brzemennym w skutki elementem: kapitan był tu zobowiązany zarejestrować plan lotu. Ten drobny fakt sprawił, że tym razem Amerykanie zyskali przewagę nad Francuzami, których bejrucki oddział był wyłączony z gry: z sześciu agentów tropiących Gamoudiego i Raszuda czterech leżało**





w kałużach własnej krwi w ruinach zamku w Byblos, dwaj pozostali wciąż warowali w samochodzie u bram saudyjskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego.

Agent przekazał zdobyte wiadomości bezpośrednio do Lang-ley. Centrala zareagowała błyskawicznie. Dyżurny wydziału bliskowschodniego natychmiast skontaktował się z Jimmym Ramshawe'em w Fort Meade, pytając o stopień pewności jego informacji o miejscu urodzenia pułkownika Gamoudiego: maleńkiej wiosce Asni. Jimmy, który strawił niejedną noc na przeczesywaniu francuskich wojskowych baz danych, natrafił w końcu na kopię metryki poszukiwanego, dzięki pośrednictwu Andy'ego Campese i kancelisty z Aubagne, który pozytywnie zareagował na pięćsetdolarową łapówkę. Otworzył teraz zapisany na dysku plik i przeczytał na głos:

–Urodzony w Asni, Maroko. Dwunastego czerwca sześćdziesiątego czwartego roku... Ojciec Abdul Gamoudi, przewodnik górski...

–Pięknie! – rozmówca z CIA aż cmoknął uradowany.

–Złapaliście jakiś trop? – spytał komandor.

–Jasne. Pan pułkownik jest teraz na pokładzie boeinga-737 należącego do Jego Królewskiej Mości króla saudyjskiego i leci prosto do Marrakeszu.

–No, to mój szef będzie chciał zawiadomić o tym marynarkę... ale zaraz, czekaj, mam tu jeszcze dane o Asni, które mogą się wam przydać.

Jimmy przebiegł palcami po klawiaturze; ekran monitora zamigotał zmieniającymi się oknami, aż ukazał się wyciąg z wczesnych lat wojskowej kariery Jacques'a Gamoudiego.

–Pomagał ojcu jako przewodnik w Atlasie Wysokim, w okolicy ich wioski... pracował też w miejscowym hoteliku... i tu mam coś ciekawego. Właściciel, były major francuskiego pułku spadochronowego, poparł jego podanie o przyjęcie do Legii Cudzoziemskiej.

–Ale bomba, komandorze!

–Domyślam się, że według was Gamoudi wraca do domu?

–Jeżeli francuski wywiad chce go zlikwidować, to góry Atlasu mogą być nie najgorszą kryjówką. Jezu, w życiu byśmy go tam nie znaleźli... nie wśród tych skał, które on zna jak własną kieszeń i na pewno do dzisiaj ma tam przyjaciół.

–Tak, łatwe by to nie było – zgodził się Ramshawe. – Ale my go nie usiłujemy zabić i mamy dwa dobre tropy: papa i major. Jeśli któryś z nich wciąż tam mieszka, to może się udać.

Rozłączył się i natychmiast ruszył do admirała Morrisa, by opowiedzieć mu ten najnowszy rozdział historii o *Le Chasseurze*. Kiedy skończył, dyrektor otworzył komputerową mapę Maroka.

–Czekaj, Jim, niech się zorientuję w terenie – powiedział. – Marrakesz jest tu... Ale gdzie, u diabła, szukać Asni? To gdzieś w okolicy czy dalej?

–O, tu, sir. Widzi pan park narodowy Toubkal? – spytał Jimmy. – To jeden z najwyższych szczytów w Afryce. Pewnie dlatego Asni awansowało na poważny ośrodek alpinistyczny, a tata Gamoudi mógł zarabiać na życie.

–No, to nasi francuscy koledzy mają nieliche zadanie. Wyobrażasz sobie ściganie zawodowego przewodnika po tych górach? Nigdy go tam nie znajdą!

–Zna pan tamte strony, sir?

–Byłem kiedyś przez jakiś czas w Agadirze i zapamiętałem Dzebel Toubkal. Kilku naszych wzięło tydzień urlopu i zamierzali zdobyć ten szczyt. Pamiętam, że jest cholernie stromy i cholernie wysoki, ponad cztery tysiące metrów.

–Pana tam nie ciągnęło?

–Jimmy, ja może wyglądam na głupiego, ale szaleńcem nigdy nie byłem.

–To co zameldujemy Wielkiemu Człowiekowi? – spytał komandor ze śmiechem.

–Powiedz, że i CIA, i my jesteśmy zdania, że Gamoudi zmierza do domu w Atlasie, gdzie ma nadzieję ukryć się przed Francuzami. Dodaj, że dotrze tam już wkrótce, a najlepszym miejscem do jego zgarnięcia może być port w Agadirze.

–Zakładając, że zechce być zgarnięty.

–Jimmy, uratowaliśmy jego żonę i dzieci. Jego forsa jest bezpieczna w USA, a jego szefostwo wydało na niego wyrok. Zechce na pewno i zrobi, co i jak mu każemy. Nie ma wyboru. Jak my go nie zgarniemy, prędzej czy później DGSE go wytropi i wpakuje kulę w łeb.

–Ale jak go znajdziemy? – spytał Jimmy.

393

–Zadzwoń do Morgana i zobacz, co powie.

–Robi się, szefie.

Wrócił do swego pokoju i połączył się z Białym Domem w szczególnie niewłaściwym momencie: admirał Morgan piecił się właśnie nad oświadczeniem Rady Bezpieczeństwa ONZ, potępiającym Stany Zjednoczone za zatopienie co najmniej dwóch, a może i czterech statków francuskich. Treść była wprost jadowita. ONZ wielokrotnie każdego roku „wyrażała ubolewanie”, nieco rzadziej „rozczarowanie”, a czasami uznawała czyjeś działanie za „niezrozumiałe”. Z zasady jednak unikała „potępienia”. Jest to słowo zbyt drażliwe, które może dolać oliwy do ognia i z którego trudno się potem wycofać.

Tym razem to tabu zostało przełamane. Oświadczenie ogłoszone tego dnia było oszałamiająco antyamerykańskie w wymowie. „Prawdopodobne poczynania US Navy w cieśninie Ormuz są przejawem politycznego awanturnictwa na skalę absolutnie nie do zaakceptowania przez resztę świata”. Dalej była mowa o tym, że Rada Bezpieczeństwa zamierza wezwać przedstawicieli USA na forum Zgromadzenia Ogólnego i poddać pod głosowanie wnioski o najostrzejsze sankcje wobec Stanów Zjednoczonych, jakie ONZ ogłosiła przez ostatnie ćwierćwiecze. „Między USA i Francją nie ma stanu wojny, dlatego czyny amerykańskiej marynarki wojennej muszą być uznane w najlepszym razie za akt szaleństwa, w najgorszym zaś za morderstwo z zimną krwią, popełnione na niewinnych marynarzach różnej narodowości”. ONZ nie kryła, że nie przejdzie do porządku dziennego nad sposobem działania, jaki wybrali Amerykanie. Światowa społeczność miała też zdecydować, czy Francji należy się od nich odszkodowanie za poniesione straty, być może nawet do miliarda dolarów.

Kiedy Paul Bedford przeczytał oświadczenie, mimo woli zadrżał, przerażony potencjalnymi konsekwencjami. Nie było chyba jeszcze w historii prezydenta, któremu cały świat zarzucałby morderstwo. Aktualnemu mieszkańcowi Białego Domu takiego rodzaju wyróżnienie wcale się nie uśmiechało. Pomysłodawcą akcji był admirał Morgan, jego pierwszego prezydent wezwał więc do Gabinetu Owalnego. Tam właśnie Arnolda zastał telefon od komandora porucznika Ramshawe'a.

–I co, mamy go? – warknął w słuchawkę admirał.

–Nie, sir. Ale sytuacja się poprawiła od wczoraj – dodał spiesznie Jimmy. – Wiemy, gdzie jest, i domyślamy się, dokąd zmierza.

Przedstawił Morganowi wydarzenia tego dnia, podkreślając marokańskie powiązania poszukiwanego, po czym zadał to samo pytanie co przed chwilą Morrisowi.

–Chcemy go zabrać z Agadiru, sir, ale jak mamy go znaleźć?

–Jimmy, trzeba mu podrzucić telefon komórkowy, jeden z tych modeli z odbiornikiem GPS. Wtedy będzie można go połączyć z żoną na *Shiloh*, a on będzie mógł nam powiedzieć, gdzie jest. Czy Langley jest zdania, że Francuzi też znają jego punkt docelowy i depczą mu po piętach?

–Tego jeszcze nie wiemy, ale pewnie szybko się przekonamy, sir.

–Jasne. To do roboty.

–Ale jak znaleźć Gamoudiego, żeby mu go podrzucić?

–Synu, jeśli CIA nie potrafi pomóc w tym facetowi, który robi co może, żeby się przedrzeć do USA, to niech lepiej zamkną interes i zajmą się czymś innym – odparł niecierpliwie Arnold i z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Paul Bedford z ulgą skonstatował w duchu, że jego główny doradca nie stracił głowy w obliczu frontalnego ataku ze strony ONZ, ale nie poprawiło mu to nastroju.

–Problem jest poważny, Arnie – wrócił do zasadniczego tematu.

–Poważny? – Morgan prawie krzyknął. – Sądzi pan, że powinniśmy się martwić z powodu gadaniny tak zwanej Rady Bezpieczeństwa, w której składzie mamy takie kraje jak Filipiny, Rumunię, Angolę, Benin i Algierię? Jezu! Przecież to wszystko trzecia liga! Sami ledwo sobie dają radę na własnych podwórkach, a chcą wydawać sądy o innych? – Arnold rozłożył ręce w teatralnym geście niezrozumienia. – I niech pan nie traci fasonu, sir. Proszę pamiętać, co się stało i kto tu jest czarnym charakterem. Żabojady w zмовie z jakimś zwariowanym szejkiem, któremu miliardy petrodolarów przewróciły w głowie, wpędziły świat w najgorszy kryzys ekonomiczny od czasów drugiej wojny światowej. Nie rękoma bandy na-

jemnikow, ale z użyciem własnych, regularnych sił zbrojnych Francja rozwalila w drobny mak saudyjski przemysł naftowy i postawiła na czele tak zwanej rewolucji swoich oficerów. Teraz

**pół świata musi pogasić światła i wyciągnąć z lamusa piece węglowe... a nikomu nie chce się wierzyć, że to wszystko robota Francuzów, którzy dla własnego zysku weszli w ten układ z Nasirem. Musimy wydostać świat z tego dołka, panie prezydencie. I jeśli w tym celu trzeba zatopić parę francuskich okrętów czy tankowców, to trudno. Niech się cieszą, że nie urządziliśmy im drugiego Tulonu\*!**

**–Ale, Arnie, co zrobić z tym oświadczeniem Rady Bezpieczeństwa?**

**–Sir, pół wieku temu poeci z bloku sowieckiego lubili pisać o wietrze historii, który uskrzydla bohaterów, a zmiata szumowiny. Taki wiatr wieje dziś na całego, a to, co się teraz dzieje, w pełni oceni dopiero właśnie historia. Nie zważajmy na ujadanie paru półgłówków, którzy znają tylko co dziesiąty fakt. Trzymajmy się mocno, nie pękajmy, a zwyciężymy. Prawdopodobnie w ciągu tygodnia – dodał po krótkiej pauzie.**

**–Chcesz powiedzieć, jeżeli dostaniemy tego pułkownika Gamoudiego i skłonimy go do zeznań przed Zgromadzeniem Ogólnym na naszą korzyść?**

**–Absolutnie, sir. On się zgodzi, ponieważ jego własny kraj obrócił się przeciwko niemu i dziś ma tylko jeden krąg przyjaciół... nas. Wydostaliśmy z Francji jego rodzinę i pieniądze, a jemu uratujemy życie. Będzie śpiewał nie gorzej niż Frank Sinatra.**

**Prezydent patrzył na admirała z niedowierzaniem.**

**–Coś panu powiem – ciągnął Morgan. – Ściągnę tu zaraz**

**Alana Dicksona, wypijemy po kawce i dowiemy się nowin.**

**Sytuacja nabiera temperatury i niech mnie szlag, jeśli nie zaczynamy wysuwać się na czoło.**

**\* W czasie II wojny światowej, po kapitulacji Francji i utworzeniu rządu Vichy, brytyjska Royal Navy zaatakowała i zniszczyła lub zatopiła zgromadzoną w tulońskiej bazie większość francuskiej floty, aby zapobiec jej przejęciu przez Niemców.**

Piątek, 16 kwietnia, godz. 17.30. Port wojenny Royal Navy w Gibraltarze

Ośmioosobowy zespół z elitarnej formacji specjalnej US Navy SEALs, rozślawionych dziesiątkami filmów i powieści „Fok”, przyleciał śmigłowcem Royal Navy do bazy w Gibraltarze, odwołany z wspólnych ćwiczeń z brytyjskimi komandosami z nie mniej znanego 22. pułku SAS w Hertford. Zacumowany przy Pirsie Północnym, masywnym falochronie portu wojennego, stał USS *Shiloh*, krążownik klasy Ticonderoga, po niedawno zakończonym rejsie z Zatoki Biskajskiej. Admirał Frank Doran uznał, że jeśli mają wyciągnąć *Le Chasseu-ra* z jakiejś bliskowschodniej dziury, to lepiej mieć pod ręką duży, dobrze uzbrojony okręt na wypadek poważniejszych problemów. Planował ulokować krążownik gdzieś pośrodku Morza Śródziemnego, w okolicy podeszwy włoskiego „buta”; teraz jednak sytuacja uległa zmianie. W ciągu najbliższych godzin *Shiloh*, wciąż z rodziną Gamoudiego na pokładzie i z załogą powiększoną o zespół Fok, miał wrócić na Atlantyk i popłynąć wzdłuż marokańskiego wybrzeża pod odległy o czterysta trzydzieści mil morskich port Agadir. Ostatnie rozkazy dla kapitana Tony'ego Pickarda, przysłane bezpośrednio z Pentagonu, polecały mu wysłanie komandosów po byłego francuskiego pułkownika za trzy lub cztery dni. Miał podążać z maksymalną prędkością do rejonu operacyjnego około stu mil na zachód od Agadiru. *Shiloh* szykował się do rzucenia cum, gdy tylko drużyna SEALs znajdzie się na pokładzie.

Dowodził nią trzydziestejednoletni komandor porucznik Brad Taylor, stacjonujący w Little Creek w Wirginii, uchodzący w swej bazie za człowieka z żelaza numer jeden, który, jak głosił krążący wśród personelu żart, „foczy” trójzęb, odznakę formacji, przenosi wieczorem z munduru na piżamę; weteran wojny w Iraku, absolwent akademii marynarki wojennej w Annapolis i prymus morderczego treningu wstępnego BUD/S, sita zatrzymującego tylko najtwardszych spośród kandydatów do SEALs, zwanego w branży „maszynką do mięsa”. Jego ojciec dosłużył się stopnia kapitańskiego w US Navy, a matka, była aktorka, nieraz zastanawiała się,

jakim cudem mogła urodzić tę miniaturę King Konga. Brad miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i posturę ciężarowca, a przy tym zaskakującą zwinność i sprężystość ruchów. Aparycją przypominał młodego Johna Wayne'a, choć z powodu masywniejszej budowy wydawał się niższy. Masa mięśni nie przeszkodziła mu wygrywać uczelnianych zawodów tak w sprincie, jak i w biegach na średnim i długim dystansie. Był też czempionem marynarki w boksie i tylko odniesiona kontuzja nie pozwoliła mu pokusić się o zwycięstwo także w tradycyjnych zawodach z wojskami lądowymi. Był jednym z tych ludzi, o których się mawia, że są urodzeni do służby w siłach specjalnych, zdolnym do wykonania najtrudniejszych zadań, gdziekolwiek by go posłały rozkazy SPECWARCOM -takie jak obecnie... „Ewakuować z Maroka francuskiego pułkownika Jacques'a Gamoudiego”.

Krażownik opuścił port gibraltarski o dziewiętnastej trzydzieści i pełną mocą turbin ruszył na wody cieśniny. Kursem zachodnim wypłynął daleko na Atlantyk i położył się na kurs południowo-zachodni, trzymając się o sto mil od brzegów marokańskich. Przy prędkości trzydziestu węzłów dotarcie na wysokość odległego o sto sześćdziesiąt pięć mil Rabatu zajęło mu pięć i pół godziny. Tam miała się odbyć pierwsza część akcji. O północy jeden z dwóch śmigłowców seahawk LAMPS III wystartował z pokładu i skierował się ku stolicy Maroka. Drugi pilot ścisnął w rękę kartonowe pudełko z satelitarnym telefonem komórkowym „zaordynowanym” przez admirała Morgana, za pomocą którego z dowolnego punktu na ziemi można się połączyć bezpośrednio z centralą łączności na *Shiloh*. Wbudowany odbiornik GPS mógł określić pozycję użytkownika z dokładnością do trzydziestu metrów, a co najważniejsze, przekazać ją na okręt nawet bez nawiązywania rozmowy: wystarczyło w tym celu wcisnąć jeden guzik.

Śmigłowiec dotarł nad rozświetlony miejskimi światłami brzeg po dwudziestu pięciu minutach i lecąc wzdłuż Wadi Bu Ragrag, dotarł nad rozległy teren amerykańskiej ambasady przy Marrakesh Avenue. Władze marokańskie zostały uprzedzone o jego przelocie w celu doręczenia specjalnej przesyłki ambasadorowi; większość państw zezwala na podobne nietypowe akcje w ramach normalnej kurtuazji. Admirał Mor-



gan dopilnował osobiście, by tej formalności nie zaniedbano; nadarzała mu się wspaniała okazja upokorzenia Francuzów i nie chciał, by zmącił ją jakikolwiek niepotrzebny incydent dyplomatyczny.

Z tego samego powodu nalegał, by ewakuacja pułkownika Gamoudiego odbyła się potajemnie na terenie portu, zamiast ryzykować szybszą i pewniejszą, ale nielegalną operację śmigłowcową w głębi kraju. Jak to ujął, „kiedy się chce odgrywać rycerza w srebrzystej zbroi, to nie paraduje się z pałą w ręku”.

Na trawniku przed budynkiem czekali już ambasador i jeden z czołowych agentów CIA w północnej Afryce, Jack Mitchell, który ze swej marokańskiej bazy czujnym okiem przypatrywał się sąsiedniej Algierii i odleglejszej Tunezji. Śmigłowiec nawet nie otworzył drzwi; przez uchylone okienko ręka oficera wyrzuciła pudełko w nadstawione dłonie Mitchella i natychmiast potem pilot poderwał maszynę w powietrze, nie tracąc czasu choćby na pomachanie ręką.

Tym razem przeleciał na przełaj nad miastem, nie bawiąc się w kluczenie nad rzeką. Nikt poza załogą helikoptera, ambasadorem, rezydentem CIA nie wiedział o tej ekspresowej dostawie. Maroko pod względem przecieków informacji przypomina sito, a do tego ma głęboko zakorzenione powiązania z Francją – przez połowę XX wieku było francuskim protektoratem.

Jack Mitchell, patrząc za oddalającymi się światłami pozycyjnymi amerykańskiej maszyny, czekał na własny lot. Za dwadzieścia minut miał odlecieć prosto z tego samego trawnika do odległego o ponad dwieście osiemdziesiąt kilometrów Marrakeszu. Tam Jack, były policjant z Nebraski, przesiądzie się do swojego jeepa cherokee i ruszy w góry w poszukiwaniu Abdula Gamoudiego albo właściciela jedyne go hotelu w wiosce Asni. Na razie wiedział tylko, że boeing króla Nasira rzeczywiście wylądował na lotnisku Menara, siedem kilometrów na południowy zachód od miasta, tuż przed dziewiętnastą. Młody agent w służbie CIA nie umiał jednak powiedzieć, czy ktokolwiek z niego wysiadł, a trudno w zatłoczonym terminalu szukać człowieka, który mógł podróżować sam albo w towarzystwie, ubrany po europejsku lub arabsku, mieć brodę lub nie... Agent przeprowadził jak najdokładniejsze śledz-

two, nie żałując dirhamów dla nagabywanych urzędników i pracowników biura wynajmu samochodów. Nikt nie zetknął się jednak z żadnym Gamoudim ani Hooksem. Krótko mówiąc, CIA nie miała pojęcia, gdzie pułkownik może się znajdować. Jedynym potencjalnym tropem były koneksje Ga-moudiego w Asni, odległej od lotniska o trzydzieści kilometrów. Jack Mitchell mógł się tylko modlić, żeby ojciec poszukiwanego wciąż tam mieszkał, a hotelem zarządzał były major Laforge. Pułkownik mógł równie dobrze ukryć się w samym Marrakeszu, choć ten wariant raczej nie wchodził w rachubę – Francuzi mają tam zbyt wiele wtyczek. Nie, Mitchell nie miał wątpliwości: klucz do zagadki musi się znajdować w Asni. On sam na miejscu ściganego wybrałby tę drogę ucieczki. Wciąż szukał w myśli innych możliwych wariantów, gdy jego śmigłowiec startował z ambasady. Przez cały czas Mitchell nie wypuszczał z rąk kartonowego pudełka z aparatem telefonicznym, który miał się stać linią życia dla *Le Chasseura* - jeżeli on będzie mógł mu go doręczyć.

Tego samego wieczoru, godz. 19.00. Port lotniczy Menara w Marrakeszu

Zaraz po opuszczeniu boeinga Rawi, Szakira i Jacques się rozdzielili. Żadne z nich nie miało innego bagażu niż torba podręczna, a spotkali się ponownie dopiero przy biurze Europcar w hali przylotów. Rawi wynajął czerwonego forda focusa; odszukali go na firmowym parkingu, wrzucili torby do bagażnika i Jacques zasiadł za kierownicą. Była już dziesiąta, kiedy opuszczali teren lotniska, kierując się starą górską drogą w stronę Asni. Jacques wiedział, że zastanie tam ojca, choć nie miał z nim kontaktu od kilku miesięcy. Nie zamierzał wjeżdżać do samej wioski, gdzie mogli czekać w zasadzce Francuzi; postanowił do niego zadzwonić i zdać się na jego przemyślność. Ojciec zorganizuje im dobry górski sprzęt, a potem ruszą ku ośnieżonym szczytom, wśród których Jacques dorastał. Było to chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie miał większe szanse od swoich zdeterminowanych, profesjonalnych prześladowców. Cała trójka zdawała sobie sprawę,

że francuskie służby specjalne nie mogą być daleko w tyle za nimi.

Gamoudi wiedział, że naraża Rawiego i Szakirę na poważne niebezpieczeństwo, pozwalając im sobie towarzyszyć. Poprzedniej nocy długo się spierał na ten temat z przyjacielem, dopóki Rawi nie zakończył sprawy stanowczo, kładąc mu dłonie na ramionach i patrząc prosto w oczy ze słowami:

–Posłuchaj, Jacques. Żaden z nas nie znalazłby się tu, nie będąc cholernie upartym sukinsynem. Ty ocaliłeś mi życie, a ja tobie. Nie byłbym w porządku, gdybym teraz zostawił cię samego w takim niebezpieczeństwie. Jesteś moim przyjacielem i nie mógłbym żyć ze świadomością, że nie byłem przy tobie w potrzebie.

Gamoudi nie miał na to kontrargumentu. Martwiło go jeszcze tylko jedno...

–Rawi, nie chcę niepotrzebnie narażać Szakiry...

Raszud tylko zachichotał.

–Proszę bardzo, możesz spróbować ją od tego odwieść – zaproponował. – Jeżeli do tej pory ci nie udowodniła, że po trafi sobie radzić, to już chyba nigdy tego nie dokaże...

Nie znali jeszcze zamiarów Amerykanów; Jacques nie wiedział nawet, że jego żona i dzieci, porwane w biały dzień w samym centrum Pau, przebywają teraz na okręcie US Navy o zaledwie paręset kilometrów. Zdecydował, że zadekują się gdzieś w górach i przeczekają do świtu, jako że przybycie do wsi w środku nocy musiałyby zwrócić czyjąś uwagę. Dlatego też Jack Mitchell trafił na miejsce przed nimi.

Narzuciwszy na siebie marokański burnus, który zawsze woził w bagażniku, zajrzał do miejscowego baru, żeby się dowiedzieć o drogę do domu Abdula Gamoudiego. Okazało się, że ma do przejścia tylko pięćdziesiąt metrów; po chwili Jack stukał już do drzwi niewielkiego domku. Mężczyzna, który mu otworzył, typowy Berber z marokańskich gór, mógł mieć około sześćdziesięciu lat; szczupły i ogorzały, nosił dzinsy, ale bez koszuli. Od razu potwierdził, że jest ojcem Jacques'a Gamoudiego. Jack wyjaśnił szybko, że spodziewa się w najbliższych

**godzinach przybycia pułkownika do wsi, albo przynajmniej próby nawiązania kontaktu, i że jest on w poważnym niebezpieczeństwie.**

Abdul Gamoudi skinął głową, jakby informacje przybysza nie budziły jego zdziwienia.

–Ach, Jacques... – rzekł po francusku z westchnieniem. – Mój zwariowany syn. Niestety, spóźnił się pan. On już do mnie dzwonił, ale nie przyjedzie do domu.

–Ale jeszcze do pana zatelefonuje?

–Oczywiście. Jutro.

Jack uznał, że nie ma czasu na owijanie w bawełnę. Opowiedział pokrótce gospodarzowi o ścigającym jego syna zespole zabójców, o ewakuacji jego rodziny przez Amerykanów i zabezpieczeniu konta bankowego. Pokazał przywieziony telefon, tłumacząc, że Jacques ma się skontaktować bezpośrednio z okrętem US Navy, na którym czeka żona z dziećmi. Z trudem dobierając francuskie słowa, wyjaśnił, że ten telefon ma pomóc Amerykanom w wydostaniu go z Maroka, i opisał działanie odbiornika GPS, który przekaże na okręt współrzędne miejsca jego pobytu.

–Jesteśmy waszymi przyjaciółmi, Abdul. Jeśli Francuzi dopadną Jacques'a przed nami, zabiją go na miejscu.

–Rozumiem – potwierdził Gamoudi senior, znów poważnie

kiwając głową. – Przekażę synowi telefon i pańską wiadomość.

Jack wręczył mu pudełko. Miał nadzieję, że Berber wszystko dobrze zrozumiał i zapamiętał.

W rzeczywistości Francuzi zostali dość daleko w tyle. O odlocie saudyjskiego boeinga z Bejrutu dowiedzieli się dopiero po dwudziestej drugiej, kiedy dwaj agenci czyhający pod ambasadą usłyszeli w radiowych wiadomościach o znalezieniu w zamku w Byblos czterech trupów i usiłowali skontaktować się z Paryżem. Nie wiadomo dlaczego potrwało to znacznie dłużej niż zwykle, a ustalenie, że królewski odrzutowiec opuścił lotnisko, prawdopodobnie z poszukiwanym człowiekiem na pokładzie, zajęło kolejne cztery godziny. Wieża kontroli lotów była już wtedy nieczynna i dopiero następnego dnia o siódmej rano DGSE dowiedziała się, że samolot zgłosił Marrakesz jako cel podróży. Ta wiadomość utwierdziła Sava-ry'ego w przekonaniu, że Gamoudi musiał nim odlecieć, kierując się w rodzinne strony.

Szef DGSE był wściekły. Od samego początku tej operacji czuł się jak wyłączony z obiegu informacji, jakby nie nadą-

żał za rozwojem wydarzeń. Na pewno wiedział tylko, jakie popełniano błędy i jakie ponoszono porażki. Nieudana próba zamachu w Rijadzie; spóźnione przybycie ekipy zabójców do willi pułkownika; partacka robota agentów śledzących go w Bejrucie, z których czwórka przyplaciła to życiem; wypuszczenie z rąk pani Gamoudi w Pau; pół doby opóźnienia w wytropieniu boeinga Nasira po odlocie z Libanu... Wiedział też, że CIA równie gorąco jak oni pragnie dopaść Gamoudiego i że pan Pierre Mądrała St. Martin dostanie białej gorączki na wiadomość, że w tej chwili nikt nie ma zielonego pojęcia, gdzie pułkownik się znajduje.

Savary podniósł słuchawkę i wybrał numer generała Jo-berta. Minęła już północ, ale żaden z nich nawet tego nie zauważył. Generał musiał tylko przejść z sypialni do gabinetu w obawie przed obudzeniem żony. Savary przedstawił mu zwięźle przebieg niefortunnnych wydarzeń, po czym podsumował:

–I tak oto mamy teraz uzbrojonego i niebezpiecznego zawodowego oficera i przewodnika wysokogórskiego, ukrywającego się gdzieś na pustkowiach Atlasu, gdzie się wychował, dorósł i pracował. Ma absolutną przewagę znajomości terenu, a ja mam go tam wytropić i dopaść. – Przerwał na chwilę, po czym stwierdził otwarcie: – Michel, to już nie jest operacja dla tajnych służb. Prezydent chce wyeliminować tego człowieka, a moja organizacja nie jest przygotowana do urządzania pościgów alpejskich. To już zadanie dla wojska. Potrzebne będą śmigłowce, samoloty, radary, może nawet rakiety, jeśli chcemy go załatwić. Michel, chcę zaproponować, by dalsze działania przejął Pierwszy Morsko-Spadochronowy Pułk Piechoty. Mam nadzieję, że się sam zgodzisz, ale i tak zasugeruję takie rozwiązanie ministrowi. Masz w końcu pod stałą komendą dwie eskadry śmigłowców szturmowych...

–Gastonie, rozumiem cię doskonale – zapewnił Jobert. – Jeżeli ktoś może zlikwidować Gamoudiego, to tylko siły specjalne. Domyślam się, że trzeba będzie też pozbyć się zwłok?

–Jak najbardziej. Jacques Gamoudi ma zniknąć z powierzchni ziemi tak, jakby nigdy go na niej nie było.

–Nie wątpię, że to się da zrobić. Gdzie będzie centrum

rejonu operacyjnego?

–W Asni, trzydzieści kilometrów od Marrakeszu. To mała góraska wioska. Jesteśmy przekonani, że tam właśnie zmierza nasz pułkownik, aby się zaszyć i przeczekać, dopóki się nam nie znudzi polowanie.

–Hmm... To ponad tysiąc osiemset kilometrów od Marsylii... – zastanawiał się generał. – Polecimy nad Hiszpanią, a przed przelotem do Afryki uzupełnimy paliwo... Mam w pogotowiu trzy cougar. Zabierają po dwudziestu pięciu żołnierzy z wyposażeniem i są dobrze uzbrojone: karabiny maszynowe, działka, rakiety... A do tego naszpikowane elektronicznymi systemami rozpoznania. Mogę je mieć w Marrakeszu na jutro rano. Mam sam pogadać z Martinem czy ty to zrobisz?

–Ja się nim zajmę – obiecał Savary. – Zadzwoń i powiem, że przejmujesz sprawę, a za chwilę prześlę ci e-mailem dane.

–Dobra. W takim razie zabieramy się do tego kłopotliwego sukinsyna i załatwimy go raz na zawsze.

Sobota, 17 kwietnia, godz. 11.00. Atlas Wysoki

Abdul Gamoudi znakomicie wywiązał się z zadania. Potrzebny sprzęt nabył u swojego przyjaciela, właściciela jedyne, ale dobrze zaopatrzonego sklepu narciarskiego w okolicy. Z synem spotkał się w umówionym miejscu u stóp urwiska, sto kilkadziesiąt metrów poniżej granicy pokrywy śnieżnej, dokąd mógł dojechać swą furgonetką, wypełnioną odzieżą i sprzętem. Były tam plecaki, śpiwory, czekany, raki, liny i kuchenka turystyczna. Zgodnie z instrukcją Jacques'a wybrał artykuły w maskujących kolorach, unikając modnych, jaskrawych barw, w ilości odpowiedniej dla trzech osób na tydzień. Nie zapomniał oczywiście „magicznego” telefonu od Amerykanina.

Jacques, Szakira i Rawi porzucili wynajętego forda i wsiedli do furgonu. Raszud wręczył Abdulowi studolarówkę i usadowił się na śpiworach na skrzyni pojazdu. Abdul miał ich teraz zawieźć jeszcze wyżej w góry, nieco na wschód od narciarskiej wioski Imlit. To był ich ostatni przystanek. Mężczyźni rozładowali bagaż i cała trójka ochoczo przebrała się w ciepłe

ubrania; na tej wysokości chłód był już przejmujący. Rozdzielili między siebie ekwipunek, Abdul zaś pojechał do Imlit, by kupić dla nich żywność i wodę. Kiedy wrócił, wrzucili starą odzież do wozu i pożegnali się. Abdul z uśmiechem ucisnął dłonie Rawiemu i Szakirze, Jacques'a zaś objął i trwali tak przez chwilę bez ruchu, aż po jego porwanej zmarszczkami twarzy spłynęły łzy. Patrzył potem, jak odchodzą bezdrożem na północny wschód, niepewny, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy syna.

Jacques wybrał dobrze sobie znany, ale nieuczęszczany szlak, który szybko doprowadził ich w szczególnie urozmaicony teren, pełen wysokich urwisk i dobrze osłoniętych kryjówek. Po trzech kilometrach marszu zatrzymali się i Jacques, przysiadłszy na głazie, włączył telefon i nacisnął guzik przekazujący jego pozycję na USS *Shiloh*. Poczuł nagły dreszcz emocji, gdy natychmiast potem odezwał się głos z teksaskim akcentem: „USS *Shiloh*, centrala łączności”.

Podeksytowanie Gamoudiego było niczym w porównaniu z eksplozją radości na mostku krążownika.

–Mamy go, sir! Trzydzieści trzy zero osiem nord, zero osiem zero sześć west. Jest na linii, sir! Poproście panią Gamoudi... To on, powtarzam, i jest cholernie blisko!

Słowa „Mamy go” zostały powtórzone na okręcie co najmniej sto razy przez najbliższe pół minuty: oficer z radiostacji do dowódcy, dowódca do ZDO, Giselle, centrali operacyjnej, komandora Taylora... Na okręcie wojennym czasami zbędny jest telefon – wszyscy się po prostu „jakoś” o wszystkim dowiadują, od siłowni po mostek, od dziobu po rufę, od kucharza po oficera kierowania ogniem, za pośrednictwem swego morskiego telegrafu dzungli, szybkiego i niezawodnego.

Kapitan Pickard mówił powoli i wyraźnie do słuchawki.

–Pułkownikowi Gamoudi, mój okręt znajduje się około osiemdziesięciu mil morskich od wybrzeża marokańskiego, na wysokości Agadiru. Jak daleko jest pan od portu?

–Jestem w górach, mniej więcej sto osiemdziesiąt kilometrów na wschód.

–Czy jest pan w niebezpieczeństwie?

–Na razie nie. Ale francuski wywiad już trzykrotnie usiłował mnie zlikwidować i spodziewam się następnych prób.



–Jest pan sam?

–Nie, z dwojgiem przyjaciół.

–Da pan radę przedostać się do Agadiru?

–Myślę, że tak.

–Ile czasu by to zajęło?

–Powiedzmy, do pięciu dni marszu.

–Może pan pozostawać z nami w kontakcie?

–Tak jest. Co dwanaście godzin?

–Licząc od tej chwili, pułkowniku. Połączę teraz pana z żoną... ale proszę oszczędzać baterię.

Jacques pozwolił sobie na minutę rozmowy z Giselle, która już w pełni otrząsnęła się po szoku porwania w Pau i teraz chciała tylko wiedzieć, czy mąż jest cały i zdrowy. Nie było czasu na szczegółowe opowieści ani wyjaśnienia, ale oboje doznali przemożnej ulgi, wiedząc, że są bezpieczni – choć w jego wypadku być może tylko chwilowo. Pułkownik schował telefon do zamykanej na zamek błyskawiczny kieszeni kurtki, wstał i poprowadził przyjaciół dalej pod górę przez księżycowy krajobraz Atlasu Wysokiego. Ich ucieczka nabrała nowego wymiaru: wiedział już, dokąd ma zdążyć i po co. Teraz trzeba było tylko dotrzeć do Agadiru.

Przez następne cztery godziny na dystansie dziesięciu kilometrów pokonali pięćset pięćdziesiąt metrów różnicy wysokości. Jacques zarządził krótki odpoczynek. Wypili trochę wody, po czym zwrócił się do Rawiego, mówiąc powoli:

–Rawi, nie musicie dalej ze mną iść. Sam już dojdę do

portu. Zrobiliście oboje dla mnie wystarczająco dużo.

Raszud tylko się uśmiechnął.

–Stary, daj spokój. Gdyby nie ty, leżałbym już w jakimś anonimowym grobie w Marsylii. Nie zostawię cię, dopóki nie staniemy na kei w Agadirze. Poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się zjawić Francuzi.

–Nigdy mnie nie znajdą – odrzekł Jacques z przekonaniem.

–Być może. Ale będą próbować i mogą mieć łut szczęścia.

**Na potwierdzenie swych słów wskazał dłonią w dół, gdzie**

**widać było posuwające się oznakowanym szlakiem dwie grupki wspinaczy, w tym jedną z dwoma jucznymi mułami.**

**–Muszę tylko unikać przypadkowego zauważenia przez**

**407**

**jakiegoś turystę czy przewodnika – upierał się Gamoudi. – Sam widzisz, jaki tu jest teren. Ominę z daleka wioski Tached-dirt i Ouaneskra, bo większość grup tam właśnie ciągnie. – Widząc drwiąco uniesione brwi przyjaciela, skapitulował jednak. – W porządku, Rawi. Zatrzymamy się w letniej osadzie Azib Likempt. O tej porze roku jest jeszcze nieczynna, ale znajdziemy tam schronienie w którymś ze starych domów.**

**Na wybrane miejsce dotarli przed wieczorem i roztasowali się na nocleg. Zjedli po parę usmażonych na prymusie kiełbasek i ułożyli się do snu. Noc była mroźna, każde więc po cichu dziękowało losowi i właścicielowi sklepu w Asni za dobrą jakość dostarczonych śpiworów. Następnego dnia wyruszyli wcześniej i zanim nastąpiło południe, byli już daleko za granicą wiecznego śniegu, pokonali wietrzną przełęcz Tizi Lekempt i zaczęli schodzić ku zielonym pastwiskom w dolinie okresowo wysychającej rzeki, u której ujścia leży Agadir.**

**I właśnie wtedy Rawi pierwszy usłyszał odgłos silnika dużego wojskowego śmigłowca, niosący się w czystym górskim powietrzu. Okoliczne szczyty zasłaniały im widok, ale łoskot był tak silny, że nabrali pewności, iż nie może pochodzić od jednej tylko maszyny.**

**–Jacques, musimy znaleźć kryjówkę! – krzyknął. – Którędy?**

**–Tędy! – Gamoudi machnął ręką na południowy zachód. – Biegiem!**

**Uginając się pod ciężkim ekwipunkiem, ruszyli spiesznie zboczem, kierując się ku dużemu skalnemu nawisowi, w którego cieniu mogli znaleźć osłonę. Jacques ponaglał ich co chwila, ale ledwo zdążyli dopaść zbawczego zagłębienia, gdy dwa cougary AS 532 wyskoczyły zza tej samej góry od południa. Warkot był ogłuszający; oba śmigłowce leciały wolno, zataczając łuki na niewielkiej wysokości, najwyraźniej zajęte poszukiwaniem.**

**–Jasna cholera! – zaklął Rawi. – Te pudła mają wszystko! Radary terenowe, czujniki podczerwieni i licho wie co jeszcze!**

**–Jestem tak zmarznięta, że wykrycie w podczerwieni mi chyba nie grozi – odezwała się Szakira.**

**–Szybko, schowajcie się tam! – krzyknął Jacques. – Lecą prosto na nas!**

Wszyscy troje padli płasko na ziemię, skryci w cieniu. Było jednak jasne, że załoga śmigłowca coś zauważyła. Maszyna zawisała w powietrzu, po czym z wolna obróciła się wokół własnej osi i przeleciała wzdłuż skały zaledwie o pięćdziesiąt metrów od nich. Uciekinierzy mogli się tylko modlić, żeby nie wylądowała i nie zaczął się pościg na ziemi. Gamoudi nie miał wątpliwości, z kim mają do czynienia. Francuzi mogli operować w Maroku całkiem bezkarnie, w przeciwieństwie do Amerykanów, którzy takiego przywileju nie mieli. „Dobrze dla Rawiego, gorzej dla mnie”, przemknęło mu przez głowę.

Śmigłowce pokręciły się jeszcze przez dwadzieścia minut, po czym odleciały, jakby z niechęcią, na zachód.

–Spadamy stąd, póki pora – rzucił Raszud. – Czy i wy mieliście wrażenie, że oni coś wykryli?

–To samo pomyślałem – przyznał pułkownik. – Według mnie odlecieli tylko po to, żeby uzyskać zezwolenie na zorganizowanie operacji naziemnej.

–Od Marokańczyków?

–Coś ty! – prychnął wzgardliwie Jacques. – Od swojego dowództwa. Niewykluczone jednak, że uprzedzą o tym miejscowych, bo jednak bezpośrednie działania wojskowe na obcym terytorium to zawsze drażliwa sprawa, zwłaszcza gdy ma się polać krew.

–Chyba nie myślisz o naszej krwi, Jacques? – spytała Szakira.

–Mam nadzieję, że nie...

–Dokąd pójdziemy?

–Znam dobre miejsce, trzy kilometry na zachód stąd. Teren jest tam dość płaski, więc będziemy musieli zasuwać jak najszybciej.

–A jak śmigłowce wrócą i wznowią poszukiwania?

–W tym sęk. – Gamoudi pokręcił głową. – Ale jeśli się stąd nie ruszymy, a oni wrócą i wylądują, to po nas. Musimy zwiewać, i to natychmiast, dopóki jest czysto.

–Święta racja – przytaknął Raszud. – No to w drogę... Prowadź, Jacques.

Bieg z ciężkimi plecakami nie wchodził w rachubę. Szakira niosła mniejszy ładunek i mogła sobie pozwolić na lekki trucht, ale dla obu mężczyzn był to solidny wysiłek. Szli sta-

łym, marszowym tempem, w którym rekordów by nie pobili, ale i tak możliwym do utrzymania tylko dzięki ich żelaznej, wypracowanej w Dżibuti i na saudyjskich pustyniach kondycji. Posuwali się pod względną osłoną cienia pod północno-zachodnim zboczem, idąc górską ścieżką często przechodzącą w wąską skalną półkę. Niemal przy każdym kroku spod ich stóp osuwały się kamienie; cała trójka starała się nie patrzeć w dół, w stromą przepaść opadającą ku odległemu o kilkaset metrów dnu doliny.

Francuskie śmigłowce wróciły, gdy do upatrzonej przez Jacques'a kryjówki brakowało im jeszcze około dwustu metrów niepewnej dróżki. Zdyszani posuwali się ostrożnie, chwytając się lewą ręką nielicznych wyrastających z jałowej ziemi krzewów i badając stopami grunt. Góra zasłaniała ich na razie przed wzrokiem pilotów, dopóki nie skręcą na zachód i nie polecą wzdłuż tej samej grani – co w każdej chwili mogło nastąpić. Nie było się gdzie schować; ich jedyną nadzieją było to, że do takiego samego wniosku dojdą Francuzi i zajmą się poszukiwaniami w bardziej dogodnym dla zbiegów terenie.

Ścigani wszechobecnym warkotem silników cougarów dotarli w końcu do miejsca, gdzie pułkownik polecił Rawiemu i Szakirze zdjąć plecaki i przygotować sprzęt wspinaczkowy. Szybko rozwinął zwoje, wbił parę haków i zamocował liny. Z wprawą założył Rawiemu szelki bezpieczeństwa, przymocował linę, kazał nałożyć rękawice i opuścić się po ścianie dokładnie o czternaście metrów, gdzie znajdzie wylot jaskini.

–Jesteś pewien, że ona tam jest? – upewnił się były komandos z SAS.

–Byłem w niej dziesiątki razy. No już, zjeżdżaj. Przodem do ściany, opieraj się stopami... I dobrze się trzymaj obu lin.

Rawi postawił stopy na krawędzi ścieżki, odchylił się do tyłu i zaczął powoli schodzić w dół po niemal pionowej w tym miejscu skale, znikając Jacques'owi i Szakirze z pola widzenia.

–I jak, idzie jakoś? – spytał pułkownik.

–Idzie, idzie! Tylko jak tej jaskini nie będzie, to wracam i spodziewaj się gorzkich wymówek!

Gamoudi się uśmiechnął i bacznie obserwował kawałek czarnej taśmy, który przykleił do liny jako miarękę. Kiedy znak dotknął krawędzi, krzyknął:

–Stop, Rawi! Musisz ją mieć przed sobą!

–No i mam! – dobiegł z dołu stłumiony głos. – Dobra, wszedłem!

–Okay! Teraz odepnij się od liny... Dobra. Szakiro, kolej na ciebie. Popatrz... ta druga lina przechodzi przez oko haka, będę ją popuszczal w miarę potrzeby. Nie możesz spaść. Nawet jak jedna z lin pęknie... co nie ma prawa się zdarzyć, bo nie wyglądasz, jakbyś ważyła tonę... na tyle jest testowana... to druga cię utrzyma.

Szakira była przerażona. Z szeroko otwartymi oczyma patrzyła, jak Jacques zapina jej szelki, mocuje liny... Machinalnie włożyła podane jej rękawice i ściernięta ze strachu na dany znak posłusznie zaczęła się zsuwać w dół. Nie mogła się jednak przemóc, by się odchylić do tyłu i w tej pozycji schodzić; zamiast tego wisiała tylko pionowo, szurając czubkami butów po skale, dopóki nie poczuła, że Rawi chwyta ją za kostkę i wciąga do jaskini. Kiedy znalazła się bezpiecznie w jego uścisku, serce waliło jej jak złapanemu w sieć ptakowi.

Jacques sprawdził, czy liny są dobrze zamocowane do powrotnej wspinaczki, po czym sam zjechał w dół pięcioma długimi susami, lądując zwinnie pośrodku wejścia do jaskini.

–Robiłeś to już kiedyś, co? – zagadnął Rawi.

–Ano, parę razy się zdarzyło. – Gamoudi wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu. – Pierwszy raz, gdy miałem dziewięć lat.

Dziesięć minut później śmigłowce nadleciały nad zachodnie zbocze góry, około czterystu metrów od ciemniejszego na tle rudawej skały otworu głębokiej na dziesięć metrów groty. Jacques wiedział, że piloci nie mają szans przeniknąć wzrokiem panującego w niej mroku, a brązowe liny też za słabo się odróżniały od podłoża, żeby je z daleka zauważyć. Rawi obawiał się jednak czujników podczerwieni, przykazał zatem, by położyli się płasko na kamiennym dnie. Jedna z maszyn przeleciała dwukrotnie dość blisko, a przez całe popołudnie słyszeli ich silniki. Francuzi nieustępliwie penetrowali teren, a tuż przed zmierzchem oba helikoptery przeleciały ponownie obok jaskini. Oby któremuś nie przyszło do głowy wpakować tu na wszelki wypadek rakiety, przemknęło Rawiemu przez

myśl -jak on sam by z pewnością zrobił, gdyby miał choć cień podejrzenia, że jego ofiara może się tu chować.

Podejrzeń jednak najwyraźniej nie było. Po zapadnięciu ciemności Gamoudi wbił hak w ścianę przy wejściu i zamocował koniec liny przerzuconej wcześniej przez oko nad ścieżką. Zapiął szelki i umocował do pasa torbę z hakami, po czym zaczął powolną wspinaczkę. Wbijał haki co kilkadziesiąt centymetrów, przygotowując wygodną „drabinę” dla przyjaciół. Dotarłszy na półkę, rzucił linę z powrotem na dół i krzyknął do Szakiry, by się przypięła. Wspomagana mocnymi pociągnięciami pułkownika, dziewczyna mozolnie wdrapała się na szczyt. Rawiemu poszło sprawnie, ale sam w duchu przyznał, że daleko mu do alpinistycznego kunsztu ich przewodnika. Nie krył też ulgi, gdy wreszcie stanął obiema stopami na jako tako poziomym gruncie ścieżki.

Czekała ich teraz czterodniowa wędrówka przez dziewiczo dzikie zbocza łańcucha górskiego Ouimeksane i zejście ku błękitnym wodom jeziora dTfni. Nikt ich już jednak nie ścigał i dni płynęły spokojnie. Przed południem 23 kwietnia dotarli do wioski Taliouine, gdzie zjedli pierwszy od dawna porządny posiłek – pikantną jagnięcinę z ryżem – a za trzydzieści tysięcy dirhamów odkupili od właściciela restauracyjki jego stary samochód. Trzy godziny później, po wariackiej jeździe drogą krajową P-32, byli już na przedmieściach Agadiru. Dochodziła piętnasta i Jacques połączył się z USS *Shiloh*, proponując, by przysłano po niego łódź za pięć godzin, po zapadnięciu ciemności.

Oficer z radiostacji okrętu poinformował go, że odtąd jego telefon będzie przestawiony na bezpośrednie połączenie z dowódcą zespołu komandosów, komandorem porucznikiem Taylorem, dobrze znającym francuski, który miał przeprowadzić akcję ewakuacyjną.

–Od wpół do ósmej niech pan co kilka minut wysyła sy

gnały GPS, żebyśmy wiedzieli, gdzie pana szukać.

Gamoudi podziękował rozmówcy i zamienił kilka zdań z Taylorem.

–Postaraj się dotrzeć na nabrzeże i zorientować w terenie, ale niczego nie ryzykuj, dopóki nie przyplniemy – usłyszał.

–Nie mam pojęcia, jak tam jest – odpowiedział. – Nie

mam planu miasta ani portu. Może zadzwonię jeszcze raz za trzy godziny... Wtedy powinienem wiedzieć więcej.

–Dobra – zgodził się komandos. – Miej tylko oczy otwarte.

W jednym końcu basenu portowego stoją dwa marokańskie okręty. Trzymaj się od nich z daleka. Musisz podejść od pół nocy. Do usłyszenia w takim razie za trzy godziny.

Jacques nie widział żadnych oznak pościgu, co jednak nie znaczyło, że Francuzów w Agadirze nie ma. Zatankował do pełna na pobliskiej stacji benzynowej, po czym zaparkował na pustym placu na uboczu. Cała trójka pozbyła się niepotrzebnej już górskiej odzieży, pozostając tylko w lekkich spodniach, koszuli i adidasach. Unikając głównych ulic, pomaszrowali w stronę nabrzeży.

Wyjrzawszy zza rogu portowej uliczki, ze zgrozą ujrzeli grupki francuskich komandosów, rozstawione w różnych punktach wokół długiej kei. Natychmiast zawrócili do miasta, pewni, że nikt ich tu nie zna, a prześladowcy nie wiedzą, że ich obiekt podróżuje w trzyosobowej grupie. Zdawali sobie jednak sprawę, że w takich warunkach niełatwo będzie się przedrzeć nad wodę i odpłynąć, nawet przy pomocy słynnych amerykańskich sił specjalnych.

Czekali więc cierpliwie, krążąc po wąskich uliczkach nieopodal portu. O dziewiętnastej trzydzieści Gamoudi wcisnął guzik GPS na telefonie, po czym powiedział komandorowi Taylorowi, że zamierza się z nimi spotkać w południowej części portu, gdzie pod osłoną kamiennego falochronu cumuje około dwudziestu małych, niebieskich łodzi rybackich. Jako znak orientacyjny wymienił zauważony tam wysoki, żółty dźwig.

–Jesteśmy o niecałe pół mili od lądu – powiedział Taylor. – Wylączam silnik i dalej pójdziemy na wiosłach.

–Okay, zatem do zobaczenia.

Jacques, Szakira i Rawi ruszyli wolno w stronę rybackiego porciku. Kilkaset metrów od brzegu komandor Taylor z trzema podwładnymi zsunęli się bezszelestnie do wody, ubrani w kombinezony pletwonurków, z pistoletami maszynowymi w wodoszczelnych workach. Popłynęli prosto w stronę wskazanego dźwigu, odcinającego się jaśniejszą kreską na tle czarnego nieba, schodząc na głębokość czterech metrów. Wylądo-

wali na pogrążonej w gęstym mroku plaży niedaleko od falochronu i zdjęli pletwy, przypinając je do klamer przy pasach. Pozostali w kapturach, co było wprawdzie niewygodne, ale przynajmniej czyniło ich niemal niewidzialnymi w ciemności. Cała czwórka zajęła pozycje między maszynami budowlanymi, których stało tam kilkanaście. Brad sprawdził wskazania GPS; wynikało z nich, że pułkownik Gamoudi jest o dwieście metrów od nich i posuwa się ku umówionemu miejscu spotkania. Nacisnął guzik telefonu i od razu usłyszał jego głos.

–Ilu was jest? – spytał.

–Wciąż trzy osoby, jestem z przyjaciółmi – odpowiedział Jacques.

I nagle dowódca SEALs zobaczył ich przed sobą w wąskim przejściu między dwoma budynkami. W tej samej chwili z cienia pod ścianą wysunęło się trzech umundurowanych mężczyzn, wzywając nadchodzących do zatrzymania się.

–Cholera! – mruknął Brad i dając znak dwóm swoim lu

dziom, by szli za nim, ruszył przed siebie drugą stroną uliczki.

Gamoudi i jego towarzysze posłusznie przystanęli i najwyraźniej odpowiadali na pytania patrolu. Amerykanin wiedział jednak, że żołnierze są Francuzami, a jego rozkazy były wyraźne: nie patyczkować się. Sprawdził linię strzału, upewniając się, że nie ma na niej jego podopiecznych, i syknął do komandosów:

–Ognia, po nich!

Trzy krótkie serie rozdarły nocną ciszę nagłym, ostrym staccato. Nie było pudła; trzech przeciwnicy padli jak ścięci na bruk. Taylor wyskoczył z cienia i paroma skokami znalazł się przy nich.

–Jacques! – krzyknął. – Który to z was?

–To ja – odrzekł pułkownik.

–To chodu, stary!

I cała czwórka rzuciła się biegiem ku plaży, pozostawiając lekko oszołomionych Rawiego i Szakirę, którzy mimo całego doświadczenia bojowego przez chwilę gapili się za nimi z otwartymi ustami. Rawi szybko się jednak otrząsnął i siłą nawyku podniósł z ziemi jeden z pistoletów maszynowych upuszczonych przez Francuzów, po czym pociągnął żonę z powrotem między domy i dalej w stronę miasta, do gotowego do



**drogi samochodu. Wkrótce będą w Marrakeszu i dla nich cała historia na tym się kończyła.**

**Nie skończyła się jednak dla pułkownika Gamoudiego. Na odgłos strzelaniny zza portowego ogrodzenia wybiegło dwóch następnych żołnierzy. Jeden skierował się ku leżącym bez ruchu postaciom, drugi z gotowym do strzału peemem rzucił się w pościg za uciekającymi Amerykanami. Nie miał większych szans niż chart wobec bengalskiego tygrysa. Zdążył podbiec kilkanaście kroków, gdy i jego dosięgły celne pociski z MP-5 Taylora.**

**Komandosi dotarli do falochronu, gdzie czekał osłaniający ich odwrót kolega.**

**–Skacz, Jacques, skacz! – krzyknął dowódca.**

**Cała piątka wskoczyła do basenu portowego tuż za linią kołyszących się na lekkiej martwej fali łódek. Jacques omal się nie zachłysnął; nie był tak dobrym pływakiem, ale jego wybawcy w wodzie radzili sobie tak, jakby im brakowało tylko skrzeli. Pod osłoną jednej z łodzi sprawnie schowali broń do worków i założyli płetwy. Nie minęła minuta, gdy płynęli już ku główce falochronu, podtrzymując Gamoudiego, który leżał bez ruchu na plecach, ciągnięty po wodzie w olimpijskim tempie. Do pokonania mieli tylko trzysta metrów – dla Fok równowartość trzydziestu silnych kopnięć specjalnie zaprojektowanymi, długimi płetwami. Wkrótce był już w zodiaku, lekko zdezorientowany szybkością wydarzeń. Dwa silniki yamaha zawyły na wysokich obrotach; pneumatyczna łódź uniosła dziób wysoko nad fale i śmignęła na zachód, ku otwartemu morzu, z prędkością blisko czterdziestu węzłów. Luna świateł Agadiru zaczęła szybko gasnąć i wkrótce za rufą połyskiwała już tylko ich jasna smuga na horyzoncie.**

**Brad zdjął z uchwytu na desce rozdzielczej telefon i wcisnął guzik. Po raz drugi w tym tygodniu na mostku i w centrali operacyjnej USS *Shiloh* rozbrzmiał chóralny aplauz, kiedy z głośnika padły znajome dwa słowa: „Mamy go!”**

# EPILOG

Czwartek, 20 maja 2010 r., godz. 11.00. Gmach ONZ, Nowy Jork

Były pułkownik Jacques Gamoudi stał przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ podczas jednej z najbardziej niezwykłych sesji, jakie kiedykolwiek się odbywały w wielkiej, okrągłej sali posiedzeń, zamknięty między kuloodpornymi szklanymi ścianami, a jego słowa przekładane były na bieżąco przez siedemdziesięciu czterech tłumaczy kabinowych. Pancerna klatka była pomysłem Arnolda Morgana, jako istotny element pełnej, nieprzerwanej ochrony świadka koronnego przed zbrodniczymi mackami Paryża, którego przedstawiciele zresztą na sali zabrakło. Również scenariusz przesłuchania, które prowadził pochodzący z północnej Afryki sekretarz generalny, był autorstwa admirała. Trwało ono dwie godziny. Pod koniec z wysokiej pozycji Francji w międzynarodowej społeczności pozostały dymiące zgliszcza. Wśród słuchanych z zapałem przez miliony ludzi na całym świecie pytań i odpowiedzi znalazły się też następujące:

–Czy pan osobiście dowodził głównymi siłami w ataku na Rijad, podczas którego obalono poprzedniego króla?

–Tak, sir.

–A kto pana do tej roli zatrudnił?

–Rząd francuski.

–Ile panu zapłacono za tę usługę?

–Piętnaście milionów dolarów, sir.

–I może pan to w pełni udowodnić?

–Mogę, sir.

416

–Kto ponosi odpowiedzialność za zniszczenie saudyjskich pól naftowych i instalacji portowych?

–Francuska marynarka wojenna. Ściślej mówiąc, dwa okręty podwodne, *Amethyste* i *Perle*. Atak polegał na podłożeniu min przez pływoczników i ostrzelaniu instalacji w głębi lądu rakietami.

–A kto zniszczył bazę lotniczą Króla Chalida?

**–Francuskie siły specjalne. Przerzucone drogą morską z Dżibuti. Wysokiej klasy specjaliści, wyszkoleni we Francji.**

**–Może pan wymienić nazwisko ich dowódcy?**

**–Jeśli pan sobie życzy, mogę.**

**–Dlaczego zdecydował się pan zeznawać przeciwko swojemu krajowi?**

**–Ponieważ mój kraj sześciokrotnie nastawał na moje życie, sir, już po wykonaniu przeze mnie zadania ściśle według rozkazów samego prezydenta.**

**–Jak udało się panu uratować z rąk zabójców?**

**–Dzięki pomocy marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Zawdzięczam jej życie.**

**–Czy wie pan, dlaczego rząd amerykański udzielił panu tej pomocy?**

**–Tak, sir. Po to, aby świat mógł poznać prawdę o działaniach Francji.**

**–Czy zamierza pan powrócić do swojego kraju?**

**–Nie, sir.**

**O godzinie piętnastej dwadzieścia pięć sekretarz generalny ONZ w imieniu Zgromadzenia Ogólnego przeprosił oficjalnie prezydenta USA za poprzednią rezolucję potępiającą Amerykę za akcję na wodach wokół Półwyspu Arabskiego. Przeprosiny przyjął w imieniu szefa rządu stały przedstawiciel w ONZ. Następnego ranka admirał Morgan osobiście podjął rokowania z królem Nasirem w sprawie objęcia przez USA kontroli nad saudyjską ropą naftową. Jego propozycja zapewniała Arabii dochody na dotychczasowym poziomie, ale postulowała przekazanie Amerykanom odpowiedzialności za ochronę instalacji i światową dystrybucję wydobycia. Morgan sam się potem dziwił, że negocjacje przebiegły tak gładko, a król z całym spokojem wykluczył Francuzów z gry, potwierdzając, że nie chce – przynajmniej na razie – mieć z nimi nic**

417

**wspólnego. W głębi duszy uważał postępowanie monarchy za zdradę wobec współników w zbrodni, bez których nie znalazłby się tak szybko na obecnej pozycji. Nie znał jednak treści rozmowy Nasira z prezydentem Francji, którą król zakończył następująco:**

**–Obawiam się, panie prezydencie, że pańskie postępowanie wobec mojego bardzo bliskiego przyjaciela jest dla mnie absolutnie nie do zaakceptowania. Jako Beduin nie mogę patrzeć przez palce na tak zdradzieckie traktowanie dobrego i lojalnego żołnierza, którego, jak sądzę, i pan mógłby uważać za przyjaciela. Jeśli to panu pomoże, przypomnę, że studiowałem**

literaturę na Harvardzie i pisałem pracę dyplomową z Edwarda Morgana Forstera. To chyba wszystko, co powinien pan wiedzieć.

**Prezydent nie miał jednak pojęcia, o czym król mówi, i chyba nigdy się tego nie dowiedział.**

**Dwa lata później. Boise, stan Idaho**

**Dwa boeingi ze znakami saudyjskich królewskich sił powietrznych wylądowały jeden po drugim na niewielkim lotnisku na południe od stolicy stanu Idaho. Tam, w jednym z górskich regionów amerykańskiego Środkowego Zachodu, znaleźli swój nowy dom państwo Jack i Giselle McCaffrey. Oboje czekali teraz u wejścia do terminalu na pojawienie się gościa, któremu jak zwykle towarzyszył orszak czterdziestu siedmiu krewnych, doradców i służących – pestka w porównaniu z często przekraczającym trzy tysiące osób dworem, jaki woził ze sobą jego poprzednik na tronie Arabii. Przybysze wypełnili po brzegi największy z miejscowych hoteli, ale sam król zatrzymał się na trzy dni w domu swych przyjaciół, zgodnie z beduińską zasadą: „Wczoraj razem walczyliśmy w wielkiej bitwie, dzisiaj goszczę pod twoim dachem”. A nie był to dach byle jaki: Jack McCaffrey mieszkał w pięknym, kolonialnym domu z kolumnadą, położonym na skraju małego miasteczka na tle wznoszących się na wschodzie ośnieżonych szczytów gór Sawtooth, sięgających trzech tysięcy trzystu metrów.**

Rodzina Gamoudich przybyła tu natychmiast po zakończeniu pamiętnej sesji ONZ. W tych obcych, ale wkrótce poznanych i pokochanych górach Jacques, obecnie Jack, czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Zarobione w służbie króla Nasira miliony dolarów pozwoliły mu na kupno tego domu i drugiej górskiej willi w Dolinie Słońca oraz na założenie sieci sklepów sportowych i ośrodków przewodników (na razie trzech), które od razu zaczęły dobrze prosperować. Jego synowie, znani wśród rówieśników jako Andy i John, szybko się zadomowili w amerykańskiej szkole, a w wolnych dniach spędzali z rodzicami sporo czasu na zdobywaniu okolicznych szczytów i wędrówkach wśród leżących u ich stóp błękitnych jezior i sosnowych lasów. Dla przybyszów z Pirenejów było to miejsce wymarzone; w Idaho osiedliło się tylu imigrantów z kraju Basków, poszukujących wolności i pastwisk dla owiec, że wszędzie można się natknąć na przejawy ich starej, iberyjskiej kultury, od opowieści starych farmerów po słynną baskijską pikantną kielbasę *chorizo*, wyrabianą od czterech pokoleń przez tę samą rodzinę w pobliskim hrabstwie Payette. McCaffreyowie znaleźli wśród tych ludzi własny raj na ziemi. Nawet górskie szczyty w pewnym oświetleniu wydawały się im identyczne z pirenejskimi. Uzgodnili, że zmienią nazwisko – nie ze strachu przed zemstą Francji; nowy rząd szybko przeprosił Gamoudich za poczynania poprzedników i zapewnił, że mogą żyć spokojnie – ale dlatego, że chcieli całą przeszłość zostawić za sobą.

I oto nagle w drzwiach samolotu stanął król Arabii Saudyjskiej, ubrany w zachodni garnitur, ale już z daleka pozdrawiający ich charakterystycznym beduińskim gestem i pełnym satysfakcji uśmiechem. Gospodarka jego kraju dzwignęła się już z ruin i monarchia prosperowała jak za dawnych lat, a Nasir al-Saud kroczył po amerykańskiej ziemi z pewnością siebie, jaka przystoi politycznemu partnerowi Białego Domu.

Kilku miejscowych fotoreporterów na wyścigi pstrykało zdjęcia, on jednak minął ich obojętnie i z wyciągniętymi ramionami podszedł do swego dawnego dowódcy pancерnej kolumny, która otworzyła mu drogę na tron.

–Jacques! – zakrzyknął radośnie.

W dłoni ścisnął dar dla gospodarza. Było to piękne, oprawne w skórę pierwsze wydanie *Two Cheers for Democracy* Edwarda Morgana Forstera. Na stronie tytułowej widniały wykaligrafowane słowa: „Dla mojego przyjaciela *Le Chasseu-ra, as salaam alejkum*”. Pokój z tobą.

## OD AUTORA

Pragnę zapewnić Czytelnika, że nie było moim zamiarem przedstawić Francuzów jako naród zdradliwy i pozbawiony skrupułów. Musiałem wybrać kraj, który pasowałby do realiów tej powieści, ulokowanej w niedalekiej przyszłości. Mogłem pisać o mojej Wielkiej Brytanii, ale jest ona zbyt bliskim i lojalnym sojusznikiem USA. Rolę czarnego charakteru mogłem przypisać Niemcom, Hiszpanii, czy nawet Irlandii, ale żadne z tych państw nie może się równać z Francją pod względem morskiej potęgi militarnej. Mam nadzieję, że potraktowałem Francuzów rzeczowo i rozsądnie, mimo że ukazałem ich w tak niekorzystnym świetle. To jedno z niebezpieczeństw czyhających na autora powieści sensacyjnych - złoczyńcy mogą być postaciami całkowicie fikcyjnymi, ale ja swoje wątki maluję na dużym płótnie i czasami jakimś Bogu ducha winnemu narodowi dostaje się ode mnie solidnie. Upraszam o wyrozumiałość,

*Patrick Robinson*

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2011-03-20

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*